

Wolność i Solidarność

STUDIA Z DZIEJÓW OPOZYCJI WOBEC KOMUNIZMU I DYKTATURY

Wolność i Solidarność
Studia z dziejów opozycji wobec komunizmu i dyktatury

ISSN: 2082-6826

Rada Naukowo-Programowa:

Anne Applebaum, Jerzy Eisler, Andrzej Friszke, Paweł Golak, Aleksander Hall,
Jerzy Holzer, Basil Kerski, Jacek Kottan, Ireneusz Krzemiński, Andrzej Paczkowski,
Aleksander Smolar, Edmund Wnuk-Lipiński

Redakcja:

Andrzej Kaczyński, Jakub Kufel (sekretarz), Przemysław Ruchlewski,
Jan Skórzyński (redaktor naczelny), Małgorzata Strasz

Wydawca:



Adres Wydawcy:

Europejskie Centrum Solidarności
ul. Doki 1, 80-958 Gdańsk
tel. (058) 767 79 71, fax (058) 767 79 78
e-mail: ecs@ecs.gda.pl

Projekt graficzny i skład: Piotr Białas / www.tatastudio.pl

Korekta: Małgorzata Strasz

Druk i oprawa: Zakład Poligraficzny Normex

Nakład: 1000 egzemplarzy

SPIS TREŚCI

4 OD REDAKTORA

ESEJ

- 6 **TIMOTHY GARTON ASH** Stulecie obywatelskiego nieposłuszeństwa

STUDIA

- 19 **TOMASZ KOZŁOWSKI** Geneza statutu NSZZ Solidarność
- 32 **KRZYSZTOF TARKA** „Zawitała jutrzienka swobody”. Rok 1989 z perspektywy polskiego Londynu

ŚWIADECTWA

- 46 **BRONISŁAW KOMOROWSKI** Lata Solidarności

ROSJA DYSYDENTÓW

- 61 **MAREK RADZIWIŃ** Wstęp
- 64 **LUDMIŁA ALEKSIEJEW** Ruch obrony praw człowieka w ZSRR (I)

RADOM, 3 GRUDNIA 1981

- 92 **ANDRZEJ KACZYŃSKI** Nie było „targania się po szczękach”
- 95 Bój to będzie ich ostatni
- 161 **KAROL MODZELEWSKI** Solidarność w przededniu wojny
- 176 **GRZEGORZ MAJCHRZAK** Taśmy radomskie

SPRAWA „JEDENASTKI”

- 185 **RELACJE KAROLA MODZELEWSKIEGO I ANDRZEJA WIELOWIEYSKIEGO**

SYLWETKI

- 192 **PAWEŁ SOWIŃSKI** Między policją a opozycją. Historia braci Górskich

ARCHIWUM WOLNEJ MYŚLI

- 213 **LESZEK KOŁAKOWSKI** Casus Eichmanna

EX LIBRIS

- 217 **PAWEŁ KUCZYŃSKI** Lepszy świat ciągle jest możliwy
- 227 **BOGUSŁAW SONIK** Kohabitacja po polsku
- 230 **JERZY USZYŃSKI** Konspiracja, filozofia i życie codzienne
- 233 **PAWEŁ SOWIŃSKI** Europa widziana z Warszawy
- 237 **NOTY O KSIĄŻKACH**

OD REDAKTORA

Wiek dwudziesty solidnie zapracował na miano stulecia wojen i totalitaryzmów. Toteż najczęściej widzi się w nim jedynie czas dyktatur, ludobójstwa i łamania praw człowieka na ogromną skalę. Znakomity historyk i politolog brytyjski Timothy Garton Ash przedstawia w swoim eseju nieco inną perspektywę, w której wiek XX określają nie tylko wysiłki antydemokratycznych reżimów, by podporządkować sobie całkowicie społeczeństwa, ale także ruchy obywatelskiego nieposłuszeństwa, które się temu przeciwstawiły. Używające zgodnie z filozofią *non violence* środków pokojowych, stanowiące pospolite ruszenie obywateli ruchy te w zaskakująco wielu przypadkach osiągnęły swoje cele. Głównie ich dziełem było samostanowienie Indii, zniesienie segregacji rasowej w Stanach Zjednoczonych, likwidacja apartheidu w RPA i demokratyzacja Europy Środkowej w 1989 r. Tę ostatnią historię znamy najlepiej z uwagi na rolę, jaką odegrała w niej Solidarność – wzorcowy przykład ruchu obywatelskiego, który bez użycia przemocy przeprowadził kraj od dyktatury do pluralistycznej demokracji.

Droga Solidarności była długa i trudna, zakończyła się jednak zwycięstwem. Wiele innych prób odzyskania wolności przyniosło ich uczestnikom okrutne represje i gorycz porażki. Wymieńmy choćby praską wiosnę 1968 r., chiński ruch na rzecz demokracji z 1989 r., rewolucję mnichów w Birmie w 2007 r. Jak dowodzi przykład Birmy, porażka rzadko kiedy jest jednak całkowita – ziarna cywilnego oporu mogą przetrwać okres zamrożenia i doczekać politycznej odwilży, odżyć na nowo. Pięć lat po zdławieniu rewolty mnichów rządzący w Birmie wojskowi uwolnili Aung San Suu Kyi z aresztu i pozwolili na częściowy pluralizm polityczny. Czy ograniczone ustępstwa reżimu otworzą Birmańczykom drogę do wolności, a pani Suu Kyi pójdzie śladem Václava Havla i Lecha Wałęsy, którzy po latach prześladowań i oporu objęli – na mocy demokratycznych wyborów – najwyższe urzędy w państwie?

W poprzednim numerze „Wolności i Solidarności” zamieściliśmy rozmowę z prezydentem Bronisławem Komorowskim na temat jego aktywności opozycyjnej w latach siedemdziesiątych. W niniejszym wydaniu drukujemy drugą część tego wywiadu, w której opowiada on o Solidarności lat 1980–1981, internowaniu, podziemiu solidarnościowym i niezależnym piśmie „ABC. Adriatyk, Bałtyk, Morze Czarne”.

Pierwowzorem polskich grup opozycji demokratycznej lat siedemdziesiątych, z których wyrosła Solidarność, był ruch obrony praw człowieka w ZSRR. Nieźle znamy losy i dorobek jego najwybitniejszych przedstawicieli – Aleksandra Sołżenicyna, Andrieja Sacharowa, Natalii Gorbaniewskiej, Władimira Bukowskiego. Mniej wiemy o pracy tysięcy innych,

anonimowych uczestników ruchu dysydenckiego i o podstawowych formach jego działania – samizdacie i „Kronice Bieżących Wydarzeń”. Najważniejszą publikacją na temat historii radzieckich dysydentów jest książka Ludmiły Aleksiejewej *Istorija inakomyслиja w SSSR. Nowiejszyj period*. Chcemy udostępnić polskiemu czytelnikowi choć część tego fundamentalnego, lecz wciąż nieznanego w Polsce dzieła. W tym numerze „Wolności i Solidarności” publikujemy – za łaskawą zgodą autorki – pierwszy fragment rozdziału o obrońcach praw człowieka w Rosji. Następne w kolejnych numerach.

Spotkaniu kierownictwa NSZZ Solidarność w Radomiu w grudniu 1981 r. komunistyczne media owego czasu poświęciły wiele uwagi. Skłamate relacje z tego spotkania posłużyły jako przykład konfrontacyjnych zamiarów przywództwa ruchu i jeden z argumentów na rzecz wprowadzenia stanu wojennego. Propaganda gen. Jaruzelskiego przedstawiała dyskusję w Radomiu jako naradę spiskowców organizujących

zamach na państwo. Jak było naprawdę? Andrzejowi Kaczyńskiemu udało się na podstawie trzech różnych źródeł zrekonstruować niemal pełny zapis spotkania w Radomiu. Razem z tym materiałem, odnalezionym w archiwum Instytutu Pamięci Narodowej, publikujemy artykuł Karola Modzelewskiego z 1986 r. będący wciąż niezastąpioną analizą sytuacji politycznej *W przededniu wojny* oraz tekst Grzegorza Majchrzaka o potajemnym nagraniu obrad radomskich przez agenta Służby Bezpieczeństwa.

W dziale „Archiwum wolnej myśli” prezentujemy nieznany tekst Leszka Kołakowskiego *Casus Eichmana*, zdjęty przez cenzurę PRL w 1961 r. Artykuł nie dotyczy wprost systemu komunistycznego. Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk dopatrywał się jednak w komentarzu filozofa do procesu zbrodniarza hitlerowskiego odniesień do innego systemu i innych zbrodni. Naszym zdaniem – słusznie.

Jan Skórzyński

ESEJ

STULECIE OBYWATELSKIEGO NIEPOŚLUSZEŃSTWA

TIMOTHY GARTON ASH

brytyjski historyk, profesor Uniwersytetu w Oksfordzie, Isaiah Berlin Professorial Fellow w St Antony's College, Oxford oraz Senior Fellow w Hoover Institution na Uniwersytecie Stanforda. Specjalizuje się we współczesnej historii Europy Środkowej i Wschodniej. Napisał m.in. *Solidarność. Polska rewolucja* (wyd. polskie 1987), *Pomimo i wbrew. Eseje o Europie Środkowej* (1990), *Wiosna obywateli. Rewolucja 1989 widziana w Warszawie, Budapeszcie, Berlinie i Pradze* (1990), *W imieniu Europy. Niemcy i podzielony kontynent* (1996), *Historia na gorąco. Eseje i reportaże z Europy lat 90.* (2000), *Wolny świat. Dlaczego kryzys Zachodu jest szansą naszych czasów* (2005). Swoje eseje i komentarze stale publikuje w „New York Review of Books”, „Guardian”, „New York Times” i „Washington Post”.

Minęło sto lat, odkąd młody hinduski prawnik Mohandas Gandhi podejmował pierwsze próby tego, co nazywamy dziś obywatelskim nieposłuszeństwem¹. Przez te sto lat rosło znaczenie obywatelskiego nieposłuszeństwa w światowej polityce. Większość opisanych w tej książce wydarzeń obejmuje okres od lat sześćdziesiątych po czasy obecne. Nie jest pewne, w jakiej mierze za przykład obywatelskiego nieposłuszeństwa uznać można wydarzenia w Tybecie wiosną 2008 r., ale przynajmniej dla mnichów buddyjskich było to przede wszystkim działanie *non violence*. Niewykluczone, że w chwili, gdy tekst ten trafia do rąk Czytelnika, na innych kontynentach dzieje się coś, co wymagać będzie bardziej skrupulatnych i wnikliwych studiów porównawczych niż to, co są w stanie zapewnić najlepsze programy informacyjne.

Cokolwiek przyniesie przyszłość, wypada zgodzić się z Kennethem Bouldingiem, że dotychczas historycy zwracali za mało uwagi na to, co trafnie nazwał on „zorganizowanym ruchem *non violence*, będącym instrumentem społeczno-politycznych przemian”². Zdaniem Bouldinga większość ludzkich działań przez większość historii społeczeństw była „wolna od przemocy”, jednak nowym zjawiskiem wymagającym zbadania jest działanie *non violence*, które ma zorganizowany charakter i określony cel.

Idę o zakład, że każdy, kogo poprosilibyśmy o krótką listę najważniejszych przywódców, ruchów i momentów historycznych minionego stulecia, wymieniłby nazwiska, miejsca i momenty, o których mowa w tej książce – Mohandas (znany dziś powszechnie jako Mahatma, „wielki duchem”) Gandhi, Martin Luther King, Václav Havel, Lech Wałęsa, Nelson Mandela, Michaił Gorbaczow, Aung San Suu Kyi, a także – by wymienić choć kilka przykładów – amerykański ruch na rzecz praw obywatelskich, polska Solidarność, rewolucja różańcowa na Filipinach oraz szereg aksamitnych i kolorowych rewolucji. Na liście tej znajdują się nie tylko najbardziej inspirujące, ale też najtragiczniejsze przykłady.

¹ Tekst Timothy'ego Gartona Asha pochodzi z książki *Civil Resistance & Power Politics. The Experience of Non-violent Action from Gandhi to the Present*, red. A. Roberts, T. Garton Ash, Oxford 2009. Dziękujemy autorowi za zgodę na publikację w „Wolności i Solidarności”.

² K.E. Boulding, *Nonviolence and Power in the Twentieth Century* [w:] S. Zunes et al., *Nonviolent Social Movements: A Geographical Perspective*, Oxford 1999, s. 9.

Na myśl przychodzi m.in. zdławienie w 2007 r. przez birmańską juntę ruchu mnichów – ostatnie omawiane tu studium przypadku. Bowiem w żadnym razie ruchy te i wydarzenia nie wiodły, jak nam dotychczas wiadomo, do obowiązkowego sukcesu.

Siła bezsilnych?

Wielu luźno kojarzy obywatelskie nieposłuszeństwo z moralnością, religią, dobrocią, a nawet pewną świętoszkowością. Miłe, moralne, lecz bezsilne – taki byłby werdykt wielu ludzi z ulicy, chyba że na tejsze ulicy uczestniczyli w jednej z masowych pokojowych demonstracji. Autorzy tej książki – podobnie jak wielu innych, którzy przed nimi pisali na temat obywatelskiego nieposłuszeństwa – dochodzą niezależnie i niemal jednogłośnie do odmiennego wniosku. Droga *non violence* – dowodzą raz po raz – była bardziej pragmatycznym niż pryncypialnym, często niejednoznacznym wyborem. Nawet Gandhi dopuszczał w pewnych okolicznościach użycie sił zbrojnych. Tylko nieliczni bohaterowie tych opowieści byli prawdziwymi pacyfistami – jak wedle Christiny Fink birmańscy buddyści ze szkoły therawada i jak według mnie naśladowcy Chrystusa (co rzadkie wśród chrześcijan) papież Jan Paweł II³.

W praktyce *non violence* dominują pragmatyczne, polityczne wybory, ale warto byłoby zbadać dokładniej wpływ religii, ideologii, kultur i, szerzej, systemów wartości na wybór bądź odrzucenie i dalsze losy wolnego od przemocy działania. Stanley Hauerwas i inni autorzy, opierając się na Nowym Testamencie, dowodzili z zapałem, że chrześcijanie praktykują czynną *non violence*. Dzieje europejskiego kolonializmu dowodzą czegoś wręcz przeciwnego⁴. Pierwotni mieszkańcy obu Ameryk byłiby bardzo zaskoczeni, słysząc – nim padli od kul – że chrześcijaństwo odżegnuje się od przemocy. Myśląc o wojnach religijnych,

które Europa toczyła na własnym terytorium, Monteskiusz zauważył: „w żadnym państwie na świecie nie toczono tylu wojen domowych, co w państwie Chrystusa”⁵.

Wielu ludziom islam kojarzy się dziś z przemocą, podczas gdy inni twierdzą, że jest to „religia pokoju”. Warto pokusić się o empiryczne studia pozwalające ustalić, jak wiara i oparta na niej polityczna ideologia islamizmu wpłynęły na indywidualne i zbiorowe wybory *non violence* jako formy działania przeciwko przemocy, np. podczas pierwszej palestyńskiej intifady⁶. W rozdziale o Iranie Ervanda Abrahamiana znajdujemy interesujące spostrzeżenia na temat związków między *vox dei* i *vox populi* w szyickim kontekście tego kraju. Przebadania wymagają doktrynalne i wyznaniowe różnice między sunnizmem, szyizmem, sufizmem, takirem, wahhabizmem i ruchem deobandi. W rozdziale o Chinach Merle Goldman zauważa, że demonstranci na placu Tiananmen bardziej niż Gandhim inspirowali się (co niezbyt zaskakujące) konfucjańską tradycją „moralnego sprzeciwu” wobec władzy. Niewątpliwie kluczowe dla buddyzmu przesłanie *non violence* najdobitniej wyraził XIV dalajlama. Protesty w Birmie w 2007 r. zapoczątkowali mnisi, którzy wyszli na ulice Pakokku, skandując frazę z metta sutty o „miłującej dobroci” do wszystkich istot ludzkich. Za miłującą dobroć odpłacono im razami i więzieniem do śłupów⁷. Czy tylko skutek przypadkowych okoliczności geopolitycznych dotychczasowa historia buddyjskiego obywatelskiego nieposłuszeństwa jest w znacznym stopniu – przynajmniej w sensie doczesnych, politycznych skutków – historią klęsk? Wyjątkiem byłyby w pewnej mierze kierowane przez buddystów protesty w Wietnamie Południowym w 1963 r. Jak jednak wskazuje Adam Roberts, trzeba było wojskowego zamachu stanu ze znacznym zaangażowaniem Stanów Zjednoczonych, by obalić rząd, który zmienić chcieli mnisi.

³ Por. T. Garton Ash, *History of the Present: Essays, Sketches and Despatches from Europe in the 1990s*, London 2000, s. 347–352.

⁴ S. Hauerwas, *Performing the Faith: Bonhoeffer and the Practice of Nonviolence*, London 2004.

⁵ Monteskiusz, *Listy perskie*, przeł. T. Żeleński-Boy, Warszawa 1951, list XXIX:200.

⁶ Interesująco komentuje to Mary Elizabeth King, *A Quiet Revolution: The First Palestinian Intifada and Nonviolent Resistance*, New York 2007.

⁷ Por. Ch. Fink, *The Moment of the Monks: Burma, 2007* [w:] *Civil Resistance...*

W wielu uwiecznionych politycznym sukcesem przypadkach obywatelskiego nieposłuszeństwa działanie bez przemocy spletało się z przemocą. Były to różnorakie powiązania. W Portugalii i Serbii obywatelskie nieposłuszeństwo odniosło sukces po krwawych, przegranych wojnach prowadzonych przez reżimy, którym rzucono wyzwanie i które zostały w końcu obalone bez użycia przemocy. Odwrotnie było – jak pisze Richard English – w Irlandii Północnej, gdzie obywatelskie nieposłuszeństwo przerodziło się w wojnę domową. Także w Kosowie działania partyzanckie (lub wedle wstępnej oceny rządu Stanów Zjednoczonych – terrorystyczne) Armii Wyzwolenia Kosowa (UÇK) podjęto w obliczu porażki kampanii obywatelskiego nieposłuszeństwa. W RPA wolnej od przemocy działalności Afrykańskiego Kongresu Narodowego (ANC) towarzyszyła od początku lat sześćdziesiątych „walka zbrojna” oddziałów Umkhonto we Sizwe. Wielu bojowników walczących z apartheidem uważało, że działania te nie wykluczają się nawzajem, tylko uzupełniają – są by tak rzec zbrojnym i nieuzbrojonym ramieniem zorganizowanej politycznie społeczności. Winniśmy pamiętać, że nawet jako więzień polityczny Nelson Mandela nie chciał potępić walki zbrojnej ani się jej wyrzec. Co więcej, historycy, słusznie zainteresowani tym, jak było, a nie jak być powinno, mogą dojść do wniosku, że do pożądanych rezultatów prowadziło połączenie działań pokojowych z walką zbrojną – Sinn Fein i Irlandzkiej Armii Republikańskiej (IRA), abp. Desmonda Tutu i tego, co Tom Lodge nazywa „zbrojną propagandą” Umkhonto we Sizwe, pokojowej Ligi na rzecz Demokratycznego Kosowa Ibrahima Rugovy i UÇK. Historycy uwzględniają jednak szerszy kontekst, w tym takie czynniki, jak stan gospodarki państwa i wpływające na ostateczny skutek okoliczności zewnętrzne.

A jednak działanie bez przemocy ma w sobie specyficzną, wielką siłę, często niedocenianą przez

politologów, teoretyków polityki i badaczy stosunków międzynarodowych. Skala jego dokonań każe skorygować nasze rozumienie tego, czym jest sama siła. W teorii stosunków międzynarodowych przyjmuje się dziś powszechnie, że są trzy jej wymiary: „twarda siła”, czyli dysponowanie siłami zbrojnymi i innymi formami przemocy bezpośredniej, ich użycie lub groźba użycia, dalej – siła ekonomiczna, wreszcie „miękka siła”, czyli wedle sławnej definicji Josepha Nye’a „zdolność uzyskiwania pożądanych skutków nie przemocą lub pieniądzem, ale dzięki własnej atrakcyjności”⁸. Można podciągnąć obywatelskie nieposłuszeństwo pod tę definicję, ale tak naprawdę niezbyt pasuje ono do niej ani do szerszego kontekstu, w jakim posługuje się nią Nye i inni autorzy.

Obywatelskie nieposłuszeństwo czerpie ze strategicznej wizji, sięgającej wstecz przynajmniej do *Rozprawy o dobrowolnej niewoli* XVI-wiecznego francuskiego myśliciela Étienne’a de La Boétie, według którego nawet najpotężniej uzbrojony despota nie może rządzić bez minimum współpracy rządzonych. Jak powiedział Gandhi, do klaskania trzeba dwóch dłoni, do kłótni dwóch osób, a państwo wymaga dwóch stron – rządzących i rządzonych⁹. *Non violence* zmierza więc do odcięcia tych, którzy dzierżą władzę, od najgłębszych jej źródeł, niejako do obejścia widocznych instrumentów przemocy. Gene Sharp nazywa to „politycznym dżiu-dżitsu”. Aby to osiągnąć, trzeba czegoś, na co Václav Havel jako dysydent ukuł sławne określenie „siła bezsilnych”¹⁰. Jeśli jest skuteczna, obnaża ona coś, co można nazwać bezsilnością silnych – coś, czego sam Havel doświadczył jako prezydent wolnych Czech.

Obywatelskie nieposłuszeństwo nie tylko współgra z tradycyjnie rozumianą polityką siły – także zmienia jej współczesną istotę. Kwestionuje pokutujące przekonanie, że użycie wojska i instrumentów przemocy („twardej siły”) jest najskuteczniejszą i naj-

⁸ J.S. Nye, *Soft Power: The Means to Success in World Politics*, New York 2004, cyt. za: A. Roberts, *Introduction* [w:] *Civil Resistance...*

⁹ Tekst z 1916 r., cyt. za: *Mahatma Gandhi: The Essential Writings*, red. J. Brown, Oxford 2008, s. 313.

¹⁰ Polecam wydanie (redakcja Johna Keane’a, wstęp Stevena Lukesa) V. Havel et al., *The Power of the Powerless: Citizens against the State in Central eastern Europe*, London 1985.

pewniejszą drogą do zmiany stanu rzeczy zarówno wewnątrz państw, jak i w stosunkach między nimi¹¹. W rozważaniach o słynnym marszu solnym Gandhiego (dotarłszy nad morze, uczestnicy wbrew brytyjskiemu prawu warzyli sól) hinduski uczyony dochodzi do wniosku, że problem siły da się sformułować następująco: czy można zdetronizować króla lub cesarza, gotując w kociołku morską wodę?¹². Z perspektywy stuletnich doświadczeń z *non violence* odpowiedzieć wypada: „tak, czasem, z czasem, przy sprzyjającym połączeniu strategii, okoliczności, momentu i szczęścia”. Między innymi o tych pomyślnych sytuacjach opowiada niniejsza książka. Nie oferuje ona prostych recept, bo też nie oferuje ich nigdy historia.

Nowa definicja rewolucji

Siłę, jaką kreuje obywatelskie nieposłuszeństwo – *people power*, by użyć poręcznego, filipińsko-angielskiego neologizmu – przeciwstawia się zwykle, chyba słusznie, użyciu siły. Siła bez przemocy lub choćby groźby jej użycia to jak whisky bez alkoholu¹³. A co z rewolucją bez przemocy? W przedmowie do wersji książkowej wykładów z 1978 r. o rewolucji historyka A.J.P. Taylora czytamy, że „gwałtowne wstrząsy polityczne są tak stare, jak polityczne wspólnoty” oraz że od rewolucji francuskiej zaczęły się rewolucje „w nowoczesnym rozumieniu”¹⁴. Taylor uważa więc „gwałtowne wstrząsy polityczne” za cechę konstytutywną rewolucji. Podobnego zdania był przewodniczący Mao. Jak zauważył, „rewolucja to nie obiad

proszony”¹⁵. Jak pisał Charles Tilly w studium z 1993 r. o europejskich rewolucjach lat 1492–1992, „bez względu na wszystkie inne elementy składowe rewolucja oznacza przejęcie siłą władzy państwowej”¹⁶. Według *Oxford English Dictionary* angielskie słowo *forcible* to w pierwszym znaczeniu „uzyskane siłą, wiążące się z użyciem siły lub przemocy”. Jednak do wykazu europejskich rewolucji włączył Tilly to, co stało się – niemal bez przemocy – w Europie Środkowej w 1989 r.

Toczono podówczas spory. Pamiętam wewnętrzną dyskusję w gronie przywódców czechosłowackiej aksamitnej rewolucji, którym miałem zaszczyt przysłużyć się w listopadzie 1989 r. w praskiej Magicznej Latarni. Jeden z nich zapytał, czy w ogóle powinno się nazywać to, co się dzieje, rewolucją, skoro „w naszym kontekście językowym »rewolucja« ma zawsze czytelny podtekst przemocy”¹⁷. Może dlatego obserwatorzy zewnętrzni najchętniej uznali za rewolucję wydarzenia w Rumunii – m.in. starcia uliczne i egzekucję w trybie doraźnym Nicolae Ceaușescu – choć w rzeczywistości ich bezpośredni skutek (transfer władzy od jednej grupy komunistów do drugiej) był tam najmniej rewolucyjny w całym regionie. Dlatego obserwatorzy czuli się na ogół w obowiązku opatrywać te dokonujące się w nowym stylu pokojowe transfery władzy państwowej jakimś przymiotnikiem – mówili o samoograniczającej się, ewolucyjnej, goździkowej, aksamitnej, śpiewającej, różanej, pomarańczowej, negocjacyjnej, wyborczej, pokojowej, a nawet nie-rewolucyjnej rewolucji.

¹¹ Analizując bazę danych obejmującą 323 kampanie zarówno używające przemocy, jak i *non violence*, Maria Stephan i Eric Chenoweth dochodzą do wniosku, że „duże akcje *non violence* odniosły sukces w 53 proc. przypadków, podczas gdy opór wykorzystujący przemoc skutkował w 26 proc.” (*Why Civil Resistance Works: The Strategic Logic of Nonviolent Political Conflict*, „International Security” 2008, t. 32, nr 4, s. 7–40). Dalej zastanawiam się nad tym, co jest miarą sukcesu.

¹² W wersji telewizyjnej z 2000 r. dokumentu *A Force More Powerful* (www.aforcemorepowerful.org), prod. i scenariusz Steve York, biograf Gandhiego B.R. Nanda mówi o tym, jak brytyjscy urzędnicy niedoceniali możliwych skutków marszu solnego, i podsumowuje: „Nie da się obalić króla lub cesarza, gotując w kociołku morską wodę”. Tę niezwykłą wypowiedź przeformułowałem jako pytanie.

¹³ Por. *force* w indeksie książki Ruperta Smitha *The Utility of Force: The Art of War in the Modern World*, London 2005: „*force*, zob. *military force*”.

¹⁴ Por. tego autora *Revolutions and Revolutionaries*, Oxford 1981, s. 17.

¹⁵ Komentarz Mao w jego *Investigation into the Peasant Question in Hunan* z 1927 r., cyt. w: R. Mitter, *Modern China: A Very Short Introduction*, Oxford 2008, s. 56.

¹⁶ Ch. Tilly, *European Revolutions, 1492–1992*, Oxford 1993, s. 5.

¹⁷ T. Garton Ash, *The Magic Lantern: The Revolution of '89 Witnessed in Warsaw, Budapest, Berlin and Prague*, New York 1999, wyd. 2, s. 113.

W tym sensie poczynając od lat sześćdziesiątych akty obywatelskiego nieposłuszeństwa – masowe, lecz pokojowe akcje uliczne, strajki zwykłe i okupacyjne oraz inne formy demonstrowania – pozwoliły przededefiniować pojęcie rewolucji. Było to jednak wynikiem złożonego wzajemnego oddziaływania z co najmniej dwiema powracającymi w naszych rozważaniach instytucjami, jakimi są wybory i negocjacje. Nie przypadkiem portugalska rewolucja goździków 1974 r. – chyba pierwsza europejska rewolucja w nowym stylu – zapoczątkowała (jak się twierdzi) to, co Samuel Huntington nazwał trzecią falą demokracji, a według niektórych badaczy 1989 r. zapoczątkował czwartą falę. Niekiedy masowe działanie prowadziło do negocjacji, a potem wyborów (Polska 1988–1989, RPA 1994). Powszechna mobilizacja może mieć na celu rejestrację wyborców (plebiscyt w Chile w 1988 r.), ale może też chodzić o zapewnienie, a wedle niektórych nawet wyegzekwowanie tego, co uchodzi za prawdziwy wynik sfalszowanych wyborów (Serbia 2000, Gruzja 2003). To jednak osiągnąć można jedynie drogą negocjacji wspartych przez masowy ruch i zakończonych kolejnymi wyborami (Ukraina 2004). Kolejność bywa różna, ale składniki są zawsze te same.

Krajowy i międzynarodowy monitoring wyborów, nieoficjalne liczenie głosów i *exit polls*, niezależna prasa i międzynarodowe media ogłaszające wyniki – to coraz częstsze punkty repertuaru nowych rewolucji. Efekt pokojowych, wyborczo-negocjacyjnych rewolucji jest często rozczarowujący, bo nie spełniają one rewolucyjnych oczekiwań. Aleksander Smolar pisze o obłudnych oskarżeniach – po ponad piętnastu latach nadal nękających polską scenę polityczną – o „zdradę” interesów narodowych, jakiej zdaniem prawicy przywódcy Solidarności mieli dopuścić się przy Okrągłym Stole. Niekiedy, jak w opisywanym przez Andrew Wilsona przypadku Ukrainy, wynik negocjacji nie tylko rozczarował co radykalniejszych uczestników ruchu obywatelskiego, lecz także stawił

pod znakiem zapytania samą rewolucyjność wydarzeń – czy rzeczywiście doszło do trwałego przejęcia władzy państwowej¹⁸. To ostrzeżenie przed pochopnym kwalifikowaniem wszystkiego jako „rewolucji” z dodanym kolorem lub innym chwytliwym przymiotnikiem przez działaczy opozycji, politycznych konsultantów i – co nie mniej istotne – krajowych i zagranicznych dziennikarzy. Rodzą się poważne wątpliwości, czy w przypadku tulipanowej rewolucji w 2005 r. w Kirgistanie albo libańskiej rewolucji cedrów etykieta odpowiada zawartości.

Niemniej dość mamy solidnych przykładów trwałych przeobrażeń dowodzących, że obywatelskie nieposłuszeństwo było akuszerem rewolucji nowego typu, jakościowo różnych od jakobińsko-bolszewickiego modelu lat 1789 i 1917.

Jednostka i naród

Podczas rewolucji pokojowych, podobnie jak tych dawnych, o gwałtownym przebiegu, dochodzi do gwałtownego wtargnięcia dużej liczby ludzi – nazwijmy ich wedle gustu masami, narodem, tłumem lub obywatelami – w przestrzeń publiczną, a zatem na scenę historii. W tych wyjątkowych momentach, jak powiedziałyby Karol Marks, ludzie tworzą historię, a przynajmniej mają takie poczucie. Niestychana jest sama liczebność. Tu konieczne zastrzeżenie – wszystkie liczby są szacunkowe, czasem dla większego efektu dramatycznie przeszacowane przez samych protestujących. Pokutuje dziwne przekonanie, że dziennikarze dysponują szczególną, wręcz magiczną umiejętnością liczenia tłumów. To nieprawda. Dziennikarze, jak wszyscy, zgadują. Jednak zdjęcia pozwalają przekonać się o niesamowitej skali zjawiska.

Szacuje się, że w lutym 1979 r. powracającego ajatollaha Chomeiniego witał dwumilionowy tłum. Kiedy latem tegoż roku odwiedził Polskę papież Jan Paweł II, blisko dwa miliony Polaków śpiewały wraz z nim „ojczyznę wolną racz nam wrócić, Panie”. Była

¹⁸ W przypadku Ukrainy uznać można, że nawet jeśli powróci stara gwardia, sposób sprawowania władzy państwowej uległ daleko idącym zmianom. Jednak ostateczne potwierdzenie wymaga dłuższej historycznej perspektywy.

to manifestacja zbiorowej solidarności, zapowiadająca narodziny NSZZ Solidarność. Zdaniem Marka Beissingera w „bałtyckim łańcuchu” utworzonym w sierpniu 1989 r. uczestniczyła niemal cała sprawną fizycznie dorosła ludność krajów bałtyckich. Na kilka godzin naród stał się tłumem, a tłum narodem. Howard Clark przypomina, że w 1990 r. blisko połowa dorosłych mieszkańców Kosowa podpisała petycję do ONZ zatytułowaną *Za demokracją, przeciw przemocy*. Podczas pomarańczowej rewolucji 2004 r. ci, którzy liczyli zgromadzony w Kijowie tłum, stracili rachubę przy 500 tys. (prezydent Kuczma widział wcześniej znacznie mniejszą demonstrację i zapowiedział: „jeżeli zobaczę 200 tys. ludzi, podam się do dymisji”, no cóż...). Liczba zapewnia siłę i bezpieczeństwo. Masowe zgromadzenia przełamują barierę strachu, która, jak zauważył Gandhi, jest główną tarczą każdej niedemokratycznej władzy. Oto *people power* w najczystszej postaci – nie przystawione „tyłki na fotelach”, które zlicza teatralny impresario, tylko ciała na placach. Pamiętam pewnego ukraińskiego profesora, który podczas pomarańczowej rewolucji mówił mi, że o ile zwykle oczekuje społecznego zapotrzebowania na jego umysł, o tyle teraz na kijowskim placu Niepodległości stał się jeszcze jednym tworzącym tłum ciałem.

W takich chwilach i miejscach zbiorowi aktorzy, od których nie oczekuje się zwykle „tworzenia historii”, biorą to zadanie na siebie. „Zwykli ludzie” robią niezwykle rzeczy. Studenci są niecierpliwi, odważniejsi i bardziej może idealistyczni od starszych, którzy muszą dbać o rodzinę i pracę i pamiętają smak porażki. Dlatego są często w awangardzie ruchu, jak w Chinach, Birmie i Czechosłowacji. O ile działania siłowe należą tradycyjnie do męskich zajęć, o tyle kobiety nierzadko wysuwają się na czoło ruchów *non violence*, sprzeciwiając się eskalacji przemocy. Na myśl przychodzą od razu Matki z Plaza de Mayo w Argentynie. Merle Goldman przytacza mniej znany, poruszający przykład ruchu matek z Tiananmen, których dzieci zginęły na placu w czerwcu 1989 r. Ivan Vejvoda opisuje niezwykłą historię serbskiego ruchu babć i dziadków, pragnących bronić wnuków

działających w młodzieżowym ruchu protestu Otpor. Babcie wszystkich krajów, łączcie się!

Kluczem do sukcesu masowego ruchu społecznego jest stworzenie sojuszu ugrupowań, które dotąd działały osobno, były obce, a nawet wrogie. Jak przypomina Aleksander Smolar, w 1968 r. w Polsce protestowali studenci i intelektualiści, a robotnicy nie ruszyli palcem, by im pomóc, w 1970 r. protestowali robotnicy, a bierni byli tym razem studenci i intelektualiści. Współdziałać zaczęli dopiero w 1976 r., gdy powstał Komitet Obrony Robotników, wkrótce, co charakterystyczne, przemianowany na Komitet Samoobrony Społecznej KOR. Ruch Solidarności był potężnym sojuszem robotników, inteligencji i chłopów, ze znaczącym udziałem Kościoła katolickiego. W 1989 r. w Chinach narodził się sojusz studentów i robotników wspartych przez część przedsiębiorców. W Birmie w 2007 r. protestowali studenci i mnisi, w których obronie wystąpili wkrótce „zwykli ludzie”.

Co jest spoiwem łączącym w takich chwilach setki tysięcy różnych ludzi? Przede wszystkim wspólny wróg, straszni „oni”. Gdy znikną, szybko znika zwykle magiczna solidarność. Ale musi też pojawić się zbiorowa tożsamość – „my”. W Polsce podjęto świadomą próbę zbudowania jej wokół idei samoorganizującego się społeczeństwa, w którym będzie miejsce dla robotnika, studenta i intelektualisty, chrześcijanina i Żyda, socjalisty i konserwatysty. W bardziej tradycyjnym języku lewicy funkcjonowało pojęcie ludu. Bardzo często stwierdzamy jednak, że spoiwem jest nacjonalizm lub pewna narodowo-etniczno-religijna mieszanina. Solidarnościowe społeczeństwo było jednocześnie zjednoczonym przeciwko obcym rządom narodem. „Żeby Polska była Polską” – śpiewano, a dla niektórych znaczyło to narodowo-katolicka. Rok 1989 w Niemczech to klasyczny przykład przejścia od jednej do drugiej wersji „my”. Tłumy w Lipsku zaczynały od skandowania *Wir sind das Volk*, społeczeństwo to my, by przejść stopniowo do wersji *Wir sind ein Volk*, jesteśmy (jednym) narodem. Mark Beissinger podkreśla mocno tę okoliczność, wskazując, że o ile współczesna historia Bałkanów pokazuje, jak „etniczne namiętności” prowadzą do wojny, o tyle przykład

krajów bałtyckich dowodzi, że można je mobilizować do walki bez przemocy.

Książką *Tłum w rewolucji francuskiej* brytyjski historyk George Rudé zapoczątkował badania rewolucyjnych mas. Podkreślał wyjątkową rolę kobiet (wspominał legendarny marsz handlarek ryb na Wersal), przeciwstawiając zarazem dwie archetypowe charakterystyki tłumu – Taine’a nikczemnej *canaille*, hołoty i motłochu oraz Micheleta szlachetnego *le peuple*, ludu. Z początkiem XIX wieku – twierdził Rudé – pojawił się nowy, rewolucyjny typ tłumu¹⁹. Na początku XXI wieku musimy zbadać od nowa rolę mas w rewolucjach nowego typu, lepiej zrozumieć ich socjologię i grupową dynamikę. Nie jest to, powiedzmy sobie od razu, łatwe zadanie. Nie da się zrobić wywiadów z pół milionem ludzi. A nawet jeśli, pamięć pisze historię od nowa.

Wiele godzin mego życia spędziłem, stojąc w rewolucyjnym tłumie na mroźnych placach – od Warszawy w 1980 r. po Pragę w 1989 i Kijów w 2004. Pamiętam ich tajemniczą dostojność. Co przechyła nastroje w jedną lub drugą stronę? Kto rzuca hasła wybuchające na pozór spontanicznie, kiedy tłum odpowiada mówcy tak, jakby był jedną osobą? Kto, kiedy staliśmy w 1989 r. w Pradze na Václavskim náměstí, wpadł na pomysł, żeby wyjąć z kieszeni kółko z kluczami, unieść je i dzwonić nimi jak chińskimi dzwoneczkami? (W ciągu paru minut robiło to jakieś 300 tys. ludzi, tego dźwięku nigdy nie zapomnę). Niekiedy znamy odpowiedź – na Ukrainie i w Gruzji obmyślali zawczasu takie chwytły studenci i opozycjoniści, bywało też, że doradzali im uczestnicy poprzednich rewolucji. Częściej jednak nie wiemy takich rzeczy. Bywa, że nie wie nawet ten, kto to naprawdę zaczął.

Nie budzi wątpliwości rola przywódcy na platformie. Nie idealizujemy nowych rewolucyjnych tłumów. W naszej książce opisano dość przykładów przemocy, jakiej się dopuścili, gdy *le peuple* zamieniał się w *ca-*

naille. Tom Lodge przypomina, że ostatnie pięć lat walk o wolność RPA to około 16 tys. zabitych, w wielu przypadkach ofiar etniczno-politycznego konfliktu między Zjednoczonym Frontem Demokratycznym i Afrykańskim Kongresem Narodowym (UDF/ANC) z jednej strony a zuluskim ruchem Inkatha z drugiej. W 2008 r. w Lhasie pokojowe protesty w obronie mnichów buddyjskich szybko wyrodziły się w zamieszki rasowe przeciwko Chińczykom Han i muzułmanom Hui²⁰. *Non violence* nie jest naturalną postawą młodych, gniewnych i trawionych etniczną gorączką mężczyzn.

Przywódcy są potrzebni po to, żeby zmusić ich do nienaturalnej powściągliwości, często za pomocą tych samych mocnych, narodowo-etniczno-religijnych symboli. Polski działacz opozycyjny opowiada, jak w 1980 r. w pierwszych dniach strajku w gdańskiej Stoczni im. Lenina Lech Wałęsa z kolegami zaintonował hymn narodowy, dzięki czemu wzburzony tłum stoczniovców wstrzymał się i stanął na baczność, zamiast wyjść przez bramę na ulice, co mogłoby spowodować interwencję milicji i jak w 1970 r. skończyć się rozlewem krwi. Wałęsa sprawił, że strajkujący zaśpiewali „Marsz, marsz Dąbrowski”, co powstrzymało ich przed wymaszerowaniem ze stoczni²¹. W latach osiemdziesiątych widziałem wielokrotnie, jak stosował tę technikę. Chcąc uspokoić wzburzony tłum, intonował hymn, patriotyczne *katharsis*.

Gandhi, Nelson Mandela, Václav Havel, Desmond Tutu, Aung San Suu Kyi, Ricardo Lagos – wszyscy oni sprawdzali się w takich momentach i wszyscy byli krytykowani za to, że zamiast krwawego triumfu wybrali drogę kompromisu i negocjacji. Kolejne studia przypadków ukazują wielką władzę przywódców, wyznaczających na dobre lub złe bieg wydarzeń. Henry Kissinger powiedział Mario Soaresowi, że jest „skazany” na los Kiereńskiego – mienszewickiego przegranego rewolucji październikowej. Jednak

¹⁹ G. Rudé, *The Crowd in the French Revolution*, Oxford 1959.

²⁰ Por. R. Barnett, *Thunder from Tibet*, „New York Review of Books”, 29 V 2008.

²¹ Jerzy Borowczak w *A Force More Powerful* – w telewizyjnej wersji dokumentu z 2000 r.

w Portugalii Kiereński wygrał, a przegrał Lenin²². Ale jak pisze Ervand Abrahamian, w Iranie muzułmański Kiereński, ajatollah Kazem Szariatmadari ze swoim umiarkowanym programem powrotu do konstytucji z 1906 r., przegrał z muzułmańskim Leninem, ajatollahem Ruhollahem Chomeinim. Bardzo ważni są też przywódcy w obozie władzy. Pokojowa zmiana ustroju wymaga umiaru i politycznego talentu od tych, których niemiecki pisarz Hans Magnus Enzensberger nazywał „bohaterami odwrotu” – Michaiła Gorbaczowa (to archetypowy przykład), ale też Frederika Willema de Klerka w RPA i dwukrotnie Eduarda Szewardnadzego – raz pod koniec lat osiemdziesiątych w roli szefa radzieckiego MSZ i ponownie w 2003 r., kiedy był już prezydentem Gruzji.

Obywatelskie nieposłuszeństwo ujawnia więc interakcję, od której zależy jego skutek, między dwoma typami aktorów historycznej sceny, którzy w normalnej, rutynowej polityce stabilnych demokracji odgrywają mniejszą rolę. Z jednej strony są to wielkie masy pojedynczych osób działających w zbiorowy, bezpośredni, publiczny i nieprzewidywalny sposób, a z drugiej mniej lub bardziej wybitne jednostki, które bardziej niż w jakiegokolwiek innej sytuacji mogą odegrać decydującą, historyczną rolę.

Pop art i strategiczna dramaturgia

Historia obywatelskiego nieposłuszeństwa to także historia sztuki. Logo, flagi, symbole, ręcznie malowane plakaty, uliczne występy, muzyka, slogany i graffiti produkowane przez te ruchy są autentyczniejszą sztuką pop niż sztuka pop jako taka. Jest coś stosownego w tym, że gruziński Komitet Obywatelskiego Nieposłuszeństwa był też znany jako Komitet Artystyczny – w skrócie Artkom – bo w jego zarządzie było wielu artystów, scenarzystów i reżyserów. Wybór koloru,

logo, oprawy plastycznej i haseł – pomarańczowy na Ukrainie, biały napis „gotov je” na czarnym tle w Serbii – dokonuje się często przy udziale ekspertów. Eksperci to nie tylko artyści, specjaliści od PR i „technologicy polityki”, którzy trafili do opozycji. Pomagają też ajatollahowie, buddyjscy opaci i chrześcijańscy księża (ostatecznie to Kościół katolicki wynalazł propagandę). Ale pojawia się też autentyczna, spontaniczna, „ludowa” twórczość, np. ręcznie malowane plakaty, które w 1989 r. widziałem w Europie Środkowej, z napisami „Serce Europy bije dla wolności” (Praga) lub „Dlaczego babciu masz takie wielkie zęby” (rysunek przedstawiał Egona Krenza, ostatniego komunistycznego przywódcę NRD, z wielkimi zębami), albo graffiti, które zauważyłem na murze w Berlinie Wschodnim: „Dopiero dziś skończyła się wojna”.

W takich chwilach liczy się wolność słowa świeżo odzyskana lub po raz pierwszy w pełni doceniona. Aleksander Sołżenicyn i Václav Havel zgodnie twierdzili, że wolność mówienia tego, co chcemy, rzuca wyzwanie systemowi zorganizowanego kłamstwa „jednym słowem prawdy” jest tyleż oznaką, ile przyczyną politycznych przemian. Kiedy ludzie „mówią władzy prawdę”, sami zyskują władzę. Zmieniają układ sił wypowiedzanymi publicznie słowami. To jakby przekazanie boskiego daru języków – zwykli ludzie zaczynają mówić jak natchnieni.

A nade wszystko to teatr. Potrzebna jest scena, dekoracje, scenariusz i aktorzy. Jak pisze Judith Brown, Gandhi rozumiał doskonale, że uczestniczy w politycznym teatrze. Rozumiało to wielu jego naśladowców. Kulminacją na granicy parodii była praska aksamitna rewolucja. Jej przywódca Václav Havel był dramatopisarzem, kwaterą główną był teatr Magiczna Latarnia, a konferencje prasowe odbywały się na scenie. Na placu Wacławowa, z balkonu redakcji gazety „Svobodné Slovo”, Havel reżyserował spektakl ze sobą

²² Według Kennetha Maxwella Kissinger przyznał to w późniejszej rozmowie prywatnej z Soaresem: „to, co pan zrobił, zaskoczyło mnie” – powiedział mu w 1976 r., jak wynika z odtajnionej niedawno amerykańskiej notatki. „Muszę to przyznać. Nieczęsto zdarzają mi się błędne oceny” (K. Maxwell, *Portugal: 'The Revolution of the Carnations', 1974-75 [w:] Civil Resistance...*, s. 161). Jak dała jasno do zrozumienia na konferencji w Oksfordzie ówczesna przywódczyni Partii Komunistycznej Portugalii Zita Seabra, wielu portugalskich komunistów miało nadzieję, że Soares będzie właśnie Kiereńskim i że po „rewolucji lutowej” 1974 r. przyjdzie jeszcze w tym roku „rewolucja październikowa”.

w roli głównej i 300 tys. statystów. Niechaj płacze z zazdrości Cecil B. DeMille. Tam na kilka dni niemal znikła granica między życiem a sztuką.

Jednak był to bardzo specyficzny teatr. Nie chodziło o rozrywkę, wywoływanie strachu, litości czy innej moralnej reakcji publiczności. Wszystkie efekty służyły celowi, którym jest społeczno-polityczna przemiana. Potrzebna była, jak to trafnie ujął Doug McAdam, „strategiczna dramaturgia”²³. Clausewitz spotyka się z Szekspirem. Sukces wymagał od reżysera wyczucia różnych widowni – demonstrantów, którzy wyszli na ulice, i tych, którzy pozostali w domach, rządzących (oraz różnych ich frakcji i grup interesu), międzynarodowej opinii publicznej, rządów innych państw i organizacji międzynarodowych – a także tego, co pragną oni w każdym akcie uzyskać od każdej z tych grup. Nasza książka ilustruje różnice między trzema warstwami politycznego teatru, jakim było obywatelskie nieposłuszeństwo – protestem bez dramaturgii, dramaturgią bez strategii i strategiczną dramaturgią. W niesprzyjających okolicznościach nawet tę ostatnią nie zawsze wieńczył sukces, choć miała ona lepsze szanse niż dwie pozostałe.

Kontekst międzynarodowy i obca interwencja

Każde studium przypadku w tej książce ogranicza się zasadniczo do jednego państwa, choć nie zawsze jednego narodu, co powoduje dysonans, który czasem, jak w Kosowie i Irlandii Północnej, był głównym źródłem społecznego niezadowolenia. Pozostaje nam zbadanie ruchów ponadnarodowych, sieci społecznościowych i tego, jak daleko sięga oddziaływanie obywatelskiego nieposłuszeństwa. Ale nawet te ograniczone do jednego kraju rozdziały dostarczają licznych przykładów szerokich, ponadnarodowych oddziaływań. Niektóre zaskakują, jak choćby wyświetlany w 2005 r. w chińskiej wiosce hollywoodzki film

Gandhi z Benem Kingsleyem w głównej roli. Niektóre były wręcz niezamierzone. Kieran Williams uważa, że szerokie prezentowanie w czechosłowackich komunistycznych mediach ruchu obrońców praw obywatelskich w Stanach Zjednoczonych i wydarzeń maja 1968 r. w Paryżu, choć miało w zamyśle pokazywać zło imperialistycznego kapitalizmu, w rzeczywistości zainspirowało obywateli do oporu wobec radzieckiej inwazji.

Niemal wszyscy autorzy podkreślają znaczenie kontekstu międzynarodowego. Niektórzy wskazują pewne elementy planowej interwencji zewnętrznej, choć nie twierdzą, by były one jakkolwiek niezbędne. Niekiedy decydujące znaczenie miało to, że do interwencji nie doszło. Niewykluczone np., że w 2007 r. na klęskę skazała birmański ruch obywatelski niezdolność Chin, Indii i partnerów ze Stowarzyszenia Narodów Azji Południowo-Wschodniej (ASEAN) do skuteczniejszej interwencji. Rządy Chin i Indii nie tyle wspierały birmańskich generałów, ile nie umiały ich powstrzymać. Kontekst międzynarodowy jest więc o wiele szerszy i nie ogranicza się do planowanych interwencji zagranicznych.

Od końca lat czterdziestych do początku dziewięćdziesiątych szerszym kontekstem międzynarodowym było to, co Odd Arne Westad nazwał globalną zimną wojną²⁴. Oddziaływania wzajemne między zimnowojennym Zachodem i Wschodem są wielorakie, złożone i fascynujące. Powołując się na Mary Dudziak, Doug McAdam pokazuje, jak ogólnościowe potępienie segregacji rasowej w Stanach Zjednoczonych – zwłaszcza przez Związek Radziecki i zdekolonizowany Trzeci Świat – uwarściło w końcu Waszyngton na postulaty Amerykańskiego Ruchu Praw Obywatelskich. Jak Stany Zjednoczone mogą twierdzić, że bronią praw człowieka w świecie, skoro depczą je u siebie?²⁵ Jak pisze Kenneth Maxwell, w latach 1974–1975 w Portugalii trwał skomplikowany zimnowojenny kontredans.

²³ D. McAdam [w:] *Comparative Perspectives on Social Movements: Political Opportunities, Mobilizing Structures, and Cultural Framings*, red. D. McAdam, J.D. McCarthy, M.N. Zald, Cambridge 1996.

²⁴ O.A. Westad, *The Global Cold War: Third World Interventions and the Making of Our Times*, Cambridge 2005.

²⁵ W dawnym bloku wschodnim krążyły dowcipy o Radiu Erewań. W jednym z nich radziecki robotnik pyta, jak długo przeciętny amerykański robotnik musi oszczędzać i pracować na pierwszy samochód. Po długim milczeniu pada odpowiedź: „a u nich biją Murzynów”.

Waszyngtońskie administracje Nixona i Forda bały się, że komuniści przejmą władzę w Portugalii, moskiewskie politbiuro Breżniewa podzieliło się w kwestii tego, jak dalece wspierać komunistyczny przewrót, a oba supermocarstwa toczyły tajną grę z udziałem Kuby o dominację w dawnych portugalskich koloniach – Angoli i Mozambiku.

Oba supermocarstwa stosowały nierówną miarę. Na przykład Stany Zjednoczone poparły stan wojenny na Filipinach Marcosa, ale potępiły w Polsce Jaruzelskiego. Ale jedna przywoływana wielokrotnie w tej książce supermocarstwowa strategia zdaje się przeczyć regule – to polityka praw człowieka administracji Cartera. Prawda, że stosowano ją najchętniej wobec bloku wschodniego i że we współpracy z opozycjonistami z krajów takich jak Polska i Czechosłowacja zorientowała ona rodzący się proces helsiński na prawa człowieka. Jednak uderzyła też w „zaprzysiężonych dyktatorów” w Chile, Iranie i na Filipinach. W Iranie amerykańska polityka praw człowieka przyczyniła się – to kolejny przykład niezaplanowanych konsekwencji – do upadku szacha, triumfu ajatollaha Chomeiniego i powstania islamistycznego reżimu, który od trzydziestu lat daje się Stanom mocno we znaki.

Ważną rolę odgrywały międzynarodowe finanse i gospodarka, zwłaszcza powiązane z politycznymi warunkami. W latach osiemdziesiątych zadłużenie w twardej walucie wielu krajów środkowoeuropejskich, m.in. Polski i NRD, przyczyniło się znacząco do osłabienia tamtejszych reżimów, w związku z czym historyk Fritz Stern przypomniał spostrzeżenie Mirabeau sprzed 1789 r.: „narodowy deficyt to narodowy skarb”²⁶. Niektórzy uważają, że „sankcje są nieskuteczne”, ale Polska i RPA to dwa kraje, w których przyczyniły się one decydująco do względnie pokojowej

transformacji ustrojowej. RPA to przykład innych intrygujących zimnowojennych związków. Tom Lodge pokazuje, jak upadek muru berlińskiego skłonił de Klerka do uwolnienia Nelsona Mandeli i rozpoczęcia negocjacji z ANC. Można już było nie bać się radzieckiego wsparcia dla prowadzonej przez tę organizację walki zbrojnej²⁷.

Mało który historyk nie zgodzi się z tezą, że obywatelskie nieposłuszeństwo przyczyniło się znacząco do na ogół pokojowego zakończenia zimnej wojny. Jej kres i coraz silniejsza obecność niezachodnich mocarstw sprawiły, że polityka międzynarodowa skomplikowała się – zamiast dwubiegunowej stała się według różnych opinii jednobiegunowa, wielobiegunowa bądź zgoła pozbawiona biegunów. W nowej konfiguracji – i w ramach prób jej redefinicji – spory koncentrowały się na faktycznych lub rzekomych próbach mocarstw zachodnich podsycania obywatelskiego nieposłuszeństwa (czy „kolorowych rewolucji”) na obszarach, które inne mocarstwa uważają za swoje podwórko, jak Ukraina, Gruzja i Białoruś dla Rosji lub Birma dla Chin.

Oskarżenia o wywrotową działalność lub „mieszanie się w wewnętrzne sprawy” nie są niczym nowym, podobnie jak faktyczne bądź domniemane mieszanie się²⁸. Przykładowo, w Polsce Solidarność zwłaszcza w okresie podziemnej działalności w latach 1982–1989 korzystała z zachodniej pomocy finansowej. Nie znaczy to, że była produktem Zachodu i jego agentury – w żadnej mierze. Zachód był, jak wszyscy, zaskoczony jej narodzinami. Pomógł jej przetrwać, kiedy była ranna i niemal dobita. Jednym z najniezwyklejszych przykładów interwencji zewnętrznej wspierającej demokratyczną opozycję i obywatelskie nieposłuszeństwo – niezwykłym, bo jakże

²⁶ Cyt. w: T. Garton Ash, *The Magic Lantern...*, s. 135.

²⁷ T. Lodge, *The Interplay of Non-violent and Violent Action in the Movement against Apartheid in South Africa, 1983–94* [w:] *Civil Resistance...*, s. 144–161. Lęk przed radzieckim wsparciem dla walki zbrojnej ANC, acz przesadzony, nie był czystą paranoją, por. O.A. Westad, *The Global Cold War...*, s. 215–216.

²⁸ Samo pojawienie się takich oskarżeń nie jest precyzyjnym wskaźnikiem domniemanej działalności. W panelu „The European Way of Civil Resistance”, zorganizowanym 23 V 2008 r. w ramach projektu „Civil Resistance and Power Politics” w oksfordzkim St Antony’s College, Alex Pravda udokumentował bezzasadność radzieckiej tezy o zachodnich inspiracjach praskiej wiosny i późniejszego oporu, jaki społeczeństwo czechosłowackie stawiało okupantom. Bywa więc dym bez ognia.

odległym od stereotypu amerykańskiej antyrosyjskiej i antykomunistycznej dywersji – była znacząca rola zachodnioniemieckiej chadecji i tamtejszych partyjnych fundacji we wspieraniu demokratycznej opozycji w Chile Pinocheta. Niemieckie fundacje przyczyniły się też w istotny sposób do upadku prawicowych, autorytarnych reżimów w Hiszpanii i Portugalii.

Niemniej wolno uznać, że w minionym dwudziestoleciu wraz z rosnącym doświadczeniem w zakresie obywatelskiego nieposłuszeństwa nasilał się transfer konkretnej wiedzy, z uwzględnieniem wsparcia finansowego i szkolenia działaczy, czyli tego, co dyktatorzy nazywają „działalnością wywrotową”. Ułatwiły to ogromnie nowe technologie medialne – w tej mierze, w jakiej reżimy zezwalają na ich wykorzystywanie. Wśród omawianych przypadków najlepszym przykładem jest Gruzja. Stephen Jones opisuje, jak gruzińscy opozycjoniści przechodzili zaplanowane, intensywne szkolenie, uczeni przez serbskich kolegów, którzy obalali Miloševića. Cytuje organizacyjnego geniusza gruzińskiej rewolucji róż Iwana Merabiszwilę, który z niewątpliwą przesadą wyjaśniał: „Wszyscy demonstranci znali na pamięć rewolucyjną taktykę Belgradu, bo oni nam pokazali [...] film o swojej rewolucji. Każdy wiedział, co ma robić. To była powtórka tamtej rewolucji, tylko na większą skalę”²⁹.

Da się zauważyć międzynarodowy łańcuch pobierania nauk, biegnący przez kolejne neoautorytarne reżimy w nowych, postkomunistycznych krajach, gdzie po upadku przywódcy władzę przejmowały bardziej demokratyczne, a przynajmniej mniej niedemokratyczne rządy z mniej lub bardziej wyraźnym udziałem obywatelskiego nieposłuszeństwa – Słowacja 1998, Chorwacja 1999/2000, Serbia 2000, Gruzja 2003, Ukraina 2004. Jak jednak podkreśla w rozdziale o Ukrainie Andrew Wilson, interwencja zewnętrzna bywała tyleż pro-, ile kontrrewolucyjna. Nie tylko zwolennicy pokojowych przemian wyciągają wnioski z historii. To samo robi administracja Putina, któ-

ra stworzyła specjalny wydział do przeciwdziałania kolorowym rewolucjom. Zdaniem Pavola Demeša na Białorusi mimo usilnych starań podczas wyborów prezydenckich w 2006 r. ruch obywatelskiego nieposłuszeństwa nie zdołał osiągnąć pożądaných rezultatów m.in. dlatego, że Aleksander Łukaszenka wyciągnął wnioski z porażki swoich postkomunistycznych, neoautorytarnych kolegów – Vladimíra Mečiarą na Słowacji, Franjo Tuđmana w Chorwacji, Slobodana Miloševića w Serbii, Eduarda Szewardnadzego w Gruzji i Leonida Kuczmy na Ukrainie³⁰.

Wiele pozostaje do zbadania w całym złożonym obszarze interwencji zewnętrznych państw i czynników pozapaństwowych, międzynarodowych oddziaływań, finansowania, transferu wiedzy i wsparcia, w tym także roli nowych i międzynarodowych mediów. Dane te trudno zebrać – po części wskutek ogromnej liczby zaangażowanych po każdej ze stron, niekiedy pomniejszych aktorów, a po części dlatego, że niektórzy z nich nie życzą sobie ujawnienia wszystkiego, co wtedy robili – *post factum* negują bądź wyolbrzymiają swoje dokonania.

Oprócz trudnych, lecz niezbędnych empirycznych ustaleń mamy też pewne normatywne zadania. W ostatnich latach dyskutowano szeroko i ze szczegółami o okolicznościach usprawiedliwiających zbrojną interwencję – o „interwencji humanitarnej” i „obowiązku chronienia”, czyli *responsibility to protect*, R2P – lecz niemal wcale o zasadach niemilitarnej interwencji w sprawy innych państw. Jaka interwencja jest usprawiedliwiona, a jaka nie? Czy da się wypracować zasady „prawa do wspierania” obywatelskiego nieposłuszeństwa, demokracji i poszanowania praw człowieka, a nawet „obowiązku wspierania”, czyli *responsibility to promote*, drugiego R2P? I czy w wielu obszarach świata nie zostanie to uznane za zachodni neokolonializm w liberalno-internacjonalistycznym przebraniu? Czy wreszcie autorytarni przywódcy nie mogą wykorzystać innych, bardziej „westfalskich”

²⁹ S. Jones, *Georgia's 'Rose Revolution' of 2003: Enforcing Peaceful Change* [w:] *Civil Resistance...*, s. 324.

³⁰ Myśl tę zawdzięczam wystąpieniu Pavola Demeša w panelu „The European Way of Civil Resistance”, zorganizowanym 23 V 2008 r. w ramach projektu „Civil Resistance and Power Politics” w oksfordzkim St Antony's College.

zasad i praktyk prawa międzynarodowego, by wystąpić z własnym, konkurencyjnym R2P – *right to prevent*, prawem do zapobiegania?

Cztery dychotomie i plan

Stara prawda jest taka, że im więcej wiemy, tym mniej wiemy – ściślej, tym lepiej rozumiemy, ile jeszcze zostało do zrozumienia. Niektóre postawione w tej książce fundamentalne pytania mieszczą się w ramach czterech z konieczności uproszczonych dychotomii: jednostka – struktura, cele – środki, sukces – porażka, analiza – recepta.

Relacje między jednostką a strukturą to wątek dyżurny historycznych dociekań, powracający także w tej książce. W jakiej mierze wybory twórców historii – w tym przypadku zwolenników, ale też przeciwników *non violence* – determinują ostateczny wynik naszych działań? W jakiej mierze wynik ten określają okoliczności – od geograficznych, ekonomicznych, politycznych i wojskowych po kontekst międzynarodowy? W literaturze przedmiotu znaleźć można trendy tyleż woluntarystyczne, ile deterministyczne. Naprawdę zaś, jak dowodzą Doug McAdam i inni, liczy się zarówno jednostka, jak i struktura. Ma też miejsce obustronna interakcja. Zręczna strategia zwolenników zmiany może z czasem wytworzyć nowe strukturalne możliwości. Zręczna strategia obrońców *status quo* może eliminować istniejące możliwości. Dopiero połączenie dobrej strategicznej dramaturgii ze sprzyjającą strukturą szans umożliwia rzeczywiste zmiany, choć ich nie przesądza.

Wedle klasycznego jakobińskiego-bolszewickiego poglądu cel uswięca środki. „Czego podłego nie popelnisz / by podłość udaremnić?”, pyta młody leninista Bertolt Brecht i wzywa czytelnika: „Zanurz się w ryszotku / obejmij rzeźnika ale / zmieniaj świat,

tego mu trzeba!”³¹. Obywatelskie nieposłuszeństwo kwestionuje ten punkt widzenia z moralnej i politycznej perspektywy. Jak podsumowuje Judith Brown, słuszne środki prowadzą do moralnie słusznych skutków, zaś skutki złych środków są nieuchronnie niemoralne³². Nie da się kłamstwami dojść do prawdy.

Lecz nie jest to tylko moralny argument. Także w polityce środki wyznaczają, a przynajmniej w znacznej mierze określają skutki naszego działania. Dobitnie pisał o tym w liście z więzienia w 1985 r. polski opozycjonista, intelektualista i działacz Solidarności Adam Michnik: „Historia uczy, że szturmując siłą nasze bastyle, bezwiednie wzniesiemy nowe”. I ostrzegał: „historyczna świadomość możliwych konsekwencji rewolucyjnej przemocy musi odcisnąć się głęboko na każdym programie walki o wolność. Doświadczenie destrukcji, jaką przemoc wyrządza nam samym, winno wpisać się w świadomość każdego opozycjonisty”³³. Najlepiej więc robić od początku to, co chcielibyśmy robić dalej.

Statystycznie działanie bez przemocy koreluje wyraźnie z udaną transformacją, której skutkiem jest liberalna demokracja³⁴. Trzeba rzecz jasna odróżniać korelację od przyczynowości i szukać innych oddziaływających zmiennych. Niewykluczone, że społeczeństwa preferujące pokojowe środki to zarazem te, które są bardziej chętne i predysponowane do budowania liberalnej demokracji. Pokojowe działanie i budowanie liberalnej demokracji mogą nie tyle powodować się nawzajem, ile wynikać z pewnej wspólnej, głębszej przyczyny. Jednak korelacja robi wrażenie.

To z kolei każe myśleć o sukcesie i porażce. W jednym z ostatnich opublikowanych tekstów Gandhi pisał o „nieposkromionej *non violence* silnych”. Wydawca zatytułował go *Ahinsa* [działanie bez przemocy] *nie przegra*³⁵. Trzy tygodnie później Gandhi zginął z ręki fanatyka, a wokół rozgorzały brato-

³¹ B. Brecht, *Die Massnahme* (pol. wyd. *Środek zaradczy*), przekład i wykorzystanie: T. Garton Ash, *The Uses of Adversity*, London 1999, s. 29.

³² J.M. Brown, *Gandhi and Civil Resistance in India, 1917–47: Key Issues* [w:] *Civil Resistance...*, s. 47.

³³ A. Michnik, *Letters from Prison and Other Essays*, Berkeley 1985, s. 86–87.

³⁴ Dane i omówienie w: A. Karatnycky, P. Ackerman, *How Freedom is Won: From Civic Resistance to Durable Democracy*, New York 2005.

³⁵ *Ahimsa never fails*, Harijan, 11 I 1948 [w:] *Mahatma Gandhi: The Essential Writings...*, s. 373.

bójcze walki muzułmanów, Hindusów i Sikhów. Jak rozumieć jego niemal ostatnie publikowane słowa? Sukces moralny mimo ewidentnej politycznej klęski? Długofalowy polityczny sukces mimo chwilowej politycznej porażki? Sześćdziesiąt lat po zabójstwie Gandhiego „potęga przykładu” nie wydaje się pustą retoryką.

Historia sześćdziesięciu lat dowodzi jednego – że na sukces działania bez przemocy można czekać długo. Powstaje pytanie, w jakiej mierze da się przypisać ostateczne zwycięstwo *non violence*, a w jakiej innym czynnikom – m.in. walce zbrojnej i zmiennym zewnętrznym okolicznościom (przypomnijmy wcześniejsze rozważania o splataniu się w praktyce *non violence* ze zbrojnym działaniem). Niezwykły był widok bohatera 1968 r. Aleksandra Dubczeka i bohatera roku 1989 Václava Havla razem na balkonie na placu Wacławowa, a poniżej tłumu skandującego „Dubczek – Havel, Dubczek – Havel”. W jakim jednak sensie mamy prawo powiedzieć, że praska wiosna zatriumfowała w 1989 r.³⁶ Bardziej to prawdopodobne tam, gdzie – jak w przypadku polskiej Solidarności – istniała nieprzerwana tradycja zorganizowanego działania *non violence*.

Co jednak jest miarą sukcesu? Jak zauważył w innym kontekście polski poeta Zbigniew Herbert, są

„proste pytania, które wymagają zawilej odpowiedzi”. Stosunkowo neutralna, uwzględniająca kontekst historyczny definicja sukcesu to „osiągnięcie celów, jakie postawili przed sobą działacze *non violence*” – samostanowienie Indii, zniesienie segregacji rasowej w Stanach Zjednoczonych, apartheidu w RPA i komunistycznych rządów w Europie Środkowej, niepodległość Kosowa itd.

Ocena jest jednak trudniejsza niż mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka, bo różne podmioty *non violence* miewają różne cele, a jeden podmiot może dążyć do wielu celów naraz. Nieoczywisty jest też często rezultat – to, co na krótką metę wydaje się porażką, w dalszej perspektywie okazuje się sukcesem, i *vice versa*. Definiując sukces jako „zbudowanie trwałej liberalnej demokracji”, czynimy normatywne założenie, bynajmniej nie podzielane przez wszystkich zwolenników działania bez przemocy. Sądzę, że mamy do tego prawo – dopóki mówimy jasno, o co chodzi. W tym przypadku mierzymy dokonania i skutki *post factum* wedle miary, którą my uważamy za wartościową, a która mogła być mniej istotna dla tych, którzy przeprowadzali wówczas zmiany lub nadal działają na ich rzecz w innych miejscach.

Tłum. Sergiusz Kowalski

³⁶ Jak zauważył Alex Pravda (zob. przyp. 28), silniej oddziaływała ona nie na czeskich i słowackich działaczy, ale na architektów radzieckiej polityki z otoczenia Gorbaczowa. Wielu z nich było w 1968 r. w Pradze i widziało praską wiosnę, która wywarła na nich ogromny wpływ. Ich zdłużenie, że „socjalizm z ludzką twarzą” jest możliwy w 1989 r., okazało się nader pomocne.

GENEZA STATUTU NSZZ SOLIDARNOŚĆ

Kiedy podpisywano porozumienia sierpniowe, mało kto podejrzewał, że w Polsce narodzi się ogólnokrajowy związek zawodowy. Spodziewano się, że powstaną co najwyżej regionalne związki, które będą mogły zawiązać luźną federację.

Praca nad statutem nowych związków zawodowych rozpoczęła się jeszcze w sierpniu 1980 r. Wiesław Chrzanowski wspominał, że na tydzień przed podpisaniem porozumienia gdańskiego spotkał się w Warszawie z Władysławem Siłą-Nowickim, Janem Olszewskim, Jackiem Taylorem oraz Zbigniewem Romaszewskim. Uznali, że należy napisać projekt statutu i czym prędzej przekazać go strajkującym na Wybrzeżu. Byli zdania, że porozumienie z władzami powinni podpisać reprezentanci już istniejącego związku, a nie grupa strajkujących robotników, zrzeszona w Międzyzakładowym Komitecie Strajkowym.

Uczestnicy spotkania – wszyscy poza Romaszewskim prawnicy – ułożyli projekt statutu. Jego jedyny egzemplarz został zarekwirowany 24 sierpnia podczas zatrzymania Romaszewskiego (akcja „prewencyjnych zatrzymań” objęła czołowych członków opozycji demokratycznej, m.in. Jacka Kuronia, Adama Michnika i Jana Lityńskiego). Jednak pozostali na wolności autorzy odtworzyli projekt. Siła-Nowicki udał się z nim do Szczecina, a Olszewski do Gdańska. Pierwszy z nich został zatrzymany przez Służbę Bezpieczeństwa, drugi dotarł na miejsce na dwa dni przed końcem negocjacji. Jednak przekazany przez Olszewskiego projekt nie zyskał uznania Komisji Ekspertów i „zaginął” – Wiesław Chrzanowski sugeruje, że w kieszeni Andrzeja Wielowieyskiego¹.

Jan Olszewski wspomina, że przedstawił projekt statutu Lechowi Wałęsie, po czym „natychmiast zjawili się tam przedstawiciele ekipy doradczej i przeprowadzono ze mną rozmowę. Powiedziano mi, że jest już taki zespół, który przejął na siebie odpowiedzialność za prowadzenie rozmów [...] Pan [Bronisław] Geremek z panem [Tadeuszem] Mazowieckim tym wszystkim kierują i ja jestem w tym zespole oczywiście bardzo chętnie widziany, ale na warunkach podporządkowania się ich zasadom i trybowi działania [...] [Powiedziałem, że] jeżeli są jakieś uwagi do projektu statutu [...] to jestem do dyspozycji”².

Eksperti byli jednak dość wstrzemięźliwi w kwestii przyjęcia pomocy. Być może mieli już zarys własnego projektu. Co najważniejsze, wielu z nich uważało, że przedwczesne podnoszenie tej kwestii może być szkodliwe dla prowadzonych negocjacji. Tadeusz Kowalik

TOMASZ KOZŁOWSKI

historyk, pracuje w Biurze Edukacji Publicznej IPN. Członek Stowarzyszenia Archiwum Solidarności. Autor książki *Bunt w bydgoskim areszcie śledczym w 1981 roku. Przejaw choroby więziennictwa w schyłkowym okresie PRL* (2010), współautor *Solidarność Rolników 1980-1989* (2010).

¹ W. Chrzanowski, *Pół wieku polityki*, Warszawa 1997, s. 341–342.

² J. Olszewski, *Prosto w oczy*, Warszawa 1997, s. 208.

wspominał, że kiedy w Komisji Ekspertów pracowali nad kolejnymi punktami porozumienia, zauważyli, że z Prezydium MKS wydzielita się grupa, która „obraduje wspólnie z prawnikami w innym budynku nad statutem nowego związku i nad niezwłocznym przystąpieniem do tworzenia związku, co miało postawić władzę przed faktem dokonanym. [...] Wśród strajkujących zaczęły krążyć pierwsze listy członków-założycieli. Wydawało nam się wówczas, że tego typu akcja może podważyć zaufanie do MKS jako do partnera rokowań”³.

Dla powodzenia rokowań kluczowa była kwestia zasięgu terytorialnego nowych związków. Negocjatorzy strony rządowej nie dopuszczali możliwości, aby miały one charakter ogólnokrajowy. Komisja Ekspertów nie była w stanie przełamać ich oporu i w rezultacie w punkcie czwartym porozumienia gdańskiego zawarto następującą formułę: „Międzyzakładowy Komitet Strajkowy jako Komitet Założycielski [...] ma swobodę wyboru formy jednego związku lub zrzeszenia w skali Wybrzeża”.

Lech Wałęsa tłumaczył strajkującym, że Gdańsk będzie tworzył swoje regionalne związki, a nie związkową organizację ogólnopolską. Podkreślał jednak, że nic nie stoi na przeszkodzie, aby w innych regionach organizować się na podstawie porozumienia lub mającej wkrótce powstać nowej ustawy o związkach zawodowych. Andrzej Gwiazda wyjaśniał: „[negocjatorzy strony rządowej] zmusili nas do »deklaracji regionalnej«, czyli do związku Wybrzeża. Nie chcieliśmy się z tym deklarować, [jednak] musieliśmy się zgodzić na tę klauzulę. Ale przecież nikt nam nie zabroni współpracować z innymi [...] dostajemy wiele listów, telefonów, że inne zakłady pracy solidaryzują się z nami i określają, że przyjmują nasze ustalenia”⁴.

Przed samym podpisaniem porozumienia gdańskiego wzorcowy statut stworzyli Jan Olszewski, Andrzej Stelmachowski i Wiesław Chrzanowski, którzy działali za zgodą Komisji Ekspertów⁵. Był to wariant projektu napisanego w Warszawie, z zachowaniem regionalnej organizacji związku⁶. Ukazał się drukiem 31 sierpnia, w ostatnim numerze „Strajkowego Biuletynu Informacyjnego Solidarność”.

Ów statut wzorcowy stanowił: „tworzy się organizację zawodową robotników i pracowników umysłowych [...] pod nazwą Niezależny Samorządny Związek Zawodowy”, który tworzą międzyzakładowe komitety strajkowe przekształcone w zarządy lub komisje związkowe. Nie do końca jasna była kwestia zasięgu terytorialnego. Można było przeczytać, że „na Wybrzeżu Gdańskim tworzy się Międzyzakładową Organizację Związku zrzeszającą pracowników zakładów pracy z tego terenu”, ale inne zapisy mogły sugerować, że ogniwa związku będzie się powoływać także poza Wybrzeżem⁷. Chrzanowski i Olszewski szczególnie nacisk kładli na fakt, że nowe organizacje mają powstawać poza Centralną Radą Związków Zawodowych (czyli kierownictwem starych związków), zarówno w modelu branżowym, jak i regionalnym⁸. Opublikowany projekt statutu miał być wzorem dla ludzi chcących zakładać swoje własne związki zawodowe. Był zbudowany w sposób prosty, co wynikało po części z potrzeby zachowania jego uniwersalnego charakteru.

Cała Polska zakłada związki zawodowe

Ludzie z ciekawością śledzili informacje napływające z Wybrzeża, ze szczególną uwagą oglądali transmisje z podpisania porozumień sierpniowych. Ich zawar-

³ T. Kowalik, *Próba kompromisu*, Warszawa 1983, s. 21.

⁴ Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej (dalej: AIPN), 1405/319, t. 14, Nagranie nasłuchu wojskowego, 31 VIII 1980 r., s. 2.

⁵ J. Olszewski, *Prosto...*, s. 208.

⁶ W. Chrzanowski, *Pół wieku...*, s. 343.

⁷ „Strajkowy Biuletyn Informacyjny Solidarność”, 31 VIII 1980, dodatek nadzwyczajny, nr 14.

⁸ W. Chrzanowski, *Pół wieku...*, s. 343; J. Olszewski, *Prosto...*, s. 209.

cie położyło kres największej fali strajków. Dla osób zakładających nowe związki zawodowe nie do przecenienia była inspiracja oraz rady płynąca z Gdańska. Przykładem może być Łódź; Andrzej Słowik już 3 września pojechał do Gdańska na postrajkowe spotkanie MKS-ów, a podstawą prac łódzkiej Międzyzakładowej Komisji Założycielskiej na początku września był statut wydrukowany w gdańskim biuletynie⁹. Nie był to przypadek odoobniony. W Krośnie: „Po powrocie z Gdańska 11-osobowa delegacja wojewódzkiego MKS odbyła rozmowy z przewodniczącymi »komitetów strajkowych« w poszczególnych zakładach pracy, dostarczając im m.in. wydanie broszurowe koncepcji »niezależnych samorządnych związków zawodowych«”. Inicjatywy związkowe pojawiały się m.in. w Toruniu, Bydgoszczy, Elblągu, Lublinie. Coraz częściej organizowano wyjazdy do zakładów na Wybrzeżu, aby tam zasięgnąć instrukcji i rady w sprawie zakładania nowych związków¹⁰.

W początkowym okresie działaczy niezależnych związków nie opuszczały wątpliwości co do charakteru zawartych porozumień – zadawano pytania o to, czy podpisane umowy dotyczą całego kraju, czy tylko konkretnych MKS-ów. Powszechna była jednak nadzieja, że nowe związki przyczynią się do poprawy sytuacji. Komitety wojewódzkie PZPR donosiły: „obserwuje się zainteresowanie koncepcją samorządnych związków zawodowych. Niekiedy uważa się, że związki będą legalną organizacją społeczną, która nie będzie obawiała się krytykowania niepopularnych decyzji partii i rządu. Dość szeroko wskazuje się, także wśród członków partii, że dotychczasowe związki zawodowe nie potrafiły pełnić roli obrońcy interesów ludzi pracy”¹¹.

W całym kraju w zakładach pracy łączyły komitety związkowe. MKS-y przekształcały się w międzyzakładowe komitety założycielskie lub międzyzakładowe komitety robotnicze (były to najczęściej

stosowane nazwy, chociaż istniały także inne, np. w Wałbrzychu powołano Wojewódzką Międzyzakładową Komisję Niezależnych Związków Zawodowych). Na mapie kraju najsilniej zaznaczały się trzy ośrodki: Wybrzeże, Dolny Śląsk oraz Mazowsze. Ponieważ cały czas brakowało wiedzy, jak zakładać i rejestrować nowe związki zawodowe oraz jak mają one działać, a władze prowadziły kampanię dezinformacyjną, rola największych ośrodków, w których działały prężne MKZ-ety i eksperci (najczęściej prawnicy), była ogromna. Powołując lokalne organizacje związkowe, bardzo często wzorowano się na statucie opublikowanym 31 sierpnia przez gdański MKS. Kwestia zakładania nowych związków nie była jednak do końca uregulowana pod kątem prawnym.

Jak informowano w ulotce Punktu Konsultacyjnego funkcjonującego przy Klubie Inteligencji Katolickiej w Warszawie, „można powoływać organizacje związkowe ruchu NSZZ na zasadzie założycielskiej”. Sugerowano, by ograniczać się do jednego zakładu pracy; powołać tam Komitet Założycielski Organizacji Zakładowej NSZZ, którego członkiem może być każdy pracownik, bez względu na rodzaj wykonywanej pracy, stanowisko, przynależność organizacyjną czy wyznanie. Uprzedzano: „Celem uniknięcia rozbicia jednolitości organizacji NSZZ w zakładzie pracy radzimy, aby jeden komitet reprezentował wszystkie zawody i branże w danym zakładzie pracy. Mogą natomiast powstawać w ramach komitetu sekcje zawodowe”.

Założyciele związku musieli opracować tymczasowe zasady statutowe oraz zestawień listę członków, która będzie podstawą do potrącania przez dyrekcję składek związkowych. W sprawie otwarcia konta bankowego wskazywano przykład gdański i sugerowano, aby wystąpić do administracji szczebla wojewódzkiego (do wojewody lub prezydenta miasta w Warszawie, Łodzi i Krakowie) z wnioskiem o otwarcie konta w NBP. Zwracano uwagę, że do czasu wejścia w życie

⁹ B. Czuma, *Łódzka „Solidarność” 1980–1981*, Łódź 2010, s. 20, 24.

¹⁰ Archiwum Akt Nowych (dalej: AAN), KC PZPR, 839/479, Informacje Wydziału Organizacyjnego, 1, 4 i 11 IX 1980, b.p.

¹¹ *Ibidem*, Informacja Wydziału Organizacyjnego, 2 IX 1980, b.p.

nowych przepisów „organizacje działające w oparciu o zasady tego ruchu nie podlegają jakiegokolwiek rejestracji”, nikt więc nie może nie wyrazić zgody na założenie niezależnego związku w danym zakładzie. Instrukcja była sporządzona kompetentnie, zawierała wzory pism formalnych oraz statutu¹².

Uchwała Rady Państwa z 13 września 1980

Uchwała ta, dotycząca rejestracji związków zawodowych, łątała lukę prawną, która pojawiła się po podpisaniu porozumień sierpniowych. 12 września 1980 r. odbyło się posiedzenie Komisji Prawnej Rady Państwa na ten temat. Istotne były nie tyle kwestie prawne, ile polityczne. „Ustalenie, że rejestracja dokonywana będzie w sądzie powszechnym, wydaje się najbardziej właściwą formą rozwiązania sprawy, ponieważ powierzenie tej funkcji organom administracji państwowej mogłoby wywołać sprzeciwy, jakich nie powinno wzbudzić wykonywanie tej funkcji przez sąd jako organ niezależny, posiadający określony tryb postępowania, obejmujący możliwość odwoływania się od decyzji negatywnej do Sądu Najwyższego” – tłumaczył zastępca przewodniczącego Rady Państwa Kazimierz Secomski.

Jak pisze Jarosław Kuisz, w wyniku dyskusji komisja postanowiła wprowadzić do pierwszego projektu uchwały określenie „regionalnych” dla opisanego związków zawodowych oraz dodać *passus*: „W przypadku gdy po dokonaniu rejestracji związku zawodowego albo regionalnego zrzeszenia związków zawodowych jego działalność lub struktura okaże się sprzeczna z obowiązującymi przepisami prawa, Sąd Wojewódzki w Warszawie postanowi o unieważnie-

niu dokonanej rejestracji. Od postanowienia tego służy odwołanie do Sądu Najwyższego”. Pierwsza poprawka regulowała charakter związku – nie mogło być wątpliwości, że chodzi o organizację regionalną, a nie ogólnokrajową. Druga zmieniała rangę procesu rejestracyjnego – Sąd Najwyższy miał być instancją odwoławczą¹³.

Proces sporządzania uchwały był nakierowany na to, aby nowe związki osłabić. Poprawki, które po lekturze dokumentów Rady Państwa można zinterpretować jako wprowadzone w wyniku wewnętrznej dyskusji, w rzeczywistości zostały podjęte wcześniej przez Biuro Polityczne KC PZPR¹⁴. Sugerował je w notatce dla Biura Politycznego Andrzej Żabiński, kierownik Wydziału Społeczno-Zawodowego Komitetu Centralnego. W jego analizach znajdziemy m.in. uwagi: „mankamentem obecnego projektu jest brak instancji odwoławczej od decyzji o rejestracji – SN jest ostatnią instancją. Można rozważyć także regulację – rejestracji może dokonać sąd pracy i ubezpieczeń społecznych dla m.st. Warszawy. Wówczas od decyzji o rejestracji lub o odmowie mogliby zainteresowani lub prokurator odwołać się do Sądu Najwyższego. Ponadto rejestracja przez Sąd Najwyższy wyolbrzymia znaczenie samego aktu rejestracji”¹⁵.

W czasie posiedzenia Biura Politycznego 11 września 1980 r. Żabiński referował sprawę trybu rejestracji związków zawodowych i sytuację w NSZZ. O wyborze trybu legalizacji związków rozmawiali m.in. Henryk Jabłoński (przewodniczący Rady Państwa), Stanisław Kania (I sekretarz KC PZPR) i Żabiński. Zgodzili się co do tego, że należy opracować poprawkę do ustawy o związkach zawodowych, pilnie ustalić tymczasową formułę rejestracji związków oraz zwołać komisję

¹² *Porady dla zakładających zakładowe organizacje niezależnych samorządnych związków zawodowych*, b.d., ulotka w zbiorach autora.

¹³ Cytaty oraz opis działań Rady Państwa za: J. Kuisz, *Charakter prawny porozumień sierpniowych 1980–1981*, Warszawa 2009, s. 254–258.

¹⁴ Takie założenie pozwala na rozwikłanie kilku kłopotliwych kwestii. Jarosław Kuisz np. zauważył, że załącznikiem do protokołu posiedzenia Rady Państwa z 11 września jest projekt uchwały z ręcznie dopisaną datą 13 września (*ibidem*, s. 254.). Oryginalny projekt uchwały został przedstawiony do akceptacji KC PZPR, jego fragment jest umieszczony jako załącznik do protokołu posiedzenia Biura Politycznego.

¹⁵ AAN, KC PZPR, V/159, Notatka w sprawie uregulowania tymczasowego trybu rejestracji związków zawodowych, 11 IX 1980, k. 333.

do opracowania nowej ustawy o związkach zawodowych. Przystali także na to, że „przy rejestracji związków [należy] egzekwować, aby ich statuty zawierały niezbędne warunki (polskie obywatelstwo, zatrudnienie, środki finansowe niepochozące z zagranicy itp.)”¹⁶. Ich uwagi uwzględniła obradująca dzień później komisja ekspertów Rady Państwa.

Ręczne sterowanie przez Biuro Polityczne KC PZPR decyzjami Rady Państwa oraz sądów było praktyką typową w kwestiach związanych z działalnością NSZZ. Kierownictwo Biura Politycznego uważało, że sprawy te są zbyt ważne, żeby zostawić je w rękach prawników czy biurokratów. Były one w ich mniemaniu problemami politycznymi i wymagały nadzoru i ingerencji ze strony KC.

Rada Państwa przyjęła uchwałę 13 września 1980 r. Zgodnie z nią zgłoszenie do rejestracji powinno zawierać: nazwę związku zawodowego i jego siedzibę; podmiotowy i terytorialny zakres działalności związku; imiona, nazwiska i adresy osób wchodzących w skład organu uprawnionego do reprezentowania związku zawodowego. Do zgłoszenia należało dołączyć: uchwałę komitetu założycielskiego o powołaniu związku zawodowego oraz organu uprawnionego do jego reprezentowania; listę członków komitetu założycielskiego wraz z miejscem zatrudnienia; statut w dwóch egzemplarzach. O rejestracji decydował Sąd Wojewódzki w Warszawie, od jego decyzji przysługiwało odwołanie do Sądu Najwyższego¹⁷.

Z punktu widzenia NSZZ uchwała miała dwa mankamenty, które w swojej uchwale z 16 września 1980 r. przedstawił gdański MKZ. Przede wszystkim nie określono czasu, w którym Sąd Wojewódzki był zobowiązany ustosunkować się do złożonego wniosku. „Zwłoka w zarejestrowaniu powstających NSZZ

wpływałaby na powstawanie i zaostrzanie napięć społecznych. Oczekujemy, że sąd doceni to i czynności swoich dokonywać będzie bezzwłocznie” – podkreślano. Obawa MKZ była jak najbardziej uzasadniona. Po złożeniu wniosku do Sądu Wojewódzkiego we wrześniu rozpoczęła się miesięczna przepychanka między sądem i Solidarnością, która nalegała na szybką rejestrację. Równie duże obawy budził artykuł 9 uchwały Rady Państwa – o możliwości unieważnienia rejestracji, jeżeli działalność związku okazałaby się sprzeczna z prawem. Gdański MKZ zastrzegając: „Jest nie do przyjęcia dopuszczenie możliwości, ażeby można było zlikwidować w taki sposób organizację społeczną ludzi pracy”¹⁸.

Historia statutu NSZZ Solidarność

Jak powstał statut ogólnopolskiego związku zawodowego Solidarność? Andrzej Rozpłochowski, wówczas lider katowickiej Solidarności, twierdził: „Statutem »Solidarności« został... statut naszego, regionalnego związku z siedzibą w Hucie Katowice, jedynie z niezbędnymi poprawkami, naniesionymi przez tych samych jego autorów: Andrzeja Stelmachowskiego i Wiesława Chrzanowskiego, którzy też przywieźli go do Gdańska”¹⁹. Miał prawo tak sądzić, ponieważ statuty kilku regionalnych związków oraz nowy statut ogólnopolski miały wspólne źródło.

Był nim statut wydrukowany pod koniec sierpnia w Gdańsku. Po powrocie do Warszawy grupa prawników, która stworzyła wzór statutu, włączyła się w tworzenie nowych związków. Aby popularyzować informacje dotyczące NSZZ, stworzono punkt konsultacyjny w Warszawie przy ul. Bednarskiej. Kierował nim Jan Olszewski, który razem z Jarosławem

¹⁶ *Ibidem*, Protokół nr 31 posiedzenia Biura Politycznego KC PZPR, 11 IX 1980, k. 329–330.

¹⁷ „Monitor Polski” 1980, nr 22, poz. 104, Uchwała Rady Państwa w sprawie rejestracji nowo powstających związków zawodowych, 13 IX 1980.

¹⁸ Oświadczenie w sprawie uchwały Rady Państwa z dnia 16 IX 1980 wydane przez MKZ NSZZ w Gdańsku, „Biuletyn Informacyjny »Solidarność«, 24 IX 1980, s. 2–3.

¹⁹ A. Rozpłochowski, *Postawiaj ci szubienicę... NSZZ „Solidarność” MKZ Katowice 1980–1981. Wspomnienia*, t. 1, Katowice 2011, s. 71.

Kaczyńskim i „paroma zaprzyjaźnionymi prawnikami” przyjmował delegacje z mazowieckich zakładów. „Zaopatrywaliśmy ich w projekty przygotowywanych statutów, przekazywaliśmy im podstawową wiedzę dotyczącą działań organizacyjnych” – wspominał²⁰. Metodą faktów dokonanych potwierdzano interpretację porozumienia gdańskiego, zgodnie z którą prawo do tworzenia nowych związków obejmowało nie tylko Wybrzeże, ale i cały kraj.

Eksperci zaangażowali się w tworzenie regionalnego związku na Mazowszu. Jego fundamentem były Zakłady Mechaniczne Ursus, Huta Warszawa, Miejskie Zakłady Komunikacyjne i w późniejszym czasie Fabryka Samochodów Osobowych. Wiesław Chrzanowski, który układał statut Mazowsza, wspominał: „Na spotkaniu w Ursusie zapadło postanowienie o powołaniu związku zawodowego na wzór takiego, jaki dopuszczało porozumienie z Gdańską”²¹. Przewodniczącym NSZZ Mazowsze został Zbigniew Bujak. Rolę prawników i statutu w tej sprawie unaocznia relacja przytoczona przez Ireneusza Krzemińskiego: „4 września wyrzucił nas [...] sekretarz partii w ZM »Ursus« z budynku dyrekcji i powiedział, że jak nie wyjdziemy, to milicja za pół godziny wejdzie. [...] Wyszliśmy i statut podpisaliśmy na dworze [...] 5 września pokazaliśmy dyrektorowi statut »Mazowsza«. Przyprosił prawnika, bo miał nadzieję, że prawnik uzna, że to nie jest statut. A prawnik na to, że to jest statut, skoro podpisali to ludzie. Dyrektor myślał, że to projekt, bo 2 strony, tak skromnie”²².

W porównaniu do projektu gdańskiego ów statut był znacznie bardziej rozbudowany. Podkreślano w nim niezależność związku „od władz państwowych i organizacji politycznych” oraz uszczegółowiono kwestię członkostwa: „Członkami związku mogą być pracownicy zatrudnieni na podstawie umowy o pracę, [...] wyboru, powołania, mianowania, jak również uczniowie przyzakładowych szkół zawodowych lub pobierający naukę zawodu. Członkami mogą być

także emeryci i renciści”. Formuła gdańska mówiła jedynie o pracownikach zrzeszonych w MKS.

Całkowicie nowymi zapisami były te dotyczące praw i obowiązków członka związku, które regulowały prawo wyboru władz, prawo do bycia informowanym o działaniach związku, prawo do pomocy prawnej i socjalnej. Najważniejsze z obowiązków dotyczyły płacenia składek, przestrzegania statutu oraz uchwał związkowych. Członek NSZZ miał także obowiązek „solidarnie uczestniczyć w akcjach podejmowanych przez związek i popierać wysuwane przezeń postulaty”, czyli m.in. brać udział w protestach i strajkach. Sporo miejsca poświęcono organizacji władz związku. Wyróżniono i nakreślono zasady działania walnego zebrania delegatów, zarządu, prezydium zarządu i komisji rewizyjnej. Podkreślono, że związek będzie wydawał swoją prasę.

Jednak obok związków regionalnych powstawały także związki branżowe, takie jak Niezależny Samorządny Związek Zawodowy Pracowników Nauki, Techniki i Oświaty. Jeden z jego założycieli wspominał, że w KIK przekazano mu informację, iż „odbędzie się zebranie w domu prywatnym [...] gdzie będą osoby z paru instytutów [...], które chciałyby założyć niezależny związek. Cała sprawa polegała na tym, że od samego początku nie było wiadomo, czy porozumienie podpisane w Gdańsku dotyczy samego Gdańska, samego Wybrzeża, czy obowiązuje w całym kraju [...]. Wszystko leciało w wariackim tempie, bo pierwszego było podpisane porozumienie [jastrzębskie – T.K.], a już czwartego odbyło się to pierwsze zebranie. Przypuszczam, że tam osób było ok. 60”. Chociaż na początku związek ten miał charakter warszawski, to jednak szybko zaczął nabierać charakteru ogólnopolskiego. Pierwszy walny zjazd NSZZPNTiO odbył się 10 września; zebrało się prawie trzystu delegatów z całego kraju, głównie z Warszawy, ale także z Wrocławia, Poznania. Reprezentowali oni uczelnie, instytuty Polskiej Akademii Nauk i szkoły. Ale na sali

²⁰ J. Olszewski, *Prosto...*, s. 210–211.

²¹ W. Chrzanowski, *Pół wieku...*, s. 345.

²² I. Krzemiński, *Proces formowania się NSZZ „Solidarność”* [w:] *Polacy – jesień 80*, red. *idem*, Warszawa 2005, s. 64.

przebywało siedemset osób, w tym dziennikarze z Polskiego Radia i tygodników oraz przedstawiciele prasy zagranicznej. Delegaci uchwalili statut i wyłonili w głosowaniu władzę związku – na jego czele stanął Zdzisław Bibrowski²³.

Andrzej Rozpłochowski wspominał, że układanie statutu oraz przygotowania do złożenia wniosku o rejestrację katowickiego związku nadzorowali Władysław Siła-Nowicki, Jan Olszewski, Wiesław Chrzanowski i Piotr Andrzejewski, który został pełnomocnikiem prawnym w czasie postępowania. 16 września w Sądzie Wojewódzkim w Warszawie złożyli oni wymagane dokumenty²⁴. Doradcy zawitali do Katowic wcześniej, gdyż związkowcy prowadzili tam negocjacje z władzami. W ich efekcie zawarto 11 września ostatnie z wielkich porozumień społecznych z 1980 r. – nazwane później katowickim. Jednoznacznie w nim zapisano, że prawo do tworzenia niezależnych związków dotyczy całego kraju, a administracja państwowa nie powinna stawiać przeszkód w korzystaniu z tego prawa²⁵.

Chociaż rozprawa rejestracyjna katowickiego NSZZ miała się odbyć 1 października, to już zawczasu sąd zgłosił uwagi formalne. Kwestionowano „próby wyjścia poza formułę regionalności związku”, organizowania się na zasadzie terytorialnej zamiast branżowej, zbyt szerokie ujmowanie członkostwa (sąd twierdził, że zrzeszać się mogą tylko „pracownicy w ścisłym tego słowa znaczeniu”), a także „układ osobowości prawnej przewidującej osobowość prawną zarówno związku jako całości, jak i organizacji regionalnych i organizacji zakładowych w większych zakła-

dach pracy”. Przypadek Katowic posłużył ekspertom do stworzenia broszury o ewentualnych problemach z rejestracją NSZZ²⁶.

W statucie katowickiego związku znalazła się część rozwiązań ze statutu NSZZ Mazowsze. Robotnikom w Hucie Katowice doradzali ci sami ludzie, którzy wspierali Mazowsze.

* * *

Nad projektem dla gdańskiego związku pracowały osoby należące do Komisji Ekspertów lub z nią związane: Bronisław Geremek, Tadeusz Mazowiecki, Bolesław Banaszkiewicz, Andrzej Wielowieyski, Tadeusz Kowalik, Andrzej Stelmachowski i Waldemar Kuczyński. Grupa opierała się na statucie NSZZ Mazowsze, ale sięgała także po statut napisany przez szczeciński MKZ i „KOR-owską grupę gdańską”. Z tym że wpływ dwóch ostatnich był niewielki, bo zdaniem Waldemara Kuczyńskiego „projekt szczeciński był wyraźnie w stylu CRZZ-owskim, nie potrafili się tego pozbyć. Za to projekt KOR-owski był pod silnym wpływem doświadczeń lat represji, jakim poddawano członków Wolnych Związków Zawodowych”²⁷. W przypadku statutu szczecińskiego można potwierdzić obserwację Kuczyńskiego, dokumentu gdańskiego nie udało się odnaleźć²⁸. W dokumentach Bronisława Geremka zachował się statut NSZZ Mazowsze z jego odręcznymi poprawkami, które pokrywają się w większości z tym, co pojawiło się w statucie NSZZ Wybrzeża²⁹.

Dzięki zachowaniu się brudnopisu z poprawkami ekspertów możemy ustalić, jakie kwestie były ich

²³ *Ibidem*, s. 64–65; zob. też N. Jarska, *Niezależny ruch oświatowy i nauka niezależna 1980–1989* [w:] *NSZZ „Solidarność” 1980–1989*, t. 2: *Ruch społeczny*, red. Ł. Kamiński, G. Waligóra, Warszawa 2010, s. 147–169; AAN, KC PZPR, XII/4519, Informacja Komitetu Warszawskiego PZPR o przebiegu walnego zebrania założycielskiego NSZZPNTiO, 12 IX 1980, b.p.

²⁴ A. Rozpłochowski, *Postawią ci szubienicę...*, s. 63. Nie jest prawdą, jak twierdzi autor, że był to „pierwszy taki krok w Polsce po sierpniowych strajkach”. Jednak słusznie zauważa, że był to pierwszy wniosek, który wpłynął od organizacji związkowej z jednego z najważniejszych regionów.

²⁵ T. Kurpierz, J. Neja, *„Solidarność” Śląsko-Dąbrowska 1980–1981*, Katowice 2012, s. 68–71.

²⁶ Ulotka Punktu Konsultacyjno-Informacyjnego przy KIK w Warszawie pt. *Pytania i odpowiedzi, seria IV*, 21 IX 1980.

²⁷ W. Kuczyński, *Burza nad Wisłą. Dziennik 1980–1981*, Warszawa 2002, s. 58.

²⁸ Statut szczeciński, w zbiorach autora.

²⁹ Kopia statutu z odręcznymi notatkami Bronisława Geremka; za udostępnienie dziękuję prof. Andrzejowi Friszke.

zdaniem kluczowe. Podkreślili m.in., że utrata pracy nie pociąga za sobą utraty praw związkowych. Do listy celów związku dołączyli „wpływ na kształtowanie polityki gospodarczej i społecznej państwa w zakresie istotnym dla warunków życia ludzi pracy”. Był to krok w stronę poszerzenia zakresu działalności związku. W podobnym duchu utrzymano nowe zapisy w części określającej sposoby realizacji celów statutowych; dodano, że związek będzie prowadził badania „nad warunkami życia ogółu pracowników” (a nie tylko kosztami utrzymania, jak napisano w statucie NSZZ Mazowsze). Było to zgodne z literą porozumienia gdańskiego, które gwarantowało prawo do tworzenia w ramach związku zaplecza eksperckiego. O takiej grupie mówił artykuł 26 statutu: „W ramach związku działa Ośrodek Spraw Społeczno-Zawodowych, prowadzący badania nad warunkami życia i pracy, jak również kosztami utrzymania ogółu pracowników oraz przygotowujący ekspertyzy w zakresie polityki społeczno-gospodarczej dla potrzeb związku”.

Grupa ekspercka była niezbędna w świetle kolejnego nowego założenia, mówiącego o tym, że związek będzie miał prawo do publicznego opiniowania „projektów przepisów dotyczących życia ludzi pracy, reprezentacji pracowniczych, uczestnictwa pracowników w zarządzaniu, ustawodawstwa socjalnego oraz kluczowych decyzji o podziale dochodu narodowego, zaopatrzeniu rynku, gospodarce mieszkaniowej, kształtowaniu cen i płac oraz o innych sprawach istotnych dla ludzi pracy”. Wstawienie takiej deklaracji do statutu było sygnałem, że związek nie tylko zamierza bronić pracownika w przypadku łamania obowiązującego prawa, ale będzie starał się nie dopuścić do naruszenia interesów także na etapie prac legislacyjnych.

W „brudnopisie Geremka” brak jest jednak części poprawek, które znalazły się w wersji ostatecznej statutu NSZZ Wybrzeże. Dokonano jeszcze jednej ważnej zmiany – dodano: „Członkowie związku

zrzeszają się na zasadzie terytorialno-zawodowej”. Przyznano, że „związek zrzesza członków wszystkich zawodów [...], w ramach związku, jak również w zakładowych organizacjach związkowych mogą działać sekcje zawodowe, mogą być też tworzone odrębne związki zawodowe grupujące członków jednego zawodu lub kilku zawodów pokrewnych. Związki te wchodzi w skład Związku Wybrzeża jako ogniw autonomicznych. Są one obowiązane do solidarnego działania ze związkiem, który ze swej strony bierze na siebie obronę interesów danego zawodu”. Były to istotne deklaracje uściślające, że członkami związku są wszyscy pracownicy, bez względu na to, że należą do różnych branż gospodarki narodowej, administracji, instytucji kulturalnych czy naukowych. Był to także ukłon w stronę branż, którym umożliwiono w ten sposób tworzenie autonomicznych ogniw. Ponadto otwierało to furtkę do stworzenia „hybrydowej”, branżowo-regionalnej struktury. Co najważniejsze – w statucie zaznaczono: „Związek Wybrzeża może utworzyć federację z innymi niezależnymi samorządowymi związkami zawodowymi”³⁰. Pozwalało to na stworzenie substytutu jednolitej ogólnopolskiej organizacji związkowej.

Projekt skonstruowany przez ekspertów został prawdopodobnie przedstawiony na posiedzeniu Prezydium MKZ w Gdańsku w połowie września 1980 r. (13 lub 14) przez Jerzego Stembrowicza i Andrzeja Wielowieyskiego. Z informacji zanotowanych przez Waldemara Kuczyńskiego wyłania się obraz problematycznej współpracy: „W Prezydium MKZ, na którym dyskutowano projekt statutu, uczestniczył przedstawiciel wojewody. Dziwi nas, dlaczego się oni zgodzili na precedensową obecność przedstawiciela rządu przy dyskutowaniu wewnętrznych spraw związku? W dyskusji odrzucono formułę NSZZ – Związek Wybrzeża. Andrzej Gwiazda [...] powiedział, że Wybrzeże to pas nadmorski o szerokości 800 km, ciągnący się od Gdańska do Szczecina, czyli cały kraj”³¹.

³⁰ Tzw. statut NSZZ [w:] *Statuty i projekty statutów NSZZ „Solidarność” 1980–1981*, oprac. J.M. Owsiniński, publikacje cyfrowe Stowarzyszenia Archiwum Solidarności, www.archsol.pl.

³¹ W. Kuczyński, *Burza...*, s. 64.

W czasie posiedzenia wprowadzono jeszcze jedną istotną zmianę – cały rozdział o strajku, który dość szczegółowo regulował metody sięgnięcia po ten ostateczny środek nacisku na władze. Ustalono m.in., że „strajk może być strajkiem ostrzegawczym lub strajkiem właściwym, w przypadkach gdy okoliczności na to zezwalają, strajk właściwy należy poprzedzić strajkiem ostrzegawczym”. Strajk może być uchwalony na wniosek większości członków związku w zakładzie, ale „w przypadku gdy ogłoszenie strajku w jednym zakładzie nie przynosi rezultatu, władze ogólnozwiązkowe mogą ogłosić strajk solidarnościowy”. Natychmiastowa akcja strajkowa jest przewidziana w przypadku „zastosowania represji w stosunku do władz związku i uniemożliwienie im tą drogą podjęcia stosownej decyzji”³². Umieszczenie tego zapisu w statucie zdecydowanie osłabiłoby szanse na bezkonfliktową rejestrację związku. Przeciwny takiemu rozwiązaniu był obecny na spotkaniu Władysław Siła-Nowicki, jednak i on nie był w stanie przekonać Prezydium MKZ.

Mimo że statut ten ogłoszono publicznie 17 września 1980 r., to najpóźniej 15 września trafił on do kierownictwa PZPR, być może za sprawą obecnego na posiedzeniu Prezydium MKZ wysłannika wojewody. Andrzej Żabiński przygotował analizę statutu „opracowanego przez zespół Wałęsy”, dwa dni później przedstawioną na posiedzeniu Biura Politycznego. „Nie jest to statut związku zawodowego, a zrzeszenia (federacji) NSZZ. Wobec tego jest rzeczą nieodzowną ustalenie zakresu branżowego i terytorialnego działania związku” – twierdzili eksperci Żabińskiego. Dość ogólnikowe sformułowanie w statucie tych kwestii rzeczywiście mogło kłuć władze w oczy. Za niebezpieczny uznano także artykuł 4: „Związek jest nie-

zależny od organów państwowych i organizacji politycznych”. Obawy wzbudzał też brak podkreślenia gotowości do przestrzegania zasad ustrojowych PRL oraz, co już może bardziej kuriozalne, brak „wyraźnego stosunku związku do ojczyzny”. Sformułowane zastrzeżenia wobec artykułów dotyczących wyborów władz związku, jakoby umożliwiających „wybory nie-demokratyczne, których przykłady już są”. Wreszcie za niedopuszczalne uznano regulowanie w statucie kwestii organizacji strajku. Zwracano uwagę, że powinna to określić nowa ustawa o związkach zawodowych, a nie statut³³.

Na marginesie Żabiński zaznaczył, że po przyjęciu uchwały Rady Państwa o statucie związku mogą się wypowiadać tylko organy uprawnione, sąd wojewódzki i najwyższy, a nie np. komisje rządowe. Jednocześnie przestrzegając: „Sądowi Wojewódzkiemu w Warszawie [należy] dać wytyczną, że rejestrować się mogą tylko związki zakładowe i branżowe, a regionalne nie”. Tym samym dał do zrozumienia, że praca Sądu Wojewódzkiego będzie kontrolowana i kierowana przez PZPR. Żabiński przedstawił także wykładnię strategii wobec nowych związków, które miano ograniczyć do organizacji zakładowych i branżowych³⁴.

Ekspersi partyjni obawiali się zagarnięcia ruchu robotniczego przez „siły antysocjalistyczne” oraz prób „ataku na kierowniczą rolę PZPR [...], a w dalszej konsekwencji – wprost na samą partię”. Największą wagę przywiązywano do zablokowania tendencji do budowania „centrali związkowej w Gdańsku”, sprzecnej z porozumieniami, które mówiły o lokalnym charakterze związku. To, że niezależne związki planują stworzenie centrali, nie budziło wątpliwości³⁵. Czarny scenariusz władz spełnił się 17 września.

³² Tzw. statut NSZZ...

³³ AAN, KC PZPR, V/159, Wstępna opinia o statucie NSZZ (niektóre uwagi), 15 IX 1980, k. 401–402.

³⁴ *Ibidem*, Protokół nr 32 posiedzenia Biura Politycznego KC PZPR, 17 IX 1980, k. 353.

³⁵ *Ibidem*, Aktualna sytuacja i aktualne działania w ruchu zawodowym, k. 373, 376; *ibidem*, Wstępna opinia o statucie NSZZ (niektóre uwagi), 15 IX 1980, k. 401–402 oraz projekt statutu *ibidem*, k. 403 i nast.

17 września – narodziny związku ogólnopolskiego

W obliczu realnego zagrożenia zdławieniem ruchu związkowego w wielu regionach kraju coraz większa grupa osób przekonywała się do pomysłu utworzenia jednej organizacji. Jacek Kuroń wspominał: „powstał problem rejestracji związku, a więc i statutu. Pierwsza koncepcja była taka, żeby zachować regionalny podział związku, żeby każdy region o rejestrację występował osobno. Tak wymyśliśmy w Gdańsku. A potem przyjechałem do Warszawy, wpadłem w dziki tłum w siedzibie Regionu Mazowsze na Hożej, Olszewski wziął mnie na stronę i spokojnie wytłumaczył, dlaczego ta koncepcja jest głupia. Olszewski kładł nacisk na to, że władze rozpoczną ostre działania przeciwko powstawaniu związków zawodowych i będą próbowały je niszczyć i rozbijać. Jeżeli nie będzie to jeden związek, jeden statut i jedna rejestracja, to związek po prostu nie powstanie. To samo powiedział mi Karol Modzelewski, dodając do tego niebłahy powód, jakim jest scentralizowanie dyspozycji w kraju, a więc konieczność kontaktowania się związku z centralnymi władzami politycznymi i gospodarczymi”³⁶. Sygnały takie płynęły z wielu ośrodków, m.in. Łodzi i Katowic, które wystosowały w tej sprawie apel, poparty przez Szczecin³⁷.

Karol Modzelewski, który rozpoczął swoją działalność w związku jako łącznik między wrocławskim oddziałem PAN a tamtejszym MKZ oraz był współautorem statutu MKZ powstającego we Wrocławiu, wspominał: „Dla nas nie ulegało wątpliwości, że pracujemy nad projektem statutu dla związku ogólnopolskiego. Było to oczywiste dla wszystkich, wyjąwszy gdańszczan [...] Dla władzy wygodne było rozbicie ruchu na związki branżowe albo regionalne, i żeby każdy z nich oddzielnie się rejestrował, bo to ułatwiłoby jej grę”³⁸.

Modzelewski wraz z innymi działaczami dolnośląskiego MKZ wyruszył do Gdańska. Tam wziął udział w posiedzeniu Prezydium MKZ. Zorientował się, że gospodarze przygotowali statut regionalny. Mimo jego nalegań należący do Prezydium MKZ w Gdańsku członkowie Wolnych Związków Zawodowych, m.in. Joanna i Andrzej Gwiazdowie oraz Bogdan Borusewicz, nie byli skłonni do zmiany zdania. Argumentowali, że „centrala to jest instytucja, poprzez którą można manipulować ruchem, że nasza koncepcja jest biurokratyczna, niedemokratyczna, że ten ruch musi być luźną, oddolną federacją”. Borusewicz obawiał się, że nad scentralizowanym ruchem władza szybciej przejmie kontrolę. Tadeusz Mazowiecki uważał z kolei, że „totalitarnej, monolitycznej władzy skutecznie można przeciwstawić nie coś równie monolitycznego, ale właśnie bardzo demokratycznego [...] gdyby związki zostały osłabione czy zinfiltrowane w jednej części kraju, przynajmniej na innych terenach [...] ocaleją”. Taki lęk nie był bezpodstawny. W latach 1980–1981 władze podjęły starania, aby przejąć przynajmniej częściową kontrolę nad Solidarnością, stosując metody zarówno polityczne, jak i policyjne (np. werbowanie przez SB tajnych współpracowników). Próby te okazały się nieskuteczne. W 1980 r. nikt nie mógł być jednak pewny, jak rozwinie się sytuacja.

17 września odbył się w Gdańsku zjazd przedstawicieli struktur regionalnych nowych związków zawodowych z całego kraju. Karol Modzelewski zbierał sojuszników do przeforsowania swojego pomysłu: „z delegacją wałbrzyską [...] szukaliśmy stronników, w których imieniu będzie można zgłosić wnioski. Leszek Dymarski poparł w imieniu Poznania, a Zbyszek Bujak w imieniu Warszawy, inni mówili, że są za tym, ale mają obawy”³⁹. Lech Wałęsa przedstawił zebrany sposób zorganizowania niezależnych

³⁶ J. Kuroń, *Autobiografia*, Warszawa 2009, s. 533.

³⁷ B. Czuma, *Łódzka „Solidarność”...*, s. 24–25; W. Kuczyński, *Burza...*, s. 57.

³⁸ J. Jankowska, *Portrety niedokończone*, Warszawa 2004, s. 70–71, 148, 269–270.

³⁹ *Ibidem*, s. 238.

związków: „My proponujemy i mówimy otwarcie: nasz statut może każdy wziąć, podpisać jako swój, czy to statut regionalny, czy nawet branżowy. Każdy może ten statut przerobić tak, żeby mu pasowało”⁴⁰.

Zwolennicy odmiennej koncepcji przystąpili do forsowania swojego stanowiska. Jako pierwszy temat podniósł Jan Olszewski: „może zostać podjęta próba niedopuszczenia do legalizacji tych związków, które są słabsze, które nie mają tak jak związki Gdańska, Szczecina czy Śląska ciężko wywalczonych strajkiem pozycji. Dlatego [...] do rejestracji winniśmy się zgłosić jako jedna ogólnopolska struktura (oklaski)”. Chwilę później głos zabrał Modzelewski: „istnieje taka groźba, całkiem realna, że ustawa Rady Państwa pozwoli na odmowę rejestracji poszczególnych MKZ-etów. [...] Gdańsk wygrał strajk dla nas wszystkich, ale wygrał go, o czym nie należy zapominać, silnym poparciem strajkowym całej Polski. Inaczej by go nie było (oklaski) i Wybrzeże popełni samobójstwo, jeżeli się od Polski odetnie”. Sala zareagowała bardzo pozytywnie. Modzelewski był świetnym mówcą. Swoim wystąpieniem trafił do reprezentantów matych ośrodków, którzy bali się, że pozostawieni bez wsparcia większych miast będą musieli ugiąć się przed władzami. Zebrani poparli koncepcję jednego związku. Wyczuł to Wałęsa, który przyjął ten projekt jako swój⁴¹.

Związkowcy przyjęli nazwę NSZZ Solidarność i podjęli decyzję o kształcie organizacji. Na czele związku miała stanąć komisja, która w pierwszej, federacyjnej wersji statutu pełniłaby funkcję bardziej konsultacyjną niż zarządzającą. W nowej sytuacji, po przegłosowaniu koncepcji ogólnopolskiej, trzeba było jej funkcję określić inaczej. Tadeusz Mazowiecki wspominał, że musieli szybko wprowadzić poprawki do statutu: „w ciągu nocy przerabialiśmy. Trzeba było połączyć dwa elementy, to znaczy tworzyć jeden Związek, skoro

taka była wola większości, ale jego wewnętrzne struktury uczynić możliwie federacyjnymi. Miało powstać więc ciało skupiające przewodniczących niezależnych organizacji regionalnych, którzy spotykają się dla omawiania wspólnych dla całego Związku i kraju spraw. Stąd nazwa Krajowa Komisja Porozumiewawcza – KKP”⁴².

Nowy statut NSZZ Solidarność został zaakceptowany przez KKP 22 września 1980 r. Wałęsa tłumaczył zebranym, że małe ośrodki mogą mieć trudności, aby „zarejestrować się i potem konsekwentnie domagać się swego. Bo są ośrodki bardzo słabe, bardzo mało prężne i dlatego inne muszą im pomóc. Dlatego ta koncepcja, że rejestrujemy się razem, jest bardzo dobra moim zdaniem. Jeżeli państwo uważają inaczej, to możemy jeszcze raz postawić tę kwestię. Ale wydaje mi się, że w tej sytuacji, w jakiej się znajdujemy, to jest jedna, najlogiczniejsza droga. Aby nie było takiej możliwości, że ktoś tam został rozwiązany słabszy, a na końcu zostanie rozwiązany Gdańsk prawdopodobnie. Musimy być w tym momencie razem i tylko razem, bo w jedności siła, ale również nie możemy sobie ograniczać manewrów, dlatego to, co my proponujemy, powinno być dobre”⁴³. W stosunku do projektu gdańskiego w statucie nie było wiele zmian, dotyczyły głównie ram funkcjonowania władz ogólnopolskich. Na obowiązki KKP składało się: reprezentowanie członków związku wobec władz, administracji państwowej i gospodarczej, koordynowanie działań organizacji regionalnych Solidarności, uchwalanie budżetu, ustalanie zasad tworzenia sekcji branżowych i zawodowych, wybór przewodniczącego Komisji Krajowej (lub w tym przypadku przewodniczącego KKP) i członków prezydium.

Tadeusz Mazowiecki tłumaczył, jakich zmian dokonano, jednak wyrażał także obawy, które wynikały

⁴⁰ Stenogram posiedzenia KKP, 17 IX 1980 r., zapis nagrania w zasobach Stowarzyszenia Archiwum Solidarności. Zob. także zredagowaną wersję opracowaną na podstawie materiałów z Archiwum Solidarności: „Krytyka” 1984, nr 12, s. 71–105.

⁴¹ Stenogram posiedzenia KKP, 17 IX 1980 r.

⁴² J. Jankowska, *Portrety...*, s. 149.

⁴³ *Początki NSZZ „Solidarność”. Posiedzenia Krajowej Komisji Porozumiewawczej w dniach 22 września 1980 r. i 6 października 1980 r.*, publikacje cyfrowe Stowarzyszenia Archiwum Solidarności, www.archsol.pl.

z jego wcześniejszego stanowiska: „z góry zaznaczam, że nie jest to, co państwu zostało przedstawione, projektem idealnym, dlatego że to zadanie konstruowania statutu jednego związku, który zarazem by miał charakter federacji wewnątrz tego związku na szczeblu krajowym, nie było łatwe do pogodzenia. Dlatego z góry mówię, że nie jest to projekt idealny, i na pewno życie zmusi do dokonania w niedługim czasie, po I zjeździe krajowym, poprawek w tym statucie”. Jeszcze przed przegłosowaniem statutu planowano wprowadzenie do niego pewnych poprawek, stwierdzono jednak, że ważniejsza jest legalizacja związku i zorganizowanie krajowego zjazdu⁴⁴. Nikt nie spodziewał się, że na ten zjazd trzeba będzie czekać prawie rok.

Istotne było także przyjęcie koncepcji regionalnej organizacji Solidarności, co nie musiało być wcale takie oczywiste. Pod wieloma względami naturalne wydawało się oparcie na strukturach branżowych; takie związki mogą skuteczniej walczyć o interesy swoich członków. Przyjęcie innej koncepcji było konieczne ze względu na specyfikę działania w realiach autorytarnego państwa komunistycznego. Solidarność oznaczała, że wszyscy działają ramię w ramię, nikt nie załatwia swoich partykularnych interesów, ignorując problemy innych. Nie ulega wątpliwości, że w przypadku branżowej organizacji związku władze szybciej porozumiałyby się z przedstawicielami najsilniejszych zawodów (górnicy, stoczniowcy), a ignorowałyby słabszych (nauczyciele, służba zdrowia). Na coś takiego nie było zgody. I mimo że w późniejszym okresie branże w Solidarności i tak powstały, to jednak nie odgrywały decydującej roli. Już we wrześniu 1980 r., kiedy przeważała koncepcja związków regionalnych, władze próbowały stosować taktykę opierającą się na rozgrywaniu antagonizmów między regionami, próbach przejęcia kontroli nad związkami

lub ich represjonowania. Kolejną odstoną pojedynku byłaby sala sądowa, na której wywierano by naciski na kierownictwa związków regionalnych zgodnie z wolą Biura Politycznego KC PZPR⁴⁵.

Nie można z dzisiejszej perspektywy stwierdzić, jakie byłyby losy Solidarności, gdyby nie zdecydowano się na stworzenie jednego związku – zbyt wiele jest w tym równaniu niewiadomych. Federacyjna organizacja związkowa nie byłaby dość silnym partnerem do negocjowania z władzami najważniejszych spraw, takich jak reformy gospodarcze, reformy prawa, dostęp do środków masowego przekazu.

Z drugiej strony prowadzona przez władze strategia nacisku i represji w stosunku do słabszych regionów mogła paradoksalnie przyspieszyć powstanie Solidarności. Lech Wałęsa od 12 września zaczął w rozmowach z władzami zdecydowanie stawiać sprawę represji wobec działaczy związku w innych regionach. Oświadczył w rozmowie telefonicznej wojewodzie gdańskiemu Jerzemu Kołodziejskiemu: „jak tak dalej będzie, to poleci generalny strajk”⁴⁶. W październiku z kolei gdański MKZ zainspirował ogólnopolski strajk ostrzegawczy w obronie małych regionów i przeciw zwłoce w realizacji podwyżek. Decyzję podjęto mimo wstrzemięźliwości innych kluczowych regionów – Szczecina i Jastrzębia. Widać więc, że Gdańsk od początku starał się zyskać pozycję lidera, tak też był postrzegany przez małe ośrodki, które do gdańskiego MKZ udawały się z prośbą o radę, ale i po pomoc.

Stworzenie jednego, ogólnopolskiego związku na pewno pozwoliło na złagodzenie animozji i rywalizacji między poszczególnymi regionami. Możemy domniemywać, że np. narastający od października konflikt między Jastrzębiem a pozostałymi kluczowymi regionami: Gdańskiem i Mazowszem nie zostałby tak łatwo rozwiązany w przypadku daleko posuniętej

⁴⁴ *Ibidem*.

⁴⁵ O wpływie na pracę i wyroki Sądu Wojewódzkiego zob. T. Kozłowski, *Między porozumieniami sierpniowymi a rejestracją NSZZ „Solidarność”* [w:] *„Solidarność” od wewnątrz*, red. A. Friszke, K. Persak, P. Sowiński, Warszawa 2013.

⁴⁶ AIPN, 185n/4, Informacja sytuacyjna nr 39 za okres 12–13 IX 1980, b.p.

autonomii regionalnej. Ponieważ istniała KKP, możliwa była dyskusja i ustalenie wspólnego stanowiska. Pozytywny wpływ krajowego gremium był widoczny podczas przeprowadzania ostatecznego podziału kraju na regiony związkowe. KKP wreszcie podejmowała próby kanalizowania nastrojów niezadowolenia oraz wygaszania „dzikich” strajków; było to możliwe dzięki ogłaszaniu przez nią oficjalnego stanowiska w sprawie lokalnego konfliktu lub dzięki osobistym

interwencjom, m.in. Lecha Wałęsy. W przypadku istnienia federacji możliwości takich działań byłyby ograniczone. Warunkowałoby to również kontrakcje władz, które sięgałyby po dużo ostrzejsze środki – np. punktowe uderzenia z użyciem sił milicyjnych i wojskowych lub nawet „stan wojenny” obejmujący niektóre regiony. Podobny scenariusz został zresztą zrealizowany w Częstochowie, gdzie 10 listopada 1980 r. wojewoda wprowadził stan wyjątkowy.

„ZAWITAŁA JUTRZENKA SWOBODY”. ROK 1989 Z PERSPEKTYWY POLSKIEGO LONDYNU

KRZYSZTOF TARKA

historyk, dr hab., profesor
w Instytucie Historii Uniwersytetu
Opolskiego. Zajmuje się polską
emigracją polityczną po drugiej wojnie
światowej i działaniami władz PRL
wobec wychodźstwa. Ostatnio
opublikował książkę *Emigranci
na celowniku. Władze Polski Ludowej
wobec wychodźstwa* (2012).

U progu 1989 r. prezydent RP Kazimierz Sabbat z zadowoleniem stwierdził, że długo przez emigrację oczekiwana zmiana sytuacji międzynarodowej wreszcie nadeszła. Zmieniała się również sytuacja w kraju. Wobec zapowiadanych rozmów władz PRL z opozycją prezydent ostrzegał, że komuniści nie dotrzymają żadnych porozumień: „Wszelkie układy są tylko manewrem w okresie słabości, manewrem, którego nie traktuje się poważnie”. Wcześniejsza wiarołomność władz PRL uzasadniała wszelką podejrzliwość i nieufność. Sabbat przekonywał, iż partia komunistyczna nie zrezygnuje z władzy, „i to pełnej władzy”. Jednocześnie przyznał, że każda próba naruszenia monopolu rządów komunistów „może mieć znaczenie”. Trwając przy maksymalnych postulatach, podkreślił, że emigracja polityczna musi domagać się „prawdziwej niepodległości, pełnej wolności i rzeczywistej demokracji w Polsce. Taka jest bowiem jej racja bytu”¹.

Rozmowy władz PRL z „drużyną Wałęsy” wywołały w polskim Londynie mieszane uczucia. „Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza” w komentarzu redakcyjnym zaznaczył: „Z jednej strony trzeba rozmowy prowadzić, bo to może jedyna czy ostatnia szansa na wyprowadzenie społeczeństwa z domu niewoli na jakiś znośniejszy grunt, mniej przypominający trzęsawisko. Z drugiej – włączyć się w proces reform, to wziąć na siebie współodpowiedzialność za niezawinioną katastrofę”².

W odezwie z 15 lutego działacze Ligi Niepodległości Polski wyrazili zrozumienie dla intencji tych osób w kraju, które gotowe były do rozmów z władzami w celu „choćby częściowego rozluźnienia pęt” i „minimalnej poprawy” bytu społeczeństwa. Zdecydowanie krytycznie ocenili jednak rozpoczynającą się właśnie „dyskusję »okrągłego stołu«”, w której „niedawni oprawcy” próbują „omamić swoje niedawne ofiary” wizją „wolnych

¹ K. Sabbat, *Rok 1988 – rokiem zmian*, „Rzeczpospolita Polska” (dalej: „RzP”) 1989, nr 1, s. 1, 10. O stosunku emigracji do wydarzeń w kraju w 1989 r. zob. też: A.Z. Cichocka, „Stara” emigracja polityczna wobec przełomowych wydarzeń w historii „Solidarności” [w:] NSZZ „Solidarność” 1980–1989, t. 7: Wokół „Solidarności”, red. Ł. Kamiński, G. Waligóra, Warszawa 2010, s. 68–77; A. Friszke, *Życie polityczne emigracji*, Warszawa 1999, s. 464–478.

² *Koło ratunkowe*, „Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza” (dalej: „DPDŻ”) 1989, nr 37, s. 1.

wyborów”: „Ta karykatura pozornej liberalizacji wciąż totalistycznego ustroju – pisali – wymaga od niepodległościowego wychodźstwa specjalnej czujności i żywej reakcji na agenturalne podszepty”. Wezwali też emigrantów do masowego udziału w zbliżających się wyborach do Rady Narodowej RP.

Miesiąc po rozpoczęciu negocjacji Okrągłego Stołu stanowisko emigracyjnych władz przedstawił Kazimierz Sabbat. Prezydent zaznaczył, że emigracja nie wyznaje zasady „im gorzej w Polsce, tym lepiej”. Uznając potrzebę rozważań i realizmu w działaniu krajowej opozycji oraz ciesząc się „z tego, co uda się osiągnąć”, utożsamiał się jednak z ruchami, które głoszą „pełny program niepodległościowy”. Miał też nadzieję, że „będą one rosnąć na sile”. Wskazując na potrzebę pluralizmu dróg wiodących do wyzwolenia, Sabbat podkreślił: „obok programu »reformistycznego« konieczny jest program »niepodległościowy«”³.

Postawa kierowniczych kręgów emigracji wobec Okrągłego Stołu nie była jednoznaczna. Dostrzegano plusy i minusy i czekano na dalszy bieg wydarzeń. W przemówieniu wygłoszonym 1 kwietnia na otwarciu Zjazdu Zjednoczenia Polskiego prezydent Sabbat stwierdził, że podział ról między krajem a emigracją pozostaje nadal aktualny; „Jakikolwiek będą wyniki »okrągłego stołu«, nie przyniosą one spełnienia tych celów, o które walczyła, walczy emigracja i o które walczy Kraj”. Dodał jednak: „Będą te wyniki stanowiły poprawę, będą stanowiły postęp i podstawę do dalszej akcji”. Reprezentując obóz „niezłomnych”, podkreślił równocześnie: „Nie potępiamy tych, którzy [w kraju] szukają porozumienia z władzą jako metody, bowiem i oni – jako cel dalszy – widzą wolność Polski”⁴.

Również premier Edward Szczepanik w wywiadzie dla Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa mówił: „sam fakt siadania do stołu »okrągłego« czy »nieokrągłego« z przedstawicielami tej władzy, która

w tej chwili jest jedyną efektywną władzą w Kraju, nie dyskredytuje absolutnie niepodległościowego stanowiska osób biorących udział w tych rozmowach”. Szczepanik, który na falach monachijskiej rozgłośni występował jako profesor ekonomii, a nie emigracyjny premier, podkreślił: „Taktyka ich [tj. opozycji] w Kraju na pewno musi być inna niż taktyka nasza. To trzeba traktować jako *realité des choses*, jako konieczność życia codziennego, z którą się oni spotykają na co dzień”⁵.

Oficjalne stanowisko emigracyjnych władz przedstawiono w dniu zakończenia obrad Okrągłego Stołu. Podczas narady zwołanej przez prezydenta 5 kwietnia z udziałem członków rządu oraz przywódców życia politycznego i społecznego minister spraw krajowych Ryszard Kaczorowski wyliczał pozytywne strony negocjacji między władzami PRL a „konstruktywną opozycją” (częściowo wolne wybory do sejmu, legalizacja Solidarności i przywrócenie Senatu); w rezultacie „w Polsce nastąpi rozluźnienie kontroli partii nad życiem obywateli” – podsumował. Zaznaczył jednak, że nie ma żadnych gwarancji, iż zawarta umowa zostanie tym razem przez komunistów dotrzymana⁶.

Nieufność i sceptycyzm cechowały również pozostałych uczestników narady. Przedstawiciele emigracyjnego establishmentu cieszyli się z zapowiedzi nawet częściowych zmian w kraju, choć mieli wątpliwości co do ich wykonania. Pozytywnym rezultatem negocjacji przeciwstawiali „podmurowanie [przez opozycję] panującego reżymu przez zgodę na współpracę”, akceptację dla urzędu prezydenta „o niemal dyktatorskich uprawnieniach” (nie miano wątpliwości, że zostanie nim gen. Wojciech Jaruzelski) oraz brak jakichkolwiek zapowiedzi sposobu poprawy sytuacji gospodarczej. W wydanym oświadczeniu podkreślono, że emigracja „nie widzi w postanowieniach »okrągłego stołu« spełnienia tych celów, dla

³ K. Sabbat, *Obok programu »reformistycznego« konieczny jest program »niepodległościowy«*, „RzP” 1989, nr 2, s. 1.

⁴ K. Sabbat, *Podział ról między krajem a emigracją*, „RzP” 1989, nr 4, s. 3.

⁵ E. Szczepanik, *Konieczność życia codziennego*, „RzP” 1989, nr 4, s. 3.

⁶ R. Kaczorowski, *Nie wyznajemy zasady, że im gorzej, tym lepiej*, „RzP” 1989, nr 4, s. 1, 2.

których powstała, którym służy i będzie nadal do nich zmierzać”. Wyrażono też obawę, że „cena dodatnich osiągnięć »okrągłego stołu« może okazać się zbyt wysoka”⁷.

Zdecydowanie bardziej krytyczne stanowisko zajęła Polska Partia Socjalistyczna. Emigracyjni socjaliści uważali Okrągły Stół za wybieg władz PRL „w celu zyskania na czasie”. Byli przekonani, że „tylko presja radykalizujących się nastrojów społeczeństwa doprowadziła do rozpoczęcia rozmów”. Jednak i oni dostrzegli, że porozumienie podpisane przez Lecha Wałęsę i gen. Czesława Kiszczaka „zawiera szereg istotnych i pozytywnych ustaleń”. Jednocześnie ostrzegali: „koncesje tego typu, podpisywane przez komunistów w momentach słabnięcia ich władzy, były natychmiast deptane, gdy odzyskiwali oni siły”. Apelowali do krajowej opozycji, aby z determinacją broniła wywalczonych ustępstw. Wątpliwości wzbudzały ustalenia w sferze polityczno-ustrojowej: zgoda opozycji na „niekonfrontacyjne” wybory czy „niemal dyktatorskie” uprawnienia przyszłego prezydenta. Umacniały one „pozorną pełnoprawność narzuconej, antynarodowej władzy komunistów w Polsce”. Niepokoił również odgórny system wyznaczania kandydatów opozycji w wyborach. Groziło to przekształceniem Komitetu Obywatelskiego w „niekomunistyczną wersję PRON”. W oświadczeniu wydanym 8 kwietnia podkreślono, iż ustalenia zawarte między „narzuconą, nieprawą władzą a dowolnie wyznaczoną reprezentacją opozycji” (nawet jeśli zasiadali w niej ludzie uprzednio zasłużeni dla sprawy polskiej) „w żadnym wypadku” nie mogą być zaakceptowane przez polskich socjalistów ani nie mają mocy wiążącej dla całego narodu. Pewną liberalizację komunistycznej dyktatury w Polsce witano „tylko jako pierwszy i to dość skromny krok na drodze do pełnej demokracji”⁸.

W odezwie pierwszomajowej „do towarzyszy w Kraju” kierownictwo PPS stwierdziło: „Nie możemy jednak oceniać tych wyników [Okrągłego Stołu] pozytywnie jako początku drogi do demokratyzacji życia w dzisiejszej Polsce. Jest to tylko objaw liberalizacji w stosunkach władza – społeczeństwo wymuszony sytuacją ekonomiczną i narastającym buntem robotników wobec ponurej rzeczywistości”⁹. W przemówieniu do kraju z okazji robotniczego święta przewodnicząca Centralnej Rady Partyjnej PPS Lidia Ciołkoszowa podkreśliła: „nie liberalizacja czy tak zwana demokratyzacja panującego w Polsce systemu komunistycznego jest celem Polskiej Partii Socjalistycznej. Tym celem było i jest obalenie skutków postanowień jałtańskich”¹⁰.

Podobnie krytyczne stanowisko zajęły władze Polskiego Stronnictwa Ludowego. W oświadczeniu wydanym 14 maja, w dniu Święta Ludowego, czytamy: „Ostatnie zmiany i uchwały tzw. okrągłego stołu – to mydlenie oczu społeczeństwa polskiego. Pragnieniem narodu polskiego nie jest tak zwana liberalizacja systemu komunistycznego czy drobne ustępstwa oraz przyrzeczenia, ale pełna wolność, niepodległość i demokracja”¹¹. Większość emigrantów nie wiązała wielkich nadziei z ewolucyjną drogą zmian. Nawet krytycy Okrągłego Stołu nie przypisywali jednak złej woli solidarnościowym negocjatorom.

Bardziej stonowana była ocena wyrażona przez Antoniego Dargasa, prezesa Stronnictwa Narodowego i redaktora naczelnego „Myśli Polskiej”. Komentując rezultaty Okrągłego Stołu, podkreślił on: „tym razem Polacy z obu stron wybrali politycznie właściwy moment do rozpoczęcia dialogu”. Wskazał również na pozytywną rolę Kościoła katolickiego, który opowiadał się „za porozumieniem społecznym”, przyjmując na siebie „rolę animatora lub arbitra”. Dargas uważał

⁷ Narada u Prezydenta RP, „RzP” 1989, nr 4, s. 2.

⁸ Oświadczenie Polskiej Partii Socjalistycznej w sprawie bieżących wydarzeń w Kraju, „DPDŻ” 1989, nr 90, s. 4.

⁹ Odezwia pierwszomajowa „do towarzyszy w Kraju”, „RzP” 1989, nr 5, s. 3.

¹⁰ L. Ciołkoszowa, Na dzień 1 maja 1989 roku, „DPDŻ” 1989, nr 108, s. 11.

¹¹ W dniu Święta Ludowego, „RzP” 1989, nr 5, s. 3.

jednak, iż konkretne wyniki negocjacji między władzami PRL a solidarnościową opozycją „są niestety mniej niż skromne”. Jego obawy budziły również dyktatorskie uprawnienia prezydenta i szybki termin wyborów, który „wyklucza jakiegokolwiek przygotowanie się do nich z wyjątkiem aparatu państwowego”. W tej sytuacji – przekonywał Dargas – byłoby lepiej, gdyby opozycja zgodziła się na mianowanie swych przedstawicieli postami i odłożyła wybory „na rok lub dwa lata”, a w tym czasie skoncentrowała się na „odnowieniu” stronnictw politycznych w kraju. Jego zastrzeżenia budził też skład Komitetu Obywatelskiego przy Przewodniczącym NSZZ Solidarność Lechu Wałęsie, w którym przeważali działacze „lewicy laickiej z okresu KOR-u” oraz przedstawiciele nurtu „liberalno-katolickiego”. Według Dargasa najważniejszą sprawą, którą Okrągły Stół powinien się być zająć, była „katastrofalna sytuacja gospodarcza Polski i sposoby, jak z niej wyjść”, a „w tej dziedzinie osiągnięto najmniej”. Prezes SN uważał jednak, że Okrągły Stół był potrzebny. Rozmowy postrzegał jako etap na drodze „do przywrócenia pełnej podmiotowości Narodu w prawdziwie demokratycznych i wolnych wyborach”¹².

W końcu maja rozmowy „Wałęsy i jego zwolenników” z „narzuconą władzą” poparła katolicka „Gazeta Niedzielną”. Argumentowano: „trzeba szukać rozwiązań w kompromisach, choćby tylko częściowych, a te są możliwe jedynie w rozmowach, zwłaszcza gdy powstają warunki zmuszające przeciwnika do dialogu i ustępstw”. Za podjęciem rozmów przemawiała „totalna katastrofa gospodarcza” Polski, ale także szansa „przebudowy państwa w kierunku demokracji i większego ograniczenia rozruchanej władzy”. Bitwa o Polskę wymagała podziału ról między krajem i emigracją: „Społeczeństwo w kraju wybiera drogę dialogu z reżymem, bo ta jedynie może prowadzić do jakichś pozytywnych, choć połowicznych, rozwiązań”. Inna jest rola emigracji, która „nie może wdawać się

w jakiegokolwiek kontakty, nie mówiąc już o kompromisach z reżymem. [...] To, co jest koniecznością w zniewolonym kraju, nie może dotyczyć i być wzorem dla wolnej emigracji, choć cel tam i tu jest niezmienny i zawsze ten sam”¹³.

W polskim Londynie, choć przeważali sceptycy, nie zabrakło również zdecydowanych zwolenników Okrągłego Stołu. Rada Naczelna Polskiego Ruchu Wolnościowego Niepodległość i Demokracja na zebraniu 20–21 maja podkreśliła, iż ostatnie zmiany w Polsce mają „charakter przełomowy”. Rozmowy, w których udział wzięła „najbardziej reprezentatywna część opozycji demokratycznej”, uznano za „niewątpliwe osiągnięcie”. Kierownictwo PRW NiD, przeciwne „niewczesnym zrywom” i opowiadające się „zawsze za ewolucją”, udzieliło „pełnego poparcia tej części opozycji z Lechem Wałęsą na czele, która to wywalczyła”. W przyjętej uchwale stwierdzono: „Podobnie jak oni, uważamy obecne zmiany za kolejny etap na drodze do dalszych poczynąń, których ostatecznym celem jest pełna demokracja i niepodległość oraz udział Polski i innych narodów Wschodniej Europy w Zjednoczonej Europie”. Nie lekceważono jednak ani tym bardziej nie potępiano tych grup, które sprzeciwiały się osiągniętemu porozumieniu: „Należy oczekiwać – stwierdzono w uchwale – że będą one zwalczać komunizm, a nie opozycję demokratyczną i że nie będą nawoływać do zbrojnej rewolucji ani przygotowywać działalności terrorystycznej”. Niezłomni niepodległościowcy odegrać mogli również pozytywną rolę: „Działalność tych grup nie pozwoli na zastój i pobudzać będzie społeczeństwo do poszerzania zakresu wolności, utrzymując gotowość do wykorzystania odpowiedniego układu sił międzynarodowych i słabości reżymu dla podjęcia następnego wysiłku, który przyniesie pełną niepodległość i demokrację”¹⁴.

Wobec zapowiadanych wyborów w kraju krytyczne stanowisko zajął rząd emigracyjny. W oświadczeniu

¹² A. Dargas, *Etap okrągłego stołu*, „Myśl Polska” (dalej: „MP”) 1989, nr 7/8, s. 1.

¹³ *Bitwa o Polskę*, „Gazeta Niedzielną” (dalej: „GN”) 1989, nr 22, s. 3.

¹⁴ *Uchwały Rady Naczelnej PRW NiD*, „Trybuna” (dalej: „T”) 1989, nr 61, s. 4.

z 10 maja podkreślono: „Pozostawienie 65% w rękach komunistycznego reżymu, narzuconego Polsce w Jałcie przez Sowiety, stanowi zaprzeczenie demokracji”. Emigracja obawiała się, że „nawet przyobiecane częściowo wolne wybory do Sejmu i pozornie całkowicie wolne wybory do Senatu mogą być sfalszowane bądź utrudnione”. Służba Bezpieczeństwa, wojsko PRL i stacjonujące w Polsce oddziały sowieckie „zapewniają samowolę reżymu bez względu na podpisane porozumienie”. Rząd RP ostrzegał też „przed nawoływaniem do wzięcia udziału w czerwcowych wyborach i finansowym poparciem akcji przedwyborczej”. Przypominano, że głosowanie dla emigrantów organizują konsulaty PRL. Jednocześnie w oświadczeniu tym czytamy: „W sytuacji, kiedy zapadła decyzja wzięcia udziału w tych niedemokratycznych wyborach, w interesie narodu leży sukces kandydatów Solidarności i innych kandydatów niezależnych”. Nie krytykowano jednak tych ugrupowań w kraju, które odmawiały udziału w wyborach: „Decyzja w tej sprawie powinna opierać się na osobistej ocenie i sumieniu politycznym”. Deklarowano także finansową pomoc dla ruchów wolnościowych w kraju i kandydatów niezależnych¹⁵. Te pozornie sprzeczne zapowiedzi były świadectwem ogromnych obaw, ale także nadziei, choć nie wierzono, aby „procentowe” wybory doprowadziły do zasadniczych zmian w kraju. Bardziej obawiano się rozmycia postawy niepodległościowego wychodźstwa. Kierownictwo emigracji, trwając przy maksymalnych celach, nie odrzucało jednak postawy pragmatycznej.

Publicznie bodaj najbardziej twarde stanowisko w sprawie wyborów zajął Włodzimierz Olejnik, redaktor „Tygodnia Polskiego” (weekendowego wydania „Dziennika Polskiego i Dziennika Żołnierza”) oraz działacz PPS. Na tydzień przed głosowaniem wezwał emigrantów do bojkotu wyborów. Bez niedomówień stwierdził: „Akcji wyborczej do władz ustawodawczych PRL prowadzonej na emigracji należy przeciw-

stawić się z całą stanowczością. Działaczom w Kraju trzeba natomiast tłumaczyć rolę emigracji niepodległościowej i to, że nie może ona brać udziału w wyborach”. Skrytykował „coraz bardziej natarczywe” głosy na emigracji na rzecz poparcia i udziału w wyborach. Dodał, że komisje wyborcze w krajach zamieszkałych przez polskich emigrantów „są komisjami PRL, a głosowanie odbywać się będzie w reżimowych konsulatach”. Negatywnie ocenił również działaczy krajowej opozycji, którzy zdecydowali się na start w wyborach pod szyldem Solidarności czy Konfederacji Polski Niepodległej. Po wyborach wszyscy oni – jako opozycja parlamentarna – będą współtworzyli system polityczny PRL „niezależnie od treści założeń programowych i intencji”.

Olejnik zarzucił działaczom Solidarności skupionym wokół Lecha Wałęsy, że decydując się na start w wyborach, podzielili polską opinię publiczną. Podkreślił, że czerwcowe wybory „nie są wyborami parlamentarnymi w normalnym tego słowa znaczeniu. Są natomiast »wyborami«, których wynik co do zasady i istoty został przesądzony przed głosowaniem w kontrakcie »okrągłego stołu«”. W tymże kontrakcie „grupa Wałęsy” zgodziła się również na utworzenie urzędu prezydenta PRL, wyposażonego we władzę dyktatorską, „którym może być tylko gen. Jaruzelski, wychowanek sowieckich szkół janczarskich, zaufany człowiek Kremla, twórca i realizator stanu wojennego”. Olejnik dodał: „w uwagach wypowiedzianych na tle obrad i porozumień »okrągłego stołu« zapomina się często o charakterze władz PRL, władz od początku po dzień dzisiejszy – narzuconych, zależnych i kontrolowanych przez Moskwę. Władz lojalnych nie wobec Polski i narodu polskiego, ale władz lojalnych wyłącznie wobec mocodawców na Kremlu”¹⁶.

Klęska PZPR i sukces Solidarności w czerwcowych wyborach przyspieszyły proces ewolucyjnej zmiany ustroju polityczno-gospodarczego zaplanowanego przy Okrągłym Stole. Stopniowo zmieniały się

¹⁵ Oświadczenie Rządu RP. Emigracja niepodległościowa wobec wyborów w PRL, „RzP” 1989, nr 5, s. 2.

¹⁶ W. Olejnik, *Poparcie dla kraju a „wybory”*, „DPDŻ” 1989, nr 126, s. 2.

również nastroje na emigracji. Początkowa ostrożność, obawa, sceptycyzm coraz wyraźniej przerażały się w radość zwycięstwa i nadzieje na zmiany. Na inauguracyjnym posiedzeniu Rady Narodowej 10 czerwca 1989 r. prezydent Sabbat wyraził zadowolenie z powodu wyborczego zwycięstwa Solidarności: „Cieszy nas każdy kolejny sukces społeczeństwa niezależnego w Kraju. Doceniamy celowość i potrzebę programu reformistycznego”. Odrzucenie komunizmu przez Polaków – mówił prezydent – jest „zjawiskiem uderzającym, brzemienным w skutki”. „Czy to demon-taż komunizmu? Skąd to niespodziewane zjawisko?” – zastanawiał się Sabbat. Według niego komunizm „wszedł w okres zmierzchu i to przede wszystkim w Związku Sowieckim. [...] Zmiany w Moskwie czynią możliwymi zmiany w Warszawie”. W efekcie: „Po raz pierwszy obraz Wolnej Polski, choć może daleki, nabiera cech rzeczywistości”. Sabbat ostrzegał, że w nowej sytuacji rządzący będą chcieli „włączyć opozycję we wspólne ramy, »wdrukować« ją we współpracę z partią i zneutralizować ją w ramach potężnego aparatu władzy komunistycznej i nomenklatury”. Przede wszystkim komuniści oczekują „legalizacji ze strony opozycji i społeczeństwa”. Wyrazem tej legalizacji miał być wybór gen. Jaruzelskiego na najwyższy urząd w państwie: „Twórca stanu wojennego, człowiek, który wypowiedział wojnę narodowi polskiemu – miałby być prezydentem? Byłby to smutny dzień dla Polski” – twierdził Sabbat. Mimo zmian w kraju nie skończyła się jeszcze misja emigracji: „Emigracja polityczna – zaznaczył – ma w ramach wspólnego [z krajem] celu odrębne zadania. Mogą one wymagać odrębnej drogi. Nie czas więc, by likwidować emigrację polityczną, chyłkiem i wstydliwie. [...] Na ramionach Rządu [na uchodźstwie] leżą nadal te same obowiązki, które nałożyła na nas historia. Prezydent Rzeczypospolitej nadal wyraża ciągłość suwerenności Państwa Polskiego.

Ten stan rzeczy będzie trwał do czasu, kiedy w Polsce zbierze się nareszcie Sejm wybrany w wolnych i demokratycznych wyborach, wolny od obcej siły, od obcego nacisku i od strachu. Wtedy wielka dziejowa rola naszej emigracji ulegnie zakończeniu. Dzień ten przybliżył się znacznie”¹⁷.

Na tym samym posiedzeniu Rady Narodowej premier Szczepanik podkreślił, że mimo wielkiego zwycięstwa opozycji i druzgocącej porażki komunistów w wyborach 4 czerwca „Polska nadal nie będzie posiadać parlamentu wyłonionego w drodze demokratycznych, wolnych wyborów i nie będą nią rządzić władze, które odpowiadałyby nieskrepowanej woli Narodu”. Władze w Warszawie są „całkowicie uzależnione od Sowietów”, a „na ziemi polskiej znajdują się dalej oddziały Armii Czerwonej”. Moskwa nie odrzuciła też możliwości zbrojnej interwencji w wewnętrzne sprawy Polski. W mocy pozostał układ jałtański, oddający kraj pod dominację sowiecką. W tej sytuacji niezmienione pozostały zadania rządu RP. Premier zapowiadał również, że emigracyjne władze będą wspierać „wszelkimi dostępnymi sposobami” ruchy wolnościowe w kraju¹⁸.

W rezolucji Rada Narodowa diagnozowała, że wyniki czerwcowych wyborów „świadczą o narastającym kryzysie reżymu i o zbliżającej się całkowitej klęsce komunizmu w Polsce”. Emigracyjny parlament z radością witał „rozszerzenie w Kraju marginesu wolności”, wyrażając nadzieję, że opozycja „wykorzysta go w interesie całego Narodu w dalszej walce o obalenie dyktatu jałtańskiego”¹⁹.

Londyński „Dziennik Polski” zaznaczył w komentarzu, że głosowanie wykazało światu, iż Polska nie jest krajem wolnym, gdyż od 45 lat rządzi nim partia, „której nikt nie chce”²⁰.

Na łamach „Myśli Polskiej” Wojciech Wasiutyński pisał: „wybory czerwcowe niczego nie zakończyły, ale wiele spraw rozpoczęły”. Przede wszystkim „rozpoczęły

¹⁷ K. Sabbat, „Nie ma prawdziwej demokracji bez pluralizmu”, „RzP” 1989, nr 6, s. 1, 4.

¹⁸ E. Szczepanik, *Niezmienione zadania Rządu RP*, „RzP” 1989, nr 6, s. 3.

¹⁹ *Rezolucja Rady Narodowej RP*, „RzP” 1989, nr 6, s. 2.

²⁰ *Ramię przy ramieniu*, „DPDŻ” 1989, nr 137, s. 1.

ostateczny rozkład monopartii”. W tej sytuacji „nie może już być mowy o powrocie do »dyktatury proletariatu« ani do »centralizmu demokratycznego«”. „Partia – podsumował Wasiutyński – jako główny filar ustroju przestała istnieć. Pozostaje wojsko i policja z Jaruzelskim na czele”. W wyniku wyborów pojawiła się natomiast „partia drugiego obiegu” („drużyna Wałęsy”). Ma ona mandat do reprezentowania społeczeństwa, ale „nie może przejąć władzy od PZPR, bo wywołałoby to reakcję generalicji, nomenklatury i Moskwy o nieobliczalnych konsekwencjach”. „Współrządy wojska i partii drugiego obiegu – przepowiedział Wasiutyński – najeżone będą trudnościami”. Od demokratyzacji życia, przede wszystkim wolności zrzeszania się, nie ma jednak odwrotu, a „to musi zmienić cały układ społeczno-polityczny”. Do sukcesu Solidarności w wyborach przyczyniło się poparcie Kościoła, jedyne autorytetu instytucjonalnego. Wasiutyńskiego niepokoiło to, że władzę w zwycięskim obozie przechwyciła „lewica” z Bronisławem Geremekiem, Jackiem Kuroniem i Adamem Michnikiem na czele. Polsce grozi jednak przede wszystkim anarchia gospodarcza, „w której kto może, będzie kładł rękę na czym się da” – oceniał²¹.

Jeszcze większy dystans do lewicowych kręgów opozycji oraz niektórych elementów polityki Zachodu widoczny jest w publicystyce Leszka R. Jasińczyka Krajewskiego. Autor ten twierdził na łamach „Myśli Polskiej”: „zarówno w rozkładającej się PZPR, jak i w oficjalnej opozycji elementy lewicowe obawiają się takiej zmiany, która by wytworzyła naturalną demokratyczną strukturę samorządną działającą po linii interesów społeczeństwa”. W zamian „chcieliby utrzymać system mniej lub więcej biurokratyczny, w którym mogliby odgrywać jakąś rolę”. Nieokreślone bliżej „czynniki międzynarodowe” – pisał Krajewski – „są przeciwne ułożeniu się stosunków między Rosją a Zachodem”. „Polska nieustabilizowana, na

krawędzi gospodarczej ruiny, może być manipulowana jako punkt zapalny przeciw Rosji” – ostrzegał. Za naczelne zadania uważał uzdrowienie gospodarki i upodmiotowienie społeczeństwa. Strasząc groźbą chronicznego chaosu w kraju, wzywał do „roztropnego kompromisu”²². Nie sprecyzował jednak adresata swojego apelu. Można się domyślać, że chodziło mu o „drużynę” Wałęsy i Jaruzelskiego, najlepiej pozbawione „lewicowych biurokratów”.

„Krajobraz po bitwie” szkicował na łamach londyńskiej „Trybuny” Krzysztof Mularczyk, członek Centralnego Komitetu Wykonawczego PRW NiD. „Wyniki wyborów w Polsce – chwalił się po fakcie swoją przenikliwością – były zaskakujące dla rządu i opozycji, ale nie dla mnie”. „Głównymi siłami – prorokował – zostaną Solidarność i zreformowana Partia”. Wszystkie pozostałe ugrupowania będą musiały „szukać sojuszków z tymi wielkimi siłami”²³.

Redakcja „Gazety Niedzielnej” była pod „ogromnym wrażeniem” wyborów w kraju. Ogłoszenie przez władze PRL prawdziwych wyników uznano za „rzecz godną zaznaczenia i aprobaty”. Katolicki tygodnik przestrzegał jednak przed wciąganiem przedstawicieli Solidarności do współrządzenia. W ten sposób komuniści zamierzali „na nich móc zwalić winy za dziesięciolecie nadużyć władzy, marnotrawstwa ekonomicznego i całkowitej ruiny gospodarczej Polski”. Solidarność powinna pozostać w opozycji, stworzyć „rząd cieni” i przygotowywać się, aby przy następnych wyborach za cztery lata przejąć „choćby częściowo odpowiedzialność za przyszłe losy Ojczyzny”²⁴.

Jeszcze w końcu lipca 1989 r. komentator londyńskiego „Dziennika Polskiego”, zastanawiając się, „czy Solidarność opłaca się w obecnej sytuacji wziąć na siebie trudne zadanie stworzenia rządu, a tym bardziej – wejścia do rządu zdominowanego przez komunistów”, uważał to raczej za samobójstwo niż za sukces. Na emigracji obawiano się, że Solidarność

²¹ W. Wasiutyński, *Po czerwcowych wyborach*, „MP” 1989, nr 11/12, s. 1.

²² L.R. Jasińczyk Krajewski, *Trochę sensu*, „MP” 1989, nr 13/15, s. 4.

²³ K. Mularczyk, *Krajobraz po bitwie – wybory 89*, „T” 1989, nr 61, s. 13–15.

²⁴ *Wybory w Polsce*, „GN” 1989, nr 26, s. 3.

nie będzie mogła skutecznie kierować „obcym” sobie aparatem administracyjnym. Zresztą „strategiczne ministerstwa – spraw wewnętrznych, zagranicznych i wojskowych – pozostałyby i tak w rękach komunistów. W każdej chwili groziłby więc wojskowy zamach stanu, a przy dowództwie wojska w rękach podporządkowanych Moskwie generałów i przy obecności sowieckiej armii na terenie Polski nie można wykluczyć nawet inwazji w razie zbyt daleko idących posunięć”. Ponadto Solidarność, tworząc rząd, „weźmie na siebie współodpowiedzialność za dawne niepowodzenia, a perspektywa sukcesu jest odległa i niepewna”.

Londyński „Dziennik Polski” już wcześniej zajmował krytyczne stanowisko wobec Okrągłego Stołu czy czerwcowych wyborów. Autor komentarza nie miał również zaufania do solidarnościowych elit: „Wejście [Solidarności] do rządu – twierdził – może zrodzić podejrzenie (oby nie uzasadnione), że przy Okrągłym Stole i wyborach chodziło tylko i wyłącznie o nowy podział stanowisk”²⁵. Ta ostatnia opinia była jednak odosobniona w polskim Londynie.

Nowy – po śmierci Sabbata – prezydent RP Ryszard Kaczorowski, przemawiając 17 sierpnia w Londynie na otwarciu zjazdu 1 Dywizji Pancerniej, stwierdził, iż w niedawnych wyborach Polacy w kraju zdecydowanie wypowiedzieli się przeciwko panującemu systemowi. „W tych zmaganiach – podkreślił prezydent – jesteśmy z narodem i z wiarą patrzymy w przyszłość, która przyniesie Polsce wolność i dobrobyt”. Dodał: „Nauczeni bolesnym doświadczeniem poprzednich prób zrzućcia jarzma komunistycznego ostrożnie oceniamy osiągnięte wolności”²⁶.

Sytuacja w kraju i na emigracji szybko się zmieniła. Kilka dni później gen. Wojciech Jaruzelski jako prezydent PRL powierzył misję utworzenia rządu Tadeuszowi Mazowieckiemu. Były szef Sekcji Polskiej BBC Jan Krok-Paszkowski, komentując na łamach

„Dziennika Polskiego” wydarzenia w kraju, stwierdził: „Po raz pierwszy od zakończenia wojny powstał rząd mający szeroką bazę społeczną. Osoba premiera, Tadeusza Mazowieckiego, wzbudza powszechne zaufanie”. Publicysta, „stawiając na Polskę”, apelował również do emigracji o zaufanie do nowego rządu. Zaznaczył, że Polsce nie grozi już niebezpieczeństwo ze strony Związku Sowieckiego ani Niemiec. Moskwa pogodziła się z utworzeniem w Polsce rządu „kierowanego przez ludzi niezależnych”: „Tym samym zakończył się okres ślepego popierania lojalnych, choć nieudolnych agentów. I to stanowi główną szansę powodzenia nowego rządu Tadeusza Mazowieckiego”. Ludzie muszą uwierzyć, że w Polsce może być lepiej, „bo w przeciwnym razie mobilizacja zbiorowego wysiłku okaże się niemożliwa”.

Krok-Paszkowski opowiadał się za ewolucyjnymi zmianami w kraju. Ostrożność należało zachować zwłaszcza w polityce wobec wschodniego sąsiada. Według publicysty „Lech Wałęsa, cieszący się największym autorytetem w Polsce i za granicą, powinien pojechać do Moskwy i złożyć zapewnienia Gorbaczowowi, że Polska zamierza dotrzymać zobowiązań wynikających z Układu Warszawskiego i z członkostwa w RWPG. Ale powinien stwierdzić, że Polska weszła definitywnie i nieodwracalnie na drogę samodzielnego rozwoju gospodarczego i politycznego”. Polska, jako lojalny członek Układu Warszawskiego, nie może się stać „bazą Sojuszu Atlantycznego”, a armia polska nadal będzie się znajdować „pod kontrolą dowództwa sowieckiego”. Nowe władze w Warszawie powinny dążyć do „rozsądnego zreformowania” RWPG, pamiętając, że „najbardziej naturalnym rynkiem zbytu dla polskiego przemysłu pozostanie Europa Wschodnia”. Równocześnie muszą jednak „powoli, ale konsekwentnie oscylować w kierunku Brukseli”. Polska leży w Europie – podkreślił Krok-Paszkowski – dlatego „Bruksela jest nam bliższa niż Waszyngton”. Należy

²⁵ Rząd „Solidarności” – sukces czy samobójstwo?, „DPDŻ” 1989, nr 177, s. 1.

²⁶ R. Kaczorowski, Z wiarą patrzymy w przyszłość, „RzP” 1989, nr 8, s. 3.

więc „rozpatrzyć wszystkie możliwości związania się ze Wspólnym Rynkiem”²⁷.

Czy Polska zawieszona między Moskwą i Brukselą odpowiadała aspiracjom i ambicjom większości Polaków? Dla „niezłomnych” na emigracji taki minimalizm polityczny był zdecydowanie nie do przyjęcia.

Redakcja „Dziennika Polskiego”, informując o problemach ze sformowaniem rządu, pisała w komentarzu: „Skromnemu człowiekowi, katolickiemu intelektualistcie Tadeuszowi Mazowieckiemu przypadło w dojrzałych już latach w udziale próbować rzeczy, której przed nim nikt jeszcze nie dokonał – stworzyć niekomunistyczny rząd w państwie od 45 lat będącym we władzy komunistów”. Mając świadomość rozlicznych problemów, redakcja apelowała o konsolidację wokół nowych władz w kraju: „Solidarność, w oparciu o dużą część społeczeństwa z Kościołem na czele, wzięta na siebie ciężką rolę wyprowadzenia Kraju z nieszczęścia – bo tylko ona jedna mogła się tego podjąć. [...] Trzeba popierać tych, którzy są zdolni do reform, do przemian, do realizowania programu ocalenia narodowego, chociaż wiadomo, że uczą się w marszu, że nie mają doświadczenia ani jasnego rozeznania, co i jak trzeba robić – a przede wszystkim z kim”. Wybranie przez Sejm PRL solidarnościowego premiera uznane zostało na emigracji za wydarzenie bardziej przełomowe niż czerwcowe wybory: „Dlatego do tego, co w Polsce się dzieje, podchodzimy z wielką nadzieją – ale ostrożnie. Z niepełnym zaufaniem. Komunistom wierzyć nie można. [...] Jakkolwiek się sprawy potoczą, do niepodległości – która musi być celem ostatecznym – jeszcze bardzo daleko. Ale już bliżej niż było”²⁸.

Powierzenie misji utworzenia rządu Mazowieckiemu, „wybitnemu przedstawicielowi Solidarno-

ści”, z zadowoleniem witał Polski Ruch Wolnościowy Niepodległość i Demokracja. Decyzję tę postrzegano w tym środowisku jako naturalną konsekwencję czerwcowych wyborów oraz „kolejny etap na drodze do budowania demokracji i wolności w Polsce”. W specjalnej uchwale z 29 sierpnia przekazywano nowemu premierowi „szczerze wyrazy uznania i podziwu za jego odwagę i nieugiętą postawę w walce o pełną demokrację i wolność dla Narodu Polskiego wraz z najlepszymi życzeniami powodzenia i sukcesu w wyprowadzaniu Kraju z obecnego kryzysu”. Wzywano też „wszystkich Polaków do pełnego poparcia dla jego wysiłków”²⁹.

„Gazeta Niedzielną” była „pod silnym wrażeniem” zmian dokonanych „z błyskawiczną szybkością oraz w skali i jakości, o jakiej nie śniło się najśmielszym optymistom i najgorętszym patriotom”. W komentarzu redakcyjnym z entuzjazmem pisano, iż na czele nowego rządu w kraju stanął „katolik i wieloletni doradca Solidarności, człowiek o łagodnych obyczajach, twardym charakterze i wielkiej odwadze”, który „cieszy się zaufaniem narodu”. W obliczu grożącego Polsce bankructwa przestrzegano rodaków w kraju przed oczekiwaniem „zbyt licznych i zbyt szybkich zmian”: „Zmiany bowiem są zbyt liczne, zbyt gruntowne i zbyt głębokie, by mogły być przeprowadzone z dnia na dzień czy nawet z roku na rok”. Jak podkreślono, „nad Polską wisi cień Rosji, z którym rząd musi się liczyć”, a partia komunistyczna „nie przestała istnieć i nadal pretendować do władzy”. Mimo dokonujących się zmian na wolne wybory kazano Polakom czekać jeszcze cztery lata. W tej trudnej i skomplikowanej sytuacji – apelowała „Gazeta Niedzielną” – premiera Mazowieckiego należy „wspierać ze wszystkich stron, ze wszystkich sił i w każdej godzinie jego nadludzkiego wysiłku na rzecz całego narodu, całej Polski”³⁰.

²⁷ J. Krok-Paszkowski, *Stawiamy na Polskę*, „DPDŻ” 1989, nr 199, s. 1, 8. Chyba nieprzypadkowo kilka dni później na łamach „Dziennika Polskiego” pojawiła się notatka informująca o tym, że zamieszczane komentarze nie muszą odzwierciedlać poglądów redakcji. „Złożona sytuacja w Polsce – wyjaśniano – nakłada na nasze pisma, zarówno na »Tydzień Polski«, jak i »Dziennik Polski«, specjalny obowiązek prezentowania możliwie szerokiej panoramy ocen, aby czytelnicy byli w stanie przybliżyć sobie polską rzeczywistość i wyrobić sobie o niej prawidłowy pogląd” (*Od Redakcji*, „DPDŻ” 1989, nr 204, s. 2).

²⁸ *W rocznicę porozumień*, „DPDŻ” 1989, nr 208, s. 1, 8.

²⁹ *Solidarnościowy premier*, „T” 1989, nr 62, s. 3.

³⁰ *Nadchodzi nowa Polska*, „GN” 1989, nr 42, s. 3.

W tym samym numerze katolickiego tygodnika w samych superlatywach o nowym premierze pisał Wacław Netter. Zaznaczył, że Mazowiecki jest wierzącym katolikiem, popieranym przez Kościół oraz lewicę laicką. Jest też „działaczem politycznie wyrobionym, układnym i niezależnym, to znaczy nie był nigdy czymś człowiekiem. Umie rozmawiać z przyjaciółmi i wrogami, co będzie mu pomocne w rokowaniach z przedstawicielami obcych państw i delegatami stronnictw polskich”³¹.

Prezes Stronnictwa Narodowego i redaktor naczelny „Myśli Polskiej” Antoni Dargas twierdził, iż powołanie rządu Mazowieckiego jest następnym (po Okrągłym Stole i czerwcowych wyborach) etapem „w rozwoju sytuacji wewnętrznej w Polsce”. Podkreślał, że na czele rządu po raz pierwszy od 45 lat stanął nie komunista, a katolik: „I ten fakt jest ważny”. Nowy rząd stanął przed zadaniem „przechodzenia z jednego systemu do drugiego, z satelictwa do niepodległości, z dyktatury do demokracji, z gospodarki monopolistyczno-państwowej do rynkowej, z dna ekonomicznej ruiny do jakiegoś wzrostu produkcji dóbr i zaspokojenia najprostszych ludzkich potrzeb”. W tej trudnej sytuacji Dargas deklarował poparcie dla programu reform rządu, mimo sekowania w kraju ruchu narodowego zarówno przez komunistów, jak i blok solidarnościowy. Z aprobatą i uznaniem wypowiedział się też o pierwszych wystąpieniach nowego ministra spraw zagranicznych Krzysztofa Skubiszewskiego oraz planach reformy gospodarki formułowanych przez wicepremiera i ministra finansów Leszka Balcerowicza³².

Stanowisko emigracyjnych władz było zdecydowanie bardziej stonowane. Otwierając 15 września III Światowy Zjazd Wolnych Polaków, prezydent Kaczorowski podkreślił: „Z największą troską śledzimy rozwój wydarzeń w Kraju. Uzyskane wolności są przede wszystkim zasługą działaczy solidarności-

wych i niepodległościowych. To ich determinacja i poświęcenie mimo rozlicznych szykan i wielu lat więzienia przyniosły rezultaty”³³. Nie wspomniał jednak, że trzy dni wcześniej Sejm PRL zatwierdził nowy rząd. Nie wymienił też nazwiska premiera.

Nazajutrz na tymże zjeździe premier Szczepanik odniósł się bezpośrednio do „przełomowych” wydarzeń w kraju: „Oto w 50 lat od utracenia niepodległości z inicjatywy Lecha Wałęsy ster nawy państwowej w Kraju objął nareszcie prawdziwy patriota, Tadeusz Mazowiecki”. Wspominając z niepokojem o tworzeniu „wokół Jaruzelskiego nowego ośrodka władzy”, dodał: „rzeczywista władza jest nadal w rękach komunistów” i „niełatwo będzie ją im odebrać”. Oprócz „komunistycznego prezydenta” jest jeszcze „kilku aprobowanych przez sowieckie KGB »ministrów«” w nowym rządzie oraz „oślawiona »nomenklatura«”. Premier dodał jednak z optymizmem: „ich dni trzymania się przy władzy są policzone”. Po wolnych wyborach „pełna klęska polityczna komunistów będzie nieuchronna. Na ten dzień czekamy i wierzymy, że go doczekamy”. Jednak do tego czasu kierownictwo emigracji powinno trwać przy swym maksymalistycznym stanowisku, że legalne władze Rzeczypospolitej są tylko w Londynie. Dopóki Polska nie będzie „całkowicie niepodległa, wolna i demokratyczna”, premier wykluczył oficjalne kontakty między przedstawicielami emigracyjnych władz oraz wspierających je organizacji politycznych, społecznych i kulturalnych a „reprezentantami zależnej od komunistów administracji w Kraju”. Łączność z ruchami niepodległościowymi w Polsce uznał natomiast za „jak najbardziej pożądaną”. Dozwolone były również „kontakty prywatne i wizyty rodzinne, zwłaszcza młodego pokolenia, urodzonego na obczyźnie, które winno w Kraju bywać i poznawać go, aby się nie wynarodowić”³⁴.

W uchwale przyjętej przez III Światowy Zjazd Wolnych Polaków stwierdzono: „Mimo że dokonane

³¹ W. Netter, *Premier Tadeusz Mazowiecki*, „GN” 1989, nr 42, s. 8.

³² A. Dargas, *Rząd Tadeusza Mazowieckiego*, „MP” 1989, nr 16/19, s. 1.

³³ R. Kaczorowski, *Próba zrzucenia obcej dominacji*, „RzP” 1989, nr 9, s. 1.

³⁴ E. Szczepanik, *Nieuchronna klęska komunistów*, „RzP” 1989, nr 9, s. 1, 15.

zmiany osłabiły partię komunistyczną, w Kraju panuje nadal narzucony mu przez obcych system komunistyczny, a na drodze do niepodległości i demokracji piętrzą się trudności”. Emigranci wyrażali uznanie dla ruchów wolnościowych, z Solidarnością na czele, „za wytrwałość w walce o utrzymanie ducha narodowego”. Razem z narodem podzielali też „radość z uzyskanych dotychczas osiągnięć”. Szczególnie popierali „opozycję niezależną”, która „otwarcie stawia postulaty niepodległości i demokracji”. Doceniając polityczne osiągnięcia Solidarności, dalszy stosunek do niej uzależniali od tego, „czy i jak skutecznie będzie się ona przyczyniała do likwidacji sowietyzmu w Kraju. Jesteśmy gotowi poprzeć wszystkie zmierzające do tego celu poczynania Tadeusza Mazowieckiego i jego politycznych zwolenników” – deklarowali. Dużą wagę przykładali do sytuacji ekonomicznej kraju, podkreślając, że „sprawa uzdrowienia gospodarki i sprawa walki o niepodległość są z sobą ściśle związane”. Winą za katastrofalny stan gospodarki obarczali „wyłącznie komunistyczne władze PRL”, a jako warunki konieczne do jej naprawy widzieli „daleko idące zmiany ustrojowe”. Przyszłość Polski wiązali ze Wspólnym Rynkiem Europejskim i Zjednoczoną Europą³⁵.

Znacznie większy dystans do nowego rządu w kraju zachował redaktor „Tygodnia Polskiego” Włodzimierz Olejnik. W ostatnich dniach października opublikował artykuł pod zmiennym tytułem *To jeszcze nie „nasz rząd”*. Polemizował z głosami, że rząd Mazowieckiego jest prawowitym rządem polskim i wobec tego rząd RP na uchodźstwie należy rozwiązać. Olejnik podkreślił, że jakiegokolwiek zmiany politycznego systemu w Polsce nie są możliwe bez wiedzy i zgody Moskwy: „Jeżeli ktoś twierdzenie to odrzuca, jest albo politycznie naiwny czy niezorientowany, albo świadomie głosi nieprawdę”. Również decyzja o powołaniu rządu pod wodzą premiera katolika jego zdaniem „mogła zapaść tylko na Kremlu”. Moskwa zgodziła się na „dość szeroką autonomię Polaków” – przeko-

nywał Olejnik – ponieważ „dalsze utrzymywanie rządów partii komunistycznej, zamaskowanej agentury sowieckiej groziło ogromną eksplozją społeczeństwa polskiego, świadomego bezmiaru ekonomicznego kryzysu”. Publicysta dostrzegał, że pierestrojka w Związku Sowieckim również dla Polski stworzyła „szanse na rozluźnienie bardzo ciasnego dotychczas gorsetu”. Przypominał jednak, że polscy komuniści nie zeszli ze sceny, nie rzekli się władzy: „Cofnęli się wobec katastrofalnej sytuacji gospodarczej, do której doprowadzili, i wobec niemożności uzyskania zagranicznych kredytów. Ciężar wyprowadzenia Polski z katastrofy gospodarczej przerzucili na Solidarność, łącznie z łagodzeniem ewentualnych wystąpień zabiedzonych mas społecznych”.

„Tadeuszowi Mazowieckiemu nikt z Polaków chyba nie życzy źle – pisał Olejnik. – Tym jednak, którzy chcą widzieć w jego rządzie – rząd polski, rząd Rzeczypospolitej, należy przypomnieć, że rząd ten nie pochodzi z wolnych wyborów, że nadal w Sejmie PRL większość mają komuniści. [...] Nadzieje na wyprowadzenie Polski z głębokiej zapaści gospodarczej przez rząd Tadeusza Mazowieckiego nie mogą prowadzić do złudzeń, że jest to suwerenny rząd polski. Rząd RP bowiem to nie jest rząd PRL”³⁶.

Jesienią 1989 r. londyńskie obchody Święta Niepodległości odbywały się w odmiennej niż w poprzednich latach atmosferze. Premier Szczepanik z radością ogłosił: „po kwietniowych »rozmowach przy okrągłym stole«, po czerwcowych wyborach parlamentarnych ograniczonych do 35 proc. miejsc w Sejmie, nastąpiła wreszcie tej jesieni radykalna zmiana we władzach PRL”. Szef rządu emigracyjnego życzył rodakom w kraju, „z Lechem Wałęsą na czele, przywrócenia Polsce pełnej suwerenności, wolności i prawdziwej demokracji” oraz „aby jak najszybciej pozbyli się sowieckiej »opieki« politycznej, wojskowej i gospodarczej, zarówno bezpośredniej, jak i pośredniej, to jest przez polskich agentów Moskwy, z Wojciechem Jaruzelskim

³⁵ W służbie Rzeczypospolitej Polskiej. Uchwała III Światowego Zjazdu Wolnych Polaków, „RzP” 1989, nr 10, s. 2–3.

³⁶ W. Olejnik, *To jeszcze nie „nasz rząd”*, „DPDŻ” 1989, nr 258, s. 2, 13.

na czele”. W trudnej sytuacji sprawą naczelną stała się pomoc ekonomiczna dla Polski³⁷.

W polskim Londynie coraz silniej brzmiały nawoływania o pomoc „braciom w kraju”. W końcu listopada Zjednoczenie Polskie w Wielkiej Brytanii powołało Komitet Doraźnej Pomocy Krajowi (Help Poland Fund). Przewodniczył mu prezydent Kaczorowski. Inicjatywę poparli seniorzy emigracji – byli prezydent Edward Raczyński oraz generałowie Stanisław Maczek i Klemens Rudnicki. „W obecnej sytuacji – apelował Komitet – pomoc, jaką przez ostatnie 45 lat Emigracja hojnie i wytrwale w różnej formie świadczyła Krajowi – nie wystarczy! [...] Kraj potrzebuje dużo większej i natychmiastowej pomocy finansowej. [...] Nie czekajmy! Nasza pomoc potrzebna jest teraz, dzisiaj. Jeszcze przed zimą, która będzie w Polsce jak nigdy przedtem – biedna, głodna i chłodna”. Do końca stycznia 1990 r. Polacy w Wielkiej Brytanii zebrali ponad 300 tys. funtów³⁸. Emigranci czuli się odpowiedzialni za swoją ojczyznę. Zwłaszcza w trudnej sytuacji.

Komentator „Gazety Niedzielnej” apelował do emigrantów nie tylko o indywidualną pomoc dla rodaków w kraju w formie paczek, ale także żywą gotówkę, która byłaby do dyspozycji ministra finansów: „W punkcie zwrotnym swojej historii – argumentował – Polska stanowi dla każdego Polaka więcej niż właściwe miejsce celowego działania, które jest nie tylko sprawą patriotyzmu. Jest również sprawą sumienia”³⁹.

Głośnym echem na emigracji odbiła się wizyta Lecha Wałęsy w Londynie na przełomie listopada i grudnia 1989 r. Działacze Polskiego Ruchu Wolnościowego Niepodległość i Demokracja witali przewodniczącego Solidarności „jako naszego i całej emigracji polskiej

w Wielkiej Brytanii najmiłszego gościa”. Wyrażali mu „najwyższe uznanie”, „podziw” i „wdzięczność”⁴⁰.

W imieniu emigracji „gościa z Gdańska” serdecznie witał też londyński „Dziennik Polski”. W komentarzu wydrukowanym w przededniu przyjazdu Wałęsy ubolewano jedynie, że spotkanie przewodniczącego Solidarności z emigracją znalazło się na marginesie całej wizyty: „jakby nasza wieloletnia praca polityczna i społeczna dla dobra Kraju nie bardzo się liczyła. Być może, że gdyby obie strony prędzej się ocknęły, to Wałęsę przyjęlibyśmy w Albert Hallu – do którego autokary zwiozłyby z całego kraju stęsknionych Polaków”⁴¹.

2 grudnia Wałęsa spotkał się z emigracją po mszy św. w polskim kościele na Ealingu, a wieczorem tego dnia przybył na spotkanie z rodakami w Polskim Ośrodku Społeczno-Kulturalnym. Wszędzie był owaacyjnie witany przez tłumy emigrantów. Nazajutrz rano, przed odlotem do kraju, rozmawiał jeszcze z byłym prezydentem Edwardem Raczyńskim⁴². Nie doszło jednak do jego spotkania z politycznym kierownictwem wychodźstwa: prezydentem Kaczorowskim czy premierem Szczepanikiem.

W dniu, w którym przewodniczący Solidarności spotykał się z emigrantami w Londynie, obradowała Rada Narodowa. W przemówieniu wygłoszonym na posiedzeniu emigracyjnego parlamentu premier Szczepanik stwierdził, iż Wałęsa stał się „rzeczywistym wodzem narodu”. Dostrzegając „poważne zmiany polityczne”, które dokonały się w Polsce w ostatnim roku, kolejny raz zaapelował o pomoc krajowi „w odzyskaniu suwerenności i przywróceniu demokracji”⁴³.

³⁷ E. Szczepanik, *Listopadowa rocznica*, „RzP” 1989, nr 11, s. 1.

³⁸ *Akcja doraźnej pomocy Polsce*, „DPDŻ” 1989, nr 280, s. 1; *Premier Mazowiecki dziękuje*, „DPDŻ” 1990, nr 30, s. 1.

³⁹ *Sprawa sumienia*, „GN” 1989, nr 49, s. 3.

⁴⁰ *Uchwała Polskiego Ruchu Wolnościowego „Niepodległość i Demokracja”*, „DPDŻ” 1989, nr 291, s. 7.

⁴¹ *Gość z Gdańska*, „DPDŻ” 1989, nr 284, s. 1.

⁴² O wizycie Wałęsy szeroko pisała emigracyjna prasa, zob. *Lech Wałęsa w Londynie polskim i brytyjskim. Wielkie święto emigracji*, „DPDŻ” 1989, nr 289, s. 1, 8; K. Asipowicz, *Wałęsa żywy*, „DPDŻ” 1989, nr 293, s. 2; M.M. Śliwińska, *Lech Wałęsa w Londynie*, „DPDŻ” 1989, nr 294, s. 1, 4; P. Hęciak, *Lech Wałęsa w POSK-u*, „DPDŻ” 1989, nr 299, s. 5; K. Bzowska, *Brytyjska misja Lecha Wałęsy*, „RzP” 1989, nr 11, s. 3, 10; *Wałęsa w Londynie*, „T” 1990, nr 63, s. 6.

⁴³ E. Szczepanik, *Pomóżmy Polsce*, „RzP” 1989, nr 12, s. 4, 6.

Znacznie dalej poszedł minister spraw krajowych Ryszard Zakrzewski. W swoim wystąpieniu w Radzie Narodowej opozycję w kraju podzielił na trzy grupy: opozycję walczącą (Solidarność Walcząca), demonstrowującą (Konfederacja Polski Niepodległej) i wpisaną w system (Solidarność z Wałęsą i rząd PRL z Mazowieckim na czele). Dwie pierwsze organizacje uważał za „niewielkie grupy, których żywot i żywotność jest często enigmatyczna”. Oceniał, że „tylko Wałęsa i Mazowiecki mają możliwość efektywnego działania politycznego, zmierzającego krok po kroku, dzień po dniu do demokratyzacji systemu. I choć tylko udało im się przebyć jedną trzecią drogi do demokracji – to jest dobry realny początek, zwiastujący nadzieję”. Wobec zmian w Związku Sowieckim oraz w Polsce Zakrzewski wskazał na potrzebę pragmatycznej polityki emigracji. „Nie możemy chować głowy w piasek – apelował do politycznej elity wychodźstwa. – Musimy znaleźć sposoby na prowadzenie dialogu z tymi, do których mamy polityczne zaufanie w Kraju. Trzeba po obydwu stronach równocześnie obniżyć bariery dzielące Kraj i Emigrację. [...] Powinniśmy przejść z pozycji totalnego sprzeciwu w stosunku do tego, co było w Kraju – na pozycję współpracy w rozbudowie »nowego«, które idzie przez Polskę, bowiem w innym razie wpisujemy się sami na polityczny margines”⁴⁴.

W nowej rzeczywistości trwanie przy maksymalistycznym stanowisku było coraz mniej zrozumiałe dla rzesz emigrantów. Na wychodźstwie narastały też głosy opowiadające się za koniecznością nawiązania bezpośrednich kontaktów z władzami w kraju. Kierownictwo polityczne emigracji od współpracy z rządem w Warszawie odstręczała jednak świadomość, że nie został on wyłoniony w wolnych wyborach, w jego skład wchodzi komunistyczni ministrowie, a prezydentem PRL jest autor stanu wojennego. Emigracja polityczna nie mogła nad tym przejść do porządku dziennego.

W przyjętej 2 grudnia rezolucji Rada Narodowa przesłał Wałęsie „najlepsze życzenia pomyślności w jego trudnej pracy na rzecz sprawy polskiej”. Ponownie podkreślono, że „mimo korzystnych zmian w Kraju” emigracja „nie uważa swej pracy politycznej za skończoną”. Czekano na chwilę, w której w kraju „zbierze się suwerenny Sejm i Senat i gdy wolny Naród złoży władzę w ręce suwerennej konstytuandy”. Dopiero wówczas zaistnieją polityczne warunki „do formalnej łączności pomiędzy władzami PRL i emigracją niepodległościową”. Zanim to nastąpi, „w interesie ogólnonarodowym jest wzmacnianie kontaktów tej emigracji z niezależnymi organizacją w Kraju, których niepodległościowy charakter nie budzi żadnej wątpliwości”⁴⁵.

Po wizycie Wałęsy minister informacji w rządzie RP Walery Choroszewski z zalem stwierdził, że w wystąpieniach przewodniczącego Solidarności niewiele było słów skierowanych do emigracji niepodległościowej. Zabrakło również okazji do bezpośredniej rozmowy. Emigracja jest gotowa do rozmów „z jak najszerszym wachlarzem krajowej opinii publicznej, z wyłączeniem jedynie komunistów” – dodał. Podkreślił, że polityczne kierownictwo wychodźstwa nie pogodzi się „z jakąś formą »finlandyzacji« [Polski] i rolą obszaru ekonomicznie i politycznie podległego, jakiegoś kondominium Rosji i Niemiec”. Czerwcowe wybory i rząd Mazowieckiego emigranci uważali za ważne etapy na drodze do odzyskiwania przez kraj wolności. „Jeżeli nie będzie niebezpiecznych prób zawrócenia go z tej drogi przez obcą interwencję lub rodzimych komunistów – stwierdził z nadzieją Choroszewski – to są wszelkie szanse, że ten cel osiągnie już w niedługim czasie”. Emigracyjny polityk dodał jednak, że za pokojowe przemiany kraj musiał zapłacić stosunkowo powolnym tempem przemian, prezydenturą dla Jaruzelskiego, pozostawieniem wielu komunistów na czołowych stanowiskach politycznych,

⁴⁴ R. Zakrzewski, *Potrzeba pragmatycznej polityki rządu*, „RzP” 1989, nr 12, s. 5.

⁴⁵ *Rezolucja [Radę Narodowej]*, „RzP” 1989, nr 12, s. 4.

dypomatycznych, wojskowych, administracyjnych i gospodarczych, „przynajmniej w okresie przejściowym, który nie wiadomo jak długo potrwa”⁴⁶.

W końcu 1989 r. wyraźnie widać już było, że system zaprowadzony prawie pół wieku wcześniej w krajach Europy Środkowo-Wschodniej odchodzi w polityczny niebyt. Redaktor „Tygodnia Polskiego” uważał, że komuniści w Polsce „oddali rząd, nie oddali wszakże władzy”, kontrolując nadal resorty obrony i spraw wewnętrznych. Miał jednak nadzieję, że na wolne wybory parlamentarne nie trzeba będzie czekać aż cztery lata, zostaną one przeprowadzone „w znacznie szybszym terminie”. Jest trudne do przewidzenia, czy po takich wyborach gen. Jaruzelski utrzyma się na stanowisku prezydenta – uważał – dokonujące się zmiany pozwalają jednak żywić nadzieję, że „już w nieodległej przyszłości Polska będzie niepodległym krajem, ze swobodnie wybranymi władzami, wolnym od wojsk sowieckich, a być może jako uczestnik zjednoczonej Europy, wraz z innymi dotychczas ujarzmionymi krajami”⁴⁷.

Powrót do nazwy Rzeczpospolita Polska i przywrócenie korony w godle państwa, symbolu suwerenności, „której my nie jesteśmy jeszcze pewni”, premier

Szczepanik uznał za dalsze oznaki, że „zawitała w Polsce Mickiewiczowska »jutrzenska swobody«”. Jednak aby przemiany nie ograniczały się do politycznych symboli, zaproponował przeprowadzenie w kraju wolnych wyborów parlamentarnych już 15 sierpnia 1990 r., w siedemdziesiątą rocznicę bitwy warszawskiej. Po upadku komunistycznych reżimów w krajach Europy Środkowo-Wschodniej emigracyjny premier podkreślił: „Zapoczątkowane w Polsce zmiany dziś już wydają się nieśmiałe w porównaniu z innymi krajami. Trzeba im więc nadać nowego rozędu”⁴⁸.

Za przyspieszeniem opowiadał się również prezydent Kaczorowski. W przemówieniu noworocznym 1 stycznia 1990 r. stwierdził: „Patrzymy na pokojową przebudowę życia politycznego w naszym kraju ze zrozumiałym zniecierpliwieniem, bo chcielibyśmy, aby cel, dla którego pozostaliśmy i pracowaliśmy poza krajem, został osiągnięty jak najszybciej”⁴⁹.

Symbolicznym zakończeniem działalności władz emigracyjnych było przekazanie przez prezydenta Ryszarda Kaczorowskiego na Zamku Królewskim w Warszawie 22 grudnia 1990 r. insygniów władzy wybranemu w wolnych wyborach prezydenckich Lechowi Wałęsie⁵⁰.

⁴⁶ W.E. Choroszewski, *Refleksje po wizycie*, „DPDŻ” 1989, nr 301, s. 3.

⁴⁷ Redaktor „Tygodnia Polskiego”, *Rozstanie z komunizmem*, „DPDŻ” 1989, nr 310, s. 2.

⁴⁸ E. Szczepanik, *Zawitała jutrzenska swobody*, „RzP” 1990, nr 1, s. 1, 3.

⁴⁹ R. Kaczorowski, *Doprowadzenie kraju do suwerennego bytu*, „RzP” 1990, nr 1, s. 1.

⁵⁰ *Zakończenie działalności władz RP na uchodźstwie 1990*, red. Z. Błazyński, R. Zakrzewski, Londyn 1995.

ŚWIADECTWA

LATA SOLIDARNOŚCI

BRONISŁAW KOMOROWSKI

absolwent Wydziału Historycznego
Uniwersytetu Warszawskiego, działacz
opozycji antykomunistycznej, od 1976 r.

współpracownik Komitetu Obrony
Robotników i Ruchu Obrony
Praw Człowieka i Obywatela, drukarz
i kolporter wydawnictw niezależnych,
organizator demonstracji niepo-
dległościowych, w 1979 r. założyciel
oficyny Biblioteka Historyczna
i Literacka. W stanie wojennym interno-
wany, redaktor pisma podziemnego
„ABC – Adriatyk, Bałtyk, Morze Czarne”.

W III RP polityk, poseł, w latach
1990–1993 wiceminister obrony narodowej,
2000–2001 minister. Członek władz Unii
Wolności, Stronnictwa Konserwatywno-
-Ludowego i Platformy Obywatelskiej,
w latach 2007–2010 marszałek sejmu,
od 2010 r. prezydent RP.

Jan Skórzyński: Czy strajki w sierpniu 1980 r. i ich dojrzały wymiar polityczny były dla Pana zaskoczeniem? Jak Pan spędził te wakacje?

Bronisław Komorowski: Wakacje spędzaliśmy z Jankiem Dworakiem, jego żoną i dziećmi w Borach Tucholskich, w Parowej nad Brdą. Byliśmy tam zupełnie odizolowani, z trudem odbieraliśmy Radio Wolna Europa. Gdy dowiedzieliśmy się o strajkach, postanowiliśmy wrócić do Warszawy. Janek miał „malucha”, załadowaliśmy do niego dwie żony, czwórkę dzieci, dwa kojce i nas dwóch. Samochód był zapchany do niemożliwości, dzieci trzymaliśmy na kolanach. Wracaliśmy z przekonaniem, że zaczęło się na serio, i natychmiast zabraliśmy się do pracy.

Najbardziej dumny jestem z tego, że udało nam się wywołać (czy przynajmniej przyczynić się do niego) strajk tramwajarzy i kierowców autobusów w Warszawie. Mieliliśmy sygnały, że w MZK wrze, postanowiliśmy więc pomóc na miarę naszych możliwości. Udało się zebrać kilkunastu chłopaków, współpracowników Biblioteki Historycznej i Literackiej, zrobiliśmy ulotki – z 21 postulatami gdańskimi. Przez pierwsze dni strajku panowała w kraju dezorientacja (a w prasie absolutna cenzura) i dezinformacja co do żądań robotników. Janek Dworak pamięta, że Grażyna Houwałt przyniosła zdjęcie wykonane przez fotografa CAF (do dziś nie wie, kto to był), na którym widniała tablica z postulatami znad bramy Stoczni Gdańskiej – to był koronny dowód ich prawdziwości. Przepisaliśmy je na ulotki. Ta fotografia długo potem wisiła u Janka w domu. Ulotki drukowaliśmy w jakiejś piwnicy, wkładaliśmy po kilkanaście egzemplarzy do kopert i rozdawaliśmy pasażerom w autobusach i tramwajach. Potem uznaliśmy, że lepiej dawać motorniczym i kierowcom. Robiliśmy to w momencie zmiany, gdy tramwaje i autobusy zjeżdżają do zajezdni, bo chcieliśmy, żeby ulotki trafiły na moment, gdy się wszyscy spotykają. Wszyscy brali, nikt nie odmawiał.

Następnego dnia po akcji słyszemy w radiu: strajk w zajezdni warszawskich tramwajów! Czułem się jak bokser na ringu, który właśnie znokautował przeciwnika. To było uskrzydające poczucie siły, prawdziwy smak zwycięstwa.

Chcieliśmy jechać do Gdańska, ale dowiedzieliśmy się, że w stoczni jest już Olek Hall i jego grupa, więc staraliśmy się ich wspomagać – głównie transportami prasy i książek niezależnych. Zmobilizowaliśmy wszystkie nasze zasoby bibuły, magazyny wyczyściliśmy

do dna. Maluchem mojej cioci Toni Komorowskiej, która też działała w opozycji, pojechało to wszystko do Gdańska. Woził głównie Krzysztof Dowgiałło. Ja też raz pojechałem – z jego żoną Micią – maluchem wyładowanym po dach. Podczas jakiegoś ostrego hamowania cała bibuła zwała się na Micię, łamiąc fotel i wciskając ją w przednią szybę. Ale dojechalismy szczęśliwie.

Gdańsk brał wszystko, a my spieszyliśmy się, by jak najwięcej wydawnictw – naszych, nie naszych – tam zawieźć, bo przecież wiedzieliśmy, że to nie musi się udać, że za chwilę skończy się ten festiwal wolności i tyle naszego, ile wepchniemy bibuły w nowe środowiska, do nowych ludzi. Potem jako Biblioteka Historyczna i Literacka wydaliśmy antologię poezji robotniczej z Grudnia '70 i Sierpnia '80 (*Grudzień – sierpień. Piosenki i wiersze Wybrzeża*, Warszawa 1980) – bardzo porządnie, na offsecie. Przygotowywał ją m.in. Dowgiałło. Dopiero później się dowiedziałem, że to on jest autorem piosenki „Janek Wiśniewski padł”. Krzysztof uczestniczył w demonstracjach grudniowych, widział ówczesną bierność studentów, pracowników akademickich i całej inteligencji. W rozpaczy napisał tę piosenkę, stylizowaną na język robotniczy, a my, nic o tym nie wiedząc, wydaliśmy to później jako poezję robotniczą.

Czym dla Pana było porozumienie gdańskie: krokiem do wolnej Polski czy niepotrzebnym kompromisem z komunistami?

Uważałem porozumienie za absolutnie tymczasowe. Miałem wciąż to samo nastawienie: tyle naszego, ile zrobimy teraz. Jeśli kompromis – to tymczasowy, który pozwoli nam się wzmocnić i iść dalej. Celem nie było budowanie związku zawodowego – uważałem to jedynie za środek do dalszych celów: wolności i demokracji. Na pewno nas na tym etapie oszukają, wykończą – myślałem – ale będziemy już sto razy silniejsi niż wcześniej. A poza tym likwidując monopol komunistów na związki zawodowe, rozkładamy system. Byłem przekonany, że ścigamy się z czasem, trzeba go wykorzystać, bo to długo nie potrwa. Związek Radziecki stoi przecież na straży systemu i choć jest zajęty w Afganistanie, to prędzej czy później nas zgniotą.

Nie ujawnialiśmy więc naszej struktury, bazy drukarskiej ani magazynów bibuły. Oczywiście zaangażowaliśmy się w Solidarność, ale każdy z naszej grupy poszedł w trochę inną stronę. Ja podjąłem pracę w Ośrodku Badań Społecznych przy Regionie Mazowsze, kierowanym przez Antka Macierewicza. Janek Dworak znalazł się w redakcji „Tygodnika Solidarność”. Wszyscy nasi drukarze, kolporterzy, redaktorzy pracowali dla Solidarności, często w komórkach zakładowych związku. Krzysiek Dowgiałło był w zarządzie Regionu Gdańskiego. Utrzymywaliśmy jednak kontakty, licząc się z tym, że w każdej chwili może nastąpić załamanie.

Czym się Pan zajmował w OBS?

Razem z Jerzym Łojkiem zajmowałem się przygotowywaniem alternatywnego podręcznika historii. Oprócz tego jeździłem na spotkania do zakładów jako prelegent; z jednej strony w przekonaniu, że organizujemy walkę z komunizmem, z drugiej – np. po marcu 1981 r.

– jako gaszący strajki. No bo przecież wizja interwencji sowieckiej była bardzo realna, więc trzeba było przekonywać ludzi. Mówiłem: „Panowie, musimy się zachowywać odpowiedzialnie, rozsądnie, bo inaczej wejdą”. Na to jeden z robotników: „Panie student, przecież nie o to chodzi, żeby nie weszli, tylko żeby wyszli!”. Było to tak logiczne i trafiające w moją mentalność, że trudno mi było na tym polu być skutecznym agitatorem.

Prezentował Pan poglądy umiarkowane, choć sam był bliższy radykałom?

Sam też powoli ewoluowałem. Stawałem się rzecznikiem radykalizmu celów, ale nie metod. Całkowicie się to we mnie przełamało później, w czasie stanu wojennego pod wpływem tego, co się wydarzyło, oraz kontaktu z takimi ludźmi jak Tadeusz Mazowiecki, Bronisław Geremek i wieloma innymi postaciami, które odegrały istotną rolę w przeprowadzeniu Polski przez ten burzliwy okres bez rozlewu krwi.

Jak się Pan sytuował w podziałach politycznych w Solidarności przed 13 grudnia? Był Pan po stronie umiarkowanych czy radykałów? Lecha Wałęsy czy Andrzeja Gwiazdy i Jana Rulewskiego?

Tak jak inne środowiska opozycyjne staraliśmy się zająć w związku dobre pozycje, aby móc współdecydować, w jaką stronę pójdzie, oddziaływać na jego linię polityczną. Byłem wtedy zdecydowanie po stronie radykałów, po stronie Andrzeja Gwiazdy, razem z Wojtkiem Ziemińskim i Antkiem Macierewiczem. Ale przypominę, że na krajowym zjeździe Solidarności, w którym uczestniczyłem jako gość, to Janek Lityński wyszedł z ideą *Postania do ludzi pracy Europy Wschodniej*. Dla mnie to było jak łyk świeżej wody, tak zgodne z moimi poglądami, pozwalało wierzyć, że mimo sporów ze środowiskiem lewicy korowskiej o wpływy we władzach związku zgadzamy się, gdy chodzi o zasadniczy kierunek walki.

Ale we wrześniu 1981 r. współtworzył Pan odrębną strukturę – Kluby Służby Niepodległości. Deklarację KSN podpisała m.in. grupa „Głosu” z Antonim Macierewiczem, środowisko Aleksandra Halla i Tomasza Wołka z Ruchu Młodej Polski, Jarosław Kaczyński i Wojciech Ziemiński, Bronisław Komorowski i Marian Piłka z BHiL.

Nie było natomiast w tym gronie Andrzeja Czumy ani ludzi z Konfederacji Polski Niepodległej. Kluby Służby Niepodległości były mimo to podminowane różnicami personalnymi, wyniesionymi z wcześniejszych konfliktów. Ja widziałem w nich załączek partii politycznej. A także instrument wpływu na Solidarność, która interesowała nas nie tyle jako związek zawodowy, ile polityczny wehikuł dla idei wolności i niepodległości. Miałem już wtedy poczucie, że solidarnościowa rewolucja nie musi się zakończyć klęską, więc trzeba zacząć myśleć o tym, co będzie jutro, o dalszej politycznej perspektywie. KSN były dla mnie także logiczną kontynuacją i rozwinięciem inicjatywy grudniowej z 1979 r.

Nasi ideowi konkurenci – choć nie przeciwnicy – z lewicy KOR też się wtedy organizowali – jako Kluby Rzeczypospolitej Samorządnej Wolność-Sprawiedliwość-Niepodległość. Warto

pamiętać, że Jacek Kuroń już w przededniu stanu wojennego formułował cel polityczny, którym miało być utworzenie rządu tymczasowego. To dopiero był radykalizm!

Stan wojenny był ogromnym zaskoczeniem?

Jednak tak. Wszyscy się już przyzwyczailiśmy do tego polskiego ewenementu.

Policja przysłała po mnie 12 grudnia przed północą. W domu był spokój, dzieci poszły spać, ja siedziałem w wannie, gdy ktoś załomotał w drzwi. Otworzyła Ania. Było ich trzech, dwóch milicjantów obywatelskich i jeden tajniak, który się przedstawił jako porucznik Wróbel. Przy drzwiach stał łom. Mówią: „Jest pan internowany”. Mnie zastanowił ten termin, więc pytam: „Ale co to znaczy?”. A oni: „Panie, my sami nie wiemy. Niech pan się ubiera” – bo byłem w szlafroku. Nie wiedziałem, co o tym myśleć, może biorą radykałów? Mówię do żony: „Anka, to co zawsze”. Anka dała mi więc gruby sweter, książeczkę do nabożeństwa, szczoteczkę do zębów, słoik smalcu, bieliznę. Ubrałem się i wychodzę z nimi, bardziej zdziwiony niż przestraszony. Wsiadamy do windy, jedziemy na dół, widzę, że oni są potwornie spięci. „Co się dzieje?” – pytam jeszcze raz. A ubek do mnie: „Nie wiemy, każą nam wszystkich aresztować. Niech pan powie, co z tego ma być?”.

Zawieźli mnie na komendę dzielnicową MO na Mokotowie. Po drodze mijaliśmy patrole na ulicach. Wjeżdżamy na podwórko komendy, a tam było już kilkudziesięciu kolegów, znajomych i nieznajomych. Staliśmy w grupkach na korytarzu, zauważyłem m.in. Stefana Starczewskiego, a także wielu działaczy związkowych; to był znak, że akcja nie jest wymierzona tylko przeciw starej opozycji.

Okazało się, że to był tylko punkt zborny. Spisali nasze dane, policzyli i wpakowali po kilkunastu do „suk”. Pojechaliśmy na Białołękę, pokrzykując do siebie, szukając znajomych, wymieniając plotki i opinie. Na miejscu wprowadzono nas do dużej sali, tam przy poszczególnych biurkach znowu nas spisywali, trzeba było oddać rzeczy – jak w więzieniu. Zrobiła się atmosfera bardziej nerwowa, bardziej na serio. Ale ciągle jeszcze dawał o sobie znać opozycyjny animusz: przyjdą i nas odbiją, komuniści się wycofają, bo nie mogą wygrać z całym narodem, dziesięć milionów członków Solidarności itd. Noc spędziliśmy w celach więzienia. Warunki były okropne, szyba wybita, brakowało desek w pryzkach, brudne materace. Rankiem wyprowadzono nas na podwórko, gdzie stał szpaler strażników z tarczami, pałami i szczekającymi psami. Weszliśmy do jakiegoś budynku, gdzie był włączony telewizor, przemawiał gen. Jaruzelski. Wtedy do mnie dotarło, że jest właśnie stan wojenny...

Widać już było, że sprawa jest poważna, ale wciąż czekaliśmy na kontruderzenie Solidarności. Ten nieco zawadiacki nastrój przeplatał się z lękiem o najbliższych. Obok starej ekstremy z opozycji demokratycznej w Białołęce znalazła się duża liczba opozycjonistów świeżej daty, działaczy związku. Oni się bardzo bali o kolegów, zakład pracy, rodzinę, nie mieli nawyków, więc myśmy z jednej strony trochę szpanowali przed nimi, a z drugiej – staraliśmy się ich pocieszać. Wśród tych kolejarzy i taksówkarzy z Solidarności panował nastrój pewnej pretensji do nas: „W co wyście nas wsadzili, inteligenty!”. Staraliśmy się to rozładować, wciągać ich w życie więzienne, instruować, jak się zachowywać podczas przesłuchań, nie zeznawać itp.

Panował lęk o rodziny. Żadnych pewnych wiadomości z Warszawy nie było. Wieści przynosili nowi internowani, których przywożono w kolejnych dniach. Dla mnie bardzo ważne było pojawienie się Leszka Truchlewskiego, mojego kolegi z harcerstwa i opozycji. Pewnego dnia słyszę jego głos na korytarzu, gdy sprowadzali ich ze spacerniaka: „Bronek, Bronek, nic się nie martw, harcerze zaopiekowali się Anką i dziećmi!”. Odczułem wielką ulgę. Był to też sygnał, że coś się tam na zewnątrz organizuje, ani rodziny, ani my nie jesteśmy sami.

Do kiedy siedział Pan w Białolecie?

Do 22 grudnia. Przed Bożym Narodzeniem wywieziono nas śmigłowcami z Bemowa do Mirosławca. Był moment paniki, bo nie wiedzieliśmy, gdzie nas wiozą i dlaczego. Rozpoznaliśmy, że lecimy na północny zachód, a gdy zobaczyłem napis Mirosławiec, wiedziałem, że jesteśmy na Pomorzu Zachodnim; tam była polska wojskowa baza lotnicza, ale niedaleko niej bazy rosyjskie. I do końca było napięcie: gdzie nas wiozą, czy nie do Sowietów? Mazowiecki ładnie to potem opisał, że poczuł ulgę, gdy zobaczył orła na czapce wartownika.

Jaworze to był wojskowy dom wypoczynkowy, który w zaimprovizowany sposób przystosowano do nowych celów. Po interwencji prymasa od razu zwolnili Andrzeja Kijowskiego i dzięki temu Anka dowiedziała się przez Maję Komorowską z Komitetu Prymasowskiego, że jestem w Jaworzu. Razem z Magdą Bogutą postanowiły nas odwiedzić. Przyjechały do obozu tuż po świętach, jeszcze przed Nowym Rokiem, jako pierwsze. Wiedziały, że to poligon, trudno dojechać, więc wzięły wódkę, żeby wynająć sanie. Gdy wysiadły z pociągu, zdawało się im, że ktoś za nimi idzie, więc przyspieszyły kroku. Jak się potem okazało, była to profesorowa Bogusławska, także jadąca do internowanego męża, którą potraktowały jak szpiega.

Pamiętam ten moment, absolutnie wzruszający. Stoiśmy przy budynku, przed nami puste lotnisko polowe, na którym jedynym punktem ruchomym był myszołów włochaty, jak mówił Stefan Niesiołowski. Raptem widzimy, że w śnieżnej zadymce idą dwie dziewczyny w kurtkach turystycznych, kapturach, z plecakami. „Kto to jest? – myślimy. – Może córki oficerów z poligonu”. Jedna do nas pomachała i zniknęła. Po półgodzinie przychodzi wartownik: „Komorowski, Boguta, do komendanta, macie wizytę, żony przyjechały”. Wrażenie było ogromne, i oczywiście дума, że moja pierwsza przyjechała.

Jakie wrażenie zrobiło na was Jaworze?

Jaworze było specyficznym obozem dla internowanych. W dwóch piętrowych pawilonach, w których nas osadzono, były trzyosobowe pokoje, urządzone tak jak w tanim ośrodku wczasowym w czasach PRL. Pokoje nie były zamknięte, mogliśmy się poruszać po całym pawilonie, zaryglowane były tylko drzwi zewnętrzne. Na posiłki chodziliśmy do stołówek. Jedzenie było dobre i obfite; jak nam powiedziano, władze przydzieliły nam stawkę żywnościową oficerów w czasie wojny. Mieliśmy wyrzuty sumienia, że nam tu tak dobrze, a ludzie poza murami pewno nie mają co jeść. Byli nawet tacy, którzy zbierali prowiant, aby wysłać do domu. Rodziny z kolei były przekonane, że głodujemy. Przysyłały nam

paczki żywnościowe, takie jakie się zgodnie z polską tradycją wysyła do więzienia – smalec i cebulę, która była podstawowym prezentem dla internowanych. W efekcie stały wielkie worki cebuli i gigantyczne ilości smalcu, którego nie byliśmy w stanie przejeść.

Mieszkałem w jednym pokoju z Maćkiem Rayzacherem i Staszkiem Ugniewskim, przewodniczącym Solidarności w Instytucie Badań Jądrowych w Świerku. Maciek, jako aktor, budził wielkie zainteresowanie wśród pań kucharek i całej obsługi ośrodka. Na początku pilnowali nas zwykli kławisz, zawodowi strażnicy więzienni, wrogo nastawieni. Pamiętam rozmowę z jednym z nich; mówił, że chcieliśmy ich rodziny wymordować (tak ich indoktrynowano, pokazując jakieś listy rzekomo znalezione w biurach Solidarności), a teraz sami będziemy leżeli w tym jeziorze. Jeden ze strażników pozytywnie się jednak wyróżnił. Siedzimy sobie wieczorem w pokoju, a tu raptem zjawia się kławisz, puka i mówi: „Ja do pana Macieja”. Zwraca się do Rayzachera: „Pan jesteś aktor, ja pana bardzo szanuję i lubię, więc przyniosłem panu prezent”. I pokazuje odlaną domowym sposobem figurkę kominiarza. Maciek wyraził podziw i pyta go, czy nie zrobiłby ryngrafu z Matką Boską. On na to: „Oczywiście, dla pana bardzo chętnie”. Maciek więc proponuje, żeby on wygrawerował z tyłu napis, a my podarujemy to księdzu prymasowi na imieniny, na św. Józefa, razem od internowanych i od strażników. Był to więc chytry zamysł polityczny. Nasz kławisz początkowo nie podjął tego pomysłu. Powiedział: „Wie pan co, panie Macieju, dla mnie to pan jesteś ważny, znany aktor, a prymas, co mi tam prymas!”. Ale Maciek go przekonał i ryngraf został wykonany, żona Maćka i moja Ania przemyciły go i doręczyły prymasowi Glępowi razem z listem podpisanym przez wszystkich internowanych. Ten kławisz podarował nam także na Nowy Rok dwie butelki *sowietskoje igristoje*.

Tadeusz Mazowiecki wspominał o szokującej odmienności Jaworza od innych ośrodków internowania. „Mieszkanie w pawilonach wczasowych, cele stanowią pokoje, w których umieszczono nas po trzech – bez krat i otwarte, swoboda poruszania się po korytarzach i wewnątrz pawilonu. Posiłki w stołówce, przyrządzane smacznie i podawane do stolików”¹. To względne uprzywilejowanie intelektualistów w stosunku do robotników było zdaniem Mazowieckiego zabiegiem władz zmierzającym do wytworzenia nieufności i podziałów w Solidarności.

Najprawdopodobniej tak było. W Jaworzu rzeczywiście dominowali wśród uwięzionych przedstawiciele elit solidarnościowych i społecznych. Niektórzy koledzy specjalnie się nawet starali, żeby tu trafić. Szczególny przypadek stanowiło małżeństwo Marzeny i Wiesła Kęcików, których uwięziono razem, czego owocem było ich najmłodsze dziecko. Działacze związkowi, robotnicy, stanowili w Jaworzu absolutny margines. Fakt, że elitę trzymają w tak dobrych warunkach, a zwyczajnych robotników, którzy siedzieli gdzie indziej, maltretują, był dla nas problemem. My w pewnym sensie znajdowaliśmy się w złotej klatce. Janusz Szpotański trafnie określił to jako rozpinanie na pluszowym krzyżu.

¹ T. Mazowiecki, *Internowanie*, Londyn 1983, s. 41.

W Boże Narodzenie wystosowaliście w tej sprawie list do ministra spraw wewnętrznych, protestując nie tylko przeciw internowaniu tysięcy osób, ale także „przeciw rażącemu zróżnicowaniu ich sytuacji”. Pisaliście: „Położenie naszych kolegów przebywających w aresztach i więzieniach, z których nas wywieziono do Jaworza, jest nieporównywalnie trudniejsze. Widzimy w tym próbę świadomego dzielenia nas na lepszych i gorszych. Protestujemy przeciwko temu podziałowi. Jeśli stworzenie takich samych warunków wszystkim nie jest możliwe, gotowi jesteśmy dzielić los pozostałych naszych kolegów”².

W Jaworzu znajdowało się w sumie około 80 osób, głównie z elity kulturalnej i politycznej – Władysław Bartoszewski, Andrzej Kijowski, Bronisław Geremek, Tadeusz Mazowiecki, Jacek Bierezin, Anka Kowalska, Halina Mikołajska. Każdy z nas się zastanawiał, dlaczego tu trafił. Mnie zawieźli do Jaworza być może dlatego, że zaraz po 13 grudnia interweniowała w mojej sprawie Maja Komorowska, znana aktorka. Ale było też trochę młodych, zdeterminowanych działaczy opozycyjnych – Grzegorz Boguta, Andrzej Rosner, Jan Walc, więc może trafiłem tam z tego klucza. W każdym razie powstała ciekawa sytuacja – obok grupy intelektualistów, ludzi z dużym doświadczeniem i dorobkiem, w obozie była spora grupa takich młodych wilków jak ja. Dla nas to była cudowna szkoła, prawdziwy więzienny uniwersytet, możliwość nawiązania kontaktów, skonfrontowania własnych poglądów i pomysłów z ludźmi o wiele bardziej doświadczonymi. Nie sądzę, żeby gen. Kiszczak tak to sobie wykalkulował, raczej chciał, żeby do środowisk elitarnych szły sygnały, że w obozach internowania nie jest źle, szanują więźniów, dobrze ich karmią i respektują wszystkie potrzeby.

Oczywiście, tak jak wszyscy więźniowie natychmiast zaczęliśmy artykułować swoje żądania. Pierwsze dotyczyło mszy. To był naturalny teren konfrontacji z władzą komunistyczną – my chcemy mszy, bo jesteśmy po dobrej stronie mocy, a tamci są źli, bo nie pozwalają na mszę. Zgłosiłem to żądanie wraz z Maćkiem Rayzacherem. Po paru dniach zostaję wezwany do komendanta i odbywa się taka rozmowa: „Panie Komorowski, jak pan jesteś taki kościółkowy, to pan tu mszę zorganizujesz. Macie księdza”. Drzwi się otwierają, ja kamienieję. Staje przede mną pułkownik Ludowego Wojska Polskiego, wprowadzie w koloratce, ale też w czarnych okularach – zupełnie jak Jaruzelski. Zastanawiam się z przerażeniem, jak na to zareagują internowani koledzy, a szczególnie grupa, która nie była blisko Kościoła, ale w warunkach obozu, stanu wojennego, narodowego uniesienia bardzo się do niego zbliżała. Myślę sobie: „Jezus, Maria, cała robota na nic. Przecież oni ze względów politycznych odrzucą mszę odprawianą przez takiego księdza”.

To był ks. Zygmunt Gola, kapelan XII Dywizji w Szczecinie, postać niezwykle barwna i kontrowersyjna. Ponownie zetknąłem się z nim już jako wiceminister obrony narodowej w 1990 r. Gdy zmieniłem tablice na Grobie Nieznanego Żołnierza, eliminując wątki komunistyczne i wprowadzając prawdziwą tradycję oręża polskiego, on te stare tablice wziął do kościoła św. Agnieszki w Krakowie, gdzie był proboszczem, i odpowiednio je wyeksponował.

² *Ibidem*, s. 65.

Msza w Jaworzu się odbyła, choć wielu kolegów było skonsternowanych i niepewnych, czy odprawia ją prawdziwy ksiądz. Ja służyłem do mszy. Po nabożeństwie, gdy z dużym przejęciem porządkowałem sprzęty i naczynia liturgiczne, spytałem księdza, co zrobić z ampułką z winem, a on do mnie: „Jak to co? Wypić!”. Mało brakowało, a by mi nalał to wino do kielicha mszalnego. Postać to była przedziwna, oryginał, co się zowie.

Msze w każdym razie wywalczyliśmy i utarł się zwyczaj, że raz przyjeżdżał ks. Gola, a w drugą niedzielę sam bp Ignacy Jeż z diecezji koszalińsko-kołobrzeskiej. Starszy, łagodny człowiek, szalenie miły, pełen zrozumienia dla internowanych, który miał za sobą cztery lata obozu koncentracyjnego w Dachau. Na msze do biskupa chodzili więc wszyscy – wierzący, ateusze i agnostycy. Na gruncie przeżycia religijnego następowało zbliżenie, ludzie o bardzo różnych poglądach i drogach życiowych stapiali się w jakąś całość, może nie jednolitą, ale przesyconą wzajemnym szacunkiem.

Władze dbały nie tylko o nasze zdrowie duchowe, ale także fizyczne. Do obozu przyjeżdżali lekarze wojskowi; jeden był zafascynowany akupunkturą, o której się uczył podczas misji wojskowej w Wietnamie. Dentysta przyjmował w dowództwie poligonu drawskiego, w Olesznie. Jeździliśmy tam na leczenie zębów. Raz dostaliśmy przy tej okazji informację od żołnierzy, że trwa proces wojskowych, którzy odmówili wykonania rozkazu i ataku na strajkujące zakłady w Białogardzie. Wiadomość przekazaliśmy do Warszawy. Najbardziej byliśmy zainteresowani możliwością bezpiecznego wysyłania listów. Maciek Rayzacher, który łatwo budził zaufanie, ale grzeszył pewną naiwnością, nawiązał kontakt z dentystą i za jego pośrednictwem wysyłał grypsy. Wiele lat później, gdy byłem ministrem obrony narodowej, dowiedziałem się, że ów dentysta był współpracownikiem kontrwywiadu wojskowego...

Przyjeżdżali też do nas fryzjerzy. Od nich się dowiedzieliśmy, że na tym samym poligonie drawskim jest drugi ośrodek internowania, gdzie uwięzieni zostali partyjni konkurenci Jaruzelskiego, członkowie Biura Politycznego PZPR z ekipy gierkowskiej. Okazało się, że nasze żony jeżdżą do nas w odwiedziny razem z żonami bonzów partyjnych, którzy siedzą w Głębokim. Fryzjerzy strzygli zarówno ich, jak i nas, więc byli świetnym źródłem plotek. Lubili zwłaszcza opowiadać o tym drugim obozie; tam siedzieli ludzie im znani – Edward Gierek, Zdzisław Grudzień, Piotr Jaroszewicz, a my byliśmy dla nich szarą masą solidarnościową. Jeden opowiadał mi kiedyś z oburzeniem: „Siada Gierek na krześle, więc ja go normalnie pytam jak każdego: jak strzyc? A Gierek patrzy na mnie i mówi: Co pan udaje, że pan nie wie, jak ja się strzygę. To jest szykana! Pan chciał mnie obrazić!”. Uważał, że każdy w Polsce wie, jaki typ języka nosi pierwszy sekretarz partii.

W Jaworzu kwitło bogate życie towarzyskie. Prócz tego każdy sobie szukał jakiego zajęcia. Jedni pisali dzienniki. Zwłaszcza Waldek Kuczyński twierdził, że należy wszystko utrwalić dla potomnych. Ja też notowałem na okładce Pisma Świętego, co się zdarzyło w ciągu dnia. Zginęło mi to, niestety. Inni malowali, rysowali, pisali artykuły. Profesor Bronek Geremek chodził z fajką i pisał jakąś naukową dysertację. Uzdolnieni manualnie produkowali ryngrafy, krzyżyki, symbole solidarnościowe. Ja wyklepałem kawałek mosiężnego pręta, oszlifowałem, wyrównałem i zrobiłem dwa krzyżyki, które mam do dzisiejszego dnia (jeden dałem synowi).

Posiłki w stołówce były okazją do spotkań z kolegami z drugiego pawilonu i – oczywiście – dyskusji politycznych. Były dyskusje na temat sytuacji w kraju, ale i kłótnie na tym tle. Podstawowy dylemat: czy postępować rozsądnie; należało działać ostrzej czy raczej ostrożniej i mądrzej? Podziały wcale nie były proste. Roztrząsaliśmy np. wystąpienie Jacka Kuronia na Komisji Krajowej, gdy zaproponował powołanie rządu narodowego. Umiarkowani czy radykałowie – wszyscy ulegaliśmy podobnym mitom, lękom i nadziejom.

W Jaworzu internowano dużą grupę animatorów Towarzystwa Kursów Naukowych, które przed Sierpniem organizowało wykłady niezależnego Uniwersytetu Latającego. Może dlatego bardzo szybko w obozie zorganizowano serię odczytów i wydarzeń kulturalnych. Tadeusz Mazowiecki wspomina, że wykłady odbywały się niemal codziennie. „Co sobota – wieczory Pen Clubu. Lektoraty, teatr – *Dziady*, wieczory poezji, spotkania okolicznościowe, seminaria (historyczne i filozoficzne)”³. Wieczory polskiego Pen Clubu w Jaworzu zainaugurowało spotkanie 16 stycznia z udziałem Władysława Bartoszewskiego, Andrzeja Szczypiorskiego i Wiktora Woroszylskiego⁴. Odtąd odczyty odbywały się co tydzień.

Rzeczywiście, szybko zaczęliśmy organizować cykliczne spotkania dyskusyjne. Na przykład Tomek Umiński i Stefan Niesiołowski prowadzili wykłady o biologii: Tomek o ptakach, a Stefan o motylach i mrówkach. Halina Mikołajska robiła wieczory poezji, Szpotański deklamował swoją twórczość. Ja wystąpiłem 14 lutego na spotkaniu z okazji czterdziestej rocznicy powstania Armii Krajowej, które nosiło tytuł „Pamięć i spuścizna”. Zaproponował mi to Władek Bartoszewski, który był starostą obozu. Miałem więc koreferat razem z prof. Bartoszewskim, co dla mnie było wielkim wyróżnieniem. On występował jako historyk i uczestnik podziemia akowskiego, a ja prezentowałem punkt widzenia młodego pokolenia, żeby pokazać przepływ idei, marzeń i celów niepodległościowych. Było też dokształcanie językowe. Bronisław Geremek uczył mnie francuskiego, ale wiele nie nauczył.

Maciek Rayzacher zaproponował utworzenie teatru. Przygotowaliśmy inscenizację III części *Dziadów*, sceny w więzieniu. Obsada wtedy była zabawna, a dziś jest historyczna. Tadeusz Mazowiecki był Duchem, Andrzej Drawicz grał Frejenda, Wiesiek Kęcik Kaprała, no a ja grałem Konrada. Spektakl wystawiliśmy na korytarzu, pod kiblami; graliśmy w autentycznych koszulach więziennych z napisem ZK, przemyconych z Białołęki. Bezwiednie grali także strażnicy, którzy pilnując nas, stanowili element spektaklu. Postanowiliśmy kontynuować nasze zapędy aktorskie i Maciek wziął na tapetę *Nie-Boską komedię*. Mnie obsadził, po znajomości, w roli Hrabiego. Pankracym był chyba Wiesiek Kęcik. Pilnie się przygotowywaliśmy do tego spektaklu, ale komuna nam wszystko popsuka. Można to zapisać po stronie: represje. Bo co byliśmy już prawie gotowi do występu, to zwalniali jakiegoś aktora. Trzeba było więc uzupełniać obsadę, zaczynać próby od nowa, aż w końcu mnie zwolnili, co całą sprawę zakończyło, no bo jak wystawić *Nie-Boską komedię* bez Hrabiego?

³ *Ibidem*, s. 58.

⁴ W. Bartoszewski, *Dziennik z internowania. Jaworze 15.12.1981 – 19.04.1982*, Warszawa 2006, s. 37.

Sławek Kozłowski, ekonomista z UMCS w Lublinie, dał pewnego dnia wykład o wyższości ekonomii socjalizmu nad kapitalizmem na przykładzie gospodarki jugosłowiańskiej. Wielu ludzi wtedy tak myślało – późniejsi ministrowie, premierzy, specjaliści od gospodarki – wszyscy brnęli w socjalizm, tylko lepsi. Ja byłem na to uodporniony. Wydawałem w podziemiu pierwsze książki o wolnym rynku, a z domu wyniosłem przekonanie, że własność prywatna zawsze jest lepsza niż państwowa. Dyskusje na ten temat były na tyle ostre, że w obozie powstał nieformalny klub zwolenników kapitalizmu, do którego należały cztery osoby: prof. Stefan Kurowski, ja jako jego wydawca, Maciek Rayzacher jako mój kumpel i Stefan Niesiołowski jako prawicowy radykał. Chodziliśmy we czwórkę po spacerniku i dyskutowaliśmy o wyższości kapitalizmu nad socjalizmem... Ta anegdota odzwierciedla ówczesny stan poglądów, które przez ostatnie trzydzieści lat ogromnie ewoluowały nie tylko w wymiarze ogólnospołecznym, ale też w wymiarze myśli politycznej opozycji.

Nawiązał Pan wówczas bliższą znajomość z Tadeuszem Mazowieckim?

Dla mnie Mazowiecki to był wtedy pótbóg.

Mimo że Pan był radykałem, a on umiarkowanym?

Ale ja byłem kulturalnym radykałem... Najlepsze porozumienie miałem z Władkiem Bartoszewskim. On mnie chyba widział jako człowieka o podobnej tradycji, podobnych maverzeniach i postawie życiowej.

Tadeusza Mazowieckiego wcześniej nie znałem. Gdy został przywieziony do Jaworza ze Strzebielinka, spotkałem go jako jeden z pierwszych. Był póżywy po długim transporcie. Spotkaliśmy go na korytarzu i powiedzieliśmy, że tu jest zupełnie dobrze, nic mu nie grozi. Szybko odtajał. Obóz był dla mnie okazją do rozmów z nim i ucierania się, przyglądania się, słuchania jego sposobu argumentacji. Mazowiecki jest niestęchaniem kulturalnym człowiekiem, przestrzegającym dobrych manier, dyscypliny słowa i zachowania, a nawet stylu ubierania się. Ten lekko staromodny styl szalenie mi odpowiadał, bo był zgodny z moim domowym wychowaniem. W obozie nie wszyscy do tego pasowali.

W maju 1982 r. został Pan zwolniony. Zaskoczyło to Pana?

W obozie rozpoczęło się namawianie nas do wyjazdu za granicę. Jednocześnie krążyły rozmaite plotki, że będą deportować, wyrzucać na siłę z Polski. Na przykład na podstawie wiadomości o wizycie przewodniczącego Rady Państwa Henryka Jabłońskiego w Libii zrodziło się przekonanie, że deportują nas do Francji przez Libię. Atmosfera była ciężka. Władza ludowa zachęcała do wyjazdu żony internowanych, a przez nie także naszych kolegów.

Najłatwiej poddawały się temu żony działaczy związkowych. Zapewne najbardziej się bały i miały mniejsze zaplecze środowiskowe, wiedziały też, że na Zachodzie jest lepsze życie. Zaczęły się więc wyjazdy. Ja sobie nie wyobrażałem życia poza Polską, a wyrzucenie z kraju byłoby dla mnie największą karą. Ta perspektywa na tyle mnie przeraziła, że zaczą-

łem myśleć o ucieczce z obozu. Zaplanowałem już, w którym miejscu przeskoczę przez płot, jak dojdę do stacji itd. Przez Ankę przestałem kolegom działającym w konspiracji pytanie, czy uciekać, i dostałem bardzo rozsądną odpowiedź, m.in. od Piotрка Krawczyka, który sam się ukrywał: „Ty sobie, Bronek, daj spokój, bo będziesz tylko kłopotem. Będziemy musieli ci załatwić mieszkanie, legendę, utrzymywać cię, Anka się będzie denerwować, to nie ma sensu”. Ta logika była mocna. Myślę, że wielu internowanych zastanawiało się, czy wiać, i otrzymało taką samą odpowiedź – że staniemy się tylko obciążeniem dla kolegów.

W kwietniu 1982 r. umarł mój dziadek i Maja Komorowska poprosiła bezpartyjną wicemarszałek sejmu Halinę Skibniewską o wyjednanie przepustki dla mnie na pogrzeb. To byłaby także szansa na zobaczenie się z żoną i dwójką małych dzieci – Tadek miał wówczas rok, a Zosia dwa i pół roku. Dostałem tę przepustkę 18 kwietnia i pojechałem na pogrzeb.

Po paru dniach zostałem wezwany na przesłuchanie. Z jednej strony była perswazja, z drugiej próba wysondowania, jak się będę zachowywał, jeżeli mnie zwolnią. Myślę, że władze przystępowały już wtedy do rozładowywania obozów dla internowanych. Ode mnie chcieli usłyszeć zapewnienie, że nie będę łamał prawa, czytaj: nie zejść do podziemia. Ponieważ wiedziałem już, że nie będę się ukrywał, więc starałem się nie sprawić wrażenia, że zaraz będę do nich strzelał. Profilaktycznie chcieli mnie nastraszyć. Z Anką też rozmawiali w tym celu. Spodziewali się, że jako matka małych dzieci wywrze na mnie presję w tym duchu. Anka odmówiła.

Według dokumentów SB policja przeprowadziła z Panem dwie rozmowy: 24 kwietnia i – już po zwolnieniu – 8 maja. Pańskie zapewnienia, że ma dość działalności politycznej i zamierza zająć się rodziną i pracą dla Kościoła, przyjęto do wiadomości. 4 maja 1982 r. uchylono decyzję o internowaniu. Jakie były Pana pierwsze kroki po powrocie do domu?

Prawdopodobnie chodziło o mój powrót do pracy w Niższym Seminarium Duchownym w Niepokalanowie. Liczyłem się z tym, że mogę zostać aresztowany z tytułu zarzutów prokuratorskich, jakie postawiono mnie i innym opozycjonistom jeszcze w grudniu 1979 r. Postanowiliśmy więc zniknąć im z oczu. Zamieszkaliśmy w Sopocie u ciotki Krzysztofa Dowgiałły. Zrobili się z tego wspaniałe wakacje z żoną i dziećmi – morze, plaża, kąpiele. Dostawałem wciąż pieniądze jako dawny pracownik Ośrodka Badań Społecznych Regionu Mazowsze i z paksowskiej firmy Inco, w której byłem formalnie zatrudniony jako stażysta redakcyjny w „Słowie Powszechnym”. Anka jeździła raz na miesiąc do Warszawy, brała forszę od jednych i drugich i wracała do Sopotu.

Wróciłem do domu we wrześniu z nastawieniem, że się włączę do działań opozycji. Zgłosił się do mnie Tomek Dangel z prośbą o pomoc w znalezieniu kontaktu z grupą wydającą pismo „Niepodległość”. Kontakt znalazłem i zorganizowałem spotkanie u babci Tomka, generałowej Druckiej-Lubeckiej. Siedzimy razem z tymi napaleńcami – oni byli szalenie radykalni, nastawieni na akcje bezpośrednie – wreszcie ktoś stuka w sposób umówiony. Otwieram, a w progu staje przedstawiciel „Niepodległości” – Jerzy Targalski. Mnie zamurowało. On był moim kolegą ze studiów, swego czasu ideowym komunistą, jedynym

studentem, jakiego znałem, który wstąpił do PZPR, motywując to chęcią dokończenia rewolucji proletariackiej. Dawniej patrzył na mnie jak na niedorzęniętego obszarnika, otwarcie to zresztą mówił. Później do partii rozczarowały go represje antyrobotnicze w 1976 r. i zaangażował się w działalność trockistowską. Został nawet zatrzymany (o czym wyczytałem w „Biuletynie Informacyjnym” KOR) z walizką bibuły – z pismem „Szerszeń” wydawanym na Zachodzie przez Edmunda Bałukę. A teraz przychodzi jako szef środowiska radykalnie antykomunistycznego i niepodległościowego, w dodatku prokapitalistycznego, jedynego w podziemiu o tak wyraziście wolnorynkowych poglądach!

Na przełomie 1982 i 1983 r. ludzie z grupy „Niepodległości” – którzy potem założyli Liberalno-Demokratyczną Partię Niepodległość – zwrócili się do mnie z pytaniem, czy podjąłbym się zorganizowania pisma zajmującego się relacjami z krajami sąsiednimi. Stały za tym stare marzenia i ciągoty wolnościowe w imię hasła „Za Waszą i naszą wolność”, idee rozszerzenia walki z systemem komunistycznym poza granice państwa polskiego. Bardzo mi to odpowiadało, więc się podjąłem tego zadania. Pismo zacząłem organizować w 1983 r. W skład redakcji wszedł Waldemar Maj ze środowiska korowskiego, który się zajmował m.in. sprawami węgierskimi. Z kręgu BHiL dołączył Andrzej Krawczyk – historyk, mój przyjaciel ze studiów, specjalista od spraw czechosłowackich, obecnie dyplomata, ambasador w Bośni. Z harcerstwa wciągnąłem Marcina Nawrota – też historyka, dziś ambasadora w Irlandii; miał w swojej gestii sprawy ukraińskie. Do grona bliskich współpracowników redakcji należeli też Stanisław Plewako i Jacek Borkowicz. Pierwszy numer pisma, które zatytułowaliśmy „ABC. Adriatyk, Bałtyk, Morze Czarne”, ukazał się dopiero w 1984 r., bo gotowego już numeru dość długo nie mogłem wydrukować. Zrobiła to poligrafia LDPN. Zresztą koledzy z LDPN chcieli, żeby pismo stało się organem partii, ale redakcja się na to nie zgodziła.

Nie zamierzał Pan przystąpić do tej grupy?

Nie, m.in. ze względu na Targalskiego. Ewolucja od radykalnego komunisty do radykalnego zwolennika kapitalizmu budziła moją nieufność – jak by na sprawę nie spojrzeć, to jedynym elementem stałym był wyłącznie radykalizm.

Zgromadziłem w „ABC” swoich bliskich kolegów i pilnowałem naszej autonomii. LDPN nie mogła wpływać na zawartość pisma i jego linię redakcyjną. Przekazywałem im przez pośredników (m.in. była to Zosia Zańko, dzisiaj pracująca w Muzeum Powstania Warszawskiego) gotowe do druku materiały, oni zajmowali się tylko drukiem i dystrybucją. Część nakładu sami rozprowadzaliśmy w dawnym środowisku Biblioteki Historycznej i Literackiej. Nie byliśmy też od nich uzależnieni finansowo, gdyż miałem własne możliwości pozyskania funduszy, głównie od starej emigracji londyńskiej. Moim przedstawicielem w Londynie był Paweł Dangel, wspomagali nas Tadeusz Kadenacy i Marek Matraszek. Inni koledzy z redakcji też mieli kontakty za granicą, więc w gruncie rzeczy byliśmy finansowo niezależni. Środki napływały skromne, ale wystarczające, bo nie mieliśmy przecież dużych kosztów – autorzy nie pobierali honorariów, redakcja też nie. Pieniądze były potrzebne przede wszystkim na przepisywanie tekstów i tłumaczenie literatury zachodniej.

Zaczęliśmy też sami wydawać książki. Pierwszą pozycją była najnowsza historia Czechosłowacji pióra Andrzeja Krawczyka⁵. Potem wraz kolegami z BHiL opublikowaliśmy wielką historię ZSRR Hellera i Niekricza⁶. Dzięki Tadeuszowi Wachnikowi, który miał rozbudowane kontakty w państwowych drukarniach, sporo drukowaliśmy na tzw. dojsiach.

„ABC” miało podtytuł: „niezależne pismo poświęcone problematyce narodów i państw pomiędzy Adriatykiem, Bałtykiem i M. Czarnym”. Jak określiłby Pan linię pisma, jego program nie tylko redakcyjny, ale także polityczny?

Dając taki podtytuł, chcieliśmy podkreślić, że nie zamierzamy propagować politycznego programu Międzymorza, choć wizja jakiejś współpracy krajów tego regionu w przyszłej, wolnej Europie była nam bliska. Chodziło o geograficzne określenie obszaru naszych zainteresowań, który cechował się – jak nam się wydawało – wspólnotą losu, wspólnotą kultury i tradycji politycznych sięgających Rzeczypospolitej Obojga Narodów czy nawet monarchii austro-węgierskiej. Ważne też było naturalnie wspólne doświadczenie komunizmu. W zamysśle pisma na pewno odegrały rolę moje inklinacje jagiellońskie, a także pamięć o próbie federacji polsko-czechosłowackiej podjętej w czasie drugiej wojny światowej przez Edvarda Beneša i Władysława Sikorskiego. Dla mnie wciąż było to ciekawe marzenie polityczne.

Z koncepcją zasypania historycznych podziałów między Polakami, Ukraińcami, Litwinami i Białorusinami jako pierwsza wystąpiła „Kultura”. Jerzy Giedroyc uważał, że niepodległość tych krajów jest warunkiem niepodległości Polski. Czy ta myśl was inspirowała?

Oczywiście. Publicystyka Juliusza Mieroszewskiego była dla nas bardzo ważnym punktem odniesienia. Ale pamiętaliśmy także o wcześniejszej koncepcji federacyjnej Józefa Piłsudskiego. Myślenie polityczne na ten temat nie zaczęło się od Mieroszewskiego. Dla mnie najważniejszym źródłem zaangażowania się w problemy tego obszaru był federalizm, bo w tej idei wyrosłem w domu.

Wierzył Pan, że federacja może uzdrowić stosunki polsko-litewskie czy polsko-ukraińskie?

Uważałem, że przyszłością naszej części Europy jest jakaś forma federalizmu, a mówiąc inaczej – integracji. Nie odważaliśmy się nawet marzyć wtedy o integracji w ramach Unii Europejskiej, ale współdziałanie państw i narodów naszego regionu, jakaś koordynacja wydawały nam się możliwe. Od „Kultury” braliśmy zrozumienie, że to się musi wiązać

⁵ Z. Markowski [A. Krawczyk], *Od realizmu do zwątpienia. Pięć szkiców z najnowszej historii Czechosłowacji*, Antyk, Lublin 1986.

⁶ M. Heller, A. Niekricz, *Historia ZSRR. Rządy utopii*, Warszawskie Wydawnictwo Historyczne, Warszawa 1985, 1986, 1987.

z polską rezygnacją ze słusznych emocjonalnie roszczeń do utraconej ojczyzny na wschodzie. Ta myśl dla mnie nie była przyjemna (wywodzimy się z pogranicza Litwy i Łotwy), ale ją akceptowaliśmy. Na moją tożsamość ideową w tej kwestii składało się też *Posłanie do ludzi pracy Europy Wschodniej*, które wystosował I Krajowy Zjazd Delegatów Solidarności. Traktowałem ten dokument jako koronny dowód na to, że jest w Polsce szerokie zrozumienie konieczności działania razem z narodami sąsiednimi, nie tylko na rzecz własnej wolności, ale także wolności innych. Naturalnie, nie miało to nic wspólnego z *Realpolitik*, ale jako manifest wolności i solidarności z tymi narodami było bardzo ważne.

Wiedzieliśmy, że zajmując się tymi kwestiami, uprawiamy pewną ekstrawagancję polityczną, ale było nam z tym dobrze. Nasza wolność polegała na tym, że nie musieliśmy pisać wyłącznie o Kiszczaku i Jaruzelskim, lecz mogliśmy się zajmować kwestiami wymierzonymi w daleką przyszłość. Wydawało nam się ważne, aby Polacy, Ukraińcy, Litwini i inne narody tego regionu mogły się poznać i wzajemnie zrozumieć. Za „Kulturą” przyjmowaliśmy zasadę uznania obecnych granic jako podstaw naszych relacji. Koledzy trochę podejrzewali mnie o to, że jestem zwolennikiem rewizji granic z Litwą, i wymuszali na mnie jasne deklaracje. Ja je składałem, bo oczywiście sentymenty nie mogły przestonić potrzeby ucieczki od uwikłań i konfliktów między naszymi narodami. Można było te konflikty opisywać, ale nie można było w nich tkwić.

W tym duchu wydawało nam się również ważne poruszanie kwestii polskiej mniejszości narodowej na Litwie. Uważałem wtedy – i tak samo uważam dzisiaj – że warunkiem współpracy i pojednania jest dostrzeżenie problemów mniejszości we własnym kraju. To nas odróżniało, bo nikt inny tego tematu w prasie podziemnej nie podnosił.

Kim byli autorzy pisma?

Zamieszczaliśmy wiele tłumaczeń, przedruków z czasopism zagranicznych. Pisali dla nas Antoni Zambrowski i Mirek Czech, bodaj jedyny autor prasy podziemnej wywodzący się z mniejszości ukraińskiej; publikował w „ABC” pod pseudonimem Roman Podebski. Nie znałem go wtedy, bo zgodnie z zasadami konspiracji autorów znał tylko ten, kto się z nimi kontaktował. Wiedzieliśmy jednak wszyscy, że to młody Ukrainiec, i bardzo nam to odpowiadało. Wśród autorów byli też wnuczka Henryka Sienkiewicza Maria Kornilłowicz, Jerzy Łojek, a także mój ojciec. Sporo pisaliśmy sami.

Przygotowałem m.in. nr 5 „ABC”, wydany w 1987 r., poświęcony dialogowi polsko-litewskiemu. Były tam dwa moje materiały: artykuł *O Litwie, dalibóg! że mniej wiem niż o Chinach* oraz wywiad z panią Ludką Siekacką, nauczycielką polską z Wilna (która żyje do tej pory). Rozmowę przeprowadziłem w Warszawie, gdy pani Ludka przyjechała do mojej ciotki Medzi Kornilłowicz.

W 1988 r. udało mi się pojechać do Wilna, gdzie przeprowadziłem wiele ciekawych rozmów, m.in. z litewskim księdzem, który pracował w polskiej parafii. Niespodziewanie dostałem paszport i dzięki Markowi Matraszkowi pojechałem też do Londynu. Spotkałem się tam m.in. z Leszkiem Kołakowskim oraz Ryszardem Kaczorowskim i innymi członkami rządu na emigracji. Zrobiłem kilka wywiadów, np. z Władimirem Bukowskim – tyle że wydarzenia tak szybko poszły do przodu, że już nie zdążyliśmy tego opublikować.

Jaki był średni nakład „ABC”?

Nakłady mieliśmy różne – od kilkuset egzemplarzy do 1500. W latach 1984–1989 wyszło osiem numerów pisma, nigdy nie było wpadki. Pełniłem funkcję nieoficjalnego redaktora naczelnego, a jednocześnie sekretarza redakcji. Żeby się nie pokłócić, bo w niektórych sprawach różniły nas emocje lub poglądy, przyjęliśmy zasadę, że w poszczególnych numerach kto inny jest redaktorem prowadzącym, ale generalnie ja organizowałem pracę. Spotkania redakcji najczęściej odbywały się u mnie w domu, na ulicy Rozbrat.

To nie było zbyt bezpieczne. Policja mogła was namierzyć.

Robiliśmy to w konwencji spotkań towarzyskich czy rodzinnych. Nasze mieszkanie miało dwa wejścia, mieszkali tam też jeszcze dodatkowe tzw. dzikie lokatorki. Trudno było się zorientować, kto do kogo przychodzi. W każdym razie Służba Bezpieczeństwa nas nie namierzyła, nie wiedzieli, że to ja robię „ABC”. Wydaje mi się, że udało mi się zniknąć z ich radarów.

Czy robił Pan coś jeszcze w podziemiu poza „ABC”?

Utrzymywałem kontakty z przyjaciółmi z BHiL, w miarę możliwości ich wspomagałem. Uczestniczyłem w pracach podziemnej poligrafii. Sam już bardzo rzadko drukowałem, ale pomagałem kolegom przewozić bibułę, załatwiać magazyny, przekazać kontakty albo pieniądze. Niewątpliwie był to okres spowolnienia mojej aktywności opozycyjnej poza „ABC”. Na manifestacje solidarnościowe chodziłem, ale nie w pierwszym szeregu, żeby się nie pchać w oczy. Uważałem, że skoro robię pismo podziemne, byłoby głupotą pchać się pod obiektywy fotoreporterów z SB. Młodszy ode mnie radził sobie znakomicie.

ROSJA DYSYDENTÓW

WSTĘP

„Nigdy nie przypuszczałam, że przypadnie mi rola historyka badającego dzieje ruchu obrońców praw człowieka w Związku Radzieckim. W Moskwie byłam zajęta bieżącą pracą, nie miałam czasu na opracowywanie i segregowanie każdej napływającej informacji. To zresztą i tak nie byłoby możliwe. Wszystkie materiały, teczki i fiszki zostałyby skonfiskowane przy pierwszej rewizji” – pisała Ludmiła Aleksiejewa we wspomnieniach zatytułowanych *Pokolenie ottiepieli* (*Pokolenie odwilży*)¹. *Istorija inakomyslija*, najważniejsza i w gruncie rzeczy jedyna dotychczas synteza ruchu dysydenckiego w Związku Radzieckim, powstała właściwie przypadkowo i z początku wcale nie była zamierzona jako samodzielna książka.

Ze środowiskiem obrońców praw człowieka Ludmiła Aleksiejewa związała się w połowie lat sześćdziesiątych. Uczestniczyła w legendarnej manifestacji na placu Puszkina w Moskwie 5 grudnia 1965 r. w obronie aresztowanych pisarzy Andrieja Siniawskiego i Julija Daniela. Poszła tam razem z bliską przyjaciółką Łarisą Bogoraz, wówczas żoną Daniela, później, po rozwodzie z Danielem, żoną innego legendarnego opozycjonisty radzieckiego, Anatolija Marczenki. W 1966 r. to Aleksiejewa dostała od Aleksandra Ginzburga i przechowywała jeden z trzech początkowych egzemplarzy tzw. *Białej księgi*, zbioru dokumentów poświęconych procesowi Siniawskiego i Daniela. Drugi egzemplarz trafił do samizdatu, trzeci Ginzburg, zwolennik działań otwartych, podpisał własnym nazwiskiem i przekazał KGB. Od 1968 r. Aleksiejewa była także maszynistką „Kroniki Bieżących Wydarzeń”, najważniejszego pisma podziemnego w Związku Radzieckim, ukazującego się bez mała piętnaście lat, do 1983 r. Przygotowany oryginał pisma przepisywano przez kalkę w siedmiu egzemplarzach. Każdy z nich rozchodził się dalej i rozmnażał już poza kontrolą autorów magazynu. Aleksiejewa pełniła zatem ważną rolę wśród moskiewskich opozycjonistów, ale nigdy nie była ideologiem z pierwszego szeregu. Raczej pomocnikiem, organizatorem, właśnie maszynistką, a nie redaktorem; wykonawcą, a nie inicjatorem.

Dość długo, bo aż do kwietnia 1968 r., należała do KPZR. Po podpisaniu jednego z listów protestacyjnych do prokuratora generalnego ZSRR Romana Rudenki została jednak usunięta z partii i wyrzucona z pracy w wydawnictwie Nauka. To trwanie w podwójności, złudzenie, że można dążyć do realizacji utopii marksistowsko-leninowskiej i jednocześnie

MAREK RADZIWN

doktor historii Instytutu Historii PAN; autor książki *Iwaszkiewicz. Pisarz po katastrofie* (2010). Ostatnio wydał antologię wspomnień dysydentów radzieckich *Wstyd było milczeć* (2013). Obecnie dyrektor Instytutu Polskiego w Moskwie.

¹ L. Aleksiejewa, *Pokolenije ottiepieli*, Moskwa 2006.

pozostawać człowiekiem uczciwym wobec siebie i innych, wydaje się ciekawym rysem w historii radzieckiego ruchu dysydenckiego. Nadzieje i złudzenia na naprawę systemu miało przecież wielu ważnych opozycjonistów, m.in. gen. Piotr Grigorienko (Petro Hryhorenko), prof. Jurij Orłow, późniejszy założyciel Moskiewskiej Grupy Helsińskiej, do pewnego momentu także Aleksiejewa. To rewizjoniści właśnie odegrali zasadniczą rolę w ruchu obrońców praw człowieka.

* * *

„W końcu kwietnia 1976 r. zadzwonił do mnie Jurij Orłow i poprosił o spotkanie koło Teatru Bolszoj. Styszałam o Orłowie jeszcze w 1956 r. – razem z trzema innymi kolegami został usunięty z partii i wyrzucony z pracy w Instytucie Fizyki Teoretycznej i Eksperymentalnej po wystąpieniu na zebraniu partyjnym, na którym omawiano wykład Chruszczowa. [...] – Luda, czy czytała pani porozumienie z Helsinek? – Orłow zaczął od pytania”². Rozmowa, która odbyła się w Moskwie na placu Teatralnym, dała początek Moskiewskiej Grupie Helsińskiej, jednej z kilku najważniejszych organizacji dysydenckich w ZSRR. Orłow bodaj jako pierwszy zrozumiał znaczenie podpisanego w Helsinkach w sierpniu 1975 r. Aktu Końcowego Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie. Spostrzegł mianowicie, że tzw. trzeci koszyk, czyli zobowiązania do przestrzegania praw człowieka, nie muszą pozostawać martwym zaklęciem, jak zapewne sądzili politycy obydwu stron, ale mogą stanowić rzeczywistą podstawę kontroli reżimów autorytarnych, w pierwszej kolejności ZSRR.

Tak oto Ludmiła Aleksiejewa została członkiem Moskiewskiej Grupy Helsińskiej i to w jej mieszkaniu 15 maja 1976 r. odbyło się pierwsze posiedzenie Grupy. Przez następne miesiące zbierała materiały o łamaniu praw człowieka, organizowała domowe konferencje prasowe, przekazywała materiały przygotowane przez Grupę moskiewskim korespondentom

prasy zachodniej. Kolejne dokumenty Grupy dotyczyły spraw indywidualnych, np. prześladowań, jakim poddawano Mustafę Dżemilowa, jednego z liderów Tatarów krymskich, warunkom w więzieniu we Władimirze, ale także kwestii ogólniejszych – łamania prawa obywateli do emigracji lub do tajemnicy korespondencji.

Władze zdecydowały się na dość szybką rozprawę z aktywnie działającym środowiskiem. Zaledwie rok po powstaniu Grupy Orłowa aresztowano i skazano na wieloletni pobyt w łagrze i na zesłaniu. W lutym 1977 r. Aleksiejewa została pod groźbą aresztowania zmuszona do emigracji. W Stanach Zjednoczonych występowała jako oficjalny przedstawiciel Moskiewskiej Grupy Helsińskiej i to tam właśnie w 1979 r. Departament Stanu zaproponował nowej rosyjskiej emigrantce napisanie dwustustronicowego wewnętrznego opracowania na temat niezależnego ruchu obrońców praw człowieka. „Prezydent Carter ogłosił, że problematyka praw człowieka jest priorytetem jego polityki zagranicznej, ale mało kto w oficjalnych urzędach Waszyngtonu miał pojęcie o charakterze i skali działań obrońców praw człowieka w ZSRR”³ – wspomina Aleksiejewa. Wykonanie tej pracy – i to tak, żeby dotarła do najważniejszych gabinetów w Ameryce – uznała za podstawowe zadanie zagranicznego przedstawiciela Grupy.

Aleksiejewa korzystała z rozmaitych źródeł: przede wszystkim z kolejnych numerów „Kroniki Bieżących Wydarzeń”, z bogatego Archiwum Radia Swoboda w Nowym Jorku i Monachium, ze zbiorów rosyjskiego wydawnictwa Kronika-Press założonego w Nowym Jorku przez Walerija Czalidze, z dokumentów zebranych w Departamencie Stanu. Praca nad tekstem trwała jednak trzy lata zamiast ustalonego pierwotnie roku. Zamiast Jimmy’ego Cartera w Białym Domu zasiadł tymczasem Ronald Reagan, a opracowanie dla grupy specjalistów rozrosło się w obszerną książkę. Jej pierwsze wydanie ukazało się w Nowym Jorku w 1984 r.

² *Ibidem.*

³ *Ibidem.*

* * *

Ruch dysydencki, o którym pisze się w *Istorii inakomyslija*, nigdy nie miał w Związku Radzieckim wyraźnego centrum. Możemy wymienić nazwiska najsłynniejszych, najbardziej charyzmatycznych jego przedstawicieli, ale pewnie żaden z nich nie zgodziłby się, żeby go nazwać liderem ani tym bardziej przywódcą. *Istorija inakomyslija* jest zatem próbą zebrania i opisanie wszystkich różnorodnych środowisk i grup, które weszły w kolizję z radzieckim systemem przymusu. Znalazły się tu rozdziały poświęcone ruchom narodowym, m.in. ukraińskiemu (to ten fragment powstał jako pierwszy), gruzińskiemu i ormiańskiemu, rozdziały o dławionych wolnościach religijnych, przede wszystkim o litewskich katolikach, i innych mniejszościach wyznaniowych – adwentystach dnia siódmego i baptystach, obszerne omówienie ruchu Tatarów krymskich walczących po zesłaniu całego narodu w głąb ZSRR latem 1944 r. o prawo powrotu na Krym, wreszcie rozdział opisujący starania obywateli radzieckich pochodzenia żydowskiego o prawo do emigracji do Izraela.

Najważniejszą jednak i najobszerniejszą częścią książki są rozdziały poświęcone obrońcom praw człowieka w ZSRR, a więc temu środowisku, które nie zostało scementowane ideą narodową ani wyznaniem, nie walczyło o prawa jednej wspólnoty, ale domagało się jednakowych praw dla wszystkich bez względu na pochodzenie, narodowość czy religię. „Najtrudniejsze, jakkolwiek zabrzmi to paradoksalnie, było napisanie rozdziału o obrońcach praw człowieka – wspominała Aleksiejewa. – Powstawał jako ostatni. [...] Tonęłam w materiale i cały czas trzeba było z czegoś rezygnować”⁴. Ten obszerny rozdział obejmuje lata 1953–1983, chociaż oczywiście trudno mówić

o dysydentach, a tym bardziej o całym zorganizowanym ruchu dysydenckim, który w połowie lat pięćdziesiątych stawiałby sobie cele społeczne czy polityczne. Niebawem jednak pojawili się poeci z grupy SMOG, samizdat literacki i publiczne czytanie poezji pod pomnikiem Majakowskiego w Moskwie. Aleksiejewa pisze o procesie Siniawskiego i Daniela, Grupie Inicjatywnej – pierwszej organizacji obrońców praw człowieka, „Kronice Bieżących Wydarzeń”, Moskiewskiej Grupie Helsińskiej. Także o fatalnym procesie Piotra Jakira i Wiktora Krasina, dwóch znanych dysydentów moskiewskich złamanych w czasie śledztwa. Zeznania obydwu doprowadziły do kolejnych aresztowań, a skutki sprawy, która okazała się silnym ciosem w całe środowisko, odczuwano jeszcze przez wiele lat.

Książka Ludmiły Aleksiejewej zajmuje w historiografii radzieckich dysydentów szczególnie i nieco dziwaczne miejsce. Jest cennym i bardzo szczegółowym informatorem, ale sama też zasługuje, żeby być przedmiotem oddzielnych badań. Z jednej strony pozostaje do dzisiaj podstawowym, syntetycznym źródłem wiedzy o ludziach, którzy domagali się swoich praw obywatelskich i po prostu ludzkich i gotowi byli za te prawa płacić wysoką cenę. Z drugiej zaś sama jest częścią historii ruchu dysydenckiego, który opisuje. Napisana na emigracji na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych przez emigrantkę, aktywną działaczkę ruchu obrońców praw człowieka w ZSRR, dotyczyła historii, która wciąż się działa. Dlatego nosi piętno swoich czasów. „Była jedna, żelazna zasada – nie wspominać o ludziach, którym to może zaszkodzić – wspomina Aleksiejewa. – Pisałam tylko o tym, co człowiek sam wcześniej napisał w samizdacie pod własnym nazwiskiem, albo o tym, co wymieniano w uzasadnieniu wyroku, albo o tym, co opublikowano na dany temat już przede mną”⁵.

⁴ *Kak pisałas' Istorija inakomyslija w SSSR*, z Ludmiłą Aleksiejewą rozmawia Anatolij Papp, „Panorama” 1990, nr 10.

⁵ *Ibidem*.

RUCH OBRONY PRAW CZŁOWIEKA W ZSRR (I)

LUDMIŁA ALEKSIEJEW

Ruch ten nazywano różnie: „demokratyczny”, „liberalny”, „oporu obywatelskiego” – aż wreszcie ustaliła się nazwa „ruch obrony praw człowieka” lub „ruch obrońców praw człowieka”. Nazwa ta najlepiej oddaje jego istotę: obrona praw jednostki i żądanie przestrzegania prawa są fundamentem tego ruchu i jego cechą wyróżniającą.

Mamy dawną, stworzoną przez wielką literaturę rosyjską tradycję współczucia wobec „małego człowieka”. Ale prawny kontekst ruchu obrony praw człowieka jest oryginalny. Nie dlatego, że dotychczas nie istniało nic podobnego w rosyjskiej historii; istniała partia konstytucyjnych demokratów (kadetów)*, która również nie powstała z niczego. Tradycja ta jednak w okresie radzieckim została wykorzeniona tak skutecznie, że można śmiało stwierdzić: inicjatorzy ruchu obrony praw człowieka niewiele o niej wiedzieli i bynajmniej nie ona ich natchnęła.

Obróńcy praw człowieka ani nie byli kontynuatorami liberalno-demokratycznej tradycji w rosyjskiej historii, ani też nie zapożyczyli idei międzynarodowego ruchu obrony praw człowieka – znów z powodu braku odpowiedniego rozeznania w tej dziedzinie w czasie, gdy ruch obrony praw człowieka w ZSRR kiełkował. Ruch ten wyrósł w dużej mierze z doświadczenia ludzi, których życie toczyło się w warunkach bezprawia, okrucieństwa i deptania jednostki w imię „dobra ogółu” lub „świełlanej przyszłości całej ludzkości”. Rezygnacja z tego kolektywnego podejścia oznaczała odrzucenie podstaw oficjalnej ideologii, do której obrony wykorzystywano całą potęgę radzieckiego państwa. Żądanie przestrzegania prawa w warunkach radzieckich jest postulatem rewolucyjnym, ponieważ w gruncie rzeczy jest to żądanie, by państwo radzieckie przestało być totalitarne i przemieniło się w demokratyczne. Spełnienie tego żądania oznaczałoby zmianę charakteru władzy, zmianę całego systemu. Tymczasem obrońcy praw człowieka z założenia odrzucają przemoc jako środek do osiągnięcia jakiegokolwiek celu, potępiają ją i nigdy jej nie stosują. A więc w jaki sposób działają? Jak napisał jeden z nich, Andriej Amalrik, „dokonali genialnej w swojej prostocie rzeczy – w kraju bez wolności zaczęli zachowywać się jak ludzie wolni i w ten sposób zmieniać moralną atmosferę oraz panującą tradycję”. Dodał: „nieuchronnie ta rewolucja w umysłach nie mogła dokonać się szybko”¹.

* Partia Konstytucyjno-Demokratyczna – liberalna partia polityczna, działała w Rosji w latach 1905–1917 (red.).

¹ A. Amalrik, *Zapiski dissidenta*, Ann Arbor 1982, s. 39.

Pod względem świadomości i charakteru działania ruch obrony praw człowieka nie jest ruchem politycznym, lecz moralnym.

Obrońcy praw człowieka obstają przy „decydującym znaczeniu praw obywatelskich i politycznych dla kształtowania losów ludzkości”. Ten punkt widzenia istotnie różni się od marksistowskiego, i od technokratycznego, które są oparte na prymacie interesów materialnych oraz praw ekonomicznych i społecznych. obrońcy praw wychodzą bowiem z przeświadczenia, że tylko w państwie, w którym istnieje wolność polityczna, obywatele mogą skutecznie bronić swoich interesów materialnych².

Obrońcy praw człowieka egzekwują prawa obywatelskie zagwarantowane przez radziecką konstytucję (wolność słowa, prasy, demonstracji, stowarzyszeń itd.), zorganizowali zbieranie i rozpowszechnianie informacji dotyczących przestrzegania praw człowieka w ZSRR, udzielają wsparcia moralnego i pomocy finansowej ofiarom prześladowań za przekonania.

Okrutne prześladowania utrudniają i bez tego skomplikowaną działalność obrońców praw człowieka. Obserwowana z boku historia ruchu obrony to nieprzerwany ciąg rozpraw sądowych, przypadków zamykania w szpitalach psychiatrycznych, zmuszania do emigracji, zwalniania z pracy itd. Wydawałoby się, że w warunkach systemu totalitarnego jawne zajęcie niezależnego stanowiska w kwestiach społecznych wobec kompletnego braku ochrony przed prześladowaniem grozi natychmiastowym krachem. Jednak ruch obrony praw człowieka właśnie dzięki swojej otwartości okazał się niespodziewanie skuteczny: jego apel został usłyszany zarówno w kraju, jak i poza jego granicami, świat nie tylko uzyskał wiele informacji, ale uwierzył w to, o czym opowiedzieli obrońcy praw człowieka. Ruch, który zaczął się w Moskwie w wąskim kręgu inteligencji, przekroczył granice miasta, rozszedł się po całym kraju, przedostał się do innych warstw społecznych; jego hasła przemówiły

do wielu ruchów narodowych i religijnych, znacznie bardziej masowych aniżeli ruch obrony praw człowieka; on określił charakter i metody stawiającego swoje pierwsze kroki ruchu praw społeczno-ekonomicznych.

Moskiewski trzon ruchu obrony praw człowieka okazał się ogniwem łączącym rozmaite ruchy społeczne, które do niedawna niewiele o sobie nawzajem wiedziały; obrona praw człowieka stała się dla nich wspólną platformą i podstawą ich zjednoczenia. Było to możliwe dzięki temu, że ideologia ruchu obrony praw człowieka była wówczas pluralistyczna, uniwersalna, potrafiła objąć skomplikowany spłot narodowych, religijnych, społecznych, a czasami również jednostkowych problemów istniejących w radzieckim społeczeństwie.

Kolejnym ogromnym osiągnięciem ruchu obrony praw człowieka jest jego wyjście z izolacji i odosobnienia wewnątrz kraju na arenę międzynarodową. Ruch rosyjski dołączył do międzynarodowego ruchu obrony praw człowieka. Rozpowszechnienie informacji dotyczących przestrzegania praw człowieka w ZSRR przyczyniło się do zburzenia na Zachodzie mitu o „radzieckiej demokracji”, w ciągu dziesięcioleci dość skutecznie zaszczepianego przez radziecką propagandę. Wskutek otwartych protestów przeciwko łamaniu praw człowieka w ZSRR społeczność zachodnia oraz dyplomacja wolnych krajów włączyły żądania przestrzegania praw człowieka do arsenału instrumentów używanych w relacjach z ZSRR.

W ciągu piętnastu lat istnienia ruchu jego działania nie osiągnęły swojego podstawowego celu – zmian na lepsze w kwestii przestrzegania praw człowieka w ZSRR. Władze nie podjęły zaproponowanego im dialogu. Odpowiedzią na petycje obywateli do wyższych radzieckich instancji (1966–1968) stały się represje. Apele społeczności zachodniej (1969–1975) również nie były skuteczne. Postawione przed alternatywą: utrata sympatii społeczności zachodniej albo

² W. Czaidze, *Prawa człowieka i Sowietkij Sojuz*, New York 1974, s. 70. [Aktualny stan literatury w języku polskim zob. *Słownik dysydentów. Czołowe postacie ruchów opozycyjnych w krajach komunistycznych w latach 1956–1989*, t. 2, Warszawa 2007 (red.)].

zaspokojenie żądań dotyczących praw człowieka, władze usiłowały uratować swoją reputację na Zachodzie za pomocą poszczególnych ustępstw (złagodzenie prześladowań pisarzy z powodu publikacji za granicą, wstrzemięźliwość represji w stosunku do najbardziej znanych działaczy społecznych itp.). Lecz im więcej informacji na temat łamania praw człowieka w ZSRR docierało na Zachód, tym częstsze i ostrzejsze stawały się zarzuty wobec radzieckiego kierownictwa. Poświęciło więc ono swój prestiż na Zachodzie w imię utrzymania bezprawia we własnym kraju. Podobnie zakończyła się próba zmuszenia władz do podjęcia dialogu ze społeczeństwem za pośrednictwem rządów państw wolnego świata (1976–1982) – na podstawie Aktu Końcowego Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie w Helsinkach.

Na początku lat osiemdziesiątych stało się oczywiste, iż żądania obrońców praw człowieka były przedwczesne w tym sensie, że władze są nieskończenie daleko od uznania potrzeb społeczeństwa, które zrodziły ruch obrony praw. Ponieważ drogą pokojową, jedyną uznawaną przez dysydentów, problemy te można było rozwiązać wyłącznie we współpracy z władzami, brak dialogu wywołał na początku lat osiemdziesiątych kryzys ruchu obrony, który się pogłębił wskutek nasilenia represji – spadła jego aktywność, najprawdopodobniej zmniejszyła się liczba działaczy. Lecz nie był to kryzys celu, bo nie stracił on znaczenia ani dla uczestników ruchu, ani poza nim, nie był to też kryzys metod. Przykład „wolnomysłicielstwa w granicach prawa” (określenie Walerija Czalidze), który dali obrońcy praw, ich ofiarne oddanie ideałom uzdrowiły klimat moralny w społeczeństwie radzieckim, pomogły wydostać się z zapomnienia ruchom narodowym i religijnym, utorowały drogę niezależnej myśli politycznej, szukającej odtąd alternatywy dla istniejącego ustroju w różnych kierunkach – od „socjalizmu z ludzką twarzą” po powrót do zasad narodowych.

Postaram się nakreślić podstawowe etapy ruchu obrony praw człowieka, pokazać, jak on funkcjonuje, jaką ma skalę i perspektywy.

I. POCZĄTEK (1953–1964)

Za dzień narodzin ruchu obrony trzeba uznać 5 grudnia 1965 r., kiedy w Moskwie na placu Puszkina odbyła się pierwsza demonstracja pod hasłami praw człowieka. Wydarzenie to, rzecz jasna, miało swoją prehistorię. W warunkach radzieckich dojrzewanie otwartego ruchu społecznego rozciągało się na długie dziesięciolecia. Inaczej nie mogło się dziać w społeczeństwie, które przez ćwierć wieku poddane było niespotykanemu w historii naciskowi ze strony państwa.

Totalny terror zakończył się wraz ze śmiercią Stalina. Z obozów zaczęli masowo powracać skazani na podstawie artykułów politycznych, lecz społeczeństwo pozostawało w stanie półprzymroczności, szoku. Uświadamianie sobie tego, co się stało, zachodziło podskórnie, niekiedy tylko przedostawało się w niewielkim wymiarze do oficjalnej literatury i prasy. Powolne tempo odradzania się społeczeństwa można przede wszystkim wytłumaczyć tym, że proces ten musiał przebiegać skrycie. Przyczyną był nie tylko strach. Głównym hamulcem okazało się pozbawienie społeczeństwa wiedzy na własny temat, gdyż środki przekazu idei i informacji były całkowicie zmonopolizowane przez państwo.

Opracowany w najdrobniejszych szczegółach system kontroli obejmował prasę, literaturę (zarówno piękną, jak i naukową, nie tylko współczesną, ale też reedycje i przekłady), film, teatr, malarstwo (zaczynając od obrazów, a kończąc na ilustracjach na pudełkach od zapalek), radio (nie tylko audycje na tematy polityczne, lecz wszystkie, włącznie z muzycznymi), wreszcie cały system edukacji (od żłobków po studia doktoranckie). Totalny charakter kontroli ideologicznej stworzył niespotykane możliwości dezinformacji i manipulowania opinią społeczną. Wskutek tego społeczeństwo ogromnego państwa straciło realne wyobrażenie na temat własnej przeszłości i teraźniejszości. Zastąpiły je mity, opracowane przez oficjalnych ideologów.

Historia została napisana na nowo. Przestały istnieć całe pojęcia faktów i idei, nazwiska, nurty

myślenia, z pamięci wymazano wszystkie poza oficjalnym programy polityczne. Poszły w zapomnienie nawet te problemy, które do niedawna zaprzętały umysły naszych rodaków. Nieznane były poszukiwania duchowe współczesnego świata poza granicami radzieckimi, ponieważ żelazna kurtyna odgradzała ZSRR od całej reszty świata i jego kultury na przestrzeni co najmniej dwóch pokoleń.

Rozeznanie każdego człowieka ograniczało się do własnych obserwacji; jego wiedza na temat zachodzących w społeczeństwie procesów dotyczyła wyłącznie kręgu ludzi osobiście mu znanych. Społeczeństwo zostało zatomizowane. W niektórych jego atomach podejmowano próby zrozumienia nowego systemu społeczno-ekonomicznego, nowej moralności, nowego typu człowieka. Lecz wynikami tej umysłowej i duchowej pracy osób działających w pojedynkę i w malusieńkich grupach dysponować mogła wyłącznie mikroskopijna wspólnota ludzka, wewnątrz której zostały opracowane:

*Żyjemy tu, nie czując pod stopami ziemi,
Nie słysząc i na dziesięć kroków, co szepczemy.*
(Osip Mandelsztam)*

Monopol partii rządzącej na rozpowszechnianie idei i informacji sprawił, że tak potężną siłę wybuchową miał XX Zjazd KPZR (luty 1956 r.), który przyniósł zmianę wizji świata od dziesięcioleci przedstawianej obywatelom radzieckim. Utożsamiany przez długie lata z Bogiem Stalin jawił się odtąd jako podstępny i bezlitosny zbrodniarz. Fakt, że przywódcy partyjni zdemaskowali się sami, stał się pierwszym impulsem do odzyskania przez społeczeństwo duchowej wolności. Niemniej zgadzam się z Władimirem Bukowskim, że Chruszczow nie był demiurgiem tego procesu, został raczej porwany przez masowy, choć podświadomy nurt dążący do tego, by się możliwie szybko wydostać z ahistorycznego świata wymyślnego do świata realnego³.

XX zjazd zaledwie nieco uchylił drzwi do strefy wiedzy zakazanej. Partia w pełnym zakresie zachowała kontrolę nad rozpowszechnianiem idei i informacji. Oficjalne wytyczne zakładały krytykę stalinowskiego „kultu jednostki” (w ten sposób w języku oficjalnym nazywano wszystkie okropności epoki stalinowskiej), lecz wykluczały krytykę partii, przez kilka dziesięcioleci ten „kult” uprawiającej, a także krytykę systemu społeczno-ekonomicznego, który go umożliwił. Krytyka została rygorystycznie ograniczona do epoki stalinowskiej i nie było dopuszczalne rozciąganie jej na okres postalinowski, czyli na czasy współczesne. Dlatego próbę opisanego społecznego doświadczenia podjęła jedynie literatura piękna i publicystyka historyczna.

Na proscenium tamtych czasów pojawili się pisarze i krytycy literaccy. Wydarzeniami o ogromnej wadze politycznej stały się powieści Władimira Duduncewa *Nie samym chlebem* i Ilji Erenburga *Odwilż*, reportaże Walentina Owieczkina na temat życia na wsi, almanachy „Litieraturnaja Moskwa” oraz „Tarusskije stranicy”, a w największym stopniu miesięcznik „Nowyj mir”. Jego redaktor naczelny Aleksandr Twardowski zgromadził wokół pisma najbardziej utalentowanych i najuczciwszych twórców rosyjskiej literatury. „Nowyj mir” sprzyjał nie tylko rozpowszechnianiu liberalnych idei, ale też zjednoczeniu się jego zwolenników: znakiem rozpoznawczym podobnie myślących stał się wystający z kieszeni kolejny numer miesięcznika. Największym osiągnięciem Twardowskiego było uzyskanie w 1962 r. z ogromnym trudem zezwolenie na opublikowanie noweli Aleksandra Sotżenicyna *Jeden dzień Iwana Denisowicza*. Jednak w lutym 1970 r. Twardowski został odsunięty od kierowania redakcją i pismo zmarniało.

Rozprawa z „Nowym mirem” była etapem w procesie ponownego zaostrzenia cenzury i wzmocnienia kontroli nad społeczeństwem. Lecz nie pogrążyło się ono tak jak poprzednio w duchowym i umysłowym bezruchu. Krótkotrwałe zmniejszenie nacisku

* Przekład Stanisława Barańczaka (tłum.).

³ W. Bukowski, *I wozwraszczajetsia wietier...*, New York 1978, s. 118.

i rozszerzenie granic dozwolonej wiedzy w okresie odwilży wystarczyło, by w ludzkich umysłach i życiu społecznym zaszły nieodwracalne zmiany. Pojedyncze atomy, na które dotychczas rozpadało się społeczeństwo radzieckie, zaczynały łączyć się w grupy. Konsolidacja ta zrodziła demokratyczne dążenia w Moskwie, na Ukrainie, wśród deportowanych narodów (Tatarów krymskich, Meschów, Niemców i innych), zaktywizowała protestanckie wspólnoty w całym kraju. Sementowanie owych rozproszonych wspólnot stało się możliwe dzięki niekontrolowanemu rozpowszechnianiu się idei i informacji, znanemu obecnie pod nazwą samizdat: „sam piszę, sam cenzuruję, sam wydaję, sam kolportuję i sam za to odsiaduję”⁴.

Narodziny samizdatu

W Rosji prawie zawsze istniała mniej lub bardziej surowa cenzura, dlatego też od czasów Radiszczewa* utwory, których wydawanie było zabronione, przekazywano sobie z rąk do rąk w przepisywanych kopiach. One jednak zaledwie uzupełniały literaturę i publicystykę. Jako zjawisko masowe, podstawowy środek odzyskiwania świadomości i wypowiedania się społeczeństwa samizdat jest czymś unikatowym, charakterystycznym dla epoki postalinowskiej w ZSRR i krajach o pokrewnym systemie społeczno-ekonomicznym.

Mechanizm samizdatu wygląda w sposób następujący: autor publikuje w kilku egzemplarzach własne dzieło jedynym sposobem dostępnym osobie prywatnej w warunkach radzieckich – na maszynie do pisania – i rozdaje kopie znajomym. Jeżeli którykolwiek z nich uzna, że to, co przeczytał, jest interesujące, robi kopie z tego egzemplarza, który dostał, i rozdaje swoim znajomym. Im większym sukcesem cieszy się dzieło, tym szybciej i szerzej odbywa się

jego kolportaż. Oczywiście samizdat jest zupełnie nierentowny pod względem włożonej pracy i czasu, niemniej znalazł utalentowanych autorów, energicznych i nieustraszonych kolporterów, nie brakuje mu też czytelników, a jego baza techniczna ciągle jest ulepszana, ponieważ stał się jedyną możliwą formą przewyciężenia państwowego monopolu na rozpowszechnianie idei i informacji. Ludzie, stęsknieni za prawdziwym obrazem świata i niesfałszowaną wiedzą, są gotowi w imię tych dóbr poświęcać swój czas, pracę, a nawet znosić prześladowania.

Samizdat zaczął się od wierszy – być może z powodu łatwości ich przepisywania na maszynie ze względu na niewielką długość tekstu, łatwości zapamiętywania, a może z głębszych przyczyn: duchowe wyzwolenie rozpoczęło się od sfery zwykłych ludzkich uczuć.

Pod koniec lat pięćdziesiątych i na początku sześćdziesiątych w samizdacie krążyły eseje i opowiadania, ale królowały w nim wiersze⁵. Moskwa i Leningrad były dosłownie zalane maszynopisami wierszy zakazanych, zapomnianych lub represjonowanych poetów sprzed rewolucji i z czasów radzieckich – Anny Achmatowej, Maksimiliana Wołoszyna, Nikołaja Gumilowa, Mariny Cwietajewej oraz wielu innych, zachowanych w pamięci starszego pokolenia. Łapczywie czytano także poetów współczesnych. Ogromną popularnością cieszyli się też niektórzy z oficjalnie dozwolonych (Jewgienij Jewtuszenko, Leonid Martynow), lecz dzięki samizdatowi znani byli również ci, których wydawnictwa państwowe nie drukowały – Josif Brodski, Naum Korżawin i wielu innych.

Zamiłowanie do poezji stało się znakiem czasów. Wtedy na wiersze „chorowali” nawet ci, którzy wcześniej ani później nie interesowali się specjalnie nie tylko poezją, lecz literaturą w ogóle. Co więcej, z powodu silnej potrzeby wypowiedania się, która

⁴ *Ibidem*, s. 126.

* Aleksandr Radiszczew w 1790 r. wydał anonimowo i w niewielkim nakładzie powieść *Podróż z Petersburga do Moskwy*, w której pisał o konieczności zniesienia poddaństwa chłopów oraz likwidacji rządów despotycznych. Został za to uwięziony i osadzony w twierdzy Pietropawłowskiej, a następnie skazany na karę śmierci, zamienioną przez Katarzynę II na dziesięcioletnie zesłanie (red.).

⁵ Zob. np. J. Malcew, *Wolnaja russkaja literatura, 1955–1975 gg.*, Frankfurt am Main 1976.

wybuchła w przebudzonym z odrętwienia społeczeństwie, wiele osób chwyciło za pióra. Według oceny Jurija Malcewa w ówczesnym samizdacie krążyły utwory ponad trzystu autorów⁶. Wśród nich przeważali młodzi twórcy⁷.

Władimir Bukowski pisze o tamtych czasach, że w całej Moskwie w instytucjach i urzędach maszyny do pisania były przeciążone do granic możliwości: kto tylko mógł, przepisywał dla siebie i znajomych – wiersze, wiersze, wiersze... Utworzyło się środowisko młodzieżowe, którego hasłem stała się znajomość poezji Pasternaka, Mandelsztama, Gumilowa⁸. Zamiłowanie do poezji, które wybuchło pod koniec lat pięćdziesiątych, zrodziło w radzieckiej stolicy pierwsze niezaplanowane oficjalnie wiece pod gołym niebem. Stało się to spontanicznie.

29 czerwca 1958 r. w Moskwie odstonięto pomnik Włodzimierza Majakowskiego na placu jego imienia. Podczas oficjalnej ceremonii oficjalni poeci recytowali wiersze. Kiedy część oficjalna się skończyła, wiersze zaczęli recytować przypadkowi chętni z tłumu. Niezaplanowany wieczór poetycki wielu ludziom się spodobał, więc umówili się na kolejne spotkanie w tym samym miejscu, pod pomnikiem. Recytacje powtarzano prawie co wieczór. Większość zebranych stanowili studenci. Na przemian z wierszami poetów dozwolonych recytowano wiersze poetów zapomnianych i represjonowanych, a także własne. Niekiedy prowadzono dyskusje literackie.

Początkowo władze nie przeciwdziały. W „Moskiewskim Komsomolcu” z 13 sierpnia 1958 r. pojawił się nawet pochwalny artykuł, w którym podano miejsce i godzinę spotkań, ale wkrótce zgromadzenia te zostały zakazane. We wrześniu 1960 r. wznowiła je grupa studentów. Uczestnicy dawnych spotkań pod pomnikiem znowu zaczęli tam przychodzić. Tym razem wieczory poetyckie odbywały się w soboty i nie-

dziele. Zbierało się po kilkaset osób. Byli to ludzie bardzo różni. Niektórych interesowała wyłącznie sztuka, gorąco obstawali przy jej prawie do pozostania „wolną od polityki”, co paradoksalnie prowadziło ich do epicentrum walki społecznej tamtych czasów. Lecz dla wielu uczestników wiece były interesujące właśnie z powodu ich wydzźwięku społecznego.

Władze zaczęły utrudniać spotkania. Komsomolcy zatrzymywali recytujących, spisywali ich nazwiska i powiadamiali uczelnie. Rutynową karą było skreślenie z listy studentów i „wilczy bilet”. Okresowo przeprowadzano rewizje w mieszkaniach najaktywniejszych recytatorów, zabierano im maszynopisy z wierszami tudzież inny samizdat. Na placu Majakowskiego prowokowano bójki, niekiedy też w porze, w której zwykle odbywały się spotkania, pomnik otaczano i nie pozwalano się do niego zbliżyć.

Spotkania trwały do jesieni 1961 r., kiedy to przed XXII zjazdem partii w ramach zapewnienia „porządku” w Moskwie zostały ostatecznie rozpędzone. Już latem tego roku aresztowano kilku stałych bywalców wieców. Władimir Osipow, Eduard Kuzniecowa oraz Ilja Bokszejn zostali skazani na podstawie artykułu 70 kodeksu karnego RFSRR („agitacja i propaganda antyradziecka”) za to, czego nie zrobili – za rzekomą próbę utworzenia organizacji podziemnej. Osipow i Kuzniecowa dostali po 7 lat obozu, Bokszejn – 5 lat⁹.

W moskiewskich gazetach pojawiło się kilka artykułów na temat uczestników spotkań na placu Majakowskiego. Na różne sposoby ubliżano im z powodu „bezideowości”, wyzywano od nierobów, krytykowano za to, że nigdzie nie pracują. To ostatnie odpowiadało prawdzie: studenci wyrzuceni z uczelni z powodu uczestnictwa w wiecach nigdzie nie mogli znaleźć zatrudnienia. Wymuszony brak konkretnego zajęcia sprzyjał bezsensownemu trwonieniu czasu; kręgi te grzeszyły nadużywaniem alkoholu, obelżywego

⁶ Podliczyłam według: J. Malcew, *Wolnaja russkaja literatura...*

⁷ „Sintaksis” (Paris) 1978, nr 1, s. 3–5.

⁸ W. Bukowskij, *I wozwraszczajetsia wietier...*, s. 124.

⁹ *Ibidem*, s. 124–129; W. Osipow, *Płoszczad' Majakowskogo*, art. 70. [w:] *Tri otnoszenija k rodinie*, Frankfurt am Main 1978; zob. też: „Chronika tiekuszczich sobytij”, t. 1–2 [1968–1972, nr 1–27], Amsterdam 1979, tu: t. 2 [nr 16–27], nr 17, s. 85 (wydanie zbiorowe).

słownictwa, a także przesadną swobodą obyczajów. W tym młodzieżowym środowisku w połowie lat sześćdziesiątych narodziło się pierwsze nieoficjalne stowarzyszenie literackie, które odzwierciedlało wszystkie jego wady i zalety. Owa grupa literacka przyjęła nazwę SMOG, co odczytywano na dwa sposoby: Smiełość, Myśl, Obraz, Głębina (Odwaga, Myśl, Obraz, Głębia) lub (o wiele częściej) Samoje Mołodoje Obszczestwo Gienijew (Stowarzyszenie Najmłodszych Geniuszy). Najbliżsi smogistom w sztuce rosyjskiej byli przedstawiciele awangardy z początku XX wieku, których poszukiwania twórcze zostały przemocą przerwane pod koniec lat dwudziestych.

W lutym 1966 r. smogiści wystąpili z manifestem, w którym ogłaszali: „My, poeci i malarze, pisarze i rzeźbiarze, wskrzeszamy i kontynuujemy tradycje naszej nieśmiertelnej sztuki... Obecnie rozpaczliwie walczymy przeciwko wszystkim: od Komsomołu do szarych obywateli, od czekistów do mieszcuchów, od tępaków do ciemniaków – wszyscy są przeciwko nam”¹⁰.

Młódzież ta łączyła wstręt do form radzieckiego socrealizmu ze wstrętem do utrwalonej obyczajowości, propagandy partyjnej, stylu i klimatu oficjalnego życia społecznego. Sednem ich literackich i duchowych poszukiwań była ucieczka od wszystkiego, co narzucone z góry, lecz raczej nie z powodu świadomego protestu politycznego przeciwko systemowi, ale wstrętu do tego, co banalne, standardowe. Jednak – mając ogromną potrzebę powiedzenia czegoś własnego – smogiści byli zbyt niedoświadczeni i tylko niewielu z nich miało talent.

SMOG cechował się pretensjonalizmem, co zresztą zdradza sama nazwa grupy. Jej uczestnicy mieli skłonność do epatowania. W kwietniu 1965 r. zorganizowali demonstrację pod Centralnym Domem Literatów – zdaje się, że była to pierwsza nieoficjalna demonstracja w radzieckiej Moskwie. Niesiono transparenty

z żądaniem wolności twórczej, wśród nich – „Pozbawimy dziewczęta realizm socjalistyczny”¹¹.

Trudno powiedzieć, ilu było smogistów, ponieważ nie istniało ścisłe członkostwo. Każdy sam rozstrzygał, czy należy do grupy, i nie musiał nikogo o tym powiadamiać. W demonstracji wzięło udział około dwustu osób, ale nie wiadomo, kto z nich uważał się za smogistę, a kto dołączył do pochodu przypadkiem.

Smogiści wydawali samizdatowe czasopismo „Sfinksy”, rozpowszechniane głównie wśród studentów; w ten sposób opublikowali kilka tomików opowiadań i wierszy. Niemniej ich twórczość nie miała szerokiego zasięgu w samizdacie; ochotników do przepisywania – co było wysiłkiem, do tego obarczonym ryzykiem zwolnienia z pracy, a nawet otrzymania wyroku łagru – można było znaleźć tylko w przypadku utworów, które się wyjątkowo spodobały. Generalnie samizdatowe nakłady nie były duże. Czasopisma, których wówczas powstawało bez liku, umierały po drugim, trzecim numerze i do rzadkości należały przypadki, gdy rozchodziły się poza gronem znajomych autora. Najbardziej znany spośród tych czasopism był „Sintaksis”, jego trzy numery wydał w 1960 r. Aleksandr Ginzburg – student zaoczny Uniwersytetu Moskiewskiego. Popularność „Sintaksisu” można wytłumaczyć tym, że w związku z aresztowaniem Ginzburga wzmianka na jego temat ukazała się w prasie radzieckiej (oczywiście z obelżywym komentarzem). Lecz przeczytać czasopismo mogli wyłącznie znajomi Ginzburga w Moskwie i Leningradzie. Bardzo często „Sintaksis” jest nazywany pierwszym pismem samizdatowym¹². Ale Bukowski w swoich wspomnieniach opowiada, że w 1959 r., jeszcze jako uczeń szkoły średniej, współtworzył rękopiśmienne pismo¹³. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że również ono nie było pierwsze.

Ze wspomnień Anatolija Lewitina-Krasnowa, Andrieja Amalrika, Władimira Bukowskiego, Piotra

¹⁰ „Grani” (Frankfurt am Main) 1966, nr 61, s. 14–15.

¹¹ Archiwum samizdatu Radia Swoboda, Monachium (dalej: AS), nr 552, t. 8. [Zbiory obecnie przechowywane są w Budapeszcie – red.].

¹² „Grani” 1965, nr 58, s. 95–193.

¹³ W. Bukowski, *I wozwraszczajetsia wietier...*, s. 109–116.

Grigorienki [Petra Hryhorenki]¹⁴ oraz innych wynika, że wobec braku wiedzy na temat tego, co się działo poza zaprzyjaźnionym gronem, każdy memuarysta jest przekonany, że samizdat powstał w tym kręgu, do którego on przynależał – i każdy z nich ma rację. Źródłem samizdatu była nie jedna konkretna grupa towarzyska, ale wiele jednocześnie. Każde grono miało własnych autorów i własny samizdat.

Do działalności w samizdacie wciągały się osoby w różnym wieku i różnych pokoleń. Postacie typowe dla samizdatu to nie tylko młodociany smogista, ale również starszuszka-emerytka, stukająca na maszynie do pisania w swoim pokoju. Wśród osób w wieku dojrzałym obok utworów poetyckich zaczęły krążyć wspomnienia, często pisane przez byłych łagierników. Według słów Chruszczowa redakcje oficjalnych czasopism otrzymały przeszło 10 tys. wspomnień dotyczących tematyki obozowej¹⁵.

„Dorosty” samizdat dość szybko stał się polityczny. Roj Miedwiediew od 1964 do 1970 r. co miesiąc wydawał teksty, które później ukazały się na Zachodzie pod tytułem „Politczeskij dniewnik” („Dziennik Polityczny”)¹⁶. Jego pierwsze numery zawierały materiały dotyczące usunięcia Chruszczowa oraz prób rehabilitacji Stalina podejmowanych przez nowe kierownictwo. Stopniowo ukształtowały się następujące stałe rubryki: „Przegląd głównych wydarzeń miesiąca”, „Listy, artykuły i rękopisy”, „Z życia literackiego”, „Z przeszłości”, „Uwagi na tematy gospodarcze” oraz „Problemy narodowe”. Nieco później Roj Miedwiediew poinformował¹⁷, że materiały do „Dziennika Politycznego” dostawał m.in. od Jewgienija Frołowa, pracownika czasopisma „Kommunist” – organu KC KPZR. Frołow miał dostęp do niepublikowanych dokumentów partyjnych i robił kopie dla „Dziennika” – nie za pomocą kserografu, którego nie posiadał, tylko przepisując

na maszynie wieczorem, kiedy współpracownicy redakcji szli do domu. Żeby mieć tekst wystąpienia Chruszczowa na XX zjeździe partii, Frołow spędził na przepisywaniu dwanaście godzin.

Stałymi czytelnikami pisma było około czterdziestu osób spośród znajomych Miedwiediewa – funkcjonariusze partyjni, a także pisarze i naukowcy, przeważnie również partyjni. Kolejne numery „Dziennika Politycznego” Miedwiediew przepisywał sam w pięciu egzemplarzach, natomiast najbardziej interesujące dokumenty i wystąpienia były rozpowszechniane o wiele szerzej – najprawdopodobniej z innych źródeł. Sama pamiętam np. wydane w samizdacie konspekty wystąpień na zamkniętej naradzie w instytucie marksizmu-leninizmu na temat makiety nowego wydania historii KPZR i wspomniane wcześniej wystąpienie Chruszczowa, mimo że nie miałam dostępu do „Dziennika Politycznego” i nawet o nim nie słyszałam.

Najwybitniejsze utwory samizdatu rozchodziły się dość szeroko, ich kopie mnożyły się z zadziwiającą prędkością jak na tak niedoskonałą metodę rozpowszechniania. Nawet gdy utwór miał znaczną objętość, co utrudniało przepisywanie go na maszynie, już po kilku miesiącach od wykonania pierwszej kopii trafiał do środowisk w żaden sposób niezwiązanych z osobami, które autor znał osobiście, często też w innych miastach.

Na początku samizdat był ubogi w dzieła oryginalne, wykorzystywano go przeważnie do publikowania przekładów (robionych przez zakonspirowanych ochotników); w maszynopiśmiennych kopiach krążyły przetłumaczone na język rosyjski *Komu bije dzwon* Hemingwaya, *Ciemność w południe* Koestlera, *Rok 1984* Orwella, a nieco później *Nowa klasa* Djilasa. Przepisywano również utwory wydane w ZSRR, ale trudno dostępne, gdyż ukazały się dawno temu lub

¹⁴ A. Lewitin-Krasnow, *Rodnoj prostor*, Tel-Aviv 1982; A. Amalrik, *Zapiski dissidenta...*; W. Bukowski, *I wozwraszczajetsia wietier...*; P. Grigorienko, *W podpolje možno wstrietit' tolko krys*, New York 1982.

¹⁵ Cyt. za: M. Mihajlov, *Leto moskowskoje 1964*, Frankfurt am Main 1967, s. 48.

¹⁶ „Politczeskij dniewnik” (Amsterdam) 1972–1975, t. 1–2; zob. też „Chronika tiekuszczich sobytij”..., t. 2, nr 21, s. 261–262.

¹⁷ „Politczeskij dniewnik”, t. 2, wstęp Ż. Miedwiediew; R. Miedwiediew, *Kak sozdawalsia „Politczeskij dniewnik”*, „SSSR: Wnutriennije protiworieczija” (New York) 1982, nr 6, s. 147–154.

w małym nakładzie. Sama przepisałam tomik wierszy Kiplinga, który ukazał się w rosyjskim przekładzie w 1927 r. i w końcu lat pięćdziesiątych był rzadkością bibliograficzną. Mihajło Mihajłow, przebywający w ZSRR w 1964 r., widział przepisaną na maszynie powieść Dudincewa *Nie samym chlebem*, która ukazała się w „Nowym mirze” w 1956 r. Przepisano ją na prowincji, gdzie „Nowyj mir”, do tego sprzed ośmiu lat, był po prostu nieosiągalny¹⁸.

Spśród oryginalnych dzieł literackich jako pierwsza została szeroko rozpowszechniona w samizdacie powieść Borysa Pasternaka *Doktor Żywago* (1958).

Doktor Żywago ukazał się za granicą i w postaci książki powrócił do ojczyzny (tajnymi drogami, rzecz jasna; tego typu książki później zaczęto nazywać tamizdatem). Książki tamizdatowe krążyły obok maszynopisów, kopiowano je również za pomocą maszyny do pisania lub aparatu fotograficznego.

Kopie samizdatowe były z reguły zaczytywane. Przechodziły z rąk do rąk. Dobrą książkę zazwyczaj dostawało się na krótko, niekiedy na jedną noc, bo stała do niej długa kolejka chętnych. W taką noc nie śpi cała rodzina, a nawet zaprasza się przyjaciół na zbiorowe czytanie. Ludzie siedzą razem, podają jeden drugiemu przeczytane kartki. Czasami organizuje się wspólną lekturę – czyta się książkę na głos lub wyświetla z kliszy fotograficznej za pomocą rzutnika.

Rozpowszechnianiu samizdatu, w każdym razie wśród mieszkańców Moskwy, sprzyjały zmiany zachodzące w kraju w drugiej połowie lat pięćdziesiątych. Za rządów Stalina, kiedy donosicielstwo było normą, pozazawodowe relacje międzyludzkie ograniczały się do minimum. W Moskwie prawie nie prowadzono domów otwartych. Bliskie relacje utrzymywały ze sobą z reguły dwie, najwyżej trzy rodziny. Natomiast gdy minął koszmar bezprawnych aresztowań, ludzie gwałtownie zaczęli się spotykać, delektując się samym faktem bycia razem. Moskiewski krąg towarzyski owych czasów liczył zwykle około 40–50 „bliskich osób”.

Naturalnie istniał podział na bardziej zżyte grupy, lecz wszyscy przynależący do tego kręgu regularnie spotykali się na prywatkach, urządzanych pod byle pretekstem lub w ogóle bez powodu, wszyscy wiedzieli o sobie wszystko. Każdy krąg towarzyski stykał się z podobnymi, toteż znajomości sięgały Leningradu, Kijowa, Nowosybirsk i innych miast.

Oczywiście spotykano się przy stole i pito nie tylko kwas chlebowy. Przytrafiały się romanse, tworzyły się i rozpadały rodziny. Śpiewano, tańczono, słuchano muzyki i piosenek. Właśnie w tamtych latach pojawiły się w sprzedaży magnetofony, które kosztowały nie tak znowu wiele. Sprzyjało to żywiołowemu rozprzestrzenianiu się w całym kraju pieśni Bułata Okudźawy, Władimira Wysockiego, a nieco później również Aleksandra Galicza. Wiele środowisk miało swojego wykonawcę, śpiewającego przy akompaniamencie gitary ballady bardów oraz swoje własne, a także pieśni łagrowe, które po masowych powrotach z obozów śpiewał cały kraj. Te pieśni są współczesnym folklorem, podobnie jak anegdoty. Każde wydarzenie pociąga za sobą lawinę anegdot. Wymienianie się nimi jest ulubionym zajęciem ludzi radzieckich niezależnie od statusu społecznego. Chodzi nie tylko o to, by pożartować; jest to najprostsza możliwość sformułowania i przekazania innym własnych ocen politycznych i obserwacji z życia wziętych.

Ale w kręgach towarzyskich przede wszystkim „kłapano dziobami”. Moskiewskie kręgi i relacje między ich członkami celnie pokazał Julij Daniel (pod pseudonimem Nikołaj Arżak) w swoich powieściach *Mówi Moskwa* oraz *Odkupienie*¹⁹. Opisane w nich rozważania i dyskusje, typowe dla moskiewskiej inteligencji tamtych czasów, spotkały się z zarzutem o antyradzieckość. W rzeczywistości ludzie ci byli lojalnymi obywatelami. Oczywiście, dosyć dużo mówili o niedostatkach systemu radzieckiego, niektórzy nazywali je nawet wadami, lecz nikt nie zamierzał tego systemu podważać ani obalać. Niemniej istniejące

¹⁸ M. Mihajłow, *Leto moskowskoje...*, s. 30.

¹⁹ N. Arżak [J. Daniel], *Goworit Moskwa. Powiesti i rasskazy*, New York 1966.

trudności były oczywiste dla wszystkich i wszyscy o nich mówili – czasem na poważnie, kiedy indziej żartując z niedorzeczności i ułomności życia radzieckiego oraz z ogólnej (w tym własnej) uległości wobec władzy. Te rozmowy pomagały zrozumieć, co właściwie reprezentuje sobą społeczeństwo radzieckie i jak należy w nim żyć, co w nim jest do przyjęcia, a co trzeba odrzucić, w jaki sposób przeciwstawić się natrętnej oficjalnej ingerencji w życie i pracę. Zarówno młodzi, jak i dojrzały, a nawet starzy ludzie potrzebowali wówczas tego typu refleksji na temat otaczającej rzeczywistości – wszyscy stawiali pierwsze kroki na tej drodze.

Duże kręgi towarzyskie, w których ufano sobie nawzajem, tworzyły znakomity grunt dla rozpoznawania samizdatu. Krążył on w wielu takich inteligenckich grupach, wędrował z jednej do drugiej. Wszyscy wiedzieli, że wypada być ostrożnym, lecz w rzeczywistości rzadko kto nim był. Zazwyczaj ludzie ograniczali się do niezręcznego kamuflażu i sami śmiali się ze swoich nieudolnych wysiłków konspiracyjnych. Powtarzano wówczas w Moskwie anegdotę o tym, jak dwóch przyjaciół, którzy wymieniają się samizdatem, rozmawia przez telefon:

– Czy już zjadłeś ciasto, które wczoraj dostałeś od mojej żony?

– Zjadłem.

– I twoja żona zjadła?

– Owszem.

– No więc przekaż je Miszy, on również chce spróbować.

Ale pojawili się też ludzie, którzy wcale się nie ukrywali.

Stanowisko partii, przedstawione na XX zjeździe, było ewidentnie nielogiczne: powiedziawszy „a” (potępiając reżim stalinowski), nie wolno było nie powiedzieć „b” (zmienić system w taki sposób, żeby wyeliminować ewentualność powtórzenia się stalinizmu). Tymczasem oficjalne stanowisko wyglądało tak, że werbalne potępienie „kultu jednostki” rozwiązało wszystkie problemy i od tego momentu wszystko idzie

znakomicie. Lecz ludziom otworzyły się oczy na potworność i absurdalność radzieckiej rzeczywistości. Dążenie władz wszystkich szczebli do tego, by ograniczyć zmiany do minimum, oraz ciągłe powracanie „góry” do tradycji stalinowskich wywoływało niepokój. Do stłumienia rewolucji węgierskiej doszło przecież w tym samym 1956 r., niedługo po XX zjeździe.

W życiu kraju dowody na to spotykało się na każdym kroku. A jednak większość wierzyła, że skoro niezdecydowanej polityki długo utrzymać się nie da, a przeszłość jest potworna, to państwo radzieckie pójdzie drogą liberalizacji nawet wbrew woli własnych przywódców. Mihajlo Mihajlov, który odwiedził Moskwę latem 1964 r., zanotował: „powszechne jest niezadowolenie z powodu połowicznej likwidacji stalinizmu, lecz wszyscy są głęboko przekonani, że walka z nim dopiero się zaczęła, dlatego nastawienie co do wyniku tej walki jest optymistyczne”²⁰. Mihajlov oparł swoje obserwacje na spotkaniach z moskiewskimi studentami oraz znanymi pisarzami. Podobne nastroje były wówczas silne również w fabrykach, instytucjach naukowych, w tym wśród członków partii, nie wyłączając tych, którzy zajmowali stanowiska kierownicze na bardzo wysokich szczeblach.

W tamtych latach dosyć często zdarzały się otwarte wystąpienia krytykujące połowiczność decyzji XX zjazdu i żądające reform systemu, które uniemożliwiłyby nowy „kult jednostki”. Najczęściej tego typu żądania stawiali członkowie partii. Naturalną ich trybuną były zebrania partyjne. W marcu 1956 r. na otwartym zebraniu w Instytucie Fizyki Akademii Nauk wystąpił młody naukowiec Jurij Orłow, przyszły założyciel Moskiewskiej Grupy Helsińskiej. Mówił o powszechnym zaniku honoru i moralności oraz o konieczności reform demokratycznych w państwie. Poparły go trzy osoby. Ich słowa nagrodzono oklaskami, ale potem prelegentów skreślono z listy członków partii i zwolniono z pracy. Koledzy nie mogli w żaden sposób im pomóc – jedynie zbierali pieniądze dla bezrobotnych. Orłow został zmuszony do

²⁰ M. Mihajlov, *Leto moskowskoje...*, s. 51.

opuszczenia Moskwy na piętnaście lat, pracę znalazł dopiero w Armenii²¹.

Znane są podobne wystąpienia gen. Piotra Grigorienki – kierownika katedry w Akademii Sztabu Generalnego (we wrześniu 1961 r. w Moskwie, na rejonowej konferencji partyjnej)²² oraz pisarza Walentina Owieczkina (w Kursku w tym samym czasie)²³. Obaj zapłacili za to legitymacjami partyjnymi i karierą. W tamtych latach zdarzały się także aresztowania polityczne: w 1956 r. [właśc. 1957 r.] aresztowano grupę młodych mieszkańców Leningradu (Rewolt Pimienow i towarzysze), w 1957 r. grupę mieszkańców Moskwy (Lew Krasnopiewcew i inni) za udział w podziemnych kółkach, których członkowie rozpowszechniali ulotki krytykujące system, w 1958 r. grupę S. Pirogowa (Moskwa)²⁴, w 1960 r. aresztowano twórcę czasopisma „Sintaksis” Aleksandra Ginzburga²⁵, w 1961 r. trzech liderów wieców na placu Majakowskiego (Władimir Osipow, Eduard Kuzniecowa, Iłja Boksztejn)²⁶, w 1962 r. – uczestników moskiewskich grup podziemnych Jurijsa Maszkowa i Wiktora Bałaszowa²⁷, w 1964 r. w szpitalu psychiatrycznym umieszczono Grigorienkę²⁸.

Nie istniały jeszcze wtedy samizdatowe biuletyny informacyjne, toteż o zwolnieniach z pracy i aresztowaniach dowiedzieli się tylko znajomi represjonowanych, poza ich środowiskami krążyły jedynie pogłoski. Większość wierzyła Chruszczowowi, który niejednokrotnie oznajmiał publicznie, że w ZSRR nie ma więźniów politycznych.

II. PIERWSZE WYSTĄPIENIA (1965–1968)

Jesienią 1965 r. zostali aresztowani moskiewscy pisarze Andriej Siniawski i Julij Daniel. Poszli w ślady Borysa Pasternaka – opublikowali swoje dzieła za granicą. Jednak nauczeni doświadczeniem Pasternaka, który został poddany brutalnej nagonce, zrobili to potajemnie i pod pseudonimami (Abram Terc i Nikołaj Arżak).

Aresztowano ich niecały rok po „zamachu pałacowym”, który obalił Chruszczowa. Było to pierwsze aresztowanie, o którym poinformowały zachodnie rozgłośnie radiowe nadające do Związku Radzieckiego (nazwisko Daniel padło w wersji Danielo). Od czasu do czasu te same rozgłośnie informowały o oburzeniu na Zachodzie; dzieła Abrama Terca i Nikołaja Arżaka zostały przetłumaczone na języki europejskie²⁹ i cieszyły się dużym powodzeniem.

Dzięki zachodnim rozgłoszom sprawa nabrała rozgłosu – i przestraszyła wszystkich w taki czy inny sposób związanych z samizdatem. Aresztowanie pisarzy zostało odebrane jako zapowiedź złowieszczych zmian. Uważano, że w ten sposób nowe kierownictwo partii wypowiada wojnę samizdatowi – jego autorom, kolporterom i czytelnikom. Nie tylko przyjaciele i znajomi aresztowanych, ale również ludzie obcy gorąco dyskutowali o tym, co z tego wyniknie. Rozprawia się z aresztowanymi po cichu czy urządzają proces pokazowy na wzór stalinowskich? Wówczas

²¹ Autobiograficzna notatka Jurija Orłowa w: „Chronika zaszczyty praw w SSSR” (New York) 1977, nr 25, s. 72–75.

²² P. Grigorienko, *W podpolje...*, s. 453–482.

²³ S. Babionyszewa, *Cena prozrienijsia*, „SSSR: Wnutrienniye protiworieczija” (New York) 1981, t. 1, s. 255–283.

²⁴ R. Pimienow, *Odin političeskij process*, „Pamiat” nr 2, Moskwa 1977 – Paris 1979, s. 160–262; nr 3, Moskwa 1978 – Paris 1980, s. 7–119.

²⁵ S. Roźdiestwienskij, *Matieriały k istorii samodiejatelnych političeskich objedinenij w SSSR posle 1945 g.*, „Pamiat” nr 5, Moskwa 1981 – Paris 1982, s. 231–149; B. Wajl, *Osobo opasnyj*, London 1980; *Process czetyrioch. Sbornik matieriałow po diełu Gałanskowa, Ginzburga, Dobrowolskogo i Łaszkowej*, red. P. Litwinow, Amsterdam 1971, s. 7–9.

²⁶ W. Bukowski, *I wozwraszczajetsia wietier...*, s. 138–145; W. Osipow, *Płoszczad’ Majakowskogo...*, s. 65–86.

²⁷ S. Roźdiestwienskij, *Matieriały k istorii...*, s. 229.

²⁸ P. Grigorienko, *W podpolje...*, s. 489–523.

²⁹ A. Terc [A. Siniawski], *Mysli wraspłoch*, New York 1966; *Fantastičeskij mir Abrama Terca*, London 1976; N. Arżak [J. Daniel], *Goworit Moskwa. Powiesti i rasskazy*, New York 1966.

wymuszano na oskarżonych w sposób nie do końca jasny, żeby rzucali na samych siebie niestworzone oszczerstwa, a nawet prosili o wymierzenie im „bezlitosnej kary”. Władze poprzestaną na tym jednym aresztowaniu czy przeprowadzą kolejne? Jaki będzie wyrok? Padały najróżniejsze przypuszczenia, włącznie z rozstrzelaniem.

W tej atmosferze niepokoju i niepewności 5 grudnia 1965 r. na placu Puszkina w Moskwie odbyła się pierwsza od momentu zaistnienia władzy radzieckiej demonstracja pod hasłem obrony praw człowieka. Kilka dni przed 5 grudnia – obchodzonym jako Dzień Radzieckiej Konstytucji – na moskiewskim uniwersytecie oraz w kilku instytucjach humanistycznych rozrzucono ulotki z „Odezwą obywatelską”, wyprodukowane tradycyjnym dla samizdatu sposobem – na maszynie do pisania: „Kilka miesięcy temu funkcjonariusze KGB aresztowali dwóch obywateli: pisarzy A. Siniawskiego i J. Daniela. W tym wypadku istnieją wszelkie podstawy, żeby obawiać się złamania zasady jawności postępowania sądowego. Wszyscy wiedzą, że za zamkniętymi drzwiami możliwe jest każde bezprawie i że złamanie prawa o jawności postępowania sądowego (art. 3 konstytucji oraz art. 18 kodeksu postępowania karnego RSFR) samo w sobie już jest bezprawiem. To nie do pomyślenia, żeby twórczość literacka mogła stanowić przestępstwo przeciwko państwu.

W przeszłości miliony obywateli radzieckich przypłaciły życiem i wolnością bezprawie władzy. Krwawa przeszłość nakazuje nam być czujnymi obecnie. Łatwiej jest poświęcić jeden dzień spokoju niż latami znosić skutki niepowstrzymanej w odpowiednim czasie samowoli.

Obywatele mają środki do walki z samowolą sądów, to »mityngi jawności«, podczas których zebrani skandują jedno jedyne hasło: »Żą-da-my jaw-noś-ci pro-ce-su przeciw...« (tu następują nazwiska oskarżonych) lub pokazują odpowiedni plakat. Jakiegokolwiek okrzy-

ki lub hasła wychodzące poza ramy żądania ścisłego przestrzegania prawa są w tej sytuacji bezwzględnie szkodliwe, a nawet prowokacyjne i powinny zostać ukrócone przez samych uczestników mityngu.

Podczas mityngu należy ściśle przestrzegać porządku. Na pierwsze żądanie władz dotyczące rozejścia się należy się rozejść, informując władze o celach mityngu.

Niniejszym jesteś zaproszony na »mityng jawności«, który odbędzie się 5 grudnia br. na skwerze na placu Puszkina, pod pomnikiem poety.

Za pomocą tej odezwy zaprosz jeszcze dwóch obywateli”³⁰.

Autorem odezwy i inicjatorem demonstracji był Aleksandr Jesienin-Wolpin – człowiek wybitny pod wieloma względami. Syn Siergieja Jesienina, matematyk i poeta, był dwa razy przymusowo umieszczany w szpitalach psychiatrycznych: w 1949 r. w wieku dwudziestu pięciu lat za „wiersze antyradzieckie”, a następnie już po śmierci Stalina, w 1959 r., za to, że przekazał za granicę tomik wierszy oraz *Swobodnyj filosofskij traktat* (*Wolny traktat filozoficzny*), których był autorem³¹.

Wiele lat przed opisywanymi wydarzeniami Aleksandr Wolpin został pionierem edukacji w zakresie prawa. Przybliżał wszystkim tym, którzy chcieli go słuchać, prostą, lecz wcale nieoczywistą dla ludzi radzieckich myśl: że przepisy prawa należy rozumieć tak, jak zostały zapisane, a nie tak, jak je rozumieją przywódcy, i żądać dosłownego ich przestrzegania. Ulubioną ideą Wolpina była konieczność jawności procesów sądowych, co właśnie zostało odzwierciedlone w „Odezwie obywatelskiej”.

Ludzie z kręgów, do których pod względem wieku i statusu społecznego należał Wolpin, nie poparli idei demonstracji, ponieważ była nietypowa, no i nie do końca bezpieczna. Wiele osób przekonywało go, żeby zrezygnował z pomysłu. W kolportowaniu ulotek pomagali smogiści. Trzy osoby zostały zatrzymane:

³⁰ Cyt. za: *Bielaja kniga po diełu A. Siniawskiego i J. Daniela*, wybór A. Ginzburg, Frankfurt am Main 1967, s. 61.

³¹ A. Jesienin-Wolpin, *Wiesiennij list*, New York 1961.

szesnastoletnia uczennica Julija Wiszniewska, dwudziestoczteroletni Władimir Bukowski i dziewiętnastoletni Leonid Gubanow. Całą trójkę zamknięto w szpitalach psychiatrycznych. Wiszniewską i Gubanowa po miesiącu wypuszczono, natomiast Bukowskiego trzymano w zamknięciu około ośmiu miesięcy.

Według oceny Bukowskiego pod pomnik Puszkina o wyznaczonej porze przybyło około dwustu osób³². Ja również byłam na placu i myślę, że demonstrantów było znacznie mniej, lecz spędzono tam wielu kagiebiistów ubranych po cywilnemu i komsomolców, więc nie dało się odróżnić, kto jest kim. A do tego większość „naszych”, którzy znajdowali się na placu, tak samo jak ja, nie uczestniczyła w demonstracji, lecz obserwowala ją z boku.

Wolpin i kilka osób koło niego rozwinęło nieduże plakaty, ale jakieś wytrenowane ręce im je szybko wyrwały, więc nawet stojący obok nie zdążyli przeczytać, co było napisane. Dopiero później dowiedzieli się, że na plakatach widniało: „Żądamy jawności rozprawy przeciwko Siniawskiemu i Danielowi!” i „Szanujcie radziecką konstytucję!”.

Zatrzymano około dwudziestu osób. Wepchnięto je do samochodów osobowych. Całe zajście było dobrze widoczne dzięki lampom błyskowym używanym przez zachodnich dziennikarzy, którzy dowiedzieli się o demonstracji i przyszli popatrzeć na to wielce nietypowe dla radzieckiej stolicy widowisko. Zatrzymanych wypuszczono po kilku godzinach. W przeważającej większości byli to studenci. Wszyscy oni oraz ci, którzy zostali zauważeni na placu – około czterdziestu osób – jeszcze tego samego wieczoru zostali wykluczeni ze studiów.

Rozprawa sądowa Siniawskiego i Daniela została poprowadzona jako jawna – może w obawie przed rozgłosem za granicą oraz z powodu demonstracji władze musiały na to pójść. Tyle że była to specyficzna jawność: przy wejściu do budynku sądu stali milicjanci, wpuszczali tylko ludzi wyselekcjonowanych przez kagiebiistów na podstawie specjalnych przepustek. Od tamtej pory jawne rozprawy sądowe

w sprawach politycznych odbywają się – poza nielicznymi wyjątkami – podobnie. Z osób najbliższych oskarżonym tylko żony miały możliwość wejścia na salę rozpraw.

W ciągu czterech dni trwania procesu panowały siarczyste mrozy. Przyjaciele oskarżonych, korespondenci gazet zachodnich oraz kagiebiści tłoczyli się w dość ciasnym podwórku, przytupywali, podskakiwali, żeby nie zmarznąć. Grupy te trzymały się osobno. To wspólne trwanie pod budynkiem sądu przetamało pierwsze lody w relacjach między przyszłymi obrońcami praw człowieka a „korami” – jak zaczęto nazywać w Moskwie korespondentów wolnej prasy. Do niedawna zaledwie dwie, trzy osoby mieszkające w stolicy, nie licząc osób urzędowych, miały do czynienia z „korami”, choćby epizodycznie. Jako pierwszy nawiązał z nimi kontakt Andriej Amalrik, lecz stało się to prawie rok po procesie Siniawskiego i Daniela. Wtedy jeszcze, pod budynkiem sądu, wszyscy milkli w napięciu, gdy się do nich zbliżał którykolwiek z „korów”. Korespondenci również stronili od zebranych – może dlatego, że nie potrafili odróżnić współczujących podsądnym od kapusiów, a może wy czuwali ze strony „radzieckich” dystans pełen obaw.

Tym niemniej kiedy z sali sądowej wychodziła publiczność – na przerwę obiadową lub po zakończeniu rozprawy – wszyscy rzucali się do żon podsądných. One od razu w podwórku opowiadały kolegom, co się dzieje w środku, a słuchali tego nie tylko bliscy, ale również korespondenci i kagiebiści. Co wieczór zachodnie rozgłośnie informowały o toku sprawy i przytaczały komentarze „mrozoodpornej prasy”, która z ogromnym poświęceniem dyżurowała pod budynkiem sądu.

Dzięki temu o procesie i wydarzeniach z nim związanych dowiedziano się nie tylko na Zachodzie, ale również w ZSRR – także tam, gdzie nie docierał samizdat, a nawet samo to słowo nie było znane. W ten sposób przyszli obrońcy praw człowieka odkryli dostępne i zarazem potężne źródło rozpowszechniania idei i informacji.

³² W. Bukowski, *I wozwraszczajetsia wietier...*, s. 229.

Wyrok był bardzo surowy: 7 lat obozu o ścisłym rygorze dla Siniawskiego i 5 lat dla Daniela. Lecz oskarżeni oraz ich sympatycy czuli się jak zwycięzcy. Sądzeni nie wykazywali skruchy i nie potępiali swojego „przestępczej” działalności, lecz bronili prawa do postępowania w ten, a nie inny sposób. Nie wiedząc z góry, jaki wyrok im grozi, kwestionowali prawomocność sądu, występując z pozycji dotychczas nieznanych w społeczeństwie radzieckim, a mianowicie żądając przestrzegania praw konstytucyjnych, swobody twórczej i poszanowania praw jednostki.

Proces Siniawskiego i Daniela przyczynił się do dokonania ważnego odkrycia: że władze zrezygnowały z rozpraw pozasądowych, z bicia i tortur w trakcie śledztwa, z oskarżania o terroryzm ludzi obwinionych o „agitację antyradziecką” i, co za tym idzie, z wyroków śmierci za werbalny „antysowietyzm”. Było to istotne złagodzenie – w porównaniu z czasami stalinowskimi – wywieranego na społeczeństwo nacisku. Niemniej władze wciąż traktowały przepisy prawa według zasady „kto nie jest z nami, ten przeciwko nam”. Korzystanie z gwarantowanej przez konstytucję wolności słowa w dalszym ciągu uważano za „antyradziecką agitację i propagandę w celu obalenia radzieckiego ustroju i państwa”, jak głosi art. 70 kodeksu karnego RFSRR, na podstawie którego skazano Siniawskiego i Daniela. W świetle specyficznych relacji między władzą a obywatelem w ZSRR proces ten wyznaczył „taryfę” na niezależne poglądy – maksymalny wyrok z art. 70 (7 lat obozu o ścisłym rygorze oraz 5 lat zesłania). Następne lata pokazały, że znalazło się sporo ludzi, których ta cena nie powstrzymała od głoszenia prawdy. Wyroki dla Siniawskiego i Daniela nie spowodowały też rezygnacji z rozpowszechniania samizdatu i publikowania za granicą.

I jeszcze jedna bardzo ważna konsekwencja tego procesu: w samizdacie ukazała się *Biała księga* z zapisem rozprawy sądowej, artykułami prasowymi na temat sprawy pisarzy oraz listami w ich obronie.

Kampanię listów rozpoczęły żony aresztowanych. W grudniu 1965 r. żona Daniela Łarisa Bogoraz napisała list do prokuratora generalnego – protest przeciwko aresztowaniu za twórczość artystyczną i niezgodnym z prawem metodom śledztwa. „Starszy śledczy podpułkownik G.P. Kantow podczas rozmów ze mną i przesłuchań twierdzi, że mój mąż jest winny i zostanie ukarany... Tego typu przesądzanie sprawy, która jest w toku, zmusza mnie do tego, by wątpić w obiektywność śledztwa... Śledczy pozwala sobie na groźby pośrednie: jeżeli będę się źle zachowywać (»rozumie pani, co mam na myśli« – mimo że kompletnie nie rozumiem, o co chodzi), mogę mieć problemy w pracy, »kiedy tam się dowiedzą«. O czym się dowiedzą? Że przeciwko mojemu mężowi toczy się śledztwo? Ale przecież jeszcze nie został uznany za winnego. A nawet jeżeli zostałby uznany, jakie ja mogę mieć problemy i z jakiego powodu? Czyżbyśmy wracali do czasów represji przeciwko rodzinom osób skazanych, oskarżonych, podejrzanych?... Niniejszym... żądam przestrzegania norm ludzkich i przepisów prawa”³³.

W ciągu lat, które minęły od tamtego wydarzenia, tego typu listów napisano bardzo wiele, ale w 1965 r. podobny ton i argumentacja były nowatorskie. Łarisa Bogoraz wywarła ogromny wpływ na rozwój wydarzeń w owym początkowym okresie. Jak magnes przyciągała wszystkich ludzi współczujących aresztowanym. Jej naturalna świadomość prawna oraz niewzruszona odwaga udzielały się innym, stawały się przykładem. Od Bogoraz i jej przyjaciół te nowe idee niczym koła na wodzie rozchodziły się po całej Moskwie, odcisnęły piętno na tonie i treści innych listów w obronie Siniawskiego i Daniela. Wiadomo o jeszcze 22 takich listach³⁴. Dwadzieścia z nich napisali mieszkańcy Moskwy. Podpisało je 80 osób, w tym przeszło 60 członków Związku Pisarzy.

Niepokój właśnie pisarzy wywołany tym procesem oraz procesem Josifa Brodskiego w dużym stopniu da się wytłumaczyć faktem, że chodziło o swobodę

³³ *Biała księga...*, s. 80–82.

³⁴ *Ibidem*, s. 64–67, 80–87, 95–100, 117–130, 148–166, 341–344, 385–387.

twórczości artystycznej, a sprawa dotyczyła kolegów. Ale to nie przypadek; literaturze rosyjskiej właściwa jest tradycja antagonizmu w stosunku do władzy, najwybitniejsi rosyjscy pisarze zawsze walczyli o poszanowanie jednostki, byli jej obrońcami.

Listy w sprawie Siniawskiego i Daniela pisali przede wszystkim ich rówieśnicy (tj. ludzie w wieku średnim), a także osoby starsze. Wszyscy sygnatariusze mieli wyższe wykształcenie, niektórzy nawet stopnie naukowe; wszyscy pracowali zgodnie ze swoją profesją. Była to radziecka wykształcona klasa średnia, co odróżniało autorów listów od awanturników z placu Majakowskiego oraz smogistów, którzy zaczęli konfrontację z władzą za młodu i nie potrafili znaleźć swojego miejsca w oficjalnym społeczeństwie.

Nowe środowisko społeczne, które zgłosiło roszczenia wobec władzy, wybrało nie demonstracje, ale formę epistolarną, dającą więcej możliwości wyrażania swoich przekonań (warto nadmienić, że żaden z autorów listów w obronie Siniawskiego i Daniela – poza Jesieninem-Wolpinem – nie uczestniczył w demonstracji 5 grudnia 1965 r., mimo że niektórzy byli obecni na placu Puszkina w charakterze widzów).

Listy w obronie niesprawiedliwie represjonowanych pisano również wcześniej, nawet w latach terroru stalinowskiego. W tamtych czasach napisanie podobnego listu było przejawem ogromnej naiwności albo ogromnej odwagi, ponieważ mogło doprowadzić do aresztowania autora. Lecz listy te nie były dokumentami obrony praw człowieka; ich argumentacja ograniczała się do zapewnień, że osoba represjonowana jest oddana władzy radzieckiej i została aresztowana „przez pomyłkę”.

W 1958 r., w trakcie nagonki na Borysa Pasternaka za opublikowanie za granicą *Doktora Żywago*, w samizdacie krążył stenogram zebrania Związku Pisarzy, na którym Pasternak został potępiony przez kolegów literatów³⁵. Wówczas wiele osób współczuło pisarzowi i głośno o tym mówiło. Najprawdopodobniej ten czy ów napisał o swoim oburzeniu z powodu

tej nagonki, tyle że owe listy przeczytali wyłącznie urzędnicy, do których były adresowane. A więc nikt nie dowiedział się o wysiłkach w obronie Pasternaka. To samo można powiedzieć na temat listów w sprawie poety Josifa Brodskiego, skazanego w Leningradzie w 1964 r. na 5 lat zesłania za rzekome pasożytnictwo; tych listów również nie rozpowszechniano w samizdacie.

Ci, którzy pisali listy w obronie Siniawskiego i Daniela, wcale nie liczyli na to, że władze wsłuchają się w ich argumenty i zrezygnują z rozprawy sądowej. Celem tych listów było wyartykułowanie poglądu, że oficjalny punkt widzenia na proces oraz na problem stosunków między jednostką i państwem jest nie do przyjęcia. Miały one przemówić nie do urzędników, do których je adresowano, tylko do czytelników samizdatu. Listy, jak i cała *Biała księga*, odegrały ogromną rolę w kształtowaniu się kiełkującej niezależnej opinii społecznej, w poszerzaniu wiedzy o prawach człowieka.

Sąd nad pisarzami nie był jedynym objawem kursu nowego radzieckiego kierownictwa na restalinizację. Coraz częściej zaczęły się ukazywać dzieła usprawiedliwiające i wystawiające Stalina, niedopuszczalne natomiast były wypowiedzi antystalinowskie. Nasiłowała się cenzura, po XX zjeździe nieco złagodzona. Te niepokojące objawy wywoływały liczne protesty indywidualne i grupowe. Uczestniczyli w nich zarówno szeregowi obywatele, jak i wybitni pisarze lub naukowcy. Każdy tego typu protest stawał się wydarzeniem w życiu społecznym: listy Lidii Czukowskiej (kwiecień 1966 r. i luty 1968 r.); list otwarty Aleksandra Sołżenicyna do IV zjazdu pisarzy (maj 1967 r.) i odzew około osiemdziesięciu literatów; listy Lwa Koplewa (grudzień 1967 r.) i G. Swirskiego (styczeń 1968 r.); list 43 dzieci komunistów represjonowanych w czasach stalinowskich do KC (wrzesień 1967 r.); listy Roja Miedwiediewa i Piotra Jakira do czasopisma „Kommunist” z wykazem przestępstw popełnionych przez Stalina; list Andrieja Sacharowa, Walentina

³⁵ Stenogram moskiewskiego zebrania pisarzy 31 X 1958 w: „Nowyj żurnal” (New York), nr 83.

Turczina i Roja Miedwiediewa do przywódców KPZR o konieczności demokratyzacji systemu radzieckiego oraz inne³⁶.

Najbardziej reprezentatywne ze względu na grono sygnatariuszy były:

1. odezwa do deputowanych Rady Najwyższej w związku z wprowadzeniem do kodeksu karnego art. 190 (skazanie na pobyt w obozie na okres do 3 lat za „szkalowanie radzieckiego ustroju społecznego i państwowego” oraz za „organizację działań grupowych, które zakłócają pracę komunikacji miejskiej”),

2. list do Breżniewa w sprawie tendencji do rehabilitacji Stalina³⁷.

Wśród sygnatariuszy tych listów znaleźli się: kompozytor Dymitr Szostakowicz, trzynastu akademików (w tym Sacharow), wybitni reżyserzy, artyści, malarze, pisarze, starzy bolszewicy – członkowie partii ze stażem przedrewolucyjnym. Argumenty przeciwko restalinizacji formułowano w sposób jak najbardziej lojalistyczny (restalinizacja wprowadzi rozdźwięk w radzieckim społeczeństwie, w świadomości ludzi, pogorszy relacje z komunistycznymi partiami na Zachodzie itd.), niemniej protest przeciwko odrodzeniu stalinizmu został wyrażony w sposób stanowczy.

Na początku 1968 r. do listów przeciwko restalinizacji doszły listy przeciwko sądzeniu młodych działaczy samizdatu (Jurij Gałanskow, Aleksandr Ginzburg, Aleksiej Dobrowolski, Wiera Łaszkowa). Cała czwórka studiowała zaocznie i zarabiała na życie, wykonując pracę niewymagającą kwalifikacji. Wszyscy z wyjątkiem Łaszkowej zostali wyrzuceni ze studiów, a Gin-

zburg i Dobrowolski mieli nawet za sobą pobyt w łagrze z przyczyn politycznych.

„Proces czworga” był bezpośrednio związany ze sprawą Siniawskiego i Daniela: Ginzburga i Gałanskowa oskarżono o przygotowanie i przekazanie na Zachód *Białej księgi*. Poza tym Gałanskowa oskarżono o przygotowanie samizdatowego zbioru literacko-publicystycznego „Feniks-66”, natomiast Łaszkową i Dobrowolskiego o współpracę z Gałanskowem i Ginzburgiem³⁸.

Pod względem formy protesty z 1968 r. powtórzyły wydarzenia sprzed dwóch lat, tyle że na większą skalę: demonstracja „nieuków”, w której wzięło udział około 30 osób; za tę demonstrację skazano na podstawie nowego art. 190 na trzyletnie wyroki Władimira Bukowskiego i jego przyjaciela Wiktora Chaustowa³⁹; obecność pod budynkiem sądu – tym razem jednak zebrała się nie garstka przyjaciół oskarżonych, jak dwa lata temu, ale ludzie w różnym wieku i o różnym statusie społecznym. W dniu ogłoszenia wyroku pod sądem tłoczyło się około 200 osób⁴⁰. Kampania petycyjna również osiągnęła znacznie większą skalę niż w 1966 r. Okazało się, że „podpisywaczy” – jak zaczęto nazywać sygnatariuszy listów przeciwko prześladowaniom politycznym – jest przeszło 700⁴¹. Andriej Amalrik w swojej pracy *Czy Związek Radziecki przetrwa do 1984 roku?* zanalizował tę grupę pod względem przynależności społecznej. Przeważały osoby wykonujące pracę umysłową: naukowcy stanowili 45 proc., różnego rodzaju artyści 22 proc., pracownicy wydawnictw, nauczyciele, lekarze i prawnicy 9 proc. Znaczną część „podpisywaczy” stanowiła tym razem

³⁶ AS, nr 166, t. 2 (L. Czukowskaja); nr 170–173, t. 3 (list A. Sołżenicyna do zjazdu pisarzy oraz listy pisarzy, którzy go poparli); nr 124, t. 2 (L. Kopielew); nr 26, t. 1 (G. Swirski); nr 134, t. 2 (list 43 dzieci represjonowanych komunistów); nr 131, t. 2 (R. Miedwiediew); nr 99, t. 1 (P. Jakir); nr 360, t. 5. Zob. też „*Chronika tiekuszczich sobytij*”, t. 1 [nr 1–15], Amsterdam 1979, nr 12, s. 391–393 (A. Sacharow, W. Turczin i R. Miedwiediew do Breżniewa).

³⁷ *Prawosudije ili rasprawa? Dielo o diemonstraciji 22 janwaria 1967 goda. Sbornik dokumentow*, red. P. Litwinow, London 1968, s. 6–7; AS, nr 273, t. 4.

³⁸ *Process czetyrioch...*, s. 69–70.

³⁹ *Prawosudije ili rasprawa?...*; zob. też „*Chronika tiekuszczich sobytij*”, t. 1..., nr 5, s. 80.

⁴⁰ *Process czetyrioch...*, s. 255–263.

⁴¹ Zob. listy otwarte nr 1–30 [w:] *Process czetyrioch...*, cz. 4 oraz nr 32–44, cz. 5.

inteligencja techniczna (13 proc.). Robotników było nawet więcej niż studentów (odpowiednio 6 i 5 proc.). Byli to wszakże robotnicy nietypowi – przeważnie z grona młodych „nieuków”⁴².

Tak więc dominującą formą protestu w 1968 r. stały się listy do instytucji radzieckich. W kampanii petycyjnej wzięli udział przedstawiciele wszystkich warstw inteligencji, włącznie z najbardziej uprzywilejowanymi.

Amalrik zauważył, że pisanie petycji jest charakterystyczne dla społeczeństw autorytarnych. Przypomniat, że od petycji do króla zaczęła się francuska rewolucja 1830 r. oraz ruch, który obalił monarchię etiopską w 1975 r.⁴³ Można dodać, że również w Rosji w ciągu ostatnich dziesięcioleci panowania carów petycje były bardzo popularne. Pojawienie się kampanii petycyjnych w ZSRR miałyby więc świadczyć o tym, że po śmierci Stalina państwo radzieckie z totalitarne-go zaczęło się przekształcać w autorytarne. Petycje i wystąpienia przeciwko restalinizacji zahamowały ten proces. Gdyby nie to, zachodziłby on znacznie szybciej i mniej łagodnie.

Lecz kampania petycyjna 1968 r. nie mogła się pochwalić bezpośrednim sukcesem: Ginzburg został skazany na 5 lat obozu, Gałanskowa na 7 (zmarł w 1972 r. w więzieniu wskutek nieudanej operacji wrzodów żołądka), a „podpisującym” urządzono masową rozprawę. Poza nielicznymi wyjątkami członkowie partii zostali z niej wyrzuceni, co automatycznie skutkowało zwolnieniem z pracy. Wielu bezpartyjnych również zwolniono lub przeniesiono na niższe stanowiska. Studentów rugowano z uczelni; malarzy i pisarzy – ze związków twórczych, przestano ich publikować i wystawiać; naukowcy nie mogli bronić doktoratów itd. Wszyscy ci ludzie, do niedawna dobrze prosperujący, nagle znaleźli się na marginesie społeczeństwa⁴⁴.

Gdy kampania petycyjna się zaczynała, niezmiernie ważne było skierowanie protestu właśnie przeciwko władzom. Był to krok rewolucyjny – w porównaniu do tych długich lat, kiedy krytykę władzy podejmowano wyłącznie w rozmowach z kolegami, natomiast podczas oficjalnych wystąpień ci sami ludzie nie odważali się jej wyartykułować, lecz powtarzali nic nieznaczące komunały. Równoczesne przekazanie do samizdatu zawierających krytykę listów adresowanych do oficjalnych instytucji dawało przykład, pomagało kształtować rodzącą się opinię publiczną.

Wśród listów związanych z „procesem czworga” wyróżniał się ten napisany przez Łarise Bogoraz i Pawła Litwinowa, skierowany nie do radzieckich instytucji, lecz do „międzynarodowej społeczności” – zarówno do obywateli radzieckich, jak i do Zachodu. Była to próba przewyciężenia reguły, że nie należy prać brudów poza domem. Autorzy listu apelowali, by żądać uwolnienia podsądnych z aresztu i wyznaczenia ponownego procesu z udziałem obserwatorów międzynarodowych⁴⁵. Apel miał rezonans na Zachodzie, wydrukowano go w wielu gazetach; londyński „Times” pisał o nim na pierwszej stronie⁴⁶; zagraniczne rozgłośnie radiowe nadające do ZSRR wielokrotnie przekazywały jego pełny tekst, co spopularyzowało apel w ZSRR i wywołało lawinę listów do jego autorów – i współczujących, i pełnych oszczerstw⁴⁷.

W okresie opisywanych tu wydarzeń, w latach 1966–1968, ukształtowało się grono obrońców prawa. Akces do tego grona odbywał się nie z powodu sympatii do liberalnych idei i współczucia dla ludzi z ich powodu prześladowanych (podobne sympatie, przynajmniej w Moskwie, były dość powszechne), ale na podstawie gotowości do otwartej obrony tego stanowiska w razie próby odgórnej restauracji stalinizmu. Uczestnictwo w kampanii petycyjnej stało

⁴² A. Amalrik, *Prosuszczestwujet li Sowjetskij Sojuz do 1984 goda?*, Amsterdam 1970, s. 12.

⁴³ A. Amalrik, *Zapiski dissidenta...*, s. 37.

⁴⁴ „Chronika tiekuszczych sobytij” ..., t. 1, nr 1, s. 8–14; nr 2, s. 21–32; nr 5, s. 90–98.

⁴⁵ *Process czetyrioch...*, s. 260–263.

⁴⁶ „Times”, 12 I 1968.

⁴⁷ *Dear Comrade: Pavel Litvinov and the Voices of Soviet citizens in Dissent*, oprac. K. van het Reve, New York 1969.

się pierwszym etapem tego akcesu. W warunkach radzieckich był to poważny sprawdzian postawy obywatelskiej. Jednak nie należy utożsamiać uczestników kampanii epistolarnej 1968 r., która miała na celu poparcie „kursu XX zjazdu”, z obrońcami prawa. Większość „podpisywaczy” 1968 r. działała powodowana nadzieją na to, że przywódcy radzieccy uwzględnią głos opinii publicznej i jeżeli nie zlikwidują, to przynajmniej zmniejszą ucisk. Władze odpowiedziały represjami.

Ku chwale „podpisywaczy” należy podkreślić, że zaledwie kilka osób zgodziło się „uznać błędy” i złożyć samokrytykę, mimo że żądano tego od wszystkich pod rygorem utraty pozycji życiowej. Jednak represje, które zaczęły się wiosną 1968 r., a zwłaszcza wkroczenie wojsk radzieckich do Czechosłowacji kilka miesięcy później jasno pokazały nie tylko niebezpieczeństwo otwartych wystąpień obywatelskich, ale również ich brak perspektyw. Stało się oczywiste, że system radziecki nie przekształcił się w autorytarny, lecz pozostał totalitarny, toteż konfrontacja z nim nie przyniesie szybkiego sukcesu.

Przekonawszy się o tym, większość „podpisywaczy” zrezygnowała z otwartej walki, wróciła do dotychczasowego życia i ograniczyła się do pasywnego potępiania władz za powrót do stalinizmu. Prób wywierania wpływu na władzę zaprzestali m.in. prawie wszyscy najbardziej znani, a tym samym najmniej wystawieni na ciosy uczestnicy kampanii petycyjnej 1968 r., których nazwiska dodały jej szczególnej wagi.

Tylko niewielka część „podpisywaczy” nie chciała się rozstać z wewnętrzną wolnością, zdobytą podczas otwartych wystąpień obywatelskich. Oczyszczenie duchowe, które przeżyli, nie pozwoliło im powrócić do dwójmyślenia, koniecznego, gdy się uczestniczy w oficjalnym życiu radzieckim. Ci nieliczni pozostali gotowi do otwartego sprzeciwu, mimo że nie żywili nadziei na sukces w najbliższej przyszłości. Cenę za taką postawę obywatelską stanowił status odszczepieńca i – czego nie można było wykluczyć – osadzenie w obozie. Wydarzenia z lat 1966–1968 pomogły odnaleźć się ludziom, którzy byli przygotowani na

tę próbę. Połączyły ich postawa obywatelska, wspólne wartości moralne oraz status odszczepieńca. Ta wspólnota na początku reprezentowała ruch obrony praw człowieka, a następnie, kiedy ruch się rozszerzał, pozostała jego trzonem.

Przystąpienie do ruchu obrony nie wymagało żadnych formalności – był to akt indywidualnego sumienia. Wyzwolenie się z dwójmyślenia i gotowość na nieuniknione dla obrońcy praw człowieka komplikacje życiowe najczęściej zaczyna się od otwartego protestu przeciwko bezprawiu. Dlatego uznają za obrońcę praw człowieka każdego, kto przynajmniej raz zgłosił tego typu protest. Najbardziej rozpowszechnioną jego formą pozostaje do dziś podpisanie dokumentu w obrobie praw człowieka.

III. KRYSTALIZACJA (1968–1972)

Ruch obrony nie jest zorganizowany w formalny sposób – ani w samym jądrze, ani między centrum a peryferiami. Nie ma w nim liderów ani podwładnych, nikt nikomu nie powierza zadań, może jedynie sam zrobić to, co zaplanował, chyba że ktoś zgłosi się do pomocy. Nikt nie ma żadnych zobowiązań poza tymi, które narzuca mu własne sumienie. Ale właśnie z powodu dobrowolnego charakteru przynależności do tego braterskiego zakonu ludzie angażują się z ofiarnością tak wielką, jakiej nie da się wyzwolić rozkazami bądź przymusem.

Ta nieformalna struktura najlepiej się sprawdziła w warunkach radzieckich (w każdym razie w pierwszych latach ruchu). Każde zadanie znajduje swoich wykonawców, a właściwie to oni znajdują zadanie dla siebie.

Koordinacja pracy opiera się na więzach przyjacielskich, co zapewnia głębokie wzajemne zaufanie, bez którego nie byłaby możliwa działalność wśród ciągłych prześladowań. Pomaga to również w wypełnianiu pustych miejsc, powstających wskutek aresztowań; osoba bliska aresztowanemu bierze na siebie jego obowiązki, dlatego ludzie sprawnie się zastępują i dziedziczą po sobie doświadczenie. Bliskie więzi przyjacielskie utrudniają zadanie

prowokatorom. W prawie dwudziestoletniej historii ruchu znamy wiele prób wprowadzania prowokatorów do tego środowiska, ale nie wiemy o żadnej, która byłaby skuteczna.

Brak formalnych powiązań między uczestnikami ruchu nie oznacza braku struktury. Szkieletem ruchu obrony praw człowieka stała się sieć kolportażowa samizdatu. Kanały samizdatu pełnią rolę ogniów łączących. Rozgałęziają się one w sposób niewidzialny i niesłyszalny jak grzybnia i tak jak grzybnia raz tu, raz tam wychodzą na powierzchnię w formie otwartych wystąpień. Ludzie postronni mają fałszywe mniemanie, że cały ruch się ogranicza do tych otwartych wystąpień. Tymczasem to nie wystąpienia, ale codzienny wysiłek organizacyjny i wydawniczy pochłania podstawową część energii jego uczestników.

Powielanie samizdatu jest ogromnie pracowite z powodu niedoskonałości środków technicznych i konieczności ukrywania się. Obrońcom praw człowieka udało się jednak w sposób zasadniczy zmienić ten proces i istotnie zwiększyć zasięg samizdatu. Pojedyncze przypadki przekazywania rękopisów na Zachód przekształcili oni w system, usprawnili mechanizm „samizdat – tamizdat – samizdat” (tamizdatem nazywano książki i broszury drukowane za granicą i w takiej postaci wracające do ZSRR).

Pierwszym stałym „łącznikiem” z Zachodem został Andriej Amalrik. W latach 1966–1969 pozostawał praktycznie jedynym tego typu „specjalistą” wśród obrońców praw człowieka. Za jego pośrednictwem przedostawały się na Zachód i wracały dokumenty ruchu obrony, takie jak stenogramy procesów sądowych, a także literatura piękna i pu-

blicystyka wydawane w samizdacie⁴⁸. Za szczytowe osiągnięcie swojej działalności „oficera łącznikowego” Amalrik uważa przekazanie na Zachód artykułu Andrieja Sacharowa *Rozmyślenia o postępie, pokojowym współistnieniu i wolności intelektualnej* (1968)⁴⁹. Sam Amalrik wzbogacił samizdat m.in. książką *Niechciana podróż na Syberię* oraz esejem futurologicznym *Czy Związek Radziecki przetrwa do roku 1984?*. Do 1972 r. mechanizm „samizdat – tamizdat” posłużył ponadto książce Anatolija Marczenki *Moje zeznania*, powieści Wasilija Grossmana *Wszystko płynie*, nowelom Lidii Czukowskiej, *Moskwa – Pietuszki* Wieniektta Jerofiejewa, powieściom Aleksandra Sołżenicyna *Oddział chorych na raka* oraz *Krąg pierwszy*, a także Władimira Maksimowa *Siedem dni stworzenia*, wierszom Josifa Brodskiego, Natalii Gorbaniewskiej, Nauma Korżawina; wszystko razem to najlepsze dzieła literatury i publicystyki tamtych lat⁵⁰.

Wracając z Zachodu do domu bardzo skomplikowanymi drogami, książki te nie mogły zaspokoić ogromnego zapotrzebowania. Dlatego tamizdat był nie tylko czytany, ale również kopiowany, najczęściej za pomocą aparatu fotograficznego. Metoda ta jest mniej pracowita niż przepisywanie na maszynie, lecz można ją stosować tylko w przypadku pozycji drukowanych, ponieważ maszynopisu zazwyczaj nie da się skopiować w ten sposób z powodu złej jakości papieru, kalki i taśmy używanej w maszynie.

Od początku lat siedemdziesiątych do produkcji samizdatu zaczęto wykorzystywać powielacze, ale należało to do rzadkości; we wszystkich instytucjach były one ściśle kontrolowane. Znajdowali się ludzie, którzy potrafili je złożyć, lecz konstruktor powielacza

⁴⁸ A. Amalrik, *Zapiski dissidenta...*, s. 11–13, 66–68.

⁴⁹ A. Sacharow, *Razmyślenia o progiessie, mirnom sosuszczestwowanii i intellektualnoj swobodie* [w:] *O stranie i mirie*, New York 1976, s. 139–179; zob. też *„Chronika tiekuszczich sobytij”...*, t. 1, nr 5, s. 80–81.

⁵⁰ A. Amalrik, *Nieżełannoje putieszczestwije w Sibir*, New York 1970; A. Amalrik, *Prosuszczestwujet li Sowjetskij Sojuz do 1984 goda?...*; A. Marczenko, *Moi pokazanija*, Frankfurt am Main 1969; W. Grossman, *Wsio tieczot...*, Frankfurt am Main 1970; L. Czukowskaja, *Opustiej dom*, Paris 1965; L. Czukowskaja, *Spusk pod wodu*, New York 1972; W. Jerofiejew, *Moskwa – Pietuszki*, „Ami” 1973, nr 3; A. Sołżenicyn, *Rakowij korpus* [w:] *Soczinienija*, t. 2, Paris 1978–1991; W. Sołżenicyn, *W krugie pierwom* [w:] *Soczinienija*, t. 4...; W. Maksimow, *Siem dniew tworienija*, Frankfurt am Main 1971; J. Brodskij, *Ostanowka w pustynie*, New York 1970; N. Gorbaniewskaja, *Stichi*, Frankfurt am Main 1969; N. Korżawin, *Wriemiena*, Frankfurt am Main 1970.

i jego pomocnicy poza wprawą techniczną musieli się wykazać gotowością do organizowania kradzieży niektórych części, niedostępnych w sklepach (potem oskarżano ich nie tylko na podstawie artykułów politycznych, ale również za kradzież oraz prowadzenie niedozwolonej działalności).

Jeśli chodzi o powielanie samizdatu na maszynie do pisania, również tu zaszły zmiany. Oprócz dotychczasowych „chałupników” wciągnięto do tego maszynistki, których pracę opłacano; wprowadzono sprzedaż pozycji samizdatowych cieszących się wzięciem. Znaleźli się ludzie, którzy poświęcili się powielaniu i kolportowaniu samizdatu. Na przykład Julius Tielesin, który zasłużył na tytuł „księcia samizdatu” (*per analogiam* z Hamletem – księciem duńskim*), i Ernst Rudenko (mogę ich wymienić, ponieważ Tielesin mieszka obecnie w Izraelu, a Rudenko zmarł). Cenę przepisano za pieniądze samizdatu zazwyczaj ustalano, mnożąc koszt przepisania jednej strony przez liczbę kartek, plus koszt papieru, kalki itd. Czasu, pracy i ryzyka kolportera nie brano pod uwagę, on zajmował się tym „społecznie”. Z reguły maszynistki, które dostawały pieniądze za przepisywanie samizdatu, były dobrymi znajomymi zleceńodawcy. Wysyłki w celu poszerzenia ich grona kończyły się niekiedy porażką; bywało, że po zaznajomieniu się z treścią zamówionego tekstu maszynistka niosła rękopis do KGB⁵¹.

„Kronika Bieżących Wydarzeń”

Dzięki wieloletniej, żmudnej i niebezpiecznej pracy wielu osób kanały samizdatu (i kontakty obrońców praw człowieka) się umocniły, rozgałęziły, sięgały coraz dalej. Jednym z dowodów na to jest historia

biuletynu informacyjnego – „Kroniki Bieżących Wydarzeń”, który po dziesięciu latach istnienia Andriej Sacharow nazwał największym osiągnięciem obrońców praw człowieka⁵².

„Kronika Bieżących Wydarzeń” pojawiła się w 1968 r., obfitującym w ważne dla ruchu obrony przedsięwzięcia. Pierwszy numer ukazał się 30 kwietnia, w największej gorączce represji przeciwko „podpisywaczom”. Pierwowzorem „Kroniki” były biuletyny informacyjne Tatarów krymskich, z którymi się zapoznali moskiewscy obrońcy praw człowieka. Od tamtej pory „Kronika” wychodzi mniej lub bardziej regularnie. Do końca 1983 r. na Zachodzie opublikowano 64 numery⁵³.

„Kronika Bieżących Wydarzeń” jest źródłem rzetelnej informacji o przestrzeganiu praw człowieka w ZSRR. Tytuł odpowiada powołaniu pisma: odnotowuje ono fakty naruszenia praw człowieka w ZSRR, wystąpienia w obronie praw człowieka oraz przypadki demonstracyjnego egzekwowania praw obywatelskich. Trzymanie się faktów to zasada wyznaczająca styl pisma; „Kronika” z założenia powstrzymuje się od ocen. Lecz „Kronika” jest nie tylko wykazem przypadków łamania praw człowieka w ZSRR czy historią ruchu obrony, lecz także jego nieodłączną, cenną częścią; to ona stworzyła trwałe kontakty między odległymi od siebie wysepkami powstającego ruchu, a także między obrońcami praw człowieka i uczestnikami innych grup dysydenckich, pomogła w rozchodzeniu się idei i wpływu ruchu obrony.

Redakcja „Kroniki” jest anonimowa, w numerach nie podaje się jej adresu. Redakcja tłumaczyła to „swoistym pojmowaniem legalności i wolności informacji, które się ukształtowało w ciągu długich lat w niektórych organach radzieckich”⁵⁴.

* Gra słów: *samizdatskij* – dotyczący samizdatu, *datskij* – duński (tłum.).

⁵¹ Na przykład przypadek Burmistrzowicza, zob. *Za piat' let*, Paris 1972, s. 125–126.

⁵² A. Sacharow, *O sowietom obszczestwie* [w:] *O stranie i mirie...*, s. 43; A. Sacharow, *Otwiety na woprosy inostrannogo korriespondienta* [w:] *Triewoga i nadieźda*, New York 1978, s. 32; wywiad A. Sacharowa udzielony korespondentowi Associated Press George'owi Krimskiemu [w:] *ibidem*, s. 46.

⁵³ W Amsterdamie w 1979 r. zbiorowo w dwóch tomach nr 1–15 i 16–27, w Nowym Jorku w latach 1974–1983 poszczególne numery 28–64.

⁵⁴ „*Chronika tiekuszczych sobytij*...”, t. 1, nr 5, s. 102.

Pierwszym redaktorem „Kroniki” była Natalia Gorbaniewska⁵⁵. Po jej aresztowaniu w grudniu 1969 r. funkcję tę pełnił Anatolij Jakobson – do 1972 r.⁵⁶ Później skład redakcji zmieniał się co dwa, trzy lata, głównie z powodu aresztowań. Zmiany zachodzące w gronie redakcji były jednak niezauważalne dla czytelników „Kroniki”, ponieważ osobowość wydawców nie znajduje odbicia w piśmie; nie tylko układ graficzny i styl publikacji, ale też podejście do selekcji materiału oraz zasady jego podawania nie zmieniły się w ciągu piętnastu lat istnienia pisma.

Mechanizm pozyskiwania informacji oraz kolportażu „Kroniki” został zaproponowany w jej piątym numerze: „Każdy [...] z łatwością może przekazać znaną mu informację do dyspozycji »Kroniki«. Opowiedzcie o tym człowiekowi, od którego dostaliście »Kronikę«, on z kolei opowie temu, od kogo on dostał itd. Tylko nie próbujcie osobiście pokonać całego łańcuszka, bo was wezmą za kapusia”⁵⁷.

Już pierwszy numer daje wyobrażenie o tym, jakie aspekty życia społeczeństwa radzieckiego interesują „Kronikę”. Jak niemal wszystkie następne numery zaczyna się on od sprawozdania z procesu politycznego.

Dużo miejsca w „Kronice” zajmują wydarzenia z Moskwy – nie tylko z tego powodu, że jest ona wydawana przez moskiewskich obrońców praw, ale także dlatego, że Moskwa jest centrum tego ruchu. Tutaj się on narodził, tutaj ma największe grono działaczy i sympatyków. Przeważnie przez Moskwę ruch komunikuje się z Zachodem, co okazało się najskuteczniejszą drogą rozpowszechniania informacji niekontrolowanych przez władze – za pośrednictwem rozgłośni radiowych nadających do ZSRR oraz tamizdatu.

Z początkowych numerów „Kroniki” wynika, że jej wiedza w tym okresie ograniczała się głównie do

tego, co dzieje się w Moskwie: pięć z siedmiu tekstów pierwszego numeru poświęcono wydarzeniom moskiewskim, dwa – leningradzkim. Z numeru na numer rozszerzał się zasięg geograficzny informacji zamieszczanych w „Kronice”. Specyfika warunków pracy redakcji pisma tłumaczy okresowe zawężanie sieci jego korespondentów, niemniej zasięg geograficzny wzrósł już w ciągu pierwszego roku istnienia: „Kronika” nr 7 (kwiecień 1969) informuje o wydarzeniach w 34 miejscowościach, nr 11 (grudzień 1969) – w 32, nr 12 (luty 1970) – w 18 (prawdopodobnie część korespondentów została utracona w związku z aresztowaniem Natalii Gorbaniewskiej), nr 27 (październik 1972) – w 35.

W początkowych numerach prawie nie ma doniesień z republik narodowych. Tylko z Ukrainy jest kilka wiadomości w każdym numerze, od pierwszego począwszy. Oprócz tego redakcja „Kroniki” zawsze była dobrze poinformowana na temat ruchu Tatarów krymskich. Lecz o ruchu Meschów, który zaczął się również w połowie lat pięćdziesiątych, „Kronika” pisała po raz pierwszy dopiero w 1969 r.⁵⁸ Epizodyczne wiadomości na temat Litwy zaczęły się pojawiać w sierpniu 1970 r., natomiast stałe – od września 1971 r. (od nr 21)⁵⁹. Wzmianki o ruchach religijnych w pierwszych latach istnienia „Kroniki” zamieszczano tylko co jakiś czas, przeważnie dotyczyły prawosławnych, rzadziej – baptystów⁶⁰.

Kontakty „Kroniki” z przedstawicielami różnych ruchów niezależnych zaczynały się od obopólnej chęci zamieszczenia w piśmie wyczerpującej i rzetelnej informacji na ich temat. Działacze ruchów religijnych i narodowych dowiedzieli się o „Kronice” dzięki audycjom zagranicznych rozgłośni i szukali do niej dojścia. Ich osobiste kontakty z obrońcami praw człowieka pomogły poznać się, zrozumieć i zacząć się wspierać.

⁵⁵ „Chronika tiekuszczych sobytij” (New York) nr 38, s. 77.

⁵⁶ „Chronika zaszczyty praw w SSSR” (New York) nr 31, s. 66–67.

⁵⁷ „Chronika tiekuszczych sobytij”..., t. 1, nr 5, s. 102–103.

⁵⁸ *Ibidem*, t. 1, nr 7, s. 131–135.

⁵⁹ *Ibidem*, t. 1, nr 11, s. 291; *ibidem*, t. 2, nr 21, s. 255–257.

⁶⁰ *Ibidem*, t. 1, nr 5, s. 85–86.

Stały temat „Kroniki” to sytuacja więźniów politycznych. Wieści z miejsc pozbawienia wolności są w każdym numerze, zaczynając od pierwszego. „Kronika” ciągle publikuje informacje o translokacjach w więzieniach i obozach, o ludziach nowo przybyłych lub wychodzących na wolność; od czasu do czasu zamieszcza listy więźniów politycznych z krótką charakterystyką ich spraw, a po to, by szerzej opisać rozprawy sądowe wykraczające poza ramy chronologiczne „Kroniki”, od szesnastego numeru wprowadzono rubrykę „Procesy z lat poprzednich”.

„Kronika” ogłosiła przeszło pięćset nazwisk osób skazanych na podstawie artykułów politycznych przed 1968 r. i około pięćdziesięciu osób umieszczonych w specjalnych szpitalach psychiatrycznych. Drukuje sprawozdania o chorobach więźniów politycznych, wyrokach, ograniczeniach korespondencji i widzeń, normach żywieniowych, warunkach życia i pracy, a także o protestach przeciwko prześladowaniom ze strony administracji łagrowej, publikuje też listy otwarte więźniów. Dzięki „Kronice” radzieccy więźniowie polityczni po raz pierwszy mogli zwrócić się do świata zewnętrznego. Milczenie, na które byli długo skazani, zostało nieodwracalnie przerwane. Wbrew wszelkim wysiłkom, by ukrócić przeciek informacji z miejsc uwięzienia, mimo kar za przekazywanie wiadomości na wolność, z obozów ruszyła rzeka samizdatu.

Pomoc dla politycznych

Pomoc materialną dla więźniów politycznych obrońcy praw człowieka organizowali według tej samej zasady co kolportaż samizdatu, tyle że w tym przypadku mechanizm działań w odwrotnym kierunku – od darczyńców do zbierających. Pierwsze paczki i listy do obozów wysłano wiosną 1966 r., gdy tylko się dowiedziano, że w ZSRR istnieją więźniowie polityczni.

Pierwsze informacje o nich uzyskano od Siniawskiego i Daniela, którzy zostali przywiezieni do obozów mordwińskich* i tam odkryli tysiące więźniów politycznych. Ale informacje te były zbyt skąpe z powodu cenzurowania więźniarskiej korespondencji.

Wiedza o tym, kim są polityczni i w jakim znajdują się położeniu, poszerzyła się i skonkretyzowała za sprawą Anatolija Marczenki. Ten robotnik z Syberii znalazł się w obozie w następstwie nieudanej ucieczki za granicę. Wyszedł z Mordowii w listopadzie 1966 r., a w 1967 r. oddał do samizdatu książkę *Moje zeznania* – szczegółowy opis sześcioletniego pobytu w łagrach⁶¹.

Więźniowie obozów politycznych dzielili się na następujące grupy: uczestnicy ruchów narodowych (głównie Ukraińcy i mieszkańcy republik nadbaltyckich); skazani „za wyznanie” (głównie protestanci); ci, którzy próbowali uciec za granicę; członkowie kółek podziemnych i skazani za krytykowanie porządku radzieckiego w ulotkach oraz anonimowych listach do gazet i różnych instytucji radzieckich.

Początkowo ci, którzy chcieli pomóc politycznym, przekazywali pieniądze ich żonom – dla mężów i ich współwięźniów potrzebujących pomocy. Przy czym nie stosowano tu podziału ze względu na przekonania, co odróżniało pomoc świadczoną przez mieszkańców Moskwy od tej, która istniała dotychczas (uczestnicy ruchu ukraińskiego pomagali swoim rodakom, baptyści – współwyznawcom itd.).

Pomoc dla więźniów politycznych weszła na stałe do działań obrońców praw człowieka. Do 1968 r. została uporządkowana i rozszerzona. Fundusz składał się z niewielkich comiesięcznych wpłat (od 1 do 5 rubli od osoby). Pieniądze zbierano wśród znajomych i współpracowników; oddawano je – bezpośrednio lub według ustalonego łańcuszka – kilku określonym osobom – w środowisku pisarzy, w instytucjach naukowo-badawczych, na uczelniach itp. W ten sposób zbierano dosyć duże kwoty, uzupełniane

* W opisywanym przez Aleksiejewą okresie obozy dla więźniów politycznych koncentrowały się w Mordwińskiej Autonomicznej Socjalistycznej Republice Radzieckiej. Od 1994 r. to republika Mordowia, wchodząca w skład Federacji Rosyjskiej (red.).

⁶¹ Zob. przypis 50.

nieregularnymi, ale znacznie większymi datkami pisarzy, uczonych, artystów. Były przypadki przekazywania na pomoc dla więźniów politycznych pieniędzy pochodzących ze spadku – nie na podstawie oficjalnego testamentu, ale za pośrednictwem osób zaufanych.

Comiesięcznie zbierane pieniądze umożliwiały wysyłanie do obozów paczek z żywnością i ciepłą odzieżą, artykułów piśmienniczych, książek, a nawet gotówki (oczywiście w tajny sposób), dzięki której więźniowie polityczni mogli lepiej się odżywiać, płacąc paskarskie ceny wolnym pracownikom obozu za przynoszone przez nich artykuły spożywcze. Kupowanie żywności i rzeczy, wysyłanych następnie w paczkach, zdobywanie potrzebnych książek było najprostszym i najbezpieczniejszym przejawem współczucia. Robili to nie tylko aktywni obrońcy praw człowieka, ale także ludzie niezwiązani z ruchem. Toteż dosyć liczne było grono tych, którzy od czasu do czasu pomagali więźniom politycznym. Ci mocniej zaangażowani na stałe zajmowali się wysyłką paczek; z powodu trudności z zaopatrzeniem i niskiego poziomu usług było to zajęcie bardzo praco- i czasochłonne. Nieco mniej liczne było grono ludzi łączących wysyłanie paczek z pisanie listów do obozów. Z reguły każdy z nich miał swojego podopiecznego (lub podopiecznych). Zdarzało się, że korespondowanie z więźniem politycznym kończyło się po jego wyjściu na wolność ślubem.

Z zbieranych pieniędzy płacono za przesyłki pocztowe, a także prenumerowano gazety i czasopisma dla każdego obozu, opłacano usługi adwokatów i wyjazdy członków rodzin na widzenia oraz kupowano produkty spożywcze na te widzenia.

W 1970 r. znacznie obostrzono zasady przekazywania przesyłek pocztowych do obozów, wskutek czego więźniowie polityczni prawie całkowicie zostali pozbawieni dostarczanych z wolności artykułów żywnościowych (od tego momentu można otrzymać wyłącznie czterokilogramową paczkę rocznie po od-

byciu połowy zasądzonego wyroku, ale nawet do tego niezbędne jest każdorazowe zezwolenie kierownictwa obozu, które bardzo często odmawia). Pozostała jedna możliwość – przekazywanie więźniom pieniędzy, lecz kontrole stały się znacznie bardziej surowe, więc ten kanał pomocy również bardzo się skurczył. W tym samym 1970 r. wprowadzono zakaz otrzymywania paczek z książkami od krewnych i znajomych. Od tamtej pory więźniowie mogą zamawiać książki wyłącznie w księgarniach, ale tam prawie nie ma dobrej literatury.

Obrońcom praw człowieka nie udało się doprowadzić do polepszenia warunków życia więźniów politycznych. Co więcej, warunki te stały się bardziej rygorystyczne z powodu dążenia władz do ukrócenia pomocy dla więźniów. Ale dzięki wsparciu z wolności skazani przestali się czuć porzuceni i zapomniani, a przecież dla wielu z nich było to gorsze od cierpień fizycznych.

Od 1968 r. zdarzały się też przypadki zakupu domów dla ludzi zesłanych, w których mogli oni mieszkać w okresie odbywania kary. Później, od 1969 r., został utworzony osobny fundusz pomocy dzieciom więźniów politycznych. Fundusz ten zasilano ze środków zebranych podczas domowych koncertów charytatywnych i podobnych datków. Oba te fundusze – dla więźniów politycznych i dla ich rodzin – rosnąć lub malejąc, istniały do 1976 r., kiedy zaczęły działać założony przez Aleksandra Sołżenicyna Fundusz Pomocy Więźniom Politycznym i ich Rodzinom*, a środki zaczęły napływać głównie z zagranicy.

Otwarte wystąpienia

W 1968 r. oprócz wystąpień przeciwko restalinizacji i w związku z „procesem czworga” liczne protesty wywołała radziecka interwencja w Czechosłowacji. Ich najbardziej rozpowszechnioną formą była odmowa poparcia interwencji podczas głosowań na zebraniach

* Fundusz został założony na przełomie 1973 i 1974 r. (red.).

i mityngach, które organizowano w całym kraju. Było wiele takich przypadków. Z reguły za ten skromny protest zwalniano z pracy.

Najbardziej znanym wystąpieniem w obronie Czechosłowacji stała się demonstracja 25 sierpnia 1968 r. na placu Czerwonym w Moskwie. Tego dnia Łarisa Bogoraz, Paweł Litwinow, Konstantin Babicki, Natalia Gorbaniewska, Wiktor Fajnberg, Wadim Delone oraz Władimir Driemluga usiedli na chodniku przy Miejscu Kaźni i rozwinęli transparenty: „Niech żyje wolna i niepodległa Czechosłowacja!” w języku czeskim oraz „Hańba okupantom!”, „Ręce precz od CSRS!”, „Za wolność waszą i naszą!” w języku rosyjskim. Prawie natychmiast rzucili się do nich pracownicy KGB w cywilu, którzy dyżurowali na placu Czerwonym w oczekiwaniu na wyjazd z Kremla delegacji czechosłowackiej. Wyrwali demonstrantom transparenty. Mimo że nie stawiali oni oporu, zostali pobici i wepchnięci do samochodów⁶².

Proces odbył się w październiku. Dwoje wysłano do obozu, troje na zesłanie, jednego – do szpitala psychiatrycznego. Natalia Gorbaniewska, która miała malutkie dziecko, została wypuszczona. O tej demonstracji dowiedzieli się ludzie w ZSRR i na całym świecie; dowiedział się również naród Czechosłowacji⁶³.

Wiele osób uważa demonstrację 25 sierpnia za jedyne w ZSRR wystąpienie przeciwko okupacji Czechosłowacji. W rzeczywistości protestowano w Moskwie, Leningradzie, na rosyjskiej prowincji i w republikach nierosyjskich.

Jeszcze przed interwencją, 26 lipca Anatolij Marczenko wysłał do „Prawdy” oraz do praskiej gazety „Rudé právo” list otwarty potępiający kampanię oszczerstw i pogróżek pod adresem Czechosłowa-

cji⁶⁴. 29 lipca został aresztowany i wkrótce skazany na podstawie sfabrykowanego oskarżenia o „złamanie przepisów paszportowych” na rok obozu⁶⁵.

29 lipca pięciu komunistów – P. Grigorienko, A. Kostierin, W. Pawlinczuk, S. Pisariew oraz I. Jachimowicz – udało się do ambasady Czechosłowacji i przekazało ambasadorowi list, w którym popierali nowy kurs KPCz i potępiali wywierany ze strony radzieckiej nacisk na Czechosłowację⁶⁶. W nocy z 21 na 22 sierpnia w Moskwie rozrzucono ulotki przeciwko okupacji Czechosłowacji⁶⁷.

W którymś z pierwszych dni po inwazji absolwent wydziału fizyki Moskiewskiego Uniwersytetu Państwowego Władimir Karasiow powiesił w westybulu uczelni plakat potępiający okupację i zaczął zbierać podpisy pod stosownym oświadczeniem. Zdążyły się podpisać zaledwie cztery osoby, gdy przybiegli pracownicy ochrony uniwersytetu. Pobili Karasiowa i zaciągnęli na posterunek milicji. Stamtąd zawieziono go do szpitala psychiatrycznego. Wyszedł po trzech miesiącach. W tym czasie został wykluczony z uniwersytetu oraz pozbawiony prawa do zamieszkania w Moskwie. Musiał się zatrudnić jako palacz w podmoskiewskiej fabryce⁶⁸.

24 sierpnia na placu Oktiabrskim w Moskwie pewien człowiek głośno zaprotestował przeciwko inwazji; został pobity przez nieznane osoby ubrane po cywilnemu, po czym wepchnięto go do stojącego w pobliżu auta i odjechano⁶⁹.

W dniu samospalenia Jana Palacha (16 stycznia 1969 r.) dwie studentki wyszły na plac Majakowskiego z transparentami: „Będziemy zawsze pamiętać o Janie Palachu” i „Wolność dla Czechosłowacji!”. Stały przez dwanaście minut. Obok nich zebrali się ludzie. Podeszła grupa młodzieży. Powiedzieli, że są komsomol-

⁶² N. Gorbaniewskaja, *Połdień*, Frankfurt am Main 1970, s. 65–82; „Chronika tiekuszczych sobytij” ..., t. 1, nr 3, s. 55–56.

⁶³ *Ibidem*, nr 4, s. 59–66.

⁶⁴ *Ibidem*, nr 3, s. 50; list Marczenki w pełnym brzmieniu w: *idem, Moi pokazanija...*, załączniki, s. 368–375.

⁶⁵ „Chronika tiekuszczych sobytij” ..., t. 1, nr 3, s. 50–51.

⁶⁶ *Ibidem*, s. 51. Cały tekst w: AS, nr 108, t. 2.

⁶⁷ „Chronika tiekuszczych sobytij” ..., t. 1, nr 3, s. 53–54.

⁶⁸ *Ibidem*, nr 7, s. 148.

⁶⁹ *Ibidem*, nr 3, s. 52.

cami, chociaż nie mieli opasek. Odebrali i zniszczyli plakaty, zaczęli się naradzać, co robić z dziewczynami – po czym je puścili⁷⁰.

Wiosną 1969 r. dwudziestotrzyletni Walerij Łuknin z podmoskiewskiego miasteczka Roszał w oknie swojego mieszkania wyeksponował plakat z protestem przeciwko stacjonowaniu wojsk radzieckich w Czechosłowacji. Został umieszczony w szpitalu psychiatrycznym. Opuścił go po dziesięciu latach – w 1978 r.⁷¹

Po demonstracjach przeciwko radzieckiej inwazji na Czechosłowację w Moskwie odbywały się demonstracje uczestników różnych ruchów narodowych (żydowskiego, niemieckiego, Tatarów krymskich i innych). W 1971 r. Nadieżda Jemielkina (Moskwa) wyszła na manifestację sama, żądając zwolnienia więźniów politycznych⁷².

Demonstracja obrońców praw człowieka odbywała się co roku, zaczynając od 1965, w Dniu Konstytucji, 5 grudnia, na placu Puszkina, ale zmieniła się jej pierwotna forma. Od 1966 r. demonstranci nie nieśli transparentów i nie skandowali żądań, ale zdejmowali czapki i minutą ciszy okazywali solidarność z ofiarami bezprawia. Zmienił się również skład uczestników. Od 1966 r. w demonstracjach uczestniczył Andriej Sacharow i bliscy mu działacze ruchu praw człowieka; zazwyczaj zbierało się od 20 do 50 osób. Za każdym razem kagiebiści po cywilnemu obserwowali demonstrację, ale do 1977 r. jej nie rozpędzali.

Stowarzyszenia obrońców praw człowieka

W początkowym stadium ruchu obrony nie było mowy o tworzeniu jakiegokolwiek organizacji. Większość obrońców była temu przeciwna. Być może dawało się we znaki ogólne zmęczenie zapędzaniem do rozlicznych organizacji, które wszyscy jako członkowie społeczeństwa radzieckiego mniej lub bardziej od-

czuli na własnej skórze, niechęć do „demokratycznego centralizmu” partii rządzącej i generalnie do radzieckiego kultu kolektywizmu. Ci wszyscy, których połączyła idea obrony prawa, chwalili sobie właśnie dobrowolną przynależność do tej wspólnoty, samodzielne ustalanie własnych zadań, wolność wyboru bezpośrednich współpracowników. Przeświadczenie, że eksperymentowanie z organizacją skończy się aresztem, powstrzymywało przez jakiś czas zwolenników zrzeszania się. A jednak w 1969 r. świat ujrzał pierwsze stowarzyszenie obrońców praw człowieka. Wywodziło się ono z najbardziej rozpowszechnionej formy wspólnych wystąpień – ze zbiorowych listów.

28 maja piętnastu aktywnych „podpisowaczy” wysłało list ze skargą na łamanie praw obywatelskich w ZSRR. Ten list od poprzednich różnił się adresem: była nim Organizacja Narodów Zjednoczonych. Autorzy listu tak to tłumaczyli: „Zwracamy się do ONZ, dlatego że na nasze protesty i skargi, przez szereg lat kierowane do najwyższych organów państwowych i instytucji wymiaru sprawiedliwości w Związku Radzieckim, nie otrzymaliśmy żadnej odpowiedzi. Nadzieja na to, że nasz głos zostanie wysłuchany, że władze skończą z bezprawiem, na które stale wskazywaliśmy, ta nadzieja się wyczerpała”. Prosilili ONZ o „obronę praw człowieka deptanych w Związku Radzieckim”⁷³.

Istotną cechą, która odróżniała to świadectwo braku praw obywatelskich w ZSRR od dotychczasowych, było nie tylko skierowanie go na Zachód, ale również to, że jego sygnatariusze nazwali się Grupą Inicjatywną Obrony Praw Człowieka w ZSRR. Większość z nich mieszkała w Moskwie (Tatiana Wielikanowa, Natalia Gorbaniewska, Siergiej Kowalow, Wiktor Krasin, Aleksandr Ławut, Anatolij Lewitin-Krasnow, Jurij Malcew, Grigorij Podjapolski, Tatiana Chodorowicz, Piotr Jakir, Anatolij Jakobson), ale kilka osób przyjechało z innych miast (Władimir Borisow – z Leningradu,

⁷⁰ *Ibidem*, nr 6, s. 119.

⁷¹ *Ibidem*, nr 9, s. 205.

⁷² „Chronika tiekuszczich sobytij”..., t. 2, nr 20, s. 224–225.

⁷³ *Ibidem*, t. 1, nr 8, s. 176–177; *Inicjatiwnaja grupa po zaszcitie praw czelowieka w SSSR. Sbornik dokumientow*, New York 1976, s. 5–9.

Mustafa Dżemilew – z Taszkientu, Henrich Ałtunian – z Charkowa, Łeonid Pluszcz – z Kijowa).

Grupa Inicjatywna pisała o „łamaniu jednego z najbardziej podstawowych praw człowieka – prawa do posiadania niezależnych przekonań i szerzenia ich w każdy legalny sposób”. W liście wymieniono znane obrońcom praw procesy polityczne, poczynając od sprawy Siniawskiego i Daniela, podkreślono „szczególnie nieludzką formę prześladowań – umieszczanie ludzi normalnych w szpitalu psychiatrycznym z powodu ich politycznych przekonań”⁷⁴.

Kwestia, czy Grupa Inicjatywna jest jednorazowym przedsięwzięciem, związanym wyłącznie z listem do ONZ, czy też będzie kontynuowała swoją działalność, nie była z początku rozstrzygnięta. Ale po kilku tygodniach pojawiła się konieczność uzupełnienia pierwszego listu o nowe prześladowania za poglądy: chodziło o powtórne skazanie znajdującego się w obozie Anatolija Marczenki. Pod drugim listem widniał tylko podpis Grupa Inicjatywna i ani jednego nazwiska⁷⁵. W ten sposób Grupa rozpoczęła stałą działalność.

Żaden z listów nie uzyskał odpowiedzi ONZ, toteż trzeci, skierowany do ówczesnego sekretarza generalnego U Thanta, zawiadamiał już o prześladowaniach członków Grupy Inicjatywnej. Borisow został zamknięty w szpitalu psychiatrycznym, Mustafę Dżemilewa i Lewitina-Krasnowa aresztowano. „Milczenie międzynarodowych organizacji prawniczych rozwiązuje ręce inspiratorom kolejnych represji” – pisali w następnym liście do ONZ członkowie Grupy⁷⁶. Także na to oświadczenie nie doczekali się odpowiedzi, podobnie jak na następne, w tym list z wykazem nazwisk 63 więźniów sumienia, którzy w ciągu 1969 r. zostali wysłani do obozów i szpitali psychiatrycznych⁷⁷.

W rocznicę utworzenia Grupy jej członkowie wyjaśnili w liście otwartym, co ona sobą reprezentuje. Nie ma programu, statutu, jakiegokolwiek struktury organizacyjnej, niemniej „nas wszystkich, wierzących i niewierzących, optymistów i sceptyków, ludzi o poglądach komunistycznych i niekomunistycznych łączy poczucie osobistej odpowiedzialności za to wszystko, co się dzieje w naszym kraju, przekonanie, że u podstaw normalnego życia społecznego leży uznanie bezwzględnej wartości jednostki ludzkiej – pisali członkowie Grupy Inicjatywnej. – Stąd się bierze nasze dążenie, by bronić praw człowieka. Postęp społeczny rozumiemy przede wszystkim jako postęp wolności. Łączy nas również dążenie, by działać otwarcie, w duchu praworządności, niezależnie od tego, jaki jest nasz wewnętrzny stosunek do poszczególnych przepisów prawa... Nie jesteśmy przekonani, że nasze odezwę do ONZ są najbardziej słusznym sposobem działania, ani tym bardziej, że jest to jedyny możliwy sposób. Usiłujemy zrobić cokolwiek w warunkach, w których z naszego punktu widzenia nie wolno nie robić nic”⁷⁸.

Ponieważ pięciokrotne apelowanie do ONZ pozostało bez odzewu, Grupa Inicjatywna próbowała szukać innych adresatów. Napisaną w styczniu 1972 r. odezwę – na ten sam temat, o więźniach sumienia i represjach psychiatrycznych – skierowano do V Międzynarodowego Zjazdu Psychiatrów w Meksyku, Międzynarodowej Ligi Praw Człowieka oraz – ponownie próbując apelować do ONZ – do nowego sekretarza generalnego Kurta Waldheima, który zastąpił U Thanta⁷⁹. Nie otrzymawszy odpowiedzi na te wszystkie listy, osłabiona Grupa Inicjatywna (straciło wolność ośmioro jej członków) zaprzestała odwoływania się do instytucji międzynarodowych.

⁷⁴ *Inicjatiwnaja grupa...*, s. 5.

⁷⁵ „*Chronika tiekuszczych sobytij*”..., t. 1, nr 8, s. 175–176; nr 10, s. 236–238.

⁷⁶ *Ibidem*, nr 10, s. 242–248; *Inicjatiwnaja grupa...*, s. 11.

⁷⁷ „*Chronika tiekuszczych sobytij*”..., t. 1, nr 11, s. 313–314; *Inicjatiwnaja grupa...*, s. 15–20.

⁷⁸ „*Chronika tiekuszczych sobytij*”..., t. 1, nr 14, s. 450–451; pełny tekst w: *Inicjatiwnaja grupa...*, s. 21.

⁷⁹ *Inicjatiwnaja grupa...*, s. 26–32, 42.

Doświadczenia Grupy Inicjatywnej potwierdziły, że osobiste bezpieczeństwo tych, którzy do niej weszli, jest jeszcze bardziej niepewne niż sytuacja autorów i współautorów listów otwartych. Okazało się wszelako, że aresztowania członków odbywają się nie od razu (broni ich właśnie jawność!), a oświadczenia ludzi, którzy występują jako stowarzyszenie mające zdeklarowane cele, są znacznie bardziej przekonujące niż sarta oświadczeń na ten sam temat napisanych przez każdego z nich z osobna lub w charakterze współautorów.

I jeszcze jedna istotna przewaga wyszła na jaw dzięki proklamowaniu Grupy: nazwiska jej uczestników stały się znane słuchaczom zagranicznych rozgłośni i do Grupy zaczęli się zwracać ludzie, którzy uważali jej członków za upoważnionych przedstawicieli ruchu obrony praw człowieka. Członkowie Grupy, nie pretendując do tego, stali się uosobieniem ruchu i jego wyrazicielami.

Doświadczenie Grupy Inicjatywnej potwierdziło sensowność włączenia do struktury ruchu obrony jawnych stowarzyszeń. Zaczęto więc szukać ich najbardziej konstruktywnych i bezpiecznych form.

W listopadzie 1970 r. w Moskwie utworzono Komitet Praw Człowieka w ZSRR. Inicjatorem tego stowarzyszenia był Walerij Czalidze. Oprócz niego w gronie członków założycieli znaleźli się Andriej Twierdochlebow oraz akademik Andriej Sacharow – wszyscy fizycy. Nieco później dołączył do nich Igor Szafariewicz, matematyk, członek korespondent Akademii Nauk. Ekspertami Komitetu zostali Aleksandr Wolpin i Boris Cukierman, korespondentami – Aleksandr Sołżenicyn i Aleksandr Galicz⁸⁰. Zakładano, że naukowa i literacka popularność części członków Komitetu oraz biegłość prawnicza pozostałych będą chronić przed represjami.

W oświadczeniu założycielskim podano cele Komitetu: doradzanie organom władzy państwowej w kwe-

stii tworzenia i stosowania gwarancji praw człowieka; opracowanie teoretycznych aspektów tego problemu i badanie jego specyfiki w społeczeństwie socjalistycznym; kształcenie w zakresie prawa, zwłaszcza propagowanie międzynarodowych i radzieckich dokumentów dotyczących praw człowieka.

Organa władzy, niestety, nie chciały konsultacji, więc działalność Komitetu sprowadziła się do badania, jak prawa człowieka są traktowane w radzieckiej praktyce, oraz do teoretycznego opracowania problemu tych praw w radzieckim ustawodawstwie. I jedno, i drugie było pierwszym krokiem na tej drodze, ponieważ ani radzieccy prawnicy, ani obrońcy praw nie rozpatrywali tych kwestii w aspekcie teoretycznym. Działalność edukacyjna Komitetu też była bardzo potrzebna – przede wszystkim uczestnikom ruchu obrony, którzy mimo całego zapału nie mieli w większości ani doświadczenia, ani dostatecznej wiedzy w tej dziedzinie, ani nawet wystarczającej świadomości prawnej.

Komitet Praw Człowieka był pierwszym przykładem niezależnego społecznego stowarzyszenia z opracowanym regulaminem i zasadami członkostwa. Zasady te w szczególności stanowiły, że członkami Komitetu mogą zostać wyłącznie osoby nienależące do żadnej partii politycznej lub innej organizacji społecznej, która rości sobie prawa do uczestnictwa w rządzeniu państwem. Ustalenie to z jednej strony podkreślało niepolityczny charakter Komitetu, z drugiej zaś zamykało dostęp do niego dla członków partii rządzącej w ZSRR⁸¹.

W eksperymencie, jakim było powołanie Komitetu, samorzutnie wykorzystano prawo do zakładania niezależnych stowarzyszeń, dając przykład, jak je tworzyć na ściśle legalnych zasadach. Komitet został powołany jako stowarzyszenie autorów, co zgodnie z radzieckim prawem nie wymaga nie tylko zezwolenia władz, ale nawet zarejestrowania⁸².

⁸⁰ *Dokumenty Komitetu praw człowieka*, New York 1972; „*Chronika tiekuszczych sobytij*”..., t. 2, nr 17, s. 41–43.

⁸¹ *Dokumenty Komitetu praw człowieka*..., s. 13–18; „*Chronika tiekuszczych sobytij*”..., t. 2, nr 17, s. 42.

⁸² *Dokumenty Komitetu praw człowieka*..., s. 245–252.

Komitet Praw Człowieka został pierwszym niezależnym społecznym stowarzyszeniem w Związku Radzieckim, które uzyskało członkostwo międzynarodowe: w czerwcu 1971 r. stał się filią Międzynarodowej Ligi Praw Człowieka – organizacji pozarządowej, mającej status doradczy przy ONZ, UNESCO i Międzynarodowej Organizacji Pracy. Wszedł także jako członek zbiorowy w skład Międzynarodowego Instytutu Prawa, na którego czele stał René Cassin (Strasburg). Członkowie Komitetu utrzymywali stały kontakt telefoniczny z międzynarodowymi organizacjami, dostawali ich dokumenty i wysyłali do nich własne.

Wśród problemów, którymi zajmował się Komitet, znalazły się:

1. Analiza porównawcza zobowiązań ZSRR wynikających z międzynarodowych paktów praw człowieka oraz ustawodawstwa radzieckiego.
2. Prawo do obrony w radzieckim sądzie.
3. Prawa osób uznanych za psychicznie chore.
4. Zdefiniowanie pojęcia więźnia politycznego.

5. Zdefiniowanie pojęcia pasożyta. Prześladowania za pasożytnictwo w ZSRR.

6. Problem tzw. narodów przesiedlonych (Tatarzy krymscy i inni)⁸³.

Mimo że Komitet został pomyślany jako organizacja badawcza i doradcza, bardzo wielu ludzi zwracało się do niego nie tylko po porady prawne, ale również po pomoc. Szczególnie dużo czasu poświęcał im Walerij Czalidze. Nierzadko występował w ich imieniu w sprawach prawnych – nie jako członek Komitetu, lecz osoba prywatna. Wśród tych spraw były prośby o zezwolenie na wyjazd z ZSRR, petycje do Sądu Najwyższego w sprawie rewizji bezprawnych wyroków (Czalidze zdołał doprowadzić do ponownego rozpatrzenia sprawy wyjazdu Dory Koladickiej do męża mieszkającego w Izraelu i do wydania pozytywnej decyzji), spór o rejestrację wspólnoty religijnej w Narofominsku i wiele innych⁸⁴.

Tłum. Olga Morańska, Małgorzata Strasz

⁸³ *Ibidem*, s. 67–122, 56–66, 125–237; „Chronika tiekuszczych sobytij”..., t. 2, nr 26, s. 460; „Chronika zaszczyty praw w SSSR” (New York) 1974, nr 5/6, s. 51–54.

⁸⁴ „Obszczestwiennye problemy” (Moskwa) 1970, nr 5, rozdz. 3; „Chronika tiekuszczych sobytij”..., t. 2, nr 24, s. 379–380; W. Czalidze, *Prawa człowieka i Sowietskij Sojuz*, New York 1974, załączniki, s. 213–247 (cerkiew w Narofominsku).

RADOM, 3 GRUDNIA 1981

NIE BYŁO „TARGANIA SIĘ PO SZCZĘKACH”

ANDRZEJ KACZYŃSKI

dziennikarz, zajmuje się historią.
Po sierpniu 1980 r. współpracował
z prasą solidarnościową w Lublinie,
w 1981 r. był reporterem w „Tygodniku
Solidarność”. W drugim obiegu redagował
„Kulturę Niezależną” i „Wezwanie”,
publikował w „Tygodniku Wojennym”
i „21”. Po 1989 r. pracował m.in.
w „Gazecie Wyborczej”, „Życiu Warszawy”
i (do 2006 r.) w „Rzeczpospolitej”.

Spotkanie Prezydium Komisji Krajowej NSZZ Solidarność z przewodniczącymi zarządów regionów oraz z udziałem doradców związku 3 grudnia 1981 r. w Radomiu było nader intensywnie eksploatowane przez oficjalną propagandę tuż przed wprowadzeniem stanu wojennego, a długo po 13 grudnia 1981 r. przedstawiane wręcz jako ostateczny *casus belli*.

Ponieważ jednak prawdziwy przebieg obrad, podczas których poszukiwano wyłącznie rozwiązań mieszczących się w granicach prawa – politycznych, a nie zbrojnych – nie dostarczył dowodów na poparcie tezy, że to Solidarność wydała wojnę władzom, sprawozdania z narady zostały na użytek propagandy zniekształcone i przesadzone, cytaty z przemówień zaś przeinaczone, podostrzone lub zmyślane.

Jedyny wiarygodny zapis tego, co naprawdę zostało podczas tej narady powiedziane – ogłoszony w 1986 r. w podziemnej „Krytyce” nr 21 – objął drugą, końcową część dyskusji; zapewne nieco mniej niż połowę. Przedrukujemy go tu z małymi zmianami (pojedyncze inaczej odczytane słowa, czytelniejszy podział na zdania i akapity, poprawiona interpunkcja; uzupełniono nazwiska kilkorga nierozpoznanych w „Krytyce” dyskutantów).

Przedstawiona tu rekonstrukcja obrad jest prawie dwukrotnie obszerniejsza, a jeśli brać pod uwagę przede wszystkim przemówienia działaczy NSZZ Solidarność (a nie gości narady z Solidarności Rolników Indywidualnych oraz Komitetu Więzionych za Przekonania, których głosy nie miały wpływu na przyjęte w Radomiu stanowisko), to część dodana jest nieco dłuższa.

Zapis ten wciąż jest niekompletny. Mieści on jednak bardzo ważne dla poznania stanu świadomości przywódców związku (na dziesięć dni przed narzuceniu Polsce stanu wojennego) przemówienia – Lecha Wałęsy (dwa z trzech wygłoszonych podczas radomskiej narady), Grzegorza Palki, Jana Waszkiewicza, Jana Rulewskiego, Władysława Frasyniuka, Antoniego Kopaczewskiego, Zdzisława Rozwałaka, Zbigniewa Bujaka czy Władysława Siły-Nowickiego. Są to kompletne lub prawie pełne stenogramy ich wystąpień. Część głosów w dyskusji pozostaje tylko w postaci streszczeń – niekiedy podwójnych, sporządzonych tak z punktu widzenia związku (przez dziennikarkę Agencji Prasowej Solidarność), jak i władz (prawdopodobnie przez funkcjonariusza MSW lub pracownika Urzędu Rady Ministrów).

Można mimo to pokusić się o domniemanie, że rekonstrukcja ta obejmuje całą merytoryczną część dyskusji. Rozpoczęto ją przemówieniem Lecha Wałęsy, które tu podaje-

my prawie w całości, bez kilku zaledwie wstępnych słów, za to łącznie z fragmentem, którego jeszcze nie mogli wystuchać dziennikarze związkowi (sprawozdanie Agencji Prasowej Solidarność zaczyna się dopiero od drugiego „wejścia” Wałęsy). Niezarejestrowany, trwający mniej więcej godzinę początek obrad upłynął zapewne na sprawach porządkowych i proceduralnych. Ani dyskutanci, którzy nawiązywali do wcześniejszych wystąpień, ani autorzy relacji czy wspomnień nie wymieniają żadnego uczestnika narady, który nie zostałby w tej rekonstrukcji uwzględniony. Nikt nie wspomniął też o jakiejś idei czy koncepcji zgłoszonej wtedy w Radomiu, a nieudokumentowanej w niniejszym zapisie. Również w uchwale nie pojawił się żaden wątek, który nie występowałby w zrekonstruowanej tu dyskusji.

Źródłem uzupełnień są dwa dokumenty archiwalne. Pierwszy to stenograficzny zapis przemówień z radomskiej dyskusji, odtworzonych z nagrań na taśmach magnetofonowych. Sporządzony został w Zakładzie Kryminalistyki Komendy Głównej Milicji Obywatelskiej i podpisany przez starszych ekspertów – ppłk. mgr. Stanisława Błasikiewicza i mjr. mgr. Wiesława Bednarczyka. Liczy 36 stron maszynopisu nieuporządkowanego chronologicznie. Lista mówców nie jest kompletna, ale obszerniejsza niż na nagraniu wykonanym przez Eligiusza Naszkowskiego; być może więc podstawą były taśmy dostarczone przez Wojciecha Zierkego. Stenogram narady radomskiej w archiwum Instytutu Pamięci Narodowej przechowywany jest razem z podpisanym przez tych samych ekspertów z KGMO stenogramem narady członków Komisji Krajowej i grupy doradców 2 grudnia w hotelu Solec w Warszawie, który zawiera się na 77 stronach maszynopisu.

Drugi dokument pochodzi z zasobów archiwalnych byłego Urzędu Rady Ministrów – opracowanie pod tytułem „Posiedzenie Prezydium Krajowej Komisji NSZZ Solidarność i przewodniczących zarządów regionalnych odbyte w Radomiu dnia 3 grudnia 1981 roku oraz uchwalone dokumenty”. Zawiera krótki wstęp, chronologiczne odtworzenie przebiegu dyskusji, w którym obficie cytowane są (w całości lub we

fragmentach) wypowiedzi poszczególnych mówców (tych odnotowano więcej niż w stenogramie Zakładu Kryminalistyki KGMO, co może wskazywać, że w Radomiu nagrywał ktoś jeszcze oprócz Naszkowskiego i Zierkego), przeplatane „konferansjerką” wypunktowującą niektóre użyteczne propagandowo wątki (ale nienatrętnie, tak jakby to opracowanie miało uzupełnić tylko inne materiały rozpowszechnione już wcześniej), nadto sprawozdania ze spotkań przywódców związku z miejscowymi aktywistami w hali Radoskóru (przedrukujemy przemówienie Lecha Wałęsy) i uchwały przyjęte na spotkaniu Prezydium KK z przewodniczącymi zarządów regionów i na wiecu działaczy radomskiej Solidarności.

Archiwalia te udostępnił redakcji „Wolności i Solidarności” prof. Andrzej Friszke (dokument pierwszy) i dr Grzegorz Majchrzak (dokument drugi). Bardzo im za to dziękujemy.

Zapis powstały w Zakładzie Kryminalistyki KGMO jest stenogramem w pełnym znaczeniu tego słowa. Odtwarza wypowiedzi w całości, wiernie, bez ingerowania, z uwzględnieniem cech żywej mowy – powtórzeń, poprawek, niedokończonych zdań czy zająknięć. W internetowym archiwum Polskiego Radia (sygnatura: dźwięki – przeddzień mix – stan wojenny – polskieradio.pl) istnieje dźwiękowy zapis audycji, nadanej po raz pierwszy 7 grudnia 1981 r. i kilkakrotnie powtarzanej w następnych dniach, zmontowanej z – tendencyjnie dobranych oraz dowolnie poprzerastawianych, ale autentycznych – fragmentów taśm radomskich; trwa ona 16 minut i 40 sekund. Porównanie audycji ze stenogramem potwierdza wiarygodność milicyjnego opracowania. Zapewne zresztą pierwotnym źródłem publikacji w „Krytyce” nr 21 była jedna z kopii zapisu sporządzonego przez specjalistów z Zakładu Kryminalistyki. Wskazują na to identyczne podkreślenia w maszynopisie z archiwum IPN i w tekście drukowanym. Zostały one naniesione przez kogoś innego niż spisywacze, kto poddawał stenogram dalszej obróbce: wskazywał fragmenty użyteczne propagandowo, rozpoznawał nazwiska mówców.

Przytoczenia wypowiedzi z Radomia w drugim dokumencie, opracowaniu z URM, są dosyć ściśle; co do

sensu zbieżne ze stenogramem z IPN, nieco oszlifowane i (nie zawsze udolnie) zredagowane. Streszczenia i „konferansjerka” wiarygodne już jednak nie są. Na przykład przemówienie przewodniczącego Zarządu Regionu z Włocławka poprzedzono taką oto zapowiedzią: „Marian Nowicki [...] niedwuznacznie straszy szubienicami”. A jest wręcz przeciwnie – Nowicki cytuje wypowiedzi nawiązujące do głupstwa, które palną Marian Jurczyk w Trzebiatowie, lecz nie tylko ich nie aprobuje, ale wskazuje na pilną konieczność przeprowadzenia wśród działaczy związku akcji uświadamiającej i szkoleń. Owszem, według Nowickiego takie głosy świadczą o silnym zaangażowaniu, nawet gorliwej zapalczowości związkowców, lecz źle pojętej.

Oprócz przeinaczeń dla celów propagandowych w przemówieniach radomskich przytaczanych w oficjalnej prasie w grudniu 1981 r. roi się od błędów wynikających z pośpiechu i niechlujstwa. Ale autorzy znacznie późniejszych publikacji, z łatwością mogący mieć dostęp do poprawnych cytatów, błędy te powielali. I niestety w tej przeinaczonej formie utrwaliły się one w literaturze przedmiotu.

Oto kilka przykładów z książki Mieczysława F. Rakowskiego *Czasy nadziei i rozczarowań* (t. 2) wydanej w 1987 r. (w tej samej postaci te same fragmenty przytoczył w *Dziennikach politycznych 1981–1983*, ogłoszonych w 2004 r.). Zacerpnął je z wypowiedzi Lecha Wałęsy. Najpierw podaje cytaty w wersji Rakowskiego (i odnośne strony z *Czasów nadziei i rozczarowań*), a następnie z publikowanych tu stenogramów.

„I od tego momentu powiedziałem tak: radykalizm polega na tym, żeby wygrywać, ale wygrywać los” (s. 362).

„I od tego momentu powiedziałem tak: radykalizm polega na tym, żeby wygrywać, a nie obrywać w nos”.

„Społeczeństwo musi się dowiedzieć o tym, że konfrontacja jest nieunikniona i jak my widzimy ich rolę. Dziękuję, będę się modlił” (s. 363).

„Społeczeństwo musi się dowiedzieć o tym, że konfrontacja jest nieuchronna. I jak będziemy je¹ prowadzić. Dziękuję. Później się włączę”.

„Dziś już nie mam wyjścia, bo sprawy tak daleko zaszły, że trzeba ludziom trochę przepuścić i powiedzieć, w co my gramy, że my gramy tak wysoko, że zmieniamy w ogóle realia i ta gra nie może się inaczej skończyć. Żadna władza, zmiana systemu nie może się obejść bez targania się po szczękach, no nie ma mowy, tylko trzeba ją wygrać” (s. 367).

„Dziś nie mam wyjścia, bo dziś już sprawy tak daleko zaszły, że trzeba ludziom trochę przepuścić i powiedzieć, w co my gramy. Że my gramy tak wysoko, że zmieniamy w ogóle realia. I ta gra, no, nie może się inaczej [skończyć]. Żadna władza... Zmiana systemu nie może się obejść bez dania sobie po szczękach. No, nie ma mowy. Tylko że trzeba ją wygrać”.

Jak się okazuje – Wałęsa w Radomiu nie wypowiedział słynnej frazy o „targaniu się po szczękach”!

Szkoda, bo bardzo pasuje ona do barwnego języka przewodniczącego Solidarności... A powstała w wyniku błędu kogoś, kto spisywał nagranie. Fragment ten wyraźnie słychać we wspomnianej audycji Polskiego Radia z 7 grudnia 1981 r. Lech Wałęsa zająknął się; w oryginale fraza ta brzmiała następująco: „Zmiana systemu nie może się obejść bez da... dania se po szczękach”. W autentycznej wersji (tylko wygładzonej według reguł poprawności językowej: „sobie” zamiast potocznego „se” i bez zająknięcia, które zmyliło pierwszego spisywacza) przytoczył ją w 1982 r. Jerzy Borowiecki w propagandowej książeczce *Solidarność. Fronty walki o władzę*. Zwyciężyła jednak wersja podana wielokrotnie w prasie w grudniu 1981 r., utrwalona następnie przez Mieczysława F. Rakowskiego. I w tej postaci istnieje w literaturze naukowej. Przyjęli ją za prawdziwą Andrzej Paczkowski (*Droga do „mniejszego zła”. Strategia i taktyka obozu władzy lipiec 1980 – styczeń 1982*), Jan Skórzyński (*Zadra. Biografia Lecha Wałęsy*) oraz wielu innych historyków. „Usłyszał” ją we wspomnieniach gospodarz narady radomskiej Andrzej Sobieraj, a siedział przecież tuż obok mówcy. Ba, przyswoił ją sobie nawet Lech Wałęsa i w tej właśnie postaci przytoczył w *Drodze do prawdy*...

¹ W transkrypcji Zakładu Kryminalistyki KGMO zamiast „je” jest „ich”.

BÓJ TO BĘDZIE ICH OSTATNI

Lech Wałęsa (przewodniczący Komisji Krajowej NSZZ Solidarność i Zarządu Regionu Gdańskiego):

[brak początku] ...nie rozumiał mojej strategii. Znaczy – mojej, nie mojej... Ale taka jest prawda. I dlatego też nie można było o niej mówić, bo po prostu ona by legła w gruzach. Oczywiście, czy dobra była, czy zła, to już jest kwestia państwa oceny. Jednak widzę, że ona dzisiaj pada. I albo trzeba ją zmienić, albo zmienić mnie, albo inaczej się ustawić.

To znaczy polegało to bardzo chytrze na tym, że każdy z nas, prawie każdy z nas ma jeden cel i jeden kierunek. Ja go też miałem. Do 1976 roku byłem takim radykałem jak [Jan]Rulewski, i jeszcze gorszym, jak to mówią. Ale dostawałem porządnie w nos. I od tego momentu powiedziałem tak: radykalizm polega na tym, żeby wygrywać, a nie obrywać w nos.

I krok po kroku doprowadzaliśmy do sytuacji, kiedy było o milimetr od konfrontacji i w ostatnim momencie Lesiu robił zwrot. Cofał się o krok czy dwa kroki do tyłu. To nam się udawało, ponieważ ja sobie wymyśliłem, że w takim momencie, kiedy się pokazuje, że my jesteśmy odpowiedzialni, że my się cofniemy – i cofamy, wtedy dołączają się grupy społeczne. Tak było po Bydgoszczy¹.

I nawet dzisiejszy dowód, jak jechaliśmy samochodem. Milicja nas zatrzymuje za szybkość, bo jest [dozwolone] 70, my jedziemy 140. Milicjant zobaczył Lesia, uśmiecha się, mówi: „proszę bardzo, szerokiej drogi”. A więc mamy dowody, że rzeczywiście prawie wszystkie grupy społeczne podzieliły się.

Bo ja myślałem, że kiedy dojdziemy do konfrontacji... Bo od razu wiedziałem i wiem do dzisiaj, że konfrontacja jest nieunikniona. I ona będzie. Tylko problem, że chciałem do tej konfrontacji dojść maksymalnie... wtedy, kiedy prawie wszystkie grupy społeczne będą z nami, [a tylko] mała garść zostanie, która będzie gotowa nam przyłożyć w nos. Jednak w moich obliczeniach pomyliłem się, bo myślałem, że jeszcze wytrwamy gdzieś do pół roku. To by rozwalilo sejm i rady [narodowe] byśmy chwycili i tak dalej. Myślałem,

¹ 30 III 1981 Lech Wałęsa zgodził się na odwołanie strajku generalnego w zamian za uzyskanie gwarancji zarejestrowania NSZZ Solidarność Rolników Indywidualnych.

że nam się uda. [Ale] okazuje się, że chyba dalej już tą taktyką nie pojedziemy. Po prostu za dużo spraw się stało – podwyżkowych, ustawowych i tak dalej...

Władza przyciska nas, rozkłada... Bo jednocześnie to powodowało, że oczywiście grupy dołączały [do nas], ale i odłączały [się] od nas. Znaczący nie odłączały [się formalnie], ale w myślach. Te grupy zaczęły zastanawiać się: ten związek już nie jest tą wielką pałą wiszącą... A więc orientacja jest taka, że oczywiście dołączają, ale i mają już inne zdanie.

Jest więc ostatni dzwonek, aby błyskawicznie zrobić manewr. Albo ze mną, albo beze mnie. Ten manewr musi polegać na tym, że musimy powiedzieć sobie: oczywiście wiedzieliśmy o konfrontacji. Wiedzieliśmy, że do niej dojdzie. Wiemy, że dzisiaj władza jak najszybciej, przed świętami, w okresie zimowym, dąży do konfrontacji. Czy my ją przyjmujemy? A jeśli tak, to co i jak my w ogóle myślimy o konfrontacji?

Bo ta konfrontacja, to każdy [o niej] inaczej myśli. Jeden myśli, że bijatyka, że strzelanie, jak wykołować, ostrzyć noże i tak dalej. To wszystko musimy sobie tu powiedzieć, jak to ma wyglądać. I czy się z tym zgadzamy. Bo przecież jasna rzecz, że tak jest.

[Andrzej] Gwiazda dzisiaj odpadł z zarządu². To nie dlatego, że różniliśmy się kierunkiem. Różniliśmy się drogą. Bo jego droga i droga Jasia [Rulewskiego] wymaga tego, że trzeba by natychmiast wsiąść w czołgi, natychmiast wziąć samoloty i inne rzeczy. I oczywiście oni mają rację, wygrywamy. Tylko jakim kosztem?

Chcieliśmy nie płacić nic. Oczywiście na końcu tej walki naprawdę nie można wygrać, żeby nic nie zapłacić. Oczywiście problem polega na tym, żeby jak najmniej zapłacić. Ale chyba nam się nie uda, zapłacić musimy. Dlatego trzeba wybrać miejsce [konfrontacji]. Wybrać, jakie to miejsce. I jak i ile zapłacimy. Jeżeli to wszystko sobie określimy i zrozumiemy się w tej walce, może ona być maksymalnie łagodna. Bo oczywiście do zwania dojdzie. Niedobrze, że to w tym okresie, ale chyba się nie uchronimy.

Dlatego chciałbym, żeby panowie [to] zrozumieli. Jednocześnie wspólnie żebyśmy opracowali jakieś kierunki. Określili, wyliczyli. Że podwyżki cen, że ustawy, że Bydgoszcz, że WSI [strajk w Wyższej Szkole Inżynierskiej w Radomiu] – to wszystko krok po kroku jest po to, żeby odciągnąć od nas ludzi. Nawet pan sekretarz [KC PZPR Stefan Olszowski w dzienniku TVP 2 listopada 1981 roku] pozwolił sobie nazwać mnie, że trzeba odłączyć mnie od radykałów, bo moja linia jest godna. A to jest chamstwo z jego strony. Oczywiście ja mu odpowiadam od razu: ja bardzo szanuję, że mnie tak bardzo docenił, ale ja jego uważam za radykała. Jeśli ma podsłuchy, to będzie wiedział. I publicznie mu to powiem.

Dlatego – jest niebezpiecznie. Bierzmy się do roboty. Jednocześnie – bierzmy się na zasady, że rzeczywiście dla ludzi prawie nic nie zrobiliśmy. Jest zima, są paczki, można trochę popilnować i żarcie, i inne rzeczy. W tych tematach nic nie zrobiliśmy.

Oczywiście wzięliśmy się za te większe rzeczy. Zawsze patrzyliśmy: a, to jeszcze wyżej... Zarząd [regionu] patrzył na Komisję Krajową i tam szukał błędów i wypaczeń, bił w nas. Komisje zakładowe natomiast biły w zarząd [regionu], że „oni nic nie robią” i tak dalej.

² Z Zarządu Regionu Gdańskiego NSZZ Solidarność; podał się do dymisji 29 XI 1981.

A więc zawsze wyżej patrzyliśmy, a nie niżej. Dziś trzeba określić, co [zrobić] dla ludzi, z czego się nie rezygnuje i jaką broń mamy wybrać.

Oczywiście na dziś strajk generalny byłby głupotą. I to nie tak musi wyglądać. Ale ja chciałbym, żebyście wy w sposób konstruktywny zgłosili te wszystkie rzeczy. Jednocześnie myślę, że nie możemy dać ponieść się fantazji, ponieść się nerwom, bo przez to możemy znów dostać w dziób. Tak!

Tak było na przykład wczoraj w Warszawie, [gdzie szturm oddziałów specjalnych MSW zakończył strajk okupacyjny w Wyższej Oficerskiej Szkole Pożarnictwa]. Mogliśmy szybko krzyknąć – no, tak jak w powstaniu listopadowym: „dawaj za kosy”. I oczywiście byłaby to piękna sprawa, ale dla nas przegrana. Bo nawet świat by powiedział, że... Prawie wszędzie MSW [przywróciłoby dyscyplinę w podległej sobie jednostce; WOSP podlegała MSW]... To tam inaczej się jakoś na to patrzy... I tak dalej, i tak dalej...

A więc wciągnęliby nas w nieodpowiednim momencie. Pięknie się stało, nie daliśmy się ponieść nerwom. Ale dziś społeczeństwo musi się dowiedzieć o tym, że konfrontacja jest nieuchronna. I jak będziemy je prowadzić. Dziękuję. Później się włączę.

Według omówienia sporządzonego na podstawie materiałów MSW dla Urzędu Rady Ministrów następnie: „Do wypowiedzi L. Wałęsy ustosunkował się Antoni Tokarczuk – sekretarz Prezydium KK, który skomentował, że impas w rozmowach Solidarność – rząd zaczął się od momentu, kiedy związek zaczął wyrażać brak chęci przystąpienia do porozumienia narodowego”.

Grzegorz Palka (1950–1996, wiceprzewodniczący Zarządu Regionu Ziemia Łódzka, członek Prezydium Komisji Krajowej):

[brak początku] ...grupy negocjacyjne negocjowały. Moja – w sprawie Społecznej Rady Gospodarki Narodowej z [ministrem sprawiedliwości Jerzym] Bafią. I [Jacka] Merkela z [pełnomocnikiem rządu do spraw reformy gospodarczej Władysławem] Baką na temat reformy gospodarczej i prowizorium.

Jeśli idzie o moje rozmowy, to po dwóch spotkaniach nie ma żadnych konkretnych efektów. Bafia oczywiście kluczy, usiłuje przedstawić to jako pewien proces, który trwa. Jest tam dzielenie włosa na czworo i dopytywanie się o różne aspekty funkcjonowania tej rady. Chciałem powiedzieć, że o tyle ta koncepcja od pierwotnej się zmieniła, że z prawa weta, które by automatycznie zakazywało rządowi realizacji jakiejś linii polityki gospodarczej, zrezygnowaliśmy, zachowując prawo weta – to znaczy zgłoszenia wotum nieufności na forum publicznym przez środki masowego przekazu. Taka jest różnica w koncepcji pierwotnej i w tej. Mimo tego naszego posunięcia, które w zasadzie całkowicie wszelkie zastrzeżenia ze strony rządu powinno zdjąć, nie ma żadnego przełomu w tych rozmowach.

Po dwóch spotkaniach widać, że bez decyzji politycznej to będą dalsze jałowe spotkania. Bez decyzji politycznej my usiłowaliśmy na drugim spotkaniu uzyskać akceptację idei i potem przejść do szczegółów. Oni się wycofali, powiedzieli, że trzeba następne rozmowy konkretyzować, wtedy oni się przyjrzą, zobaczą, z czego ta rada rezygnuje, z czego nie, do czego służy. I teraz jesteśmy na etapie takim, że mieliśmy przekazać tam szczegółowy

projekt tej rady. Oni mieli przekazać projekt tej komisji mieszanej, która jest taka, jak się spodziewaliśmy. To znaczy klub dyskusyjny, który na zasadzie jednomyślności ma podejmować decyzje razem z rządem, związkami branżowymi i autonomicznymi. Taki jest zarys tej komisji mieszanej. Nie warto się tym zajmować.

Jeśli idzie o kontrolę nad żywnością. Może warto ten temat poruszyć. No więc uzyskaliśmy tam coś takiego, taki zapis, że jeżeli przewodniczący regionów zwróci się do wojewódów o uprawnienia do kontroli skupu, produkcji i dystrybucji artykułów żywnościowych i wszystkich towarów reglamentowanych, to powinni takie upoważnienie od wojewody otrzymać. Ja na najbliższym spotkaniu wzór takiego upoważnienia, który funkcjonuje w województwie łódzkim, przedstawię. I to wojewoda na zasadzie swoich uprawnień może delegować coś takiego. W przypadku gdyby przewodniczący regionów nie otrzymali tego, droga odwoławcza jest przez KK do [ministra do spraw związków zawodowych Stanisława] Cioska, który ma to załatwić. To jest załatwione.

Chcę powiedzieć, że te uprawnienia kontrolne są bardzo szerokie. Są to kompetencje [takie jak] NIK w zasadzie. Wchodzi nam także kontrola rozdziału kartek [upoważniających do zakupienia przydzielonej ilości reglamentowanych towarów], znaczy: w urzędzie wojewódzkim i na niższych szczeblach. Natomiast odmówiono nam w sposób zdecydowany jakiegokolwiek prawa do kontroli magazynów żywnościowych i rezerw państwowych. Bezwzględny opór. Nie ma mowy w ogóle o dyskusji na ten temat! Bafia nawet rzeczywiście proponował, żeby się zupełnie [z tego wycofać]. Żeby to uznać za niebyłe, że to jest tak horrendalna sprawa, postawienie tego tematu, że przekracza to już w ogóle wszelkie uprawnienia związku.

Czyli to jest mój temat. Takie są wyniki tych rozmów. Czyli konkretnie – tylko i wyłącznie wyjaśnienie tej sprawy kontroli na szczeblu województw.

Jeśli idzie o temat Merkela, czyli o reformę gospodarczą, to jest tam jeszcze gorzej. To znaczy o ile tutaj Bafia usiłuje podtrzymać pewne iluzje, mówiąc, że to jest pewien etap, który ma doprowadzić do czegoś tam, to tam sprawa została postawiona tak, że nie przekazano w ogóle ostatecznego projektu prowizorium. I po wielogodzinnej dyskusji, w której nie były podejmowane merytoryczne argumenty naszej strony, powiedziano, że w ogóle to prowizorium nie będzie uchwalone przez Sejm, tylko jego ostateczna wersja zostanie uchwalona przez rząd w poniedziałek. A spotkanie było w piątek. I że – co więcej – nie można dostarczyć tej ostatecznej wersji związkowi natychmiast, bo maszynistki nie zdążyły jej jeszcze przepisać. Ale w ogóle rząd jest gotów dyskutować dalej nad tym, co związek sądzi o prowizorium, chociaż nie może się zobowiązać, że te uwagi uwzględni. Jeżeli będzie uważał za słuszne, to uwzględni; jeżeli nie, to nie. Czyli był to – no, był to policzek dla związku. To prowizorium jest oczywiście niezadowolające. Ale nie chciałbym głębiej w temat wchodzić tutaj, w rozważania na tematy gospodarcze. Może to w innej wypowiedzi. Taki więc jest stan rozmów tych dwóch komisji.

Antoni Tokarczuk (sekretarz Komisji Krajowej):

Proponuję jeszcze, by wypowiedział się kolega Waszkiewicz na temat środków masowego przekazu.

Jan Waszkiewicz (członek Prezydium Komisji Krajowej):

W [negocjacjach o] środkach masowego przekazu nie ma dokładnie żadnego postępu. Z jednym wyjątkiem, mianowicie... To znaczy tak: strona rządowa postawiła jako warunek rozpoczęcia w ogóle rozmów najpierw zakończenie strajku kioskarzy, bo nie można rozmawiać pod presją. Potem zejście z [oklejania plakatami] płotów. Nasze stanowisko było takie, że zejdziemy z płotów co najwyżej wtedy, jeżeli zaczną się rozmowy, to można pomyśleć o tym, żeby na ten okres zawiesić akcję plakatową. Tak że tutaj był impas kompletny.

Strona rządowa wystąpiła z inicjatywą zorganizowania dyskusji telewizyjnych, na takich zasadach, jak to kiedyś, kiedyś ze dwie czy trzy się odbyły, traktując to niejako [jako spełnienie naszych żądań]... Z naszej strony była wyraźna deklaracja, że jest to coś obok tego, co nas naprawdę interesuje, a żadne zamiast...

[przerwa w nagraniu]

Niezidentyfikowany głos [czyta projekt oświadczenia]:

[Punkt pierwszy] „Wydarzenia ostatnich tygodni są świadectwem, że rząd wybrał drogę przemocy, a odrzucił możliwość dialogu ze społeczeństwem.

[Punkt] dwa: Przyjęta przez rząd bez żadnej konsultacji społecznej uchwała o zasadach działania przedsiębiorstw w roku 1982 – tak zwane prowizorium – oznacza, że rząd postanowił utrzymać dotychczasowy system rządzenia gospodarką, powodując jednocześnie drastyczne obniżenie stopy życiowej ludności.

[Punkt] trzy: Zapowiadane przez władze partyjno-państwowe wprowadzenie tak zwanych środków nadzwyczajnych oznacza próbę likwidacji praw obywatelskich i pracowniczych, wywalczonych w 1980 roku.

W tej sytuacji Prezydium Komisji Krajowej stwierdza, że władze przekreśliły obecnie szansę porozumienia narodowego. Wobec groźby uchwalenia przez Sejm środków nadzwyczajnych, równających się w praktyce stanowi wyjątkowemu, Prezydium Komisji Krajowej postanowiło na posiedzeniu w Radomiu z udziałem przewodniczących zarządów regionów rozpatrzyć sprawę strajku powszechnego jako odpowiedzi związku na wypadek wprowadzenia tych środków”.

Proszę bardzo kolejno zgłaszać się do dyskusji.

[przerwa w nagraniu]

Ze sprawozdania dla URM: „Do Lecha Wałęsy z sali padło pytanie o przebieg spotkania tzw. wielkiej trójki. Jurczyk, Sobieraj i Bujak postawili zarzut pod adresem Wałęsy, że robi z tego problemu tajemnicę”.

Wałęsa:

[brak początku] ...nigdy, od roku 1970, nie uwierzę nikomu w tym systemie. Nikomu, kto sprawuje władzę. Dlatego też nie powtarzajcie tego generalnie, ale w tym gronie chyba mogę powiedzieć. Naprawdę nie wierzymy. Naprawdę chcą nas wymanewrować, niezależnie kto tam będzie stał. Przecież zdajemy sobie sprawę, że my rozkładamy ten system.

Zdajmy sobie wreszcie sprawę. Jeśli damy prywaciarzy, rozkupimy pegeery, jeśli robimy samorządy, i to całkowite – to nie ma tego systemu! A więc nie łudźmy się. Od początku było jasne, że walka będzie. Tylko i wyłącznie dobierać środki, żeby jak najwięcej społeczeństwa rozumiało tę walkę. Głośno nie mówić: konfrontacja nieunikniona. Rozmowy takie to jest tylko przechytrzenie, kto kogo, jak kogo. A oni są lepsi w przechytrzeniu. My mamy prowadzić, mówić: „kochamy was, kochamy socjalizm i partię”... Oczywiście, że tak. „Kochamy Związek Radziecki”... A przez fakty dokonane robić robotę. I czekać. Konfrontacja będzie. Tylko niech to będzie konfrontacja, żeby nas nie zaskoczyła. Ale ona jest nieunikniona. I dlatego nie wierzę nikomu.

Oczywiście wierzę prymasowi, że ma dobrą wolę. Że społeczeństwo, że morale i tak dalej. Ale nie wierzę nikomu, choćby nie wiem jak... Jak on tak wysoko zaszedł, jak on tu prowadzi – przecież, jak on się tam dostał wreszcie... Może go krzywdzę, mówię o sobiście, może go krzywdzę...

Ale ja tyle lat dostawałem baty, że w tych miejscach, w tym układzie nie uwierzę nikomu. Nie uwierzę. Będę, dopóki będę prowadził, to będę prowadził z tą myślą, że kiedyś i tak się złapiemy. Tylko tak żebyśmy się złapali, żebyśmy byli silniejsi. Nie łudźmy się, od początku było granie na nosie. Ja o tym dobrze wiedziałem, dobrze. Oczywiście nie mówiłem publicznie, bo jeszcze miał..., bo chciałem grać. Ale dziś już nie mam wyjścia.

Dziś nie mam wyjścia, bo dziś już sprawy tak daleko zaszły, że trzeba ludziom trochę przepuścić i powiedzieć, w co my gramy. Że my gramy tak wysoko, że zmieniamy w ogóle realia. I ta gra, no, nie może się inaczej [skończyć]. Żadna władza... Zmiana systemu nie może się obejść bez dania sobie po szczękach. No, nie ma mowy. Tylko że trzeba ją wygrać. My, jako odpowiedzialni ludzie, musimy ją wygrać.

I dlatego też, reasumując, to nie było spotkanie, z którego coś wynika. To nie było, że... Oni mi nie wierzą, ja jemu [Jaruzelskiemu] też nigdy nie uwierzę.

Oczywiście ludzie myślą tak: ratujmy kraj... No, „ja, wielki Polak, może mnie nie zależy na życiu”... No, mnie też nie zależy... Jak Polak z Polakiem? Oczywiście, tak... Ale ja wiem, że my [i władza, i związek] mamy inne cele, my mamy inny światopogląd i inaczej chcemy... A to, [czego chce druga strona], nas nie obchodzi i tak dalej, i tak dalej. Oczywiście zdajemy sobie sprawę, że lepiej, [że to] on [Jaruzelski] niż Gagarin czy inny jakiś [radziecki] generał. Oczywiście próbujemy jakoś dawać mu szansę i tak dalej, i tak dalej... Ale nigdy nie ufajmy do końca. Nie wolno jest ufać. Ja naprawdę nie zaufałem nigdy. Ale będę udawał znakomicie. No oczywiście...

Jan Rulewski (przewodniczący Zarządu Regionu Bydgoskiego, członek Komisji Krajowej):

Lechu, ale Jaruzelski zdawał dokładną relację i w KC, i na prezydium rządu. Glomp zdawał relację w episkopacie. A ty nas, bracie, trzymasz z boku.

Wałęsa:

Nie, słuchaj no, jaka relacja? Przecież ja nie miałem waszego żadnego upoważnienia, abym coś podjął. Oczywiście [opowiadałem się] za porozumieniem narodowym. „Oczywiście – ale”... Dlaczego mówiłem „ale”?

„Tak, proszę panów, ale ja nie jestem fachowcem. Oczywiście, jestem za porozumieniem, ale to trzeba przedyskutować: jakie porozumienie? Żadne Fronty Jedności Narodu. Żadna jedna siódma [miejsce dla Solidarności w proponowanym przez władze Froncie Porozumienia Narodowego], oczywiście. Najbardziej – myślę – że by to przeszło, gdyby to była trójka. To znaczy nie trójka bezpośrednio, tylko trzy te główne nurty [Solidarność, episkopat i PZPR] wystawiają do każdego zagadnienia, [do] rozwiązywania ich, wystawiają swoich ludzi. A więc trochę działaczy, trochę doradców”...

Tak mówiłem, pod tym kątem. A żadne ZSL-e, żadne PAX-y, żadni branżowcy mnie nie interesują. Oczywiście, jestem za pluralizmem – oni mogą należeć. Ale jeśli będzie ważna sprawa, to tylko trzech istnieje. A naprawdę to jeden. Ale z tamtym się musi liczyć. Z tym na czołgu...

Rulewski:

Oczywiście nie przeceniam i nie chciałbym powiedzieć, że nie doceniam twoich dobrych intencji. Idea porozumienia jest wymysłem Rosji. Porozumienie Polaków jest niepotrzebne. Porozumiewają się tylko wrogowie. Wprowadza ono element wrogości.

Twoje rozmowy, Lechu, były narzędziem wykorzystywanym przez władze do walki z ludźmi politykującymi w regionach i komisjach zakładowych. To znaczy eksponując twoją linię, dokonuje się rozłamu wewnątrz związku. Atakuje się tych, którzy przeciwko tobie się wypowiadają w zarządach regionalnych i komisjach zakładowych. A więc tego typu wystąpienia twoje w spotkaniu „wielkiej trójki” mają bardzo przykre, złe następstwa dla ludzi niezależnych wewnątrz związku, czy to na szczeblu regionalnym, czy na szczeblu komisji zakładowych. [...]

[Trzeba] za wszelką cenę skończyć kampanie wyborcze, które bez przerwy trwają. Pojawily się głosy, że ludzie w regionach domagają się nowych wyborów. Dokonują się zjazdy regionalne, walne zebrania delegatów, występuje się przeciw przewodniczącym, przeciwko części zarządów regionalnych. Trzeba to uciąć. KK powinna wydać oświadczenie, że na czas tej trudnej walki nie ma atakowania przewodniczących regionów. Trzeba za wszelką cenę zdjąć dyskusję z miejsca pracy – z tokarki, stołu – a przenieść na forum Sejmu. Nienormalna jest sytuacja, kiedy trzydzieści parę milionów dyskutuje i ma ambicje polityczne. Jest to wyrazem braku tej faktycznej dyskusji różnych orientacji politycznych na forum Sejmu. Trzeba z tym skończyć, ponieważ w zakładach pracy nie ma przez to roboty.

Wobec tego trzeba zadać sobie pytanie, jak dojść do jak najrychlejszych wyborów do Sejmu, w trybie natychmiastowym. I nie walczmy o społeczne rady gospodarki narodowej, rady porozumienia narodowego, a walczmy o rząd tymczasowy, który ustabilizuje kraj do czasu wyborów, ponieważ bez stabilizacji wszelkie wybory będą nie po naszej myśli. [...]

Z omówienia MSW dla URM: „W dalszej wypowiedzi Rulewski proponował, aby namiastką tego rządu tymczasowego była utworzona Społeczna Rada Gospodarki Narodowej. Rząd ten ma ustabilizować kraj, sytuację społeczną, gospodarczą. Rząd ten ma kontrolować gospodarkę, Ministerstwo Spraw Wewnętrznych itd. Rulewski w swojej koncepcji rządu tymczasowego nawiązywał do sytuacji, jaka istniała przed 1947 rokiem, nawiązywał do PSL, mówiąc:”

Twórzmy coś na kształt PSL-u. Przecież ZSRR po drugiej wojnie światowej pozwolił na istnienie wielopartyjności o różnych programach politycznych. Związkowi Radzieckiemu zależy, aby Solidarność i cały naród stał się gwarantem minimum interesów radzieckich. To minimum to są bazy wojskowe na terenie Polski oraz trakty komunikacyjne. Jeśli my to zagwarantujemy, to ZSRR pójdzie na taką tolerancję polityczną, na jaką szedł w latach czterdziestych, czyli w związku z istnieniem PSL-u. Jest to dzisiaj realna szansa, jeżeli Solidarność będzie gwarantować to minimum interesów dla ZSRR. Te sześć miesięcy potrzebne jest krajowi na prowizorium, ale nie w formie tej, jaką prezentują ostatnio kręgi rządowe, ale te sześć miesięcy stabilizacji, które ma zapewnić rząd tymczasowy, który ma być rządem bezideowym. Rząd ten powinien przyjąć taktykę KOR-u, a nie KPN-u. Taktykę polegającą nie na otwartości przeciwstawnych programów politycznych, ale na zabieraniu, krępowaniu i obnażaniu poczynań partii.

Z omówienia MSW dla URM: „Dalej Rulewski proponował następujący podział mandatów: 30% mandatów otrzymałaby PZPR, 25% ZSL razem z SD, 25% Solidarność, a pozostały procent otrzymaliby KPN, Znak i pozostali”.

Oznaczałoby to, że PZPR nadal ma przewodnią rolę w Sejmie, ale jednocześnie musiałaby zyskać akcept pozostałych grup, aby przeforsować swoje racje. Na dziś trzeba cofnąć zaufanie Solidarności dla Wojciecha Jaruzelskiego. Dziś jest już ta pewność, że rząd obecny nie może się cieszyć jakimkolwiek zaufaniem społeczeństwa. [...] Należy podjąć walkę o przedterminowe wybory do Sejmu. Zamiast przeróżnych rad i porozumień, walczmy o rząd tymczasowy³.

³ Od tego momentu obrad radomskich – wymiany zdań między Rulewskim i Wałęsą – zaczyna się omówienie sporządzone przez Agencję Prasową Solidarność (*Sprawozdanie ze spotkania Prezydium KK i przewodniczących zarządów regionalnych*, „Krytyka” nr 21, s. 61). Oto streszczenie wypowiedzi tych dwóch dyskutantów:

„Jan Rulewski uważa, że trzeba cofnąć mandat zaufania udzielony ekipie gen. Jaruzelskiego. Zwraca uwagę, że jest to przywódca partyjny i wojskowy, skupiający całą władzę w swym ręku. Rząd prowadzi politykę prorosyjską, stosując koniunkturalne chwytły i wykorzystując Wałęsę do tłumienia nieprzychylnych nastrojów. Związek powinien wrócić do programu zjazdu, tj. do programu wyborów do Sejmu i rad narodowych, a nie zajmować się powoływaniem rad gospodarczych i »rad kobiecych«. Należy podjąć walkę o przedterminowe wybory do Sejmu. W okresie przejściowym – mówi Rulewski – trzeba powołać rząd tymczasowy typu menedżerskiego, który by kontrolował gospodarkę, aparat bezpieczeństwa i środki masowego przekazu. Należy ograniczyć monopol partii. Blok partii komunizujących (PZPR, ZSL, SD) otrzymałby 55% miejsc w Sejmie, zorganizowani bezpartyjni – 25%, a pozostałe organizacje i stowarzyszenia – 20%. W takim układzie Sejm byłby terenem walki politycznej, a nie całe społeczeństwo i wszystkie zakłady, jak to się dzieje obecnie.

Lech Wałęsa nie zgadza się, że »spotkanie trzech« było wykorzystane przez Breżniewa. Pomogło ono opanować nastroje ludzi. Nie jest też prawdą, że od Bydgoszczy związek się cofa. Działania na dziś powinny zmierzać do polepszenia sytuacji ludzi pracy. Należy przestać rozmawiać z rządem, a zająć się ludźmi. Trzeba też powołać straż robotniczą. Idea klubów Kuronia jest zdaniem Wałęsy nierealna. Nie wolno się dzielić. Musimy walczyć razem.

Jan Rulewski uzupełnia swoją wypowiedź stwierdzeniem, że Solidarność mogłaby dać ZSRR lepsze gwarancje niż rząd. Mówi o zachowaniu baz i traktów komunikacyjnych dla wojsk Układu Warszawskiego”.

Mirosław Krupiński (przewodniczący Zarządu Regionu Warmińsko-Mazurskiego, wiceprzewodniczący Komisji Krajowej):

Obecnie w Sejmie są dwie ustawy. Jest rzeczą bardzo ważną, ażeby forsować ustawę o związkach zawodowych – tak, aby Sejm uchwalił ją przed ustawą o środkach doraźnych czy nadzwyczajnych pełnomocnictwach dla rządu. Zrobmy wszystko, ażeby pierwsza z tych ustaw, to jest ustawa o związkach zawodowych, wyprzedziła drugą⁴.

W streszczeniu AS: „Mirosław Krupiński stwierdza, że to, czy będzie konfrontacja, czy nie, zależy od ustawy o związkach zawodowych i ustawy o środkach nadzwyczajnych. Ustawy te wykluczają się nawzajem. Jeżeli Sejm uchwali ustawę o środkach nadzwyczajnych, to będzie konfrontacja, ale jeśli zostanie najpierw przyjęta ustawa o związkach zawodowych, to w ramach jej przepisów Solidarność może realizować swoje zadania. Należy zastanowić się, czy związek będzie jeszcze walczyć o zmiany w tej ustawie. Przypomina, że zawiera ona możliwość zawieszenia strajków na 3 miesiące”.

Eugeniusz Szumiejko (członek Zarządu Regionu Dolny Śląsk i Prezydium Komisji Krajowej):

W streszczeniu AS: „wylicza cztery problemy, nad którymi trzeba się dziś zastanowić: 1) czy rząd wypowiedział warunki porozumienia; 2) czy związek ma zaprzestać rozmów i negocjacji z rządem; 3) Solidarność musi wyznaczyć granicę, której nie przekroczy, i określić kroki, które podejmie, jeżeli naruszy ją rząd czy Sejm; 4) przygotowanie przez związek programu pozytywnego”.

Władysław Frasyniuk (przewodniczący Zarządu Regionu Dolny Śląsk, członek Prezydium Komisji Krajowej):

W dalszym ciągu mało jest informacji wśród związkowców. A ten rozbudowany aparat związkowy będzie tylko wtedy funkcjonował, jak ta informacja będzie sprawna. Musimy określić stanowisko. W tym trzeba zgłosić postulaty polityczne i postulaty gospodarcze, to znaczy powiedzieć ludziom jasno i zdecydowanie, że bez reformy politycznej nie będzie żadnej reformy gospodarczej. [...] Trzeba rządowi postawić minimum warunków, poniżej których zejść nie można – ich związek nie odpuści. To minimum warunków to samorząd pracowniczy w wersji Solidarności, ostateczne stanowisko rządu w sprawie reformy gospodarczej, przeprowadzenie wyborów do rad stopnia podstawowego i wojewódzkiego. Z tym że tu jest koncepcja taka: jeżeli przeprowadzi się wybory do rad stopnia podstawowego według wersji Solidarności, to wybory do rad stopnia wojewódzkiego nie miałyby sensu, gdyż rady wojewódzkie byłyby wówczas federacją rad stopnia podstawowego. Następny warunek: stworzenie Społecznej Rady Gospodarki Narodowej i dostęp do środków masowego przekazu. I wreszcie – tworzyć Społeczną Radę Gospodarki Narodowej i nie oglądać się na rząd⁴.

⁴ Fragment przytoczony w opracowaniu dla URM.

W streszczeniu AS: „Władysław Frasyniuk uważa, że związkowi brak aparatu wypróbowanych działaczy i dlatego wszystkie instancje kiepsko działają. Przy Prezydium [Komisji Krajowej] i ZR [zarządach regionów] powinno być ciało załatwiające sprawy bieżące i drugie – realizujące politykę związku. Stanowisko na KK może zawierać minimalne postulaty polityczne i gospodarcze, gdyż dalsza reforma gospodarcza jest niemożliwa bez reformy politycznej, bez demokratycznej przebudowy instytucji państwowych, bez samorządu pracowniczego, [bez] drugiej izby – samorządowej – w Sejmie, bez uchwalenia demokratycznej ordynacji wyborczej i ustawy o radach narodowych, bez natychmiastowego powołania SRGN i dostępu do RTV”.

Antoni Kopaczewski (przewodniczący Zarządu Regionu Rzeszowskiego, członek Komisji Krajowej):

Solidarność w walce, jaką podejmie, musi pod wspólnym sztandarem wystąpić ze wszystkimi związkami chłopskimi i rolnikami. Trzeba tutaj połączyć się w jedno, również z NZS-em, pomóc studentom strajkującym w tej chwili. Przestrzegam, że nie ma na co czekać, ponieważ z dnia na dzień Solidarność jest słabsza, wymyka się wiara ludzi w ostateczne zwycięstwo Solidarności⁵.

W streszczeniu AS: „Antoni Kopaczewski stwierdza, że bez chłopów, już podzielonych, i studentów, których związek zostawił, nie da się wygrać. Rząd robi wszystko, aby te trzy grupy podzielić. Przykładem jest polityka cen, wbijająca klin między chłopów a robotników. Trzeba się określić nie jako związek zawodowy, a jako połączony ruch społeczny całego narodu. Mówi dalej, że samorządność nie leży w charakterze naszego narodu. Powinna być oparta na świadomości, a tej nie ma. Musimy jechać na emocjach”.

Krzysztof Maruszczyk (prawdopodobnie Konrad Maruszczyk, sekretarz Zarządu Regionu Gdańskiego):

W streszczeniu AS: „uważa, że Sejm to mafia, która uchwali ustawę o środkach nadzwyczajnych. Pytanie tylko, czy wejdzie ona od razu w życie, czy Sejm upętnomocni Radę Państwa lub Radę Ministrów co do terminu jej wprowadzenia. Trzeba poprzez nacisk na posłów zablokować uchwalenie ustawy. Nawiązując do wypowiedzi J. Rulewskiego o możliwości porozumienia z ZSRR ponad partią, mówi, że związek nie może tu dać nic konkretnego poza Solidarnością na Białorusi i Ukrainie. Trzeba – zdaniem Maruszczyka – stosować metodę stopniowania nacisków, wybrać jakąś dziedzinę, np. środki masowego przekazu, podejmować coraz ostrzejsze działania, a jeżeli one nic nie dadzą, ogłosić strajk”.

W opracowaniu dla URM wypowiedź ta została przypisana Ryszardowi Bogaczowi i streszczona następująco: „Członek Komisji Krajowej [i Zarządu Regionu Pomorze Zachodnie] Ryszard Bogacz stwierdził, że jeżeli Sejm uchwali ustawę o nadzwyczaj-

⁵ Fragment przytoczony w opracowaniu dla URM.

czajnych środkach i pełnomocnictwach rządu, należy podjąć natychmiast strajk w całym kraju”.

Wałęsa:

W streszczeniu AS: „mówi, że bez załatwienia spraw politycznych nic się nie działo. Dawniej nie wdawali się w politykę, więc nie było programu”.

Z opracowaniu dla URM: „W tym momencie L. Wałęsa proponuje tak ukierunkować dyskusję, aby ustalić, co związek ma do powiedzenia władzom, a co społeczeństwu. Trzeba pokazać, że nie ma zgody na żadną podwyżkę cen, natomiast dla rządu żądania trzeba sformułować inaczej, np.: bez reformy gospodarczej nie będzie reformy cen”.

Jacek Kuroń (doradca Komisji Krajowej):

[brak początku] ...tutaj są takie problemy, że muszę tu jakoś żyć w tym kraju, ubierać się i tak dalej. Otóż to, co związek, kierownictwo związku ma do powiedzenia społeczeństwu, musi tego dotyczyć, czyli sposobu wyjścia z sytuacji. Nie ma innego wyjścia. I w dodatku powstała taka oto sytuacja: to jest właściwie jedyny sposób organizowania ruchu, skupiania [tego] ruchu, o którym mówił Antek [Kopaczewski]. I wszystkiego innego. Jedyny sposób, [to] kiedy się powie ludziom, jaka jest sytuacja i jak z niej mają wyjść. [Bo przecież] my wszyscy chcemy żyć.

W związku z powyższym – jaka jest sytuacja związku w tej chwili? Ona jest taka, że władze podjęły szereg decyzji, które właściwie dopchnęły do ściany związek. Dopchnęły do ściany! Tu oczywiście ważne są te wszystkie saluty⁶ i ataki policji. Ale one nie wyznaczają przyszłości.

Przyszłość przede wszystkim wyznacza nam decyzja o prowizorium reformy gospodarczej. Jeżeli ono wejdzie [w życie], będzie to znaczyć, że właściwie wszystko, co dotąd miało być reformą – nie ma tego. Mało, cofamy się poza istniejący stan, natomiast ponosimy koszt reformy. Ja nie wierzę, żeby dało się to wprowadzić bez stanu wyjątkowego. Albo więc oni nie wprowadzą prowizorium, a będą chcieli nas obciążyć kosztami i wywoła to tylko falę nowych konfliktów, wejdziemy w o wiele głębsze konflikty, albo – stan wyjątkowy.

Właśnie druga jest sprawa stanu wyjątkowego. Trzecia: okopali się najwyraźniej na sprawie jednej listy [wyborczej] w radach narodowych. Ja te trzy sprawy uważam za takie, które nas załatwiają, jeżeli zostaną wprowadzone. Przed którymi my się cofnąć nie możemy i przy których musimy się okopać. Te trzy decyzje wyznaczają pole konfrontacji, jeśli władza chce je wprowadzić. Zarazem odparcie tych trzech decyzji nie stwarza nam sytuacji wyjścia z kryzysu. Dlatego trzeba mieć świadomość, że my te trzy decyzje musimy odeprzeć. I musimy wiedzieć, co w związku z tym chcemy.

Chcemy w związku z tym sensownej reformy gospodarczej. [Chcemy] rady społecznej gospodarki [tj. Społecznej Rady Gospodarki Narodowej]. To jest jedna sprawa. I jej dostęp do środków masowego przekazu.

⁶ Prawdopodobnie chodzi o ingerencje wojskowych w funkcjonowanie gospodarki i administracji terenowej.

Po drugie: chcemy wyborów na [podstawie] ordynacji takiej, jaką przygotował związek. To znaczy demokratycznych wyborów do rad narodowych. Przy czym tam są [projektowane] wybory do rad narodowych szczebla podstawowego. I chcę państwu zwrócić uwagę, że te wybory są próbą sił, a niczego nam nie załatwiają właściwie. Dlatego że w gminie, dzielnicy, małym mieście, miasteczku my niczego – na tym poziomie – nie możemy sensownie załatwić. Jedyne, co my możemy ludziom powiedzieć, to jakie są [te] wybory, o które jesteśmy gotowi walczyć. To wybory do wojewódzkich rad narodowych – oczywiście również wolne wybory. I ja się oczywiście zgadzam z Jankiem [Rulewskim], tylko uważam, że nasze sformułowanie na dziś powinno być: wybory do wojewódzkich rad narodowych. Rozdzielenie wyborów. To są dwie zasadnicze sprawy.

Trzecia sprawa, którą moim zdaniem powiedzieć trzeba, to rząd obdarzony społecznym zaufaniem. Dlaczego to mówię? Bo ja chcę powiedzieć taką rzecz. Musimy mieć świadomość: to jest nasze sformułowanie [celu] działań. Co z tego wynika? Wynika to, że mówimy: my nie dopuścimy do ustawy o stanie wyjątkowym. My nie dopuścimy do wprowadzenia prowizorium, to znaczy do obciążenia nas kosztami – bez reformy, ponieważ w gruncie rzeczy takie prowizorium, które jest bez podwyżki cen, niczego nie załatwia. Ja bym to sformułował tak: związek nie może się zgodzić na podwyżkę cen bez reformy gospodarczej. I że to jest ta bariera. My wtedy nie musimy mówić o prowizorium. Jest to język powszechnie zrozumiały i dobrze wyznacza barierę... Trzeba przy tym oczywiście jasno to powiedzieć – jestem przeciw ukrywaniu tej prawdy – że reforma jest związana z podwyżką cen. My więc nie mówimy, że nigdy reformy, ale w tych warunkach podwyżka cen – mowy nie ma, tu będziemy walczyć. To jest drugi postulat.

I trzeci postulat, proszę szanownych państwa, to jest ten negatywny: nie zgodzimy się na wybory na jedną listę do rad narodowych. My to mówimy i teraz władza albo nam ustępuje, albo narzuca konfrontację – i idziemy do konfrontacji. To idziemy wtedy z programem pozytywnym, który równocześnie żeśmy zgłosili. Ja to trzypunktowo wyliczyłem.

Jeżeli idziemy do tej konfrontacji, to trzeba mieć świadomość, że w rezultacie stanie sprawa władzy centralnej i rządu obdarzonego zaufaniem. I ja osobiście stoję na stanowisku rządu narodowego, takiego, o jakim mówił Janek [Rulewski], ale wcale nie uważam, aby związek to hasło potrzebował rzucać. Ono stanie, jak byśmy musieli dojść do konfrontacji w takich warunkach.

Natomiast jeśli my przyjmujemy... Przyjmijmy więc... Jeśli by władza ustąpiła przed naszym [sprzeciwem] i powiedziała: tych trzech rzeczy nie wprowadzamy, to wtedy staje sprawa, jak wyjść z kryzysu. Staje sprawa realizacji naszego programu pozytywnego. Z tym że nie bardzo sobie wyobrażam taką możliwość, aby władza mogła w tym momencie tak całkiem się zawiesić.

Toteż trzeba mieć świadomość: postawienie [sprawy w tej sposób], że w tych trzech miejscach nie ustępujemy, to miejmy świadomość, że my już naprawdę nie możemy... Że tu nie mamy nic do wyboru po prostu. Nie są to więc żadne wolne wybory. To jest sytuacja bezwyborowa. To jest powiedzenie, że oto tu się zewrzymy. A jeśli się mamy zewrzeć, to musimy sobie jasno powiedzieć, co to znaczy. Znaczy to jakąś formę walki strajkowej, która prędzej czy później przeradza się w strajk powszechny [niezrozumiałe słowa].

...nie musimy stanąć. To też jasno powinno być powiedziane. Tak sobie wyobrażam sformułowanie zasadnicze tego, co dziś powinno być linią generalną związku. Trzeba w związku z tym ludziom wyjaśnić, dlaczego tak, dlaczego tu się nie można cofnąć i dlaczego te rzeczy stawiamy. Chcę jednocześnie państwu uświadomić, że te wszystkie trzy sprawy są przekonywujące dla ludzi i są zgodne – w gruncie rzeczy – z [ich] oczekiwaniami.

Innymi słowy, proponuję postawić sprawę zagrożenia strajkiem negatywnie. W tych trzech sprawach nie ustąpimy i tu o wszystko będziemy walczyć. A to jest nasz program pozytywny, i tego programu pozytywnego [proponuję] nie obciążać groźbą [strajkową]. Czyli: my nie żądamy od was [władzy] ustępstw, tylko mówimy, że my tu nie ustąpimy. Jest to sytuacja korzystniejsza, bo ich zmusza do ataku na nas – a to daje olbrzymie społeczne poparcie. Tyle, jeśli można...

Andrzej Piesiak (przewodniczący Zarządu Regionu Jeleniogórskiego, członek Komisji Krajowej):

Proszę państwa, zgadzam się generalnie z tym, co powiedział Jacek Kuroń. Tylko ja chciałbym bardziej praktycznie teraz powiedzieć. Dlatego że my bardzo często teoretyzujemy, a nie mamy praktycznych wniosków. Uważam – i chyba większość się ze mną zgodzi – że kluczem do całej sprawy są wybory. I kluczem w ogóle do obalenia systemu totalitarnego są wybory – według tego, co mówił Jacek Kuroń. Uważam, że musimy na Komisji Krajowej 8 czy 9 [grudnia]⁷ wyjść z konkretnymi propozycjami dla związku. To znaczy tak: jeżeli Sejm uchwali ustawę antystrajkową czy – powiedzmy – pełnomocnictwa dla rządu, to natychmiast po Sejmie – strajk powszechny.

Teraz jest kwestia druga. Jeżeli strajk powszechny, to musimy określić warunki wyjścia z tego strajku. Dla mnie warunkiem wyjścia ze strajku powszechnego jest to, co mówiliśmy o strajku czynnym. Z tym że w tym momencie już – dla mnie – praktycznie w ogóle nie powinno się mówić o strajku czynnym. Bo po takim strajku powszechnym praktycznie władzę przejmują załogi w zakładach pracy. I taka jest – dla mnie – prawda.

I teraz tak: jeżeli określimy takie warunki – oczywiście w domyśle można sobie powiedzieć – [to] w czasie proklamowania strajku czynnego należy powołać ten rząd narodowy czy rząd ocalenia, czy – powiedzmy – rząd tymczasowy. Ale tego nie musimy zawierać w dokumencie z Krajowej Komisji. Dalej: uważam, że popełniliśmy kiedyś błąd taktyczny i trzeba się na tym nauczyć. Po prostu został uchwalony dokument na Krajowej Komisji w piątek po południu. Chciałem państwu powiedzieć, że może zaistnieć niebezpieczeństwo – zresztą z tamtej strony mądrzy ludzie siedzą – że na przykład Sejm uchwali pewne ważne sprawy w piątek po południu, przed wolną sobotą i niedzielą. Może to jest drobiazg, ale dla mnie jest to sprawa bardzo istotna. Musimy też się zastanowić, co zrobić, jeżeli tak się stanie. Ja konkretną propozycję bym miał: już wcześniej przekazać ludziom, że jeżeli tak się stanie, to ogłaszamy, że sobota jest dniem pracy w tym momencie, żeby ludzie normalnie przychodzili do pracy. To jest taka propozycja drobna, ale uważam, że są to takie drobiazgi, które naprawdę zdeorganizują nam pracę.

⁷ Pierwotnie planowany termin posiedzenia KK, które odbyło się 11 i 12 XII 1981.

Teraz tak, następna sprawa. A co będzie, jeżeli Sejm nie podejmie tych kroków, bo będzie wiedział, co my zrobimy? Ja uważam, że w tym momencie również generalną zasadą są wybory. Ja uważam, że tu się już nie ma co oglądać, tylko po prostu trzeba robić te wybory. Trzeba po prostu od samego dołu... I nie bagatelizowałbym sprawy – powiedzmy – tych wolnych wyborów poniżej Wojewódzkiej Rady Narodowej...

Z sali:

Tylko na co?

Piesiak:

Uważam, że po prostu trzeba na wszystkich szczeblach robić wybory i trzeba – ja uważam – jasno powiedzieć komisjom zakładowym i naszym członkom, że należy już szykować kandydatów do wyborów. Takie są moje wnioski.

I jeszcze raz... Jeszcze jedna sprawa jest dla mnie istotna. Nie wiem, czy to wzbudzi uśmiechy, czy nie, w każdym razie uważam, że Krajowa Komisja powinna jasno wyjść z odpowiednim apelem do wojska i ewentualnie do przynajmniej tej części milicji, która jest za społeczeństwem. Chciałem powiedzieć, że regiony Wrocław i Jelenia Góra z takimi apelami wyszły. I chciałem państwu powiedzieć, że reakcja z drugiej strony była – z góry przynajmniej – kategoryczna, że tak powiem – ze strachem na to spojrzeli. Dlatego że na przykład, proszę państwa, natychmiast było polecenie z góry, żeby przeprowadzić dochodzenie, co za żołnierze wystosowali list otwarty. I szukać tych żołnierzy; oczywiście, nawet się [ich] nie ujawniło. Dlatego uważam, że mamy bardzo wielu sprzymierzeńców. Jeszcze nawet z tego względu, że na przykład w wojsku teraz są te roczniki, które były bezpośrednio związane z Solidarnością i z tym ruchem. Uważam, że taki apel należałoby przed tym wszystkim wystosować.

I trzecia sprawa: to, co mówił kolega Kopaczewski. Trzeba natychmiast – tu nie należy się w ogóle zastanawiać – utworzyć ruch Solidarności. Czyli to wszystko, co jest pod nazwą Solidarności, trzeba połączyć w ruch: taksówkarzy, rzemiosło, Solidarność Rolników Indywidualnych, NZS... Natychmiast grupować na najniższych szczeblach w województwach, w regionach. Natychmiast stworzyć ten ruch. Takie byłyby moje wnioski. I uważam, że naprawdę Krajowa Komisja 9 [grudnia] powinna wyjść z konkretnymi propozycjami dla związku, co będzie, jeżeli się tak stanie. To wszystko, dziękuję.

Tokarczuk:

Dziękuję bardzo.

Marian Nowicki (przewodniczący Zarządu Regionu Kujaw i Ziemi Dobrzyńskiej):

Uważam, że zadaliśmy chyba w zbyt wielką tubę. Bo ta konfrontacja, o której ciągle mówimy, trwa od roku, tak jak długo jest związek. Uważam, że nie powinniśmy zbyt się tym przejmować. Raczej nie dać się wmanewrowywać w takie właśnie konfrontacyjki. A jeżeli już w nie wchodzimy, to trzeba widzieć możliwość z nich wyjścia. Poza tym tworzy się nowy front walki: z PZPR-em w zakładach pracy, a uważam, że jest on zupełnie zbyteczny. Dlatego że partię można w bardziej łatwy sposób wyeliminować z zakładów pracy. Tworzą

się samorządy, które nie pozwolą sobie, żeby byle jakie organizacje brały pieniądze. Tak – i jest to droga: po prostu [organizacje partyjne] nie będą miały etatów, nie będą funkcjonowały. Jest to normalne. Trzeba po prostu iść tą drogą, tworzyć na szczelbu regionu rady samorządu, a one będą załatwiać nam wiele spraw. I będą – co najważniejsze – działać zgodnie z istniejącym prawem. To trzeba wykorzystywać, bo tworzą się różne konflikty, a jest prawo i taki samorząd może to wyegzekwować, i tu nikt mu nic nie robi.

Sprawa następna: trzeba wykorzystać ten okres zimy do zwiększenia świadomości ludzi naszych. Bo niestety mamy tu wiele luk, szkolenie na pewno jest bardzo słabe. I można by się zastanowić teraz, szczególnie kiedy trwają te strajki w uczelniach, aby wykorzystać ich siły właśnie do tego. Świadomość ludzi jest dość wysoka. Wielu – na przykład teraz – mówi, że wreszcie chociaż jeden Jurczyk powiedział to, co wszyscy myślimy: o tych szubienicach⁸. Ja spotykam się z takimi głosami, jak idę na zebrania do załóg zakładów pracy. Dlatego też nie bójmy się, bo ludzie są z nami. Jest margines ludzi, który rzeczywiście ma wątpliwości. Bo partia tu zagrała na patriotyzmie ludzi, szermując tym Frontem Porozumienia Narodowego. To trafiło do wielu ludzi. Ale i tu możemy prowadzić rozmowy z nimi [władzami], nie trzeba tego zrywać. Bo tego Frontu nigdy nie utworzymy i powinniśmy sobie z tego zdawać sprawę. Bo jak my im postawimy warunki, że – proszę bardzo, możemy się dogadać, ale są warunki wstępne: trybunał narodowy, ordynacja wyborcza, reforma gospodarcza z połączeniem [z regulacją] cen i tak dalej, to oni tego nie przyjmą nigdy. Ale oficjalnie rozmawiamy i związek wygrywa. Bo proszę bardzo, my chcemy, jak najbardziej, jesteśmy Polakami. Ja mam doświadczenie ze swojego regionu. My już prowadzimy od zjazdu praktycznie rozmowy z tymi różnymi organizacjami i my się nie możemy dogadać. Bo my im mówimy: proszę bardzo, ale wycofajcie tych posłów, którzy narobili tyle brudu. Oni są waszymi reprezentantami. Jak wyeliminujemy te warunki wstępne, wtedy proszę bardzo, to jest idea porozumienia.

Są elementy, które trzeba widzieć na bieżąco. Co związek powinien teraz robić? Po pierwsze – ciągnąć samorządy, bo jeszcze wiele zakładów, szczególnie tych mniejszych, te sprawy ma niedograne. Zakłady średniej wielkości i wielkie mają samorządy, ale jest zaniedbanie chociażby w ruchu spółdzielczym. To trzeba nadrobić. Wykorzystać ten czas jak najszybciej, bo pomimo że jest to nasz przeciwnik, jednak w sumie będzie sprzymierzeńcem dla społeczeństwa. I nie ma się co czarować.

Następna sprawa to ordynacja wyborcza do rad, do samorządów terenowych, terytorialnych. Jest to ważne. My o tych wyborach mówimy, ale ludzie nie mają pojęcia tak naprawdę. Związek nasz też dopiero kilka dni temu ustalił wstępną ordynację wyborczą i nie wiadomo jeszcze, czy ludzie ją zaakceptują. My z tym powinniśmy iść i na fali tego tłumaczyć ludziom, aby wybierali właściwych ludzi na radnych, aby już ich szykowali. Poza tym – administracja terenowa. Mamy możliwość – wsadzamy swoich prezydentów. Nie jest powiedziane, że nie będziemy mieli swoich wojewodów. Są to ludzie skazani na zagładę w istniejących strukturach, ale jest to droga, bo zanim wylecą, to zrobią nam

⁸ 25 X 1981 w Trzebiatowie Marian Jurczyk mówił o rozliczaniu komunistów: „być może dla niektórych osób trzeba będzie wybudować szubienice”.

kawałek dobrej roboty. A biurokracja to jest po partii nasz następny wróg numer jeden. Powinniśmy właśnie nad tą biurokracją myśleć. Nie strajkami, powiedzmy, ale właśnie przez te drogi. Przez radnych, których mamy, przez nawet i tych sprzymierzeńców w partii, bo nie wszyscy są naszymi przeciwnikami (poza aparatem).

Następna sprawa to żywność. Przecież my nie musimy wchodzić w żaden strajk powszechny, jeśli narzuci nam się tu jakieś pole walki. Proszę bardzo, opanujemy zakłady żywnościowe poprzez strajk czynny. Wyeliminujemy Konsumy⁹ chociażby, które nam kradną mnóstwo mięsa. Armii damy, bo musimy dać, bo inaczej by nas tu załatwiono rzeczywiście. W województwie, z którego jestem, jesteśmy do tego przygotowani. Mieliliśmy taką próbę generalną właśnie podczas ostatniego strajku. To wypaliło i ludzie nas chwala. Ba, mówią: co oni pieprzą (ja bardzo przepraszam, ale takie są głosy ludzi), że ludzie nie pracują, skoro przez godzinę strajku tyle nam wyprodukowali, że my mamy dzemy, mamy konserwy, te różne koncentraty i tak dalej. Tak że jest to droga. Bo strajk powszechny to jest droga donikąd. My znów wpadniemy w klincz, tak jak w marcu, że nie będziemy widzieli, bo znów się zlekniemy, bo oni nas postraszą tam czymś. Będziemy się bali odpowiedzialności, tej krwi, i znów cofniemy się. A jest to zupełnie niepotrzebne. Poza tym i górnictwo w jakiś sposób też mogłoby ten strajk czynny zrobić, tak mnie się wydaje, ale nie chciałbym o tym mówić.

No i sprawa następna to pogotowie pomocy zimowej. Ono musi działać. To jest właśnie ta robota dla ludzi. Żeby otoczyć opieką tych wszystkich [potrzebujących]. To też nam robi dobrą robotę. My mamy już pierwsze symptomy, bo to pogotowie akurat u nas działa, może nie super dobrze, ale średnio, powiedzmy. Są pierwsze tego oznaki. I to również podnosi naszą rangę, wbrew tej właśnie propagandzie, która nam robi tyle „dobrego”. A strajk powszechny można zastosować jedynie na wypadek otwartych represji, tu się zgadzam. To tyle, dziękuję bardzo.

Palka:

Ja bym chciał kontynuować polemikę z Jackiem [Kuronem] z dnia wczorajszego [podczas narady członków Prezydium KK i doradców w hotelu Solec w Warszawie]. Mianowicie – kiedy jest dobra ta propozycja? Dobra jest przy założeniu, że oni nie odłożą konfrontacji, rezygnując z tych działań, którym my zagrozimy. Chciałem przypomnieć, że podobna teza była już kiedyś postawiona, mianowicie w przypadku samorządu.

Zaproponujemy kompromis, który dla nas jest zły. Oni tego nie przyjmą. My będziemy czyści.

Obawiam się więc, że jeżeli postawimy sprawę dostatecznie konsekwentnie, to oni konfrontację odłożą, ponieważ jest to dla nich korzystne. Dlaczego jest dla nich korzystne? Ponieważ pogarszająca się sytuacja życiowa ludności, ciągłe obniżanie się spożycia, uderza przede wszystkim w Solidarność. Wiadomo, że politycznie w rząd uderzyć już nie może, bo rząd jest skompromitowany. Rządu broni wojsko i milicja. Nas natomiast nie broni nic. Dlatego uważam, że jest realne odłożenie tej konfrontacji przez partię.

⁹ Wydzielona sieć sklepów i stołówek dla pracowników MSW.

I dlatego sędzę, że musimy – oprócz takiego postawienia sprawy – uruchomić cały zespół działań na zasadzie faktów dokonanych, które będą spychały partię na pozycję, którą my też powinniśmy pokazać. Mówiłeś, że powinniśmy Rosji zagwarantować pewne jej strategiczne interesy. No ale to nie wystarczy, ponieważ jako gwarant my jesteśmy niewiarygodni dla Rosji. A ponadto jesteśmy przeciwnikiem politycznym, do zniszczenia.

Obawiam się, że oprócz gwarancji tych interesów powinniśmy jeszcze zagwarantować im wybór strażnika, że te interesy będą zachowane. I należałoby się zastanowić, jakie trzeba zachować prerogatywy partii rzeczywiście, czy jakie pole działania trzeba jej zostawić, żeby Rosja mogła zaakceptować, że ona taką rolę strażnika będzie tu efektywnie wykonywać.

W swojej polityce faktów dokonanych powinniśmy ich zepchnąć na te pozycje.

Teraz – jak te fakty dokonane realizować? Otóż tak: nie możemy dalej walczyć polityką strajków, strajków lokalnych w szczególności. Jest to absolutnie nieskuteczne. Rząd dalej już nie da się skompromitować, bo on już jest do końca skompromitowany. Strajki były tylko i wyłącznie bronią natury politycznej. Dopóki można było kompromitować, one były skuteczne. Dlatego do dyspozycji jest tylko strajk powszechny, ograniczony, jako ta wielka pała, o której mówiłeś. Ale pozostaje problem, jak reagować na prowokacje polityczne, na szarpanie naszych ludzi. Jak się bronić? Sędzę, że nie mamy innego wyjścia, jak powołać straż robotniczą, której normalnie nie będziemy wyprowadzać na ulice, ale która będzie w naszym odwodzie. To będzie siła przeciwko sile, którą będziemy mieli gotową do użycia. Uważam także, że popełniliśmy błąd, nie reagując na ten cały system represji prokuratorskich. Państwo odwróciło sytuację, to znaczy państwowa instytucja do represji rozmawia z pojedynczym obywatelem. Nie powinno być tak, ponieważ ten działacz związkowy wykonuje polecenie instancji związkowej. Dlatego każde takie oskarżenie powinno doprowadzić do procesu między prokuratorem i instancją związkową, a nie pojedynczym człowiekiem. Sędzę, że tak sprawę powinniśmy postawić i tak konsekwentnie ją realizować.

W sprawie strajku generalnego uważam, że powinniśmy ograniczonym strajkiem generalnym – jak najbardziej – złamać tę uchwałę o stanie wyjątkowym, jak [ona] będzie, bezwzględnie. A potem kontynuować częściowe strajki czynne. To zależy od stopnia przygotowania. W najbliższym czasie postaram się takie materiały przedłożyć, one są opracowywane. Tak, to by było z grubsza wszystko.

Ryszard Stachowiak (przewodniczący Zarządu Regionu Konińskiego):

Stachowiak z Konina. Wydaje mi się, proszę państwa, że dzisiejsza dyskusja jest niepotrzebna. I to nie dlatego, że mówimy o tematach błahych. Było wręcz przeciwnie. Ale dlatego, że ona będzie musiała być cała powtórzona niedługo na posiedzeniu Krajowej Komisji. Nie wyobrażam sobie sytuacji takiej, w której tutaj zostaną wypracowane jakieś propozycje linii postępowania i reszta Krajowej Komisji przyjmie to jako swoje bez dyskusji. Trzeba będzie jeszcze raz przedstawiać te same argumenty i to samo przedyskutować w gronie stu siedmiu osób.

Czy wobec tego uważam, że takie spotkania są niepotrzebne? Też nie. Dlaczego? Tu ktoś użył bardzo dobrego sformułowania, że to powinna być narada sztabowa. Szefowie związku w regionach zjechać się powinni po to, żeby po pierwsze ustalić, w jaki sposób

realizować uchwały Krajowej Komisji już szczegółowo, żeby te dyskusje nie odbywały się na posiedzeniach Krajowej Komisji. [Na posiedzeniu KK] podejmuje się uchwałę wytyczającą kierunek. My się zbieramy po to, żeby ustalić, w jaki sposób ją realizować. Ewentualnie zjeżdżamy się po to, żeby zdać relację z tego, jak realizacja tychże uchwał u nas wygląda. I dlaczego ona wypaliła, a dlaczego nie wypaliła. Z tego by wynikały ewentualne wskazówki na posiedzenia Krajowej Komisji, jak należy te uchwały podejmować i czy one są realne, czy nie. Tego typu spotkania powinny się więc tylko dlatego odbywać. Bo obawiam się, że to jeszcze raz zostanie wszystko powtórzone w piątek czy we wtorek i środę. Wobec tego uważam to po prostu za marnowanie czasu, tak jak powiedziałem. Dziękuję.

Zdzisław Rozwałak (przewodniczący Zarządu Regionu Wielkopolska, członek Prezydium Komisji Krajowej):

Mogę? Szanowni koledzy, ja chciałem tak po prostu... Wpierw może powiem, jakie – po rozmowach w regionie, w zakładach – były odczucia robotników z ostatniej sytuacji. Od razu chciałem powiedzieć: nie zgadzam się z kolegą, że niepotrzebne jest takie spotkanie. Uważam, że bardzo jest potrzebne, bo to, co tu ustalimy... Po prostu już nie będzie tej kłótni w jakimś sensie, a kolegów przekonamy o słuszności decyzji – albo nie przekonamy.

Ale jeśli chodzi o region, to tak wygląda. Robotnicy w tej chwili zauważyli, że straciliśmy wiarygodność. My i tym samym rząd. To znaczy mówią tak: w tej chwili nic nas nie powstrzyma, jeszcze jak wejdą podwyżki [cen] w kraj, to i tak podejmiemy strajk. Obojętnie jaki – staniemy, po prostu staniemy. Bo nikt się nie zgodzi na to, żeby płacić... Bo jak już samorządy zaczęły wyliczać według tych nowych cen, ile co będzie kosztować... A nic się nie mówi o podwyżkach płac. Na przykład Modenie mówi się, że 15 tysięcy ubranie będzie kosztować według tych nowych obliczeń [ministra Zdzisława] Krasińskiego [przewodniczącego Państwowej Komisji Cen]. No to, powiedzieli, w życiu nie dopuszczą – czy związek się zgodzi, czy nie – nie dopuszczą do takich podwyżek cen. Dopóki ludzie wierzyli w to, że są prowadzone rozmowy, że są negocjacje... I nie docierało do nich, że rząd lekceważy... Wierzone w to. I tylko my jako związek mogliśmy przekonać ludzi pracy: słuchajcie, ta podwyżka cen jest słuszna, musimy cierpieć, [bo] reforma inaczej nie wejdzie. W tej chwili wątpię, że byśmy przekonali jako związek, że mamy tu coś do powiedzenia. Bo wprowadzenie tej podwyżki na papierosy, na alkohol – śmiali się... Nawet członkowie związku mówią: no tak, wyście na zjeździe powiedzieli, że nie będziecie [niezrozumiałe słowa]. Telewizja ma tę przewagę, że pewne zdania chwytają... W związku z tym nawet nam nie uwierzą w tej chwili, jakbyśmy im mówili tak: no, jest racja, że taka podwyżka powinna być...

Ludzie powiedzieli stanowczo, że jeżeli by miała wejść ta ustawa, która mówi o tym, że zebrań nie będzie, że zabroni się nam prawa do strajku – tego nigdy nie powinniśmy [pozwolić] sobie odebrać. My możemy nie strajkować, sami sobie możemy odebrać to prawo, ale nigdy nie może być tak, żeby nam ktoś narzucił to, że nam się zabiera prawo do strajku. W związku z tym powiedzieli jednoznacznie – i mój region jest gotowy stanąć, obojętnie, jak by się to nazywało. Jest logiczne, że na pewno ludzie nas potępią, jeżeli my wybierzemy takie coś, że nie będzie wyjścia. Musimy szukać, czyli – jak tu kolega powiedział – strajk z ograniczeniem, czy coś w tym rodzaju... Ale w każdym razie musi być

uderzenie; wszyscy mogą liczyć, że w moim regionie zakłady staną, i to jednoznacznie. Włącznie z branżami – nie branżami; po prostu takie układy są, że na ogół Solidarność tam przeważa.

A teraz chciałbym powiedzieć parę słów jako działacz i też postawić wnioski. Nie wiem, słuszne czy niesłuszne, czy może się to przydać. W każdym razie powiem wam szczerze. Jako robotnik wchodząc do składu Prezydium Komisji Krajowej i będąc przewodniczącym regionu, w pewnym momencie, nie tak dawno, z przerażeniem stwierdzam, że stoję przed faktem, że nie wiem, co teraz zrobić. Tak jak Lechu; on prawdopodobnie też szuka tutaj u nas, żebyśmy mu powiedzieli, co teraz zrobić... Bo rzeczywiście – weźcie pod uwagę jedną rzecz. Niby związek zawodowy. A tu się okazuje, ile jest problemów: rady narodowe, Sejm, sądy... No, to obłęd po prostu. Nie wiadomo, za co tu się wpierw zabrać.

W związku z tym na swoim terenie nie czekałem na żadne wytyczne z Komisji Krajowej. Tu błąd był może niektórych regionów, które tylko czekały, co tam góra ustali. Przecież jak w Gdańsku były strajki, nigdy się nie mówiło o tym... Zawsze mówiło się o autonomii regionów, które będą podejmowały [decyzje] same. Tu doraźnie się spotkamy i sobie coś uzgodnimy i tak dalej. A okazało się, że w tej chwili w większości [realizuje się] tylko decyzje odgórne. W związku z tym na moim terenie – nie wiem, czy to dobrze robię, to się okaże za jakiś czas – sami pchaliśmy się w pewne sprawy, gdy coś tam władze robią w naszym regionie. Dla przykładu kolegom powiem, że powołaliśmy ciało, które miało sprawdzać magazyny i tak dalej. Udało się. Zaczęło to sprawę. A to wiadomo – kołowali nas, oszukiwali i nie wszędzie myśmy weszli, gdzie trzeba. W międzyczasie powstały te słynne sztaby gospodarcze. Na to koledzy: no, to tam jest partia, nie będziemy się w to wtykać, co to znaczy, z partyjnymi będziemy rozmawiać? Jak weszły trzy, cztery decyzje województwa, ludzie odczuli, że są [to] złe decyzje, stwierdziliśmy, że nie ma co tam dostać... Weszliśmy na te sztaby i sobie wyobraźcie, że w tej chwili sztaby w Poznaniu i Wielkopolsce prowadzi Solidarność. Są [w nich] członkowie KW [PZPR], którzy nie mają nic do powiedzenia. Wojewoda tamie... przeciwstawia się ministrom w naszej obecności...

[przerwa w nagraniu]

Według sprawozdania w „Krytyce” nr 21: „Rozwałak mówi, że trzeba działać same-mu, a nie czekać na polecenie z góry. Rząd i PZPR straciły wiarygodność. W Wielko-polsce wszelkie istotne działania są uzgadniane przez wojewodę z Solidarnością, a nie z partią. Uważa, że trzeba utworzyć grupy działaczy, którzy by tłumaczyli ludziom działania związku. Natychmiast powołać Społeczną Radę Gospodarki Na-rodowej i jej regionalne oddziały oraz utworzyć zespoły do spraw praworządności”.

Antoni Stawikowski (przewodniczący Zarządu Regionu Toruńskiego):

[przerwa w nagraniu]

W streszczeniu AS: „stwierdza, że jeżeli rząd wprowadzi stan wyjątkowy, a Solidarność nie zareaguje, to straci wiarygodność. Zgadza się z Kuroniem, że trzeba jasno określić granicę, poza którą związek się nie cofnie”.

Z sali:

Proszę państwa, ja uważam, że cała nasza dyskusja jest nieprzygotowana. My tak będziemy jeszcze kilka godzin dyskutować, bo każdy się wypowiada, i co najgorsze, sądząc z wypowiedzi, [poglądy] są sprzeczne. Ja sądzę, że Prezydium [KK] powinno wobec nowej sytuacji, to znaczy załamania się linii poprzedniej, czy załamania się dotychczasowej polityki zgody, przygotować konkretną koncepcję postępowania. I my byśmy dyskutowali nad konkretną koncepcją rozwiązania sytuacji. A tak, to będziemy dyskutować... To jest moje konkretne pytanie do prezydium. Czy prezydium ma wypracowaną koncepcję po naradzie [2 grudnia 1981 roku w Warszawie] z Lechem i ekspertami? Czy ma, czy nie ma?

Z sali [ktoś z organizatorów]:

Nie ma. Dlatego dyskutujemy.

Z sali [ktoś z doradców?]:

Dyskusja trwała do późna w nocy. Zręby już jakiegoś stanowiska zaczęły się rysować. Ze względów czysto organizacyjnych nie byliśmy w stanie tego przygotować. Mogliśmy to robić w trakcie [tego spotkania], tylko to wyglądałoby trochę niepoważnie w tym momencie, gdy my tu dyskutowaliśmy. I my wtedy z gotowym załącznikiem wchodzimy...

Z sali:

Oj, to by było niepoważne.

Z sali [Tokarczuk?]:

Ja proponuję tak: jeszcze trochę... Następni dyskutanci zabiorą głos. Zbierze się jakaś grupa osób ustalona przez nas. Chyba przegłosujemy?

[przerwa w nagraniu]

Zbigniew Bujak (przewodniczący Zarządu Regionu Mazowsze, członek Prezydium Komisji Krajowej):

[brak początku] ...kilka ostrożnych głosów, które zdaje się nie biorą pod uwagę obecnej sytuacji, w jakiej przychodzi nam działać. Która nas zmusza do zajęcia bardzo jednolitego, bardzo twardego, bardzo zdecydowanego stanowiska. Stanowiska, z którego my nie mamy po prostu odwrotu. Otóż sytuacja gospodarcza jest taka: żeby nie wiem, jakie cuda się w Polsce działy, to obniżenie stopy życiowej musi nastąpić. Więcej, za tą sytuacją gospodarczą idą konkretne rozwiązania organizacyjne, które wiążą się czy to ze zwolnieniami z pracy, czy to z konkretnymi kłopotami w zakładach pracy, z ruchem spółdzielczym i tak dalej, i tak dalej. Wszystko to spowoduje pewien ruch, pewne zdenerwowanie, panikę na rynku i płacy, i pracy, i na rynku żywnościowym. Za tym będą musiały iść, jeżeli chcemy tę sytuację rozwiązać, konkretne działania polityczne.

I otóż jeżeli my byśmy mieli przyjmować jakiegokolwiek ostrożne stanowisko, to pytam, czy my jesteśmy w stanie w tej chwili powiedzieć ludziom, że jako związek dajemy im gwarancje, że te ich koszty, które oni ponoszą, poniosą tak czy tak [niezrozumiałe słowa].

Czy te ich koszta, które oni poniosą, nie pójdą na marne? Otóż nie tylko takiej gwarancji im nie możemy udzielić, ale mamy pewność, że te ich koszta pójdą już w tej chwili na marne. I oczywiście na taki kierunek rozwiązań nasz związek w tej chwili pójść nie może. Bo to oznacza w konsekwencji pełne ubezwłasnowolnienie związku, zrobienie z niego marionetki, fikcji, która przestaje istnieć, przestaje funkcjonować. I wtedy zdajemy się na pastwę bezsilnego rządu. Moim zdaniem bezsilnego, bo w tej chwili jako związek zaczynamy krążyć jak sęp nad trupem, który jeszcze trochę się rusza, ale już wiadomo, że czy mu można wydziobywać.

Jak rozumiem, pewne koncepcje rozwiązań zostały tutaj przez Jacka [Kuronia] sformułowane. Proponuję, żeby one już w tej chwili zostały spisane i niech to stanowi pewną propozycję, z którą nasze zgromadzenie wychodzi na zebranie Komisji Krajowej (jak rozumiem, to zebranie jest przygotowaniem tego posiedzenia). I w tej chwili to stanowisko ma szansę być przekonsultowane w zakładach pracy. I po takiej konsultacji ma szansę wejść na Krajową Komisję Porozumiewawczą. Jest to szansa, pierwsza szansa, że my kluczowe, wielkie decyzje tego związku konsultujemy i po konsultacji wprowadzamy pod obrady KKP. Jeżeli tam to zostanie przyjęte i będzie przyjęte z poparciem, jakie otrzymamy w tej chwili z zarządów [regionów] i z zakładów pracy, jest to – moim zdaniem – stanowisko bardzo, bardzo silne, bardzo potężne. Rzecz tylko w tym, żeby już w następnym etapie rzeczywiście konsekwentnie się go trzymać, żeby znów w którymś momencie nie ustąpić. Bo jak mówię, ustąpić nam już w tej chwili nie wolno!

Gdzieś zdaje się pojawiły się zastrzeżenia co do możliwości czy ogłoszenia strajku, czy wygrania strajku, czy w ogóle tego, co my i na jakim etapie w odpowiednim momencie zrobimy. Ja tu bym po prostu posłużył się metodą, którą milicja i Służba Bezpieczeństwa posługiwała się w tym kraju przez tyle lat. Czyli albo my w tej chwili znajdziemy się w sytuacji, w której przyjdzie nam ogłosić strajk generalny, i go ogłosimy, i go zrobimy, albo przygotujemy strajk generalny, żeby on był we wszystkich szczegółach gotowy, a potem się powód znajdzie, nie ma obawy. Jak rozumiem, i tak to nas czeka, i tak. I nie wyobrażam sobie, żeby bez tego nacisku, bez strajku generalnego te rozwiązania polityczne mogły nastąpić. Co więcej, uważam, że w tej chwili te wszystkie koszta, które społeczeństwo ma do poniesienia, może ponieść tylko w obliczu rzeczywiście bardzo głębokiej reformy społecznej i politycznej.

I otóż w tym momencie stawiam pod znakiem zapytania tę koncepcję, jaką tu przedstawił Janek Rulewski. W której to koncepcji gwarantuje się jeszcze jakąś pozycję PZPR-owi. Otóż uważam, że w tym samym momencie, w którym my wejdziemy w konflikt generalny, będzie to konflikt bierny – i wtedy mamy wszelkie dane ku temu, żeby go przegrać. Dlatego że trwanie bezustanne strajku nie wchodzi w grę. Musi nastąpić tutaj w którymś momencie jakieś przetłamanie, jakaś już konfrontacja bardzo daleko idąca. Powiedzmy – nie wiem – próba użycia sił. I wtedy albo się udało, albo się nie udało. Ja tu jestem optymistą, bo nie wierzę w to, żeby dało się użyć wojska i żeby dało się na taką skalę użyć milicji. W związku z tym – moim zdaniem – nie do przyjęcia jest tego typu kompromis, jaki został tutaj przedstawiony w sprawie Sejmu. Dlatego że jeżeli już Janek przyznaje, że gwarancji Moskwie nie daje partia, tylko daje społeczeństwo, czyli jak rozumiem – tymczasowy rząd, powołany ewentualnie w następnym etapie rząd z wyboru, to w takim razie po co jeszcze

tutaj stawiać sprawę partii, która nie wiem, jaką by miała funkcję spełniać. Jak mówię, spełniałaby tylko funkcję destrukcyjną wobec programu, z jakim związek wychodzi. Czyli tych gwarancji nam w tej chwili – moim zdaniem – udzielać nie można. I niech ona [PZPR] staje do wyborów na równych prawach z innymi.

Teraz – jeśli chodzi o samo wygranie strajku. Jak powiedziałem, trwanie bierne w strajku generalnym do zwycięstwa moim zdaniem nie wchodzi w rachubę. I oczywiście muszą temu towarzyszyć te wszystkie przygotowania, które z chwilą wybuchu strajku generalnego stawiają władzę wobec konieczności natychmiastowego reagowania. Jak rozumiem, jest to sprawa powołania już na teraz – tu potwierdzam wszystkie te opinie – Społecznej Rady Gospodarki Narodowej, która jeżeli będzie w odpowiednim składzie, jeżeli będzie posiadała odpowiedni autorytet i uzyska odpowiednio silne poparcie związku, będzie mogła później występować z propozycją rządu tymczasowego. Jak rozumiem, powinno się w tym samym momencie wprowadzać czynne działania w czasie strajku, czyli na przykład wychodzą gazety strajkowe, i pod silnymi strażami robotniczymi tej sprawy się w ogóle broni i pilnuje. Dlatego że władza nie wytrzyma i musi dojść do próby sił i musi się okazać, po której stronie stanie milicja czy wojsko. Jak rozumiem, musi dojść do powołania społecznej rady nadzorczej radiokomiteu. I cóż, nie ma co, obstawiamy radiokomitek i niech on zaczyna działać według statutu i statusu wyznaczonego mu przez społeczną radę nadzorczą.

Zakładam, że jest to rzeczywiście moment generalnego przełamывania dotychczasowego sposobu funkcjonowania władzy i dotychczasowych władz jako takich. Bez tego generalnego przełamania, w którym niestety wszystko się musi zdecydować, my nie jesteśmy w stanie tutaj niczego... Teraz mogę powiedzieć tylko tyle, że moim zdaniem tylko tak daleko idący program jest w stanie w tej chwili ludzi zmobilizować. Program, w którym oni będą rzeczywiście widzieli możliwość jego pełnej realizacji – przy wszystkich niebezpieczeństwach. Bo ludzie sobie będą dokładnie zdawać sprawę z tego, co ich czeka. Ale ja myślę, że jednak się na to zdecydują, że jednak się na to zgodzą. Uważam, że akurat sprawa tego napięcia bydgoskiego, które było i które zostało rozładowane, był to taki okres, w którym ludzie... no, rzeczywiście przeżyli chwilę strachu. I w tej chwili te chwile strachu, które będą przy tej konfrontacji, będą już po prostu o tamto napięcie mniejsze. Czyli [jest] większa możliwość w tej chwili przebicia się. Dziękuję.

Pozostaję przy wniosku, żeby sformułować to, co mówił Jacek [Kuroń], żeby... profesor Geremek... przepisze, niektóre może przeformułować...

Z sali:

Konieczne, to jest pierwsze działanie.

Władysław Siła-Nowicki (doradca Komisji Krajowej):

Na najbliższym posiedzeniu Krajowej Komisji Solidarności trzy rzeczy muszą być rozstrzygnięte, trzy rzeczy muszą być postawione. Pierwsza to jest projekt ustawy o nadzwyczajnych pełnomocnictwach dla rządu. Druga – kwestia ustawy o związkach zawodowych. I trzecia – to, czego dzisiaj obchodzimy rocznicę, mianowicie spotkanie przewodniczącego związku z premierem i I sekretarzem partii, i z prymasem.

Z sali:

Miesięczną rocznicę.

Siła-Nowicki:

Miesięczną rocznicę [wesołość na sali]. Trzy rzeczy muszą być rozstrzygnięte. Pod tym kątem chyba najważniejsze są decyzje dzisiejszego zgromadzenia przy przygotowaniach... To musi być tam postawione.

Na początku, proszę państwa, to ja powiem, że podobno starość jest zgryźliwa i pesymistyczna, ale ja jestem najstarszy tutaj ze wszystkich obecnych na sali i jestem największym optymistą. I najjaśniej widzę sytuację. Bo wszyscy widzą, że to jest złe, że związek się cofa. To nie jest prawda, proszę państwa. Każda organizacja, która powstaje i z marzenia staje się czymś realnym, musi później, w toku swojej działalności, budzić niezadowolenie, że nie spełnia wszystkich ludzkich nadziei. I związek też temu podlega. My po prostu nie spełniliśmy wszystkich ludzkich nadziei, bośmy spełnić dotychczas nie mogli. Ponadto rzeczywiście jest olbrzymim obciążeniem, że nikt nie zdawał sobie sprawy w chwili zawierania porozumień gdańskich, jak zła jest ekonomiczna sytuacja kraju i jak musi to grać w krótkim czasie również przeciwko nam.

Proszę państwa, tutaj się czasem mówi tak, jak gdyby związek nasz w jakimś zakresie kraju był wszechpotęgą. I to jest zasadniczy błąd. Nasz związek jest bardzo potęgą. Solidarność jest potęgą. Natomiast jest oczywiście w swojej sile ograniczona i nie jest wszechpotęgą. Dlatego my musimy swoje działania ograniczyć do pewnych zakresów naszych możliwości.

Proszę państwa, na czym polega nasza siła w stosunku do rządu? Nie na tym, że my będziemy szukać z nim konfrontacji, tylko na tym, że rząd przeciwko nam nic rzeczywiście w Polsce przeprowadzić nie może. Nam nie trzeba konfrontacji. Nam wystarczy odmowa współdziałania, żeby rząd nie mógł nic zasadniczego zrealizować i przeprowadzić w Polsce. Na tym polega nasza siła.

Natomiast oczywiście, natomiast rzeczywiście twierdzenie, że bezwzględnie rząd szuka z nami konfrontacji, nie jest tak całkiem prawdziwe. Bo ja mam najlepszy dowód. Patrzę przed siebie i widzę tam, za kolegą Zbyszkciem [Bujakiem], jak siedzi pan Seweryn Jaworski [wiceprzewodniczący Zarządu Regionu Mazowsze]. Gdyby rząd chciał konfrontacji, to on by nie siedział tutaj, na tej sali, a siedziałby gdzie indziej¹⁰. Już mielibyśmy dzisiaj konfrontację w całym okręgu warszawskim i bardzo szybko w całej Polsce. Ale pan Seweryn Jaworski siedzi tutaj. I rząd bezwzględnie konfrontacji w tej chwili nie chce. Bo byłoby to nonsensem z jego strony, gdyby rząd szukał z nami konfrontacji. Rząd chce oczywiście jak najlepszych warunków jakiegoś współdziałania, proszę państwa, nie konfrontacji.

Teraz jeżeli chodzi o te ustawy. Nie mogę się zgodzić z panem wiceprzewodniczącym Prezydium Komisji Krajowej [Miroslawem Krupińskim], że nie może wyjść jedna ustawa i nie może wyjść druga. Bo to jest, po pierwsze, kolosalnie optymistyczne traktowanie

¹⁰ Po likwidacji strajku w Wyższej Oficerskiej Szkole Pożarnictwa został przewieziony do Komendy Stołecznej MO i po rozmowie zwolniony.

naszego ustawodawstwa i naszego prawodawstwa. Bo u nas nawet ustawy sprzeczne ze sobą wychodzą. To jest idealizm; ja na ten temat dużo bardziej czynić [*sic!*] nie będę. U nas zupełnie sprzeczne rzeczy wychodzą. A po drugie – tak nie jest, bo można wydać... Można wydać...

Z sali:

Cicho!

Siła-Nowicki:

Panie Stanisławie [Wądołowski], niechże pan mnie posłucha, to są ważne rzeczy. Bo można wydać ustawę o związkach zawodowych i można wydać ustawę nadzwyczajną o nadaniu pełnomocnictw...

Proszę państwa, rozważając te rzeczy, pamiętajmy, że w proponowanej przez nas ustawie o związkach zawodowych istnieje możliwość określonego zawieszenia strajku. Zawieszenia prawa do strajku. Nie zapominajmy o tym i nie róbmy z siebie dzieci. Tośmy sami – dzieci – tośmy sami uchwalili i to sami projektujemy. To więc trzeba dlatego [wziąć] pod rozśadek... Niemniej kwestia uchwalenia ustawy o związkach zawodowych jest zasadniczą sprawą i to musi stanąć na Komisji Krajowej. Kwestia nadzwyczajnych pełnomocnictw... Muszę się uderzyć w pierś jako ekspert prawny: państwo już powinniście ten projekt znać. Niestety, eksperci się nie postarali o to i ten projekt konkretnie będzie znany dopiero na Komisji Krajowej, i my troszkę rozmawiamy w ciemno. Musimy wiedzieć, z czym walczyć i do czego mamy się ustosunkować. Bezwzględnie jednak do tego trzeba się ustosunkować.

Dwu rzeczy więc Komisja Krajowa musi żądać, proszę państwa: ustawy o związkach zawodowych w brzmieniu przez nas proponowanym i musi się ustosunkować do projektu udzielenia rządowi nadzwyczajnych pełnomocnictw, które z jednej strony opierają się na ustawie, a z drugiej strony... Oczywiście ze względu na całość sytuacji kraju musi się związek do tego ustosunkować i przeciwko niebezpiecznym rzeczom dla związku i dla kraju rząd przestrzec, że takie i takie rzeczy... Jak będziemy wiedzieli, co tam jest w tej projektowanej ustawie, będziemy mogli powiedzieć, że my się na to kategorycznie nie zgadzamy. Nie grożąc strajkiem, tylko grożąc odmową współpracy, współdziałania. A rząd musi z nami się dogadać. Musi, bo proszę państwa, jeżeli dojdzie do ogólnej konfrontacji w Polsce, to z trzech czynników: Kościół, Solidarność i rząd na pewno zostanie tylko Kościół. A najmniejsze szanse pozostania ma rząd. Ale my też się możemy rozpaść, bo nikt z nas tutaj nie jest dostojnikiem kościelnym...

To więc, proszę państwa, musimy postawić bardzo ostro: że ta ustawa grozi takimi a takimi skutkami. To nie będzie przecież w żadnym razie w tej chwili zawieszeniem prawa do strajku. Tylko będzie udzieleniem rządowi pełnomocnictw. Musimy powiedzieć, że to jest niebezpieczne, to jest groźne, wywoła niepokój w kraju, wywoła automatyczne reakcje. To wywoła gwałtowny sprzeciw, który burzy pokój i burzy możliwość osiągnięcia jakiegokolwiek postępu gospodarczego. Twardo trzeba to postawić, żeby rząd wiedział, czym pachnie wprowadzenie takiej ustawy. My nie musimy mówić, że dążymy do konfrontacji czy do zmiany rządu. My możemy śmiało wtedy powiedzieć, że będziemy musieli pewne

rzeczy zrobić czy wypadki nas przerosną. Że to jest zarzewie niepokoju społecznego, co chcą zrobić. I przeciwko temu stanowczo protestujemy.

Jeżeli chodzi teraz o porozumienie trzech najważniejszych w kraju osób, do czego kraj przywiązuje takie ogromne znaczenie. Do tego trzeba się ustosunkować, bo przecież to było w czasie ostatniej Komisji Krajowej i obecna Komisja Krajowa do tego ustosunkować się musi. Bo kraj z tym wiąże ogromne nadzieje. Proszę państwa, tutaj trzeba powiedzieć twardo: my chcemy porozumienia narodowego, tylko postępowanie rządu nam uniemożliwia. My tego chcemy, my mówimy do całego kraju, my – Solidarność – chcemy, chcemy realizacji. Nie kłamał nasz przewodniczący, kiedy rozmawiał z dwoma innymi panami, prawdę mówił. Ale my chcemy i organizacja chce, tylko nam to uniemożliwiają. Pierwsza rzecz, którą nam uniemożliwiają: że nam nie dali środków masowego przekazu. Druga rzecz: nam uniemożliwiają, powiedzmy, w ten sposób, że nie dają nam udziału w decyzjach ważnych dla kraju i dla robotnika, dla człowieka pracy. I dopiero jak to będzie spełnione, to możemy iść do jakiejś instytucji porozumienia narodowego. Ale to trzeba twardo postawić, że my nie [odrzucaamy], my chcemy. Tak jak mówił przewodniczący. Po to poszedł, że chce. Z dobrą wolą, z upoważnienia związku...

Czy nam stwarza w tej chwili sytuację niemożliwą, niewygodną dla nas, jeżeli rząd prowizorkę [tj. prowizorium] wprowadza? Proszę państwa, przy odpowiednim nastawieniu środków masowego przekazu – bynajmniej nie! Proszę państwa, przecież to padało już tutaj: trzeba powiedzieć ludziom, że trzeba zacisnąć pasa, że nas czeka obniżenie poziomu życia. To, że mamy więcej wolności, wcale nie znaczy, że w ciągu najbliższego roku będziemy mieli więcej chleba. Mniej będziemy mieli chleba, bo z próżnego i Salomon nie należy, nie można wszystkiego wyrównać. Czy my gwałtownie chcemy na grzbiet brać odpowiedzialność, którą rząd za nas bierze? Jeżeli jest decyzja rządu wbrew naszej decyzji, to niech bierze na siebie ciężar i kłody. [A] my powiemy: takie i takie decyzje zapadają wbrew naszej woli. My się z tym nie zgadzamy, my protestujemy, my dbamy o człowieka pracy, a rząd realizuje złą reformę gospodarczą, podnosi ceny bez właściwej reformy gospodarczej. Po co my się pchamy do odpowiedzialności? My możemy tylko podkreślić, że my z takimi a takimi rzeczami się nie zgadzamy.

I wtedy, po ustosunkowaniu się do dwóch pierwszych zagadnień, to znaczy do ustawy o związkach zawodowych i do ustawy o nadzwyczajnych pełnomocnictwach dla rządu, ustosunkujemy się do tej umowy trzech panów, dostojnych panów, sprzed miesiąca. Że my chcemy, tylko na to, żebyśmy mogli współdziałać, to rząd musi nam dać środki masowego przekazu, musi zrobić przyzwoitą ustawę o związkach zawodowych, taką, jak my chcemy. Musi powstrzymać się od nadzwyczajnych pełnomocnictw, które i tak są w ustawie, a teraz doprowadzą tylko do rozdrażnienia. I musi nas doprowadzić do współdziałania w dystrybucji żywności, w zajęciu się losem człowieka pracy. I my wtedy wobec kraju i ludzi pracy zachowujemy twarz, bo stawiamy publicznie w ich imieniu postulaty, a jednocześnie – z [powodu] naszego wybiegu – zrzucamy odpowiedzialność za to, co będzie ludzi trapić, a zostało zrobione wbrew naszej woli, wbrew naszej chęci.

Zwróćmy uwagę na jedno, że w tej chwili wzięcie całej odpowiedzialności, kiedy musi się obniżyć poziom życia ludzi, wcale nie jest dla nas wygodne. A jeżeli rząd chce to zrobić, niech będzie. Takie są – uważam – rzeczy, które muszą być postawione na najbliższej Komisji.

Tokarczuk:

Ja na momencik. Są trzy osoby zapisane jeszcze. Proponuję, żeby te osoby się wypowiedziały. Po tym mamy – tak jak wnioskował kolega Bujak – przystąpić już do pracy, może już na tym etapie. Ewentualnie możemy dyskutować dalej, no nie wiem... Ale żeby już czasu nie tracić... Żeby nie wyszło tak jak wczoraj, że dyskutowaliśmy do końca, a potem nie przygotowaliśmy ostatecznego naszego stanowiska, po prostu... Proponuję więc, żeby jeszcze kolejno [przemówili]: Modzelewski, Sobieraj, Kosmowski.

Z sali:

[Jeszcze] Leszek, w sprawie tych zakładów wojskowych.

Karol Modzelewski (członek Zarządu Regionu Dolny Śląsk i Komisji Krajowej):

Proszę państwa. Pierwsze pytanie podniesione przez mecenasa Siłę-Nowickiego: czy rzeczywiście rząd chce konfrontacji? „Seweryn [Jaworski] siedzi tutaj, zamiast siedzieć na Mostowie. Jakby chcieli konfrontacji, to by go posadzili po prostu na Mokotów”.

Rzeczywiście, gdyby rząd chciał konfrontacji od razu przegranej dla siebie – w tym znaczeniu, że chciałby mieć konfrontację w warunkach, gdy jest jasne, że on dokonuje agresji wzbudzającej powszechny gniew i jednoczy naród przeciwko sobie – to tak by postąpił. Od czasu Bydgoszczy nauczyli się oni widocznie trochę lepiej przygotowywać do konfrontacji. Ponieważ policzek, który otrzymał związek – a przypominam, że incydent (bo to jest incydent: szkoła pożarnicza; incydem jest także przewiezienie Seweryna do pałacu Mostowskich, grzeczne nakarmienie tam kielbaską, wypuszczenie...), ten incydent jest tak pomyślany, aby w wirażu, którym rząd wchodzi do konfrontacji – za chwilę powiem, dlaczego – postawić związek w sytuacji maksymalnej słabości.

Związek nie jest silniejszy niż był. Związek jest słabszy niż był, dużo słabszy, i każdy działacz o tym wie. Jest słabszy, ponieważ nie ma... daleko nam do tej jedności, jaką mieliśmy w końcu marca tego roku. Z kilku powodów: zmęczenie kryzysem, zmęczenie końca kolejki.

Są ludzie, którzy mają nam za złe przeciąganie się tego stanu rzeczy i wobec tego chcą od nas: „a zgódźcie się”... Są ludzie, którzy przeciwnie, lecz z tych samych powodów – zmęczenie kryzysem, brak perspektyw, radykalizowanie polityczne – powiadają: „idźmy na maksimum, na całość, nie mamy się już na co oglądać, kończmy z nimi, stać nas na to”...

W tych warunkach związek jest oczywiście narażony na to, że zarówno każda jego akcja, jak i każde zaniechanie akcji spotka się ze sprzeciwem części jego członków, części jego zaplecza. Jest narażony na rozłamy przy odpowiedniej grze ze strony władz. I wreszcie – związek dlatego jest mniej groźny dla władz, a więc słabszy, że nie tylko wobec własnych członków, ale i wobec władz mniej wiarygodna jest groźba użycia największej jego siły. Bo raz żeśmy zagrozili i jest jasne, że nie zdecydowaliśmy się – ze względu na konsekwencje, jakimi to może grozić – na jej użycie. Dlatego jest słabością z naszej strony, jeżeli my zagrozimy tą bronią w taki sposób, że od razu będzie można pomyśleć: „grożą – nie zrobią”.

I tutaj wniosek pierwszy. Prezydium podjęło w dniu wczorajszym uchwałę, której tekst państwo znają. W tej uchwale jest sformułowanie, że zostanie przewodniczącym regionów przedstawiona sprawa strajku powszechnego.

Jeżeli w tej sprawie przewodniczący regionów (żeby nie wiem jak radykalnie mówili) nie zaproponują związkowi stanowiska, które nie będzie miększe (a prezydium ma w tej sprawie twarde stanowisko, bo to sformułowanie nie jest byle jakie, tu się byle czym nie grozi...), które nie będzie miększe, to proszę państwa, żadna Komisja Krajowa nie oddali od nas topora, jaki sami sobie na tej sali nad głową powiesimy. To jest pierwszy wniosek do przemyślenia. Ja już nie mówię o tym, że tu obecnych rozliczą członkowie w regionach, bo mogą nawet nie zdążyć.

Sprawa druga: polityki gospodarczej rządu. Można powiedzieć tak: „my się nie zgadzamy na podwyżki cen i na inne cięcia gospodarcze, kiedy nie ma reform, i my protestujemy”. Co z tego, że my tak powiemy? My sobie zaprotestujemy, a ludzie zastrajkują.

Z sali [Zbigniew Bujak?]:

Karol, bo żeśmy nie zrozumieli.

Modzelewski:

O co chodzi?

Z sali, ten sam głos:

Wróć do poprzedniego.

Z sali [Jacek Kuroń?]:

Wytłumacz to pierwsze.

Modzelewski:

To pierwsze? Mówię, że jeżeli z tego zebrania nie wyjdzie tekst zawierający stanowisko przewodniczących regionów wobec strajku powszechnego w przypadku przyjęcia ustaw – to znaczy wprowadzenia przez Sejm lub scedowania przez Sejm na rząd wprowadzenia ustawy o stanie wyjątkowym – to znaczy, że przewodniczący regionów nie podzielili radykalnego stanowiska prezydium w tej sprawie. I jeżeli Komisja Krajowa nawet uchwali nie wiadomo co, to już nie będzie wiarygodne. Jasne?

Z sali:

Jasne.

Modzelewski:

Jeżeli związek w taki sposób sięga po... zapowiada, [że] ewentualnie... Bo to przecież nie jest jeszcze proklamowanie żadnego strajku powszechnego. To jest zapowiedź, że na jakieś tam rzeczy odpowiedzią będzie strajk powszechny. Inaczej mówiąc, że na zarzycanie związku odpowiedzią będzie strajk powszechny. Jeżeli [więc] z wahaniem wyciąga się rękę po taką broń, to znaczy, że można rznąć.

Druga sprawa to jest sprawa tej polityki gospodarczej.

Owszem, można powiedzieć tylko: „My protestujemy. To rząd prowadzi antyrobotniczą politykę sprzeczną z interesami ludzi pracy. To rząd wprowadził prowizorium, to rząd – ceny, i tak dalej”. A my protestujemy, bo to nie jest powiązane z reformą gospodarczą.

Jeżeli my się ograniczymy do protestu, nic to nie pomoże. Ludzie – proszę posłuchać tego, co Rozwałak mówił – ludzie oczywiście staną. I rząd to doskonale wie. Tak samo jak my to doskonale wiemy. Ludzie staną. Pod naszym, że tak powiem, przewodem albo bez nas.

W jednej tylko sytuacji można przeprowadzić tę politykę gospodarczą. Słowo, na czym ona polega, na czym polega to prowizorium. Nie tylko ceny przecież. To jest także obciążenie przedsiębiorstw wielkimi podatkami, pozostawienie ich na własnym rozrachunku przy jednoczesnym utrzymaniu całej struktury dotychczasowego systemu zarządzania, rozdzielnictwa i uprawnień centrali. Czyli przedsiębiorstwa ze związanymi rękami, z takim narzutem do spłacenia centrali i własnym rozrachunkiem wchodzą w reformę negatywną. To znaczy bez plusów reformy każe się załogom zapłacić całe ryzyko cudzych decyzji i cały ciężar dotychczasowej sytuacji gospodarczej – przez redukcje, bankructwa, obniżki płac czy jakkolwiek każde przedsiębiorstwo to sobie rozwiąże. I jednocześnie zamierza się wprowadzić podwyżki cen, które uruchomią tak zwane parametry rynkowe. Te podwyżki cen [ministra] Krasieńskiego: za jednym rozmachem [czy] w kilku ratach – obojętne. No, proszę sobie wyobrazić, czy ludzie to ścierpią?

Przecież ludzie widzą, że związek im mówił i w sprawach ekonomicznych, i w sprawach prowokacji politycznych – stop. Nie reagujemy, nie wkłamy się w boczne konflikty, bo mamy naszą sprawę główną. Tą sprawą główną był najpierw samorząd. Z chwilą, kiedy się ta sprawa główna omsknęła jakoś tak w wyniku kompromisu, okazało się, że związek już nie może utrzymać kontroli. Tą sprawą główną, tym, w co ludzie uwierzyli, było następne porozumienie, z którego dzisiaj mamy nici.

Dzisiaj mamy nici, ponieważ rząd szansę porozumienia oczywiście swoimi projektami i posunięciami praktycznymi przekreślił. Nie da się rozważać inaczej ani pobicia [26 listopada 1981 roku przez milicjantów osób rozwieszających plakaty Solidarności] w Chorzowie, ani sprawy szkoły oficerów pożarnictwa, ani zapowiedzi [sekretarza KC PZPR Stefana] Olszowskiego, że „tak właśnie będziemy postępować”, niż w związku z tymi aktami przygotowywanymi obecnie. Dlatego że po to, żeby móc przeprowadzić to prowizorium, rząd musi zdusić związek i obezwładnić społeczeństwo, gdyby chciał być konsekwentny. Zapewne nie będzie go stać na tę konsekwencję. Ale my musimy mu pomóc w tym, aby na tę konsekwencję w żadnym wypadku nie było go stać.

Ustawa, którą zamierza się przegłosować, to nie jest oczywiście natychmiastowe wprowadzenie stanu wyjątkowego...

Z sali:

Wojennego.

Modzelewski:

Stanu wojennego, przepraszam. To jest, po pierwsze, ona się nie nazywa „stan wojenny”, [ale] na tym praktycznie polega. Według niedyskrecji, jakimi dysponujemy, ze źródeł sej-

mowych w naszym regionie (to nie są sprawdzone jeszcze rzeczy, to znaczy nie sprawdzone formalnie, ale od postów), zawiera ona tak: zakaz strajków, militaryzację gospodarki, polecenie przełożonego to jest rozkaz, odpowiedzialność przed sądami wojskowymi za niewykonanie takiego rozkazu, zakaz poruszania się po kraju poza miejscem stałego zameldowania bez specjalnego zezwolenia.

Z sali:

Zakaz zgromadzeń.

Modzelewski:

Zakaz zgromadzeń jeszcze do tego. No, proszę państwa, niechby był tylko zakaz strajków. Proszę sobie wyobrazić w obecnej sytuacji w Polsce jego realizację bez użycia przemocy. Przecież to jest konfrontacja, jeżeli się chce realizować ten scenariusz. A nie można realizować jego części ekonomicznej, nie realizując jego części policyjnej. I dlatego związek stanął pod ścianą. Proszę jeszcze zwrócić uwagę na to, że po raz drugi, co najmniej drugi, stół rokowań został przekształcony w zielony stolik służący do oszukiwania społeczeństwa.

Dlatego, po pierwsze, musimy ten błąd, sądzę, tutaj naprawić. Musimy odpowiedzieć wyraźnie: my [z byle powodu] nie robimy natychmiast strajku powszechnego ani nie wszystkie z naszych celów realizujemy strajkiem powszechnym. [Ale] strajkiem powszechnym musimy odpowiedzieć, jak się nam toporem wymachuje nad głową. Ten strajk powszechny nie musi być bezterminowy. Bo to był błąd w Bydgoszczy z bezterminowym strajkiem powszechnym. W dzisiejszych czasach to każdy rozumie. Następnie: on może być selektywny, o tym była zresztą wczoraj mowa. Ale ta broń... Nie może być wątpliwości, że związek zdecyduje się na jej użycie, zanim zostanie zarżnięty. Bo tu już nie chodzi o to, czy uzyskamy ukaranie tego winnego, czy nieukaranie jakiegoś winnego. Chodzi o istnienie związku.

Po drugie, musimy powiedzieć to, czego z naszej strony brakowało w negocjacjach, to jest: jasne określenie minimum. Takiego minimum, poniżej którego żadne porozumienie nie ma sensu, bo jest tylko wejściem w złotą klatkę, w złotą niewolę. [Chodzi o] takie [nasze] minimum. Bo dla rządu jest jeszcze inne... ewentualnie byłoby do przyjęcia inne rozwiązanie zamiast stanu wojennego. Takie „porozumienie narodowe”, gdy Solidarność wchodzi do FJN-u [Frontu Jedności Narodu]. Dyskredytuje się, jednocześnie nic się nie zmienia w systemie rządzenia. To znaczy mamy tylko wejście związku w fasadę systemu. I w rezultacie tego, kiedy związek ma właściwie związane ręce, wówczas, owszem, można posługiwać się środkami nadzwyczajnymi przeciwko dzikim strajkom. Bo związek jako związany z tym FJN-em już nic nie [może]. Tej złotej klatki oczywiście, było jasne, my nie przyjmujemy. Błędem było to, żeśmy nie określili od początku – Komisja Krajowa – tego minimum.

Minimum to jest taka zmiana w instytucjach państwowych, takie zmiany demokratyczne, żeby te instytucje po prostu mogły funkcjonować. Przecież to nie jest żądza władzy politycznej, tylko sprawa przeżycia. Zwyczajnie – przeżycia narodu, jeżeli to państwo nie będzie mogło nadal funkcjonować... A ono nie może funkcjonować jako totalitarnie zorganizowane państwo w warunkach, kiedy społeczeństwo jest demokratycznie

zorganizowane. I kiedy ten aparat jest totalitarny, ale bezsilny, niczym nie rządzi. Dlatego tu nie wystarczą rady szczebla podstawowego. Dlatego potrzebne są rady szczebla wojewódzkiego, bo to jest właśnie aparat władzy terytorialnej. I tu się zdobywa nad nim społeczną, demokratyczną kontrolę. Zwierzchność nawet, nie [tylko] kontrolę. Bo tu nie ma co się ograniczać w tym punkcie. Dlatego konieczna jest kontrola społeczna nad gospodarką, wraz ze Społeczną Radą Gospodarki Narodowej, którą myśmy powinni traktować jako przedsiónek do autentycznego parlamentarnego przedstawicielstwa świata pracy, które będzie współtworzyć i kontrolować politykę społeczno-gospodarczą państwa. Bez tego żadna kontrola nie ma sensu ani żaden samorząd z naszego punktu widzenia nie ma sensu. I dlatego konieczna jest reforma gospodarcza – taka, jak myśmy mówili: przekreślenie prowizorium i [wtedy] ta reforma...

My z góry o te sprawy, oprócz stanu wojennego, w strajku generalnym stawać nie powinniśmy – uważam. Z góry. Myśmy powinni postawić to jako pułap minimum, na gruncie którego może być nie wojna, lecz porozumienie z władzami. I teraz tak. Jeżeli te postulaty nie zostaną zaakceptowane, to wówczas – uważam – [następuje] najkorzystniejsza dla nas – z punktu widzenia szans strajkowej mobilizacji narodu – sytuacja. Wchodzimy w stycznię, przychodzi prowizorium wbrew naszemu stanowisku minimum i wtedy my powiadamy: „nie!”, poparte strajkiem o wszystkie te sprawy. I poparte strajkiem, proszę państwa, także w obronie bezpieczeństwa związku. Dlatego można było w ogóle myśleć o desancie w szkole pożarniczej, dlatego można było w ogóle wprowadzić do Sejmu ten projekt ustaw nadzwyczajnych, że poprzednio związek – hamując się na tych bocznych frontach – nie reagował na prowokacje i zaczepki. Drobne, tu i ówdzie: a to pobili, a to przymknęli i puścili, a to śledztwo prokuratorskie wytoczyli. Przecież dla władzy to są oczywiście prowokacje, które zmierzały do wciągnięcia nas na boku w konflikt, a jednocześnie oni łapią teren i tego terenu nie puszcza, z niego przechodzą dalej. Aż w pewnym momencie – według ich nauki, że tak powiem – zaczęło się marzyć, że przejdzie ta ilość w jakość.

No więc my po prostu musimy zrobić dwie rzeczy. Po pierwsze, musimy im powiedzieć, że bój to będzie ich ostatni – i to jest sprawa tego strajku, którego tu odpuścić... groźby strajku, jeżeli nastąpi ten stan wyjątkowy, której tu odpuścić nie wolno – i to musi być w uchwale. I drugie, musimy wytłumaczyć, na czym polega nasza polityka...

Andrzej Sobieraj:

Karol, ale jak mówisz „bój ostatni”, to głośno, bo tak to cicho powiedziałeś.

Modzelewski:

Widzę, że dosłyszałeś. Masz ucho na to wyostrzone.

Sobieraj:

Bo nie wiedziałem, o jaki bój tu chodzi.

Modzelewski:

...na czym polega nasza polityka. I to powinno zawierać to minimum właśnie, to powinna zawierać uchwała.

Z sali:

Oczywiście.

Modzelewski:

Dziękuję.

Wałęsa:

Speszyłeś mi Karola.

Tokarczuk:

Sobieraj.

Andrzej Sobieraj (przewodniczący Zarządu Regionu Ziemia Radomska, członek Komisji Krajowej):

Ja tak bojowo nie będę mówił, ale sprawa, proszę państwa, jest bardzo ważna, mianowicie studenci. Proszę państwa, nie możemy zostawić studentów, mając na uwadze doświadczenia roku 1968, samych. Dotychczas my jako Krajowa Komisja, z wyjątkiem jednej maleńkiej uchwały, którą z trudem przeforsowałem w godzinach bardzo już późnych na ostatniej Krajowej Komisji, nie zrobiliśmy nic w tym kierunku. Proszę państwa, a to nabiera coraz szerszych kształtów. Zaś wydarzenia wczorajsze w Warszawie potwierdziły, że jednak projekt ustawy o szkolnictwie wyższym musi uzyskać poparcie społeczne. Społeczeństwa już nie akademickiego, nie tego świata postępowego, tylko właśnie robotników.

Nie możemy zostawić konfliktu w radomskiej WSI również tak sobie, żeby życie pokazało i wyłoniło ten finał końcowy dla tego konfliktu. My musimy zająć tutaj jakieś stanowisko, musimy! Czy to w formie uchwały – ale nie uchwały, która spotęguje [tylko] zbiór naszych uchwał, ale coś, co temu rządowi przemówi do tego ich rozumu. Musi być coś wydane przez nas. I tu mam szeroki apel o poparcie społeczeństwa akademickiego w ich obecnym dążeniu do prawdziwej samorządności na uczelniach, w szkołach wyższych. Bo ty się, Lechu, nie będziesz tu cieszył, żeś skończył wyższe studia w Radomiu. I stąd mój apel w temacie wyższych uczelni. Nie tylko WSI radomskiej, ale również i tam, gdzie Seweryn [Jaworski] brał czynny udział, to jest w szkole warszawskiej. Kto wie, czy użycie sił MSW w tłumieniu właśnie tego strajku nie jest dowodem – zresztą to zostało oficjalnie w dniu wczorajszym powiedziane przez Olszowskiego – nie jest przedstawieniem..., jak gdyby demonstracją sił. O, bo tak to należy określić. I tu nie byłbym takim optymistą jak pan Siła-Nowicki, [który] stwierdził, że nie musimy się bać konfrontacji. To znaczy my się nie boimy, przynajmniej taki duch posiadamy. W każdym bądź razie obecne dążenia władzy idą właśnie w kierunku konfrontacji.

Należy tu zwrócić uwagę na drugi aspekt sprawy, mianowicie na prowadzone [od kwietnia 1981 roku] negocjacje w Radomiu [o naprawienie krzywd popełnionych w czasie i w następstwie pacyfikacji protestu w czerwcu 1976 roku]. Na negocjacje, na których był obecny również [wiceprzewodniczący Solidarności] Stasiak Wądołowski. Proszę państwa, już styl prowadzonych u nas negocjacji przez stronę rządową świadczy również o tym, że oni określili sobie właśnie ten pułap, o którym Karol [Modzelewski] powiedział, żebyśmy i my

[sobie taki] określili, poniżej którego nie zejdziemy. Oni również to zrobili, określili ten pułap i stwierdzają, że poniżej niego nie schodzą. Mianowicie cała dyskusja, jaka była prowadzona w tematach ogólnych – czy to w finansach, czy o przywróceniu do pracy – ich nie interesowała. Owszem, była to forma przetargowa, były kilkugodzinne dyskusje, ale tym niemniej one w jakimś stopniu zostały później załatwione. Jednakże gdy doszło do momentu jednego z najważniejszych, mianowicie [gdy] pozostał temat budynków [wznoszonych dla] KWMO¹¹... Ktoś by zarzucił: po co walczyć dla budynku, są ambitniejsze cele. Zgadzam się! Ale, panowie, to nie na tym tle zostały zerwane radomskie rozmowy. Pozostały tematy inne – rozliczenie winnych za wydarzenia 1976 roku. I oni właśnie, widząc ten aspekt sprawy, postanowili jednostronnie zakończyć rozmowy. I to w jaki sposób! Po prostu przyjechali z przygotowanym końcowym referatem. Ich nie obchodziło, ile my będziemy godzin dyskutowali, ich nie obchodziło, na jakie my ustępstwa pójdziemy. Oni po prostu przyjechali ze stwierdzeniem – „nie”, bo to jest kres, co na dzień dzisiejszy wam dać możemy. I tak to właśnie zostało uwidocznione u nas. W takiej sytuacji, o jakiej opowiedział Grzesiek [Palka] i inni koledzy, którzy prowadzą negocjacje ze stroną rządową na szczeblach najwyższych, gdzie [występuje] nawet sam ten najwyższy garnitur z Bafią na czele – to jest w ogóle kompromitacja rozmów. Ale już nie w tym rzecz, bo niech rozmawia i sprzątaczką Bafii, byleby nam załatwiła sprawę.

Najważniejsza jest inna sprawa. Czy w tej sytuacji, jaka istnieje, winniśmy w ogóle dalej prowadzić negocjacje? Otóż ja uważam, że nie. Jest chyba jedna bardzo ważna sprawa. Jeśli my damy te przykłady prowadzonych negocjacji, zrywania tych negocjacji, formę, to, co my przedstawialiśmy, to, co rząd odrzucał, że rząd wszystko na „nie” – chociaż te goebbelsowskie środki masowego przekazu mówią, że to my właśnie wszystko robimy na „nie” – żebyśmy my po przedstawieniu tego społeczeństwu przerwali [negocjacje]. W ten sposób określilibyśmy, że ten rząd jest niewiarygodny, że nie jest tym rządem, któremu można w ogóle zaufać i z którym można w ogóle o czymkolwiek rozmawiać. Bo on – któryś z kolegów powiedział – wycofuje się nawet z wcześniejszych ustaleń z miesiąca maja. No, to parodia... Właśnie takie przykłady [trzeba podać i] powiedzieć: zrywamy rozmowy, bo nie ma z kim w ogóle rozmawiać. I jednoznacznie, właśnie na bazie tego, od razu powiedzieć odnośnie Frontu Porozumienia Narodowego. Tu się zgadzam z panem Siłą-Nowickim. Tymi przykładami powiedzieć, że my chcieliśmy, my robiliśmy wszystko, ale w takiej sytuacji nie ma mowy o jakimkolwiek Froncie Porozumienia Narodowego. Bo być w tym Froncie Porozumienia Narodowego marionetką, to nam się nie opłaci. I my musimy zerwać, ale odpowiednio to udokumentować, odpowiednio przedstawić, żeby społeczeństwo zrozumiało. To będzie cios na pewno polityczny – bo to jest duży aspekt sprawy – jeżeli my nie tylko zerwiemy rozmowy, ale i na bazie tego powiemy jednocześnie, że rząd jest niewiarygodny. Tak, zgoda – to będzie na pewno polityczna sprawa. W dniu wczorajszym pan [Andrzej] Stelmachowski dał nawet dalej idącą propozycję, nad którą warto się również zastanowić. Żeby wyjść do społeczeństwa w sytuacji takiej, kiedy rząd stanie się niewiarygodny, [z wezwaniem,] żeby to społeczeństwo się określiło... To partyjne społeczeństwo... Żeby w pewnym sensie dać [mu] do zrozumienia, żeby poszło na to, co Komitet Centralny

¹¹ Radomska Solidarność żądała, by przeznaczyć je dla służby zdrowia.

uzgodnił [wzywając w uchwale IV plenum 18 października 1981 roku partyjnych członków Solidarności do wystąpienia ze związku]: po czyjej stronie wy jesteście? Zobaczycie, że tu również zyskamy duże pole. Ja to mimochodem usłyszałem w dniu wczorajszym, ale popieram propozycję pana Stelmachowskiego odnośnie apelu do partyjnych.

Teraz sprawa konfrontacji, której się boimy. Proszę państwa, przecież to, co w tej chwili wszyscy mówimy, to jest jednak próba tej konfrontacji. Miałem nadzieję, skrytą nadzieję, i dlatego dążyłem do takiego spotkania, że dzień dzisiejszy przyniesie nam pewne wskazówki, jakieś uzgodnienia wspólne, co winniśmy [robić] w sytuacji krytycznej – tej konfrontacji, w którą nas wrobi rząd. A on nas będzie wrabiał. Nie łudźmy się, że on tego nie chce. On nas będzie wrabiał i on nas wrobi. Jakie my wówczas zajmiemy stanowisko? To jest bardzo ważne. Dotychczas stwierdzamy tylko jedno: że idziemy do zakładów pracy. I nic [ponadto]. Dobrze, ale co dalej? Właśnie to miało przynieść nasze spotkanie. A przecież ten wczorajszy moment, kiedy potrafiiono na godzinę czasu wyłączyć w Warszawie telefony. Telefony, panowie! Czyli Warszawa mogłaby się spalić, ich to nie interesuje. Tak było wczoraj w Warszawie. Tak, Zbyszek [do Bujaka]? I teraz słuchajcie! My nie mamy rozpracowanej łączności. My nie mamy rozpracowanej w ogóle strategii naszego działania. A to jest bardzo ważne.

Pokazujesz czas [do Tokarczuka]; dobrze, będę się streszczał. W każdym razie o to mi między innymi chodziło. Czyli sprawa WSI, w ogóle studentów, rozmów, że nie wchodzimy w żadne porozumienia, oczywiście.

Teraz jeszcze bardzo ważna sprawa: musimy przedstawić społeczeństwu, dokąd zmierzamy. Jaki jest nasz... – tu się z Karolem [Modzelewskim] zgadzam w zupełności – jaka jest kreska, poza którą nie mamy prawa zejść. Bo jeżeli my tego nie zrobimy, Waszkiewicz? [nie], Rozwałak, przepraszam, to powiedział i ja to potwierdzam, że za nas robi to społeczeństwo, i to będzie gorsze dla nas wszystkich. Bo będziemy odpowiedzialni za te nieskoordynowane działania społeczeństwa, które powiedziało, że jeżeli jeszcze raz padnie jakakolwiek podwyżka, ono ruszy. Czy to nam się podoba – Lechowi i nam wszystkim – czy nie. Społeczeństwo dłużej tego nie wytrzyma, bo nie wytrzymają rodzice, którzy mają dzieci, nie wytrzymają matki, dlatego że nie będą patrzeć na to, jak dzieciom puchną brzuchy. A to nam grozi.

I tu się z panem Siłą-Nowickim nie zgadzam. Musimy w tym przypadku zająć stanowisko, musimy pokazać społeczeństwu, poza którą kreskę my już nie zejdziemy. I w takiej sytuacji pokazać rządowi – mimo że on jest jeszcze niewiarygodny – o co nam się rozchodzi. I niestety – określić miejsce konfrontacji. Nie oni, a my winniśmy je określić, ale znając wcześniej... mając pewną strategię, o którą nam się tu wszystkim chyba rozchodzi i o której winniśmy dyskutować. Dziękuję.

Patrycjusz Kosmowski (przewodniczący Zarządu Regionu Podbeskidzie, członek Komisji Krajowej):

Proszę państwa, chciałbym przypomnieć wszystkim, że przez półtora roku rozbudzaliśmy nadzieje społeczeństwa. Rozbudził te nadzieje Sierpień – a wcześniej jeszcze inne lata – i my jako działacze związkowi, jako założyciele Solidarności, ciągle żeśmy temu społeczeństwu pokazywali, jak to jest w tym systemie źle, jak niedobrze. Roztaczaliśmy przed

nim jakieś wizje, mniej czy bardziej wiarygodne. I w tej chwili stoimy przed wielkim problemem, że te wizje jakoś się nie spełniają, a Solidarność nie ma w tym momencie recepty, jak z tej trudnej sytuacji wyjść. Nie ma również recepty, co robić w wypadku konfrontacji, do której prędzej czy później – jak Leszek powiedział – dojdzie. I ja też w to wierzę, że dojdzie. Po drugie, my tu sobie dobrze obradujemy, a nie zastanawiamy się – jak tutaj właśnie powiedziałeś – że w kolejkach stoją ludzie, i że oni, jeżeli my nie zajmimy twardego stanowiska, mogą za nas to zrobić, może w o wiele gorszy sposób. Ale to głównie odbija się na działaczach.

Sprawa zaufania do rządu. Proszę państwa, żadna reforma gospodarcza nie uda się w tym systemie, dopóki rząd nie będzie wiarygodny i nie będzie miał zaufania. Bo społeczeństwo jest gotowe zacisnąć pasa o jeszcze jedną dziurkę, ale tylko mając jakiś realny program, mając jakieś zaufanie do władz, które będą ten program realizować, i tylko w tym wypadku może ten program poprzeć. W żadnym innym wypadku nie poprze, żadna reforma gospodarcza się nie uda i będzie to tylko przedłużanie agonii, która może dojść do takich skutków, o jakich właśnie przed chwilą mówiłeś. Musimy się zastanowić. Wszyscy się teraz zastanawiamy, jak usunąć skutki albo przyczyny. Wiadomo, w czym tkwi przyczyna tego istniejącego zła; my chcemy teraz usuwać skutki, a nie zastanawiamy się nad usuwaniem przyczyn. Oddalamy to jakby w przyszłość. To jest, uważam, złe, bo sytuacja zaczyna nas gonić. W o wiele lepszej sytuacji byliśmy parę miesięcy temu.

Sprawa nadchodzących wyborów. Wszyscy tu emocjonujemy się nadchodzącymi wyborami, jakby te wybory rozwiązały cały nasz problem. Uważam, że kraj w tym momencie nie jest przygotowany do wyborów. Dlaczego nie jest przygotowany? Bo my nie wiemy, kogo będziemy wybierać. Wybory się nam narzuca na krótki termin. My chcemy tutaj już w lutym wybierać wielkie rady narodowe, wielkie rady wojewódzkie, a nie zastanawiamy się, kogo wybierać [ani] jak oni będą realizować nasz program. My chcemy w dalszym ciągu głosować na nazwiska. I będzie tak, jak z działaczami związkowymi, że wielu ludzi będzie na początku pięknie mówiło, jednak się poślizgną i za pół roku czy za rok zorientujemy się, że to jednak nie są ci ludzie, że to jednak nie jest to i że jest coraz gorzej. Jest więc problem do zastanowienia się, czy w tej chwili Polska jest przygotowana do wyborów. Do takich wyborów, o jakich nam się marzy, i takich nadziei pokładanych w wybranych ludziach, żeby oni naprawdę zaczęli wyprowadzać ten kraj z kryzysu.

Proszę państwa, teraz chciałbym powiedzieć o konfrontacji. Konfrontacja – jak Leszek powiedział – czy się nam podoba, czy nie, do niej dojdzie. Teraz trzeba się zastanowić, czy my w ogóle jako kraj jesteśmy do tej konfrontacji przygotowani. Strajk generalny można wywołać w ciągu pół godziny, to jest żaden problem, albo my znajdziemy pretekst, albo rząd znajdzie pretekst. Co dalej? Strajkujemy, ale o co i co my mamy tym strajkiem osiągnąć? Tego jeszcze nikt nie powiedział. Co chcemy osiągnąć? Mam pewne propozycje.

Tu już Jasiu Rulewski wspomniał o tak zwanym rządzie tymczasowym, tylko ja bym go nie widział takiego, jaki on przedstawił. Można by było realizować w tym momencie program rządu tymczasowego. Byłby to rząd, który by ewentualnie wszedł w zastępstwie tego już istniejącego. [Nie] w tej chwili, ale w momencie zaistniałej konfrontacji, bo po wyjściu z tej konfrontacji byłaby oczywiście próżnia, którą należałoby wypełnić na jakiś

okres. Oczywiście nie mógłby to być jeszcze rząd wybierany w wolnych, demokratycznych wyborach, bo na to nas jeszcze nie stać, ale musiałby to być rząd mianowany. Mianowany nie na zasadzie znowu klucza, że 55 procent dajemy PZPR czy tam jakiemuś ZSL, tylko na zasadzie tego, że byłby to rząd ludzi cieszących się pełnym autorytetem i zaufaniem w społeczeństwie. Trzeba by było w tym momencie zacząć się zastanawiać, jacy to by byli ludzie i jakie by mieli do spełnienia zadania. Uważam, że to już ostatni dzwonek, ażeby związek nad tymi problemami zaczął się zastanawiać. Bo nad tym problemem prędzej czy później będziemy się musieli zastanawiać. I szkoda nam czasu na inne sprawy, bo jak już powiedziałem, konfrontacja jest nieunikniona...

[niezarejestrowany fragment obrad]

Tokarczuk:

[brak początku wystąpienia] Taki był mój wniosek, żeby się nad tym zastanowić. Ja bym miał taką propozycję. Mówiłem na początku, że po tej dyskusji przewodniczący [Lech Wałęsa] będzie miał prawo głosu, ale króciutko, dwie minuty. Sygnalizowanych tu było szereg problemów, wiążących się z tym, co tu mówiliśmy. Proponuję więc: po zabraniu głosu [przez Wałęsę] puszczamy tę grupę redakcyjną, robimy króciutką przerwę na pomyślenie (lub nie) i dyskutujemy te problemy. I wtedy, nawet jeżeli [pojawia się] jakaś rzecz, która musi być uwzględniona w tym naszym stanowisku, to prześlemy to stanowisko, ale nie przeszkadzajmy tej grupie roboczej, bo naprawdę nie zdążymy. Kilka osób wyjdzie, [ale] po zostanie większość osób i można będzie dyskutować. Nawet jeżeli coś wyniknie, to będzie można pójść do tej sali i powiedzieć, jak przegłosujemy. Naprawdę, nie róbmy problemu.

[nierozpoznane głosy z sali]

Tokarczuk:

Bo robimy sobie tok. Później będziemy mieli do siebie wzajemnie pretensje. Naprawdę wszyscy pozostaniemy i będziemy o tym mówić. Wszyscy prawie zostaną, przecież kilka osób tylko pójdzie, więc proponuję...

Z sali:

Sam mówisz dłużej niż dwie minuty.

Tokarczuk:

No dobrze, ale...

Wałęsa:

Proszę panów. W związku z tym, że rząd i premier zwrócił się o nadzwyczajne środki, to ja, jako przewodniczący, proponuję wam – i to postawię na Komisji Krajowej – wnoszę o podobną sytuację, wnoszę o nadzwyczajne upoważnienie dla Prezydium Komisji Krajowej. W innym przypadku zastanówcie się [niezrozumiałe słowa]. Dziękuję. Wybierajcie drugiego człowieka. Nie jestem w stanie prowadzić tego związku.

Z sali:

Ale o czym mówisz?

Wałęsa:

Powtarzam. Nie, nie rozumiecie mnie. Ponieważ musimy scementować właśnie. Ja nie mówię, że łamię demokrację i inne rzeczy... Oczywiście wyszczególnimy inne przypadki. Ale ten związek będzie gadułowiał, gadułowiał i nic nie wygaduluje. Trzeba się zabrać za robotę, opracować strajk generalny, oczywiście trzeba opracować ordynacje wyborcze i inne... I jeśli ja chcę robić i wygrywać, to muszę to zrobić, bo nie mam innego wyboru. Dlatego też nie podejmę innych decyzji jak te. Powtarzam, zgłaszam to na Komisji Krajowej. Możesz się śmiać. Ja nie przyszedłem na przegrywanie, tylko na zwyciężanie. Nie na uznanie od ciebie czy drugiego, tylko żeby [wraz] ze społeczeństwem wygrać. I dlatego będę wnosił na Krajowej Komisji o nadzwyczajne środki dla prezydium, powiem, w jakich tematach... W innym przypadku bierzcie, prowadźcie, [proszę] uprzejmie... Ja nie jestem tchórzem, ale nie jestem w stanie wygrać [niezrozumiałe słowa]. Dziękuję.

[niezrozumiałe głosy]

Adam Matuszczak (1941–1995, przewodniczący Komisji Zakładowej Solidarności WSK Rzeszów)

Jestem przewodniczącym komisji WSK Rzeszów. Niektórym się to kojarzy, że to jest zakład zbrojeniowy. Chciałem z bardzo niskiego pułapu powiedzieć coś na ten temat i wprowadzić jedną rzecz, o której dzisiaj nie słyszałem (może w pierwszej części to było?).

Chciałem zwrócić uwagę na dwie rzeczy. Są dwie ustawy rządowe bardzo istotne w tej chwili, tak mi się wydaje, dla całości sprawy. Jedna, o której mówi się w tej chwili – o środkach nadzwyczajnych. Druga ustawa, która jest na końcu [zbioru projektów rządu przesłanych związkom zawodowym do konsultacji] – prowizorium. Jest to ustawa o wprowadzeniu reformy gospodarczej. [Jest tam] takie jedno piękne zdanie. Nie wiem, czy wszyscy wiedzą, że sto kilka zakładów zostało o tym poinformowanych [słowa niezrozumiałe]. Rozumiem, że jasno sobie wszyscy zdajemy [sprawę], że to jest wielka lipa, to co jest w środku tych okładek, które zostały skierowane do Krajowej Komisji. Chcę zwrócić uwagę na taką rzecz. Tu się mówi wiele o konfrontacji. Powiem, co ja domniemywam... Nie ja, [ale] moja komisja zakładowa: że rządowi wcale nie zależy na konfrontacji, chociaż nie sądzę, że nie należy nam się do tego przygotowywać. Wystarczy ta ustawa. Różnica między tą ustawą a stanem wyjątkowym jest taka jak między dżumą a trędą. Proszę państwa, sprawa wygląda tak: na zasadzie tego, że rząd się zwróci o specjalne pełnomocnictwa do spraw wyjątkowych – typu takiego jak sądy wojskowe i tak dalej – Sejm to odrzuci ze względu na atmosferę. Ale to, co przyjmie, to do tego wcale nie trzeba żadnego prowizorium. To jest jedno zdanie, może je przeczytam, co tu jest zawarte.

„Dla uzasadnienia sprawnego przeprowadzenia reformy gospodarczej na zasadach określonych ustawami o przedsiębiorstwach państwowych i o samorządzie załogi przedsiębiorstwa państwowego upoważnia się Radę Ministrów do regulowania – do czasu uchwa-

lenia i wejścia w życie ustaw przewidzianych w artykule 51 ustawy o przedsiębiorstwach państwowych – spraw gospodarki narodowej w drodze rozporządzeń zgodnych z zaakceptowanymi przez Sejm kierunkami reformy gospodarczej”.

Proszę zwrócić uwagę, że tu jest powoływanie się na ustawę o przedsiębiorstwie państwowym i samorządzie załogi, która jest kompromisowa. A na zasadzie tego rząd może sobie wprowadzić wszystko, co będzie chciał i jak będzie chciał. I chciałem zwrócić uwagę, że w tej chwili po zjednoczeniach, które mają być rozwiązane, tworzy się propozycje zrobienia obligatoryjnych zrzeszeń dla różnych zakładów. Ja osobiście podpisałem teleks do Komisji Krajowej, z którego wynika, że tych przedsiębiorstw, o których jest mowa, specjalnych – one wcale nie muszą być wojskowe – ma być czterysta. Mamy przeciętnie [niezrozumiałe słowa]. To było omawiane na ostatnim plenum [KC PZPR]. Proszę państwa. Tak jak powiedziałem, jest to różnica między dżumą a cholera.

Chciałem zwrócić uwagę na jeszcze jedną rzecz: w co się wmotał związek. Związek popierał samorzady i jest, powiedzmy, ojcem chrzestnym samorządów. Przez te pół roku samorzady – które są wizytówką związku, czy chcemy, czy nie chcemy – mają w tym systemie ręce związane do tyłu i zakneblowaną gębę. Mogą uchwalać wywożenie śmieci z zakładu względnie podział zysku, który kapnie z góry. Proszę zauważyć deprecjację przez ten czas słowa „samorząd”. Nie chcę się już powoływać. Goździk, znany [Lechośław] Goździk z 1956 roku, powiedział, dlaczego samorzady zostały załatwione. I z tym się zwracam do części Krajowej Komisji, do przewodniczących regionów. Z bardzo poważną sprawą. Ja to widzę z dołu. Społeczeństwo musi wiedzieć, za co stanie [w strajku]. Dlatego musi być przedstawiane czarno na białym, co robi z nami rząd i [niezrozumiałe słowa] po tym wszystkim, co zostanie uchwalone. Społeczeństwo na pewno stanie, ale dobrze by było, żeby nie stanęło z nakazu odgórnego, tylko żeby stanęło z własnych uczuć, z własnej woli. Dobrze, żeby się zbiegły: nakaz z tą wolą społeczeństwa.

Chcę stwierdzić, że społeczeństwo akurat w tym momencie – przynajmniej w regionie rzeszowskim, mam prawo to powiedzieć – jest już dostatecznie skłócone. Chodzi o sprawę chłop – robotnik. I w tej chwili wszystko musi być zrobione – nie wiem, czy na tej sali, czy 9 [grudnia] – żeby społeczeństwo miało czarno na białym, jak jest robione w konia właśnie przez rząd, w perfidny sposób.

I chciałem powiedzieć, że w tej chwili, tak jak przedstawia się sprawa obligatoryjnych zrzeszeń oraz system gospodarki nakazowej, to jest gorszy centralizm [niż centralizm demokratyczny]; to już przymiotnik „demokratyczny” do tego się nie stosuje. Chcę stwierdzić, że jeżeli ten system przez pół roku będzie równocześnie działał w środkach masowego przekazu, które będą dalej ogłupiać ludzi, to związek za pół roku obudzi się z ręką w nocniku.

Chciałem powiedzieć, że te grupy operacyjne, które zostały rzucone po miastach i do zakładów pracy [wojskowe Terenowe Grupy Operacyjne uprawnione do kontroli i doraźnych interwencji], zachowują się w sposób bardzo kulturalny i bardzo grzeczny. Rozmawiają również ze związkiem. To są bardzo kulturalni ludzie, niemniej wyczuliśmy z rozmowy (nagrania nie mamy, nie stosujemy tego), że tu chodzi o jedną rzecz: zbadać atmosferę w zakładach w celu wprowadzenia wojskowej... nie [dosłownie] systemu wojskowego, ale nie różniącego się niczym od wojskowego. Na zasadzie tej ustawy, tej właśnie, która

jest na ostatniej stronie tego, co na sześć dni do konsultacji zostało przesłane, w sprawie uzgodnienia... Ja tyle, dziękuję.

[wymiana zdań na temat udzielenia głosu Sewerynowi Jaworskiemu]

Seweryn Jaworski (wiceprzewodniczący Zarządu Regionu Mazowsze):

Chciałem powiedzieć kilka ważnych słów, więc bardzo proszę o wystuchanie mnie.

Pierwsza sprawa. Uważam, że jak tu nie będą podjęte radykalne decyzje, stanowcze, to w takim wypadku grozi to związkowi poważnymi konsekwencjami. Jestem zachrypnięty i długo mówić nie będę. Ale muszę powiedzieć otwarcie, że na zakładach pracy ludzie mówią już o nas w ten sposób, że właściwie nie wiadomo, po co istnieją wszystkie instancje związkowe, że właściwie zupełnie co innego myślą ludzie w zakładach pracy aniżeli tutaj, że właściwie niewiele związek ostatnio zrobił praktycznego. My czekamy, tylko nie wiadomo na co, i tracimy entuzjazm ludzki, tracimy go przez [niezrozumiałe słowa] wszelkich do pracy. Również jeżeli długo tak będzie trwać, tym mniejszą wiarygodnością będzie cieszyć się Komisja Krajowa i zarządy regionów podobnie. Nie możemy sobie pozwolić na to, żebyśmy byli fikcją. I dlatego tutaj, na tym dzisiejszym zebraniu, już musi być podjęte stanowcze działanie. Działanie musi polegać na tym, że jednoznacznie określić musimy, że w razie wprowadzenia takiej ustawy o zakazie strajku, o stanie wyjątkowym, natychmiast przystąpimy do strajku, do strajku generalnego. Będzie to moment podjęcia tego strajku. Po prostu innej drogi nie ma. To jest pierwsza sprawa.

Druga sprawa. Miałem do czynienia z milicją. Miałem [z nią] do czynienia, jak byłem w tej wyższej szkole oficerów pożarnictwa, [a] również i wewnątrz gmachu tej milicji stołecznej. I muszę wam powiedzieć, że ci ludzie wyraźnie dawali nam do zrozumienia, że nasze stanowcze stanowisko dopiero w ich oczach stawia nas jako poważnych ludzi, a te wszystkie nasze działania, takie kunktatorskie, stawiają nas w ich oczach jako błaznów najzwyczajniej. Oni uważają w ten sposób, że myśmy do tej pory słuszne cele żądali, ale mało stanowczo. To jest widoczne we wszystkich ich rozumowaniach. Traktowali mnie naprawdę w sposób autentycznie poważny, również autentycznie z godnością. Również wiele nieoficjalnych rozmów miało miejsce, o których tu dzisiaj nie będę mówił. Ale wszyscy ci ludzie uważają, że zbrodnie, które zostały popełnione w poprzednim okresie, mogą się bardzo łatwo powtórzyć, jeżeli my nie będziemy stanowczy i stanowczo nie będziemy żądać tego, żeby wypełniono te zobowiązania rządu, które zostały podjęte. Te zobowiązania muszą zostać spełnione. Jeżeli nie zostaną spełnione, to strajk generalny musi być autentyczny, nie taki, że tylko będziemy nim grozić.

Lechu musi o tym też pamiętać. Drugi raz tego, co w marcu, nie masz prawa zrobić. Bo ja ci głowę utnę albo utną ci hutnicy. Ja ci to mówię szczerze i otwarcie: ja to zrobię i żebyś nie uważał, że to jest groźba czcza. Pamiętaj! Ja słowa dotrzymuję i jeżeli ja tego nie zrobię i zginę, wielu innych ci to zrobi, więc nie licz tutaj na to, że się wymigasz. Ja ci to mówię otwarcie, ponieważ wiem o tym doskonale, że często wahałeś się i niestety często nie wierzyłeś w ludzi. W ludzi trzeba wierzyć.

Poza tym powiem jeszcze jedno: w tej chwili musimy walczyć właśnie o zmiany strukturalne. To jest podstawa: nie walczyć o drobne sprawy.

Teraz sprawa trzecia, o której chcę powiedzieć jasno i wyraźnie. To ma znaczenie, żeby ci ludzie, którzy mają jakieś winy na sobie, żeby nie stanęli przeciwko nam tylko ze strachu. Należy ogłosić amnestię narodową, amnestię dla wszystkich ludzi za całą przeszłość. Za to na przyszłość – nie darować niczego od tej pory. Tak powinien związek postawić sprawę jednoznacznie. Jeżeli tak postavimy, to tylko zdecydowani łajdacy i zbrodniarze staną przeciwko nam. Wierście mi, że wielu milicjantów, wielu ludzi w wojsku pragnie tego, żeby przejść na naszą stronę; pragną myśleć podobnie jak my, pragną zbudować ojczyznę i wtedy jej służyć. Tylko po prostu ze strachu, ze zwykłego ludzkiego strachu nie robią tego. Musimy im dać taką szansę. Jak w ten sposób będziemy postępować – jednocześnie twardo i jednocześnie sprawiedliwie – to wtedy wygramy. I takie stanowisko musimy tutaj zająć.

Również chcę wam powiedzieć o jeszcze jednym. Ja tych ludzi, z którymi byłem w tej wyższej szkole oficerskiej pożarnictwa, nigdy nie opuszczę. I uważam jedno, że jeżeli związek nie zadba, żeby oni mogli skończyć tę swoją szkołę, żeby oni naprawdę mogli być godni Polski... Bo to są naprawdę wspaniali ludzie, naprawdę zasłużyli na to. Związek musi ich wziąć pod ochronę swoją, musi stworzyć im wyższą szkołę oficerów pożarnictwa, jeżeli nie państwową, to społeczną, z własnych środków. My jesteśmy w stanie wszystko przeprowadzić, jesteśmy wielką siłą, tylko wierzy w tych ludzi, którzy nas wybrali. To jest najważniejsze i dlatego ta siła jest nam potrzebna. W zakładach pracy – dzisiaj byłem w ZWUT [Zakładach Wytwórczych Urządzeń Telefonicznych w Radomiu] – ludzie to samo żądają, co ja dzisiaj mówię. W ZWUT to samo żądają, we wszystkich wielkich zakładach pracy. Tam jest siła. Bo robotnikom możemy wierzyć. Oni nie zawiodą. Inteligencja ma dużo intelektu, ale ona jest słaba, jeśli chodzi o wiarę. Za to zupełnie inni są robotnicy. Oni naprawdę wierzą i naprawdę nas poprą, jak nie będą widzieli kunktatorstwa.

To chciałem powiedzieć. Więcej nie powiem, bo więcej już tu nie potrzeba. Szczegóły naprawdę jesteśmy w stanie określić, ale te szczegóły muszą być dokładnie sformułowane. Twarde, jasne i sprawiedliwe. Wtedy dopiero będzie odzew.

Tokarczuk:

Dziękuję. W takim razie myślę, że teraz już nie ma przeszkód, żeby zespół redakcyjny przystąpił do pracy. Ja wiem, na jakich zasadach. Już tutaj koledzy Bujak i Rulewski zgłaszali się jako chętni... Chwileczkę, Bujak... Od nas ci, co wczoraj pracowali, proponujemy [jako] prezydium...

Rulewski:

Nie, nie Bujak.

Tokarczuk:

I doradcy. Zespół pracuje, my natomiast mamy jeszcze takie rozwinięcia, musimy zająć się takimi problemami, jak odpowiedzieć na pytanie praktyczne, wynikające z całej dyskusji: czy prowadzimy rozmowy, czy nie, prawda? Na ten temat podyskutujemy sobie, bo to już musi stanąć [niezrozumiałe słowa]. Po drugie, chodzi o zawieszenie jakichś kompetencji komisji zakładowych, zawieszenie prawa proklamowania strajku w przypadku podjęcia przygotowania do strajku powszechnego. To są takie pytania, powiedzmy. No, ale o tym

możemy potem dyskutować. Musimy się ustosunkować w trochę szerszym gronie do problemu, który tutaj był wielokrotnie poruszany, do problemu studentów – i to też może będzie drugi temat dyskusji. To już kiedy będzie komisja pracować.

Z sali:

Do tej komisji opracowań weźmy tych, którzy pracowali wczoraj i już zrobili jedną wersję. Tutaj wyszły nowe rzeczy. I wziąć jeszcze tych ludzi, którzy mają w tej chwili ochotę. Czy Antek Kopaczewski idzie do tego zespołu? Idzie. Kto jeszcze?

Tokarczuk:

Nie będziemy tutaj robić wyborów, chętni zgłoszą się sami. Dziesięć minut przerwy.

[po przerwie]

Tokarczuk:

Na temat, czy rozmawiamy [z rządem i] w jakim zakresie – to jest pierwszy problem. To jest temat bardzo ważny. Wiemy, czego się możemy spodziewać mniej więcej po naszym oświadczeniu, po ogólnym stanowisku, i teraz trzeba zadecydować.

Sobieraj:

Może chwileczkę. W czasie przerwy przyszli do mnie przedstawiciele zakładów pracy zgromadzeni w hali Radoskóru, gdzie byłem z Lechem [Wałęsą] i ze Stasiem Wądołowskim, i z Marianem Jurczykiem. I co się okazuje? Uchwalili sami – a to jest w pewnym sensie wprowadzenie tego, co ty zadałeś... do pytania twojego – ustalili sami, że mają dość konfliktów w radomskiej Wyższej Szkole Inżynierskiej. Robotnicy w ilości dwustu wchodzi na teren uczelni i przejmują władzę konkretnie w uczelni. Powołują senat [śmiech], doprowadzają do wyborów. Jednym słowem, oni spełniają w tej chwili rolę rządu. To, co powinien zrobić rząd, oni robią za ten rząd. A jako dowód mówią w uzasadnieniu: WSI jest własnością ludu i robotników i dlatego robotnicy mają prawo zadecydować i ingerować w celu doprowadzenia do właściwego funkcjonowania uczelni. I to się stanie.

Tokarczuk:

To będzie drugi punkt do tego [śmiech], żeby uniknąć nieporozumień, jakie...

Sobieraj:

Nie, nie, to nie jest drugi punkt. Bo to świadczy o tym, żeby nie negocjować, bo [niezrozumiałe słowa].

Z sali:

Uwaga, bierzcie się, zanim rząd nie rozwiąże uczelni.

Sobieraj:

Aha, słusznie.

Z sali:

Proszę państwa, odnośnie rozmów z rządem to my dzisiaj nie możemy zadecydować, tylko przekonsultujemy, [weźmiemy] temat pod rozprawę i zadecydujemy na krajówce.

Z sali:

Prezydium może o tym zadecydować.

[przerwa w nagraniu]

Rulewski:

[brak początku] ...w tym temacie rozmów wystąpić. Nie chcę tu powiedzieć, że jestem zwolennikiem rozmów z rządem, bo moje poglądy znacie. Chcę tylko na pewne faktyczne przesłanki [niezrozumiałe słowa] wskazać. Otóż rząd podejmuje rozmowy, zauważcie, ostatnio w momentach, kiedy z drugiej strony forsuje bardzo trudne decyzje czy to cenowe, czy to społeczne, czy to polityczne. Że wspomnę o samorządzie, że wspomnę o cenach [przerwa w nagraniu] i te ukryte. Natomiast przerywa te rozmowy w momencie, kiedy nie ma [przerwa w nagraniu] z tym narodem. Otóż w styczniu – gdybyśmy dzisiaj zerwali te rozmowy, to na pewno po takim długim okresie przerwy do stycznia – rząd wystąpi z inicjatywą rozmów. W styczniu prawdopodobnie czy w lutym, kiedy trzeba będzie zmieniać ceny, i to w sposób zasadniczy, nam jako związkowi będzie bardzo trudno odmówić w styczniu i lutym rozmów, niezawisłe [od tego], jaki scenariusz będzie. Ale jeżeli będziemy istnieli, i ten rząd, i my, to nam będzie trudno odmówić. W końcu zawsze będziemy przyparci przez opinię publiczną: dlaczego odmawiamy rozmów z rządem? Zatem ja byłbym zwolennikiem kontynuowania tych rozmów, na takim momencie [sic!], żeby przerwać je właśnie w styczniu i w lutym, kiedy oni będą chcieli wprowadzać te decyzje cenowe i to prowizorium gospodarcze.

Ale ja tutaj po raz setny zgodzę się z Wałęsą, że to, co nawet Bujak wymyśli, wypisze z Kuroniem, to nie jest to, na co ludzie czekają. Taktyka, która wynika z uchwały, którą tam się płodzi, oznacza mimo wszystko stanie z bronią u nogi. Oznacza... i zresztą Jacek Kuroń... Ja nie chcę tutaj odcinać się, że to nie powinno być tematem dzisiejszej uchwały. Tylko że to nie powinno być tylko tematem dzisiejszej uchwały. Otóż czekanie na to, że nas przeciwnik zaatakuję, jest możliwe wtedy, kiedy mamy nadmiar, zapas sił i nadmiar cierpliwości. A przecież wiemy, że my właśnie jesteśmy u kresu sił i u kresu cierpliwości tych ludzi, którzy oczekują, że my coś zrobimy. Ja się tu po raz setny zgadzam, panie prezesie [do Wałęsy], z tobą, że po pierwsze potrzebne są działania na rzecz ludzi, zatem potrzebne są na pewno rozmowy, rozmowy na szczepku KK o problemach, o których mówiłem w pierwszej części swego wystąpienia. Uważam, że jest to forum wystarczająco poważne.

Ale to dodam, że my jako regiony, zarządy regionalne, wykorzystując siłę związku, powinniśmy natrzeć na wszystkie terenowe organa władzy z żądaniami w przededniu nowego roku i nowych porozumień społecznych. I to nic, że w regionie nie będziemy załatwiali spraw politycznych; to jest pewne. Ale chcę, żebyśmy jako związek wystąpili jednocześnie do wszystkich urzędów wojewódzkich, rad narodowych, z żądaniami określenia planów przydziałów mieszkań, kontroli tych przydziałów mieszkań, spraw zaopatrzenia na przyszły cały rok. Dalej: wszystkich spraw socjalno-bytowych, jak również pewnych

społecznych, dotyczących polityki handlowej, dotyczących wdrażania jakiejkolwiek reformy gospodarczej. Przy czym wydaje mi się, [byłoby dobrze,] żeby to nie były tylko rozmowy rządu z Solidarnością. Przyjąłbym sugestię Kopaczewskiego, że po naszej stronie – po stronie tego natarcia na urzędy wojewódzkie, a zatem wskazania ludziom, że my idziemy z interesującymi ich problemami i żądaniem rozwiązania ich przez urzędy wojewódzkie – powinny wystąpić niejako namiastki porozumienia. Ale porozumienia, w którym by brali udział rolnicy, studenci (tam oczywiście, gdzie studiują, bo nie w każdym regionie), związki nasze zawodowe. I to by była namiastka porozumienia, tego frontu, tego ruchu solidarności.

Oczywiście, powinniśmy wskazać na różne inicjatywy lokalne, związane z przepływem żywności, z dystrybucją tej żywności i tym podobne, tak żeby wynikało, że to nie jest działanie tylko poszczególnych osób, jak to ma miejsce obecnie. Bo obecnie mają miejsce naprawdę żywe rozmowy. Ja tu nie chcę nic ujmować z autorytetu kolegi Waszkiewicza, Tokarczuka czy Palki, ale te rozmowy – zauważcie – są jakby pod ziemią. Nikt o nich nic nie wie, nie wiemy nawet, jak reagować. Po paru dniach się spotykamy i dowiadujemy, że miały charakter skandaliczny ze strony rządu, że były to rozmowy nad stołem pozbawionym jednej nogi, i to po stronie, którą rząd mógł naciskać i wywracać je do góry nogami. Zatem wtedy, kiedy my natrzemy jako zarządy regionalne na władze wojewódzkie przede wszystkim, będziemy mieli większą spójność z masami i większe ich wsparcie.

Ja wiem, że ktoś mi zarzuci: „i tak te rozmowy do niczego nie doprowadzą”. Otóż one doprowadzą do tego, że władze w przededniu wyborów do rad narodowych tracą swoją wiarygodność, i stąd wyniknie potrzeba wymiany władz wojewódzkich. One będą pod presją. Kolega Rozwałak zresztą wspomina, że w lokalnych układach można wiele wygrać. A skoro my silni jesteśmy, a Wałęsa słaby – pokażmy to.

Zatem proponowałbym, aby w projekcie uchwały było to, że my decydujemy się na frontalne natarcie na urzędy wojewódzkie, na władze wojewódzkie, z istotnymi postulatami, nawet rozwiązaniami, jakich oczekujemy, że te władze wojewódzkie powinny spełnić. Przy najmniej zdejmujemy z siebie to odium, że tylko zajmujemy się polityką, a nie interesujemy się tymi sprawami, które najważniejsze są, na przykład, jak powiedziałem, mieszkania. Uważam, że te mieszkania muszą być idealnie rozpatrywane. Wszędzie istnieją możliwości. Dalej: żywność, uruchamianie tych wszystkich rezerw żywności w przetwórstwie. Istnieje wiele fabryk zamkniętych nie dlatego, że ich nikt nie chce uruchomić, tylko dlatego, że wszyscy czekają na decyzję urzędów centralnych. Bo tak wojewodzie wygodniej. Natomiast my jako zarządy regionalne możemy pokazać swoją odrębność i suwerenność, pewną autonomię działania i wskazać, że istnieje możliwość, i nie dać spokoju tym władzom wojewódzkim. Gdy władze tego nie podejmą, to zdyskredytują się – zatem wyniknie problem ich zmiany, a to jest właśnie niebezpieczne dla tych władz. One łatwo prowadzą rozmowy i wygodne dla nich są postulaty społeczne. Natomiast wtedy, kiedy są żądania zmiany władz, to są [one] zarówno niewygodne dla samego wojewody, którego chcemy zmienić, jak i dla państwa. To takie moje stanowisko.

Sobieraj:

Chciałem jak gdyby ciągnąć wypowiedź Janka, odpowiedzieć mu na kilka pytań. Otóż jego

sposobem próbowałem dyskusji z WRN, konkretnie z sesją, mając na uwadze konflikt, i to konflikt, który, jak wiecie, mógł się przerodzić w strajk regionalny. Poszedłem na sesję WRN z dwudziestoma kolegami i wystąpiłem na tej sesji z krótkim referatem odnośnie sytuacji społeczno-ekonomicznej województwa. Przedstawiłem zarys narosłych konfliktów, przedstawiłem, co one mogą nieść za sobą, jakie zarzewie. I co się, proszę państwa, okazało? W wyniku mojego – i nie tylko mojego, ale później [także] kolegów – wystąpienia członkowie rady narodowej nie zajęli żadnego w ogóle stanowiska. Ale to kompletnie. Są to marionetki. Marionetki na usługach dotychczasowych władz, które nie wykonają żadnego naszego wskazania, żadnego naszego kierunku, proszę państwa. Gdy nadszedł nawet taki końcowy moment, kiedy sesja została zakończona, zaapelowałem do tych ludzi, że przecież oni przysięgają na wierność ludowi, że będą reprezentowali na szczęblu wojewódzkim tenże lud. Ten lud ich wybrał – chociaż wiem doskonale, że tak nie jest, ale jednak to mówiłem – i w imię tego ludu proszę was, żebyście zajęli jakieś stanowisko. Przynajmniej w konkretnych dwóch tematach, to jest – mówię – sprawa radomskiej WSI oraz sprawa prowadzonych negocjacji. Nawet nie tyle samych negocjacji, co konkretnie – powiedziałem – sprawa budynków, bo strona rządowa powiedziała, że od radnych zależy, komu te budynki będą przekazane. I co się, proszę państwa, okazało? Radni byli bezradni. Po prostu wyszli i nie ma żadnego efektu i żadnej możliwości kontaktowania się z tymi ludźmi.

Mam inną propozycję. Propozycję, którą już częściowo powiedział Rozwałak. To będzie na pewno i tak pewna forma wprowadzenia do konfrontacji, ale jak wcześniej wszyscy wspominaliśmy, to jest nieuniknione. Winniśmy wychodzić z tematami, tak jak mówił Janek Rulewski. Konkretnie mówić: społeczeństwo potrzebuje tego, tego i sumować. Do urzędów wojewódzkich, do prezydenta i do tych innych instancji, które winny się tym zajmować. I co wówczas? Z chwilą, gdy ci ludzie okażą się rzeczywiście – bo tak jest, że nie dadzą odpowiedzi na żadne pytanie, bo są bezradni – powołać grupy w ilościach stu, dwustu czy tam iluś osób na terenie tego województwa i po prostu one niech wykonują czynności, które winni wykonywać przedstawiciele tych władz wojewódzkich. Właśnie ci ludzie... I tu powstanie ten punkt kulminacyjny, który może doprowadzić do jakiegoś spięcia, starcia. Muszą się starać go unikać, ale tym niemniej muszą robić wszystko i jak gdyby... pokazać społeczeństwu, że oni przejmują stopniowo ten kierunek działań, które winny na dzień dzisiejszy sprawować urzędy wojewódzkie i inne tam miejskie. I w ten sposób udowodnimy społeczeństwu...

[przerwa w nagraniu]

Krupiński:

W streszczeniu AS: „uważa, że nie należy całkowicie zrywać rozmów. Są sprawy, które trzeba negocjować – żywność, ustawa o związkach zawodowych”.

Według opracowania dla URM: „nawoływał do atakowania sekretarza KC PZPR S. Olszowskiego – szefa propagandy partyjnej. Uważał, iż należy wyrobić w społeczeństwie przekonanie, że jest on wrogiem publicznym numer jeden. Publikacje związkowe winny rozpocząć nagonkę na Olszowskiego za jego stwierdzenie:

»w obronie partii dojdzie do wojny«. Za straszenie tą wojną i za wszystkie inne dotychczasowe wystąpienia”.

Stanisław Wądołowski (wiceprzewodniczący Zarządu Regionu Pomorze Zachodnie i Komisji Krajowej):

W streszczeniu AS: „opowiada się za nieprowadzeniem negocjacji, gdyż nie przynoszą one żadnych rezultatów”.

Waszkiewicz:

W streszczeniu AS: „mówi, że wobec impasu w zasadniczych rozmowach o dostępie do radia i TV uzgodniono z Komitetem Rady Ministrów ds. Związków Zawodowych dziesięć tematów jednogodzinnych audycji telewizyjnych z udziałem przedstawicieli Solidarności. Audycje te – po dokonaniu przez obie strony autoryzacji – będą emitowane (albo nie): 1) Czy zaopatrzenie można poprawić?; 2) Środki masowego przekazu czy środki porozumienia społecznego?; 3) Budownictwo mieszkaniowe; 4) Co z reformą gospodarczą?; 5) Społeczna Rada Gospodarki Narodowej; 6) Czy musi dochodzić do strajków?; 7) Węgiel – ile i komu?; 8) Jak przywrócić więzy ekonomiczne miasta i wsi?; 9) Rady Narodowe – władza czy samorząd?; 10) Czym ma być porozumienie narodowe i jak je osiągnąć? Dodaje, że pierwsza audycja z udziałem Jacka Merkela i Grzegorza Palki będzie nagrywana 5 grudnia i emitowana w głównym wydaniu Dziennika TV tego samego dnia”.

Według opracowania dla URM: „wypowiadał się na temat możliwości dostępu związku do środków masowego przekazu. Poinformował, że zostanie zrobionych i emitowanych na ogólnopolskiej antenie telewizyjnej 10 programów z udziałem Solidarności. Propozycje tematów zyskały aprobatę i te programy mają być realizowane począwszy od jutra. Wśród tematów omawianych będą takie jak: zaopatrzenie, co z reformą gospodarczą, Społeczna Rada Gospodarki Narodowej, węgiel i jego dystrybucja, polityka mieszkaniowa, konflikty wieś – miasto i możliwości ich zażegnania, dostęp do środków masowego przekazu, samorządy terytorialne, front porozumienia narodowego i dlaczego Solidarność do tego nie przystąpi oraz czy musi dochodzić do strajków. Zaznaczył, że do wszystkich tematów są dobrani już ludzie, którzy będą je realizowali w telewizji”.

Wacław Sikora (przewodniczący Zarządu Regionu Małopolska, członek Prezydium Komisji Krajowej):

W streszczeniu AS: „stwierdza, że na KK najważniejszym tematem powinna być sprawa samorządu terytorialnego. Należy wykorzystać fakt, że 15 posłów może mieć inicjatywę ustawodawczą w Sejmie. Trzeba też podjąć rozmowy z sejmową komisją ds. przestrzegania porozumień. Przygotowania do wyborów należy już zaczynać, powołując grupy inicjatywne, które zajęłyby się zbieraniem postulatów, określeniem ordynacji wyborczej i kompetencji rad. Aby wygrać wybory terytorialne, trzeba zjednoczyć społeczeństwo, zawrzeć porozumienie z rolnikami na wszystkich szczeblach”.

Według opracowania dla URM: „Z ramienia Prezydium [KK] był [on] odpowiedzialny za sprawy samorządu terytorialnego i wyborów do rad podstawowych. Wydał polecenie przewodniczącym regionów, aby opracowali na posiedzenie KK stanowisko w sprawie projektu ordynacji wyborczej wypracowanej na spotkaniu krakowskim, a przestanej do wszystkich regionów. Jak zaznaczył, zamierzają wprowadzić własną ordynację według myśli Solidarności, gdyż rozmowy Krajowej Komisji z rządem zakończyły się fiaskiem. Pomimo to należy koniecznie w najbliższym czasie przeprowadzić rozmowy z postami w regionie. Stwierdził na zakończenie, że jest już 19 chętnych postów, którzy wniosą pod obrady Sejmu projekt ordynacji wyborczej”.

Jarosław Guzy (przewodniczący Krajowej Komisji Koordynacyjnej Niezależnego Zrzeszenia Studentów):

W streszczeniu AS: „referuje sprawę strajków studenckich oraz konflikt w WSI. Stwierdza, że brak poparcia Prezydium KK dzieli środowisko. Prosi o oddelegowanie upętnomocnionej przez KK osoby do rozmów w WSI, co mogłoby przyspieszyć rozwiązanie konfliktu. Na pytanie L. Wałęsy, co będzie, jeśli [niechciany przez znaczną część wykładowców i studentów rektor, prof. Michał] Hebda wygra, odpowiada, że studenci i pracownicy pogodzą się z tym pod warunkiem, że będzie wybrany według demokratycznej ordynacji”.

Sikora:

W streszczeniu AS: „stwierdza, że NZS nie jest w stanie rozwiązać sam sprawy, potrzebne jest poparcie związku, a ten się od tego wymigał. Dodaje, że w Krakowie robotnicy popierają studentów (MPK planuje strajk), podobnie w Regionie Pomorze Zachodnie”.

Fragment obrad w streszczeniu AS: „Następnie dyskutowana jest sprawa ustawy o szkolnictwie wyższym, która jest jednym z powodów strajku studentów. Szumiejko i Waszkiewicz wspominają o proponowanych przez stronę rządową zapisach, które nie odpowiadają związkowi, gdyż nie zapewniają obrony pracowników ani samorządności na uczelni. W rezultacie dyskusji przyjęto oświadczenie popierające strajkujących studentów”.

Szumiejko:

[Czyta projekt uchwały w sprawie WSI:] „Prezydium Komisji Krajowej i przewodniczący zarządów regionalnych NSZZ Solidarność po zapoznaniu się z aktualną sytuacją w szkołach wyższych na tle konfliktu w radomskiej WSI popierają protest środowisk akademickich.

Prezydium Komisji Krajowej i przewodniczący zarządów regionalnych stwierdzają, że w sytuacji, gdy poszczególne uczelnie znajdują się pod opieką zakładów pracy, jakkolwiek próba siłowego rozwiązania konfliktu przez władze będzie traktowana jako atak na związek i spowoduje użycie środków przewidzianych w statucie. Oświadczamy, że

rozwiązanie konfliktu w WSI Radom może nastąpić tylko w drodze negocjacji gwarantujących realizację celów strajku.

Prezydium Komisji Krajowej i przewodniczący zarządów regionalnych zwracają się do Prezydium Zarządu Regionu Ziemia Radomska o wytypowanie zakładów pracy, które natychmiast przejmą bezpośrednią opiekę nad WSI Radom, zarówno w zakresie obrony przed aktami represji, jak i gwarancji przeprowadzenia demokratycznych, zgodnych z duchem społecznym wyborów w tej uczelni.

Jednocześnie Prezydium Komisji Krajowej i przewodniczący zarządów regionalnych zwracają się do wszystkich regionów, na których terenie znajdują się wyższe uczelnie, o roztoczenie również poprzez załogi zakładów pracy stałej opieki nad środowiskami akademickimi będącymi w trakcie lub w stanie zawieszenia akcji strajkowej”.

Frasyniuk:

Proszę państwa, jedna sprawa tylko. I na pierwszej stronie, i na drugiej stronie: nie „zakłady pracy”, tylko „zarządy regionalne”. Dlaczego? Dlatego że zdarza się zbyt często, że...

Z sali:

Podpalą...

Frasyniuk:

...studenci podpalają załogi, że tam 1968 rok i tak dalej, i tak dalej. Żeby tego uniknąć, zarządy regionalne faktycznie taką pomoc i opiekę sprawują. Po co wpuszczać w to zakłady pracy? Nagle ni stąd, ni zowąd mój Pafawag będzie stał, stał, bo w uchwale ma to zagwarantowane.

Szumiejko:

Czyli wszędzie wykreślić, [jak] rozumiem, „zarządy pracy”?

Z sali:

A wszędzie [wstawić] „zarządy regionalne”.

Frasyniuk:

Oprócz... oprócz Radomia, bo to jest słuszne. W Radomiu jest słuszne.

Szumiejko:

A..., a w Radomiu zostawić.

Z sali:

W Radomiu oczywiście tak.

Z sali:

Zarząd wyznaczy zakłady, które... W Radomiu i tak nie...

Szumiejko:

Czyli ta druga część by brzmiała: „Jednocześnie Prezydium KK i przewodniczący zwracają się do wszystkich zarządów regionów, na których terenie znajdują się wyższe uczelnie, o roztoczenie stałej opieki nad środowiskami akademickimi”...

Z sali, różni:

Tak, tak, tak.

Szumiejko:

To rozumiem. Tu wykreślamy „zakładów”.

Frasyniuk:

I na pierwszej stronie to samo jest.

Szumiejko:

Ale na pierwszej stronie to nie, nie... Na pierwszej stronie jest ogólne stwierdzenie. Tutaj, tutaj, tak. „Prezydium i przewodniczący stwierdzają, że w sytuacji, gdy poszczególne uczelnie znajdują się pod opieką zakładów pracy, jakakolwiek próba siłowego rozwiązania”...

Frasyniuk:

Dobra, dobra.

Szumiejko:

„... konfliktu przez władze”... Tu może zostać.

Fragment obrad w streszczeniu AS: „Następnie Karol Modzelewski i mecenas Władysław Siła-Nowicki czytają projekty stanowiska prezydium. W wyniku dyskusji i głosowania postanowiono przyjąć z niewielkimi poprawkami projekt stanowiska przygotowany przez Modzelewskiego”.

Z sali:

Zaraz, jest jeszcze bardzo ważna sprawa. Zapomnieliśmy o wyższej szkole pożarnictwa. Dodać, że np. losy tej szkoły na najbliższym posiedzeniu Komisji Krajowej będą rozważane, czy... Czy po prostu – zajmiemy się tym.

Z sali:

Nie, tutaj – spójrzcie – pisze...

Z sali:

Spójrzmy realnie, czy my zdążymy w tej...

Jaworski:

W streszczeniu AS: „apeluje, aby związek udzielił gwarancji zrealizowania postulatów strajkujących podchorążych i pracowników warszawskiej WOSP”.

Fragment obrad w streszczeniu AS: „W trakcie burzliwej dyskusji podającej w wątpliwość możliwość udzielenia przez związek jakiejkolwiek gwarancji studentom WOSP i po wyjaśnieniach S. Jaworskiego i J. Guzego niewielką większością głosów przyjęto oświadczenie w sprawie WOSP. W tym momencie zdenerwowany L. Wałęsa, który był przeciwny udzielaniu gwarancji studentom WOSP, opuszcza salę, żądając zwołania Krajowego Zjazdu Delegatów”.

[przerwa w nagraniu]

Jan Kułaj (przewodniczący Ogólnopolskiego Komitetu Założycielskiego NSZZ Solidarność Rolników Indywidualnych):

Nie obrażcie się. Moi rolnicy pracują społecznie i jest taki sam burdel jak tutaj. Naprawdę! Taki sam.

Z sali:

Trochę większy.

Kułaj:

Wiem, co się dzieje. Ale powiem wam otwarcie, że naprawdę w takiej sytuacji to widać od razu, jakie stanowisko zajmujecie. Ja tutaj zostałem dzisiaj zaproszony. Strajk, strajki się toczą w różnych regionach kraju. Siedzę od godziny szóstej, nie wiadomo po co i nie wiadomo, kto mnie ma wysłuchać. Jak widzę, przewodniczący wychodzi, następny będzie wychodził i do kogo mam mówić? Też jestem przewodniczącym, chyba, związku. Więc rzecz jest w tym: tam jeszcze przyjechały cztery osoby z rolników, może ich poprosicie.

Rolnicy czekali od ubiegłego roku, od Rzeszowa, gdzie zostały podpisane porozumienia rzeszowsko-ustrzyckie, na to, żeby je realizować. Można było przykorbić w Rzeszowie raz, załatwić sprawę [rejestracji] związku [rolników], stanąć drugim związkiem, konkretnie rozstrzygnąć problem. [Ale miało być] delikatnie, dyplomatycznie. Przeniosło się do Bydgoszczy. W Bydgoszczy granda, ale – dalej delikatnie, dyplomatycznie. Kiedy rolnicy mieli świnie i mieli porejestrowane, ile dadzą robotnikom, w razie [gdy] zajdzie draka, wtedy było wszystko delikatnie, dyplomatycznie. Nasz związek zarejestrowali 12 maja. I ja się pytam, czy ja mam z chłopami jechać do Gdańska okupować siedzibę KKP¹², żeby wreszcie prezydium Solidarności robotniczej mogło pogadać z chłopami na temat wyżywienia narodu, czy nie? Sprawa jest poważna. Ludzie, my w tej chwili... Chwileczkę, Wądołowski, zaraz będziesz dyskutował, długo, ile zechcesz.

Tokarczuk:

Spokojnie, spokojnie.

¹² Tu i dalej w przemówieniu Kułaja powinno być KK – Komisji Krajowej.

¹³ Powołano ją 23 X 1981 w składzie: Andrzej Konarski z Prezydium KK NSZZ Solidarność i Leszek Komala z OKZ NSZZ Solidarność Rolników Indywidualnych.

Kułaj:

Rzecz jest w tym: stworzyliśmy komisję współdziałania¹³. Oczywiście rzeczą jest wina z naszej strony i jest wina z waszej strony może jakaś tam, że byli to ludzie nieodpowiedzialni i nie zajęli się tą sprawą do końca. Ale zauważcie, co się dzieje w kraju dalej: Solidarność robotnicza idzie rozmawiać na temat żywności z rządem, a rolnicy zostają w tyle. Moi drodzy, na temat tego, ile ma co kosztować i czy się będzie opłacać chłopu, czy nie, to ma chłop rozmawiać! Robotnicy mogą rozmawiać na ten temat, ile muszą dostać, żeby dobrze żyć, i po dyskusji.

Została podpisana zgoda na temat wymiany... sprzedaży wiązanej. I co to w kraju, moi drodzy, zrobiło? Mówiłem, prosiłem na poprzednim KKP, gdzie zostało podpisane porozumienie, wyjaśniałem, co się dzieje. Macie wyniki tego. Jest to zrobione po prostu z precedensem [*sic!*] tego, żeby wydrzeć rolnikom, żeby rolnicy nie mieli. Tym samym robotnicy będą już zachwiani nawet i moralnie, bo nie będą pewni, czy w razie draki chłopci dadzą, bo już od nich jest wzięte. Kiedy nie macie przejętej kontroli nad tym, co gdzie idzie i gdzie leży, jeśli od nas się bierze, to nie mamy i my, i wy. Taka jest prawda. Proponuje się za to znowu telewizory kolorowe, a nie maszyny, widły i gumki – [czyli] to, co być powinno. Taki jest tego skutek.

I teraz jedna rzecz jest, co się ujawniło: że naprawdę – tak jak tutaj słyszałem te głosy – chłopci się dogadują z zakładami pracy i chłopci się dogadują na regionach, i dogadują się na dołach w województwach. To, co powiedział Rulewski tutaj dzisiaj, to jest bardzo ważne. My już jesteśmy, moi drodzy, skłóceni. I jeden związek, i drugi nie panują już nad swoimi. Nie możecie mi tutaj powiedzieć – żaden z przedstawicieli – że wasi członkowie z Solidarności rozumieją wieś, bo jest to nieprawda. Tak samo się też dzieje na wsiach. Propaganda swoje odegrała. Najpierw Wojciech [Jaruzelski] poprosił o trzy miesiące spokoju. Myśmy mu dali. Potem umarł prymas [Stefan Wyszyński]. Dalej spokój. Ale druga strona, niewierzająca, miała w nosie śmierć prymasa. Ona działała. I w tej chwili co się dzieje? Jesteśmy naprawdę poważnie skłóceni. Solidarność będzie w PGR-ach i druga Solidarność będzie odbierać [jej] swoją ziemię. Da się obydwie Solidarności, żeby się gryzły, a oni będą dalej siedzieć w konkretnych departamentach.

W tej chwili jasną rzeczą jest to, że trzeba podjąć konkretne działanie. Ja rozmawiałem z kolegą Wądołowskim i jeśli chodzi o prezydium, to my w tej chwili mamy prezydium już jednolite. Nie ma już trzech prezydów w jednym miejscu – i działania podejmiemy. Tylko mam prośbę, jeśli tutaj są przewodniczący regionów: żeby wziąć się twardo do współdziałania, żeby ludzie, robotnicy, na spotkaniach z chłopami wytłumaczyli chłopom, w czym jest rzecz. Bo chłopci też są w pewnym stopniu zatumanieni tym wszystkim, co się dzieje, chociaż jeszcze się starają nieraz zdrowo myśleć. Chłopci żeby się spotykali bezpośrednio z robotnikami w zakładach pracy, w różnego rodzaju zgromadzeniach.

Moi drodzy. W tej chwili musimy iść wspólnym frontem, wziąć studentów do tego, żeby oni nasze stanowiska, nasze po prostu uzgodnienia przedstawiali w różnym środowisku. Bo w tej chwili wszystko się robi, żeby pogłębić to skłócenie i żeby nami manewrować. Zauważcie, co się dzieje. Związek Solidarność robotnicza poniósł tyle po prostu strat, tyle wysiłków, żeby zarejestrować związek zawodowy rolników indywidualnych. Kochani, wyście byli dziesięciomilionowym związkiem, [a] musieliście pisać aneks do statutu

o tym, jak wy widzicie partię. W tej chwili zostały zarejestrowane cztery związki zawodowe chłopskie, bo kto ma jakie ambicje, idzie w swoją stronę. Solidarność Wiejska nie uznaje kierowniczej roli partii i nasz sąd w Polsce, w socjalistycznym kraju, zarejestrował. Po co zarejestrował? Profesor Stelmachowski mówi, że panu [Henrykowi] Bąkowi [przewodniczącemu NSZZ Rolników Solidarność Wiejska] by dał od razu, jakby był z SB, złoty medal za rozbijanie społeczeństwa na wsi. I to się robi.

Zauważcie drugą rzecz: jaki związek się rejestruje? [Taki], który ma zrobić lobby wiejskie, to znaczy [zrzeszać] pracowników PGR-u, spółdzielni produkcyjnej, SKR-u [Spółdzielni Kółek Rolniczych] i chłopów. Mnie znacie na tyle, że ja wam zawsze mówię szczerze. Czym tych ludzi się napuszcza i na czym ci ludzie się ślizgają? Pierwsza rzecz, że związek rolników indywidualnych [Solidarność RI] jest inspirowany przez Kościół. Druga rzecz, że związek zawodowy rolników indywidualnych, któremu przewodzi Kułaj, jest podległy związkowi zawodowemu Solidarność. A oni [pozostałe trzy związki zawodowe rolników] chcą być niezależni i dlatego chcą zgromadzić wszystkie siły wiejskie, żeby się odciąć od góry. Na to mam dowody, moi drodzy. Jest tutaj Rulewski; [on] wie, co u niego na regionie się działo. I to są sprawy poważne. Zauważmy, co się dzieje. Robi się wszystko, żeby nas rozbić. Ja tutaj powiedziałem otwarcie, że prosiłem Stacha [Wądołowskiego], żeby podjąć uchwałę na zjeździe – jest to ważna uchwała – żeby później podpisać porozumienie. Moi drodzy, i teraz nie Kułaj z Wałęsą, bo to się nie musi liczyć, tylko na dole, tak jak tutaj głosy padały na tej sali, trzeba nas cementować. Powiem wam otwarcie, że chłopi jeszcze trochę mają. Ale naprawdę, no – nie dadzą, no bo nie ma gwarancji, gdzie to idzie.

Słuchajcie, ten drenaż, który miał być zrobiony za pomocą sprzedaży wiązanej, miał rozłożyć kraj. I rzucenie na kolana miało być – naszego i waszego związku. Bo kiedy przyjdzie zima, kiedy już będą czasy naprawdę takie, że my nie będziemy mogli większych akcji protestacyjnych podejmować, bo będą warunki niekorzystne dla nas, wtedy my się mamy przed nimi chylić i ich prosić. Naprawdę w tej chwili sytuacja jest poważna. Chłopi od dołu już starają się nikomu nie wierzyć. My im się staramy tłumaczyć i jeszcze jaka taka dyscyplina w związku jest. Kolega Kopaczewski pomógł nam, [gdy] był konflikt na Rzeszowszczyźnie. W województwie władze rozmowy odbyły i jest na razie wygaszone. Te strajki, które są, to trzeba podtrzymać do rozmów. Oni w tej chwili nam nie mają nic do dania. Nie chcą dać rzeczy, które nic nie kosztują. I przecież to porozumienie trójstronne, które było, i gdzie nie było przedstawicieli rolników – to mi się też nie podoba, bo mnie jako Kułaja nikt nie musi szanować, mógł wziąć [Norberta] Aleksiewicza z CZKiOR [Centralnego Związku Kółek i Organizacji Rolniczych] albo wicepremiera [Romana] Malinowskiego, który jest odpowiedzialny za gospodarkę żywnościową – ale ta trójka nie zrobiła niczego dobrego na wsi, bo nie było tam stanowiska producentów żywności. I zauważcie, że się wykorzystuje to przeciwko obydwom związkom, że ma być porozumienie. Wy tutaj nie strajkujecie, bo siła Solidarność za tym stoi i sprawę załatwi. Moi drodzy, dokąd i kiedy? Chcą z nas wyciągnąć ostatnie soki, potem nami manewrować. W tej chwili wpuszcza się bojówki na wieś, które mają doprowadzić do niczego.

Kochani, nie wiem, jak u was sytuacja wygląda. U nas na wsiach są przypadki pobicia ludzi. W Legnicy faceta UB wyprowadziło i powiedziano mu, że jeśli on nie przestanie

działalności, a w Legnickiem są różne wojska, to może zginąć i ewentualnie [może] go nie być. W Nowym Sączu z[a]ginął człowiek, którego nie ma już kilkanaście dni. Podali komunikat do radia i do telewizji, że z[a]ginął członek Solidarności RI. Komunikat nigdzie się nie ukazał. W tej chwili z[a]ginął następny. Są ludzie pobici. Dokąd my będziemy tak działać? Za chwilę z[a]giną przewodniczący regionów [Solidarności] robotniczej – też trzeba delikatnie, żeby nie doprowadzić do konfliktu? Potem Kułaj i Wałęsa. No a potem już cicho, no bo jest Jaruzelski i do sprawy doprowadzi, i do porozumienia, błogosławieństwo Kościoła będzie i szanowanie.

Moi drodzy, nad tym się trzeba zastanowić. Ja tutaj nie zwracam się z prośbą jakąś błagalną do drugiego związku, tylko wy macie stanowisko wypracowane, trzeba sprząć to z naszym związkiem, bo poza tym, że tam gdzieś kilka gmin jest oderwanych, to w każdym województwie jest nasz WKZ [Wojewódzki Komitet Założycielski] i wy macie się z kim dogadać. Tutaj ja powiedziałem, że zrobię takie spotkanie, jak wyście dzisiaj zrobili, zaraz po niedzieli ze swoimi przewodniczącymi. I który szambonurek będzie podskakiwał, że Solidarność robotnicza chce nim rządzić, to też konkretną dawkę dostanie, bo najpierw go rozliczymy, co zrobił. Taka jest prawda.

Trzeba wspólnie się wziąć, czy się lubi, czy się z kimś nie lubi, ale tu jest sprawa społeczna. Bo my już w tej chwili nie możemy występować jako związek Solidarność robotnicza i Solidarność rolnicza, tylko musimy występować w tej chwili jako jedno społeczeństwo, które dąży do słusznej sprawy. I tutaj ruch Solidarność idzie wspólnie i trzeba młodych studentów do tego też dołączyć. Przygwoździć raz i załatwić sprawę. Bo jak oni będą dawać wam troszkę i nam troszkę, to na tym „troszkę” rozbijają nas, was zmęczą i do niczego nie dojdziemy.

Moi drodzy, przecież te wszystkie manewry do niczego nie prowadzą. Przecież ta cenzura... Oni kiedyś mi mówią, żebym ja poszedł do telewizora i coś gadał. Ja mówię: taki telewizor to mnie jest wcale niepotrzebny, bo to jest wymienialne za żywiec. Ja będę gadał do naturalnego, ale wtedy, kiedy będę miał kontrolę, że jak ja se powiem dzisiaj, to jeszcze se i jutro coś, jak przypomnę, to powiem, a nie tylko w jeden dzień, bo ja se zapomnę, co miałem powiedzieć. [śmiech] Co to za koleganctwo, tak?! I to jeszcze do dziennika telewizyjnego.

Sprawa wygląda następująco, że w tej chwili do czasu tego waszego zjazdu KKP trzeba podjąć wszelkie działania, żeby wspólnie dogadać sprawę na regionach. Wy na swoim KKP zajmiecie konkretne stanowisko. My postaramy się zapanować nad akcjami protestacyjnymi, które są w tej chwili – już został poinformowany wicepremier Malinowski – to trwają i będą po prostu trwały do czasu zakończenia rozmów. A jeśli trzeba będzie dalej występować, to musimy iść w tej chwili już jako jeden ruch. Bo, moi drodzy, ja się staram tłumaczyć i jeźdź po regionie i po kraju całym. Co się dzieje? Nie ma gwoździ? Wina robotników, bo chcieli wolne soboty i nie robią. Nie ma tego – wina robotników, nie ma tego – wina robotników. I wam powiem prawdę, że te kółka francowate, te branżowce – jeszcze to samo gadają, że to wina robotników. No no, nie wiem, czy oni wyłączają swoich branżowców, czy ich branżowce robią, a tylko wy nie robicie. Psują głowę ludziom i po części zaczyna się taka atmosfera na wsi wytwarzać, że „jeszcze oni do nas przyjdą”, jeszcze „będą się prosić”. Niektórzy

radykałowie z tych naszych odłamów Solidarności mówią, że „jeszcze robotnicy nam będą z ręki jeść”.

Kochani, ja naprawdę jako chłop nie uważam, żeby w tej sytuacji można społeczeństwo podzielić. Już jest i tak wystarczająco podzielone. I jeśli jesteśmy w tej chwili jeszcze na tyle zdolni i na tyle prężni, że się rozumiemy, to nie możemy się dać podzielić. Słuchajcie, przecież najbardziej [przerwa w nagraniu]. Podpisują jakieś porozumienie. Sprzeciwili się sprzedaży związanej, bo to podpisał Palka, ale żeby się upomnieć o słuszne sprawy, o porozumienia rzeszowskie, to się nie upominają.

Ja mam z tego taki wniosek tutaj, żeby wysunąć na najbliższym KKP sprawy rolnicze, ale już nie w kontekście może takiego [ogólnikowego zestawienia]: Solidarność Rolników Indywidualnych a związek zawodowy Solidarność. Tylko żeby już uściślić sprawy: Solidarność NSZZ, wasza, w świetle pracy i współdziałania z nami. Dlatego że Solidarność robotnicza pracuje w dużo [sic!] resortach, które pracują na rzecz rolnictwa, to jest raz, i w obsłudze rolnictwa, i bezpośrednio w rolnictwie. Po prostu na przykład jak trzeba ziemię skądś przejąć, to trzeba uzgodnić stanowisko, a nie żeby nami ktoś manewrował. I w tych poszczególnych problemach trzeba by dopracować tę sprawę. Ja z profesorem Stelmachowskim przedyskutowałem ten punkt. Mówił, że postara się po prostu jakieś takie ramy zarysować. Jeszcze tylko dwa zdania.

Druga rzecz, jaka jest. Uzgodniłem z wiceministrem [rolnictwa Andrzejem] Kacałą i z wicepremierem Malinowskim, że teraz, jeśli będziemy prowadzić rozmowy, to chcemy, żeby przy stole wspólnie z nami uczestniczyli przedstawiciele Solidarności robotniczej i przedstawiciele resortów, którzy będą odpowiedzialni bezpośrednio za porozumienia rzeszowskie i które pracują na rzecz rolnictwa. Żeby nie minister Kacała z Kułajem się upominali o widły, tylko żeby przyszedł pierwszy lepszy z was, zawałił ręką w stół i powiedział, że trzeba zrobić to i to dla chłopów, gdzie ty jesteś i co ty myślisz?, bo nam się chce jeść, bo jak oni tego nie będą mieć, to nie będzie produkcji. Te sprawy trzeba rozszerzyć i wspólnie załatwić. Jeśli chodzi o te sprawy, które wcześniej powiedziałem, to ja zobowiązę poszczególne nasze WKZ-ety, żeby wam dali w tej chwili ludzi do dyspozycji. To dlatego, że chłopci mają taki okres trochę spoczynku zimowego, będą mieli więcej czasu, żeby w poszczególnych zakładach po prostu zrobić jakieś spotkania i wyjaśnić problemy bezpośrednio ode wsi. Bo chłopci nie rozumieją – naprawdę wam mówię – po dużej części problemów miasta. Naprawdę. Bo kto im prawdę powie? Natomiast ludzie miast nie rozumieją problemów wsi. I w tej chwili nie ma co się kłócić o to, że robotnik nie robi widel i że chwilowo ich nie ma. I nie ma co się kłócić, że jajko kosztuje 20 złotych, bo tu są poważniejsze sprawy, które są wspólne, do załatwienia. Tak jak wyście powiedzieli tutaj: te demokratyczne wybory – jeśli my tego nie wygramy obydwoma związkami, to żebyśmy nie wiadomo co robili, to nic z tego nie będzie. Jeśli nie wygramy środków masowego przekazu, nic z tego nie będzie. Jeśli nie uzyskamy możliwości kontrolowania tego, co chłopci produkują i się dalej przetwarzają, i tego, co wy produkujecie i ma do nas dotrzeć, żeby sprawdzić, jak to idzie, którymi drogami i którymi kanałami – to naprawdę wszystkie negocjacje będą na nic.

Stąd taka prośba. Ja tutaj nie chcę dzisiaj już, żebyście cokolwiek nam obiecywali, ale po prostu żebyście się zastanowili nad tym. Żebyście wzięli na WKZ tych ludzi – w pewnym stop-

niu, jak to się mówi – na rozmowę, przedyskutowali tę sprawę. Bo naprawdę, słuchajcie, ja tutaj wiem jako chłop, że my jesteście trochę dalej w tyle za wami. Bo bądź co bądź wy [działacze związku] w tej chwili pracujecie etatowo, jesteście w tym ruchu bardziej może wpięci. U nas wybierają człowieka czasem, bo dobrze krzyczy; ja to też rozumiem... I jego trzeba ukierunkować, bo on może być nieorientowany w sprawie, tylko tak mu ktoś powiedział, że ma potanieć paliwo i jeszcze brony mają przywozić do GS-u [Gminnej Spółdzielni], i wapno ma leżeć na mostku... I on to zapakował [wykrzyczał] trzy razy i jest przewodniczącym. Pomimo że jego myśl chłopska jest zdrowa, ale musi mieć konkretne wsparcie w działaniu.

W tej kwestii chciałbym, żebyśmy te związki razem spoili, że jak teraz będziemy występować gdziekolwiek, żeby już nas nikt nie dzielił. Bo to nie jest ważne, moi drodzy, czy was będzie dziesięć milionów, a nas trzy, czy was będzie siedem, a nas jeden, tylko będzie zależało od tego wszystko, jak my będziemy współdziałać i jaką my siłę stworzymy w działaniu, a nie w gadaniu. No, ja bym miał tyle na razie.

[przerwa w nagraniu]

Kopaczewski:

[brak początku wypowiedzi] ...od pewnego czasu, zauważyłem, kiedy – do jasnej cholery! – coś się napina i coś jest gorąco, panowie eksperci się zjawiają momentalnie i jeden gasi przez drugiego, kombinują... Okropne rzeczy to są. Teraz, w tej chwili, gdzie są? Nie ma? Już pojechali? [gwar] Co to do diabła jest?! Panowie, ja nie mogę dalej prowadzić ludzi drogą, na której będzie przepaść. Mówi się cały czas: konfrontacja będzie, będzie. W tej chwili już się zrobiło tak, że rząd nie ma czasu i my nie mamy czasu. A czas rozłoży nas, całe społeczeństwo. Będzie tragedia. To, co Kułaj mówił, znajduje potwierdzenie... w pewnym stopniu albo i w całości. Ja tu więc liczyłem dzisiaj, że zachowanie Lecha będzie musiało być podniesione na [Komisji] Krajowej, bo uważam, że przewodniczący regionu [sic!] nie może się w ten sposób zachowywać. Bo ja nieraz też jestem zmęczony i już bym pieprznął to wszystko i poszedł. Ale jesteście ludźmi, którzy wzięli ciężar odpowiedzialności za to i nie można się w ten sposób zachowywać. Uważam, że każdy ma prawo się zdenerwować, ma prawo wyrazić swoje zdanie, bo mówimy cały czas o demokracji, a tylko się wyłoni jakieś inne zdanie, kontrowersyjne, to już – huzia! Coś tu nie jest tak. Więc tu wyłania się problem, czy my naprawdę jesteście [niezrozumiałe słowa]. I ja tu przyjechałem z tą myślą, że stąd wyjadę z konkretnym stanowiskiem, a tego stanowiska nie mogę zawieźć do regionu. Nie mogę zawieźć do regionu, bo ja chcę uczciwie podporządkować się związkowi, interesowi całego kraju [niezrozumiałe słowa]. Ale w tej chwili znów widzę – w myśl tego oświadczenia, bo nie chciałem tutaj rozdrabniać – że to oświadczenie jest tylko odpowiedzią na akcję rządu...

Rulewski [w tle]:

Na wczorajszy dzień...

Kopaczewski:

...ale nie wyprzedza samo niczego, nie inicjuje. Znowu się rodzi taka sytuacja, że gdzieś

tam na dole strajk, więc my go gasimy, krzyczymy z dołu, że... My tylko jesteśmy do gaszenia, a nie do inicjowania. Słuchajcie! Siła związku wyraża się w tym, że związek dochodzi do pewnego momentu i powiada: urzniemy tą pałą to, co [niezrozumiałe słowa]. Wtedy na dole ludzie wiedzą, że ten związek ileś tam obradował, miesiąc, dwa, ale w końcu doszedł do jakichś konkluzji, doszedł do jakichś wniosków i podejmuje akcję. Wtedy ludzie wierzą, prawda? A w tej chwili co? Rząd nam zrobił...

Tokarczuk [w tle]:

Ale chwileczkę, ja nie...

Kopaczewski:

...przejęciowy przepis, że rząd nam tam wprowadza inne zagrożenie i my ustosunkowujemy się do tego.

[głosy w tle; przerwa w nagraniu]

Wądołowski:

[brak początku] ...w tej chwili, gdy weszliśmy w jakąś robotę związkową, w ruch społeczny i w ruch polityczny. Co piszą nasze gazety związkowe, chcę się zapytać. Czy o szkoleniu, czy o sprawach jakichś związkowych? Nic się nie pisze. Czym zajmują się związkowcy? Antek [Kopaczewski] już odpowiedział. Później, dalej, mówił Leszek dzisiaj o szkoleniu związkowym, o który [sic!] on ruszał, wszyscy się w ogóle wyśmiali. A tak naprawdę to w ogóle nawet w Stoczni – samej – Gdańskiej ludzie nie rozumieją, bo się nie tłumaczy. Mamy działaczy hasętkowców, którzy jadą na zakłady pracy. Albo narzucają swoje zdanie, albo hasętkami, które niemożliwe do [niezrozumiałe słowa].

Zjazd przyjął wiele uchwał. Wiele uchwał jest realnych czy też mniej realnych do załatwienia. Podejmujemy decyzje chociażby takie, gdzie przed chwilą Seweryna [Jaworskiego], żeby szkołę... Nierealne. Czemu my sobie zakładamy pętlę na szyję? Podejmujemy strajki nierealne, no i jak może być, jak można w ogóle [niezrozumiałe słowa]? Przecież to jest niemożliwe. Trzeba wrócić do tych swoich pism związkowych i wszystko żeby wpuścić w zakłady pracy, i żeby ludzie naprawdę coś wiedzieli związkowego, a nie tylko znali [ks. Józefa] Tischnera.

Ja podziwiam i Kościół, i wszystko, i w porządku. Też chodzę do spowiedzi czy do komunii raz na rok, ewentualnie czasem dwa, ale przecież związek nie jest Kościołem. My tylko chrzczymy ciągle. Znam takich działaczy, co nic nie robią, tylko jeżdżą na chrzciny od jednego sztandaru do drugiego. Tak to jest. I tam mówi się [wiele] hasetek, tupie się nogą: ukarać winnych, takich i innych. Ale jak? W gdańskiej stoczni powiedział ktoś: zbudować trybunał, [że] za tydzień robi. To wobec tego ja pytałem: pan to robi? Proszę bardzo. Siadamy, za tydzień pójde do tej stoczni i zobaczymy, czy robi. No bo przecież trzeba być konsekwentnym w swoim działaniu, więc jak ktoś się podejmuje, to to się robi. I tu, Antek, masz w zupełności rację.

Tokarczuk:

Chwileczkę, ja tylko... Przepraszam za moją taką dociekliwość, to znaczy za szczegółowość, ale to jest sprawa ważna, całe nawet sformułowanie...

[przerwa w nagraniu]

Kopaczewski:

[brak początku] ...jeżeli ruszą jednego członka związku, będzie zagrożony – stoi nie jeden zakład, [ale] cały region. Panowie! Myśmy od jednej rzeczy odeszli: nieważne, czy to będzie stu członków związku, czy jeden, nie może czuć się zagrożony, bo to wszystko wtedy nie ma sensu. Potem pociąga za sobą reakcję łańcuchową. Jak na razie, dzięki Bogu, na moim terenie jest po prostu spokój, bo wiedzą, że z Kopaczewskim nie ma żartów. No bo muszę to... no nie ma żartów. Nie może być tak, żeby członek związku się bał.

Z sali:

Tak, ale ja teraz chciałbym odpowiedzieć Stasiowi Wądołowskiemu...

Z sali [różne głosy]:

Poczekaj... Nie, nie...

[przerwa w nagraniu]

Rulewski:

[brak początku] ...pierwsze takie nieformalne spotkanie. Istotnie, ja już na wstępie zgłosiłem uwagę, że ta uchwała nie w pełni nas satysfakcjonowała, to stanowisko... Bo ono miało wyznaczyć taką długofalową, długookresową płaszczyznę naszego działania. Które strajki inicjować, wzmacniać, a które gasić. Żebyśmy my to wszyscy wiedzieli. Bo nieważne jest, żeby to tylko Lechu wiedział, bo na razie doszło do... Konflikt polegał na tym, że Lechu w tej chwili wyznacza, które strajki są dobre, a które nie są dobre, a my sami nie wiemy. Więc ja rozumiałem, że my tu taką płaszczyznę – wizję tego państwa i pod to strategię – opracujemy. Nie udało się na tym spotkaniu – nie histeryzujemy. Przygotowaliśmy na razie odpowiedź na stanowisko partii i rządu, które oni wydali dwa tygodnie temu. I to jest do przyjęcia. Natomiast proponowałbym prezydium – lub komukolwiek jeszcze – aby zorganizowało ponowne takie spotkanie po tej [najbliższej] Komisji Krajowej. Z tym że niestety – postawa doradców jest wysoce urągająca godności związkowca, kiedy my tu dyskutujemy, dlatego jestem przeciwny... Ci ludzie przychodzą pisemka nam dawać, zauważcie, piękne słowa redagować. Retoryka. Natomiast nie dają żadnych propozycji. Zauważcie, w trakcie dyskusji ani [Andrzej] Wielowieyski, ani... Żadnych alternatyw nam nie przedstawili, z których chociaż my byśmy mogli wybrać. Oni po prostu spichcili uchwałę i pojechali sobie do Warszawy. Nie na tym rzecz polega, rola doradców i ekspertów. Oni mają alternatywy, hipotezy snuć, a my się możemy za jedną z nich opowiedzieć lub połączyć kilka albo odrzucić wszystkie. Dlatego po krytyce tych doradców i ich zachowania wnioskuję jednak, żebyśmy my, koledzy, tak sami – koleżeństwo, przepraszam – spróbowali

stworzyć sami, bez pomocy. Sami. Chyba umiemy pisać, umiemy czytać, najwyżej nam nie wyjdzie, ale naprawdę powiemy sobie to, co chcemy. Tu kolega Rozwałak zaczął, że my... nie będziemy się wtedy krygowali, nie będziemy musieli głosować, czy ładniej napisał Siła-Nowicki, czy dosadniej napisał Modzelewski. Muszę powiedzieć: akurat Modzelewski wszystkie uchwały nam gwałci, niszczy nasze działania. Uchwała zjazdowa, którą tak ładnie napisał, w gruncie rzeczy nie dała tego, co miała dać. Miała dać strajk za podwyżki płac i zwrot rekompensaty – nie dała niczego.

Dzisiejsza uchwała mówi – jeszcze raz wracam do niej – mówi o dniach wczorajszych, nie mówi o jutrzejszych. W ogóle o niczym nie mówi właściwie, bo nie mówi, do czego my będziemy dążyli. Dlatego proponuję właśnie we własnym gronie, jak działacze, jak naprawdę jeszcze trochę autentyczni ludzie – bo też kiedyś, za rok, nie będziemy autentyczni – aby ponowić to spotkanie w dowolnym miejscu, ale naprawdę już bez udziału prasy. My nie musimy stanowiska nawet wypracować. Słuchajcie – żadnej uchwały. My możemy sobie pogadać – i na tym więc już będzie polegała, że my w tej dyskusji posłuchaliśmy, co inni mówią, jakie dobre są doświadczenia, jakie złe – i to zrealizować. A na bieżąco to będziemy w różnych innych uchwałach Krajowej Komisji usiłowali przeforsować. Dziękuję bardzo.

Tokarczuk:

Ja mam tylko taką uwagę, Janek, ale to cię zaszantażuje. Po pierwsze jest problem czysto techniczny, przyziemny, ale problem – redagowania potem naszych uchwał. Jest kwestia taka, że nie mamy w ogóle fachowców w Gdańsku, takich, którzy by [to, co] my powiemy, oni tylko przedstawiają. To, co powiedzieliśmy, tylko redakcyjnie...

Z sali:

A powinniśmy prostym robotniczym językiem...

Tokarczuk:

...bez żadnych [własnych] propozycji. Chwileczkę. No dobrze, ktoś to musi pisać. Proponuję...

Sobieraj:

Ale [Rulewski] powiedział, że może w ogóle nie być uchwały.

Z sali:

Musi być.

Tokarczuk:

Nie, to spotkanie to jest inna sprawa, ale mówię, czy w ogóle przy tego typu... [gwar] ...przy tego typu sprawach... Dlatego proponuję, żeby Rulewski...

[przerwa w nagraniu]

Przedstawicielka NSZZ Solidarność RI (prawdopodobnie Katarzyna Bielańska, członkini Prezydium Ogólnopolskiego Komitetu Założycielskiego NSZZ Solidarność RI oraz Komisji ds. Realizacji Porozumień Rzeszowsko-Ustrzyckich):

[brak początku] ...wydaje mi się, jakieś pewne nieporozumienie, jakie tutaj panuje. Ja myślę, że to jest ostatni raz, proszę państwa, że przychodzi przewodniczący związku rolników i zabiera głos wtedy, kiedy po prostu już wszystkie sprawy sobie przegadaliście, i jest traktowany jakoś per noga. My nie pozwolimy na drugi raz takiego traktowania.

Z sali:

Było to w porządku obrad?

Tokarczuk:

Przepraszam bardzo, kolega przewodniczący był zapraszany na dwunastą. Przyjechał o czwartej [po południu] – trudno tu było inaczej potem reagować.

Przedstawicielka NSZZ Solidarność RI:

Rozumiem, dobrze. Niemniej, proszę państwa, to nie jest na dziś, ale tak sprawy ciągną się od roku, ale to jest nieistotne. W każdym bądź razie chciałam zorientować państwa jeszcze z sytuacją rolników. Emocje całego społeczeństwa, które jest w Solidarności robotniczej, osiągnęły szczyt w marcu, kiedy przygotowywaliście się do generalnego strajku. I to się nie da powiedzieć, że było inaczej. W tej chwili zaangażowanie Solidarności robotniczej jest mniejsze. Tych mas. Natomiast wieś dojrzewa wolniej i ona osiąga ten szczyt mniej więcej teraz, właśnie przed świętami. I bez względu na to, co dzisiaj sobie postanowicie czy jutro, wieś rusza, i to rusza wszędzie. O tym się w ogóle nie mówi i nie bierze pod uwagę.

Myśmy tutaj przyszli po to, żeby wiedzieć, z jakimi tematami mamy wystąpić do rządu, a z jakimi nie mamy występować, bo wy jeszcze nie jesteście gotowi. To jest kwestia zasadnicza. Mamy mnóstwo tematów wspólnych, nie chodzi o typowo rolnicze, ale o te wspólne. Jeżeli my się z czymś w tej chwili wyrwiemy, wiadomo, że sobie nie damy rady i musi być wasze wsparcie. I chcielibyśmy usłyszeć, które tematy mamy w tej chwili zanieść do rządu, które wy uważacie, że już jest czas, a które mają być wysuwane wspólnie.

Poza tym jest sprawa represji wobec rolników. W lutym związek [NSZZ Solidarność] oświadczył, że ataki na niego [NSZZ Solidarność RI] będą brane jak na siebie. Prawda? [Ataki] na rolników, że bierzecie jako na siebie. Jest mnóstwo przypadków w kraju pobicia, zatrzymań, zabierania dobytku rolnikom. I nic się nie robi w tym kierunku ze strony ani robotniczej Solidarności, ani nie są efektywne działania OKZ. Jest sprawa bardzo poważna w Nowym Sączu. Z[a]ginął człowiek, upłynęły dwa tygodnie, mamy przecieki, że po prostu nie żyje. Są następni zatrzymani, są straszeni rolnicy. I w tym kierunku cisza absolutna. Dzisiaj podejmujecie oświadczenie i w nim mówicie o represjach. Ale tam nie ma ani słowa na temat wsi. Ani jednego. Od jutra rusza Nowy Sącz i idzie po kolei całe południe. Jesteśmy zorganizowani najlepiej na południu, w dziesięciu województwach, i to pójdzie falowo. W pierwszym rzędzie będziemy się skupiać na informacji, to jest najważniejsze, a następny etap chcemy, żeby to były strajki czynne – rolników i robotników, przy pomocy studentów. I tych studentów w tej chwili już zaangażowaliśmy w tej pracy.

Bo chodzi o całe społeczeństwo, bo jeżeli nie wystąpimy całym społeczeństwem, to przegramy całą tę sprawę. I chcielibyśmy się dowiedzieć, jakie jest wasze zdanie na ten temat, z czym mamy iść jutro do rządu czy pojutrze – z jaką sprawą?

[przerwa w nagraniu]

Pierwszy przedstawiciel Komitetu Obrony Więzionych za Przekonania:

[brak początku] ...tędy związku. Dlaczego stało się tak szybko? Dlatego że w naszym kraju represji jest coraz więcej. Miesiąc temu, jak podawał rzecznik prasowy, było represji trzysta, a po miesiącu już mamy czterysta. W związku z powyższym chcieliśmy dzisiaj państwu wrzucić temat na Krajową Komisję: co się dzieje w poszczególnych okręgach czy zarządach regionalnych, na każdym terenie? Całego obrazu nie mamy, ale mamy [dane z] kilku regionów, jakie są represje i co się dzieje. W tej chwili Prokuratura Generalna wszczęła śledztwo – przez prokuraturę w Radomiu – [wobec] tych osób, które zostały wybrane do Komitetów Obrony Więzionych za Przekonania¹⁴. Komitety bronią wszystkich, a w tej chwili przede wszystkim bronią członków Solidarności, bo ich jest większość [wśród] represjonowanych. Po akcji plakatowej w Chorzowie (i malowanej) leży trzech w szpitalu. Trzech w szpitalu; jeden ma szczękę złamaną, w Zabrze w klinice leży. Czy w ogóle sytuacja w innych regionach jest podobna? W Puławach – dwa procesy, u nas [na Górnym Śląsku] – 22 procesy [przeciwko redaktorom prasy związkowej]. I to procesy nie tam, że zawieszenie czy coś, tylko mogą dostać od roku nawet do 15 lat więzienia. I oni [członkowie władz] wmawiają, że oni działają praworzadnie, bo ich obowiązuje dane prawo.

My, ja, działacze w komitetach stwierdzamy, że związek zagubił się w strukturach własnie PZPR-owskich, które zostały stworzone przez 37 lat. Nie wypracowujemy własnych koncepcji działania, tylko wnikamy w nie i staramy się je reformować, a tak być, uważam, nie powinno. I tutaj komitety obrony mają pole do działania, tylko [że] w niektórych regionach w ogóle się [je] torpeduje. Przecież sam Lech Wałęsa założył te komitety, żeby rozpoczęły działalność, żeby działały. I oddolna inicjatywa poszła od związku, żeby powstawały. I powstają. A teraz dzisiaj styszałem, że nawet chce się je rozwiązać. To najlepiej by było tak: skoro śledztwo jest prowadzone w tym kierunku, to od razu podpisać Prokuraturze Generalnej oświadczenie, że się rozwiązuje, i skazać ich na lata więzienia. To będzie najprostsze rozwiązanie dla komitetów. Bo w tej chwili siedmioosobowa grupa, która została Radą Koordynacyjną wybrana – krajową, ogólnopolską – to w tej chwili jest przygotowany akt oskarżenia: grozi minimum dla nich pięć lat. I nie wiem, jaka w województwach sytuacja jest, ponieważ nie wszędzie istnieją komitety i nie mamy możliwości dojścia, gdzie jakie są represje, natomiast wiemy, że jest czterysta procesów, mniejszych lub większych. Może jeszcze tu kolega...

Drugi przedstawiciel Komitetu Obrony Więzionych za Przekonania:

Ja przystuchiwałem się tutaj obradom, fragmentowi obrad, i było dla mnie bardzo zaska-

¹⁴ W Radomiu 20–21 XI 1981 na ogólnopolskim zjeździe tych komitetów wybrano siedmioosobową Radę Koordynacyjną; śledztwo wszczęto przeciwko wszystkim jej członkom.

kujące, że bardzo wielu mówców – przewodniczących regionów – poruszało zagadnienia praworządności niejako może na marginesie bardzo wielu istotnych spraw dla związku. Niewątpliwie bardziej ważnych niż represje, ale zagadnienia praworządności były poruszane. Dla przykładu, nawet tutaj przedstawiciele rolników też to zagadnienie poruszyli. Stąd wniosek, że parcie z dołu jakieś jest. Dla przykładu, ludzie na Śląsku nie bardzo chcą iść plakatować. Tutaj padło też stwierdzenie, że prokuratura wybiera pojedynczych ludzi i pojedynczych ludzi chce skazywać. A przecież oni działają w imieniu związku, z polecenia związku, i prokuratura powinna ze związkiem w tej kwestii rozmawiać. Bo jeśli idzie grupa na polecenie KK organizować akcję plakatową, to się w jakiś sposób naraża, a potem zostaje sama, bo związek po prostu nic w tym kierunku nie robi. Mało tego, drodzy państwo, może nie powinienem tego powiedzieć, ale czujemy się też w jakiś sposób dziwnie, że przez cały dzień czekamy, żeby nam łaskawie trzy minuty głosu udzielono, kiedy sprawy są naprawdę niesłychanie ważne. A komitety realizują uchwałę zjazdu Solidarności. Ta uchwała wyraźnie nakreślała kierunki działania, przejęcia wszelkich zagadnień praworządności przez właśnie komitety, co wydaje się z przyczyn strategicznych i taktycznych Solidarności wygodne. Mamy opracowane wszystkie dokumenty niezbędne do dalszej działalności statutowej: statut, deklarację, uchwałę programową i regulamin, który chcielibyśmy na najbliższej KK zatwierdzić. Mamy także propozycję... z upoważnienia zjazdu [komitetów] propozycję, żeby KK zatwierdziła zmianę nazwy z Komitet Obrony Więzionych za Przekonania na Komitet Obrony Praworządności, po to, żeby te zagadnienia praworządności, które leżą – dokładnie: leżą, i z tego sobie wszyscy przewodniczący w regionach zdają sprawę – po prostu zacząć stawiać na pierwszym miejscu.

Ponieważ KK się zbliża lada dzień, [a] w dalszym ciągu, jak widzimy, sprawa jest w martwym punkcie, bo nawet tego punktu – zagadnień praworządności i dostępu... po prostu uczestnictwa przedstawicieli komitetów w tym [posiedzeniu] KK – nie ma. A czasu jest bardzo mało. Dla przykładu, dwustu tylko prominentów za lata siedemdziesiąte jest skazanych, a w ciągu dwóch tygodni przybywa stu członków Solidarności w kolejnych prowokowanych procesach. Ja sobie zdaję sprawę, że czy pan Jurczyk, czy, powiedzmy, pan Jaworski nie będą najprawdopodobniej zatrzymani i skazani, ponieważ za nimi ujmie się – to jest naturalne – ujmie się cały związek. Natomiast myśmy tutaj rozpatrywali szereg możliwości dalszego rozwoju sytuacji: czy konfrontacja, czy zgoda, czy porozumienie narodowe. I tylko kolega Modzelewski powiedział jedną bardzo mądrą rzecz, że może być przecież inna wersja rozwoju wydarzeń, może być wytuskiwanie, rozwadnianie, właśnie wybieranie tych podstawowych ludzi. Przykład: człowiek, który rozklejał plakaty w Częstochowie, dostał rok więzienia w zawieszeniu. Znajdą u kogoś jedną ulotkę? Jak będzie trzeba, wsadzą go na rok. Kolega Jurczyk chce jechać za granicę w sprawach związkowych? Już ten miecz Damoklesa nad nim wisi: paszportu nie dostanie, bo śledztwo jest prowadzone. Jeżeli Solidarność nie postawi sprawy jasno, oczywiście, jeżeli komitety nie będą działały prężnie, współdziałając z KK ściśle – żeby nie było takiej dwuznacznej sytuacji, jak w wypadku „marszu gwiazdzystego” [zapowiadanego na 17 sierpnia 1981, odwołanego], bo zdajemy sobie z tego sprawę, że był to pewnego rodzaju niewypał i niedogadanie – to po prostu nas będą wpuszczać cały czas w maliny i nie będzie czterystu spraw, ale będzie tysiąc, dwa tysiące, pięć tysięcy. Aż wybiorą wszystkich szeregowych członków, aż się

ludzie w kopalniach – tak jak to [już] ma miejsce – odwróć. Aż grupy plakatowe nie będą wychodziły na miasto, bo będą uważały, że po prostu nikt ich nie broni, a tylko od nich wymagają narażania siebie.

Dlatego postulujemy, żeby przy takich spotkaniach jak w dniu dzisiejszym przewodniczący regionów mieli pełny serwis informacji o represjach i o zagadnieniach praworządności, żeby nie dyskutować w ciemno. Nasza obecność tutaj to nie jest pokazywanie twarzy, ale właśnie dostarczenie materiałów przewodniczącym regionów, żeby wiedzieli, że sprawa ta przez ludzi na dołach, w zakładach pracy, jest traktowana bardzo poważnie. Bo podejrzewam, że nikomu z tego towarzystwa nie grożą kary więzienia, ale odczuwalne to jest pod tymi zwykłymi strzechami, w zakładach pracy, że mogą pójść w każdej chwili na rok, pięć, dziesięć do kicia. I dlatego mamy następujące zagadnienie: chcielibyśmy w najbliższym czasie opracować i przesłać przewodniczącym regionów, do użytku wewnętrznego, wszystkie materiały komitetów i pełny wykaz represji, z odnośną uchwałą. Chcielibyśmy także tutaj prosić o włączenie do programu najbliższej Komisji Krajowej zagadnienia właśnie praworządności w kontekście narastającej fali represji. Czyli chcielibyśmy te dane przedstawione nam przez 30 komitetów krajowych [tj. terenowych] przedstawić na KK i ustalić, być może, czy nawiązać choćby dyskusję na temat skoordynowania działań takich, które by dały poczucie bezpieczeństwa członkom Solidarności. Że nie wspomnę o takich formalnych zabiegach, jak zaakceptowanie regulaminu i ewentualna zgoda KK na zmianę nazwy na Komitet Obrony Praworządności. Władzy to wyrzuci, wytrąci z ręki ten argument: „Jakie komitety? Komitety są nielegalne, bo to Komitet Obrony Więzionych za Przekonania, gdyż przecież w Polsce nie ma więźniów politycznych”.

Powtarzam raz jeszcze: komitety zajmują się, zgodnie z uchwałą zjazdu [Solidarności], praworządnością, a nie jakimiś tam czterema siedzącymi przywódcami KPN, bo to jest kropla w morzu tego, co jest w tej chwili. Tego bata, który w tej chwili szykowany jest właśnie na członków Solidarności. Co do tego nie ma żadnych chyba wątpliwości nikt z państwa. W tej chwili jest za mało czasu, wszyscy są zmęczeni i tych materiałów przewodniczącym nie możemy dostarczyć, bo jest to już po prostu musztarda po obiedzie. Ale chcielibyśmy, żeby w następnych spotkaniach tego typu potraktować pracę komitetów w sposób bardziej poważny, gdyż nie będzie to, powtarzam, rodzaj reklamy, ale konkretne materiały do konkretnych dyskusji, które dotyczą wszystkich regionów. I tak chciałbym, żeby to było zrozumiane. Dziękuję za uwagę.

Z sali:

To nie jest musztarda po obiedzie.

Tokarczuk:

Tylko tak – przypominam jedno: sprawa represji była postawiona jako warunek... którego nie popuścimy tutaj, czyli sprawa nie jest pominięta. Po drugie ja mam taką uwagę: przecież ludzie, zlitujcie się już nade mną! Jeżeli ustalamy sobie charakter tego spotkania, to czy taka propozycja, żeby to weszło na obrady, musi tutaj padać? Jestem w Gdańsku, wystarczy zgłosić, przygotować i...

ANEKS

Dziś toczy się batalia wielka!

Lech Wałęsa na nadzwyczajnym zebraniu plenarnym przewodniczących i członków komisji zakładowych NSZZ Solidarność Regionu Ziemia Radomska w hali Radoskóru 3 grudnia 1981 r.

Oczywiście zauważ[a]cie, że związek nasz cofa się, że związek nasz traci grunt, i macie rację. Jednocześnie musimy coś zrobić, żebyśmy nie cofali się, ale potrzebne będą superforce B-52 i inne czołgi; tą drogą możemy szybciej załatwić sprawę... Ale jak zauważyliście, od początku nie szliśmy tą drogą, bo każdy z nas ma w rodzinie wielkie straty i dzisiaj musimy wygrywać inaczej. A ta szabelka naprawdę dużo nas kosztowała. I to, co robimy i robiliśmy do tej pory – chodziło o to, żeby jak najniższymi kosztami własnymi coś zdobywać. Trochę zrobiliśmy, ale nie tyle, co mieliśmy zrobić. Musimy dzisiaj się zastanowić, że teraz nie mamy się już gdzie cofać, bo jeśli się cofniemy, to wtedy wy nas wyrzucicie. I bardzo dobrze. My sobie w pełni zdajemy sprawę z tego, że rzeczywiście jest krytyczna sytuacja i jeśli chcemy nie dać się wyrzucić, bo już nam stanowiska odpowiadają, nieźle nam się żyje, dlatego musimy coś zrobić, co będzie akceptowane [zaznaczył tu, że żartuje – uwaga autorów stenogramu].

Proszę państwa, jeśli mamy zrobić taki krok czy inny, to my nie mamy z kolei prawa. Musimy tylko zasygnalizować państwu, jakie konsekwencje z tego mogą wyniknąć. I wtedy schodzimy w dół, pytamy się was. Jeśli jesteście gotowi – idziemy jako pierwsi, bo taka droga jest przez nas sprawdzona. Te dzisiejsze spotkania tylko i wyłącznie przewodniczących grup [przewodniczących zarządów regionów] i Prezydium Krajowej Komisji mają określić, w jakiej sytuacji jest związek. Co ewentualnie powinniśmy zrobić, żeby państwa zainteresować, abyśmy się zrozumieli. Oczywiście nie mamy dziś prawa podjąć żadnej decyzji, bo przewodniczący regionów to nie jest ciało statutowe, a jest to wyłącznie ciało konsultacyjne i programujące, proponujące. Po tym naszym spotkaniu schodzimy do zakładów pracy, mówimy, co ustaliliśmy. Jeśli wam to będzie odpowiadać – idziemy tą trudną drogą.

Jednocześnie pamiętajmy, że tak jak mówiłem na pierwszym zjeździe KKP [właśc. KZD – Krajowym Zjeździe Delegatów NSZZ Solidarność], nie doceniamy partnera. Chociaż naprawdę żaden partner, którego się detronizuje względnie mu się odbiera ciepłe posadki, on naprawdę nie zejdzie tak na „dziękuję, przepraszam”. Na pewno tego nie robi. Dlatego musimy wymyślić taką drogę, aby nie za dużo nas to kosztowało.

Ktoś myśli, że najlepszą drogą jest strajk. Ja się z państwem zgadzam, a jednocześnie mówię, że nie. Bo dzisiaj, gdybyśmy całym krajem łupnęli strajk generalny, finał będzie prawdopodobnie taki: miesiąc czasu sobie strajkujemy, władza siedzi na swoich miejscach i tylko patrzy. Oczywiście po miesiącu w telewizji, radiu podają nam: dzisiaj wyłączamy elektrownie, jutro wyłączamy piekarnie, pojutrze komunikację, bo nie ma ropy. I wtedy mówią: to, że wyłączyliśmy elektrownie, to zmarło pięcioro dzieci tu i tu i tak dalej. To, że nie ma dzisiaj chleba w Gdańsku, to dlatego, że miesiąc czasu strajk trwa. Oczywiście

to perfidna walka. Nawet [niech] zostanie [u władzy tylko] jeden z tych panów, [to] i on powie: jestem siłą przewodnią, rządę tym krajem, a świat pracy jest światem pracy. Dlatego przemyślcie, że ta droga – moim zdaniem – jest drogą przegraną.

Jeśli w porę nie zrobimy innych manewrów, które spowodują, że my na tę sytuację jakoś odpowiemy, finał będzie jeszcze trochę inny, że moja żona, jak my się zamkniemy w zakładach pracy – bo na ulicach jesteście niebezpieczni, to będą nas łąpać różni hycle, i dlatego też zamkniemy się w zakładach pracy – po miesiącu przychodzi moja żona i mówi: „No, Lech, pięknie ci się tu strajkuje, nawet występy, nawet pieśni i tańce, oczywiście, [ale] moje dzieci już chleba nie mają, ojciec – chodź do domu, chleb zrób”. A ja mówię: „jeszcze poczekaj dwa dni”. Za dwa dni przychodzi i mówi, że „nie ma chleba, a ty strajkujesz”. A władza nadal rządzi, bo jest „kierowniczą rolą”... Dlatego też patrzcie i na ten element, bo taki byłby finał.

Musimy też pamiętać jeszcze o jednej rzeczy, że w sumie można uderzać inaczej, ale żeby uderzyć skuteczniej. I nad takimi uderzeniami myślimy, które by nie powodowały strat własnych, a tylko zysk i zwycięstwo. Takimi rzeczami może być strajk generalny w telewizji i radiu. Nie skutkuje? To nie płacimy za telewizję, za mieszkanie. [A] oczywiście wszędzie Solidarność ogrzewa mieszkania, bo my [przecież] pracujemy. Pomysłów jest wiele. Ale my jako działacze musimy jeszcze pamiętać, że [ponosimy] odpowiedzialność; to nasze głowy będą pierwszymi głowami, [które spadną]. Te rzeczy przewidujemy. Odpowiedzialnym chcę być do końca, jeśli już co powezmę. To jak będzie coraz bardziej niebezpiecznie – o, to razem z KK przyjdziemy i się spytamy. Powiemy: proszę państwa, jeśli zażyczymy sobie takiej rzeczy, to rakietą ziemia – powietrze, jest przypuszczenie, że trafi nas w oko. Jak się zdecydujecie na to, przegramy wspólnie i nie możecie mieć do nas o to pretensji.

Nad tymi drogami i sposobami walki dzisiaj dyskutujemy. Do tej pory walczyliśmy o podwyżki, o drobne rzeczy, dzisiaj doszliśmy do generalnych rozstrzygnięć. Czym gorsze tematy polityczne, tym musimy być bardziej zvarci. Dlatego też wszem i wobec ostrzegam, że dzisiaj tworzyć partie polityczne [i] oczywiście inne kluby dyskusyjne – piękna sprawa. Ale i władza znów jest bardzo mądra. Wtedy to bierze tę partię polityczną i zamyka. No, ta partia ogłosiła się, [ale] nic nam nie dała, ani chleba, ani butów, ani niczego. A my jej będziemy bronić. Ale nie wszyscy. Bo będą tacy, co powiedzą: za chleb to ja będę strajkować, ale nie za to, że ktoś chce zostać premierem. Dlatego na dziś i na parę miesięcy – trudno, możecie się z nami nie zgadzać – ale musimy być razem, bo najważniejsze rozstrzygnięcia dopiero się rozstrzygają.

To, co osiągnęliśmy do dzisiaj, to jest prawie nic. Oczywiście zależy, jaką miarą mierzymy. Ale w gruncie rzeczy nie ma zmian, które by powodowały, że jutro jest spokojne. Dlatego proszę was, nie dajcie się nabrać na podziały, na interesy branżowe, interesy więźniów politycznych... Oczywiście oni są; z całością [spraw] musimy walczyć, ale nie z [narzuconych nam] powodów [i nie tak], żeby z dziesięciu więźniów było ich stu... Oczywiście są tematy ważniejsze i musimy je ustawić. I musimy wspólnie jeszcze trochę wytrzymać, aby te najistotniejsze i najważniejsze rzeczy się naprawdę rozstrzygnęły. One się rozstrzygną niedługo, ale – moim zdaniem – gdzieś do pół roku.

Jest niebezpieczeństwo, że teraz się zaczną prowokacje albo wciąganie związku w walkę chaotyczną – regionami, zakładami, studentami i tym podobne. My musimy

znów powiedzieć, że oczywiście nie damy się wciągnąć. My wyznaczamy kierunki i miejsce spotkania i z tego nie zrezygnujemy. Jeśli tu ktoś wejdzie [z prowokacją], dostanie w szczękę. Tak musi być, stąd apel Prezydium KKP [właśc. KK – Komisji Krajowej], że naprawdę dziś przedszkole dla wioski jest bardzo ważne, dla Radomia jest ważna sprawa praworządności, bo 1976 rok, bo rzeczywiście macie rację... Ale dzisiaj jest ważne [coś innego]... Dla Gdańska [ważny jest] 1970 rok i inny, ale do tych spraw wrócimy i rozliczymy. Ale dziś toczy się batalia wielka! Dziś nie możemy regionami szarpać, bo przeciwnik jest groźny. Odnowić się nie chce, tylko mówi, że się odnawia. On się nie odnowi, nie zrezygnuje – my musimy go do tego zmusić, zabezpieczyć się przed tym.

Myślę, że główne tematy wyczerpałem. Proszę o jedno: bądźmy razem. I więcej zaufania, bo wy mi nie wierzycie, bo mięczak, bo zdrajca i tym podobne. Może się wytłumaczyć, skąd ta miękkość, bo mnie to trochę denerwuje. Do 1976 roku byłem [takim] radykałem, jaki nie wiem czy w Polsce był, ale zawsze dostawałem po nosie i nic nie zdobyłem. Powiedziałem sobie: nie! Radykalizm powinien polegać na tym, że musisz zdobyć. Ale nie mów o tym, obejdziesz, przejdź, zaczekaj, uderz, nim masz go puścić w maliny. I z tym radykalizmem niezrozumiałym dla wszystkich szliśmy – i będziemy szli.

Cel jest jeden, dojście jednak różne. Jedni proponują czołgowo-bombowe i to by się im mogło udać, ale koszty, jakie zapłacimy, mogą nam się nie kalkulować. Co nie znaczy, że nie dojdziemy do konfrontacji. Dojdziemy, ale w momencie, gdy większość ludzi będzie wiedziała, co jest grane. Większość – nawet i ta sejmowa, i ta milicyjna, i inne zorientują się, że nie ma innej drogi dla Polski. Że uczciwość jest zawsze uczciwością. Że nie można zawsze tak postępować [jak dotychczas]. Pozyskawszy większość społeczeństwa i różnych grup – wtedy konfrontacja będzie [z punktu widzenia przeciwnika] mniej skuteczna i wtedy [nasze] zwycięstwo będzie niższym kosztem. A co do tego nie ma żadnych wątpliwości, że to musi kiedyś nastąpić. Dzisiaj jeszcze nie. Dlatego proszę, żebyście odrzucili to, że z Wałęsy zrobił się mięczak.

Na tym chciałbym zakończyć, chyba że macie jakieś istotne, bombowe tematy, na które powinienem odpowiedzieć, to proponuję trzy pytania, na które mogę państwu odpowiedzieć. I uciekamy, radzimy dalej, bo musimy. Jutro już Barbórka, nie wiadomo, co pojutrze rząd robi, musimy coś uradzić. A wiecie – jesteśmy trochę rozdemonokratyzowani. To jest fajne, to musi być, a jednak to przeciąga sprawę. My musimy długo dyskutować, żebyśmy zdążyli przed jutrem, to musimy wrócić na obrady i określić nasze położenie. Na pewno się tu jeszcze spotkamy. Jak nie tu, to gdzie indziej, gdzie będzie zimno [na Syberii], dlatego proponuję kufajki przygotować... Proszę trzech ludzi, tylko nie podstawionych.

Z sali:

Jak pan widzi front porozumienia narodowego?

Wałęsa:

Myślę, że po tym graniu na nosie związkowi i ruchowi społecznemu dzisiaj zapadnie decyzja: nie ma porozumienia, bo nie ma się z kim porozumieć. Partner oszukuje.

Z sali:

Kiedy w końcu związek dojdzie do telewizji, bo ludzie się denerwują?

Wałęsa:

Obiecano nam na sto procent dostęp do telewizji. Najpierw będzie to program ekonomiczno-gospodarczy z udziałem Grzegorza Palki, Jacka Merkela i Stanisława Wądołowskiego i innych – ekspertów. W piątek siadają oni po dzienniku i godzinę czasu państwa zanudzają. To nie znaczy, że telewizja jest zdobyta. Mamy zaklepane dziesięć godzinnych występów. Nie wiem, może po moim dzisiejszym wystąpieniu się coś zmieni. Na razie mówię, co jest ustalone.

Z sali:

Jesteśmy w przededniu tego, że Sejm się zbierze i coś ustali, a związek nie zajmie stanowiska. Czy pan przewodniczący nie uważa, że wizyta Breżniewa w RFN była podobna do spotkania Ribbentrop – Mołotow?

Wałęsa:

My nie śpimy. Jeśli rząd prowadzi określone posunięcia, to my określimy stanowisko i przedstawimy do zaakceptowania przez ludzi i cały związek.

Stanowisko Prezydium KK i przewodniczących zarządów regionów NSZZ Solidarność¹⁵

Prezydium Komisji Krajowej i przewodniczący zarządów regionów NSZZ Solidarność przedstawiają członkom związku pod konsultację i Komisji Krajowej pod obrady następujące stanowisko:

1. Władze partyjno-państwowe wykorzystały negocjacje ze związkiem oraz ideę porozumienia narodowego dla wprowadzenia społeczeństwa w błąd. Rozmowy nad kluczowymi postulatami Solidarności (kontrola zasobów żywności, samorząd terytorialny, reforma gospodarcza, praworządność, dostęp do środków masowego przekazu) okazały się bezowocne.

Rząd zaskoczył związek, wnosząc do Sejmu projekt tzw. prowizorium systemowego, które godzi w podstawowe interesy ludzi pracy. W okresie negocjacji władze nasiliły akcje represji antyzwiązkowych, czego najdotkliwszym przejawem stało się pobicie uczestników grupy plakatowej w Chorzowie oraz atak MO na wyższą szkołę oficerów pożarnictwa w Warszawie. Uzasadniony strajk studentów jest rozmyślnie przedłużany przez władze, które torpedują próby rozwiązania konfliktu radomskiego. Co więcej, VI Plenum KC PZPR postanowiło przeforsować w Sejmie ustawę o środkach nadzwyczajnych, utrzymując treść tej ustawy, która zaważyć może na losach Polski, w tajemnicy przed narodem. Rozmowy o porozumieniu narodowym wykorzystane zostały przez stronę rządową jako parawan osłaniający przygotowania do ataku na związek. W tej sytuacji dalsze pertraktacje na temat porozumienia narodowego stały się bezprzedmiotowe.

¹⁵ Oświadczenie to – według projektu Karola Modzelewskiego, z minimalnymi zmianami – zostało przyjęte przytłaczającą większością głosów.

2. Niezależnie od tego, czy ustawa o nadzwyczajnych środkach działania upoważni rząd do stawiania cywilnych obywateli przed sądami wojskowymi, zakazu zgromadzeń i ograniczenia podróży, czy tylko do zniesienia prawa do strajku, nie da się wprowadzić jej w życie inaczej niż drogą terroru. Równałoby się to próbie obezwładnienia społeczeństwa przemocą. Dlatego na ewentualne uchwalenie przez Sejm nadzwyczajnych uprawnień dla rządu związek odpowie 24-godzinny strajkiem protestacyjnym. W przypadku gdy rząd, korzystając z przyznanych mu przez Sejm uprawnień, zastosuje środki nadzwyczajne, wszystkie ogniwa związku i wszystkie załogi winny przystąpić niezwłocznie do strajku powszechnego.

3. Tzw. prowizorium systemowe na 1982 rok utrzymuje w praktyce stary system zarządzania gospodarką, obciążając jednocześnie przedsiębiorstwa i ich załogi materialną odpowiedzialnością za decyzje, które pozostaną w rękach organów centralnych. Równa się to przekreśleniu reformy oraz uchwalonych już przez Sejm ustaw o samorządzie przedsiębiorstwa przy jednoczesnym zagrożeniu licznych przedsiębiorstw bankructwem lub redukcjami i obniżkami płac. Wraz z prowizorium wprowadzane mają być drastyczne podwyżki cen, projektowane przez rząd. Społeczeństwu każe się zapłacić za reformę, której nie ma.

Związek nie zgodzi się na podwyżki cen bez reformy gospodarczej. Przed skutkami takich podwyżek, zamykaniem fabryk, redukcjami i obniżkami płac bronić będziemy ludzi pracy zgodnie z ustawowymi celami związku zawodowego i przy użyciu wszystkich statutowych środków.

4. Porozumienie narodowe nie może polegać na wprowadzeniu związku do przemalowanego FJN, do czego zmierzała strona rządowa. Takie ozdobienie znacznikiem Solidarności fasady starego systemu władzy państwowej, który doprowadził kraj do upadku, nie złagodziłoby w niczym kryzysu, a pozbawiłoby jedynie związek niezależności i wiarygodności.

Związek nie odstąpi od spełnienia następujących żądań:

- a) wycofania się władz ze wszystkich represji antyzwiązkowych;
- b) przedstawienia Sejmowi projektu ustawy o związkach zawodowych w wersji uzgodnionej z przedstawicielami Solidarności;
- c) wycofania się władz z tzw. prowizorium systemowego oraz uzgodnienia ze związkiem i wprowadzenia w życie reformy gospodarczej opartej na samorządności przedsiębiorstw;
- d) przeprowadzenia demokratycznych wyborów do rad narodowych wszystkich szczebli (w tym przedterminowo do rad wojewódzkich) oraz podporządkowania im administracji terytorialnej. Nie zgodzimy się głosować na jedną listę, jak w latach poprzednich;
- e) ustanowienia związkowej kontroli nad gospodarką, w tym zwłaszcza nad zasobami żywności; utrzymywanie ich w tajemnicy przed narodem jest nie do przyjęcia;
- f) przyznania Społecznej Radzie Gospodarki Narodowej kompetencji umożliwiających realny wpływ na decyzje rządowe i kontrolę nad polityką gospodarczą państwa;
- g) zapewnienia tej Radzie, Solidarności, Kościołowi i innym ośrodkom opinii publicznej dostępu do radia i telewizji.

Są to minimalne warunki porozumienia narodowego, które umożliwi wspólną skuteczną walkę z kryzysem. Za takim porozumieniem opowiadamy się.

Projekt oświadczenia¹⁶

W dniu 3 listopada 1981 roku odbyło się spotkanie księdza prymasa Polski arcybiskupa Józefa Glempa, prezesa Rady Ministrów generała Wojciecha Jaruzelskiego i przewodniczącego NSZZ Solidarność Lecha Wałęsy. Ze spotkaniem tym całe społeczeństwo polskie łączyło i nadal łączy nadzieję ogólnonarodowego porozumienia, które pozwoli wyjść Polsce ze społecznego i gospodarczego kryzysu. Niestety, w ciągu miesiąca od wspomnianego spotkania nastąpiły następujące fakty:

1) Sejmowi przedstawiony ma być projekt ustawy o związkach zawodowych daleko odbiegający od wspólnych ustaleń uzgodnionych z NSZZ Solidarność.

2) Komitet Centralny PZPR powziął uchwałę o przedstawieniu Sejmowi projektu ustawy o nadzwyczajnych pełnomocnictwach dla rządu, ograniczających w sposób drastyczny swobodę życia związkowego i umożliwiających pozbawienie świata pracy prawa do strajku.

3) Rozmowy prowadzone przez grupy negocjacyjne rządu i NSZZ Solidarność zakończyły się całkowitym niepowodzeniem. Rząd wbrew stanowisku NSZZ Solidarność przedstawia Sejmowi projekt tak zwanego prowizorium reformy gospodarczej i bez postulowanych przez związek form reformy gospodarczej zamierza w sposób drastyczny dokonać podwyżki cen. Odrzucone zostało aprobowane przez całe społeczeństwo żądanie związku kontroli nad zapasami i dystrybucją żywności.

4) Odrzucone zostało zasadnicze żądanie związku dostępu do środków masowego przekazu, co stanowi kontynuowanie niedotrzymywania jednego z zasadniczych punktów porozumień z sierpnia i września 1980 roku i co budzi od dawna oburzenie całego społeczeństwa.

W tym stanie rzeczy wobec swoich członków i całego społeczeństwa związek stwierdza, że w chwili obecnej kontynuowanie rozmów z rządem zostało wskutek stanowiska strony rządowej uniemożliwione. Prezydium Komisji Krajowej i przewodniczący zarządów regionalnych stwierdzają, że uchwalenie ustawy o nadzwyczajnych pełnomocnictwach, ograniczających prawa świata pracy, zburzy dotychczasowy spokój społeczny, zakłócony już wypadkami w Radomiu, w Chorzowie i w Warszawie i licznymi postępowaniami karnymi wytoczonymi członkom władz związku.

Prezydium Komisji Krajowej i przewodniczący zarządów regionalnych ostrzegają Sejm, że uchwalenie tej ustawy wywoła ostrą akcję protestacyjną, a wprowadzenie jej w życie musiałoby doprowadzić do strajku generalnego i jego skutków nieobliczalnych dla kraju, aż do groźby ogólnonarodowej katastrofy, której nikt nie będzie w stanie zapobiec.

Przewodniczący Komisji Krajowej, Prezydium Komisji Krajowej i przewodniczący zarządów regionów, reprezentujący 10-milionowy niezależny, samorządny związek Solidarność, zwracają się do Sejmu i rządu o uczciwe i odpowiedzialne realizowanie linii porozumienia narodowego, zapoczątkowanego spotkaniem w dniu 3 listopada 1981 roku, i dotrzymanie warunków porozumień w Gdańsku, Szczecinie i Jastrzębiu.

¹⁶ Autorstwa Władysława Siły-Nowickiego, odrzucony w głosowaniu.

RADOM, 3 GRUDNIA 1981

SOLIDARNOŚĆ W PRZEDEDNIU WOJNY

KAROL MODZELEWSKI

Bezpośrednim powodem, który skłonił mnie do napisania tych uwag¹, była wypowiedź red. Andrzeja Micewskiego. 28 października 1984 r. w ramach Tygodnia Kultury Chrześcijańskiej wygłosił on prelekcję pt. „Testament duchowy Kardynała Wyszyńskiego”. W trakcie dyskusji zapytano prelegenta m.in. o to, czy prymas Glemp orientował się w zamiarze wprowadzenia stanu wojennego, a także o to, czy doszłoby do stanu wojennego, gdyby żył prymas Wyszyński. Odpowiedź red. Micewskiego wzbudziła swego rodzaju sensację. Cytuję ją według nagrania magnetofonowego, gdyż kasety z tym nagraniem krążyły po kraju, a wypowiedź uzyskuje przez to obieg publiczny:

„Na pierwsze pytanie mogę odpowiedzieć szczerze, ponieważ byłem tym człowiekiem, który na jakieś trzy tygodnie przed wprowadzeniem stanu wojennego dowiedział się, że coś podobnego może nastąpić, i oczywiście w nocy pojechałem do prymasa i go o tym

¹ Artykuł, napisany wiosną 1985 r. dla kwartalnika „Krytyka”, ukazał się w nr 21 tego pisma (Warszawa 1986, s. 43–57) oraz w nr 12 „Obecności” (Wrocław 1985, s. 33–50). Wywołał on polemikę Andrzeja Micewskiego (*Kościół ostrzegał Solidarność*), zamieszczonej w „Znakach Czasu” (1987, nr 7/3) i przedrukowanej przez „Politykę” (1987, nr 46). W polemice Andrzej Micewski zajął się tylko tym, co wiązało się z nim samym i jego prawdziwością. Odpowiedź nie wydaje mi się więc potrzebna. Ograniczam się do umieszczenia niżej ważniejszych informacji i twierdzeń zawartych w artykule *Kościół ostrzegał Solidarność* oraz kilku słów komentarza. Na baczność uwagę zasługuje natomiast wywiad z płk. Ryszardem Kuklińskim w nr 4/1987 paryskiej „Kultury”. Brak mi wystarczających kompetencji do przeprowadzenia krytycznego rozbioru tego źródła. Ograniczam się do jednej sprawy. Tekst Ryszarda Kuklińskiego zawiera sugestię (ale nie stwierdzenie!), jakoby przywódcy Solidarności znali szczegóły planowanego stanu wojennego, a nawet kryptonim tej operacji („Wiosna”) i listy internowanych. Według płk. Kuklińskiego twierdzenie takie wysunąć miał gen. Kiszczak, uzasadniając potrzebę roztoczenia przez MSW ściślejszej kontroli nad uczestnikami sztabowych przygotowań (a więc może nie całkiem bezinteresownie). Ze swej strony mogę powiedzieć ze stuprocentową pewnością, że informacje takie nigdy do mnie nie dotarły. Trudno też zaprzeczyć, że nocą 13 XII 1981 r. przywódcy Solidarności dali się zaskoczyć w sposób, który dowodzi całkowitej nieznajomości operacyjnych planów stanu wojennego. Znając dość dobrze stosunki w kierownictwie związku, jestem przekonany, że tajne informacje tego typu, udostępnione bodaj jednej czy dwom osobom z tego grona, w ciągu najdalej tygodnia nie byłyby już tajemnicą dla pozostałych. Moim zdaniem Ryszard Kukliński informował tylko Amerykanów, a obawy politycznej natury powstrzymywały rząd Stanów Zjednoczonych przed przekazaniem kierownictwu Solidarności informacji uzyskanych od Kuklińskiego.

zawiadomiłem². Spowodowało to serię rozmów ks. prymasa – w niektórych uczestniczyłem, w niektórych nie uczestniczyłem – z p. Wąsą, doradcami i kierownictwem Solidarności. Czyli że Kościół nie tylko był uprzedzony, ale w gruncie rzeczy nikt mu nie zakazał informować kierownictwa związku³. Natomiast związek był przekonany o swojej sile i o słabości rządu i wydaje mi się, że to przesądziło, iż uważał, że prymas i jego doradcy są ludźmi słabymi [b.n.p.t.]. Naprawdę poważna rzecz, no ale, proszę państwa, ja muszę powiedzieć, że nawet gdyby przywódcy Solidarności wtedy już wzięli poważnie nasze ostrzeżenia, to było bardzo trudno pokierować w ostatniej chwili 9,5-milionowym ruchem społecznym. Nie chcę tu nikogo usprawiedliwiać. Uważam, że dużo wcześniej należało wziąć pod uwagę rady kard. Wyszyńskiego, który mówił o polityce małych kroków, o stawianiu żądań czysto związkowych, o odkładaniu pewnych żądań na termin późniejszy – wszystko to nawet w mojej książce jest opisane. Natomiast w tej ostatniej chwili, w tych ostatnich dniach, że tak powiem – no, boję się, że przywódcy, którzy by się cofnęli, mogli być bardzo łatwo zdezwauowani przez te milionowe masy. Sytuacja była rzeczywiście dramatyczna. Mogę tylko powiedzieć, że Kościół spełnił swój obowiązek do końca. Znaczący – była taka rozmowa na 3 czy 4 dni przed stanem wojennym, kiedy prymas dosłownie podniósł głos i mówił do przedstawicieli Solidarności: »Panowie, przekroczyliście prawa dane wam przez świat pracy«. Ja tego jeszcze dziś nie mogę ogłosić drukiem, co wiem, ale były to dramatyczne rozmowy i jedno mogę powiedzieć z czystym sumieniem, że Kościół zrobił wszystko, co było możliwe.

A teraz, jeśli chodzi o to gdybanie: ja myślę, że gdyby żył kard. Wyszyński, sprawy może by się troszeczkę

jeszcze przewlekły. Natomiast rzeczy się działy w skali świata podzielonego na dwa bloki i w skali jednego z tych dwóch bloków. W związku z tym nawet tak wybitny człowiek jak kard. Wyszyński najprawdopodobniej nie mógłby przesądzić innego wyniku. Dziękuję”.

Pod osłoną Sejmu czy pod osłoną nocy?

Nie zamierzam ograniczać się do spraw poruszonych przez red. Micewskiego ani konstruować artykułu jako polemiki z jego wypowiedzią. Na samym początku trzeba jednak zwrócić uwagę na dwuznaczność sformułowania: „że coś podobnego może nastąpić”. Zamiar wprowadzenia stanu wyjątkowego pod nazwą nadzwyczajnych uprawnień dla rządu był przecież publicznie znany. IV i VI plenum KC zalecały wniesienie projektu takiej ustawy do Sejmu. Od przełomu listopada i grudnia kierownictwo związku traktowało tę groźbę bardzo poważnie. Treść ustawy o uprawnieniach nadzwyczajnych utrzymywana była w tajemnicy, ale na początku grudnia do przywódców Solidarności dotarły niedyskrecje, a wkrótce pełny tekst projektowanej regulacji prawnej. Była to łagodniejsza i z góry ograniczona w czasie wersja dekretu o stanie wojennym. Najważniejsza różnica polegała jednak nie na treści przepisów, lecz na sposobie wprowadzenia ich w życie. Ustawa o uprawnieniach nadzwyczajnych zakładała drogę konstytucyjną, a więc uchwalenie regulacji prawnej przez Sejm. Była to droga zgodna z legalizmem komunistycznej władzy, bo oparta na uchwałach KC i dopuszczająca udział FJN-owskich ugrupowań w sejmowej debacie i decyzji. Dawało to Solidarności, Kościołowi, a także tym grupom w Sejmie i w samej partii, które były przeciwne siłowemu rozwiązaniu, możliwość przeciwdziałania projekto-

² W artykule *Kościół ostrzegał Solidarność* Andrzej Micewski wyjaśnił bliżej, czego się wówczas dowiedział: „W połowie listopada 1981 r. usłyszałem od kogoś z kierowniczych kół PZPR, że służbę wojskową w normalnych warunkach można przedłużyć poborowym tylko jeden raz, więc należy się spodziewać szybkich decyzji. Zawiadomiłem o tym Ks. Prymasa Glempa...”. Wątpliwe, czy przy tej okazji budzono prymasa w nocy; było to raczej gawędziarskie ubarwienie, które miało wskazywać na zażyłość prelegenta z prymasem.

³ A. Micewski, *Kościół ostrzegał Solidarność*: „Alarmowałem Księdza Prymasa coraz bardziej natęczywie. Ze strony Kościoła zachowano jednak daleko idącą ostrożność, bo nikomu z nas [zaimkę „my” oznacza tu hierarchię kościelną] nie przyszło do głowy rozwiązanie w postaci – stanu wojennego [...] Kościół do końca nie znał pełnej prawdy o tym, co zamierza rząd”.

wi stanu wyjątkowego. Nawet gdyby nie udało się go zablokować, związek zyskiwał czas i sposobność do przygotowania skuteczniejszej samoobrony.

Tymczasem stan wojenny wprowadzono nie pod osłoną Sejmu, lecz pod osłoną nocy. Ominięto procedurę konstytucyjną, zastępując w czasie trwania sesji parlamentarnej ustawę dekretem. „Sojusznicze” ugrupowania katolickie zawieszono, pozostałe zaś stronnictwa, Sejm, a nawet Biuro Polityczne KC postawiono przed faktem dokonanym. Oznaczało to, że zamach na Solidarność łączy się z faktycznym przejęciem władzy przez wojsko, co naruszyło wewnętrzny legalizm systemu i nadało akcji WRON formy charakterystyczne dla zamachu stanu (zajęcie rozgłośni radiowych i TV, central telefonicznych i urzędów pocztowych, zablokowanie łączności telefonicznej i teleksowej, zawieszenie oficjalnie wydawanych czasopism itd.).

Kierownictwo Solidarności podjęło działania mające zapobiec uchwaleniu ustawy o uprawnieniach nadzwyczajnych, a w razie jej przegłosowania i wprowadzenia w życie – doprowadzić do odwołania stanu wyjątkowego. Znalazło to wyraz w soleckiej* uchwale Prezydium KK z 2 grudnia, stanowisku radomskim z 3 grudnia oraz nieznanych już ogółowi uchwałach KK z 12 grudnia 1981 r. Nie ulega natomiast wątpliwości, że zamach przeprowadzony nocą z 12 na 13 grudnia zaskoczył władze Solidarności. Związek nie był przygotowany na taką ewentualność, chociaż przeprowadzał mobilizację do walki przeciw ustawie o stanie wyjątkowym. WRON z powodzeniem wykorzystwała czynnik zaskoczenia.

Jeżeli informacje uzyskane przez red. Micewskiego i przekazane prymasowi dotyczyły groźby przeforsowania w Sejmie i wprowadzenia stanu wyjątkowego, to ich znaczenie było ograniczone: byłoby potwierdzeniem rozeznania, jakie miała hierarchia kościelna i kierownictwo związku. Gdyby jednak dowiedział się

on o planowanym zamachu wojskowym, który opierał się przecież na innym scenariuszu i miał inne następstwa dla władzy i społeczeństwa, to nasuwa się parę istotnych pytań. Pewne niedowierzanie budzić mógłby fakt, że Andrzej Micewski na trzy tygodnie przed stanem wojennym uzyskał wiadomość, która do ostatniej chwili pozostawała tajemnicą dla niektórych członków Biura Politycznego i Sekretariatu KC⁴. Przede wszystkim jednak zdziwienie budziłoby niewątpliwie zaskoczenie władz Solidarności. Czy jest możliwe, by przywódcy związku zupełnie zlekceważyli ostrzeżenie prymasa w tej sprawie? Czy jest do pomyślenia, by prymas, dysponując informacją takiej wagi, nie przekazał jej kierownictwu związku? W rzeczywistości chodzi tu o nieporozumienie wywołane wieloznacznym sformułowaniem. Wymaga ono wyjaśnienia, gdyż wbrew intencji red. Micewskiego mogłoby rzucić cień na hierarchię kościelną i na przywódców Solidarności. Podejmuję się tego wyjaśnienia m.in. dlatego, że w odróżnieniu od red. Micewskiego uczestniczyłem w spotkaniu prymasa z Lechem Wałęsą i kilkoma działaczami KK 7 grudnia 1981 r.

Nie ograniczam się jednak do tej sprawy. Polityka władz Solidarności w ostatnich tygodniach przed stanem wojennym jest najmniej znanym, a przecież kluczowym fragmentem 16-miesięcznej historii legalnego działania związku. Dokumenty z tych dni są przeważnie nieznane lub – jak dyskusja radomska – znane w wersji przemyślnie sfalszowanej. W rezultacie obraz Solidarności w ostatnich dniach przed wojną jest w świadomości społecznej zmistyfikowany. Miejsce brakujących informacji zajmują mniej lub bardziej gołostowne oceny, plotki i legendy. Przyczynia się do tego także gra politycznych interesów, urazów i ambicji – nie tylko przecież po stronie rządowej. Wśród namiętności i manipulacji świadomością zbiorową warto starać się ocalić wiedzę o jednym z najistotniejszych momentów współczesnej historii Polski.

* Tj. podjętej podczas posiedzenia odbywającego się w hotelu Solec w Warszawie (red.).

⁴ A. Micewski, *Kościół ostrzegał Solidarność...*, zareagował na te (może zbyt oględne) wyrazy powątpiewania słowami: „Tylko Modzelewski może przypuszczać, że politycy tak się odstawiają”.

Obok publikacji dokumentów mogą temu posłużyć relacje bezpośrednich uczestników wydarzeń.

Wiedza moja jest rzecz jasna fragmentaryczna, gdyż wiąże się bezpośrednio z tym, co sam robiłem i w czym brałem udział. Nadto jako jeden z siedmiu członków KK oskarżonych o spisek w celu obalenia ustroju miałem możliwość jesienią 1983 r. przestudiować włączone do akt śledztwa stenogramy posiedzeń władz związkowych w Solcu, Radomiu i Gdańsku (2, 3 i 11–12 grudnia 1981). (...)

Moja relacja o tych wydarzeniach nie może pretendować do bezstronności, gdyż sam byłem w nich stroną, co w sposób nieunikniony wpływa na moje rozumienie faktów. Nie stronię też od szerszych interpretacji, wykraczających poza ramy suchego opisu zdarzeń. Myślę jednak, że mimo niemożliwego do wyeliminowania wpływu osobistych doświadczeń i zaangażowania na sposób widzenia opisywanych wydarzeń mogę wnieść do wiedzy o nich trochę nieznanymi ogółowi, a przecież istotnych informacji.

Dużo wcześniej...

Nie ulega wątpliwości, że Kościół wywierał miarkujący wpływ na politykę kierownictwa związku. Pomijam kwestię rad prymasa Wyszyńskiego, gdyż znam tylko jego wypowiedź z marca 1981 r. Sugerował on, by rozłożyć w czasie realizację postulatów bydgoskich, co dotyczyło konkretnego konfliktu i nie stanowiło rozbudowanej recepty na całą działalność związku. Mam wrażenie, że zmarły prymas unikał narzucania takiej recepty, nie czuję się jednak w tej sprawie kompetentny. Często natomiast spotykałem się ze strony intelektualistów obserwujących Solidarność z ubocza z niezrozumieniem tego masowego ruchu. Związek ten budowały setki tysięcy i miliony ludzi, którzy działali z własnej inicjatywy i nigdy nie pozwolili sobie inicjatywy odebrać. Dlatego aparatowi partyjnemu nie udało się odebrać ruchowi niezależności – i dlatego również przywódcy związku nie mogli arbitralnie kręcić sterem. Nie sposób przyrównać ich do szachisty, który przedstawia drewniane figury na szachownicy. Próby narzucenia przez kierownictwo Solidarności

rozwiązań zbyt ugodowych, nieznajdujących zrozumienia i aprobaty członków, przynosiły odwrotne skutki: z jednej strony frustrację i radykalizację załóg oraz aktywu związkowego, z drugiej zaś usztywnienie polityki rządu, który liczył na rozłam między ustępliwym kierownictwem a „radykałami” i widział w tym szansę „odwrócenia biegu wydarzeń”. Dlatego w momentach, gdy KK nie potrafiła zaoferować społeczeństwu zrozumiałej i akceptowanej strategii, przywódcy związku tracili kontrolę nad sytuacją. Występowały wówczas groźne spiętrzenia lokalnych i regionalnych konfliktów, które związek opanowywał z najwyższym trudem i ryzykiem.

Los posierpniowej Polski zależał od tego, czy uda się pogodzić realia geopolityczne, które wymagały pozostawienia władzy państwowej w rękach komunistów, z realiami społecznymi, na które składały się aspiracje, postawy i niezależna działalność milionów Polaków. Było to nie do pomyślenia bez zmiany systemu sprawowania władzy, choćby dlatego, że porozumienie gdańskie podcięło ten system u podstaw: aparat partyjny stracił kontrolę nad społeczeństwem, jego organizacjami i działaniami. Administracja państwowa była wprawdzie po staremu podporządkowana całkowicie ośrodkom dyspozycyjnym PZPR, ale każda jej decyzja mogła natrafić na skuteczne przeciwdziałanie zorganizowane w niezależnych związkach społeczeństwa. Sytuacja taka była na dłuższą metę nie do utrzymania, ponieważ prowadziła do gruntownej dezorganizacji państwa i pogłębienia kryzysu gospodarczego.

Warunkiem trwałego współistnienia komunistycznej władzy z niezależnym ruchem związkowym, przy znacznych swobodach obywatelskich, była więc demokratyzacja państwa. Względy geopolityczne wykluczały demokrację parlamentarną na wzór zachodni. Wolne wybory do Sejmu przekreśliłyby legalne podstawy władzy PZPR, będącej dla Moskwy jedynym wiarygodnym gwarantem jej interesów w Polsce. Na szczeblu centralnym w grę wchodzić mogło tylko zastąpienie polityki komenderowania przez zinstytucjonalizowane formy uzgadniania kluczowych decyzji gospodarczych, na niższych zaś szczeblach przyzna-

nie praw decyzyjnych w ramach reformy gospodarczej demokratycznie wybranym samorządom pracowniczym i terytorialnym. Program taki Solidarność sformułowała stopniowo w ciągu drugiej połowy 1981 r. KC i rząd uznały go za zamach na władzę. Czy związek mógł powstrzymać się od wysunięcia tego programu i innych żądań politycznych, jak dostęp do środków masowego przekazu i sprawa praworządności?

Do wiosny 1981 r. Solidarność unikała angażowania się w sprawę reformy, pozostawiając inicjatywę w tej dziedzinie władzom państwowym. Władze te jednak pozostawały w defensywie, podejmując raz po raz nieskuteczne, a w efekcie destabilizujące próby „odwrócenia biegu wydarzeń”. Struktury poziome w partii okazały się zbyt słabą grupą nacisku, a na IX zjeździe [PZPR] poniosły klęskę. W kierownictwie PZPR niewielu było ludzi skłonnych pogodzić się z trwałym istnieniem niezależnego ruchu związkowego i opowiadających się za dostosowaniem sposobu rządzenia do zmienionej sytuacji społecznej. Również oni ponieśli na IX zjeździe porażkę, a stan wojenny zmiotł ich ostatecznie. Skuteczniejsze, bo wspierane z Moskwy, były naciski tzw. betonu, który oskarżał [Stanisława] Kanię o kapitulancstwo. Najbardziej miarodajne elementy rządzącej ekipy traktowały porozumienia sierpniowe jako „pokój brzeski”, tj. wymuszony i prowizoryczny pakt z kontrrewolucją, którą należy zlikwidować, gdy tylko uda się zmienić układ sił. Liczono na osiągnięcie tego celu bądź to drogą polityczną, poddając stopniowo struktury związku „kierowniczej roli partii” przez naciski, wywoływanie w Solidarności podziałów i stosowanie taktyki salami – bądź też drogą przemocy, ale bez uciekania się do bezpośredniej interwencji ZSRR. Ten ostatni wariant najbardziej chyba odpowiadał radzieckim postulatom, ale wymagał czasu na przygotowanie wojskowe i na odpowiednią grę polityczną osłabiającą zdolności ruchu społecznego do samoobrony. Moskwa nagliła, uważając długotrwałe istnienie Solidarności za groźbę dla innych krajów obozu, ale też wołała uniknąć interwencji.

Taki układ sił po stronie władzy nie dawał wielkich szans polityce współpracy z niezależnym partnerem

w celu wyprowadzenia kraju z kryzysu. Od września 1980 do marca 1981 r. strona rządowa usiłowała bezskutecznie realizować swoje zamiary metodą przepychanki, wszczynając serię konfliktów ze związkiem, a następnie rejterując pod groźbą ogólnopolskiego strajku. Rezultatem było ugruntowanie niezależności, wzrost faktycznej siły związku i wielkie poczucie siły w jego szeregach. Kolejne konflikty zmuszały też Solidarność do zajęcia się sprawami politycznymi. W kryzysie rejestracyjnym strona rządowa uczyniła przedmiotem sporu rolę PZPR w posierpniowej Polsce; sprawa [Jana] Naroźniaka i wydarzenia bydgoskie wprowadziły do postulatów związku problem praworządności; rola TV w konflikcie o wolne soboty, w sprawie bydgoskiej czy w czasie hecy o rzekome zerwanie rozmów 6 sierpnia 1981 r. nadała szczególną rangę żądaniu dostępu do środków masowego przekazu.

Przepychanka między rządem a Solidarnością zadała ciężki cios administracyjnej sprawności państwa. Wojewodowie i dyrektorzy, popychani odgórnymi poleceniami do kolejnych starć ze związkiem, znaleźli się między młotem a kowadłem: to oni płacili za każdym razem koszty rejterady naczelnych władz politycznych. Pod naciskiem Solidarności urzędnicy administracji państwowej i gospodarczej tracili stołki za to, że zbyt gorliwie wykonywali instrukcje swojej zwierzchności. Wisiła też nad nimi groźba rozliczeń za korupcję i niegospodarność, inicjowanych przez zakładowe i lokalne ogniwa niezależnego ruchu związkowego. Zasady podległości partyjnym centrom dyspozycji politycznej nie zmieniły się, ale w zderzeniu ze zmienioną rzeczywistością społeczną nie wytrzymały próby życia. W obawie przed zagrożeniem z obu stron zanikała zdolność administracji do działania. Latem 1981 r. dyrektor zjednoczenia Bumar oświadczył publicznie, że dotychczasowy system zarządzania gospodarką przestał istnieć, a żaden nowy nie powstał. Można to śmiało odnieść do całokształtu organizatorskich funkcji państwa. Jedynie jego funkcje represyjne, oparte na dyspozycyjności kadry policyjnej i wojskowej, nie uległy w zasadzie rozchwianiu. Jaruzelski mógł się na to powołać, wprowadzając jesienią 1981 r. do akcji wojskowe grupy

operacyjne. Kryzys państwa walnie przyczynił się do zaostrzenia kryzysu gospodarki. W porównaniu z tym czynnikiem straty czasu pracy spowodowane bezpośrednio strajkami miały znikomą wagę: w skali 1981 r. (do wybuchu wojny) nie przekroczyły one 6 godzin [na jednego zatrudnionego].

Ci, co zarzucają Solidarności, że nie ograniczyła się do żądań czysto związkowych, operują eufemizmem lub nie wiedzą, co mówią. Postawa czysto związkowa polegałaby na żądaniu dalszego wzrostu płac i pełnego zaopatrzenia rynku, korzystniejszych układów zbiorowych itp., bez oglądania się na problemy gospodarcze, z którymi boryka się nasz wspólny pracodawca. W warunkach 1981 r. byłaby to najkrótsza droga do konfrontacji.

Przywódcy związku rozumieli to. Poprzestano na wywalczeniu „wałęsówki” zgodnie z punktem 8 porozumienia gdańskiego i na kompromisowym, skromniejszym od jastrzębskich ustaleń rozstrzygnięciu sporu o wolne soboty. KKP dość skutecznie powstrzymała dalsze roszczenia ekonomiczne mimo wzrostu kosztów utrzymania i pogarszającego się zaopatrzenia. Kierownictwo Solidarności nie ukrywało, że wyjście z kryzysu wymagać będzie akceptowanej przez ruch związkowy obniżki stopy życiowej. Warunkiem zgody na wyrzeczenia było jednak stworzenie instytucjonalnych gwarancji, że rezultaty wyrzeczeń nie zostaną po raz kolejny zmarnowane przez niesprawny system i niekontrolowaną władzę. Bez takich gwarancji program wyrzeczeń nie miał w społeczeństwie, a więc i w Solidarności, żadnych szans. Niezbędnym dopełnieniem odpowiedzialnej polityki związku w sprawach społeczno-gospodarczych był postulat samorządowej reformy zarządzania gospodarką i rządu państwem. Wymagało to złamania nomenklatury w zakładach (sprawa powoływania i odwoływania dyrektorów) i połączenia reformy gospodarczej z ustanowieniem autentycznego samorządu terytorialnego. Na szczęblu ogólnokrajowym Społeczna Rada Gospodarki Narodowej, a w dalszej perspektywie Izba Pracy przy Sejmie – miały stworzyć forum dla uzgadniania z rządem kluczowych decyzji społeczno-gospodarczych. Chodziło o wyeli-

minowanie niszczącej przepychanki i realizowanie społecznych interesów raczej w drodze dialogu niż przez stosowanie weta strajkowego. Warto zauważyć, że komitet [Czesława] Bobrowskiego przy Radzie Ministrów i Rada Społeczno-Gospodarcza przy Sejmie są pozbawionymi kompetencji i reprezentatywności replikami instytucji, których powołania domagała się Solidarność.

Projekty Sieci zostały opracowane wczesną wiosną, ale dopiero na przełomie lipca i sierpnia 1981 r. KKP uczyniła reformę gospodarczą i samorząd oficjalnym hasłem związku. Stało się to pod bezpośrednią presją wydarzeń. Załamanie rynku żywnościowego i obcięcie od 1 sierpnia przydziałów kartkowych postawiło władze Solidarności wobec wielkiej fali wzburzenia załóg, na którą trzeba było zareagować. Spektakularne akcje w rodzaju marszu głodowego w Łodzi czy blokady warszawskiego ronda nie wystarczały do skanalizowania wybuchowych nastrojów. Związek miał do wyboru: podjąć walkę strajkową pod hasłem poprawy zaopatrzenia, co wobec braku żywności równałoby się próbie obalenia rządu, lub wskazać społeczeństwu inną perspektywę. Otworzyło ją hasło samorządowej przebudowy systemu. Klasycznym przykładem jest Wrocław, gdzie wysunięcie tego hasła pozwoliło zarządowi regionu powstrzymać w zarodku strajkową reakcję załóg na zmniejszenie przydziałów kartkowych. Aby uniknąć bezpośredniej konfrontacji na tle zaopatrzenia w żywność, związek musiał przenieść ją na płaszczyznę walki o demokratyzację sposobu sprawowania rządów. Owocem tego wyboru stał się program Rzeczypospolitej samorządnej. Pozwolił on pohamować ślepą eksplozję niezadowolenia, ponieważ mimo ograniczeń podyktowanych względami geopolitycznymi wyrażał polityczne aspiracje Polaków.

W ramach Solidarności wyrażano też aspiracje dalej idące. Jesienią 1981 r. w zakładowych i lokalnych ogniwach związku dawały się odczuć tendencje do odrzucania samoograniczeń (hasła przedterminowych wyborów do Sejmu, usunięcia z konstytucji zapisu o kierowniczej roli PZRP, dymisji rządu, „wyprowadzenia” partii z zakładów). Żądania te nie zyskały aprobaty kierownictwa związku i nie stały się

drogowskazem jego polityki. Platformą Solidarności pozostała do 13 grudnia ograniczona demokratyzacja systemu, pozostawiająca ster rządów w rękach komunistów.

Dla czynników rządowych była to jednak otwarta kontrrewolucja, ponieważ nie zamierzały one wyrzec się komenderowania wszystkimi ogniwami gospodarki i życia publicznego. W takiej koncepcji władzy nie było miejsca na trwałe współistnienie z niezależnym związkiem. Gdy IX zjazd partii rozstrzygnął jej wewnętrzne rozgrywki, a I zjazd Solidarności ostatecznie pogrzebał rachuby na odzyskanie kontroli PZPR nad ruchem związkowym, naczelnym celem polityki rządu stało się przygotowanie siłowej konfrontacji.

Nie wierzę w fatum, na mocy którego każda próba demokratyzacji „realnego socjalizmu” jest skazana na zdławienie przemocą. Nie uważam również, że warunkiem istotnych zmian w Polsce jest rozwiązanie Związku Radzieckiego i że hasło takie winno być abecadłem polskiej polityki. Myślę jednak, że Solidarność musiała wysunąć program reform samorządowych, ponieważ sytuacja w Polsce roku 1981 nie dawała jej po prostu innego wyboru.

Konfrontacja

Groźba stanu wyjątkowego towarzyszyła wszystkim poważniejszym konfliktom między Solidarnością a rządem. 9 listopada 1980 r. otrzymałem po raz pierwszy nieoficjalną wiadomość, że władze postanowiły uprzedzić akcję strajkową związku zmasowanym uderzeniem policyjnym. W kryzysie bydgoskim strona rządowa otwarcie zapowiedziała, że na strajk generalny odpowie stanem wyjątkowym. Nie ulega wątpliwości, że poczyniono wówczas przygotowania wojskowe. Rząd zdecydował się na prestiżowe ustępstwo, ponieważ strajk ostrzegawczy z 27 marca wykazał powszechną determinację załóg, a związki branżowe i podstawowe organizacje partyjne stanęły obok Solidarności. Kierownictwo PZPR znalazło się w tak głębokiej izolacji politycznej, że przepro-

wadzenie stanu wojennego wymagałoby prawdopodobnie użycia jednostek radzieckich. Kierownictwo Solidarności okazało ustępliwość z obawy przed obcą interwencją. Głównym efektem było odłożenie konfrontacji do lepszych (dla rządu) czasów.

Gdzieś w czerwcu 1981 r. do MKZ Wrocław dotarła znów poufna wiadomość, że przygotowano szczegółowe instrukcje dla administracji państwowej na wypadek stanu wyjątkowego. Przecieki o zamiarze jego wprowadzenia, a także otwarte pogrożki w oświadczeniu Biura Politycznego [KC PZPR] oraz w wypowiedziach Jaruzelskiego i Rakowskiego pojawiły się ponownie w okresie I zjazdu Solidarności. Wiadomo, że zamiarom konfrontacyjnym przeciwstawiały się wówczas publicznie ZSL, SD, PAX i PZKS*, a wewnątrz partii zaprottestowała część sekretarzy wojewódzkich i aktywu.

Fałszywe alarmy osłabiały czujność działaczy związkowych, chociaż gra polityczna rządu od początku sierpnia 1981 r. służyła przygotowaniu stanu wojennego. Lokalne ognia związku wciągano w konflikty tak sprowokowane, by ich sens był dla społeczeństwa niejasny lub wątpliwy. Jątrzące kampanie w środkach masowego przekazu zmierzały do dezorientacji społeczeństwa i wywołania w nim podziałów. Powodowało to radykalizację aktywu związkowego i młodych robotników, ale spora część społeczeństwa była zmęczona kryzysem i nieustannymi konfliktami.

Treść rozmów Jaruzelski – Głemp – Wałęsa z początku listopada nie została nigdy ujawniona. Przypuszczalnie poprzestano na ogólnikach. Spotkanie to wywołało wielkie nadzieje, że porozumienie narodowe jest w zasięgu ręki i da się osiągnąć przy stole rokowań. Był to optymizm bez pokrycia. Negocjacje rozpoczęte po tym spotkaniu okazały się grą pozorów. Rząd odmówił dyskusji nad dostępem Solidarności do środków masowego przekazu i nad samorządem terytorialnym, a decyzje, które przesądzały sprawę reformy gospodarczej i obniżkę stopy życiowej, podjął za plecami związkowych negocjatorów. Rozmowy

*Zjednoczone Stronnictwo Ludowe, Stronnictwo Demokratyczne, Stowarzyszenie PAX, Polski Związek Kulturalno-Społeczny (red.).

prowadzono po to, by podtrzymać złudzenie, a w momencie nieuchronnego fiaska wykorzystać zawiedzione nadzieje społeczeństwa przeciw Solidarności, obarczając ją winą za zaprzepaszczenie szans porozumienia narodowego.

Wybieg ten odegrał w przygotowaniach do stanu wojennego istotną rolę, gdyż zdolność związku do obrony własnego istnienia zależała głównie od tego, czy miliony członków Solidarności są świadome zagrożenia. Polityka informacyjna związku ułatwiała tę grę rządu. A że do 2 grudnia 1981 r. robiono dobrą minę do złej gry, wskutek czego przerwanie rozmów zaskoczyło społeczeństwo. Odpowiedzialność za to spoczywa przede wszystkim na ówczesnym rzeczniku prasowym KK – Marku Brunne. Ale ponosi ją także kierownictwo związku. Dało się ono zwieść nadziejom na skuteczność tajnej dyplomacji, która okazała się tylko zastoną dymną dla czotgów.

Uchwała IV plenum KC, a następnie upadek Kani i skupienie potrójnej władzy w rękach Jaruzelskiego nie zaalarmowały jeszcze przywódców Solidarności. VI plenum i złożenie do Sejmu projektu ustawy o uprawnieniach nadzwyczajnych potraktowano już z całą powagą. Przyczyniły się do tego decyzje gospodarcze. 27 listopada 1981 r. oznajmiono zaskoczonym negocjatorom związkowym, że dalsza dyskusja nad zasadami funkcjonowania przedsiębiorstw w 1982 r. jest bezprzedmiotowa, bo rząd opracował nowy projekt prowizorium systemowego i za dwa dni przegłosuje go jako uchwałę Rady Ministrów, omijając zarówno konsultacje z ruchem zawodowym, jak też Sejm.

Oznaczało to wprowadzenie z początkiem 1982 r. samofinansowania bez samodzielności i samorządności. Wraz z prowizorium miała wejść w życie opracowana przez min. [Zdzisława] Krasieńskiego bezprecedensowa podwyżka cen urzędowych; zapowiedziano też kolejne zmniejszenie kartkowych przydziałów żywności. Jednocześnie mechanizm samofinansowania przy obciążeniu przedsiębiorstw ogromnymi podatkami (głównie na FAZ) musiał spowodować galopujące podwyżki cen umownych; inaczej przedsiębiorstwa musiałyby bankrutować lub obniżać płace. Wszystko to przeprowadzono wkrótce pod osłoną stanu wojen-

nego, obniżając za jednym zamachem płace realne o 1/4 – ale postanowiono to już w końcu listopada. Dla przywódców związku było jasne, że taką obniżkę stopy życiowej można przeprowadzić pod osłoną Solidarności lub pod osłoną armat. Wobec odrzucenia wszystkich postulatów związku w sprawie reform osłona ze strony związku nie wchodziła w rachubę. Stało się więc jasne, że rząd naprawdę postanowił użyć armat. Szturm ZOMO na szkołę oficerów pożarnictwa w Warszawie potwierdził tę diagnozę.

Wszyscy byliśmy przekonani, że stan wyjątkowy musi być poprzedzony uchwaleniem odpowiedniej regulacji prawnej przez Sejm. Zaleciło to KC, zabiegał o to rząd, a nasi doradcy prawni tłumaczyli, że nie ma innej możliwości w czasie trwania sesji sejmowej. Projekt ustawy o uprawnieniach nadzwyczajnych przewidywał zakaz strajków pod karą więzienia, militaryzację przedsiębiorstw, z odpowiedzialnością przed sądem wojskowym osób cywilnych we wszelkich sprawach politycznych i w przypadkach naruszenia przepisów porządkowych ustawy. Nie przewidziano formalnego zawieszenia związków zawodowych, ale zakaz zgromadzeń obejmował zebrania związkowe, a zakaz druku bez uprzedniej zgody władz uniemożliwiał publikację wewnątrzwiązkowych biuletynów, komunikatów i ogłoszeń. KK uzyskała ten projekt i postanowiła go ujawnić. Został on wydrukowany 12 grudnia w Gdańsku pod demaskatorskim, jak się nam wówczas zdawało, tytułem *Kto dąży do konfrontacji?*. Stan wojenny sprawił, że ten druk nie ujrzał światła dziennego, a jednocześnie stracił aktualność.

Dziś skłonny jestem przypuszczać, że projekt uprawnień nadzwyczajnych był ostatnią próbą narzucenia Solidarności dyktatu. Kto liczył wbrew oczywistości, że Wałęsa i Prezydium KK za parę miejsc we Froncie Porozumienia Narodowego, gdzieś między SD a PAX, zaakceptują fakty dokonane: prowizorium systemowe, przekreślenie reformy i bezprzykładną obniżkę stopy życiowej. Oznaczałoby to nałożenie Solidarności obroży, a ponieważ porzucenie programu związku i podwyżki cen wywołałyby niechybnie sprzeciw działaczy i falę strajków, przeto Solidarność wciągnięta do Frontu Porozumienia [Narodowego]

musiałaby zaakceptować także uprawnienia nadzwyczajne i ich stosowanie przeciw opornym.

Dla Wałęsy, jego najbliższych współpracowników i doradców oraz wszystkich działaczy był to dyktat niemożliwy do przyjęcia. 2 grudnia 1981 r. w warszawskim hotelu Solec zebrało się Prezydium KK. Grzegorz Palka jasno przedstawił sens rządowej decyzji o prowizorium. Większość z nas uznała, że oznacza to wejście ekipy Jaruzelskiego na drogę siłowej konfrontacji, wobec której Solidarność nie ma już wyboru: musi się bronić, gdyż stan wyjątkowy będzie próbą zdławienia związku. Ujawniło się też stanowisko skrajne: domagano się poparcia przez KK „wyprowadzenia partii z zakładów” i wysunięcia żądań rozwiązania Sejmu. Wałęsa, który lepiej od części radykalnych działaczy wyczuwał zróżnicowanie nastrojów społecznych, sprzeciwił się natychmiastowemu ogłoszeniu gotowości strajkowej. Dla nikogo poza Siłą-Nowickim nie ulegało jednak wątpliwości, że należy z góry zagrozić strajkiem powszechnym w przypadku uchwalenia stanu wyjątkowego. To obronne stanowisko przeważało. Zredagowana przez doradców uchwała Prezydium KK stwierdzała, że rząd uczynił z negocjacji parawan i za jego zastoną podjął jednostronne decyzje wymierzone w stopę życiową ludzi pracy, a uprawnienia nadzwyczajne równają się stanowi wyjątkowemu i oznaczają przejście od dialogu do przemocy. W tej sytuacji – stwierdzano – Prezydium KK przerywa negocjacje i przedyskutuje z przewodniczącymi regionów w Radomiu sprawę strajku powszechnego.

Radomskie spotkanie 3 grudnia wyraźniej ujawniło polaryzację stanowisk. Przewodniczący regionów dawali wyraz radykalizacji aktywu związkowego na swoim terenie. Część dyskutantów była zdania, że odpowiedzią na konfrontacyjną politykę władz winna być nie tyle samoobrona związku, co wysunięcie ofensywnego programu politycznego, który odrzucałby dotychczasowe samoograniczenia. Zdaniem Rulewskiego Solidarność powinna była domagać się przedterminowych wyborów do Sejmu, choć jednocześnie podkreślał on, że ordynacja musi jednak zapewnić większość PZPR, łącznie z jej sojuszni-

czymi stronnictwami. Jeszcze dalej poszedł Bujak, sprzeciwiając się gwarancjom dla partii. Kosmowski przedstawił koncepcję, która miała wkrótce zyskać więcej zwolenników. Jego zdaniem rząd komunistyczny nawet w porozumieniu z Solidarnością nie może liczyć na autorytet niezbędny do tego, by przekonać społeczeństwo o konieczności ciężkich wyrzeczeń materialnych, wyjście z kryzysu wymaga zatem powołania pozapartyjnego, cieszącego się powszechnym uznaniem rządu tymczasowego.

Charakterystyczne były wypowiedzi Wałęsy. Przewodniczący związku tłumaczył, że jego polityka odwlekania konfrontacji za cenę ustępstw obliczona była na pozyskanie sojuszników w politycznym establishmentie, aby program Solidarności realizować w korzystniejszym układzie sił i przy minimalnym ryzyku. Ale ta polityka się załamała. Rząd przyparł nas do ściany i chyba narzuci nam konfrontację teraz, w niekorzystnych warunkach: „Widzę, że chyba już się nie uchronimy”. W wypowiedzi Wałęsy nie brakowało zarówno akcentów radykalnych (gdy mówił o celach związku i nieuchronności konfrontacji), jak i umiarkowanych (gdy tłumaczył założenia swojej strategii i zwracał uwagę na ogromne ryzyko związane z konfrontacją). W wersji przedstawionej w radiu i TV dokonano odpowiedniej selekcji i montażu.

Tylko Siła-Nowicki wyraził pogląd, że rząd nie dąży do konfrontacji, skoro Seweryn Jaworski, zatrzymany w szkole pożarnictwa, został zwolniony i siedzi na tej sali. Solidarność jest potęgą i bez jej współpracy nie sposób rządzić Polską; stąd też rząd nie chce konfrontacji, tylko korzystnych dla siebie warunków współpracy, które usiłuje jednostronnie narzucić. Dlatego i my nie powinniśmy grozić partnerowi strajkiem generalnym, wystarczy napiętnować w ostrych słowach jednostronne decyzje. Siła-Nowicki przedstawił projekt takiego oświadczenia: nie było w nim zapowiedzi, że w razie stanu wyjątkowego związek będzie się bronił strajkiem. Za projektem tym głosowały tylko 3 czy 4 osoby, ale był wśród nich Wałęsa.

W swoim wystąpieniu, podobnie jak w Solcu, broniłem opcji centrowej. Stanowiła ona rozwinięcie uchwały prezydium z poprzedniego dnia i znalazła

wyraz w zredagowanym przeze mnie stanowisku radomskim. Przeszło ono przygniatającą większością, chociaż nie uwzględniało żadnego ze skrajnych postulatów, jak przedterminowe wybory do Sejmu, rząd tymczasowy czy wyprowadzenie partii z zakładów. Tzw. minimum radomskie w jednym tylko punkcie poszerzyło dotychczasowe żądania związku: chodziło o to, by wraz z przewidzianymi na I kwartał wyborami do rad narodowych szczebla podstawowego przeprowadzić przedterminowo wybory do rad wojewódzkich. Była to zmiana istotna, ale nie oznaczała odrzucenia dotychczasowych samoograniczeń politycznych. Uchwała radomska nie przewidywała również forsowania programowych postulatów związku strajkiem generalnym. Broni tej związek miał użyć tylko w obronie własnej, tj. w wypadku wprowadzenia stanu wyjątkowego; zostało to wyraźnie zapowiedziane. Uchwała wyjaśniała ponadto, że tzw. prowizorium jest zamachem na stopę życiową ludzi pracy bez wprowadzenia autentycznej reformy. W związku z tym zapowiedziano obronę poziomu życia społeczeństwa zgodnie ze statutowymi celami związku zawodowego i przy użyciu wszystkich statutowych środków, czyli strajkami ekonomicznymi.

Było to stanowisko ściśle obronne, ale zawierało koncepcję wymuszenia na rządzie porozumienia uwzględniającego programowe postulaty Solidarności. Liczyliśmy na to, że stanowcza zapowiedź samoobrony strajkiem generalnym i stosowne przygotowania pozwolą zablokować w Sejmie projekt ustawy o uprawnieniach nadzwyczajnych („musimy im jasno powiedzieć, że bój to będzie ich ostatni – i to jest sprawa tego strajku, a właściwie groźby strajku, jeśli nastąpi ten stan wyjątkowy”). Sądziliśmy, że może to powstrzymać rząd przed próbą sił w grudniu, choć prawdopodobnie nie zmusi go do wycofania się z prowizorium. Wówczas jednak drastyczne podwyżki cen uderzające we wszystkich scementowałyby ponownie aktywną część związku z „milczącą większością”. Związek nie musiał forsować postulatów politycznych strajkiem generalnym. Gdyby nie stan wyjątkowy, Solidarność byłaby zdolna w I kwartale 1982 r. zwykłymi strajkami ekonomicznymi udaremnić realizację po-

stanowionej przez rząd polityki gospodarczej. Miało to w naszym rozumieniu zmusić władze do poważnych rozmów, a wtedy „minimalne warunki porozumienia narodowego”, określone w radomskiej uchwale, stałyby się przedmiotem negocjacji.

Niestety, rząd rozumiał to nie gorzej od nas i wiedział, że nie ma czasu. Solec i Radom rzeczywiście zablokowały możliwość wprowadzenia stanu wyjątkowego drogą konstytucyjną. Rządowy projekt musiałby natrafić w Sejmie, w „stronnictwach sojusznicznych”, a nawet w partii na poważne opory. Co więcej, związek zyskiwał czas i okazję do przygotowania strajku w obronie własnej, wobec czego przepisy ustawy o uprawnieniach nadzwyczajnych były niewystarczające. Ekipa Jaruzelskiego porzuciła więc ten projekt na rzecz wojskowego zamachu.

Fałszerstwo taśmy z obrad radomskich było oznaką, że decyzja zapadła. Gdyby w Radomiu przeszła platforma radykalnych żądań politycznych, nie trzeba by było niczego fałszować. Maksymalizm tych haseł brał rozbrat z realizmem geopolitycznym i nie liczył się z polaryzacją społecznych nastrojów. Radykalni działacze dali się zasugerować oklaskom na wiecach, w których nie uczestniczyła „milcząca większość” związkowców. Ale i te oklaski nie oznaczały gotowości do osobistego ryzyka w imię forsowania politycznych ideałów. Trzeba oddać sprawiedliwość uczestnikom radomskiej narady: przyjęli oni oczywistą dla każdego platformę obrony związku i poziomu życia w obliczu bezpośredniego zagrożenia. Fałszerstwo na stole montażowym miało wykazać, że rzecz miała się przeciwnie: obraz przywódców Solidarności zamierzających pchnąć naród do konfrontacji w celu przejęcia władzy miał zdezorientować społeczeństwo i osłabić jego opór w godzinie „W”. Szczególnie znamienne było przedstawienie Wałęsy w roli podstępного spiskowca. Oznacza to, że zrezygnowano z gry na umiarkowanego przywódcę, czyniąc związek jako całość wrogiem publicznym numer jeden. Nie wszyscy pojęli, że zapowiadało to w najbliższym czasie czołgi na ulicach.

W tych okolicznościach prymas Glemp podjął próbę mediacji w nadziei, że uda się jakoś zażegnać bezpośrednią groźbę starcia. 5 i 9 grudnia rozmawiał

on z Wałęsą i doradcami związku. 7 grudnia odbyło się spotkanie, w którym udział wzięli obok prymasa sekretarz episkopatu abp Bronisław Dąbrowski i dyrektor Biura Prawnego [Episkopatu Polski] ks. Alojzy Orszulik, a ze strony Solidarności Lech Wałęsa, Stanisław Wądołowski, Seweryn Jaworski i ja oraz doradcy KK: Tadeusz Mazowiecki i Andrzej Wielowieyski. Niewątpliwie o tym właśnie spotkaniu wspomniat w cytowanej wypowiedzi red. Micewski. Na początku prymas poprosił, aby Wałęsa i członkowie KK przedstawili swój pogląd na sytuację. Nie miałem jeszcze wówczas okazji wysłuchać w radiu montażu z radomskich obrad i nie wiedziałem, jaką mi przyprawiono gębę. Wyraziłem chyba opinię, że obecny stan rzeczy jest na dłuższą metę nie do utrzymania i musi doprowadzić do wielkiego konfliktu społecznego, o ile nie dojdzie szybko do porozumienia uwzględniającego postulaty związku. Nie pamiętam już, co mówili koledzy. Wypowiedź prymasa była krótka, krytyczna w treści, ale utrzymana w bardzo pokojowym tonie. Stwierdził on, że wspólnym obowiązkiem Kościoła i Solidarności jest niedopuszczenie do rozlewu krwi. Dodał, że ma wrażenie, jakbyśmy w swoim rozumowaniu nie uwzględniali uwarunkowań geopolitycznych, a to jest przecież podstawowa sprawa. Powiedział też z oczywistą uszczypliwością, że w mojej wypowiedzi znalazły się „akcenty prorockie”. O przekroczeniu przez kierownictwo związku „praw, jakie mu dał świat pracy”, nie było mowy. Jest to zapewne reminiscencja uwagi prymasa, że polityczne postulaty Solidarności wykraczają poza ramy ściśle związkowe; doty-

czyło to jednak stosunków Solidarności z władzami państwowymi, a nie stosunku między przywódcami związku a światem pracy⁵. Następnie prymas przekazał głos arcybiskupowi Bronisławowi Dąbrowskiemu dla przedstawienia propozycji, która była głównym przedmiotem spotkania.

Arcybiskup Dąbrowski podkreślił, że w napiętej sytuacji warto podtrzymywać nić kontaktu z władzami, nawet jeśli nie ma szans na szybkie osiągnięcie zgody. Zaoferował pośrednictwo episkopatu i wyraził przypuszczenie, że uda się doprowadzić do spotkania Wałęsy z sekretarzem KC PZPR [Kazimierzem] Barcikowskim. Wałęsa zwrócił się do prymasa z sugestią, by doprowadzić raczej do ponownego spotkania „wielkiej trójki”, ale prymas tylko pokręcił przecząco głową; Wałęsa oświadczył wówczas, że spotka się tylko z Jaruzelskim, a na uwagę Jaworskiego, że rozmowa z Barcikowskim może być też interesująca, odpowiedział, że nie weźmie w niej udziału. Na taką rozmowę mogą się udać wiceprzewodniczący KK Wądołowski z Jaworskim, „a jeżeli będzie generał, to pójdę ja z Karolem” (obecność moja jak i Jaworskiego miała być niewątpliwie asekuracją na wypadek zarzutów ze strony KK). Ustalono, że delegacja związku zaczeka w hotelu Solec na wiadomość w tej sprawie. Późnym wieczorem nadeszła spodziewana odpowiedź: Barcikowski uchyla się od rozmowy, a delegację Solidarności może przyjąć min. [Stanisław] Ciosek. Równało się to odmowie. Do kontaktu z rządem nie doszło.

Wałęsa zdawał sobie oczywiście sprawę, że Barcikowski nie zgodzi się na spotkanie z Wądołowskim,

⁵ A. Micewski, *Kościół ostrzegat Solidarność...*, powołuje się na dokumenty (zapewne kurialne), w których „jest takie oto streszczenie rozmowy: 1. Uprawiając taką politykę, panowie, przekroczyliście mandat dany wam przez świat pracy. Jeśli chcecie prowadzić czystą grę polityczną – utwórzcie komitet przy zarządzie Solidarności, a nie wciągajcie do gry całego związku. 2. Nie liczycie się z psychologią narodu. 3. Nie uwzględnianie (chyba świadomie) analizy sytuacji międzynarodowej i gospodarczej”. Nie jest to w żadnym razie „streszczenie rozmowy”, lecz co najwyżej krótkie streszczenie wypowiedzi prymasa sporządzone po rozmowie albo może notatka do wystąpienia napisana przed rozmową. W tym ostatnim wypadku prymas niekoniecznie musiał powiedzieć dokładnie to, co pierwotnie zamierzył (najpierw przecież wysłuchał działaczy związku), w pierwszym zaś wypadku streszczenie nie musiało być dosłowne. W pkt 1 notatki chodzi najwyraźniej o wciąganie całego związku do „czystej” polityki, czyli o wykraczanie poza statutowe ramy ruchu zawodowego, nie zaś o rozmijanie się z postawami rzeszy członkowskiej. Najgorsze jest to, że sprowadzając spotkanie do wymiaru owej notatki, Andrzej Micewski ośmiesza prymasa i mija się z prawdą. Prymas bowiem na kilka dni przed 13 XII prosił przywódców Solidarności na rozmowę – nie po to, żeby im nawymyślać, lecz po to, by z powrotem nawiązać zerwaną nić kontaktów między związkiem a rządem. Próba ta nie powiodła się i na tym, a nie na rzekomym podnoszeniu głosu i czynieniu wymówek, polegał dramatyzm wydarzenia.

ale chciał w ten sposób doprowadzić do rozmowy na najwyższym szczeblu. Jego wypowiedzi w Radomiu uchodzą za „wyrównanie frontu” pod naciskiem radykalnych działaczy. Myślę, że to uproszczenie. Wałęsa nieraz z powodzeniem szedł pod prąd, zmuszając groźbą odejścia KK, a nawet zjazd Solidarności, do modyfikacji stanowiska. W Radomiu nie uczynił niczego podobnego. Radykalne tony w jego wypowiedzi były adresowane, jak przypuszczam, także do rządu. Sygnalizował on w ten sposób, że nie przyjmie dyktatu, a uchwałę radomską traktował zapewne jako atut, który pozwoli mu uzyskać kompromis na znośnych warunkach. Nie przeciwdziałał przyjęciu tej uchwały, ale też nie głosował za nią, dając tym wyraz gotowości do rozsądnych negocjacji. Dlatego zależało mu na spotkaniu z Jaruzelskim; liczył, że stanowcza postawa związku pozwoli wytargować zmianę warunków narzuconych przez władze. Strona rządowa miała jednak inne zamiary i już nie potrzebowała rozmów.

Podczas spotkania z prymasem 7 grudnia nie było mowy o tym, że ekipa Jaruzelskiego zamiast przepychać stan wyjątkowy w Sejmie zamierza dokonać wojskowego zamachu. Od doradców związku, którzy brali udział w spotkaniach 5 i 9 grudnia, wiem, że i wówczas nie przekazano takiego ostrzeżenia. Na jednym z tych spotkań, w którym uczestniczył Bronisław Geremek, Andrzej Micewski zrelacjonował swoją rozmowę z wysokim niegdyś dygnitarzem partyjnym, przeniesionym na sejmową synekurę. Dostojnik ów wyraził opinię, że Micewski będzie mógł odbyć planowaną na drugą połowę grudnia podróż zagraniczną, gdyż do tego czasu „powinno być po wszystkim”⁶. Wiadomość ta nie wywarła wielkiego wrażenia, bo nie wносиła zasadniczo nowych elementów. Przedmiotem rozmów Wałęsy i doradców z prymasem był list, jaki prymas wystosował do Prezydium Sejmu i do klubów poselskich w celu zablokowania ustawy o uprawnieniach nadzwyczajnych. Bodaj na dwa dni przed

ostatnim posiedzeniem KK, tj. 9 lub 10 grudnia, władze poinformowały prymasa, że wycofują ten projekt spod obrad Sejmu. Część doradców KK, pozostająca w ścisłym kontakcie z episkopatem, uznała wówczas, że rząd zrezygnował na razie z konfrontacyjnych planów. Episkopat nie mógł przedstawić związkowi wiadomości o zamiarze wprowadzenia stanu wojennego, ponieważ sam taką wiadomością nie dysponował⁷. Przeciwnie – został rozmyślnie wprowadzony w błąd. Trudno się zresztą temu dziwić, biorąc pod uwagę znaczenie czynnika zaskoczenia dla powodzenia operacji WRON.

Gdy 11 grudnia 1981 r. zbierała się w Gdańsku KK, decyzje władz były już podjęte. Żaden wynik dwudniowych obrad nie mógł powstrzymać wojennej machiny. A jednak władze czekały do końca obrad. Z tego powodu opóźniono nawet o parę godzin akcję w Gdańsku. We Wrocławiu ZOMO wkroczyło do siedziby ZR [Zarządu Regionu] 12 grudnia wkrótce po godzinie 22.00; w Warszawie obławę rozpoczęto dobrze przed północą; w Gdańsku dopiero 13 grudnia o 2.15. Część członków KK zdążyła już wyjechać do swoich regionów, unikając dzięki temu internowania. Moim zdaniem wskazuje to, że w sztabie operacji miał dużo do powiedzenia propagandzista. Propagandowy efekt przerwania obrad KK byłby istotnie kłopotliwy, ale myślę, że czekano też na uchwały. Władze liczyły zapewne, że ich treść posłuży do usprawiedliwienia stanu wojennego, i uważały, że jest to warte paru godzin zwłoki.

Konsultacje stanowiska radomskiego wykazały znaczną radykalizację związkowego aktywu. Z wielu regionów, w tym Katowic, Szczecina, Bydgoszczy i Warszawy, przywieziono uchwały domagające się poszerzenia radomskiego minimum o żądanie rozwiązania Sejmu i przeprowadzenia przedterminowych wyborów. Atmosfera obrad KK była wyraźnie zaogniona. Wprawdzie Bujak zabrał głos w duchu umiarkowa-

⁶ A. Micewski, *Kościół ostrzegał Solidarność...*, zaprzecza temu.

⁷ Potwierdza to obecnie również A. Micewski, *Kościół ostrzegał Solidarność...*: „Kardynał Glemp zdawał sobie sprawę [...] że zbliżają się ostateczne decyzje, ale »idea« stanu wojennego nie przyszła mu do głowy [...] o stanie wojennym zawiadomił prymasa 13 grudnia o świcie członek Biura Politycznego i sekretarz KC Barcikowski w towarzystwie gen. Oliwy”.

nym, zgoda przeciwnym temu, co mówił w Radomiu, ale do nurtu radykalnego zbliżył się Jacek Kuroń.

Zdaniem Kuronia władze wycofały się z projektu uprawnień nadzwyczajnych i „póki co będą się cofać”. To jednak nie rozwiąże kryzysu i nie uchroni kraju przed wybuchem konfliktu wymykającego się wszelkiej kontroli, a w rezultacie przed interwencją. Jedyną, choć też niezwykle ryzykowną szansę ocalenia przed katastrofą upatrywał on w powołaniu rządu narodowego na mocy porozumienia partii, Kościoła i Solidarności. Rząd taki byłby w stanie skłonić społeczeństwo do wyrzeczeń niezbędnych do wyjścia z kryzysu, a jednocześnie miałby przygotować przedterminowe wybory do Sejmu, udzielając ZSRR gwarancji poszanowania jego interesów w Polsce. Warto przypomnieć, że podobne w pewnej mierze koncepcje pojawiały się także w kołach oficjalnej polityki: przewodniczący PAX Ryszard Reiff, wówczas członek Rady Państwa, głosił przecież potrzebę rządu wielkiej koalicji.

Wypowiedź Kuronia nawiązywała do wystąpienia Jana Rulewskiego, który formułował te same postulaty i domagał się poddania ich pod ogólnozwiązkowe lub narodowe referendum. Obaj z Kuroniem uważali takie referendum za istotny środek nacisku. Pomysł referendum zyskał wśród członków KK szerokie poparcie i jego przegłosowanie wydawało się pewne.

Na przeciwnym biegunie znaleźli się dwaj doradcy: Jan Olszewski i Władysław Siła-Nowicki. W wypowiedziach swoich i w pisemnej ocenie sytuacji politycznej twierdzili oni, że rząd wcale nie zamierza zniszczyć związku, gdyż jest to po prostu niemożliwe: Solidarność jest zbyt wielką siłą i nie da się skutecznie rządzić bez jej współpracy. Ze swej strony Solidarność nie może zniszczyć rządu, bo ze względów geopolitycznych nie ma go czym zastąpić. Proponowali zatem wycofanie się ze stanowiska radomskiego, które zapowiadało strajk generalny w razie stanu wyjątkowego, i ogłoszenie „społecznego rozejmu”. Na usprawiedliwienie obu doradców można zauważyć, że 12 grudnia już nic nie mogło związkowi zaszkodzić.

Radykalnym hasłom sprzeciwił się tym razem także Bujak. Jego zdaniem maksymalizm powoduje nieko-

rzystne skutki: konsoliduje władze, a jednocześnie pogłębia podziały w społeczeństwie. Bujak zalecał więc zmianę strategii: rezygnację ze zbyt radykalnych haseł i poszukiwanie punktów stycznych ze wszystkimi siłami politycznego establishmentu, które są przeciwne konfrontacji. Nie wspomniał jednak, jak bronić się w przypadku stanu wojennego. Być może uważał, podobnie jak Kuroń, że władze zrezygnowały z tego zamiaru.

Geremek nie dał się w tej sprawie zwieść pozorom. Przypomniał o wiszącej nad Solidarnością groźbie i stwierdził, że pod znakiem zapytania stało istnienie związku, a tym samym posierpniowa Polska. Radomska zapowiedź użycia strajku w obronie własnej pozostaje więc aktualna, nie należało natomiast dopuścić do eskalacji żądań w uchwale KK. Z tego względu grupa doradców zaapelowała do KK o zatwierdzenie stanowiska radomskiego i niepodejmowanie żadnych nowych uchwał. Przeciwny eskalacji żądań był także Frasyniuk. Sprzeciwił się on pomysłowi referendum i wykraczaniu poza radomskie minimum. Zwrócił też uwagę, że buńczuczne wypowiedzi i okłaski na wiecach nie są probierzem determinacji społeczeństwa, ale ta trzeźwa uwaga rozmijała się z atmosferą sali.

Także i ja podjąłem polemikę z Kuroniem i Rulewskim. Starłem się jednak nie zaostrzać sporu, aby w miarę możliwości uniknąć otwartego rozłamu na sali. Zwróciłem uwagę, że zdjęcie z porządku obrad Sejmu projektu uprawnień nadzwyczajnych nie oznacza, iż groźba stanu wyjątkowego jest zażegnana. Jest on nadal logiczną konsekwencją polityki władz państwowych, dopóki pozostają w mocy decyzje gospodarcze, których bez stanu wyjątkowego nie sposób wprowadzić w życie. Podkreśliłem, że Rosji nie interesują werbalne gwarancje. Za jedyną rękojmię swoich interesów w Polsce uważa ona sprawowanie rządów przez „swoich ludzi”, a takich ma tylko w partii. Strajkiem generalnym można władze zmusić do poważnych ustępstw, ale nie do samobójstwa. Jeżeli więc wysuniemy żądania równoznaczne w praktyce z obaleniem tej władzy, będzie to z naszej strony wypowiedzenie wojny, i to wojny bez cudzysłowu. Konfrontacja nas

chyba nie minie, ale nie my powinniśmy być stroną, która tę wojnę wypowie.

Napisałem też własny projekt uchwały. Trzymał się on wiernie stanowiska radomskiego i wyjaśniał sens przyjętej w Radomiu strategii. W razie konieczności zamierzałem przeciwstawić swój projekt uchwale Rulewskiego, ale wynik głosowania byłby niepewny. Nastąpiłoby wówczas poważne rozbitcie głosów, wskazujące na brak jedności KK w obliczu krytycznej sytuacji.

Udało się tego uniknąć. Rulewski i Kuroń wykazali dużą elastyczność i wyczucie powagi sytuacji. W rezultacie okazało się, że tekst przygotowany przez Rulewskiego nie zawiera postulatów, które budziły zasadnicze kontrowersje. Zapowiedź referendum sformułowana była bardzo ogólnie; nie było tam ani słowa o rządzie tymczasowym i przedterminowych wyborach, a najdalej idące sformułowanie o „odnowie wszystkich ciał przedstawicielskich” brzmiało niezbyt groźnie w czasach, gdy wyraz odnowa stosowany był powszechnie do wszystkiego. W gruncie rzeczy oznaczało to, że spór między nami zostaje odłożony, ale w tym brzmieniu tekst Rulewskiego nie był sprzeczny z moim. Postanowiliśmy więc zrezygnować z konkurencyjności i zgodnie poddać oba projekty pod głosowanie jako dwa odrębne, uzupełniające się dokumenty końcowe: projekt Rulewskiego jako uchwałę, a mój – jako oświadczenie KK. Mimo burzliwej dyskusji oba dokumenty przyjęto prawie jednomyślnie.

Z uchwały tej i oświadczenia nic już nam nie przyszło. Na swoje dobro możemy zapisać jedynie to, że nie przydały się one również sztabowym propagandzistom WRON. Opóźnienie akcji w Gdańsku w oczekiwaniu na końcowe dokumenty KK nie przyniosło im spodziewanych korzyści. W niezliczonych publikacjach określono uchwałę i oświadczenie z 12 grudnia jako konfrontacyjne, ale nie przytoczono z nich ani jednego zdania. Ostatnie dokumenty KK nie pozostawiały cienia wątpliwości, że związek zapowiada strajk generalny wyłącznie w obronie własnej, a w dalszej perspektywie zamierza walczyć o pełną rekompensatę podwyżek cen. Nie potwierdzało to tezy o sięganiu

po władzę i nie nadawało się do usprawiedliwienia stanu wojennego.

Biorąc pod uwagę to, co miało nastąpić za dwie godziny, spór o sformułowanie uchwał nie był wart najlichszej świeczki. Lepiej było pośpieszyć na dworzec, póki nie odeszły ostatnie pociągi. Później dowiedziałem się, że przed wyłączeniem teleksów do siedziby KK napływały z regionów alarmujące meldunki o ruchach wojsk i jednostek ZOMO. Nie dotarły one do uczestników posiedzenia. Dopiero po północy Krupiński, zamykając obrady, poinformował zebranych o zablokowaniu łączności telefonicznej i teleksowej, po czym dodał: – Życzę państwu w związku z tym dobrej nocy. Kiedy jesienią 1983 r. w mokotowskim więzieniu czytałem w aktach śledztwa stenogram ostatniego posiedzenia KK, słowa te wywierały nieodparty efekt komiczny.

Nic nas nie rozgrzeszy z odpowiedzialności za to, że daliśmy się zaskoczyć i dopuściliśmy do zaskoczenia związku. Przywódcy Solidarności okazali brak przenikliwości, nie sięgając w swych przewidywaniach poza sejmową, konstytucyjną wersję stanu wyjątkowego. A przecież wiedzieliśmy, że droga konstytucyjna, m.in. wskutek naszych własnych poczynań, nastrocza ekipie Jaruzelskiego ogromne trudności polityczne, jednocześnie zaś wielu z nas dostrzegało, że użycie siły jest logicznym dopełnieniem polityki rządu. W ocenie układu sił zabrakło nam tego typu wyobraźni, który jest zawodową domeną wojskowych. Bodaj nikt nie przewidział, że do złamania strajku przy biernym oporze załóg wystarczy manewrować stosunkowo szczupłymi, ale pewnymi jednostkami ZOMO, nie wprowadzając wojska do akcji bezpośredniej. Bardziej obawialiśmy się zbrojnej interwencji z zewnątrz, choć wielu z nas zdawało sobie sprawę, że osłabienie zwartości i determinacji związku daje władzom szansę użycia przemocy własnymi środkami.

Gdybyśmy mieli nawet świadomość, że grozi nam zamach pod osłoną nocy, bez sejmowych debat i politycznych przetargów, wynik ostateczny byłby taki sam. Na pewno większa liczba działaczy zdołałaby uniknąć internowania, opór strajkowy, któremu

nieraz brakowało przywódców, byłby w rezultacie powszechniejszy i twardszy, udałoby się też ocalić więcej sprzętu poligraficznego, zapewnić lepszy start podziemia. Ale o podziemiu nie mieliśmy pojęcia, a przygotowywanie konspiracji w masowym, legalnym i przestrzegającym pełnej jawności działania związku to właściwie kwadratura koła.

Spotkałem się z opinią, że „miękkie przyjęcie” stanu wojennego było dowodem mądrości, gdyż ochroniło substancję narodową i ograniczyło skalę przemocy: dzięki temu nie złamano ducha oporu, który zapewnił podziemiu długowieczność. Jest to dorabianie ideologii do porażki. Nikt z nas tak nie rozumował. Naprawdę wierzyliśmy, że w razie stanu wyjątkowego mamy szansę obronić strajkiem Sierpień, i staraliśmy się, żeby tak było. Mimo błędów coś przecież te starania przyniosły. Uchwały z Solca i Radomia przyniosły zasadniczo trafne rozeznanie konfrontacyjnych zamiarów władz, chociaż tak bardzo myliliśmy się co do sposobu ich realizacji. Związek obudził się późno, ale się jednak obudził, a decyzje o strajku generalnym w przypadku stanu wyjątkowego dotarły do wszystkich załóg. Złagodziło to efekt zaskoczenia: stan wojenny zastał związek w trakcie przygotowań do samoobrony. Strajk generalny miał charakter wyspowy i tylko gdzieniegdzie, jak we Wrocławiu, przybrał niemal powszechny zasięg, myślę jednak, że bez decyzji podjętych w Solcu i Radomiu opór byłby znacznie słabszy; a przecież z grudniowego strajku zrodziła się podziemna kontynuacja oporu.

Czy to wszystko było do uniknięcia? Spory na ten temat będą się toczyć długo, ponieważ żadnej odpowiedzi nie da się empirycznie sprawdzić. Osobiście uważam, że warunkiem trwałego współistnienia komunistycznej władzy z niezależnym związkiem był

inny układ sił w obozie rządowym. Od zakończenia IX zjazdu partii polityka władz zmierzała do konfrontacji w sposób moim zdaniem już nieunikniony. Czy Solidarność mogła wpłynąć na inny wynik rozgrywki w PZPR? W związku z tym wskazuje się zwykle na kryzys bydgoski, który zakończył się bez zmiany układu sił na szczytach władzy. Czy bardziej stanowcza (i zarazem bardziej ryzykowna) opcja przywódców związku mogła wówczas taką zmianę spowodować, zapewniając tym Solidarność faktyczną, a nie papierową gwarancję bezpieczeństwa, czy też ściągnęłaby na nas interwencję? I w tym wypadku żadnej odpowiedzi nie da się sprawdzić doświadczalnie, a niechć do przeprowadzania takich doświadczeń na własnej skórze jest zrozumiała. Na pewno marzec 1981 r. był momentem, gdy decyzje kierownictwa Solidarności mogły przesądzić o innym biegu dalszych wydarzeń, ale nie wiemy, w jakim kierunku zostałyby w rezultacie pchnięty kraj.

Czy wreszcie, jak chce doktryna niereformowalności, wszelka próba wprowadzenia instytucji demokratycznych pod komunistyczną władzą musi zakończyć się fiaskiem z przyczyn ustrojowych lub geopolitycznych? Wbrew pozorom takiej „prawidłowości historycznej” nie da się udowodnić: jest ona przedmiotem wiary. Osobiście nie wierzę w fatum i nie sądzę, że bez zmiany politycznej mapy świata oraz obalenia komunistów niepodobna osiągnąć istotnych zmian. W każdym razie strategia Solidarności oparta była przez 16 miesięcy na praktycznym, a nie teoretycznym założeniu, że jest to osiągalne. Nie da się zaprzeczyć, że owe 16 miesięcy pozostawiło po sobie zmiany, których nie zdołał zatrzeć stan wojenny i próby normalizacji. Wpływ Solidarności okazał się głębszy i trwalszy od wszelkich politycznych doktryn*.

* Publikujemy tekst za: K. Modzelewski, *Między umową a wojną*, Warszawa 1989, s. 93–107. Większość uzupełnień w nawiasach kwadratowych znajdowała się już w tej edycji (red.).

TAŚMY RADOMSKIE

GRZEGORZ MAJCHRZAK

dr, historyk, pracownik Biura Edukacji Publicznej IPN, członek Stowarzyszenia Archiwum Solidarności i Stowarzyszenia Wolnego Słowa. Zajmuje się badaniem aparatu represji, opozycji demokratycznej w PRL (głównie NSZZ Solidarność) oraz stanu wojennego. Autor wielu publikacji; ostatnio wydał tomy źródłowe: *Kryptonim 333. Internowanie Lecha Wałęsy w raportach funkcjonariuszy Biura Ochrony Rządu* (wraz z T. Kozłowskim, 2012), *I Krajowy Zjazd Delegatów NSZZ „Solidarność”. Stenogramy*, t. 1–2 (oprac. G. Majchrzak, J.M. Owsiniński, wstęp B. Kaliski, 2011–2013).

3 grudnia 1981 r. w Radomiu spotkali się członkowie Prezydium Komisji Krajowej NSZZ Solidarność oraz przewodniczący poszczególnych regionów związku, a także związkowi eksperci oraz zaproszeni goście – przewodniczący NSZZ Solidarność Rolników Indywidualnych Jan Kułaj i przewodniczący Krajowej Komisji Koordynacyjnej Niezależnego Zrzeszenia Studentów Jarosław Guzy¹. Obrady odbywały się w jednej z sal klubu Radomiak, przewodniczył im Lech Wałęsa. Rozpoczęły się w południe, zakończyło około pierwszej w nocy². Między piętnastą a szesnastą obrady przerwano, aby część członków Prezydium Komisji Krajowej mogła się spotkać w Radomskich Zakładach Przemysłu Skórzanego Radoskór z przedstawicielami komisji zakładowych regionu radomskiego³.

Ze względu na nieformalny charakter (gremium to nie było ciałem statutowym) obrady radomskie zostały uznane za zamknięte. Początkowo do udziału w nich nie dopuszczono nawet związkowych doradców; weszli oni na salę dopiero godzinę po rozpoczęciu posiedzenia⁴. Pół godziny później zdecydowano się wpuścić również część dziennikarzy związkowych (m.in. „Tygodnika Solidarność”, Agencji Prasowej Solidarność, Biura Informacji Prasowej Solidarności). Zakazano im jednak nagrywania posiedzenia oraz publikowania szczegółowych sprawozdań. Środki ostrożności miały zapobiec przeciekowi informacji na zewnątrz. Z tego samego powodu posiedzenia wyjątkowo nie nagrywało Radio Solidarność dla Radiowęzłów Zakładowych Regionu Mazowsze, które zawsze rejestrowało przebieg „krajówek”. Po zakończeniu obrad nie przeprowadzono konferencji prasowej, a rzecznik Komisji Krajowej nie wydał oświadczenia.

¹ *Obrady w Radomiu*, „BIPS”, 4 XII 1981.

² M. Zielińska, *Spotkanie Prezydium KK z przewodniczącymi regionów*, „AS”, 3–6 XII 1981.

³ W spotkaniu tym udział brali Lech Wałęsa, Stanisław Wądołowski i Marian Jurczyk (*Spotkanie w „Radoskórze”*, „BIPS”, 3 XII 1981; szerzej zob. Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej, dalej: AIPN, 0397/805, *Posiedzenie Prezydium Komisji NSZZ „Solidarność” i przewodniczących zarządów regionalnych odbyte dnia 3.12.1981 r. w Radomiu i 11–12.12.1981 r. w Gdańsku*, Warszawa 1988, mps, s. 112–125).

⁴ Doradców zaproszono na salę obrad po godzinnej zażartej dyskusji w tej kwestii (J. Kuroń, *Gwiazdny czas. „Wiary i winy” dalszy ciąg*, Londyn 1991, s. 245).

Według komunikatu sekretarza Prezydium Komisji Krajowej z 27 listopada posiedzenie planowano poświęcić „ocenie sytuacji wynikającej z zerwania przez stronę rządową rozmów w sprawie konfliktu radomskiego” wokół wyboru rektora Wyższej Szkoły Inżynierskiej Michała Hebdy oraz „aktualnej sytuacji w regionach”⁵. Odbywało się ono w niezwykle napiętej atmosferze politycznej. Kolejne negocjacje rządu z przedstawicielami Solidarności kończyły się fiaskiem. Warto przytoczyć słowa eksperta Komisji Krajowej Bronisława Geremka na ten temat z 17 listopada 1981 r.: „»Solidarność« chce rozmawiać o praworządności. Rząd odpowiada nie, bo nie. »Solidarność« chce rozmawiać o dostępie do środków masowego przekazu. Rząd odpowiada – nie, bo nie jesteśmy przygotowani. O podwyżkach cen – rząd chce rozmawiać natychmiast. Stanowisko rządu w sprawie strajków też jest wyraźne – strajków powinno nie być”⁶. Konflikt zaostriżyło skierowanie przez rząd pod obrady sejmu 28 października 1981 r. projektu ustawy o nadzwyczajnych środkach działania w interesie ochrony obywateli i państwa. Znacznie ograniczała ona możliwość prowadzenia działalności związkowej, m.in. prawo do strajku. Ponadto 2 grudnia jednostki specjalne MSW przeprowadziły w sposób manifestacyjny pacyfikację strajku okupacyjnego studentów Wyższej Oficerskiej Szkoły Pożarnictwa w Warszawie. Podczas ataku zatrzymano m.in. przebywającego na terenie szkoły wiceprzewodniczącego Regionu Mazowsze Seweryna Jaworskiego.

Nic zatem dziwnego, że w Radomiu planowane tematy zeszły na dalszy plan, a dyskusja skoncentrowała się na sytuacji w kraju. Podczas wielogodzinnych obrad niektórzy przywódcy związku występowali również z bardzo radykalnymi propozycjami. Jan Rulewski proponował cofnięcie mandatu zaufania

udzielnego ekipie Wojciecha Jaruzelskiego. Oskarżał rząd o prowadzenie polityki prorosyjskiej. Proponował, aby „w okresie przejściowym powołać rząd tymczasowy, który by kontrolował gospodarkę, aparat bezpieczeństwa i środki masowego przekazu”. Twierdził, że Solidarność może dać Moskwie lepsze gwarancje odnośnie do interesów wojskowych niż władze PRL. Wzywał Solidarność do walki o przedterminowe wybory do Sejmu – 55 proc. miejsc miałyby w nich przyspać Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, Zjednoczonemu Stronnictwu Ludowemu i Stronnictwu Demokratycznemu, 25 proc. zorganizowanym bezpartyjnym, a 20 proc. pozostałym organizacjom i stowarzyszeniom⁷ (w późniejszej relacji „Trybuna Ludu” proporcje te przedstawiono zupełnie inaczej: PZPR i sojusznicy – 25 proc., Solidarność – 25 proc., Konfederacja Polski Niepodległej, Znak i pozostali – 50 proc.⁸). Z kolei Karol Modzelewski w kontekście ewentualnego wprowadzenia stanu wyjątkowego groził: „bóg to będzie ich ostatni”⁹. Również Seweryn Jaworski wzywał związek do twardej postawy. „Rząd nie może być pewny wojska i milicji. Chcą oni przejść na naszą stronę, ale się boją – trzeba im dać szansę” – twierdził. Jednocześnie upominał Wałęsę: „Marzec nie może się powtórzyć”¹⁰. Ja ci utnę głowę [...] albo hutnicy”¹¹.

Wałęsa się bronił. W relacji Jerzego Holzera mówił: „Różniliśmy się [z Andrzejem Gwiazdą i Janem Rulewskim – G.M.] tylko tym, że jego droga i droga Jasia wymaga tego, że trzeba by natychmiast wziąć czołgi, natychmiast wziąć samoloty i inne rzeczy, i oczywiście oni mają rację. My wygramy, tylko nie chcieliśmy płacić maksymalnie. Oczywiście tej walki w końcu nie można wygrać, żeby nic nie zapłacić. Chodzi o to, żeby jak najmniej zapłacić”. Ostrzegał jednak: „myślę, że nie można dać się ponieść fantazji, ponieść się

⁵ Radom – 3 grudnia 1981, „Krytyka” 1986, nr 21, s. 59.

⁶ M. Pernal, J. Skórzyński, *Kalendarium „Solidarności” 1980–1989*, Warszawa 1990, s. 51.

⁷ M. Zielińska, *Spotkanie Prezydium KK z przewodniczącymi regionów...*

⁸ *Szczerość, która musi przerażać. O co im naprawdę chodzi*, „Trybuna Ludu”, 7 XII 1981.

⁹ J. Holzer, „Solidarność” 1980–1981. *Geneza i historia*, Warszawa 1990, s. 338.

¹⁰ Chodzi o przeforsowanie ugody z władzami po pobiciu działaczy Solidarności w Bydgoszczy w połowie marca 1981 r.

¹¹ M. Zielińska, *Spotkanie Prezydium KK z przewodniczącymi regionów...*

nerwom, bo przez to możemy znowu dostać w dziób”. Mówił, że rozmowy z władzami są grą na czas – wobec nieuchronnej jego zdaniem konfrontacji. „Od początku było jasne, że walka będzie, tylko i wyłącznie dobierać środki, żeby jak najwięcej społeczeństwo rozumiało tę walkę. Głośno nie mówić: konfrontacja nieunikniona, takie rozmowy to tylko przechytrzenie kto kogo, jak kogo, a my się sami przechytrzamy. My mamy mówić: kochamy was, kochamy socjalizm i partię, oczywiście, Związek Radziecki, a przez fakty dokonane robić robotę i czekać”¹².

Poparł jednak bardziej radykalną propozycję stanowiska związku¹³. Stwierdzano w niej: „Rozmowy o porozumieniu narodowym wykorzystane zostały przez stronę rządową jako parawan, osłaniający przygotowania do ataku na związek. W tej sytuacji dalsze pertraktacje na temat porozumienia narodowego stały się bezprzedmiotowe”. W przypadku uchwalenia przez sejm ustawy o nadzwyczajnych pełnomocnictwach dla rządu zapowiedziano 24-godzinny ogólnopolski strajk protestacyjny, a w przypadku wprowadzenia ich w życie strajk powszechny. Jako minimalne warunki porozumienia narodowego wymieniono: zaprzestanie represji antyzwiązkowych, przedstawienie sejmowi ustawy o związkach zawodowych w wersji uzgodnionej z przedstawicielami Solidarności, demokratyczne wybory do rad narodowych wszystkich szczebli, uszanowanie związkowej kontroli nad gospodarką narodową (zwłaszcza nad zasobami żywności), za-

pewnienie Społecznej Radzie Gospodarki Narodowej realnego wpływu na decyzje rządowe i możliwości kontrolowania polityki społeczno-gospodarczą rządu, dostęp Solidarności, Kościoła i „innych ośrodków opinii publicznej” do radia i telewizji¹⁴.

Posiedzenie Prezydium Komisji Krajowej i przewodniczących regionów ze względu na swoją rangę było „zabezpieczane operacyjnie” przez Służbę Bezpieczeństwa. 2 grudnia „w późnych godzinach nocnych” Władysław Kuca (naczelnik Wydziału III Departamentu III-A MSW, odpowiedzialnego za rozpracowanie władz krajowych Solidarności) przekazał do „jednostek posiadających odpowiednią agenturę” zalecenie nagrania obrad na taśmę magnetofonową. Agenci mieli tego dokonać oficjalnie na sprzecie związkowym „pod pretekstem dokładnej ich relacji w regionach”¹⁵.

Radomska Służba Bezpieczeństwa umieściła swoich tajnych współpracowników w obsłudze technicznej i porządkowej oraz zarejestrowała (dzięki agenturze i podsłuchom) przebieg spotkań z załogami większych zakładów pracy¹⁶. Jak później stwierdzał zastępca komendanta wojewódzkiego MO do spraw SB Stefan Ostapiński, „przebieg tych spotkań, jak i wystąpienia na nich niektórych przewodniczących regionów Solidarności nie stanowiły na tle ówczesnej atmosfery społeczno-politycznej jakiejś rewelacji”¹⁷.

Funkcjonariusze nie zdołali jednak zamontować podsłuchu w sali, w której odbywało się posiedzenie

¹² J. Holzer, „Solidarność” 1980–1981..., s. 337. Por. *Bój to będzie ich ostatni* w niniejszej „Wolności i Solidarności”, s. 96, 97, 100.

¹³ Jak później tłumaczył, w czasie internowania, nie chciał doprowadzić do rozbitcia Solidarności (M.F. Rakowski, *Dzienniki polityczne 1981–1983*, Warszawa 2004, s. 175). Szerzej uzasadniał swe stanowisko w wydanej w 2008 r. autobiografii: „Wówczas zrozumiałem, że władze próbują rozgrywać moją kartę i pozbawiać mnie poparcia związku [...] Zrozumiałem, że komuniści próbują odłączyć mnie od mas związkowych, żebym stracił przywództwo. Chcieli mnie wmontować w niebezpieczny kanał: dobry Wałęsa – źli radykałowie związkowi. Było to obliczone na pozbawienie mnie autorytetu, a w konsekwencji na rozbitcie związku” (L. Wałęsa, *Droga do prawdy. Autobiografia*, Warszawa 2008, s. 168).

¹⁴ *Stanowisko prezydium KK i przewodniczących ZR NSZZ „Solidarność”*, 11 XII 1981.

¹⁵ AIPN, 01619/1, Notatka naczelnika Wydziału II Głównego Inspektoratu Ministra Spraw Wewnętrznych Romualda Zajkowskiego i st. inspektora GIM Krzysztofa Kaweckiego z rozmowy przeprowadzonej z dyrektorem Biura Studiów MSW Władysławem Kucą, 7 V 1985, k. 248.

¹⁶ *Ibidem*, Notatka służbowa zastępcy komendanta wojewódzkiego MO ds. SB w Radomiu Stefana Ostapińskiego, 3 V 1985, k. 193.

¹⁷ *Ibidem*, k. 194. Odbyły się trzy takie spotkania: dwa w Radoszkowie – wcześniej wspomniane oraz spotkanie Jana Rulewskiego w przerwie obrad z działaczami Solidarności w tym zakładzie (AIPN, 0397/805, *Posiedzenie Prezydium Komisji NSZZ „Solidarność” i przewodniczących zarządów regionalnych odbyte dnia 3.12.1981 r. w Radomiu i 11-12.12.1981 r. w Gdańsku*, Warszawa 1988, mps, s. 129), jedno w Radomskiej Wytwórni Telefonów, gdzie przed posiedzeniem (między 11.00 a 11.45) z załogą spotkał się Marian Jurczyk (*ibidem*, s. 126–128).

Prezydium Komisji Krajowej i przewodniczących regionów. Okazało się bowiem, że środki podjęte przez organizatorów obrad w celu zapewnienia ich tajności (utrzymywano do ostatniej chwili w tajemnicy informację, w której sali będzie posiedzenie, wpuszczano osoby według wykazu, zamykano drzwi i okna w czasie obrad) uniemożliwiły skuteczne zastosowanie podsłuchu¹⁸. Założono co prawda podsłuch w trzech wytypowanych wcześniej salach, lecz główny organizator spotkania Andrzej Sobieraj wybrał czwartą¹⁹.

Mimo to Służbie Bezpieczeństwa udało się pozyskać nagrania z tych utajnionych obrad. Okazało się to możliwe dzięki nielicznej, ale cennej agenturze umieszczonej we władzach związku. Eligiusz Naszkowski (przewodniczący Zarządu Regionu Piłskiego i członek Komisji Krajowej, a od lutego 1981 r. tajny współpracownik SB o pseudonimie „Grażyna”) zgłosił się telefonicznie do Kucy – specjalnie delegowanego do Radomia zamiast niemogącego przyjechać zastępcy komendanta wojewódzkiego MO w Pile Kazimierza Wesołowskiego, który do tej pory kontaktował się z Naszkowskim²⁰. Umówił się z nim na spotkanie na 19.00, jeszcze w trakcie posiedzenia. Przewodniczący piłskiej Solidarności miał wykorzystać „jakieś naturalne usprawiedliwienie na opuszczenie sali obrad, bez narażania się na dekonspirację”²¹.

Spotkali się ostatecznie najprawdopodobniej dopiero około 23.00 w mieszkaniu jednego z funkcjonariuszy KWMO w Radomiu. Agent przekazał tam

przybyłemu z Warszawy funkcjonariuszowi nagranie²². Ostrzegł przed dekonspiracją, gdyż posiedzenie nagrywać miały tylko trzy osoby. Nie zarejestrowały one zresztą całości obrad, gdyż niektórzy mówcy rozpoczęli swe wystąpienia od „kategorycznych żądań wyłączenia magnetofonów”²³. Naszkowski zdołał nagrać jedną taśmę – dwa wystąpienia Lecha Wałęsy oraz po jednym Zbigniewa Bujaka (Region Mazowsze) i Karola Modzelewskiego (Region Dolny Śląsk)²⁴. *Nota bene* według relacji Kucy Naszkowski podczas „wymiany zdań” uznał, że „treści radomskiej kasety nie można ukrywać, ponieważ obrady radomskie były przedostatnim etapem przygotowania kierownictwa Solidarności do obalenia socjalizmu w Polsce i machiny tej nie można już zatrzymać środkami pokojowymi”²⁵.

Na życzenie naczelnika Wydziału III Departamentu III-A MSW zastępcą komendanta wojewódzkiego MO do spraw SB w Radomiu zlecił swym podwładnym z Wydziału Techniki spisanie taśmy. Dla przyspieszenia prac nagranie powielono w kilku egzemplarzach, a następnie było ono przepisywane w kawałkach przez kilku funkcjonariuszy²⁶. 4 grudnia w godzinach przedpołudniowych Kuca przywiózł taśmę (jej oryginał lub kopię) do Warszawy²⁷. Wcześniej przesłał do stolicy przez WCz (linię telefoniczną wysokiej częstotliwości) omówienie posiedzenia, przygotowane przez niego wspólnie z Ostapińskim na podstawie notatek ze spotkania z Naszkowskim²⁸.

¹⁸ AIPN, 01619/1, Notatka służbowa zastępcy komendanta wojewódzkiego MO ds. SB w Radomiu Stefana Ostapińskiego, 3 V 1985, k. 193.

¹⁹ *Ibidem*, Notatka służbowa dyrektora Biura Studiów MSW Władysława Kucy, 21 IV 1985, k. 239.

²⁰ *Ibidem*, Notatka naczelnika Wydziału II Głównego Inspektoratu Ministra Spraw Wewnętrznych Romualda Zajkowskiego i st. inspektora GIM Krzysztofa Kaweckiego z rozmowy przeprowadzonej z dyrektorem Biura Studiów MSW Władysławem Kuca, 7 V 1985, k. 248.

²¹ *Ibidem*, Notatka służbowa zastępcy komendanta wojewódzkiego MO ds. SB w Radomiu Stefana Ostapińskiego, 3 V 1985, k. 193.

²² W relacjach Kucy występuje rozbieżność w tej kwestii.

²³ AIPN, 01619/1, Notatka służbowa dyrektora Biura Studiów MSW Władysława Kucy, 21 IV 1985, k. 238.

²⁴ *Ibidem*, Notatka naczelnika Wydziału II Głównego Inspektoratu Ministra Spraw Wewnętrznych Romualda Zajkowskiego i st. inspektora GIM Krzysztofa Kaweckiego z rozmowy przeprowadzonej z dyrektorem Biura Studiów MSW Władysławem Kuca, 7 V 1985, k. 248.

²⁵ *Ibidem*, Notatka służbowa dyrektora Biura Studiów MSW Władysława Kucy, 21 IV 1985, k. 238.

²⁶ *Ibidem*, Notatka służbowa zastępcy komendanta wojewódzkiego MO ds. SB w Radomiu Stefana Ostapińskiego, 3 V 1985, k. 196.

²⁷ *Ibidem*, Notatka służbowa dyrektora Biura Studiów MSW Władysława Kucy, 21 IV 1985, k. 238. Kuca nie był pewien, czy oryginał nagrania zwrócił Naszkowskiemu wówczas, czy też później (*ibidem*).

²⁸ *Ibidem*, Notatka służbowa zastępcy komendanta wojewódzkiego MO ds. SB w Radomiu Stefana Ostapińskiego, 3 V 1985, k. 196.

Z nagraniem zapoznawały się kolejne osoby. Zapewne jako pierwszy taśmę otrzymał minister spraw wewnętrznych Czesław Kiszczak. Potem trafiła ona również do osób spoza resortu – I sekretarza Komitetu Centralnego PZPR i premiera Wojciecha Jaruzelskiego, wicepremiera Mieczysława Rakowskiego, rzecznika prasowego rządu Jerzego Urbana oraz sekretarza KC PZPR Stefana Olszowskiego. To właśnie w tym gronie podjęto decyzję o propagandowym wykorzystaniu nagrania²⁹. 5 grudnia 1981 r. Biuro Polityczne KC PZPR podjęło formalną decyzję w tej sprawie: „W trybie pilnym wykorzystać masowo materiały z obrad Prezydium KK w Radomiu”³⁰.

W odpowiednim spreparowaniu taśm do emisji, które odbywało się w gmachu MSW przy ulicy Rakowieckiej, uczestniczyli: Władysław Kuca, Władysław Ciastoń (wiceminister spraw wewnętrznych), Tadeusz Bryniarski (funkcjonariusz Departamentu III-A MSW), a także dwaj zaufani dziennikarze radiowi: Kajetan Gruszecki (kierownik redakcji publicystyki Polskiego Radia) i Jerzy Małczyński³¹.

Jednak, jak to w peerelowskiej rzeczywistości bywało, przegranie na taśmę radiową okazało się możliwe jedynie w Polskim Radiu. Według Kucy i Gruszeckiego informacja o nagraniu (czy dokładnie o jego treści) dotarła wówczas do Zbigniewa Bujaka i „jego współpracowników” z Regionu Mazowsze. W każdym razie podjęte nadzwyczajne środki ostrożności – przechowywanie taśmy w gmachu MSW i dowożenie jej do

siedziby radia przed emisjami – okazały się słuszne. W nocy po pierwszej emisji nagrania zostało bowiem rozbite biurko i szafa redaktora Gruszeckiego³².

Nagranie wykonane przez Naszkowskiego nie było jedynym, jakim dysponowała SB. Niezależnie od niego zarejestrował posiedzenie Wojciech Zierke – przewodniczący Zarządu Regionu Słupskiego i członek Komisji Krajowej, najprawdopodobniej od lipca 1981 r. tajny współpracownik SB o pseudonimie „Jola”. Do Warszawy jego taśmy dotarły jednak „ze znacznym opóźnieniem”; nie miał kto ich odebrać od Zierkego. Ponadto koordynujący działania resortu związane z posiedzeniem radomskim Kuca nie miał pewności, czy jego zalecenia dotarły do tego agenta³³. O tym, że Zierke otrzymał je i – co więcej – wykonał, Kuca dowiedział się dopiero „kilka dni później”³⁴. 6 grudnia specjalny kurier Departamentu III-A odebrał nagranie ze Słupska, prawdopodobnie dzień później trafiło ono bezpośrednio do wiceministra spraw wewnętrznych Władysława Ciastonia³⁵. Z jednej strony potwierdzało prawdziwość nagrania Naszkowskiego, ale z drugiej okazało się „mniej cenne”³⁶.

Nie do końca jest jasne, czy przypadkiem posiedzenia nie zarejestrował też trzeci tajny współpracownik SB – o pseudonimie „Marcin”, czyli Andrzej Konarski, członek Zarządu Regionu Dolny Śląsk i Prezydium Komisji Krajowej. O tym, że otrzymał takie zadanie, świadczy przyjazd do Radomia jednego z funkcjonariuszy Komendy Wojewódzkiej MO we Wrocławiu.

²⁹ W. Bereś, J. Skoczylas, *Generał Kiszczak mówi... prawie wszystko*, Warszawa 1991, s. 197. Mieczysław Rakowski potwierdza (*Dzienniki polityczne 1981–1983...*, s. 112), że w gabinecie Jaruzelskiego przestuchiwał taśmę wraz z Olszowskim i „szefem”. Z kolei udział w całej operacji Jerzego Urbana potwierdza jego była żona (K. Andrzejewska, *Urban... byłem jego żoną... Z Karyną Andrzejewską rozmawia Radosław Piszczek*, Gdańsk 1993, s. 242).

³⁰ *Tajne dokumenty Biura Politycznego. PZPR a „Solidarność” 1980–1981*, oprac. Z. Włodek, Londyn 1992, s. 567.

³¹ AIPN, 01619/1, Notatka służbowa dyrektora Biura Studiów MSW Władysława Kucy, 21 IV 1985, k. 238.

³² *Ibidem*, k. 239.

³³ AIPN, 01619/1, Notatka naczelnika Wydziału II Głównego Inspektoratu Ministra Spraw Wewnętrznych Romualda Zajkowskiego i st. inspektora GIM Krzysztofa Kaweckiego z rozmowy przeprowadzonej z dyrektorem Biura Studiów MSW Władysławem Kuca, 7 V 1985, k. 248.

³⁴ *Ibidem*.

³⁵ AIPN, 003175/603, Sprawozdanie GIM z czynności wyjaśniających w sprawie por. Eligiusza Naszkowskiego, byłego inspektora Biura Studiów MSW, 25 VI 1985, k. 47/12.

³⁶ AIPN, 01619/1, Notatka służbowa dyrektora Biura Studiów MSW Władysława Kucy, 21 IV 1985, k. 239.

Jednak Konarski się z nim nie skontaktował³⁷. Może nawet nie wykonał postawionego przed nim zadania. Na taką możliwość zdaje się zresztą wskazywać jego charakterystyka jako tajnego współpracownika opracowana pod koniec sierpnia 1981 r.: „W dotychczasowej współpracy szczery i prawdomówny, chociaż nadrzędnym interesem dla niego jest działalność związkowa (nie wykona zadania, które godziłoby w podstawowe interesy związku)”³⁸. Jego nagranie – jeśli je oczywiście wykonał – nie trafiło do MSW.

O tym, że miało być trzecie nagranie, mówi Eligiusz Naszkowski w jednym ze swoich wywiadów z początku lat dziewięćdziesiątych. Niestety w jego opowieściach niezwykle trudno jest odróżnić prawdę od kłamstwa czy konfabulacji. Nic nie wskazuje na to, aby – jak twierdzi – nagranie dla SB wykonał Zdzisław Rozwałak, przewodniczący Zarządu Regionu Wielkopolska i członek Komisji Krajowej³⁹. Fragmenty obrad, a ściślej wystąpienie Lecha Wałęsy, nagrał natomiast Mieczysław Wachowski; uczynił to na potrzeby przewodniczącego związku. Z tego powodu zresztą znalazł się, przynajmniej początkowo, w kręgu podejrzanych o pracę na rzecz SB⁴⁰.

Emisjom radiowym towarzyszyły audycje telewizyjne oraz szeroka kampania prasowa, prowadzona

m.in. przez organ Komitetu Centralnego PZPR „Trybunę Ludu”. 7 grudnia opublikowano na jej łamach artykuł o wymownym tytule *Szczerość, która musi przerażać. O co im naprawdę chodzi*. W kolejnych dniach (8, 9 i 10 grudnia) w specjalnie poświęconej obradom radomskim rubryce *Zapowiedzi budzące najgłębszy niepokój*. *Powiedzieli „Trybunie”* publikowano opinie „przedstawicieli różnych środowisk” na ten temat. Ważną rolę w tej kampanii odgrywał skierowany głównie do wojskowych „Żołnierz Wolności”. W wydaniu z 12–13 grudnia pojawiły się w nim sugestie, że żadnego podstuchu nie było, a „przeciek” miał „spowodować ktoś z obecnych na naradzie, ktoś z zaufanych”. „Może to być Jan Rulewski, może Seweryn Jaworski lub Zbigniew Bujak, może Karol Modzelewski, a może wreszcie sam »ojciec chrzestny« mafii – Kuroń” – wskazywano podejrzanych⁴¹.

Kampania miała jasny cel: przekonanie społeczeństwa (a raczej jego części), że Solidarność dąży do konfrontacji, do krwawego starcia z władzami. Czy okazała się skuteczna? W odczuciu działaczy związku – nie⁴². Zupełnie inaczej widziały to oczywiście władze⁴³. Z pewnością przyczyniła się do konsolidacji obozu władzy, którą zwiększyły jeszcze krążące wśród aparatu partyjnego, funkcjonariuszy MO i SB pogłoski o istnieniu list proskrypcyjnych i planów

³⁷ *Ibidem*, Notatka służbowa zastępcy komendanta wojewódzkiego MO ds. SB w Radomiu Stefana Ostapińskiego, 3 V 1985, k. 193. Pisał on: „pracownik KWMO z Wrocławia przybył do Radomia i ulokowany został w m[ieszkaniu] k[onspiracyjnym] Wydziału T wyposażonym w telefon. Jak pamiętam, TW nie nawiązał z tym pracownikiem kontaktu poprzez telefon” (*ibidem*).

³⁸ AIPN, 0236/243, t. 1, cz. 2, Wykaz osobowych źródeł informacji spośród delegatów na I Krajowy Zjazd Delegatów NSZZ Solidarność, 26 VIII 1981, k. 33.

³⁹ Zob. *Urban nie sygnął... mówi Eligiusz Naszkowski*, rozm. J. Prześluga, „Tygodnik Nowy”, 17 X 1990.

⁴⁰ L. Wałęsa, *Droga do prawdy...*, s. 169. Tak rzecz opisywał Andrzej Sobieraj: „Podczas rozmów ktoś z zebranych powiedział: »Wachowski nagrywa«. Ten nie wytrzymał, wyjął zza marynarki dyktafon i powiedział, że on to robi na polecenie Wałęsy. Lechu to potwierdził. Powiedział, że on zawsze analizuje potem przebieg rozmowy. Poproszono, by go wyłączył, co też Wachowski uczynił, i wróciliśmy do dalszych rozmów” (*Jawnie i w podziemiu. Wspomnienia ludzi „Solidarności” regionu radomskiego (1980–1989)*, oprac. K. Słowiński, Lublin 2010, s. 384).

⁴¹ J. Lew, *Pogłębianie przepaści*, „Żołnierz Wolności”, 12–13 XII 1981.

⁴² Tak wspominał Jacek Kuroń: „Ciekawe, że ludzie nie mówili o tym, że chcemy obalić władzę, ale oburzali się na natchnionego Jaworskiego, który groził: Lechu, jak nas zdradzisz, to ja i inni hutnicy utniemy ci głowę. Denerwowali się, że się w ogóle kłócimy, bo to że taśmy były spreparowane, to jasne było dla wszystkich” (J. Kuroń, *Gwiazdny czas. „Wiary i winy” dalszy ciąg*, Londyn 1991, s. 247).

⁴³ Na przykład 9 grudnia MSW informowało: „W społeczeństwie narasta lęk i obawa przed skutkami konfrontacji, które mogą być tragiczne dla wielu rodzin” (AIPN, MSW II, 15919, Informacja dzienna MSW nr 80, 9 XII 1981, k. 209), a dzień później: „Różne środowiska wielu województw wykazują duże zaskoczenie wypowiedziami działaczy Solidarności w Radomiu. Uważa się, że kierownictwo związku ujawniło w końcu swe prawdziwe oblicze” (*ibidem*, Informacja dzienna MSW nr 81, 10 XII 1981, k. 231).

wymordowania ich samych oraz ich rodzin przez solidarnościowe bojówki⁴⁴.

Oczywiście związek zareagował na upublicznienie przez rządowe media wybranych fragmentów posiedzenia. Zarząd Regionu Ziemia Radomska zobowiązał przewodniczącego Sobieraja do skonsultowania z Komisją Krajową „zasadności zaskarżenia środków masowego przekazu – TV, radio, prasy za ujawnienie materiałów z zamkniętego posiedzenia związku”⁴⁵. Z kolei Zarząd Regionu Mazowsze stwierdzał: „Pragniemy zwrócić uwagę członków naszego związku i wszystkich niezorganizowanych w nim ludzi pracy, że nie jest to pełny stenogram prowadzonej dyskusji – są to tylko wybrane i wyrwane z treści rozmów fragmenty”. I apelował: „Nie poddawajmy się wpływowi tendencyjnej, pełnej fałszu propagandy”⁴⁶.

Stanowisko przyjęte w Radomiu uzyskało aprobatę działaczy Solidarności, czego wyrazem było chociażby poparcie go 12 grudnia przez Komisję Krajową w pełnym składzie. W przyjętej wówczas uchwale w sprawie strategii i taktyki związku stwierdzano: „KK, opierając się na konsultacji przeprowadzonej przez zarządy regionalne, oświadcza, że stanowisko uchwalone 3 grudnia w Radomiu przez Prezydium KK i przewodniczących zarządów regionalnych stało się zgodnym stanowiskiem związku”⁴⁷.

Eligiusz Naszkowski otrzymał za nagranie bardzo wysoką sumę – 50 tys. złotych (przeciętna płaca w 1981 r. wynosiła niespełna 7700 złotych, a popularny „maluch”, czyli fiat 126p, kosztował oficjalnie 130 tys.). Zierke nie dostał od swych przełożonych z SB ani grosza⁴⁸. Naszkowskiemu opłacono również mandat za wypadek samochodowy, który spowodował podczas powrotu z Radomia⁴⁹. I to mimo że nie miał on (wbrew późniejszym podejrzeniom niektórych działaczy Solidarności) związku z zadaniami wykonywanymi dla SB.

Zresztą jeszcze przed 13 grudnia 1981 r. działacze Solidarności uznali, że to właśnie Naszkowski nagrał posiedzenie dla Służby Bezpieczeństwa⁵⁰. Te przypuszczenia potwierdziły się kilka miesięcy po jego ucieczce na Zachód w 1984 r., kiedy to (jako były funkcjonariusz Biura Studiów MSW, elitarniej jednostki utworzonej w stanie wojennym do zwalczania Solidarności) „demaskował” działalność resortu na łamach „Die Welt”, „Le Monde” czy w audycjach Radia Wolna Europa. Natomiast współpraca z SB Zierkego jeszcze przez lata pozostawała tajemnicą. Choć po tym, jak 17 grudnia 1981 r. na łamach „Głosu Pomorza”⁵¹ wezwał swych kolegów ze ślupskiej Solidarności do zawieszenia wszelkich akcji protestacyjnych i zaapelował o niepodejmowanie działań sprzecznych

⁴⁴ J. Holzer, „Solidarność” 1980–1981..., s. 340. 11 grudnia w ostatniej przed wprowadzeniem stanu wojennego informacji przygotowanej przez Wydział Organizacyjny KC PZPR stwierdzano: „nastąpił w szeregach partyjnych zdecydowany wzrost poczucia zagrożenia osobistego i własnych rodzin”, docierają „coraz liczniejsze głosy, zarówno ze strony aktywu i członków partii, jak również bezpartyjnych, domagające się położenia kresu chaosowi i anarchii” (*ibidem*).

⁴⁵ AIPN, 0397/805, Posiedzenie Prezydium Komisji NSZZ „Solidarność” i przewodniczących zarządów regionalnych odbyte dnia 3.12.1981 r. w Radomiu i 11–12.12.1981 r. w Gdańsku, Warszawa 1988, mps, s. 133.

⁴⁶ *Ibidem*.

⁴⁷ Dokumenty Krajowej Komisji Porozumiewawczej i Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność” (1980–1981), wybór J.M. Owsiniński, wstęp i oprac. T. Kozłowski, Warszawa 2012, s. 329 (http://archsol.pl/pliki/02_kkp_kk.doc).

⁴⁸ AIPN, 003175/603, Sprawozdanie GIM z czynności wyjaśniających w sprawie por. Eligiusza Naszkowskiego, byłego inspektora Biura Studiów MSW, 25 VI 1985, k. 47/12.

⁴⁹ AIPN, 00200/1432, t. 1, k. 192.

⁵⁰ Najczęściej jako ten, który zdekonspirował Naszkowskiego, wymieniany jest Mieczysław Wachowski. Na podstawie rozmów z uczestnikami obrad ustalił, gdzie kto siedział, a następnie „narysował schemat z uwzględnieniem kierunku i natężenia głosu”. W ten sposób stwierdził, iż nagrywającym był Naszkowski (J. Kurski, *Szara eminencja – sylwetka Mieczysława Wachowskiego*, <http://wiadomosci.gazeta.pl/wiadomosci/1,55670,66486.html>). Wersję tę potwierdził sam Wachowski, który przyznał, że nagrywającego zidentyfikował wspólnie z Jackiem Kuroniem (L. Wałęsa, *Droga do prawdy...*, s. 169).

⁵¹ *Odezwa przewodniczącego Zarządu Regionalnego NSZZ „Solidarność” Wojciecha Zierke do członków „Solidarności” regionu ślupskiego, „Głos Pomorza”, 17 XII 1981.*

z dekretem o stanie wojennym, stał się osobą co najmniej podejrzaną.

Po 13 grudnia obaj ci agenci nadal przekazywali swym mocodawcom informacje o kolegach i kolegankach ze związku. Zierke w nagrodę wyjechał pracować do Libii, a Naszkowski został kadrowym funkcjonariuszem SB. Ale to już całkiem inna historia...

Niezwykle interesujące są również dalsze losy nagrania wykonanego przez Naszkowskiego. Przekazano je do Urzędu Rady Ministrów, a tam m.in. na jego podstawie sporządzono i wydrukowano zapis wypowiedzi na posiedzeniu radomskim. Jeden z egzemplarzy stenogramu przygotowanego w URM został następnie wykorzystany przez Służbę Bezpieczeństwa do przygotowania opracowania zatytułowanego „Lech Wałęsa”⁵², inny miał zostać opracowany dla Jana Pawła II⁵³. W URM ślad po nagraniu się urywa. Nie wiadomo, co się z nim dzieło potem. Najprawdopodobniej zaginęło. Nie można jednak wykluczyć, że trafiło do prymasa Józefa Glempa. Wiadomo bowiem, że taśmy (lub ich kopie) z nagraniem obrad przekazał mu (najprawdopodobniej podczas spotkania 25 kwietnia 1982 r.) Wojciech Jaruzelski⁵⁴.

Nieznany aspekt tej sprawy są rozpoczęte jeszcze przed wprowadzeniem stanu wojennego przygotowania do procesu uczestników posiedzenia radomskiego, z Wałęsą na czele⁵⁵. Zamierzano ich oskarżyć

z artykułu 123 kodeksu karnego: „Kto, mając na celu pozbawienie niepodległości, oderwanie części terytorium, obalenie przemocą ustroju lub osłabienie mocy obronnej Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, podejmuje w porozumieniu z innymi osobami działalność zmierzającą do urzeczywistnienia tego celu, podlega karze pozbawienia wolności na czas nie krótszy od lat 5 albo karze śmierci” lub ze związanego z nim artykułu 128, w którym była mowa o podejmowaniu tego rodzaju przygotowań, co było z kolei zagrożone karą od roku do dziesięciu lat. Departament III-A MSW przekazał do Biura Śledczego materiały dotyczące obrad radomskich „zawierające obszernie streszczenia lub omówienia wystąpień biorących udział w tym posiedzeniu działaczy związku, a nadto stenogramy niektórych wypowiedzi w dyskusji”. Jednak już 8 grudnia 1981 r. w Biurze Śledczym MSW uznano, że materiał ten „z uwagi na jego niekompletność” oraz w przypadku streszczeń „pośredniość relacji” nie daje podstaw do „wydania jednoznacznej opinii w przedmiocie określenia, czy treść wystąpień narusza przepisy prawa karnego”. Wydanie ostatecznej oceny prawnej uzależniono od możliwości zapoznania się „z pełnym tekstem stenogramu wystąpień uczestników narady”⁵⁶.

Działania mające na celu ukaranie uczestników posiedzenia radomskiego kontynuowano – również

⁵² AIPN, 01619/1, Wyjaśnienia zastępcy naczelnika Wydziału II Biura Studiów MSW Józefa Buraka, 24 V 1985, k. 436–437.

⁵³ *Ibidem*, Notatka służbowa zastępcy naczelnika Wydziału II Biura Studiów MSW Józefa Buraka, 9 IV 1985, k. 4.

⁵⁴ Warto przytoczyć relację ambasadora NRD Horsta Neubauera: „Glemp próbował wykazać, że przywódcy »Solidarności«, a zwłaszcza Wałęsa, są ludźmi »ze szlachetnymi zamiarami«. Tow. Jaruzelski wskazał na obrady w Radomiu i Gdańsku i udowodnił, że przywódcy »Solidarności«, włączając Wałęsę, zamierzali obalić porządek socjalistyczny, wymordować komunistów” (szyfrogram ambasadora NRD w Polsce do kierownictwa NRD, 28 IV 1982 [w:] *Drogi do niepodległości 1944–1956/1980–1989. Nieznane źródła do dziejów najnowszych Polski*, oprac. T. Balbus, Ł. Kamiński, W. Sawicki, K. Szwagrzyk, red. W. Wrzesiński, Wrocław 2001, s. 260).

⁵⁵ W pierwszej wersji na liście znaleźli się „czołowi działacze” związku, „w szczególności”: Zbigniew Bujak, Marian Jurczyk, Jan Rulewski, Grzegorz Palka, Andrzej Słowik, Seweryn Jaworski, Karol Modzelewski, Jacek Kuroń, Adam Michnik, Andrzej Gwiazda, Bogdan Lis, Jan Waszkiewicz, Leszek Waliszewski, Andrzej Rozpłochowski, Patrycjusz Kosmowski i Andrzej Sobieraj. Zarzuty miały obejmować zarówno posiedzenie radomskie, jak i obrady Komisji Krajowej 11–12 XII 1981 (AIPN, 01092/1, t. 1, Notatka zastępcy naczelnika Wydziału I Biura Śledczego MSW Stanisława Trafalskiego, 21 XII 1981, k. 256–257).

⁵⁶ AIPN, 01092/1, t. 1, Notatka Biura Śledczego MSW, 8 XII 1981, k. 139. W Biurze Śledczym uznano, iż „treść niektórych wystąpień wskazuje na to, że ich autorzy noszą się wprawdzie z takim zamiarem, jednak z punktu widzenia prawa nie jest on karalny”, gdyż „Warunkiem odpowiedzialności karnej za przygotowanie do obalenia przemocą ustroju PRL byłoby podjęcie wiążącej decyzji co do przedsięwzięć mających przygotować realizację zamiaru” (*ibidem*).

w kolejnych miesiącach po wprowadzeniu stanu wojennego, mimo abolicji na czyny sprzed 13 grudnia 1981 r. Utworzono nawet specjalną grupę operacyjno-śledczą⁵⁷. Departament III-A MSW dostarczył 11 grudnia 1981 r. Komendzie Głównej Milicji Obywatelskiej trzy taśmy magnetofonowe⁵⁸. Okazało się jednak, że nie nadają się na materiał dowodowy, gdyż są jedynie kopiami⁵⁹.

Mimo tego śledztwo w sprawie rzekomej działalności spiskowej niektórych członków Komisji Krajowej (oraz działaczy Komitetu Samoobrony Społecznej KOR) prowadziła od 1 lutego 1982 r. Naczelna Prokuratura Wojskowa. W związku z nim powołano specjalny zespół, składający się z przedstawicieli

Wydziału Administracyjnego KC PZPR, Prokuratury Generalnej i Naczelnej Prokuratury Wojskowej. Zarzuty zawężono do uchwały o taktyce i strategii związku z 12 grudnia 1981 r., która zawierała wezwanie do strajku powszechnego w razie uchwalenia przez sejm ustawy o nadzwyczajnych uprawnieniach dla rządu lub wprowadzenia represji uniemożliwiających normalną działalność związku. W grudniu 1982 r. zarzuty postawiono Andrzejowi Gwiaździe, Sewerynowi Jaworskiemu, Marianowi Jurczykowi, Karolowi Modzelewskiemu, Grzegorzowi Palce, Andrzejowi Rozpłochowskiemu i Janowi Rulewskiemu. Ostatecznie śledztwo w ich sprawie umorzono 26 lipca 1984 r. na mocy amnestii⁶⁰.

⁵⁷ AIPN, 01092/1, t. 2, Pismo do dyrektora Departamentu I MSW Jana Słowikowskiego, 29 XII 1981, k. 23.

⁵⁸ AIPN, 01092/1, t. 1, Pismo zastępcy naczelnika Wydziału III Departamentu III-A MSW Wiesława Ulanowskiego do zastępcy naczelnika Wydziału I Biura Śledczego MSW Stanisława Trafalskiego, 11 XII 1981, k. 182.

⁵⁹ AIPN, 01092/1, t. 2, Pismo dyrektora Biura Śledczego MSW Hipolita Starszaka do dyrektora Departamentu V MSW Józefa Sasina, 6 I 1982, k. 177. Według opinii Zakładu Kryminalistyki KGM0, na którą powoływał się Starszak, niektóre wypowiedzi były niepełne względnie występowały w zapisie dwukrotnie, co świadczyło o tym, że nagrania zostały poddane zabiegom technicznym (*ibidem*). Sprawa jest nader niejasna, gdyż w innych dokumentach MSW mowa jest o tym, że ekspertyza Zakładu Kryminalistyki KGM0 potwierdziła autentyczność nagrań (AIPN, 01092/1, t. 1, Notatka oficera SB MSW, 21 XII 1981, k. 238).

⁶⁰ G. Majchrzak, *Sprawa uwolnienia jedenastki* [w:] *Encyklopedia Solidarności. Opozycja w PRL 1976–1989*, t. 1, Warszawa 2010, s. 400–401.

SPRAWA „JEDENASTKI”

RELACJE KAROLA MODZELEWSKIEGO I ANDRZEJA WIELOWIEYSKIEGO

W czwartym numerze „Wolności i Solidarności” opublikowaliśmy blok materiałów o jednym z kluczowych, choć mało znanych fragmentów historii Solidarności – sprawy uwolnienia tzw. jedenastki. Jedenastu przetrzymywanych w więzieniu od 13 grudnia 1981 r. przywódców ruchu otrzymało od reżimu gen. Jaruzelskiego jesienią 1983 r. ofertę wyjścia na wolność pod warunkiem rezygnacji na dwa lata z działalności społecznej i politycznej. Przez kilka miesięcy toczyły się w tej sprawie negocjacje z udziałem przedstawicieli Kościoła, doradców Solidarności i członków dawnego KSS KOR. Po dyskusjach z doradcami więźniowie odrzucili propozycję generałów.

Dziś wracamy do tej historii w relacjach dwóch z jej uczestników. Przedstawione one zostały podczas spotkania promocyjnego „Wolności i Solidarności”, które odbyło się 28 listopada 2012 r. w Warszawie z udziałem Karola Modzelewskiego, Andrzeja Wielowieyskiego, Andrzeja Friszke i Jana Skórzyńskiego.

Karol Modzelewski:

Myszę, że w pierwszych dniach stanu wojennego, gdy jeszcze nie było wiadomo, jak rozległy i twardy będzie opór i jak bezwzględny będzie terror, generałowie rozważali, w ramach ostrzejszego wariantu, wytoczenie związanym z Solidarnością członkom Komitetu Obrony Robotników oraz internowanym „ekstremistom” z Komisji Krajowej procesu o spisek mający na celu obalenie przemocą – pod przykrywką działalności związkowej – ustroju PRL. Istotnie, pierwsze protokoły przesłuchania świadków w sprawie o „spiskową działalność niektórych działaczy NSZZ Solidarność” sporządzono w styczniu 1982 r. Wówczas jednak władze się nie zdecydowały na taki krok. Dopiero na początku września, pod wpływem irytacji wywołanej masowymi manifestacjami z 31 sierpnia, generałowie postanowili przenieść pięciu internowanych członków KOR na Mokotów i postawić im zarzut „przygotowań do obalenia ustroju”. 22 grudnia 1982 r. podobny, choć z pozoru groźniej brzmiący zarzut postawiono nam – czyli siedmiu pozostającym jeszcze w internowaniu członkom Komisji Krajowej (mieliśmy już przystąpić do dzieła i „podjąć próbę obalenia ustroju”). Bez takiego oskarżenia trzeba by nas było następnego dnia wypuścić na wolność, jak wszystkich internowanych, ale generałowie przekonali siebie samych, że jesteśmy zbyt groźni. W styczniu lub lutym nasz proces mógłby jeszcze posłużyć do legitymizowania stanu

wojennego jako obrony koniecznej przed spiskowcami, co się targnęli na ustrój, ale po roku był to już krok politycznie bezsensowny i po przeniesieniu nas do aresztu generałowie łamali sobie głowę nad tym, jak nas wypuścić bez utraty twarzy. Póki oni się nad tym zastanawiali, przesiedzieliśmy w śledztwie jeszcze rok i osiem miesięcy (oprócz roku internowania).

Chyba w lutym 1984 r. przeczytałem w „Trybunie Ludu” (dostarczano ją do celi), że rzecznik rządu Jerzy Urban na konferencji prasowej dla dziennikarzy zagranicznych oznajmił, jakoby „jedenastce”¹ zaproponowano zamiast procesu dobrowolny wyjazd za granicę. Była to wiadomość fałszywa; w każdym razie mnie nikt niczego podobnego nie proponował, więc nie mogłem zareagować ani w „zróżnicowany”, ani w jednoznaczny sposób. Postanowiłem teraz odpowiedzieć i napisałem do rzecznika rządu łodowato grzeczny list. Zwróciłem uwagę, że od blisko półtora roku pozostajemy w areszcie śledczym pod fałszywym zarzutem zamachu na ustrój, który w rzeczywistości dotyczy legalnej działalności związkowej. Co gorsza, w toku śledztwa Służba Bezpieczeństwa dopuściła się fabrykowania fałszywych dowodów (w tym czasie już czytałem akta sprawy, więc wiedziałem, co piszę). Nie jestem zainteresowany uniknięciem sądu, lecz publicznym procesem, w którym fałszywy zarzut zostanie obalony, a fałszywe dowody zdezurowane. Rozumiem, że rząd chciałby uniknąć takiego procesu, ale nie może w tym liczyć na żadną pomoc z mojej strony.

Odpowiedzi oczywiście nie dostałem, ale na widzeniu adwokackim odtworzyłem list z pamięci i dałem adwokatom (z myślą o przekazaniu miarodajnym kręgom związkowym i o publikacji w drugim obiegu). List mój wykluczał jednak nie tylko zgodę na wyjazd, czego nam władze oficjalnie nigdy nie zaproponowały. Wykluczał również to, co nam faktycznie w dwa miesiące później zaproponowano.

Trzeba podkreślić, że od chwili przeniesienia nas z Białoteki na Mokotów, gdzie obowiązywał rygor izolacyjny, straciliśmy bardzo ważny kanał kontaktu

z kolegami działającymi na wolności, jaki utrzymywaliśmy za pośrednictwem księży, którzy sprawowali nad nami opiekę duszpasterską – nad wierzącymi i niewierzącymi, bez dyskryminacji – a przy okazji nosili nam grypsy i inne rzeczy. Jeden z tych księży został oskarżony po latach lustracyjnie, ale grypsy, które przechodziły przez niego, nigdy nie zostały zdradzone ani mój kontakt osobisty z jednym z członków Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej NSZZ Solidarność – także utrzymywany za jego pośrednictwem. On był jednym z ogniw łańcuszka. Ludzie z tego łańcuszka nie zostali zdradzeni, łącznicy nie zostali nigdy aresztowani, więc to nie jest tak prosto, że jak ktoś rozmawiał z bezpieką, to rozmawiał o wszystkim, a nic nie zatajał.

Wzięto nas na rozmowy z naszymi doradcami znienacka. Nie było zwyczaju w tym pawilonie, żeby aresztantowi mówić, dokąd go prowadzą (przeważnie zresztą brali na przesłuchanie). Poza Adamem Michnikiem, któremu narzeczona na widzeniu powiedziała, co będzie, myśmy nie wiedzieli. Ale w nietypowym dniu przyszedł klawisz, kazał się namydląć – mnie jednemu z całej celi; a poprzedniego dnia byliśmy goleni. No, takich cudów to jeszcze nie było, żeby w więzieniu fryzjer codziennie golił! Potem znowu wszedł ten sam klawisz i mówi: „Co macie do ubrania?”. Trochę się przestraszyłem, bo pomyślałem, że ktoś umarł w domu i będą mnie wozic, abym oglądał zwłoki (taką procedurę zastosowano wobec jednego ze współwięźniów). Powiedziałem: „Mam to, co na sobie”. „To się jakoś ochędoźcie” – usłyszałem. No to całkiem niedobrze – pomyślałem, po czym klawisz mnie wyprowadził.

Na korytarzu oficer śledczy, por. Breitkopf z Biura Śledczego MSW, sprowadza mnie na dół i prowadzi przez pawilony w stronę wyjścia. Ja pytam: „Co, jest widzenie?”. „Nie, nie”. „Co, adwokackie?”. Też nie. Na adwokackie zresztą tajniacy nie prowadząją. „To co jest?” – pytam. „Zobaczysz pan. Nie powinien być pan niezadowolony” – odpowiada. Po czym prowadzą

¹ Byli to: Andrzej Gwiazda, Seweryn Jaworski, Marian Jurczyk, Karol Modzelewski, Grzegorz Palka, Andrzej Rozpłochowski i Jan Rulewski oraz Jacek Kuroń, Adam Michnik, Henryk Wujec i Zbigniew Romaszewski (red.).

Rulewskiego i go nie chowają, a normalnie to nas izolowano, żebyśmy się nie mogli zobaczyć. Na dziedzińcu wsadzają nas do furgonu z napisem Miejskie Przedsiębiorstwo Robót Drogowych. Jedzie z nami ośmiu tajniaków, przypięli sobie pistolety pod pachę, żebyśmy widzieli, że nie są bezbronni, z tyłu jeszcze warszawa na prywatnych numerach, załadowana tajniakami. Pytają o imię ojca i tak dalej, otwierają bramę i wio! na Rakowiecką.

Na zewnątrz skręcamy w prawo. Janek Rulewski kompletnie oszołomiony, mimo że też już siedział poprzednio. Uznał mnie za bardziej doświadczonego i mówi: „Karol, gdzie nas wiozą?”. A był Wielki Piątek, więc odpowiedziałem: Jasiu, pewnie na święcone. Skręcamy w prawo w Puławską, zupełnie zbaramiałem, mijamy Komendę Główną milicji, jedziemy dalej, mijamy fabrykę Polkolor, zielono się robi... Wreszcie przywożą nas do Chylic, do willi безпеکی, w której na początku stanu wojennego trzymano Wałęsę, zanim doręczono mu postanowienie o internowaniu². (Najpierw liczono, że zostanie marionetkowym wodzem marionetkowej Solidarności, dopiero jak się stało jasne, że nic z tego nie będzie, dali mu nakaz internowania).

Rulewskiego gdzieś zabrali, ja jeszcze siedzę z tajniakiem, pytam, kto tu będzie, on mi mówi: „Wasi ludzie”. „Jacy nasi ludzie?”. „No, wasi – mówi. – Gieysztor, Wielowieyski”. Aleksander Gieysztor był moim mistrzem uniwersyteckim. Za chwilę słyszę: „Już może pan iść, panie Karolu”. Wysiadłem – i rzeczywiście Gieysztor wychodzi z tego domku, otwiera do mnie ramiona. Pierwszy mi Andrzej Wielowieyski powiedział, po co nas przywieźli, a z Gieysztozem to żeśmy sobie podyskutowali o czym innym, o regeście dokumentu krakowskiego biskupa Iwona, prawdopodobnie z 1222 r. Pisałem właśnie pierwszą wersję książki o chłopach w Polsce piastowskiej i potrzebowałem konsultacji w tej sprawie, spotkanie było więc jak znalazł. Potem przyszedł Wielowieyski i przyniósł mi serwolatkę. Zwróciłem mu uwagę, że jest Wielki Piątek. Pochwalił mnie za to i zaproponował śledzia,

ale śledzia to dostałem od pana naczelnika, więc wzgardziłem.

Wielowieyski pokazał to, co wynegocjowano. Chodziło o artykuł piąty ubiegłorocznej amnestii. Amnestia nas nie obejmowała, bo mieliśmy za poważne zarzuty. W ustawie był, jak to zwykle u generałów, zapis w rodzaju: nie obejmuje, chyba żeby objęta, więc postanowili, żeby nas objęta, pod warunkiem, że napiszemy list do prymasa i obiecamy mu, że przez dwa i pół roku po zwolnieniu powstrzymamy się „od działalności społecznej lub politycznej”. Wtedy w więzieniu byłem człowiekiem skłonnym do tego, żeby nic w bawetnę nie owijać, choć sądy mam może za ostre; uznałem, że to jest taka łagodna forma lojalności, a żeby była strawniejsza, to ma być adresowana nie do generałów, tylko do prymasa. Nie tylko ja miałem takie wrażenie.

Ja od początku byłem przeciw, ale w sumie pięciu nas głosowało przeciw, a czterech oddało głosy, które można określić jako wstrzymujące się. Głosowanie było tajne, ale wszyscy wiedzą, jak kto głosował. Rulewski był wśród wstrzymujących się, ponieważ orientował się na tzw. prawicowych doradców, czyli na Jana Olszewskiego, który wtedy był prawicowy, potem zresztą też, a prawicowy wtedy znaczyło bardzo ugodowy wobec władz stanu wojennego. Otóż Janek Rulewski zanim jeszcze uległ doradcom, pokręcił głową i powiedział mi: „To jest sojusz pałki i pastorału”. Nie jestem wierzący, ale coś takiego nie przeszkodziło mi przez gardło, ale Janek to dobry katolik, więc może jemu wolno. Zorientowaliśmy się w trakcie rozmów, że to jest ocena krzywdząca dla biskupów, a zwłaszcza dla naszych doradców, gdyż oni absolutnie z dobrą wolą podjęli starania o zwolnienie nas.

Jedno, czegośmy nie wiedzieli i co może wpłynęło na nasze dość twarde stanowisko, bo inaczej może byśmy mieli miękkie, to to, w jakim stanie znajdowało się podziemie. Mieliśmy dość duże iluzje na temat podziemia solidarnościowego. Te iluzje zostały umocnione przez moją ulubioną panią mecenas Aranę Kiszyńską z Wrocławia, która przyjechała

² Postanowienie o internowaniu, datowane na 12 XII 1981, Lech Wałęsa, więziony od 13 XII 1981, otrzymał dopiero 26 I 1981 (red.).

do mnie na widzenie na tydzień przed tymi rozmowami, nic o nich zresztą nie wiedząc, i opowiadała mi po prostu, co się dzieje we Wrocławiu (wówczas tam mieszkalem). Mówiła, że w Pafawagu w budynku dyrekcji zainstalowała się bezpieka, mają tam pokój i wołają na rozmowy ostrzegawcze pracowników, którzy są podejrzewani o kontakty ze strukturami podziemnymi. No i że szczególnie kobiety są bardzo pyskate, bo jak są tam wzywane, to wyciągają z torebek bieliznę, szczoteczki do zębów i mówią: „Proszę, jestem przygotowana, możecie mnie zamykać”.

Miałem więc dodatkową motywację, bo to dla mnie był bardzo ważny punkt odniesienia, ważniejszy nawet od Zbyszka Bujaka. Ja wiedziałem, że gdybym się zgodził na podpisanie, to Zbyszek byłby osłabiony, czyli TKK byłaby osłabiona, natomiast potem już uważałem, że to byłby cios dla tych kobiet. A ja bywałem w Pafawagu, przemawiałem tam na wiecach, choć nie znałem osobiście kobiet, które o szóstej rano jadą tramwajem i mają na wszelki wypadek bieliznę w torebce, bo nie wiedzą, co je spotka. To umocniło moją twardość.

Zawsze mi mówiono, że jestem zimno racjonalny. Dziwiła mnie ta opinia, ale istotnie starałem się rozumowo podchodzić do rzeczy. Racjonalnie rzecz ujmując, najważniejsze było to, że nasza kapitulacja przyczyniłaby się do moralnego rozbrojenia podziemia.

Gdy przyjechaliśmy do Chylic, okazało się że w podobnej willi w Otwocku, dokąd wożono korowców na spotkania z pozostającymi na wolności członkami KOR, nie ma Michnika. Przypomnę, że ja nie byłem w KOR. W latach siedemdziesiątych zajmowałem się swoim dorobkiem naukowym. Wcale nie żałuję, bo wtedy zarobiłem, że tak powiem, na swoją pozycję w zawodzie, ale w zasadzie nie prowadziłem – poza jednym czy drugim gestem – działalności politycznej. Natomiast w Solidarności jak najbardziej. Z tego powodu znalazłem się w siódemce członków Komisji Krajowej uhonorowanych oskarżeniem o zamach na ustrój. Nie było z nami Jurczyka, bo jako chory na serce leżał w szpitalu w Aninie. Natomiast spośród korowców nie było Michnika.

Początkowo korowców wożono do willi w Otwocku. Spotykaliśmy się osobno. Dopiero na konkluzywne posiedzenie, na którym się głosowało, spotkaliśmy się wszyscy razem w Chylicach. To piękne miejsce. Był tam uroczy, starutki pies, szary owczarek. Niestety, wołał Andrzeja Gwiazdę ode mnie. Przekarmialiśmy go oczywiście kiełbasą, którą panowie doradcy nam tam przywozili, i różnymi innymi wędlinami, ale Gwiazda robił to skuteczniej, był jakoś bardziej komunikatywny.

O tym, że Michnik odmówił rozmów, dowiedzieliśmy się chyba pod koniec pierwszego dnia albo następnego. Doradcy powiedzieli nam, że Michnik odmówił wyjazdu z więzienia. Po paru dniach ku mojemu wielkiemu zdziwieniu wezwano mnie do pokoju przesłuchań, gdzie awansowany później przez Lecha Wałęsę na generała, a wówczas kapitan Wiktor Fąfara (autor trzech fałszywych zeznań na mój temat w tamtym śledztwie, które podyktował uległym świadkom) wręczył mi list – napisany, żeby to uwiarygodnić, na blankiecie biura prasowego pielgrzymki duszpasterskiej Ojca Świętego Jana Pawła II do ojczyzny i podpisany przez Wiesława Chrzanowskiego – takiej treści: „Panie Karolu, zwracamy się do pana z prośbą, żeby pan zechciał spotkać się z panem Adamem Michnikiem celem wyjaśnienia przyczyn jego odmowy udziału w spotkaniach jedenastki”. Powiedziałem, że się zgadzam.

Zabrano sąsiada Michnika z celi, kto to był, nie wiem, i wprowadzono do tej celi mnie. Adam był w nas troju dosyć, powiedziałbym, fundamentalnym. Próbowaliśmy go namawiać, żeby jednak przyjechał, bo będzie rażniej, będzie łatwiej. Nie powiedziałem tego wprost, bo oczywiście wiedziałem, że jest podstęp, ale dałem do zrozumienia, że łatwiej się da przekonać innych, żeby nie podpisywać tego zobowiązania, ale Adam...

Trzeba wyjaśnić, na czym polegało zobowiązanie. Treść konieczna naszego listu do prymasa była taka, że mając na względzie dobro wspólne, „wyrażamy gotowość zaniechania publicznej działalności politycznej w okresie do 31 grudnia 1986 r.”, czyli przez dwa i pół roku od zwolnienia z więzienia. Oprócz tego była wynegocjowana formułka, co należy rozumieć przez

publiczną działalność polityczną, definicja, która nie musiała wchodzić w treść naszego listu, ale ułożono ją po to, żebyśmy wiedzieli, do czego się zobowiązujemy. Była też przynęta w postaci mglistej obietnicy, że jak my damy ciała, to władze rozważą ewentualnie nową szeroką amnestię dla więźniów politycznych. A poza tym mogliśmy pisać do prymasa, co nam się podoba... Dla mnie to było dość ważne, gdyż byłem dyżurnym skrybą w Solidarności; jak doszło co do czego, to odmowny list do prymasa też ja musiałem napisać, i to w dodatku taki, który podpisałoby dziewięciu uczestników tego spotkania, tzn. „jedenastka” minus Jurczyk i Michnik. I to zarówno ci, którzy głosowali przeciw, jak i ci, którzy się wstrzymali, choć niektórzy może skłonni byłiby zagłosować za, ale się wstydzieli.

Michnik powiedział tak: „Uwięziony nie negocjuje”. Jedyne argumenty pragmatyczne, na który się powołał, był taki, że jego niezgoda na udział w rozmowach może oddziaływać silniej niż jego uczestnictwo w tym spotkaniu i argumentacja werbalna. Przypuszczam, że akurat w tej sprawie miał rację. Przeczytał mi także swój list do Kiszczaka, którego nie znałem³. List wydał mi się bardzo obraźliwy. Powiedział też, w jaki sposób się dowiedział, co nam mają zaproponować. Mianowicie na widzeniu powiedziała mu to, jak się wyraził, jego piękna narzeczona. To jest bardzo dzisiaj politycznie niepoprawne, ale trudno, powtórzę. Powiedział tak: „To jest – miał na myśli Basię Szwedowską, mamę jego syna – najmądrzejsza dupa świata, tylko ona jedno głupio robi, że się ze mną wiąże”. (Ona podzieliła później ten pogląd). Więc ona mu to po prostu powiedziała na widzeniu, w obecności tajniaka, otwartym tekstem. Gdy tajniak przerwał widzenie, to już było za późno, już zostało powiedziane.

Również gdy przyjechał Emilio de Olivares, to przypuszczam, że nikt z nas o jego misji nie wiedział. Zaprowadzono mnie do pokoju wideń adwokackich. Myślałem, że będzie adwokat. Przyszedł jakiś pan i jakaś pani, która się przedstawiła jako tłumaczka

z Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Pan był dyrektorem gabinetu sekretarza generalnego ONZ Javiera Pereza de Cuellara. Mówił po hiszpańsku, ale znał też włoski, wobec tego powiedziałem tłumaczce, że nie musi się fatygować. Rozmawialiśmy po włosku. Sprawa była oczywista dla wszystkich, ponieważ propozycja Emilio de Olivaresa była w zasadzie dywersją wobec inicjatywy naszych doradców i biskupów. Była to propozycja wyjazdu, tyle że na czas określony – twardszym mówili, że na rok, a miększym, że na dwa lata. Nie wiem, jak oni to sobie wyobrażali. Ja powiedziałem, że nigdzie nie pojedę, de Olivares się zmartwił, powiedział, że szkoda, bo to są ludzie dobrej woli. Sekretarz generalny jest pełen dobrej woli, gen. Jaruzelski też, więc dlaczego my nie chcemy? Odpowiedziałem, że tacy już jesteśmy.

* * *

W sprawozdaniu Bronka Geremka⁴ mowa jest o tym, że się nie spodobało Józefowi Rybickiemu, że napisałem list do Urbana, bo Urban to jest taki człowiek, do którego się nie pisze. Nie wiem, dlaczego do Kiszczaka można, a do Urbana nie można. Ja do Urbana napisałem w słowach znacznie grzeczniejszych niż Adaś Michnik, ale w treści równie jednoznacznie.

* * *

Po głosowaniu na wspólnym spotkaniu w Chylicach trzeba było jeszcze napisać list do prymasa Polski. Pisałem go nie atramentem, ale wazeliną, a koledzy zaakceptowali. Kosztowało mnie to trochę wysiłku. Nie był to chyba najlepszy tekst, jaki napisałem w życiu, ale była to odpowiedź odmowna na propozycje sygnowane przez episkopat. Oczywiście, najpierw było głosowanie. Pięć głosów padło przeciw przyjęciu propozycji, cztery głosy to tzw. zetki – zastrzeżenia, czyli w gruncie rzeczy wstrzymujące się.

Kto namawiał do podpisania? Otwarcie, a nie w kuluarach – tylko płk Józef Rybicki. Miało to swój

³ Adam Michnik w liście z 10 XII 1983 do szefa MSW gen. Czesława Kiszczaka jednoznacznie odrzucił sugestię wyjazdu za granicę po uwolnieniu z więzienia. List został opublikowany 5 I 1984 w „Tygodniku Mazowsze” (red.).

⁴ Zob. B. Geremek, *Doradcy i więźniowie*, „Wolność i Solidarność” 2012, nr 4, s. 113–130 (red.).

pikantny wymiar, dlatego że Rybicki miał do Jana Rzepeckiego, swojego poprzednika na stanowisku prezesa Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość (czyli szefa pierwszej komendy WiN), pretensje, że gdy go aresztowano, to on wezwał Gieysztora do więzienia i wydał mu polecenie oddania dokumentów, broni i pieniędzy oraz ujawnienia struktury – za obietnicę władz, że nic się nie stanie nikomu oprócz samego Rzepeckiego. Ten układ z bezpieczeńką bardzo bulwersował wtedy Rybickiego, miał także pretensje do Gieysztora, że się wycofał z podziemia i nie próbował nigdy do niego powrócić. Więc to, że właśnie Rybicki w 1984 r. uważał, iż powinniśmy zaakceptować propozycje władz, było pikantne.

Do przyjęcia namawiali też chyba doradcy prawni. Podejrzewam, że namawiał Jan Olszewski i Wiesław Chrzanowski. W gronie doradców mniej lub bardziej skłonni do przyjęcia tej propozycji w gruncie rzeczy chyba byli prawie wszyscy. Tylko Jan Józef Lipski podjął się – chyba na wniosek Seweryna Jaworskiego – dostarczyć opinię Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej. A TKK oczywiście nie mogła nam powiedzieć, żebyśmy nadal siedzieli i zacisnęli zęby, bo tego wymaga sprawa przez duże S, tylko napisali tak, że powinniśmy się byli tego domyśleć, to znaczy: „zróbcie, jak uważacie, to wy siedzicie, a nie my”.

Dobrze, żeśmy nie podpisali, ponieważ i proces KOR, i – zwłaszcza – proces naszej siódemki z Komisji Krajowej był w 1984 r. strasznie niekomfortowy dla rządzącej ekipy. Oni dlatego tylko weszli w negocjacje, że szukali dla siebie jakiegoś wyjścia z twarzą, na którym mogliby nie stracić, a jeszcze w miarę możliwości propagandowo zyskać. Ale skoro myśmy się nie zgodzili, to nie mieli innego wyjścia jak amnestia. Amnestia na tyle szeroka, żeby w niej się zmieścić zarzut o próbę obalenia ustroju, jednak bardzo poważny.

Do amnestii doszło w lipcu 1984 r., jak to zwykle w PRL. W ostatniej chwili zatrzymali jednak Bogdana

Lisa i Piotra Mierzejewskiego i przywalili im zarzut o szpiegostwo, już zupełnie absurdalny. Wypuścili ich w grudniu 1984 r.

Amnestia w pewnym sensie była wynikiem tego, jak się zachowaliśmy, nie mając pełnego rozeznania w sytuacji na wolności. Nikt nam nie potrafił w tamtych okolicznościach tego krótko wytłumaczyć, a jeszcze w dodatku tak, żebyśmy w to uwierzyli. Moim zdaniem podziemie znajdowało się już w stanie rozsyпки i dość głębokiej degradacji. Wyszedłem z więzienia po amnestii, czyli niecałe pięć miesięcy później, na początku sierpnia 1984 r., i bardzo szybko się przekonałem, że we Wrocławiu, który swego czasu był miastem bardzo konspiracyjnym, stan podziemia jest żałosny, nie tylko ilościowo, ale przede wszystkim jakościowo. Gdybyśmy to wiedzieli, może byśmy się wahali, bo jednak dobrze jest wyjść z więzienia. Przecież nie wiadomo, może będzie proces, dostaniemy jakąś pajdę (czyli duży wyrok) – a tu można wyjść bez grzechu, bo Kościół ośłania, i jeszcze w dodatku przez dwa i pół roku nic nie robić, tylko średniowieczem się zajmować... Dla mnie po prostu pyszna perspektywa. Ale nie mogliśmy tego zrobić kolegom z podziemia i dziewczynom z Pafawagu. No i nasz upór otworzył bramy więzień setkom naszych kolegów.

Andrzej Wielowieyski:

Jaka była sytuacja w 1983 r.? Stan wojenny trwał już prawie dwa lata, jakoś ten pierwszy okres przetrzymaliśmy. Kilka elementów pozwoliło nam przetrwać. Po pierwsze czwórka przywódców Solidarności, która znalazła się w podziemiu, nie zrezygnowała – działała, zabierała głos i była obecna w świadomości społeczeństwa, może nie za szerokiej, ale była⁵. Po drugie był Lech Wałęsa, który choć izolowany i uwięziony, nie popełnił błędu, był dostatecznie bystry, przytomny i czujny, by nie dać się wciągnąć do współpracy z władzami. Byli też aktorzy i pisarze, artyści, którzy oddziaływali na świadomość społeczną swoim bojkotem

⁵ Mowa o Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej NSZZ Solidarność, która kierowała związkiem w podziemiu do października 1987. Założyli ją w kwietniu 1982 szefowie czterech regionów: Zbigniew Bujak (Mazowsze), Bogdan Lis (Gdańsk), Władysław Frasyniuk (Dolny Śląsk), Władysław Hardek (Małopolska), dołączył do nich Eugeniusz Szumiejko (jako członek Komisji Krajowej) (red.).

mediów państwowych. Trochę mniejsze znaczenie, nie tak już istotne, miała Prymasowska Rada Społeczna i jej tezy o warunkach ugody narodowej ogłoszone w kwietniu 1982 r.⁶ Napisałiśmy je razem z Wiesławem Chrzanowskim i episkopat je przyjął, w każdym razie prymas przyjął.

To były podstawy do tego, żeby w świadomości społecznej coś przetrwało, ale lata mijały, gen. Jaruzelski się umacniał, system trwał, w społeczeństwie przeważały postawy bierności, a Solidarność była coraz słabsza. Pozostawał problem ludzi aresztowanych, co najmniej kilkuset, wśród nich znajdowali się nasi czołowi koledzy – siedmiu członków Komisji Krajowej Solidarności i czterech członków Komitetu Obrony Robotników. Nie wiem, jak zostali dobrani, można było wybrać więcej, ale tych jedenastu wybrano trafnie. To były postacie znaczące dla świadomości społecznej. Próba namówienia ich do wyjazdu albo podpisania deklaracji o zaprzestaniu działalności opozycyjnej była z punktu widzenia władz koncepcją sensowną. Z drugiej strony episkopatowi zależało na samym podjęciu negocjacji między rządem a opozycją, a także na uspokajaniu sytuacji w kraju, żeby nie ponieść jeszcze większych strat. Takie było, jak sądzę, stanowisko większości biskupów i prymasa Józefa Glempa.

Byli wszakże również w gronie episkopatu ludzie tacy jak abp Bronisław Dąbrowski czy ks. Alojzy Orszulik, którzy dobrze wiedzieli, w co się gra, i zachowywali wielką przytomność umysłu i odwagę. W kwestii uwolnienia i załatwienia sprawy jedenastu działaczy władze próbowały rozmawiać tylko z niektórymi ludźmi Solidarności. Chciały wyeliminować z negocjacji Bronisława Geremka i Tadeusza Mazowieckiego, ale abp Dąbrowski twardo powiedział, że jeżeli rozmawiać, to z najbardziej liczącymi się doradcami Soli-

darności, w związku z tym oczywiście powinien być Geremek i Mazowiecki.

Spotykaliśmy się kilka razy. Problemem było to, że episkopatowi zależało na zawarciu porozumienia, więc zastanawialiśmy się, do czego można by się zobowiązać... Może nie wyjazd za granicę, ale rezygnacja z działalności politycznej – tak. To dość szybko zostało skorygowane przez doświadczonego negocjatora Wiesława Chrzanowskiego: proszę bardzo, możemy pomyśleć o tego typu deklaracji, ale tylko na rok albo dwa. Możemy zawrzeć jakąś doraźną umowę, ale przecież nie można od nikogo wymagać, by w ogóle zrezygnował ze swoich praw obywatelskich. Druga strona chyba to zrozumiała i przyjęła do wiadomości.

Przeczytaliśmy to, co napisał Adam Michnik w swoim liście z więzienia do gen. Kiszczaka, zrobiło to duże wrażenie. Zastanawialiśmy się, czy rozmowy na ten temat mają sens. W „jedenastce” też zdania były podzielone. Byli ludzie bardziej skłonni do ustępstw i zgody na wyrzeczenie się działalności przez rok lub nieco dłużej, ale generalnie biorąc i nas – niby mediatorów, choć przecież byliśmy działaczami Solidarności – i „jedenastkę”, ale także abp. Dąbrowskiego czy ks. Orszulika argumenty Adama przekonały. Jak pamiętam moje dłuższe rozmowy z Józefem Rybickim z KOR, którego znałem i byłem z nim w dobrych stosunkach, on też był przekonany, że Adam ma rację i nie należy ustępować. Może nie tak demonstracyjnie, nawet agresywnie, jak to robił Michnik, ale w każdym razie ani wyjazd za granicę, ani podpisanie rezygnacji z działalności społecznej nie jest tym, na co mogą sobie pozwolić przywódcy istniejącej, działającej – chociaż pobitej – Solidarności. Pamiętam w każdym razie, że w trzech grupach: w „jedenastce”, wśród nas – doradców, bardzo różnych ludzi, i wśród tych kilku duchownych argumenty Michnika wyraźnie wygrały.

⁶ Prymasowska Rada Społeczna została utworzona przez prymasa Polski Józefa Glempa w końcu 1981 r. Weszło do niej 28 osób reprezentujących różne środowiska katolickie, m.in. Julian Auleytner, Olgierd Baehr, ks. Bronisław Dembowski, Andrzej Micewski, Krzysztof Skubiszewski, Jerzy Turowicz, Andrzej Wielowieyski, Czesław Zgorzelski, Stanisław Stomma (przewodniczący). Jej pierwsze posiedzenie odbyło się 12 XII 1981. Dokument pt. *Tezy Prymasowskiej Rady Społecznej* ogłoszono 5 IV 1982. Przedstawiono w nim perspektywę ugody, której warunkami winno być z jednej strony uznanie podmiotowości społeczeństwa i reaktywowanie NSZZ Solidarność, a z drugiej uznanie wymogów ustrojowych i realiów geopolitycznych. Szerzej zob. A. Friszke, *Siedem lat przed Okrągłym Stołem. Prymasowska Rada Społeczna w stanie wojennym* [w:] *idem, Przystosowanie i opór. Studia z dziejów PRL*, Warszawa 2007, s. 330–345 (red.).

SYLWETKI

MIĘDZY POLICJĄ A OPOZYCJĄ. HISTORIA BRACI GÓRSKICH

PAWEŁ SOWIŃSKI

dr hab., absolwent historii na Uniwersytecie Warszawskim, pracownik Instytutu Studiów Politycznych PAN. Publikował na temat obchodów 1 Maja, historii turystyki w PRL oraz opozycji demokratycznej. Członek redakcji wydawnictwa *Opozycja w PRL. Słownik biograficzny 1956–89*. W 2011 r. opublikował pracę *Zakazana książka. Uczestnicy drugiego obiegu 1977–1989*.

Dorastali wspólnie na starym Żoliborzu w rodzinie robotniczej o tradycjach niepodległościowych. Ojciec pracował na pocztach jako listonosz, matka zajmowała się prowadzeniem domu. Dwaj dorośli synowie z rodzicami stłoczeni w jednopokojowym mieszkaniu – takie warunki życia w Warszawie lat siedemdziesiątych należy uznać za skromne, choć wciąż nie był to zapewne przypadek odosobniony. Górscy mieszkali w przedwojennej kolonii budynków Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej przy ulicy Suzina – w samym centrum lewicowych marzeń inteligencji o kulturalnym miejscu do życia dla uboższych.

Dalsze losy tego osiedla tak opisuje Przemysław Cieślak, kolega Janusza (ur. 1950) i Andrzeja (ur. 1951) z podwórka i opozycji: „Po 1945 r. nakazy kwaterunkowe zmieniły ten fragment Warszawy. Odebrały mu na tyle charakter wyjątkowej enklawy, że bracia Górscy dorastali w środowisku, w którym rej wodzili »Kaszana«, »Krompiu«, »Lewus«, »Operacze«. Oszuści, złodzieje, recydywiści”¹. Wśród tych jegomościów o ustalonej reputacji obowiązywał jednak pewien kodeks zasad. Konflikty powinny być rozwiązywane we własnym gronie. Nieufność wobec struktur państwa, utożsamianego w tym wypadku najbardziej z milicją, szła tu w parze z pewną suwerennością poczynań. Starali się zaznaczać swoje terytorium, mieli ławki i rewiry, skąd odganiaли nieproszonych gości. W swoich ciemnych sprawkach odróżniali własnych od obcych. Nie można było bić młodszych od siebie. Gdy dochodziło do starć wewnętrznych, niedopuszczalne było donoszenie.

Przynajmniej w teorii. Z akt personalnych Janusza wynika, że jego początki współpracy z organami ścigania należy datować na lata 1973–1976. Pracował wówczas jako sprzedawca w Peweksie przy Kredytowej 9 i był sporadycznie wykorzystywany do inwigilacji środowiska ulicznych sprzedawców dolarów, tzw. cinkciarzy². Jednak sam zerwał z policją i zmienił środowisko. Od 1976 r. pracował jako kelner w podwarszawskich lokalach, raczej szemranych: w Podkowie Leśnej w restauracji Pod Sosną, potem w barze Wrzos w Burakowie. Janusz prawdopodobnie już wówczas wyczuwał, że musi być w swoich manewrach bardzo

¹ P. Cieślak, *TW „Kaktus” z Żoliborza*, „Rzeczpospolita”, 5 IX 2009. Artykuł ujawnił współpracę Janusza z SB.

² Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej (dalej: AIPN), 001134/4008/Jacket, Teczka personalna TW „Kaktusa”, Notatka na temat werbunku, 5 I 1982; C. Łazarewicz, *Kain i Abel z podziemia*, „Newsweek”, 18–24 II 2013, s. 28.

ostrożny, gdyż zdrada może zakończyć się odwetem świata przestępczego, przed którym policja nie zdoga go ochronić.

Rekrutacja do ruchu społecznego

Klimat nielegalności miał również pewne znaczenie dla późniejszej postawy Andrzeja. Nie wiązał on swoich nadziei ze spokojnym życiem lojalnego obywatela PRL. Nie dał się jednak też wciągnąć w pijaństwo czy chuligaństwo. Dorabiał od wczesnych lat, chodził po mieszkaniach i oferował książki telefoniczne, które kupował taniej u ojca na pocztę. W marcu 1968 r. przypadkowo znalazł się na Krakowskim Przedmieściu – pojechał do sklepu Wedla po czekoladę, którą chciał potem odsprzedać; akurat trafił w środek policyjnej akcji przeciwko studentom i został pobity. Gdy w 1976 r., po protestach robotniczych w Radomiu i Ursusie, nie poszedł na wiec poparcia dla polityki Gierka, w pracy usunięto go z listy oczekujących na mieszkanie³. Raz udało mu się pojechać do Austrii – która była popularnym celem handlowych eskapad – i kupić modne wówczas elektroniczne zegarki. Odsprzedał je w Polsce z pewnym zyskiem⁴.

O opozycji dowiedział się z Radia Wolna Europa. W audycjach podawano nazwiska i adresy aktywistów Komitetu Obrony Robotników. W ten sposób dzięki niezależnym mediom dochodziło do łączenia się w zespoły, do budowania szerszego ruchu społecznego. Pomogło w tym sąsiedztwo domów kilkorga działaczy KOR – Ewy Milewicz, Mirosława Chojeckiego, Sławomira Kretkowskiego. Wszyscy oni mieszkali niedaleko, na Żoliborzu. Miejscem ułatwiającym kontakty była osiedlowa kawiarnia Różanka. Swoją opozycyjną karierę Andrzej zaczynał w Niezależnej Oficynie Wydawniczej jako kierowca zaopatrzeniowic. W 1980 r. pomagał przy wykańczaniu tomików

poezji Czesława Miłosza. Niecały rok później stał się uczestnikiem jednego z najbardziej niezwykłych epizodów solidarnościowej rewolucji – sam noblista zjawił się na Żoliborzu, by podziękować drukarzom. Wraz z Przemysławem Cieślakiem, Adamem Grzesiakiem i Romanem Wojciechowskim Górski przyjechał wprost z drukarni, wówczas urządzonej w Mładzu nad Świdrem. Ledwo zdążyli się umyć i przebrać⁵. Na zdjęciu Tomasza Michalaka widzimy Andrzeja w jasnej koszuli w mieszkaniu Elżbiety i Pawła Bąkowskich przy placu Komuny Paryskiej (dzisiaj Wilsona), gdzie 7 czerwca 1981 r. goszczący w kraju poeta zobaczył się z zespołem NOW-ej. „Chyba trudniej jest moje książki wydawać niż napisać” – chwalił drukarzy⁶.

W życiu oficjalnym Andrzej skończył szkołę zawodową Zakładów Remontowo-Budowlanych Zremb na Czarnieckiego. W Kombinacie Budowlano-Mieszkaniowym Warszawa-Północ – pierwsza praca zawodowa – nauczył się obsługi i naprawy powielacza, czeskiego Cyklosa. Potem odsłużył wojsko w Instytucie Technicznym Wojsk Lotniczych na Kole jako kierowca komendanta (1973–1975). Żywo interesował się samochodami, zatrudnił się więc jako dostawca w Stołecznym Przedsiębiorstwie Handlu Wewnętrznego (1976). Warszawski handel znał od podszewki. Sklepy, hurtownie, układy na zapleczach, remanenty i przyjęcia towaru – to był jego żywioł. Miał w tych kręgach zaufanie, jakiego nikt spoza tego świata nie mógłby zdobyć. Jesienią 1980 r., w gorące solidarnościowe zrywu, przywoził z SPHW pierwsze palety papieru dla rodzącej się poligrafii Regionu Mazowsze. Rozwoził „AS-a”, „Niezależność” i ulotki służbową nyską po punktach SPHW. Jednak ciągnęło go do maszyn. Stał się etatowym pracownikiem NOW-ej.

Sierpień 1980 r. wyzwolił wielkie nadzieje i Andrzej dał się porwać tym zbiorowym nastrojom. Został pełnoprawnym drukarzem kultury niezależnej. Kwiat

³ Relacja Andrzeja Górskiego, 2011–2013, w zbiorach autora.

⁴ Prywatny import-eksport był wówczas bardzo rozpowszechnionym zajęciem; więcej na ten temat zob. D. Stola, *Kraj bez wyjścia. Migracje z Polski 1949–1989*, Warszawa 2010, s. 287.

⁵ Relacja Andrzeja Górskiego.

⁶ Czesław Miłosz i NOWA, „Tygodnik Solidarność”, 12 IV 1981, s. 4.

korowskiej poligrafii – Jan Walc, Zenon Pałka, Antoni Roszak, Mirosław Chojecki i Konrad Bieliński – przeszedł do pracy związkowej lub intelektualnej. To przegrupowanie stworzyło szansę dla Andrzeja, który dołączył do grupy żoliborskiej: Adama Grzesiaka i Romana Wojciechowskiego⁷. Latem 1981 r. zdarzyło im się drukować w podwarszawskiej Zielonce, w dwupokojowym domku ceglanym z kominkiem, w którym palono odpadki po druku. W pobliżu płynął kanałik. „Cuchnęło szambem tak, że nie bardzo dawało się wyjść na zewnątrz” – zapamiętał ten obrzydliwy zapach na zawsze. Właściciel należał do powiatowego komitetu PZPR, ale określał się jako partyjny reformator (trwał wówczas nadzwyczajny zjazd PZPR). Domagał się coraz większej stawki za wynajem, próbował szantażować drukarzy. „Wtedy powiedziałem mu, że mam kolegów na Żoliborzu, którzy potrafią być mściwi. To na niego podziałało otrzeźwiająco” – wspomina Górski⁸.

W tym okresie posierpniowej odwilży można było przetrenować wzory postępowania w trudnych sytuacjach, a także podnieść umiejętności techniczne, co przydało się później. Stawką w tej męskiej rozmowie z działaczem powiatowym PZPR było nie tyle ich osobiste bezpieczeństwo, ile offsetu holenderskiej firmy Océ, przywiezionego z Wiednia przez reżysera Stanisława Bareję tuż przed sierpniem 1980 r. Było to pierwsze tak zaawansowane urządzenie w rękach opozycji, na nim Górski zaczynał swoją drukarską odyseję. Powielacz przyjechał do kraju maluchem, rozłożony na części. „Pomyłone zostały strony bębnow. Niektórych części nie udawało się spasować. Uruchomiliśmy wreszcie urządzenie jako manualne (bez elektroniki). Pierwsza pozycja na tym sprzęcie to rozszerzone wydanie *Czarnej księgi cenzury PRL* (1981). Jedna trzecia wydruków to były odpady. Offset nie chciał brać papieru powielaczowego. Przyklejały się strony”⁹.

Od Jaspersa do Poppera

Ta chwila symbolizuje niełatwy początek nowej techniki, dającej jakość i nakłady nieporównywalne z możliwościami lat siedemdziesiątych. Zachodnie innowacje znalazły drogę do antykomunistycznej opozycji. W Regionie Mazowsze stało wówczas sporo takich poligraficznych nowinek – darów od przyjaciół z wolnego świata – których nie zdążono uruchomić ze względu na nieprzygotowanie solidarnościowych fachowców¹⁰. Eksploatacja offsetów okazywała się kosztowna, wymusiła zdobywanie nowych sprawności i materiałów, sprzyjała tworzeniu się drukarskich kręgów wtajemniczenia. Z czasem Andrzej Górski awansował do roli mechanika i konserwatora tych urządzeń. Ten pierwszy offset poskładał jednak Tomasz Michałak na działce Stanisława Barei. Następnie Konrad Bieliński rozmontował go i złożył ponownie, próbując naprawić usterki¹¹.

Wiosną 1981 r., by pokryć rosnące koszty – wynajem lokalu, transport, zaopatrzenie – 1–2 tys. egzemplarzy nadwyżki drukarze sprzedawali bezpośrednio regionowi Solidarności w Radomiu. Płacono tam żywą gotówką. Najwięcej zarobili na *Zdobyciu władzy* Miłosza. Za te pieniądze doposażyli drukarnię i przenieśli się w lepsze miejsce – do Falenicy. Adam Grzesiak kupił wówczas używanego opla mantrę swojemu bratu Bogdanowi. Samochód wywołał sensację wśród sąsiadów i znajomych z osiedlowej Różanki, stał się obiektem zazdrości także Janusza Górskiego. Do 13 grudnia 1981 r. Adam zgromadził jeszcze 4 tys. dolarów oszczędności, które oddał na przechowanie Januszowi, gdy zaczęły się internowania i rewizje stanu wojennego (Janusz potem zwrócił te pieniądze)¹².

Domek przy Trocinowej w podwarszawskiej Falenicy został podnajęty na rok przez prywatnego

⁷ Relacja Adama Grzesiaka, 17 IV 2013, w zbiorach autora. Grzesiak wspomina, że Andrzej pojawił się w jego ekipie tuż po podpisaniu porozumień sierpniowych, z początku jako pomocnik, z czasem jako partner.

⁸ Relacja Andrzeja Górskiego.

⁹ *Ibidem*.

¹⁰ Relacja Adama Grzesiaka, 17 IV 2013.

¹¹ A. Górski, *Offset Stanisława Barei, czyli historia jednej maszyny*, kopia w zbiorach prywatnych Andrzeja Górskiego.

¹² Relacja Adama Grzesiaka, 27 VI 2013, w zbiorach autora.

przedsiębiorcę Wojciecha Romana, który wprowadził się tam ze swoją narzeczoną w sierpniu 1981 r. Jego polonezem dostarczano zaopatrzenie. Okna uszczelniono, ściany piwnicy wygłuszono płytami dźwiękoszczelnymi, wygospodarowano miejsce na magazyn części zamiennych. Andrzej Górski i Adam Grzesiak pracowali w cyklu dwutygodniowym, przez ten czas nie opuszczali powielarni, konsumowali wcześniej zgromadzony prowiant, małe piwniczne okienko uchylali tylko wieczorem. Borykali się z przerwami w zasilaniu, jako że elektrownie – zmuszone kryzysem – ograniczały wówczas dostawy prądu. Park maszynowy tej powielarni stanowiły dwa elektryczne urządzenia offsetowe, tajna broń NOW-ej.

W Regionie Mazowsze pomagał im Bogdan Grzesiak, starszy brat Adama, jeden z najlepszych fachowców od poligrafii. Kryjąc się przed władzami Regionu, produkował dla nich matryce, dostarczał farbę. Formalnie działali bowiem poza strukturami Solidarności. W istocie jedną używaną maszynę otrzymali od Witolda Łuczywy, szefa regionalnej poligrafii. W Falenicy odbijano m.in. wydawnictwa, których obawiano się przyjąć do druku w Regionie Mazowsze¹³. Gazetki dla niezależnego związku milicjantów oraz dla Polonii na Wschodzie mogłyby zaostriżyć i tak już napięte relacje Solidarności z reżimem. Tutaj dokończyli druk *Problemu winy* Karla Jaspersa, zaczęty jeszcze przed „nocą generała”. W lutym 1982 r. Górski i Grzesiak wydrukowali pierwszy egzemplarz drugoobiegowego „Tygodnika Mazowsze” z czerwoną winietką, głównego pisma solidarnościowej konspiracji¹⁴. Wkrótce Adam został jednak internowany.

Wraz z Pawłem Bąkowskim Andrzej Górski tworzył dalej jedno z ważniejszych ogniw warszawskiego

podziemia pierwszego roku stanu wojennego. Zapewniali na bieżąco druk i kolportaż „Tygodnika Mazowsze” w nakładzie maksimum 18 tys. egzemplarzy (do 26 numeru). Ukrywający się w podwarszawskich lasach Bąkowski nadawał działaniom tej powielarni posmak partyzancki. Między innymi dzięki jego przezorności policji nie udało się wtedy osaczyć drukarzy, a gra toczyła się nie tylko o mobilizację opinii publicznej przed manifestacjami w maju i sierpniu 1982 r.¹⁵ Wydajna drukarnia stała się podstawowym kryterium sprawności całej organizacji podziemia; dostarczana bez opóźnień gazeta mogła wręcz wywoływać wrażenie, że cały ruch jest silniejszy niż było w istocie. Cykl wydawniczy „Tygodnika Mazowsze” wymagał wzmożonej pracy i pełnej koncentracji. W grudniu 1983 r. Bąkowski – przekonany o swojej dekonspiracji – zdecydował się na emigrację do Stanów Zjednoczonych¹⁶.

Tymczasem brat Andrzeja, Janusz Górski pozostawał „na powierzchni” jakby niezagospodarowany, na uboczu wartko toczącej się akcji. Było to mylne wrażenie. W styczniu 1982 r. przystąpił bowiem do współpracy ze Służbą Bezpieczeństwa i szybko wyrósł na asa w policyjnej talii. Niewiele wiadomo, w jakich okolicznościach doszło do ponownego werbunku Janusza. Czy było to przypadkowe odkrycie jego możliwości? Wygląda na to, że tak. 29 grudnia 1981 r. został zadenuncjowany przez jednego z klientów kawiarni Tamara, zresztą majora milicji, jako wyjątkowo podejrzana postać rozsiewająca w miejscu publicznym wrogie plotki o wojsku, milicji i Polsce Ludowej¹⁷. W związku z tym 5 stycznia 1982 r. ppor. Marek Szeniawski (ur. 1953) z Komendy Stołecznej pofatygował się do Tamary, położonej niedaleko

¹³ Relacja Adama Grzesiaka, 17 IV 2013.

¹⁴ Rozmowa z Mirosławem i Małgorzatą Niwińskimi (właścicielami domku w Falenicy – dawnej drukarni – przy ulicy Trocinowej), 27 I 2007, w zbiorach prywatnych Andrzeja Górskiego.

¹⁵ Zob. także list Mieczysława Sygnatowicz do Instytutu Studiów Politycznych PAN (2006) w związku z ukazaniem się *Solidarności podziemnej* pod red. Andrzeja Friszke, w zbiorach autora. Sygnatowicz, kolporterka i składaczka, bliska współpracowniczka drukarni falenickiej, prostuje niektóre szczegóły, mylnie przedstawione w książce.

¹⁶ Relacja Pawła Bąkowskiego, lipiec 2011, w zbiorach autora.

¹⁷ AIPN, 001134/4008/Jacket, Teczka personalna TW „Kaktusa”, Pisemny donos majora rezerwy Bronisława Walaska na Janusza Górskiego, 29 XII 1981.

pałacu Mostowskich, po drugiej stronie ówczesnego placu Dzierżyńskiego (dziś Bankowy). Tam wówczas kelnerował Janusz¹⁸.

Do grudnia 1981 r. Janusz płynął w strumieniu zbiorowych emocji tamtych czasów i dość bojowo udzielał się w zakładowej Solidarności w Warszawskiej Spółdzielni Spożywców Społem. Po rozmowie ostrzegawczej z Szeniawskim znalazł się praktycznie z dnia na dzień pod kuratelą SB jako tajny współpracownik „Kaktus”. Nie ujawniał zbyt wielu oporów. Donosy z pierwszej połowy 1982 r. rzucają nieco światła na jego motywacje. Zarobki drukarzy, prawda, że nie małe, wywoływały w nim poczucie niższości i zawiści, chęć rekompensaty materialnej. W meldunku z 27 maja 1982 r. opisywał Bogdana Grzesiaka jako osobę majątną i rozrzutną, posiadacza zachodniego samochodu. Swojego brata i Pawła Bąkowskiego określał mianem „dyrektorów” NOW-ej. W czasie następnego spotkania mówił, że boryka się z trudnościami finansowymi i jest niedoceniany przez otoczenie. Włączenie go do siatki agenturalnej odczytywał jako wyraz uznania dla swoich zdolności.

Jego pierwsze sukcesy to m.in. zidentyfikowanie swojego brata Andrzeja, Adama Grzesiaka, Pawła Bąkowskiego, Tomasza Michalaka i Tadeusza Markiewicza jako aktywnych konspiratorów, drukujących „Tygodnik Mazowski” i wydawnictwa NOW-ej¹⁹. Z akt przebiega złowrogi obraz Janusza; jego oficer prowadzący ppor. Szeniawski komplementował swoje źródło, wspominał o sukcesach, własnych inicjatywach, materialnej satysfakcji Janusza ze współpracy, doliczył się aż 120 spotkań z agentem (do grudnia

1987 r.)²⁰. Janusz chyba nie próbował swojej wiedzy o Andrzeju dozować²¹. Choć – jak to zazwyczaj – miał ograniczone pole widzenia. Część informacji zapewne przejawiał, inne niedokładnie usłyszał, źle zrozumiał. Służbę Bezpieczeństwa niepokoił trochę jego hulawczy tryb życia, alkoholowe ciągi, draki w lokalach (raz po nocnej awanturze SB musiała wyciągać „Kaktusa” z aresztu)²².

Andrzej natomiast wkroczył zdecydowanie na pierwszą linię starcia z władzą. Ścigany przez Samodzielną Grupę Operacyjną Stołecznego Urzędu Spraw Wewnętrznych²³ pięknie ożywił stary motyw konspiratora, czasami opuszczonego przez społeczeństwo, wyjętego z reguł normalnego życia, pozostającego w ciągłym zagrożeniu. Kiedyś spędził cały dzień w kinie, gdy władze sprawdzały meldunki w okolicy, w której akurat pomieszkował. Innym razem biwakował nocą na poddaszu wieżowca. „Lokali konspiracyjnych brakowało, zresztą nie chciałem za bardzo narażać gospodarzy – opowiada. – Zbliżała się godzina policyjna, w pobliżu miejsca druku wszedłem do 10-piętrowego bloku mieszkalnego bez butów, by nie robić hałasu, i na samej górze po cichutku ułożyłem się w przechodnim korytarzu prowadzącym z jednej klatki do drugiej. Gdy obudziłem się rano, koło mnie stał słoik z herbatą i kanapki”²⁴. Nie dowiedział się, kto zostawił to śniadanie. Anonimowi przyjaciele opozycji? A może po prostu ktoś chciał pomóc bezdomnemu...

Początkowo mało znany policji nie znalazł się na liście internowanych 13 grudnia 1981 r., ale po aresztowaniu swojego najbliższego druha Adama

¹⁸ *Ibidem*, Notatka na temat werbunku, 5 I 1982.

¹⁹ AIPN, 00334/848, t. 1, Teczka pracy TW „Kaktusa”, Donosy z pierwszego półrocza 1982.

²⁰ AIPN, 001134/4008/Jacket, Teczka personalna TW „Kaktusa”, Charakterystyka tajnego współpracownika, 15 III 1989. Spotykali się głównie w warszawskich kawiarniach i restauracjach, gdzie Janusz opowiadał, a oficer notował, jako że „Kaktus” miał problemy z formułowaniem swoich myśli na piśmie.

²¹ Autorowi nie udało się dotrzeć do Janusza Górskiego i dać mu szansy na ustosunkowanie się do zarzutów.

²² AIPN, 00334/848, t. 2, Teczka pracy TW „Kaktusa”, Doniesienia, 11 X 1982 i 6 XII 1983.

²³ Grupa została powołana w 1982 r. w celu rozbicia solidarnościowego podziemia w Warszawie. Kierownikiem SGO był płk Stanisław Przanowski, zastępca komendanta stołecznego milicji ds. SB (do 1988 r.), zastępcami kierownika – por. Stefan Talbierz i płk W. Biłowski. W lutym 1985 SGO została przemianowana na Zespół Operacyjno-Poszukiwawczy z por. (później kpt.) Talbierzem na czele, liczący wówczas 12 osób.

²⁴ Relacja Andrzeja Górskiego.

Grzesiaka już nie pokazywał się w domu²⁵. Matka piekła dla niego ciasto biszkoptowe, które dostarczał mu do podziemia Janusz. Oparcie dawały też inne kobiety, zapewniając schronienie, jak Iwonna Kowalska czy Magda Urban, wówczas studentka pedagogiki, u której w kawalerce na Ursynowie Górski pomieszkiwał w stanie wojennym, licząc na to, że tam go nie zatrzymają. Ojciec Magdy, Jerzy Urban, był twarzą rządu gen. Jaruzelskiego, ale jego córka sympatyzowała z Solidarnością. Władzy nie na rękę byłoby – kalkulował Górski – usłyszeć z Radia Wolna Europa o związkach córki ministra z naszą konspiracją²⁶. Przede wszystkim jednak w tej napiętej sytuacji wyzwalalo się większe niż zazwyczaj poczucie wspólnoty między ludźmi, odruchy ofiarności i odwagi, uczestniczenia w czymś doniosłym.

Na fali antykomunistycznych emocji zawiązywały się fascynujące przyjaźnie – na przekór tradycyjnemu uwarstwieniu społeczeństwa. Andrzej, tokarz z wykształcenia, pomieszkiwał w inteligenckim domu Alberta i Anny Radziwiłłów na Mokotowie. Ich syna Macieja wciągnął do swojej drukarskiej kompanii, zaprzyjaźnili się²⁷. 24 grudnia 1982 r. Wigilię zaczęli w domu Radziwiłłów przy ulicy Płatowcowej w Warszawie, a kończył w jednej ze swoich „melin wydawniczych”. „Rodzina była zżyta, śpiewało się koledy – wspomina to Górski – ale coś mi nagle odbiło. Powiedziałem, że muszę wyjść. Oni się chyba obrazili. Trochę na piechotę, trochę taksówkami dojechałem do lokalu, gdzie siedziałem sam, gdzie miałem pół litra i zrzuconego trochę jedzenia. Siedziałem tam w depresji”.

Jego wewnętrzny kompas tym razem zadziałał bezbłędnie. Półtorej godziny po nagłym wyjściu Górskiego na Płatowcową wtargnęła policja z bronią długolufową, by dokonać spektakularnego zatrzymania – uzupełnia opowieść Maciej Radziwiłł. Siły specjalne przygotowały się do tej akcji po donosie Janusza z października 1982 r. Odczekano jednak dwa miesiące, by odsunąć podejrzenia od agenta. Posiłkowano się prawdopodobnie obserwacjami sąsiada Radziwiłłów, pułkownika MSW, szefa szkolenia milicyjnych psów. Ekipa dochodzeniowa wybrała sprzyjający moment, gdy rodzina spożywała wigilijną kolację, ale tym razem spudłowała.

Jest wyższy ode mnie, o rok starszy, przystojniejszy – portretuje Andrzej Janusza – ale jak zobaczył dziewczynę, to aż się trząsł, zaczepiał, nie potrafił się zachować. Beztroski, porywczy, po alkoholu podobno skłonny do bójki – notowała SB²⁸. Ale tylko w silnej grupie kolegów, nigdy sam na sam – dodają znajomi. Miał wśród kolegów ksywkę „Galareta”, w policji przyjął pseudonim „Kaktus”, też dość trafnie dobrany. Nie wzbudzał pełnego zaufania nawet u swojego brata²⁹. Wigilijny najazd SB na dom Radziwiłłów wzmógł na pewien czas podejrzliwość Andrzeja.

Jeszcze większy niepokój budził Janusz w Pawle Bąkowskim, którego SB szukała nawet w przedszkolu jego córki³⁰. Bąkowski jako ważny animator działalności podziemnej stał się znany policji w kwietniu 1982 r. Prawdopodobnie nabrał poważnych podejrzeń wobec Janusza w lipcu 1982 r., po drugim i ostatnim spotkaniu z nim. Już wtedy w podziemiu gęstniała atmosfera nieufności wobec Janusza³¹. Bąkowski

²⁵ A. Górski, *TM-ka z czerwoną winietką*, „Bibuła”, czerwiec 2007, s. 8–9.

²⁶ Relacja Andrzeja Górskiego.

²⁷ A. Dzierzbicka, *Przyjaciele z podziemia*, „Tygodnik Solidarność”, 11 VII 2008.

²⁸ AIPN, 00334/848, t. 1, Teczka pracy TW „Kaktusa”, Ankieta personalna.

²⁹ Dowody na to można znaleźć zarówno w dokumentacji Janusza Górskiego, jak i Romana Witkowskiego. 17 X 1983 Witkowski w rozmowie z funkcjonariuszem stwierdził: „Janusz nie był przez Andrzeja wprowadzany w działalność drukarską i kolporterską ze względu na brak do niego zaufania” (AIPN, 00328/684, t. 2, Teczka pracy Romana Witkowskiego).

³⁰ Zofia Mioduszyńska, kierowniczka przedszkola, do którego chodziła córka Bąkowskiego, zgodziła się uprzedzić SB w razie niespodziewanych odwiedzin ukrywającego się ojca w placówce („Tygodnik Mazowsze”, 24 IV 1982, s. 4). Sylwetkę opozycyjną Bąkowskiego naszkicowała Justyna Błażejowska w „Gazecie Polskiej”, 5 XI 2008, s. 28.

³¹ AIPN, 00334/848, t. 1, Teczka pracy TW „Kaktusa”, Informacja, 9 IX 1982.

ostrzegał przed nim Andrzeja jeszcze w 1983 r., tuż przed swoją emigracją do Stanów – wynika z dokumentacji SB³². Andrzej brał te przestrogi pod uwagę, ale zapewne trudno było mu dopuścić myśl o bracie donosicielu. Na dodatek Janusz był jedynym pośrednikiem między nim a coraz bardziej schorowanym ojcem i troszczącą się o synów matką. Więzy z najbliższą rodziną mogły mu utrudnić obiektywną ocenę sytuacji.

Gdy jedni, jak Bąkowski, formułowali podejrzenia, inni jednak nie tracili zaufania do Janusza i to cały czas przeważało szalę na jego korzyść. Wspólne biesiady z drukarzem podziemnym Emilem Broniarkiem w grudniu 1983 r. dowodziły, że Janusz wówczas nie był przez niego specjalnie podejrzewany. W innym wypadku z pewnością nie byłby dopuszczany do towarzyskich zażyłości przez to na co dzień ostrożne i dość zamknięte grono³³. Każda konspiracja wcześniej czy później staje przed problemem zaufania i musi rozstrzygać o dopuszczeniu bądź odrzuceniu różnych plotek, hipotez, domysłów. Obsesja podejrzeń mogła okazać się dla całej grupy równie mało komfortowa co zbyt duża niefrasobliwość. Janusz był parę razy o krok od dekonspiracji, ale ruchy policji najwyraźniej wyjaśniano sobie w podziemiu innymi okolicznościami³⁴.

Latająca drukarnia

Tacy ludzie jak Andrzej, „etatowi” pracownicy podziemia, przeżywali w latach osiemdziesiątych swoje dni chwwały wśród tej części społeczeństwa, która – jak Radziwiłłowie – opowiadała się po stronie Solidarności. Górski wystawiał się na ataki władz, ryzykował w imię wspólnych ideałów, wzbudzał podziw i wzruszenie

w salonach opozycyjnej Warszawy. Parę lat później jeździł swoim maluchem z Adamem Michnikiem do autorów. Złożyli wizytę u Igora Newerlego po wydrukowaniu *Zostało z uczt bogów* (1986), zostali poczęstowani nalewką. Górski dostał też od niego autograf. Chyba nikt nie wydrukował tyłu zakazanych książek co on (sam szacuje, że uczestniczył w druku około 60 publikacji zwartych). Miał nawet dla ochrony nowoczesną krótkofalówkę Kenwooda przekazaną przez Witolda Łuczywę lub Ewę Kulik z podziemnego Regionu Mazowsze. Dostrajała się sama do pasma milicyjnego.

Siła ruchu polegała na zachowaniach zmiennych i niekonwencjonalnych. Górski miał kolegów z woj-ska, rozsianych w latach osiemdziesiątych w warszawskim transporcie. Na terenie bielańskiego i wolskiego SPEC-u w robotniczych pakamerach omawiał z brygadami remontowymi możliwość wynajęcia żuka (pogotowie ciepłownicze), zjednywał spawaczy, dobi-jał targu. Bocznyimi drzwiami wchodził do bazy pogotowia ratunkowego przy ulicy Woronicza, by poprosić starego kolegę o kurs karetką pogotowia³⁵. Niewiele działań miał zaplanowanych z wyprzedzeniem, sam nie wiedział do końca, gdzie i z kim będzie jechał. Tym bardziej nie mogła wiedzieć policja.

Imponował wówczas młodością, zdrowiem, mobilnością. Stał się mistrzem nieprzewidywalnych zagrywek. W labiryncie warszawskiego handlu, spekulacji i ciemnych interesów miał – jak wiemy – wychodzone ścieżki. Po papier offsetowy zaglądał do Józefa Mazura ze sklepu piśmienniczego przy ulicy Dzielnej, którego znał jeszcze z czasów pracy w SPHW. „Miałem zasadę, że 395 złotych zaokrągla się najwyżej do 410 i grosza więcej za ryzę” – wspomina. Urabiał i przyci-

³² AIPN, 00328/684, t. 2, Teczka pracy Romana Witkowskiego, Doniesienie, 13 XII 1983. Według Witkowskiego doszło do zadrażnień na tym tle między Górskim a Bąkowskim.

³³ AIPN, 00334/848, t. 2, Teczka pracy TW „Kaktusa”, Notatka służbowa ze spotkania Janusza Górskiego z Emilem Broniarkiem, 5 XII 1983.

³⁴ W liście z 8 VI 1983 oficer prowadzący „Kaktusa” żalił się swojemu przełożonemu na nieumiejętną obserwację uliczną ze strony resortowych zwiadowców, która doprowadziła dwa razy do znacznego obniżenia zaufania do Janusza i dłuższej przerwy w kontaktach z bratem. Zdaniem Szeniawskiego ambicje i brak dobrej koordynacji między jego macierzystą jednostką i innymi komórkami SB opóźniały dochodzenie oraz pogarszały jego dalsze perspektywy.

³⁵ Relacja Andrzeja Górskiego.

skął sprzedawcę: „Możesz sprzedać komuś drożej, ale wtedy to mogą być nerwy. Tylko ja daję ci gwarancję bezpieczeństwa, że śpisz spokojnie”³⁶.

Musiał być niewygodnym przeciwnikiem dla inspektora Szeniańskiego, który więcej czasu spędzał za biurkiem. Gdy porucznik, potem kapitan porządkował swoje teczki, Górski z drukarskich piwnic, strychów i stodół dziarsko biegł do kolportowania. Parę razy nocnym pociągiem (kuszetką) pojechał w podróż do Zakopanego na trzy-cztery dni, na przykład z wydrukowanymi przez siebie esejami Michnika *Nieźłomy z Londynu*. Kanał zorganizowała Alicja Szot, doświadczona działaczka z podwarszawskiego Ursusa. W stanie wojennym pracowała w jednej z instytucji kolejowych, miała darmowe bilety, wypuszczała się więc co miesiąc na koszt państwa do Krakowa i Zakopanego z bibułą. Gdy podróżowała z Górskim, dla bezpieczeństwa udawali parę turystów. Wychodzili z dworca, dzwonili z budki telefonicznej, po czym przyjeżdżali górale i odbierali bagaż³⁷.

Umiejętność popychania spraw do przodu sprawiała, że stopniowo stawał się liczącą postacią w swoim środowisku. Wydrukowanie pierwszych numerów „Tygodnika Mazowsze” okazało się wielkim sukcesem. Wstawieni tym czynem drukarze dostali od kierownictwa Regionu upominek – dwie butelki szkockiej whisky Haig. Górski widywał się z Konradem Bielińskim i Ewą Kulik. Z inicjatywy Regionu wydrukował homilie Jana Pawła II w roku jego pielgrzymki do Polski (1983) i sprezentował swoją część nakładu ks. Jerzemu Popiełuszcze. W 1982 r., po ukazaniu się *Raportu o stanie wojennym*, on i Paweł Bąkowski – w imieniu kierownictwa NOW-iej – omawiali z Markiem Nowakowskim jego dalsze plany pisarsko-wydawnicze. To na obsługiwanej przez Andrzeja maszynie miał się ukazać ciąg dalszy *Raportu*.

13 stycznia 1983 r. policja jednak przerwała ten sojusz literata i drukarza. Zarekwirowała wydruki kolejnych opowieści Nowakowskiego w podwarszawskim Milanówku, przy ulicy Podwiejskiej 10a, w domu Mirosławy Żarkowskiej, gdzie stacjonowała akurat latająca drukarnia Górskiego. Andrzej zobaczył spłądowaną drukarnię w wieczornym „Dzienniku Telewizyjnym”. Z akt Janusza Górskiego wynika, że nie zawinił w tej sprawie. Kalkulował nawet, że ta wpadka odsunie od niego ewentualne podejrzenia. Policja skonfiskowała wówczas wspomniany „offset Barei”, który przywędrował do Polski ze Szwecji określną drogą przez Wiedeń – dar od Jakuba Świącieckiego³⁸. Nie zastała drukarzy, ale zaprosiła na miejsce zdarzenia reporterów TVP. W tych dniach również przeprowadzono dwie rewizje u Nowakowskiego, być może w związku z wpadką w Milanówku³⁹.

Na ulicy Podwiejskiej Górski zdążył powielić *Kościół, lewicę, dialog* Adama Michnika (1983), pierwsze krajowe wydanie tej głośnej już za granicą książki – ukazującej się teraz w serii Biblioteka Kwartalnika Politycznego „Krytyka”. Znow udało mu się umknąć policyjnej pogoni, ale nagle stał się drukarzem bez maszyny. Na krótko jednak. Jeszcze zimą dołączył do drukującego „Tygodnik Mazowsze” Emila Broniarka. Od tego czasu działali razem. Broniarek – w 1981 r. szef drukarni NOW-iej w Ursusie, współpracownik Zbigniewa Bujaka – miał w podziemiu duży autorytet⁴⁰. Współpracował ściśle z Witoldem Łuczywą przy produkcji „Tygodnika”. Po połączeniu sił drukowali na przemian „Tygodnik” oraz książki NOW-iej.

Drukarnia Broniarka bardzo sprytnie zaanektowała kawałek obory w Chrzanowie Dużym nieopodal Grodziska Mazowieckiego. Posesję otaczał sad owocowy. Idealne miejsce – trochę na uboczu, ale dobrze skomunikowane z Warszawą dzięki przebiegającej

³⁶ *Ibidem*.

³⁷ AIPN, 00334/848, t. 2, Teczka pracy TW „Kaktusa”, Doniesienia, 10 VII 1984, 5 i 6 II 1985, k. 104–105 i t. 3, k. 10–11; relacja Andrzeja Górskiego; wywiad Marii Bał z Alicją Szot, 14 XII 2007, strona internetowa Fundacji KOS – www.fundacjakos.pl.

³⁸ Relacja Zofii Reinbacher z Wiednia, listopad 2012, w zbiorach autora.

³⁹ M. Nowakowski, *Kryptonim „NOWY”. Tajemnice moje esbeckiej teczki*, Warszawa 2007, s. 63. Poświęcił tej sprawie również parę zdań Lesław Wojtasik w propagandowej rozprawce *Podziemie polityczne*, Warszawa 1983, s. 241.

⁴⁰ Więcej na temat drogi życiowej Emila Broniarka w jego relacji z 18 IV 2008 udzielonej Fundacji KOS, www.fundacjakos.pl.

w pobliżu linii kolejowej. Zimą 1983 r. sprzęt nam tam prawie zamarzał – relacjonuje Górski. – Drukowaliśmy *Dziennik pisany nocą* Herlinga-Grudzińskiego, wokół siano, kilka stopni mrozu, a tu nagle przestał działać piecyk-farełka, którym się dogrzewaliśmy. W kałamarzu zamarały odczynniki do mycia sprzętu. Musieliśmy również uważać na niechciane towarzystwo. Gospodarze – Helena i Józef Michalakowie – trzymali knura. Gdy przyjeżdżali do nich sąsiedzi, by zapłacić maciory, maszyna – ustawiona w oborze na wyższej kondygnacji – nie mogła pracować⁴¹. Powielacze z eleganckiego świata zachodnich biur podróżowały do nieogrzewanej szopy w rolniczej Polsce. Kontekst i warunki eksploatacji zmieniały się diametralnie, ale powielacz wytrzymał to przejście.

Ekonomia polityczna

W latach 1982–1985 do otoczenia Górskiego i Broniarka należeli Witold Łuczywo (zasłużony instruktor i wynalazca podziemnej poligrafii), Tadeusz Markiewicz (transport, od 1984 r. także druk), Maciej Radziwiłł – „brygadzysta Maks” i jego przyszła żona Anna Maria (oprawa, zaopatrzenie, organizacja), Roman Witkowski (taksówkarz), Przemysław Cieślak (druk), Tomasz Michalak (przygotowanie matryc), Maciej Kutrowski (lokale, zaopatrzenie), Czesław Apiecionek (skład) i kilka innych osób⁴². Grupa ta okresowo zwiększała się lub zmniejszała. Spotykali też na swoim szlaku do dzisiaj nierozszyfrowanych pomocników – takich jak Jerzy, pseudonim „Tancerz”. Górski reprezentował całą drukarnię przed szefem NOW-ej Grzegorzem Bogutą, ustalał warunki pracy, prowadził rozliczenia, zamawiał części zamienne. „Rozmawialiśmy o pieniądzach, ale i o tym, że w drukarni nie

ma ogrzewania – wspomina Boguta. – Co robić, w jakich terminach, czego brakuje? Papieru, kartonu na okładki, farby”⁴³.

Podziemna Warszawa tamtych czasów to nie tylko polityczna opozycja, ale także postacie bardziej przyziemne: zblatowani konwojenci, złodzieje w państwowych hurtowniach, pompierze na stacjach benzynowych, cinkciarze i kieszonkowcy z rodzinnego Żoliborza. „Nie wychowałem się w kółku różańcowym” – zaznacza Górski. Jego żoliborscy znajomi z młodości tworzyli teraz ochronną otoczkę. Górski łatwo łąpał z nimi kontakt. „Od Darka Niewiadomskiego, który obracał się wśród cinkciarzy spod Peweksu na Żeromskiego, dostałem w sumie kilkanaście dowodów osobistych. Darek pozyskiwał je z kolei od zaprzyjaźnionych doliniarzy. Miałem cztery lub pięć dokumentów, resztę przekazałem dalej z myślą o podziemnym Regionie” – opowiada o tej zaskakującej współpracy, która jednak miała wpływ na szanse przetrwania w nieprzyjaznych warunkach politycznych. Niewiadomski ułatwiał również wymianę złotych na dolary po dobrym kursie, pomagał w znalezieniu konspiracyjnego lokum, zajmował się oprawą książek w ekipie Macieja Radziwiłła.

Powiązania z szarą strefą gospodarczą późnego PRL były dość szerokie, bez nich cały łańcuch produkcji podziemnej nie kręciłby się tak sprawnie. W takich relacjach dominowały motywy finansowe, ale pewną rolę grała również niechęć do reżimu, wyuczona skłonność do lekceważenia jego przepisów i omijania rygorów. Lech Rabanowski pracował w powielarni Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej w Warszawie. Z racji swojej dobrej pozycji w hierarchii systemu Towarzystwo dostawało sporo reglamentowanych wyrobów – np. rosyjską wódkę, ale też karton,

⁴¹ Relacja Andrzeja Górskiego i Haliny Michalak, 2 VIII 2013, w zbiorach autora. Zob. też wspomnienie Emila Broniarka w: *N jak Nowa. Od wolnego słowa do wolności 1977–1989*, Warszawa 2012, s. 88. Józef Michalak, kolega Broniarka, pracował w zakładach Ursus i należał do tamtejszej Solidarności. Więcej o tej grupie w: J. Domżański, M. Jaroński, *Gdy chcieliśmy być wolni. Ursus w latach 1980–1989*, Warszawa 2010, s. 47.

⁴² Kolega Kutrowskiego Robert Stefański przewoził większe partie papieru, ewakuował drukarnie swoim kampingowym volkswagenem busem.

⁴³ Relacja Grzegorza Boguty, 13 XI 2003, w zbiorach autora. O Andrzeju Górskim jako prowadzącym rozliczenia drukarni wspomina również jego brat Janusz (AIPN, 00334/848, t. 3, Teczka pracy TW „Kaktusa”, Doniesienie, 6 II 1985).

który nadawał się na okładki książek. Dysponowało małą poligrafią na niezłym poziomie i kartonem w formacie A2 w ilościach niemal nielimitowanych. W kawiarni TPPR Tamara, zwanej potocznie U Bol-szewika, kelnerował w 1983 r. „Kaktus”. Kartotekę bezpieki zasilili notatką o tym, że Rabanowski „jest gotów na początek stałej współpracy stosować ulgi finansowe wobec podziemia”⁴⁴.

Wiedzieli więc o nim policja, ale bynajmniej nie uniemożliwiło to prowadzenia przez dłuższy czas interesów z podziemiem. Prawdopodobnie SB tolerowała aktywność Rabanowskiego, gdyż obawiała się, że akcja przeciwko niemu doprowadzi do „spalenia” „Kaktusa”, który miał zresztą za zadanie wyciągać od niego potrzebne materiały i w ten sposób wnikać głębiej w podziemie. Korzystał na tym splocie zdarzeń Rabanowski – ciął i sprzedawał na lewo zielonkawy karton, użyty m.in. na okładki do *Niezlomnego z Londynu* Michnika. Wyrabiał matryce poligraficzne dla NOW-iej, a znajome kelnerki wynosiły je w torbach. Pomagał nam nawet kucharz – relacjonuje dalej Andrzej Górski⁴⁵. Nie miał do takich ludzi jak Rabanowski szczególnego sentymentu. Mówił o nim: „kombinator, trochę się bał, nie był tani, może musiał się dzielić”.

Taki styl działania wynikał również z zablokowania wolnorynkowej konkurencji w okresie komunistycznym. Stąd to wykradanie państwowych materiałów z instytucji uprzywilejowanych w socjalistycznym systemie rozdzielnictwa – takich jak TPPR. NOW-a zdołała utorować sobie drogę do państwowych zapasów, a policja nie była w stanie pokonać tego monstrum korupcji, już prędzej sama stawiała jego

częścią. Górski i jego koledzy penetrowali wówczas magazyny Spółdzielni Spożywców Społem, drukarnię akcydensową przy Waryńskiego (Eugeniusz Rosiński) i Zakłady Graficzne Tamka. „Przyjeżdżałem z blachami do mieszkania jednego z tych biznesmenów, dwa dni później zgłaszaliśmy się już po odbiór. Podjeżdżaliśmy furgonetką o szóstej rano do drukarni na Tamce, oni przekazywali wydruki przez okienko na dziedzińcu, wręczałem komuś plik banknotów, załadunek trwał krótko, skorumpowany był nawet dozorca” – opowiada Maciej Radziwiłł⁴⁶.

Nikt szybciej niż wydawcy podziemni nie potrafił w Polsce wydać książki. Chwile zwycięstwa i bezkarności przeplatały się z aktami przemocy, kiedy policja zdawała się triumfować. 10 października 1983 r. Andrzej został ujęty w piwnicy przy Radziłowskiej, niedużej uliczce na Saskiej Kępie, z częścią nakładu *Dziennika pisanego nocą* Gustawa Herlinga-Grudzińskiego⁴⁷. Jeden z lokatorów, prawdopodobnie mundurowy, niespodziewanie pojawił się przy drzwiach i przystawił mu do głowy rewolwer. „Kiedyś ćwiczyłem zapasy, zwarliśmy się – wspomina Górski. – Próbowałem wyrwać mu pistolet, ale zdołał odskoczyć, wy-celowwał we mnie i wtedy znieruchomiałem”. Podczas wyprowadzania jakimś cudem zdołał jeszcze połknąć kilka kartek notesu z adresami⁴⁸.

Właśnie zapalałem papierosa – relacjonuje Emil Broniarek – spoglądałam na klatkę schodową i widzę Andrzeja na ścianie z rozłożonymi rękoma. Roman Witkowski, nasz taksówkarz, zachował się przytomnie i rzucił do mnie: spierdaj stąd, pijaku. Oddaliłem się chwiejnym krokiem⁴⁹. Funkcjonariusze zawieźli

⁴⁴ AIPN, 00334/848, t. 2, Teczka pracy TW „Kaktus”, Doniesienie, 6 VII 1983, k. 58.

⁴⁵ Relacja Andrzeja Górskiego. Andrzej przedzierał się do powielarni TPPR przez kuchnię. Omijał w ten sposób portiernię, gdzie rejestrowano wszystkich petentów.

⁴⁶ Relacja Macieja Radziwiłła, 24 I 2013, w zbiorach autora.

⁴⁷ Gotowe wydruki po raz pierwszy zarekwirowała policja w zakładowej drukarni w Ursusie, gdy wkroczyła do fabryki po rozbiciu strajku w grudniu 1981. W 1983 r. ponowiono ich druk w podziemiu, ale drukarnia spłonęła w październiku 1983 (drukarze przez nieuwagę zaprószyli ogień w wolnostojącym drewnianym domu), część ewakuowanego stamtąd nakładu przepadła podczas akcji policji na Saskiej Kępie.

⁴⁸ Relacja Andrzeja Górskiego.

⁴⁹ Krótki reportaż filmowy Mariana Terleckiego na temat Emila Broniarka i Roman Witkowskiego, nakręcony w latach dziewięćdziesiątych w Stanach Zjednoczonych.

Górskiego na komendę Praga Południe przy Grenadierów, gdzie w odwecie został dotkliwie pobity. „Weszło do celi trzech, czterech, jeden miał ręce jak bochenek chleba. Ale do rękoczynów przystąpili jego koledzy – wspomina. – Krew leciała mi tylko trochę z nosa, ale był to bolesny oklep”. Zniósł to mężnie, nie załamał się, niczego nie wyjawiał.

Działania długofalowe

Okoliczności zatrzymania na Saskiej Kępie nie są w pełni znane. W teczce pracy Janusza zapisano, iż miało ono „charakter przypadkowy”. Obowiązywała jeszcze ogłoszona w lipcu 1983 r. amnestia. Nie można wykluczyć, że za szybkim zwolnieniem Górskiego stały również kalkulacje operacyjne. Można było liczyć, że na wolności bracia będą się dalej kontaktować, a „Kaktus” – kuszony przez SB – zyska z czasem większe zaufanie w podziemiu. „Większe korzyści można odnieść z działań długofalowych” – rozumował inspektor Szeniawski. Po paru dniach Andrzej znalazł się więc na wolności⁵⁰. A Emil Broniarek, niczym nie zrażony, dokończył w tym czasie druk *Przestuchania* u księdza na strychu plebanii w Pęcicach⁵¹.

Stracili jednak Romana Witkowskiego. Organa ścigania – w ścisłej komitywie z Januszem – rozszyfrowały go jako łącznika Andrzeja jeszcze w maju 1982 r.⁵², ale teraz nadarzyła się okazja do szantażu,

jako że Witkowski został na Saskiej Kępie przyłapany na gorącym uczynku. Znalazł się w trudnym położeniu, miał małe dzieci. Służba Bezpieczeństwa wiedziała o nim sporo, zrobiła brutalną rewizję w mieszkaniu, potem na przesłuchaniu pokazywała zdjęcia. Miał już prawie dopięty wyjazd zarobkowy do Stanów, który w takiej sytuacji bardzo się oddalił. Pod presją SB zgodził się na dalsze spotkania, ale – trzeba podkreślić – udzielał mniej istotnych informacji niż Janusz. Migał się na tyle skutecznie, że po roku otrzymał upragniony paszport i zdołał wyrwać się z opresji⁵³. Ostrzegał wtedy Andrzeja przed jego bratem⁵⁴.

Po październikowym zatrzymaniu Górski już się nie ukrywał, schodził jedynie do podziemia na czas druku. Topniały szeregi konspiratorów, przybywało osób ujawnionych, „spalonych” lokali i zniechęconych długotrwałą „wojną podjazdową”. Ujawnienie się Andrzeja i Emila stawalo się koniecznością w warunkach odpływu społecznej energii, ale również trochę sprzyjało planom „Kaktusa”. Parę miesięcy później, jak widzimy na starych, czarno-białych zdjęciach wykonanych radzieckim aparatem Zenit, Andrzej pojawił się na weselu Magdy Urban i Adama Grzesiaka w mieszkaniu Bogdana Grzesiaka na Krakowskim Przedmieściu (3 lutego 1984)⁵⁵. W jasnej koszulce bawelnianej, tym razem roześmiany, pełen optymizmu. Dalej oglądamy fotografie brodatych konspiratorów w zielonych, wojskowych kurtkach, w wytartych,

⁵⁰ AIPN, 0331/341/CD/2, Protokół z ujawnienia się Górskiego, październik 1983, s. 130–131; AIPN, 00334/848, t. 2, Teczka pracy TW „Kaktusa”, Informacja, 1 XI 1984.

⁵¹ Relacja Emila Broniarka, 27 IV 2013, w zbiorach autora. Pierwsze wydanie scenariusza ukazało się oficjalnie w piśmie „Dialog” we wrześniu 1981. Niemniej jednak film wciąż nie otrzymywał zezwolenia na rozpowszechnianie. Reżyser przekazał maszynopis podziemiu. Książka NOW-ej miała ludziom zastąpić kino. Wydanie zawierało niepublikowane wcześniej zdjęcia i dwukolorową okładkę autorstwa Górskiego (relacja Ryszarda Bugajskiego w: *N jak Nowa. Od wolnego słowa do wolności 1977–1989*, Warszawa 2012, s. 151).

⁵² AIPN, 00334/848, t. 1, Teczka pracy TW „Kaktusa”, Informacja, 6 V 1982.

⁵³ AIPN, 00328/684, t. 1–2, Teczka pracy Romana Witkowskiego; relacja Romana Witkowskiego, 6 VI 2013, w zbiorach autora. W październiku 1984 Witkowski wyjechał do Stanów Zjednoczonych.

⁵⁴ Relacja Romana Witkowskiego. Ta informacja znajduje częściowo potwierdzenie w aktach Witkowskiego, a w pełni w aktach Janusza Górskiego (AIPN, 00328/684, t. 2, Teczka pracy Romana Witkowskiego, Doniesienie, 15 X 1983; AIPN, 00334/848, t. 3, Teczka pracy TW „Kaktusa”, Doniesienie, 23 III 1985).

⁵⁵ AIPN, 00334/848, t. 2, Teczka pracy TW „Kaktusa”. Niecały rok przed ślubem Adam Grzesiak wraz z kolegami został zaskoczony przez SB w leśniczówce pod Ostrowikiem *in acto flagranti*. Spędził wówczas kilka miesięcy w więzieniu. Zob. też W. Grochola, A. Grzesiak, *Bujajcie się!*, Warszawa 2004.

rozciągniętych swetrach – jak powiedziałyby o nich Agnieszka Osiecka⁵⁶. Wśród nich stoi Janusz Górski, w muszce i z wąsikiem, który wraz ze swoją żoną, też kelnerką, pomógł rodzinie Grzesiaków w przygotowaniu wesela.

Prywatna historia szczęśliwych nowożeńców, gdy odbierają życzenia, rozmawiają z przyjaciółmi, została przeniesiona do policyjnego albumu z adnotacją „materiał dowodowy”. Imprezę „zabezpieczył operacyjnie” Wydział III SUSW. Zaproszenia ślubne wykonała zaś NOW-a. Wydarzenie zelektryzowało opozycyjną Warszawę. Uroczystość miała mieć charakter kameralny. Przyszło natomiast kilkaset osób, zarówno zaproszeni, jak i niezaproszeni, znani nam i nieznani, nawet ekipa z kamerą. Zdarzenie filmowane przez ABC News zostało pokazane w amerykańskiej telewizji – wspominają Magda i Adam Grzesiakowie. Zdjęcia z ich domowej kolekcji dobrze pokazują wspólnotową atmosferę tamtych czasów. Uroczystość przerodziła się w spontaniczną demonstrację przekonań na rzecz Solidarności⁵⁷.

Wśród zgromadzonych na ceremonii w Pałacu Słubów znaleźli się Stefan Amsterdamski, Stefan Starczewski, Ewa Milewicz, Jan Walc, Sergiusz Kowalski, Ludwika Wujec, Emil Broniarek w swetrze i z torbą na ramieniu, a z drugiej strony w garniturze minister Jerzy Urban z żoną, zupełnie sami w dużym gronie opozycji⁵⁸. Na zdjęciach z prywatnego archiwum Grzesiaków widać, jak ojciec Magdy odważnie gratuluje swojemu zięciowi, drukarzowi NOW-iej. Z wesela wyszedł dość wcześnie, zanim jeszcze zabawa zaczęła się na dobre. Znaczna część przyjaciół pary młodej, jak

wiemy, należała do podziemia. Prawdopodobnie dla obu stron nie była to sytuacja komfortowa. Znajomi młodej pary zostali więc doproszeni nieco później – po zakończeniu rodzinnego obiadu⁵⁹.

W latach osiemdziesiątych ludzie NOW-iej grali w środy w piłkę na Muranowie, na trawnikach przed pomnikiem Bohaterów Getta. Po raz pierwszy Andrzej Górski pojawił się tam z Emilem w 1984 r. Służba Bezpieczeństwa zainstalowała punkty obserwacyjne w okolicznych budynkach, wykonywała zdjęcia, wokół skweru krążyły policyjne auta, ale nie wpłynęło to chyba na zmniejszenie produkcji wydawniczej NOW-iej⁶⁰. Policja zastanawiała się nad szansami umieszczenia podsłuchu w pobliskich drzewach i w ławce, która służyła futbolistom za szatnię. Inspektor Szeniawski zaczął namawiać Janusza do przyłączenia się do składu, nie wygląda jednak na to, żeby agent zdobył sobie trwałe miejsce w drużynie. Argumentował potem, że nie chciał się narzucać temu środowisku⁶¹.

Piłkarze zdawali sobie sprawę z esbeckiej asysty. Momenty odprężenia i rozrywki stawały się jednak nieodpartą potrzebą, przez lata wspólnej pracy ludzie żyli ze sobą, a wielu z nich i tak już figurowało w policyjnych kartotekach. Wiosną 1985 r. chcieli nawet wystąpić w koszulkach z nadrukiem NOWA⁶². Po piłce niektórzy udawali się do pobliskiego lokalu Jaś i Małgosia – streszcza Andrzej. On lubił również zachodzić z kolegami do restauracji w budynku Intra-co, by odreagować stresy. Kelnerka prosiła ich tylko, by nie stukali się szklankami z kawą (obowiązywał wówczas zakaz podawania alkoholu do godziny 13). W kawiarni Tamara z kolei nalewano im wódkę do

⁵⁶ A. Osiecka, *Biała bluzka*, Kraków 1998.

⁵⁷ Rozmowa z Magdą Grzesiak, 10 IV 2013, i Adamem Grzesiakiem, 17 IV 2013, w zbiorach autora. Za udostępnienie zdjęć ślubnych dziękuję Magdzie i Adamowi Grzesiakom. Fotografowali Tomasz Michalak i Erazm Ciołek.

⁵⁸ Nie można jednak wykluczyć, że miejsce było dyskretnie obserwowane przez odpowiednie służby, gotowe przyjąć ministrowi z odsieczką, gdyby doszło do jakichś aktów wrogości wobec niego.

⁵⁹ Relacja Adama Grzesiaka, 27 V 2013.

⁶⁰ Barwnie wspomina te piłkarskie sparingi Emil Broniarek w relacji udzielonej 18 IV 2008 Fundacji KOS, www.fundacjakos.pl, a także inni uczestnicy w: *N jak NOWA. Od wolnego słowa do wolności*, Warszawa 2012.

⁶¹ AIPN, 00334/848, t. 2, Teczka pracy TW „Kaktusa”, Informacja, 1 XI 1984; *ibidem*, t. 3, Doniesienie, 20 XI 1986.

⁶² SB uznała to za prowokację (AIPN, 00334/848, t. 3, Teczka pracy TW „Kaktusa”, Notatka odręczna por. Talbierza, 7 V 1985). Koszulki z nadrukiem NOWA wykonał Eugeniusz Rosiński jeszcze przed sierpniem 1980 w warsztacie poligraficznym na Okęciu.

butelek wody Borżomi. Stamtąd mieli też radzieckiego jesiotra i sajrę w konserwach, które zabierali jako prowiant do drukarni.

Rola takich ludzi rosła naturalnie z każdym rokiem konspiracji. Ich zdolności były nie do przecenienia. Stąd brało się poczucie własnej wartości, a wraz z nią skłonność do zabiegów o poprawę własnej pozycji w podziemiu. Wiosną 1984 r. Górski, Broniarek, Markiewicz i Łuczywo stworzyli Kooperatywę Wydawniczą Feniks, która była być może wyrazem dążenia do pewnej samodzielności. Przegrupowanie nastąpiło jednak również ze względu na obawy przed dekonspiracją⁶³. Wydawało się, że mogą działać autonomicznie, ofensywnie, rozpieęła ich energia. Wydrukowali pięć książek pod tym szyldem w Radości⁶⁴. Lokal znalazł Markiewicz⁶⁵. Z papierem i drukiem nie mieli większych problemów, ale po pewnym czasie okazało się, że zatory płatnicze w kolportażu zmuszają ich do zamknięcia Feniksa⁶⁶. Późną jesienią usadowili się w nowym miejscu.

Tymczasem zaciskał się wokół nich pierścień policyjnego dochodzenia. 5 lutego 1985 r. Górski, Broniarek i Przemysław Cieślak siedzieli w Tamarze. Nastroje w ekipie dopisywały. Początkowo wybierali się na Okęcie powitać wracającego do Polski Seweryna Blumsztajna⁶⁷, podziękować „za kawę”, ale zmienili zdanie i pojechali do drukarni. Janusz akurat był pod ręką i miał samochód. „Normalnie nigdy go tam nie

zabierałem” – mówi Andrzej. Specjalny oddział warszawskiej SB odczekał parę miesięcy, nim zdecydował się uderzyć w ich nową drukarnię (swoje druki oznaczali symbolem globusa, trójką i erką). W tym czasie gromadzono adresy, ustalano personalia. Operację przygotowano dość starannie. Janusz nie został wtedy rozszyfrowany przez solidarnościowe podziemie, nie udało mu się jednak wniknąć głębiej w struktury konspiracyjne jako zastępca aresztowanego Andrzeja.

Uderzenie

29 maja 1985 r. około siódmej rano pojechali taksówką Tadeusza Markiewicza do Słupna pod Radzyminem wykonać druk okładki. Chcieli zdążyć z powrotem na wieczór do Warszawy. Na ulicy Prostej czekał Maciej Radziwiłł. W jego lokalu mieli razem emocjonować się telewizyjną transmisją ze stadionu Heysel w Brukseli. Juventus Turyn ze Zbigniewem Bońkiem w składzie grał z Liverpoolem United w pamiętnym finale Pucharu Klubowych Mistrzów Europy. Tymczasem w wolnostojącym domku Danuty Łady w Słupnie⁶⁸ dzień i noc czekała SB. W „kocioł” wpadła główna ekipa offsetowa: Górski, Markiewicz i Broniarek, zarekwirovano dwa brytyjskie powielacze marki Vickers, farbę i akcesoria drukarskie oraz 15 tys. egzemplarzy wydruków⁶⁹. To jedno z większych nieszczęść NOW-ej w tych

⁶³ J. Błażejowska, *Papierowa rewolucja. Z dziejów drugiego obiegu wydawniczego w Polsce 1976–1989/1990*, Warszawa 2010, s. 203.

⁶⁴ Według Witolda Łuczywy nazwa wzięła swój początek od powielarni NOW-ej w pobliżu Otwocka, w której jesienią 1983 wybuchł pożar – nowe wydawnictwo powstało „jak Feniks z popiołów” (relacja Witolda Łuczywy, 1 X 2007, w zbiorach autora). Kooperatywa obsługiwała również akcję bojkotu i liczenia frekwencji wyborczej w czasie wyborów samorządowych zorganizowaną przez władze Regionu Mazowsze.

⁶⁵ Wypowiedź Tadeusza Markiewicza w: Ł. Bertram, *Obieg NOW-ej*, Warszawa 2013 [w druku].

⁶⁶ Pod koniec 1984 r. NOW-a coraz lepiej radziła sobie z trudnościami dzięki zachodnim subwencjom. Przyczyniło się to do konsolidacji wewnętrznej, poprawiło płynność finansową, zapewniło drukarzom warunki do rytmicznej pracy. Grzegorz Boguta miał po latach lekkie pretensje do inicjatorów Feniksa, iż wykorzystali do własnych celów zaplecze poligraficzne NOW-ej (relacja Grzegorza Boguty, 13 XI 2003, w zbiorach autora). Z kolei Andrzej Górski twierdzi, że Feniks nie kolidował z pracą dla NOW-ej, która w 1984 r. nie była w stanie wypełnić czasu drukarzy w stu procentach. Sprawa wymaga dalszego wyjaśnienia.

⁶⁷ Nie był to powrót udany. Na Okęciu Blumsztajn został przez władze PRL zawrócony do Paryża.

⁶⁸ Danuta Łada wynajęła odpłatnie NOW-ej pokój jej syna Ryszarda, który pomagał przy paleniu odpadków i składaniu książek. W wolnych chwilach oglądał również z drukarzami telewizję. Matka natomiast czasami robiła obiad drukarzom i sprzątała po nich.

⁶⁹ AIPN, 526/4, t. 6, Akta sprawy karnej Tadeusza Markiewicza, Emila Broniarka, Andrzeja Górskiego i Barbary Moćko (1985–1986). Zob. też relacje skazanych – Górskiego (w zbiorach autora) i Broniarka (www.fundacjakos.pl).

latach. Policja rozbiła zgrany zespół ludzi. Nigdy już w tym składzie do drukowania nie powrócili⁷⁰.

W świetle aktu oskarżenia drukarnia działała w Słupnie od grudnia 1984 r. Proces przed sądem w Wołominie toczył się w kwietniu i maju 1986 r. Broniarek został skazany na rok i cztery miesiące więzienia, Górski na półtora roku, a Markiewicz – jako recydywista – na rok i osiem miesięcy⁷¹. Barbara Moćko, przyszła żona Andrzeja, otrzymała rok więzienia w zawieszeniu. Zeznania przed sądem złożyli świadkowie Danuta Łada – właścicielka domku i jej syn Ryszard. Przyznali jednak zarazem, że zostały one na nich wymuszone podczas śledztwa (śledczy traktowali ich brutalnie, grozili m.in. pobiciem i więzieniem). W sumie świadkowie, choć wystraszeni, zachowywali się dość powściągliwie, SB nie udało się rozszerzyć aktu oskarżenia na inne osoby z NOW-ej⁷².

Barbara Moćko – 4 września 1986 r. wyszła za Andrzeja – pracowała jako technik w Kombinacie Budowlano-Mieszkaniowym Warszawa-Północ, gdzie Andrzeja rzucił los w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych. W 1980 r. została kolporterką i introligatorką książek NOW-ej. Po wprowadzeniu stanu wojennego pełniła funkcję łączniczki Górskiego, przekazywała mu zaopatrzenie, informacje, słowa otuchy. Udostępniała swoje mieszkanie, gdy nie było gdzie poskładać wydruków w gotowe książki. Bez jej pomocy konspiracja Górskiego miałyby mniejsze szanse. Rozumiała to również SB, która w 1985 r. postanowiła dołączyć do aktu oskarżenia Barbarę i w ten sposób pognać ją za bliskie związki z Górskim⁷³. Znalaziono u niej w domu zapas matryc drukarskich i sporo książek. Podejrzewano również, że

Górski powierza jej swoje środki finansowe na wypadek uwięzienia.

W areszcie na Rakowieckiej Górski zachował wewnętrzną wolność. Śledztwo prowadziła prokurator Mierzejewska, nadzorowała osławiona Wiesława Bardonowa. Próbowano go rozmiękczyć przesłuchaniami, sprowokować do rozmów. Organom władzy znów w sukurs przyszedł Janusz – stworzył portret psychologiczny Andrzeja⁷⁴. Służba Bezpieczeństwa liczyła na to, że w zamian za uwolnienie i prezent (samochód) Andrzej wyjawia tajemnice podziemia. Śledczy zmieniali się, dawkowali napięcie. Jeden oficer dzielił się wrażeniami z lektury książki Mariana Brandysa, którą kiedyś Górski drukował, inny bezceremonialnie składał ofertę: odwiedziny ciężko chorego ojca w zamian za zeznania. Nie mogąc się z nim zobaczyć, 1 października 1985 r. Andrzej rozpoczął głodówkę „przeciwko pogwałceniu podstawowych praw humanitarnych”⁷⁵. Swoją niezwykłą determinacją zaasutował na miano jednego z najbardziej niezłomnych aresztantów mokotowskiego więzienia. Zyskał dużą popularność w kręgach opozycyjnych, stał się bohaterem⁷⁶.

Piętro wyżej o tej samej godzinie siłą karmiono w celi Czesława Bieleckiego, szefa wydawnictwa CDN. „Styszeliśmy się, próbowaliśmy do siebie krzyczeć” – wspomina Górski. Pozostawał jednak głównie sam na sam ze sobą, jego głowa była ostatnią fortecą tej walki. Twardość stała się dla niego zagrożeniem – ocenia po latach Radziwiłł. Przedłużający się protest głodowy groził utratą zdrowia. Nawet walcząc w bardzo słusznej sprawie, warto mieć wizję odwrotu – powiedzieliby realiści. Tymczasem on początkowo perspektyw końca głodówki sobie nie wyznaczył. Ale właśnie tacy

⁷⁰ W 1984 r., w szczycie formy, wydrukowali wspólnie 11 książek, do maja 1985 udało im się powielić przynajmniej sześć pozycji książkowych i cztery numery podziemnego pisma „Most”. Po wyjściu z więzienia w drugiej połowie 1986 r. Andrzejowi Górskiemu i Maciejowi Radziwiłłowi udało się wydrukować trzy pozycje, a w 1987 r. sześć.

⁷¹ Został internowany w sierpniu 1982, następnie skazany w procesie NOW-ej. Na wolność wyszedł w marcu 1983.

⁷² AIPN, 526/4, t. 6, Akta sprawy karnej Tadeusza Markiewicza, Emila Broniarka, Andrzeja Górskiego i Barbary Moćko (1985–1986).

⁷³ Biogram Barbary Górskiej-Moćko w leksykonie *Ludzie Nowej*, Warszawa 2007.

⁷⁴ AIPN, 00334/848, t. 3, Teczka pracy TW „Kaktusa”, Doniesienie, 22 VIII 1985.

⁷⁵ *Głodówka Andrzeja Górskiego*, „Tygodnik Mazowsze”, 10 I 1986, s. 1.

⁷⁶ Strajk głodowy zrelacjonował „Uncensored Poland News Bulletin” (Londyn), 20 II 1986, s. 19–20. Proces drukarzy odnotował zaś brytyjski „Index on Censorship” monitorujący przypadki naruszania wolności słowa na świecie (lipiec – sierpień 1986, s. 44).

ludzie swoim niezwykłym uporem podrywali resztę do dalszych zmagani, „ocalali jakąś sumę wolności”⁷⁷, bez ich heroizmu opór być może zostałby sparaliżowany.

O zakończeniu głodówki zwrócił się do niego Lech Wałęsa. W poruszającym liście zaapelował abp Bronisław Dąbrowski⁷⁸. Presja ta w końcu odniosła skutek i w marcu 1986 r., po 5,5 miesiącach, Górski zakończył protest. W lipcu 1986 r. objęła go amnestia.

„Na jesieni 1986 roku – wspomina Radziwiłł – już troszeczkę traciłem do tego serce. [...] Ale właśnie wyszedł z więzienia Andrzej. [...] Był w takim stanie, że uznałem, iż musi koniecznie znów zabrać się do roboty”⁷⁹. Wycieńczony głodówką, on, weteran poligrafii niezależnej, stanął znów przy maszynie. Ulokowali się z nowym offsetem w niewielkim domku w Rembertowie. Papier na *Spółeczeństwo otwarte* Karla Poppera – jedno z największych osiągnięć powiełarni podziemnych – pochodził od niezastąpionego Józefa Mazura z Dzielnej. Jego zaufany konwojent SPHW podjeżdżał najpierw do sklepu, gdzie dokonywał częściowego rozładunku, ale zachowywał paletę papieru dla podziemia. W dniu akcji Andrzej wskakiwał do szoferki na mieście, kluczyli trochę dla bezpieczeństwa przed dojazdem do drukarni.

Akurat mieli trochę większy zapas papieru, równocześnie z Popperem powielali więc broszurkę *Wariacje na temat generała Jaruzelskiego* Macieja Łatyńskiego. Ich praca doczekała się ekranizacji. W dziesięciminutowej migawce Jacka Petryckiego i Marcela Łozińskiego, nakręconej dla telewizji amerykańskiej, widzimy pomieszczenie, maszynę i uwijających się drukarzy: Andrzeja we flanelowej koszuli w kratę i Macieja Radziwiłła w pomarańczowym swetrze. Amerykański powielacz A.B. Dick model 8400 postawili na kałowej kuchni węglowej, lampą z góry oświetlali

wylatujące wydruki. Górski przeciera blachę, Radziwiłł wkłada papier. Start, najpierw rozruch, druk próbny okładki. Kamera się zbliża. Na liczniku urządzenia przeskakują kolejne cyferki. W tle gra radio – sobotnia lista przebojów Programu Trzeciego. W pokoju obok widzimy stertę już gotowych książek – *Urok Platona*, pierwszy tom *Spółeczeństwa otwartego* (1987).

Na to miejsce Janusz naprowadził śledztwo późną jesienią 1987 r. Do tego momentu jednak zdołano wydrukować sześć tytułów, w tym jeden w dwóch tomach, co wpłynęło na dobre wyniki NOW-iej w całym 1987 r. (31 książek wobec jedynie piętnastu w 1986 r., kiedy Górski siedział w więzieniu)⁸⁰. Czasy zrobiły się już mniej opresyjne. Teraz obeszło się bez aresztowań. Policja nawet się postarała, by dokonać konfiskaty pod nieobecność lokatorów. „Nie chcieli już męczenników” – komentuje Górski. Zarekwirowanego A.B. Dicka po cichu oddano pobliskiemu urzędowi gminy Rembertów; parę lat wcześniej taka maszyna z odciskami palców drukarzy byłaby koronnym dowodem na procesie. Andrzej myślał jeszcze, by ją po kryjomu wynieść. Jeszcze raz się poderwać do lotu. Do drukowania książek już jednak nie wrócił. Wytrzymał w tym fachu i tak zaskakująco długo, biorąc pod uwagę wszystkie dzisiaj znane okoliczności. Naprawiał teraz uszkodzone maszyny, dostarczał inspiracji, szkolił ludzi – m.in. chłopców z gliwickiego wydawnictwa Wokół Nas, którzy dostali nowoczesny powielacz z Brukseli, ale nie potrafili go uruchomić⁸¹.

Na prośbę Regionu i Niezależnego Zrzeszenia Studentów wydrukował jeszcze zawiadomienie o niezależnym pochodzie 1 maja 1988 r., by za parę dni pojawić się w miejscu zbiórki – przed kościołem

⁷⁷ A. Michnik, *Nowy ewolucjonizm*, „Aneks” 1977, nr 13/14, s. 33–48; *idem*, *Nieznomny z Londynu*, Warszawa 1984. Michnik był wzorem takiej postawy wobec uwięzienia dla opisywanego tutaj kręgu osób. Jego niezłomność podczas długoletnich pobytów w zakładach karnych wzbudzała szacunek i podnosiła moralną poprzeczkę pozostałym.

⁷⁸ Listy Lecha Wałęsy (1986) i abp. Bronisława Dąbrowskiego (1986), w zbiorach prywatnych Andrzeja Górskiego.

⁷⁹ W. Grochola, *Słowa jak dynamit*, „Karta” 2006, nr 49, s. 122.

⁸⁰ Wyliczenie na podstawie zestawienia Piotra Szwajcera zamieszczonego w leksykonie *Ludzie NOWEJ...* Nie uwzględniono wydawnictw ciągłych.

⁸¹ Relacje: Rafała Budnika, 30 I 2008, Andrzeja Górskiego i Macieja Radziwiłła, w zbiorach autora.

Stanisława Kostki na Żoliborzu – i znaleźć się w środku wydarzeń. Zza kościelnego płotu kamera zachodniej telewizji uchwyciła moment wiecu po mszy świętej; w pierwszym rzędzie Andrzej Górski i Adam Michnik pod transparentem NZS (właśnie trwał strajk na Uniwersytecie Warszawskim)⁸². Z tyłu za nami niewidoczny Emil Broniarek – dopowiada Górski. Przemawiał Seweryn Jaworski. Manifestacja miała przeistoczyć się w niezależny pochód, ale została zatrzymana przez milicję zaraz po wyjściu na ulicę Krasińskiego. Ludzie usiedli. Kilka minut później ZOMO zaczęło rozpraszać zgromadzenie. Michnika i Górskiego udało się przeciągnąć przez płot z powrotem na teren kościoła, gdzie siły porządkowe nie odważyły się interweniować.

Doświadczenie nowego świata

Czas biegł nieubłaganie. Andrzej Górski miał wówczas 38 lat i pozostawał wciąż bez pracy, jeżeli nie liczyć fikcyjnego zatrudnienia (od grudnia 1983 r.) na stanowisku prywatnego sekretarza Andrzeja Brauna, znanego pisarza. Zdrowie zresztą już mocno szwankowało, wyczerpywała się zdolność do regeneracji sił. „Byłem rozbity, znerwicowany. Nie mogłem dojść do siebie po więzieniu, po głodówce. Czuję, że zaraz zwariuję” – opowiada. Z pomocą najpierw przyszedł Mirosław Chojecki, który zorganizował dla Andrzeja i Barbary zaproszenie do rodzin francuskich, sposób pomocy popularny w kręgach ludzi przejmujących się losem Polski. Policja jednak odmawiała paszportu – dlatego że w grudniu 1987 r. awansowała Janusza na agenta wywiadu; miał on odegrać rolę podpory konspiracji przed emigracją solidarnościową w Paryżu⁸³.

Andrzej pisał coraz bardziej stanowcze zażalenia do MSW. W odpowiedzi dostawał jedynie propozycję spotkania na gruncie towarzyskim, w kasynie oficer-

skim, co odebrał jako próbę skompromitowania go (do rozmów nie doszło). Dobrze rozpoznał tę intrygę. MSW zamierzało posłużyć się sprawą paszportu w celu – jak to określono – „wymanewrowania” Górskiego⁸⁴. Parę miesięcy później niespodziewanie władze poszły na ustępstwa – przełożeni kpt. Szeniańskiego ocenili zapewne, że dalsza blokada Andrzeja rzutuje negatywnie na szanse Janusza. Może też upatrywali korzyści w ponownym spotkaniu braci za granicą. Andrzej Górski pojechał do Monachium. Strona niemiecka składała propozycje już wcześniej, ale zaabsorbowany konspirowaniem Andrzej nie brał ich przez długi czas pod uwagę. Pracownik ambasady Kopf oferował jemu i Emilowi Broniarkowi wizę, azyl, a nawet obywatelstwo w Republice Federalnej Niemiec. Gdy więc Górski zgłosił się z paszportem, wizę otrzymał bez problemów. Nie musiał stać w długiej kolejce petentów przed konsulem⁸⁵.

Miesiąc w Niemczech upłynął mu na nawiązywaniu kontaktów ze środowiskiem polskiej sekcji RWE; zajął się zakupem materiałów poligraficznych dla kolegów w kraju. Przysyłał je na adres babci Barbary Moćko, która była starszą, schorowaną kobietą, niepodjętą o działalność podziemną. Większe rzeczy miały podróżować w obudowie sprzętu AGD. Powielacz włożono do pralki. Przewieziono tak schowaną maszynę do Wiednia, stąd pojechała w pociągu Chopin, dla bezpieczeństwa załadowana do radzieckiego wagonu sypialnego (część składu jechała do Moskwy). Radziecki personel dostał „wziątek”, miał oddać pakunek w Warszawie, ale przesyłka zaginęła w tajemniczych okolicznościach.

Górski zobaczył się wtedy również z Chojeckim, który do niego przyjechał z Paryża. Jeszcze w tym samym roku wraz z żoną udali się małuchem do niego do Francji⁸⁶. Andrzej miał się leczyć u księży pallotynów w Paryżu, ale nie zdecydował się zostać na dłużej.

⁸² *Pierwsze kroki – dokument o NZS*, reż. Tomasz Ziemiński, 2010.

⁸³ Relacja Andrzeja Górskiego.

⁸⁴ AIPN, 00334/848, t. 3, Teczka pracy TW „Kaktusa”, Doniesienie, 24 XI 1987.

⁸⁵ Relacja Andrzeja Górskiego.

⁸⁶ W tym samym okresie z zaproszenia do Paryża skorzystał również Emil Broniarek, który nie zaprzestał drukować dla NOW-iej po wyjściu z więzienia (1986) i borykał się z problemami paszportowymi (relacja Emila Broniarka, 27 IV 2013, w zbiorach autora).

Klimat wokół niego sprzyjał demobilizacji. Pojawiały się wciąż nowe pokusy wyjazdowe. Od paru lat utrzymywał w Warszawie kontakt z attaché kulturalnym ambasady Stanów Zjednoczonych. Przynosił mu publikacje podziemne, którymi tamten zdawał się być żywo zainteresowany. Mieli ustalony sposób porozumiewania się. Ich znajomość spowijała wówczas aura tajemnicy. Pracownicy ambasady byli śledzeni, a rozmowy z nimi mogły zostać uznane przez władze za szpiegostwo. Gdy u schyłku komunizmu osłabła zimnowojenna atmosfera, Górski przychodził do attachatu. Dyplomata wystawił mu promesę wizy, na wypadek gdyby się zdecydował na Stany Zjednoczone. Rekomendował go Amerykanom również Czesław Bielecki, wpływowy kolega z podziemia. W ambasadzie Górski zaczął być traktowany z pewnymi honorami. Wchodził frontowym wejściem od Alei Ujazdowskich, został przyjęty przez konsula⁸⁷.

W 1989 r. znów dostał paszport – SB już nie próbowała go izolować i dyskredytować. Z kalkulacji szans i możliwości końca 1989 r. wynikało, że najlepszym wyjściem będzie emigracja. Podziemie nie miało już przyszłości, perspektywy ułożenia sobie życia „na powierzchni” wyglądały dość skromnie. Przed nim opuściło kraj parę osób z jego otoczenia, w tym brat Janusz. W Stanach przebywał od paru lat jego przyjaciel Paweł Bąkowski, przysłał zaproszenie. Górski nie jechał więc zupełnie w nieznane. Tak nakręcała się ta emigracyjna spirala – jedyni wyciągali drugich. Wyjechał w grudniu 1989 r. jako jeden z ostatnich solidarnościowych emigrantów. Miał pojechać tylko na leczenie, zgodził się nie bez oporów. „Moi znajomi wsadzili mnie niemal siłą do tego samolotu” – odtwarza po latach. Na lotnisku w Chicago czekał Broniarek. Obaj zamieszkali w Chicago.

Górski nie znał języka, nigdy wcześniej nie przebywał za oceanem. Podjął się nieprzewidywalnej wyprawy, gotowość do zmagania się z trudnościami miał jednak we krwi. Amerykanie odnosili się do ta-

kich postaci pozytywnie. Oficer emigracyjny, Polak z pochodzenia, rozmawiał z nim po polsku, badał go i sprawdzał, ale jednocześnie wczuwał się w jego położenie, starał się ułatwić mu start. Górski miał dobry życiorys, bardzo szybko otrzymał pozwolenie na pracę. Pomógł mu również płk Bieżanowski z Kongresu Polonii Amerykańskiej, wystąpił jako tłumacz i pośrednik w staraniach o azyl przed administracją amerykańską. Miał zostać tylko rok, został siedem lat. „Ten wyjazd po części uratował mi życie” – mówi. Ale zaraz dodaje: „niestety przez ten czas rozpadło się moje małżeństwo, moja rodzina”.

Podjął legalną pracę w firmie remontowej, następnie w polsko-amerykańskiej drukarni, ale okazało się, że nie bardzo się nadaje – sprzęt był zbyt nowoczesny, doświadczenia konspiracyjnej poligrafii na niewiele się zdały. Pracowały tam maszyny czterokolorowe. Farbę mieszały specjalne urządzenia. Amerykańscy drukarze wręcz nie mogli uwierzyć, że on w Polsce dobierał kolor na wyczucie. Drukarnia Questar przy Chicago Avenue, w której pracował kilka lat, dostawała intratne zlecenia z Pentagonu. Wykonywano ulotki i broszurki dla żołnierzy amerykańskich w Iraku (toczyła się wówczas wojna o Kuwejt). Drukowano również mapy dla rządu. Znów mógł poczuć się jak na zapleczu frontu. Pracował „na bandrach” (ang. *bindery*, czyli intrologatornia). „Piękne miasto, lubiłem jeździć do centrum Chicago” – wspomina. Nie potrafił jednak zakorzenić się w nowym świecie. Jedną nogą wciąż tkwił w kraju⁸⁸.

Podobnie ułożyły się losy Emila Broniarka. Wyjechał, by zarobić wreszcie na mieszkanie, ułożyć sobie życie – jak opowiadał na początku lat dziewięćdziesiątych Marianowi Terleckiemu. Konfrontacja amerykańskich marzeń z twardą rzeczywistością okazała się jednak dość trudna. Zaczynał w drukarni, o jakiej w kraju mógłby tylko marzyć. Nowoczesne maszyny, higiena pracy, żadnego zagrożenia ze strony policji. Pożegnał się jednak z zawodem drukarza po zaled-

⁸⁷ Relacja Andrzeja Górskiego.

⁸⁸ *Ibidem*.

wie dwóch tygodniach. „Nie wiem, coś się zmieniło. Tu książki zabierali mi spod ręki, tam bolały mnie plecy, bolało mnie wszystko”⁸⁹. Zniknęła ta cudowna otoczka, emocje konspiracji, entuzjazm otoczenia. Skończył się mit, zaczęła się bezbarwna codzienność.

Potem najął się do remontów. Ciężka fizyczna praca przy wymianie dachów po dziesięć godzin dziennie wyczerpywała siły, upragnione szczęśliwe i dostatnie życie przybliżało się powoli. Gdy odwiedził go w Chicago Marian Terlecki, kolega z więzienia, Broniarek nie wyglądał na zachwyconego Ameryką⁹⁰. Po latach jednak dodaje: „w Chicago nawet w banku można było znaleźć kogoś, kto mówi po polsku; prawo jazdy można było zdawać po polsku, łatwiej było założyć firmę, tanie było życie”⁹¹. Żyli z żoną w polskim otoczeniu. Mieszkali w trzypokojowym mieszkaniu z osobną kuchnią, mieli samochód osobowy i drugi do pracy. Warunki materialne mogłyby przemawiać za pozostaniem w Stanach, postanowili jednak wrócić do kraju.

W latach osiemdziesiątych Janusz, jak wielu Polaków, też myślał o dorobieniu się na Zachodzie. Być może obietnica wyjazdu zagranicznego była jednym z powodów, które trzymały go wciąż przy SB. Liczył się też z ryzykiem dekonspiracji i szukał sposobów ucieczki przed ewentualną zemstą „ferajny z Żoliborza”. Ten strach prawdopodobnie zostawił ślad w aktach; w styczniu 1985 r. prosił – ponownie – swojego opiekuna z SB o pomoc w uzyskaniu zaproszenia do Francji. Policja próbowała uruchomić na szlaku emigracja – kraj punkt przesyłowy w motelu Mak w Nadarzynie, gdzie w 1984 r. „Kaktus” pracował jako kelner i dostawca⁹². Sytuacja operacyjna pierwszej połowy 1985 r. układała się pomyślnie. Działania Janusza nabierały rumieńców, źródło „ma tendencje rozwo-

jowe” – konstatował por. Talbierz nadzorujący sprawę z ramienia Wydziału III SUSW⁹³.

Pod koniec 1984 r. esbecy reżyserzy nakreślili nawet scenariusz wyjazdu „Kaktusa” do Francji z Magdą Chojecką lub Przemysławem Cieślakiem. Po zaprotęgowaniu u Mirosława Chojeckiego Janusz miałby wcielić się w rolę stewarda wagonów sypialnych PKP na trasie paryskiej i kursować regularnie jako kurier podziemia. Te i inne plany Komendy Stołecznej niespodziewanie popsuły kłopoty zdrowotno-dyscyplinarne inspektora Szeniawskiego. Ów samodzielny i uzdolniony oficer, nagrodzony bezpłatnymi wczasami rodzinnymi w Bułgarii i zaszczytnym tytułem najlepszego pracownika SB w Warszawie (1982), został w lipcu 1985 r. przytępiany na jeździe samochodem po pijanemu w centrum stolicy (2,1 promila alkoholu we krwi). Otrzymał wówczas naganę z wpisaniem do akt, niedługo później trafił do szpitala, gdzie przeżył ciężką operację neurologiczną⁹⁴. Na rok stracił kontakt z „Kaktusem”.

Janusz – jak się zdaje – w obawie o swoje bezpieczeństwo nie zgodził się wtedy na rozmowy z innym funkcjonariuszem. Do efektywnej współpracy powrócił po namowach Szeniawskiego dopiero w lipcu 1987 r., ale jego możliwości były już mniejsze. Na dodatek w 1986 r. rekonwalescent Szeniawski znów podpadł przełożonym – zgubił legitymację służbową. W MSW patrzono na jego zachowanie z coraz większym niepokojem. W 1988 r. po raz kolejny zapodział legitymację i nie potrafił wyjaśnić okoliczności tego faktu. Uskarżał się na chwilowe utraty świadomości, nadpobudliwość, napady padaczkowe – pamiętka po przebytej operacji. Nie pomogła kolejna nagana i rozmowy wychowawcze. Ze względu na pogarszający się stan zdrowia został w lutym 1989 r.

⁸⁹ Wypowiedź Emila Broniarka [w:] Ł. Bertram, *Obieg NOW-ej...*

⁹⁰ Krótki reportaż filmowy Mariana Terleckiego na temat Emila Broniarka i Roman Witkowskiego, nakręcony w latach dziewięćdziesiątych w Stanach Zjednoczonych. Broniarek wyjechał w lutym 1989 r.

⁹¹ Relacja Emila Broniarka, 27 IV 2013, w zbiorach autora.

⁹² AIPN, 00334/848, t. 2, Teczka pracy TW „Kaktusa”, Plan wykorzystania TW w rozpracowaniu Tomasza Michalaka, 17 VIII 1984.

⁹³ *Ibidem*, t. 3, Notatka, 23 III 1985.

⁹⁴ AIPN, 0968/145, Akta osobowe Marka Szeniawskiego.

zwolniony z aparatu bezpieczeństwa i przeniesiony na rentę⁹⁵.

Janusz ostatecznie wyjechał z Polski w grudniu 1987 r. Zdawał sobie w pełni sprawę, że kolejne ruchy SB nieuchronnie doprowadzą do jego zdemaskowania, „takich konsekwencji nie zrekompensuje żadne wynagrodzenie finansowe” – tłumaczył przed odlotem Szeniawskiemu⁹⁶. W kraju jego możliwości się wyczerpywały. Zmiana otoczenia wydawała się udanym posunięciem. Chyba poczuł się wreszcie wyróżniony – na pożegnanie dostał od Wydziału III butelkę brandy⁹⁷; stał się teraz nowym nabytkiem wywiadu PRL. Podawał się za solidarnościowego emigranta, co zresztą nie było zupełnie bezpodstawne, jako że w 1980 r. należał do grupy założycielskiej Solidarności w Społem. Miał zdobyć zaufanie Chojeckiego w Paryżu. Nie wiemy, czy udało się go zaktywizować wywiadowczo na nowym gruncie. Ostatni jego kontakt – telefon z Francji – ze stołeczną SB odnotowano w styczniu 1988 r.

Pomysł przerzucenia fałszywego opozycjonisty do kontrolowania poczynąń emigracji miał swoje wcześniejsze precedensy (sprawa wystanego do Szwecji w 1984 r. Jarostawa Dziuby⁹⁸), ale wówczas niewiele z tego wyszło w sensie szpiegowskim. Misja Janusza wyglądała na nagrodę za wieloletnie dobre sprawowanie, mogły za nią stać również rachuby na założenie policyjnej obroży środowisku paryskiego „Kontaktu”. Janusz przezornie zabrał z kraju całą paczkę zaświadczeń i rekomendacji, swojego rodzaju *dossier* własnych zasług. Służby specjalne pomogły mu zdobyć nowe życie, daleko od ludzi, których zdradził. Dzięki pomocy Chojeckiego i poręczeniu Broniarka dostał azyl, osiadł w podparyskim Melun. Pracował

jako zaopatrzeniowiec piekarni, wczesnym rankiem dostarczał do Paryża worki z mąką na francuskie bagietki⁹⁹. W sumie znalazł się w nie najgorszej sytuacji. Pozostaje w oddaleniu od swojej niechlubnej przeszłości, nie zależy od opinii dawnych kolegów.

Być może Janusz był bardziej zdeterminowany do pozostania na obczyźnie ze względu na haczyk w życiorysie. Po powrocie ze Stanów Andrzej poczuł się osamotniony – dopadła go ta dobrze znana w historii trudność powrotu do zwykłego życia po zakończonej wojnie. W kraju sporo się zmieniło, NOW-a się rozsypała, teraz każdy szedł swoją drogą, choć nie do końca. Dzięki pomocy Macieja Radziwiła Andrzej znalazł zatrudnienie jako menedżer, dostawca w restauracji, potem bez większych sukcesów próbował swoich sił w branży usługowo-budowlanej. Nowa Polska doceniła ich symbolicznie – dostali medal Zasłużony Działacz Kultury, potem wysokie odznaczenia państwowe z rąk prezydenta RP. Odbывают się historyczne dyskusje i spotkania rocznicowe, pojawiło się kilka filmów i publikacji.

Andrzej widywał się jeszcze sporadycznie z Januszem podczas jego krótkich pobytów w kraju, próbował go namówić do skruchy, jakiegoś aktu odwagi cywilnej. Przyniósł mu dokumenty z Instytutu Pamięci Narodowej, które niespodziewanie w jego rękach stały się rachunkiem krzywd wystawionym na nazwisko byłego kelnera. Rozmawiali w kawiarni Hawana na Żoliborzu. Janusz opowiadał, jak spotykał się na stopnie towarzyskiej z kpt. Szeniawskim jeszcze w latach dziewięćdziesiątych. Alkoholowe rozmowy operacyjne w restauracjach i pokojach hotelowych przypuszczalnie zbliżyły ich do siebie. Emerytowany esbek miał pracować później w branży ochroniarskiej,

⁹⁵ *Ibidem*.

⁹⁶ AIPN, 00334/848, t. 3, Teczka pracy TW „Kaktusa”, Doniesienie, 24 XI 1987.

⁹⁷ AIPN, 001134/4008/Jacket, Teczka personalna TW „Kaktusa”, s. 96.

⁹⁸ Dziuba od 1981 r. należał do grona współpracowników NOW-ej. Był już wówczas związany długotrwałą współpracą z MSW – jako „agent kadrowy N” w Kościele katolickim. Zaczynał w 1969 r. w duszpasterstwie akademickim we Wrocławiu, w drugiej połowie lat siedemdziesiątych odbywał nowicjat u dominikanów w Poznaniu i Krakowie; SB liczyła na to, że zostanie wysłany do Watykanu. Po przymusowej sekularyzacji (okazało się, że urodziło mu się dziecko) zdołał wniknąć do NOW-ej, gdzie przysłużył się SB latem 1982, podczas aresztowania i zdekonspirowania Tomasza Boczyńskiego, kasjera oficyny. Wówczas jednak w NOW-ej nabrano do niego podejrzeń i – jak się zdaje – aktywniejszej roli już nie odegrał (AIPN, 01914/36/1-3/CD/2, Sprawa kryptonim „Jote”).

⁹⁹ Relacja Andrzeja Górskiego.

mieszkał na warszawskiej Woli, przyjmował go nawet w domu. Janusz pod naciskiem przyznał się do winy, przeproszał niektórych dawnych kolegów, tak jak wielu ludzi w jego położeniu częściowo bronił swego życiorysu. Obwiniął Andrzeja, że w czasie konspirowania zaniedbał dom i chorego ojca.

* * *

Zimą 2013 r. zanurzaliśmy się razem z Andrzejem w przeszłość ze zdwojoną intensywnością. Patrzyłem wtedy na jego zmagania – dawne z komunizmem i nowe z pamięcią o tamtej walce – jako na wartość samą w sobie. Wyrył piętno w pamięci swojego otoczenia, przetrwał tyle lat jako drukarz społeczny w dość opresyjnym środowisku PRL, a teraz nie boi się swobodnie komentować niełatwej przecież rodzinnej historii. Z biegiem czasu prawda o przeszłości zdaje się mieć dla niego większe znaczenie niż teraźniejszość.

Odszukuje znajomych, zbiera pamiątki, lokalizuje punkty, odtwarza ścieżki swojej konspiracji. Pobudza ludzi wokół siebie do refleksji o tamtych czasach.

Swoimi opowieściami wzmacnia skrzydło w historiografii, które kładzie nacisk na rolę jednostki w historii i zarazem dystansuje się nieco od źródeł policyjnych, w ogóle nie przywiązuje wielkiej wagi do badania struktur władzy i jej hegemonii nad społeczeństwem. W tej perspektywie nie jest tak ważne, czy przygody naszych bohaterów zostały zarejestrowane przez aparat administracyjny w jego rozlicznych kartotekach – spalonych czy ocalałych. Istotny jest sam człowiek opozycji, jego opowieść. A inspektor, który przy biurku zapełniał teczki, stanowi tu raczej tło. Akcent pada na prywatny wymiar zaangażowania, niezdominowanego przez sztukę rządzenia. Andrzej Górski należał do najbardziej ideowej formacji polskiego społeczeństwa. Wielu lepszych ludzi wówczas nie mieliśmy.

Publikacje niezależne wydrukowane z udziałem Andrzeja Górskiego

Niezależna Oficyna Wydawnicza

1. Abdurachman Awtorchanow – *Zagadka śmierci Stalina. (Spisek Berii)* (1981)
2. Borys Bażanow – *Byłem sekretarzem Stalina* (Biblioteka Kwartalnika Politycznego „Krytyka”, 1985)
3. *Berlin 1953* (Biblioteka „Krytyki”, 1987)
4. John Berman – *Saga o Raoulu Wallenbergu* (Biblioteka „Krytyki”, 1987)
5. Adina Blady-Szwajger – *Szpital w getcie* („Zeszyty Niezależnej Myśli Lekarskiej”, 1986)
6. Kazimierz Brandys – *Nierzeczywistość* (wyd. III, 1981)
7. Kazimierz Brandys – *Miesiące 1980-1981* (1987)
8. Marian Brandys – *Z dwóch stron drzwi* (1982)
9. Ryszard Bugajski – *Przestuchanie* (1983)

10. Ryszard Bugajski – *Przyznaję się do winy* (1984)
11. Jürgen Fuchs – *Protokoły przestuchań* (1985)
12. Witold Gombrowicz – *Trans-Atlantyk* (1981)
13. Gustaw Herling-Grudziński – *Dziennik pisany nocą 1973-1979*, t. 1-2 (1983)
14. Gustaw Herling-Grudziński – *Inny świat* (1980)
15. Janina Jankowska – *Bez mikrofonu* (1986)
16. Karl Jaspers – *Problem winy* (Biblioteka „Krytyki”, 1982)
17. Tomasz Jastrun – *Życie Anny Walentynowicz* (1985)
18. Andrzej Kelles – *Węgry 1956* (1981)
19. *Kobieta polska lat osiemdziesiątych* (Społeczna Komisja Zdrowia, 1988)
20. *Kochany księżu Jurku... Listy do księdza Jerzego Popiełuszki* (1985)
21. „Kultura” – *szkice, opowiadania, sprawozdania. Wybór z roczników 1979-1980* (1981)
22. „Kultura” – *szkice, opowiadania, sprawozdania. Wybór z roczników 1981-1982* (1984)

23. Jacek Kuroń – *Zło, które czynię* (Biblioteka „Krytyki”, 1984)
24. Marek Łatyński – *Wariacje na temat Jaruzelskiego* (1987)
25. Adam Michnik – *Kościół, lewica, dialog* (Biblioteka „Krytyki”, 1983)
26. Adam Michnik – *Niezlomny z Londynu i inne eseje (lektury więzienne)* (Biblioteka „Krytyki”, 1984)
27. Czesław Miłosz – *Zdobycie władzy* (1980)
28. Czesław Miłosz – *Zniewolony umysł* (1981)
29. Czesław Miłosz, Tomas Venclova – *Dialog o Wilnie* (1981)
30. Igor Newerly – *Zostało z uczty bogów* (1986)
31. Marek Nowakowski – *Raport o stanie wojennym* (1982)
32. *Obywatel a Służba Bezpieczeństwa* (1981)
33. Karl Popper – *Społeczeństwo otwarte i jego wro-gowie*, t. 1–2 (Biblioteka „Krytyki”, 1987)
34. Stanisław Rembek – *W polu*, t. 1–2 (1982)
35. Aleksander Sołżenicyn – *Jeden dzień Iwana Denisowicza* (1980)
36. Wiktor Suworow – *Żołnierze wolności* (1985)
37. Leopold Tyrmand – *Dziennik 1954* (1984)
38. Kurt Vonnegut jr. – *Matka noc* (1984)
39. Zespół 3x5 – *Sprawozdanie z akcji 3x5 w woje-wództwie stołecznym warszawskim* (1984)
40. *Czarna księga cenzury PRL* (1981)
41. Stefan Żeromski – *Na probostwie w Wyszku* (wyd. II wspólnie z Regionem Mazowsze NSZZ Solidarność, 1981)
42. Stanisław Barańczak – *Wiersze prawie zebrane* (1981; 150 pozycja NOW-ej)
43. Czesław Miłosz – *Światło dzienne* (1980)
44. Georgij Władimow – *Niech się pan nie przejmuj-e, Maestro. Opowiadanie dla Heinricha Bölla* (1985)
45. Jacek Fedorowicz, Marek Owsiniński – *Solidarność – pierwsze 500 dni* (1983)
46. Eugeniusz Zamiatin – *My* (1985)

Czasopisma

„Tygodnik Mazowsze”, nr 2–52 i potem z przerwami do nr 227
 „Zeszyty Niezależnej Myśli Lekarskiej”, nr 10–24
 „Krytyka”, nr 12
 „Most” 1/85, 2/85 i 4/85

Kooperatywa Wydawnicza Feniks

1. Aleksander Weissberg-Cybulski – *Wielka czystka* (1984)
2. Georgij Władimow – *Wierny Rusłan* (1984)
3. Władimir Bukowski – *I powraca wiatr...* (1984)
4. Alain Besançon – *Krótki kurs sowietologii na uży-tek władz cywilnych, wojskowych i kościelnych* (1984)
5. Władysław Bieńkowski – *Polskiego dramatu ciąg dalszy* (1984)

Nie, nie uważamy bynajmniej, że wszyscy Niemcy albo większość Niemców żywi gwałtowną tęsknotę za powrotem reżimu hitlerowskiego i wszystkie swoje ideały lokuje w trzeciej wojnie światowej¹.

Nie, nie jesteśmy zdania, że młodzież niemiecka ma ponosić obecnie kary za zbrodnie policji i armii hitlerowskiej.

Owszem, wiadomo nam o tym, że żadna poważna gazeta niemiecka nie zechce sławić ustroju nazistowskiego ani głosić kultu Himmlera.

Krótko mówiąc, wiadomo nam o tym, że w Niemczech „się” potępia hitleryzm; wiadomo nam również, że nic łatwiejszego jak te potępienia. Czy więc o to mamy pretensje, że „się” hitleryzm potępia niedostatecznie, że się toleruje organizacje byłych nazistów, które mogły kiedyś, za pomocą chytrego spisku, zdobyć władzę polityczną i restaurować Trzecią Rzeszę w pełnym jej blasku?

Prawdę mówiąc, wydaje się, że tępienie byłych hitlerowców wynika raczej z potrzeby moralnej niż politycznej. Jestem gotów przypuszczać, że ci, którzy dziś od czasu do czasu w Niemczech czy gdziekolwiek indziej malują swastyki na murach, nie są naprawdę groźni jako pretendenci do władzy nad światem. Sama okoliczność, że posługują się tą samą symboliką, że uważają się za sukcesorów nazizmu pojętego dosłownie, świadczy o tym, że mają oni tylko jedną propozycję do zgłoszenia: aby czas cofnął się o dwadzieścia lat wstecz. Z tego punktu widzenia mogą wydawać się niegroźni: trudno uwierzyć, aby po prostu stara kadra hitlerowska, ze swastyką na opaskach i z literalnie przejętym programem *Mein Kampf*, mogła dojść do władzy. Każdy, choćby najdoszczętniej rozbitý reżim, zostawia zawsze pewną ilość ślepych i tępych fanatyków, którzy nawet przez wiele pokoleń mogą

¹ Artykuł został zakwestionowany przez cenzurę w piśmie „Polskie Perspektywy” (1961, nr 5), wydawanym w trzech językach dla czytelników zagranicznych. Tekst zamieszczono w wewnętrznym biuletynie Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk „Sygnały”. W archiwum Instytutu Pamięi Narodowej Oddział w Szczecinie (sygnatura 204/503/6, 10 IV 1961, k. 84–88) odnalazł go Filip Przytułski, któremu redakcja „Wolności i Solidarności” dziękuje za nadestanie materiału.

hodować chimeryczne nadzieje na powrót swojego złotego wieku. Dziś jeszcze można tu i ówdzie zobaczyć w Paryżu plakaty z dwugłowym orłem carskim i z apelami o przywrócenie w Rosji dobrych porządków sprzed 1917 r. Do niedawna żyła w Ameryce bazyliissa Bizancjum, wierząca święcie w odrodzenie pięknego imperium Paleologów, rozbitego przez Turków przed pięcioma wiekami.

Właśnie do tego miejsca wszystko wydaje się niezawile. Przynajmniej niezawile wydaje się tym, do których można by skierować sformułowane wyżej odpowiedzi – młodym Niemcom, którzy zachowali z hitleryzmu parę niejasnych wspomnień z dzieciństwa i bynajmniej nie doświadczają potrzeby jego odnowy. Tym właśnie mamy do powiedzenia parę słów, które podsuwa nam casus Eichmanna. Przypadek na pozór banalny, bo i cóż mamy do powiedzenia o najdoskonalszym wcieleniu systemu, który pozostawił nam pamięć o dzieciach żydowskich zadeptywanych butami i duszonych w komorach gazowych, o jeńcach radzieckich zakopywanych żywcem w ziemi, o polskich więźniach obdzieranych ze skóry w piwnicach gestapo? Cokolwiek się powie, będzie to zawsze stokrót mniej wymowne od każdego poszczególnego faktu, a miliony faktów są znane powszechnie, pokazane, sfotografowane, opisane, upamiętnione... A skoro jednocześnie nie grozi nam, że duch Hitlera wstanie z oplutego grobu, żeby gromadzić swoich niedobitych wyznawców, o czymże jeszcze mamy właściwie mówić?

A jednak sądzimy, że o hitleryzmie zawsze to i owo pozostaje do powiedzenia. Nie dlatego, że żyją miliony ludzi, które doświadczyły jego ukąszeń na własnej skórze, i nawet nie dlatego, że żyje również pewna ilość ludzkich resztek z tego systemu, których chętnie zaprosilibyśmy na szubienicę. Po prostu dlatego, że realnie groźnym echem hitleryzmu nie są byli esesmani; najgroźniejsza jest powszechność tych, którzy załatwili wszystkie sprawy Trzeciej Rzeszy skromnym powiedzeniem: Hitler był wariatem i zbrodniarzem. Tak to rozprawiliśmy się z wszystkimi problemami. A co do pomocników obłąkanego dyktatora? No cóż, niektórzy byli zbrodniarzami, ci w znacznej części

ponieśli karę, inni byli po prostu żołnierzami i spełniali rozkazy, jak żołnierzom przystoi. Inni jeszcze uwierzyli w fałszywą doktrynę i postępowali zgodnie z sumieniem, a wszakże zgodność z sumieniem jest najlepszym kryterium moralnej oceny. Inni jeszcze przejrżeli i zbuntowali się, nieskutecznie niestety, przeciw tyranowi – dzielni bohaterowie 28 lipca, zamęczeni przez krwawego despotę.

Staram się odtworzyć sposób myślenia, który wydaje mi się najbardziej powszechny w Zachodnich Niemczech, i który ma te zalety, że zwalnia raz na zawsze od wszystkich kłopotliwych pytań, jakie mogłaby jeszcze nasuwać epoka zamknięta przed laty szesnastu. A przecież właśnie w tej metodzie kryją się wszystkie najgroźniejsze fikcje i absurdy moralne, które dają oparcie zbrodniarzom.

Jakże to? Najpierw popełniamy po prostu omyłkę, zwykły błąd, który każdemu może się zdarzyć – dajemy się przekonać pewnej fałszywej teorii, wskutek czego w zgodzie z sumieniem oddajemy władzę Hitlerowi w demokratycznych wyborach. Następnie wybory demokratyczne się kończą, ale władza pozostaje; jesteśmy żołnierzami, którzy mają obowiązek wypełnić rozkazy zwierzchnika. Wypełniamy tedy rozkazy, jednakże przegrywamy. Dyktator strzela sobie w łeb, a my wracamy do domu; ogłaszamy dyktatora wariatem i w zgodzie z sumieniem potępiamy jego wyczyny. Zostawiamy za sobą kilkadziesiąt milionów trupów, parę zrujnowanych krajów i honor nietknięty. Oto dwunastoletnie dzieje Trzeciej Rzeszy od strony moralnej.

A co do omyłki pierwotnej? Ostatecznie, czy trudno było o nieporozumienie? W maju 1935 r. mówił Hitler w Reichstagu: „Niemcy narodowosocjalistyczne pragną pokoju w wyniku swoich najgłębszych przekonań światopoglądowych”. A co do ustaw norymberskich – nie zawierały one przecież żadnego programu eksterminacji Żydów, zakładały po prostu pewną teorię dotyczącą różnicy między rasami, teoria okazała się fałszywa, ale trudno winić kogoś o to, że w dobrej wierze akceptuje błędne poglądy teoretyczne. Potem wyszło wprawdzie na jaw, że teoria ta prowadzi do pewnych niemiłych konsekwencji praktycznych. Ale

wtedy właśnie byliśmy żołnierzami – w szerokim rozumieniu tego słowa. Oto intelektualna strona tejże dwunastoletniej historii.

Teraz już łatwiej wyjaśnić, dlaczego casus Eichmanna może być nadal godny uwagi. Po prostu dlatego, że chociaż mało kto zechce go brać w obronę bezpośrednią, to jednak bronią go jawnie wszystkie przytoczone sposoby myślenia, demaskując tym samym złowrogi idiotyzm popularnych schematów i pojęć moralnych nader pospolitych i nader zakorzenionych w świecie, i bynajmniej nie wymyślonych przez reżim hitlerowski, ale od wieków utrwalonych w europejskiej kulturze.

Po pierwsze, pojęcie działania na rozkaz, które zwalnia żołnierza od odpowiedzialności. Konsekwentne posługiwanie się tym pojęciem prowadzi najoczywściej do wniosku, że za historię Niemiec nazistowskich winę ponosi jeden człowiek: Adolf Hitler. Wszyscy pozostali byli wykonawcami rozkazów; Karl Adolf Eichmann był tylko Obersturmbannführerem SS i kierownikiem jednego z wydziałów gestapo. Był żołnierzem. Jeżeli jakkolwiek żołnierz na świecie jest zwolniony od odpowiedzialności za zbrodnię z tej racji, że popełnił zbrodnię z rozkazu, to Karl Adolf Eichmann jest od odpowiedzialności zwolniony.

Po wtóre, pojęcie dobrej wiary, które również zwalnia od odpowiedzialności. Konsekwentne posługiwanie się tym pojęciem każe z kolei również Adolfa Hitlera zwolnić od odpowiedzialności, nie mamy powodu przypuszczać, że działał on niezgodnie z własnym przeświadczeniem o tym, co słuszne lub niesłuszne, albo że nie był konsekwentny w czynach wobec systemu wartości, który przyjął. Jeżeli ktokolwiek na świecie jest zwolniony od odpowiedzialności za zbrodnię z tej racji, że działał w dobrej wierze lub zgodnie z sumieniem, to Karl Adolf Eichmann jest od odpowiedzialności zwolniony.

Po trzecie, pojęcie honoru, zawiera ono w sobie wierność raz przyjętym zobowiązaniom – choćby najbardziej haniebnym. Ta cnota rzymska również potrafi usprawiedliwić wszystko, co się zechce. Jeżeli ktokolwiek jest zwolniony od odpowiedzialności

z tej racji, że działał, kierując się poczuciem honoru, to Karl Adolf Eichmann jest od odpowiedzialności zwolniony.

Powiedzmy tedy bez wykretów: byli esesmani i gestapowcy nie muszą się powoływać na słuszność nazistowskiej doktryny, aby się bronić przed sądem, mogą się powoływać na obfity zasób tradycji związanych z absurdalną moralnością, która niekiedy bywa traktowana jako nasze cenne kulturalne dziedzictwo.

Jeżeli bowiem tak pojęta odpowiedzialność żołnierska, zgodność czynów z przekonaniami albo poczucie wojskowego honoru stają się wartościami, którym inne wartości należy podporządkować – każdy hitlerowski oprawca może się powoływać na tradycję ładu ustanowionego w duchu takiej właśnie moralności. Kiedy więc wieszamy hitlerowskich oprawców, wieszajmy ich ze świadomością, że ład ten się skończył, że w dziejach Trzeciej Rzeszy zademonstrował wreszcie bez reszty swój ponury idiotyzm.

Po czwarte wreszcie, mamy pojęcie systemu, który wychowuje zbrodniarzy i bierze przeto odpowiedzialność za ich czyny. „Tak nas wychowano, taki był system” – oto stereotyp, który także niejedno pozwala usprawiedliwić. Anonimowy system łatwo oskarżać, przy czym okazuje się, że jego anonimowość jest kompletna: każdy poszczególny zbrodniarz jest tylko produktem systemu i w każdej poszczególniej zbrodni system jest winien. Krytykując ten stereotyp, nie chcemy bynajmniej powiedzieć, że ludzie nie są naprawdę uzależnieni od systemu politycznego, który ich wychowuje, że nie są do pewnego stopnia jego produktami. Pamiętajmy jednak o tym, że żaden system nie determinuje żadnej jednostki w sposób bezwzględnie nieuchronny i przemożny; system jest nie tyle zasadą produkowania ludzi, ile zasadą ich selekcionowania: dobierz sobie ludzkie narzędzia nadające się do jego mechanizmu. Gdyby warunki określały ludzi bez reszty, historia stałaby w miejscu; raz zaistniałe warunki musiałyby oswajać wszystkie jednostki ludzkie, które wobec tego byłyby do tych warunków idealnie adaptowane i nie odczuwałyby żadnej potrzeby zmiany. W rzeczywistości system wpływa na ludzkie jednostki, ale jest też przez nie

tworzony. Można opisać warunki historyczne, które zapewniły sukces partii hitlerowskiej na początku lat trzydziestych; każda jednostka poszczególna, która przyczyniła się do sukcesu, jest ze względu na to odpowiedzialna za swój wkład do budowy „nowego ładu”. Innymi słowy, żadne warunki, żaden system ani żadna doktryna nie zwalniają od odpowiedzialności poszczególnego zbrodniarza, który doznał na sobie wpływu tych warunków, tego systemu czy tej doktryny.

Casus Eichmanna nie jest niczym szczególnym w ramach powojennych rozrachunków z hitleryzmem, wyróżnia się tylko ilościowo. Casus Eichmanna pobudza nas do refleksji moralnej, nie dotyczącej specyficznie hitleryzmu – w tej sprawie bowiem z moralnego punktu widzenia nic nowego do powiedzenia nie zostaje – ale usiłującej dotrzeć do pewnej tradycji kulturalnej, z której mogą sobie budować ochronne fasady nie tylko zbrodniarze, ale i ci wszyscy, którzy twierdzą, że popełnione zbrodnie nie obciążąły ich sumienia.

Nikt na świecie nie jest usprawiedliwiony z tej racji, że działał na rozkaz lub spełniał żołnierski obowiązek.

Nikt na świecie nie jest usprawiedliwiony z tej racji, że działał zgodnie ze swoimi przekonaniem albo zgodnie z sumieniem.

Nikt na świecie nie jest usprawiedliwiony z tej racji, że kierował się w swoich czynach poczuciem honoru.

Nikt na świecie nie jest usprawiedliwiony z tej racji, że został odpowiednio urobiony i wychowany przez system polityczny albo warunki społeczne.

Koniec z rzymskimi cnotami. Koniec z kretynizmem militarnej moralności. Nie obchodzi mnie wcale, czy Karl Adolf Eichmann działał zgodnie ze swoim sumieniem. Nie obchodzi mnie, czy powodował się honorem albo obowiązkiem żołnierskim; nie obchodzi mnie, czy działał na rozkaz; nie obchodzi mnie, czy był, czy nie był produktem systemu. Karl Adolf Eichmann jest Karlem Adolfem Eichmannem, jednostką ludzką, ludobójcą i oprawcą.

Prosimy na szubienicę razem z rzymskimi cnotami.

LEPSZY ŚWIAT CIĄGLE JEST MOŻLIWY

PAWEŁ KUCZYŃSKI

JEFFREY C. GOLDFARB, *Odnova kultury politycznej. Siła kultury kontra kultura władzy*, tłum. Agata A. Lisiak, Europejskie Centrum Solidarności, Gdańsk 2012, ss. 266.

ALAIN TOURAINE, *Myśleć inaczej*, tłum. Maciej Byliniak, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2011, ss. 278.

ALAIN TOURAINE, *Po kryzysie*, tłum. Marcin Frybes, Oficyna Naukowa, Warszawa 2013, ss. 228.

W miarę czytania *Odnovy kultury politycznej* nabrałem przekonania, że autor trafił w bardzo ważny punkt naszej współczesnej historii społecznej. Zajmujemy się zazwyczaj wielką polityką lub globalizacją, a ktoś spojrział inaczej. Zwrócił się ku rzeczom małym: niewielkim kręgom społecznym, organizacjom pozarządowym, teatrom studenckim. Do tego prowadził badania w terenie i to w sposób nader rzadko praktykowany. Prowadził obserwację uczestniczącą zawsze pod własnym nazwiskiem, a nie incognito.

Swoją analizę zebranych danych Goldfarb opisał jako „mikropolitykę”. Jej bohaterami nie są osoby z pierwszych stron gazet, ale niewielkie grupy teatralne, kręgi wolontariuszy wspierających pierwszą kampanię Baracka Obamy lub koła rodzicielskie skupiające pogrążone w żałobie rodziny palestyńskie i żydowskie.

Lektura nasuwa pytanie, które – biorąc pod uwagę tytuł – wydaje się uzasadnione. Czy w analizowanych krajach rzeczywiście dochodzi do zwiastowanej odmiany kultury politycznej? Jeśli tak, to czy zmiany te są na tyle zaawansowane, aby stwierdzić ich nieodwracalność?

Miałbym problem z udzieleniem pozytywnej odpowiedzi na obydwa pytania, ale – paradoksalnie –

nie można uznać diagnozy i prognozy Goldfarba za błędną. Dlaczego? Po pierwsze, autor może się bronić i stwierdzić, że zmiany są tylko w skali mikro, a więc są właściwie niezauważalne. Po drugie, zmiany na większą skalę mamy dopiero przed sobą. Skoro tak, to postawmy inne pytanie, które nie odnosi się do skali zmian ani do etapu odmiany kultury politycznej. Zapytajmy, czy autor trafnie diagnozuje kierunek zmian.

Pytanie to ma charakter empiryczny, odnosząc się do trzech krajów, które interesują Goldfarba. Zatem czy kierunek zmian kultury politycznej w analizowanych przypadkach został trafnie uchwycony? Niestety nie uzyskamy na nie odpowiedzi. Goldfarb porównuje zebrany materiał z normatywnym modelem kultury politycznej, aby stwierdzić, że lepsza kultura polityczna, której szuka, istnieje. Odkrywa ją w wersji zminimalizowanej, ale ważne jest to, że poszukiwania okazały się owocne. Są wśród nas grupy ludzi, często niewielkie, które idą pod prąd. Goldfarb może dzięki temu wierzyć w to, w co chcielibyśmy również wierzyć: lepszy świat jest ciągle możliwy. Ktoś bardziej sceptyczny powiedziałby na to, że dzięki takim ludziom lepszy świat jeszcze istnieje.

Trzeba przyznać, że łatwo stać się sojusznikiem autora w tych poszukiwaniach. Któż w Polsce nie chciał-

by lepszej kultury politycznej. Wszakże najczęściej narzekamy na jej brak, obserwując kolejne odstony kolejnych wojen na górze. Gorzej z realną alternatywą dla tej sytuacji, choć pewne nadzieje muszą budzić niektóre organizacje pozarządowe, które działają obok lub zamiast polityki w wydaniu partyjnym¹. Czy mamy podstawy do odpowiedzi, co nam to przyniesie w przyszłości? W jakim kierunku zmierza kultura polityczna w Polsce? Ryzykowna próba prognozowania kierunku jej ewolucji musiałaby opierać się na podejściu innym aniżeli analiza mikropolityki. Gdyby Goldfarb prowadził dzisiaj w Polsce swoje badania terenowe, to nie przyznałby statusu mikropolityki rozproszonym po całym kraju lokalnym inicjatywom na rzecz budowania tu i ówdzie pomników Jana Pawła II. Nie byłby również w stanie przeprowadzić obserwacji uczestniczącej grup kibicowskich, które uważa się za zaplecze polityczne tzw. narodowców.

Chwała mu za to, że opisuje syzyfowe prace grupowe wykonywane przez zwykłych ludzi, zazwyczaj nielicznych i heroicznych. Tych, którzy robią swoje, przyciągając naszą uwagę, bo działają w dobrej wierze i w słusznej sprawie. Zasużyli na to, aby o nich pisać, ale trudno się oprzeć wrażeniu, że coś jeszcze musi się wydarzyć, aby odmiana kultury politycznej stała się faktem. Moim zdaniem takim „dopalaczem” mogą być albo działania oświeconych elit politycznych, albo ruch społeczny, który na pewno nie da się opisać jako postępowanie metodą małych kroków. Goldfarb tak naprawdę musi skonfrontować się z niewygodną dla siebie prawdą. Jeśli szuka miejsca dla obywateli jako podmiotu historii, to skazany jest na inny warsztat badawczy aniżeli ten, który stosuje. Obserwacja uczestnicząca to za mało. Jeszcze ważniejsze jest to, że musi uwzględnić ruchy społeczne, które są czymś więcej i czymś innym niż mikropolityka. Przecież nie wszystkie prowadzą do naprawiania polityki. Będą i takie, które oddalają odnowę kultury politycznej,

jakiej chciałby Goldfarb. Sam pośrednio przyznaje znaczenie ruchom społecznym, skoro na końcu książki poświęca uwagę – jak to określa – „miejscom wyrażania sprzeciwu”, czyli parkowi Zuccottiego czy placowi Tahrir. Miejscom, a nie aktorom? Można mieć wrażenie, że pomimo iż jest socjologiem, woli poświęcić uwagę scenografii, a nie dramatowi. Ma do tego prawo, tylko na czym wobec tego opiera przekonanie, że ktoś idzie w dobrym kierunku, a ktoś inny błądzi?

Uzupełnieniem podejścia Goldfarba i niezbędnym kontrapunktem jest koncepcja Alaina Touraine’a, myśliciela na wskroś oryginalnego i wartego ciągłej uwagi. Tym razem nie wystarczy tylko przypomnieć touraine’owskie pojęcie ruchu społecznego. Dlaczego? Poglądy autora badania ruchu społecznego Solidarność w 1981 r.² ewoluują. Łatwo to zauważyć, sięgając po dwie najnowsze książki Touraine’a, wydane niedawno w Polsce: *Myśleć inaczej* i *Po kryzysie*. Chcę przedstawić jego nowe spojrzenie, określając je umownym mianem „Touraine 2.0”. Lektura pracy Goldfarba skłania mnie także do postawienia tezy, że odmianianie kultury (lecz nie odmiana kultury) należy odczytywać jako sygnał zapowiadający ruch społeczny.

Obydwu autorów więcej dzieli niż łączy, choć na pierwszy rzut oka wydają się podobni. Wspólne jest im swoiste zbieractwo i łowiectwo, bo obydwa gromadzą – każdy na swój sposób – empiryczne ewidencje, pozwalające im wierzyć, że lepszy świat jest możliwy. Łączy ich także sceptycyzm wobec polityki partyjnej jako wehikułu tych zmian. Stawiają na siły społeczne, które bywają prototypem partii politycznych, choć nie zawsze nimi się stają. Badają wreszcie podobne obszary życia społecznego, skupiając się na zmianach określanych jako oddolne i spontaniczne. Analizują inicjatywy obywatelskie i ruchy protestu. Co najważniejsze, obydwa wierzą, że zmiana społeczna wyprzedza zmianę polityczną. To wszystko jednak nie wystarcza, aby wyniki ich pracy były zbieżne.

¹ Jest to jedna z konkluzji badania, które przeprowadził Zespół Analizy Ruchów Społecznych nad protestem STOP ACTA w 2012 r. Książka *Obywatele ACTA*, która ukaże się nakładem ECS, zawiera analizę wyników tego badania, zrealizowanego metodą interwencji socjologicznej. Wersja cyfrowa książki będzie dostępna na: www.zars.pl.

² Por. A. Touraine, *Analiza ruchu społecznego 1980–1981*, tłum. A. Krasieński, ECS, Gdańsk 2011.

Obserwator i uczestnik

Akcja książki *Odnova kultury politycznej* toczy się na trzech frontach poszukiwanej odnowy: w Stanach Zjednoczonych, Polsce i Izraelu, co możemy prześledzić w „empirycznych” rozdziałach II, III i IV. Ramę teoretyczną dociekań Goldfarba tworzy rozdział I – *Odnova pojęcia kultury politycznej*, gdzie znajdziemy krytyczne rozwinięcie myśli Tocqueville’a. Z kolei w dwóch ostatnich rozdziałach (V i VI) – *Siła kultury kontra kultura władzy i Od monologu do dialogu. Kultura demokratyczna a intelektualisci* – autor próbuje odnowić rolę amerykańską intelektualistę, sięgając po jego wschodnioeuropejski wzorzec.

Dla polskich czytelników publikacji – wydanej przez Europejskie Centrum Solidarności w podserii Teoria Społeczna – liczne polskie akcenty będą z pewnością ciekawe. Poza wprowadzeniem i rozdziałem II, w *Postscriptum do wydania polskiego* znajdziemy komentarz do ruchu protestu STOP ACTA, który został zainicjowany zimą 2012 r. w Polsce. Trzeba od razu uprzedzić, że polonica należą do relatywnie naj słabszych fragmentów, chociaż Goldfarb to jeden z nielicznych zagranicznych socjologów, którzy zainteresowali się Polską, zanim pojawiła się Solidarność, i do dziś podtrzymuje żywe zainteresowanie naszym krajem. Nie chce przy tym, co mu się chwali, uchodzić za specjalistę od Polski ani od byłego bloku wschodniego.

Pomimo zaplecza badawczego Goldfarb pozostaje teoretykiem, a ściślej teoretykiem kultury politycznej. Poświęca jej czas nie tylko w salach wykładowych i bibliotekach, ale aktywnie zabiega o odnowę kultury politycznej. Swoją walkę o tę kulturę prowadzi także poza murami New School for Social Research. Pojawia się tam, gdzie może praktykować to, co wypracowuje na gruncie swojej teorii społecznej. Tę z kolei wzbogaca własnym doświadczeniem politycznym.

Jeffrey Goldfarb zbierał swoje obserwacje przez wiele lat, i to w różnych miejscach. Szedł tropami przekonania, że odnowa kultury politycznej odbywa się na poziomie mikro, jako „polityka drobnych

spraw”. Tymi miejscami były teatry studenckie lat siedemdziesiątych w Nowym Jorku i Warszawie. Kuchnie w mieszkaniach Żoliborza i Ursynowa, gdzie zwykły bywać w latach osiemdziesiątych. Później punkty kontrolne, służące egzekwowaniu realnej władzy okupacyjnej na terenach palestyńskich. Również pływalnia w Centrum Kultury Theodora Younga w hrabstwie Westchester, gdzie z pewnym wahaniem zaangażował się w pierwszą kampanię Baracka Obamy.

Bohaterami opowieści Goldfarba są zawsze inteligenci, niektórzy zostaną intelektualistami, takimi jak Václav Havel. Wszystkich ich łączy wspólny motyw działania politycznego: chcą żyć w prawdzie.

Co jest głównym motorem poszukiwań obserwatora i uczestnika, dzielącego swój czas pomiędzy *vita activa* i *vita contemplativa*? Jest to *reinventing*, co można tłumaczyć również jako wynajdywanie lub wymyślanie, które wydaje się zadaniem głównie dla intelektualistów. Goldfarb sam siebie uważa za przedstawiciela tej ważnej formacji, co daje mu pewną, choć niewystarczającą, ochronę przed etykietowaniem go jako myśliciela lewicowego. Nie ukrywa wszakże swoich poglądów politycznych, gdy pisze o amerykańskiej Partii Herbacianej (Tea Party) przy okazji jej wersji polityki drobnych spraw: „Nie jestem zwolennikiem celów tego ruchu – w odróżnieniu od kampanii Obamy i ruchu antywojennego czy jeszcze wcześniej, opozycji demokratycznej w byłym bloku sowieckim, gdy byłem zarówno uczestnikiem, jak i obserwatorem”³.

Obcy jako odnowiciel kultury politycznej

Czy ta książka jest analizą, czy manifestem politycznym? A może formą pośrednią, określaną jako droga zaangażowanego obserwatora? Podobne pytania niedawno padały pod adresem twórczości Ryszarda Kapuścińskiego, którego książki przestano z dnia na dzień określać mianem reportaży. Choć pozostają równie dobre jak były, to dzisiaj mało kto wskazuje je jako wzorzec dziennikarstwa.

³ J.C. Goldfarb, *Odnova kultury politycznej. Siła kultury kontra kultura władzy*, Gdańsk 2012, s. 131.

Jeffrey Goldfarb, podobnie jak Kapuściński, jest zaangażowany i jednocześnie chce „reżimu prawdy”. Czy to mu się udaje? Moim zdaniem zaangażowanie zdecydowanie bierze górę. Nie może być inaczej, bowiem na ile uczestniczymy w sporze czy w konflikcie, na tyle stajemy się w nim stroną. Jako uczestniczący obserwator stajemy po czyjejś stronie. Nie da się w równym stopniu dochować wierności zaangażowaniu i analizie. Z tego powodu także socjologa, jako klasycznego naukowca, umieszcza się po stronie analizy. Wedle znanego powiedzenia człowiek nauki powinien pozostać zamknięty w wieży z kości słoniowej, a jego nakazem moralnym i zawodowym jest właśnie nieuczestniczenie. Nie oznacza to, że rola zaangażowanego obserwatora jest niepotrzebna. Tyle tylko, że trudno uczynić z niej wzorzec socjologicznego badania kultury politycznej.

Autor *Odnowy kultury politycznej* jest świadomy swojego uwikłania, ale nie stawia sobie otwarcie pytania o to, czy jest aktywistą, czy badaczem. Nie definiuje siebie ani jako socjologa działań i ruchów alternatywnych, ani jako socjologa w służbie establishmentu. Woli się sytuować w innej roli, kiedy powiada, że odnowa kultury politycznej to powrót do prawdziwego źródła, a jest nim dialog. Chcąc umocnić swój uniwersalizm, zaskakuje o tyle, że nie przywołuje na pomoc etyki, ale socjologię. Cytuje Georga Simmela, który powiada, że intelektualiści są szczególnym rodzajem obcych, wskazując, że ich archetypem są Żydzi. W ten sposób z jednej strony wraca do swoich korzeni etnicznych, a z drugiej uniwersalizuje rolę obcego. Idąc dalej, wskazuje wzorzec europejskiego intelektualisty, z którym się utożsamia. Lubi powoływać się na przykłady Václava Havla i Adama Michnika, sięgać do ich minionych dokonań i biografii politycznych.

Z czego wynikają te poszukiwania wzorca, które mieszkańcom Polski i Czech uświadamiają, że autor *Odnowy* jest daleki od analizy tego, czym dzisiaj żyjemy? Wydaje mi się, że źródłem niepokoju intelek-

tualnego Goldfarba jest to, czym on żyje, a mianowicie odczuwany przezeń brak określonych wartości w amerykańskiej kulturze politycznej, kojarzącej się z masowym spektaklem. Z tego, a nie z innego powodu wynosi na piedestał Baracka Obamę – nie jako sprawnego polityka, ale jako intelektualistę, który „korzysta z mowy jako formy sztuki”⁴.

Aura, którą roztacza Goldfarb wokół urzędującego prezydenta Stanów Zjednoczonych, ma swoją cenę. Być może Obama jest dobrym mówcą, ale jego wizerunek jako intelektualisty nie jest przekonujący. Nie ma wątpliwości, że Obama jest twórczy i przenikliwy, ale w wypadku prezydenta USA znacznie ważniejsze od tego, jak mówi, jest to, jakie decyzje podejmuje, choćby w kwestii zwalczania terrorystów za pomocą dronów. Znakomite przemowy pokazują w dobrym świetle kulturę władzy, ale nie oznacza to, że mamy do czynienia choćby z przebłysem władzy (nowej) kultury (politycznej). Nie zmienia to pozytywnego nastawienia Goldfarba, który po prostu wierzy w odnowę amerykańskiej kultury politycznej w drodze alchemicznej syntezy. Z jednej strony składa się na nią charakterystyczny dla tamtejszej tradycji kult indywidualnego przywództwa. Z drugiej przywództwo to ma nowe oblicze, skoro może je sprawować ktoś inny niż *white anglosaxon*. Ma to być całkiem nowe lub też odnowione przywództwo, sprawowane przez obcego: „Jako Afroamerykanin o mieszanym pochodzeniu etnicznym Obama symbolicznie rozszerza amerykański sen, uosabiając zwycięstwo nad amerykańskim dylematem [którym jest rasizm – P.K.]”⁵.

Czemu służy teoretyzowanie?

Pora wrócić do teorii, bowiem tematem głównym najnowszej książki Jeffreya Goldfarba jest jednak kultura polityczna, która przyciąga uwagę wielu badaczy, choć niekoniecznie w wersji zaangażowanej, charakterystycznej dla naszego autora. Popularność samego pojęcia wcale nie dziwi. Kultura jako taka

⁴ *Ibidem*, s. 104.

⁵ *Ibidem*, s. 103.

jest kluczem do niejednych drzwi. Cóż tłumaczy lepiej nasze działania aniżeli kultura? W dodatku jest tak wiele poziomów kultury, że mamy do dyspozycji bogate instrumentarium dla wszystkich, którzy korzystają z eksplanacyjnej mocy kultury. Można nawet sięgnąć po zapomniane określenie kultura osobista, ale badania je raczej ignorują. Analizy analiz kulturowych koncentrują się na subkulturach, kulturach lokalnych, kulturach przedsiębiorstw lub też na rodzących najwięcej sporów – kulturach etnicznych i narodowych.

Żaden z tych kierunków badań nie opisuje podejścia Goldfarba, bowiem pojmuje on kulturę polityczną normatywnie. Ma założony z góry jej wzorzec, pod którym właściwie każdy może się podpisać. Jest to kultura dialogu, równouprawnienia, tolerancji, poszanowania praw ludzkich i obywatelskich. Dla Goldfarba odnowa oznacza zbliżenie się do dialogu.

Trudno się z tym nie zgodzić, tak jak z poglądem, że warunkiem koniecznym kultury osobistej jest traktowanie innych z szacunkiem. Zadajmy proste pytanie, co jest warunkiem koniecznym kultury dialogu w polityce. Moim zdaniem jest nim niezakłócone szumem i awanturnictwem prawo głosu. Strony mogą je mieć np. na mocy prawa albo – co częściej się zdarza – muszą się o nie upomnieć. Prawo głosu trzeba sobie wywalczyć, bo rzadko dostaje się je w prezencie. O prawo głosu walczą zwłaszcza te grupy, którym się go z reguły odmawia. Także te, którym go zabrano czy też ograniczono. W Rosji w lipcu 2013 r. jest to choćby antyputinowska opozycja, którą uosabia Aleksiej Nawalny. Na pewno Goldfarbowi, który nie zajmuje się kwestią prawa głosu opozycji politycznej w Rosji, łatwiej byłoby analizować ten temat w sposób zaangażowany, bowiem działaczom rosyjskim taki model kultury politycznej zdaje się przyświecać. Gorzej byłoby za pomocą tego samego modelu zbadać aktywność narodowców w tejże Rosji lub w Serbii. A przecież oni także walczą o prawo głosu.

Moim zdaniem zaangażowany obserwator niewiele zyskuje, sięgając po kategorie teoretyczne wypracowane na gruncie krytycznej lektury Tocqueville'a, które na pewno są warte przeczytania i przemyśle-

nia. Skoro Goldfarb nie chce okopać się na pozycji teoretyka, lecz chce zmieniać świat, to teoretyzowanie ma charakter pomocniczy. Dzięki temu można być wynalazcą kultury politycznej nawiązującej do ponadczasowego wzoru, a więc ciągle nadającej się do odnawiania.

Moja konkluzja na temat teoretyzowania i aktywności badawczej Goldfarba może słabo pasować do wizerunku nowoczesnej placówki naukowej, jaką jest New School for Social Research. Otóż w XXI wieku jej wybitny przedstawiciel pracuje podobnie jak dziewiętnastowieczny etnolog, który przybywał ze swojego świata w nieznane miejsca, aby opisać „społeczności prymitywne”, dalekie od „cywilizacji”. Dla obcego takim światem jest również społeczeństwo amerykańskie, w którym żyje. Czerpiąc z wielkich teoretyków, Tocqueville'a i Webera, Goldfarb rusza w teren, aby stwierdzić, że istnieją jednak dowody na to, że badane społeczności są w stanie same się ucywilizować – i to dzięki pracy u podstaw niewielkich, pokojowo nastawionych grup. Muszą jednak robić to cierpliwie, nie zrażając się niepowodzeniami w dążeniu do nowej (odnowionej) kultury politycznej.

Walent edukacyjny i mobilizacyjny pracy Goldfarba jest niewątpliwy. Dla mnie zwłaszcza wtedy, gdy wypukła rolę organizacji pozarządowych. Z drugiej strony w podobnie jednostronny sposób nie da się czytać procesów politycznych. Zwłaszcza jeśli prowadzi się badania w gorących miejscach świata, gdzie zderzają się ze sobą – jak przekonująco pokazuje Manuel Castells – establishment i ruchy społeczne.

I jeszcze jedno pytanie, ważne dla Polaków. Czy w perspektywie mikropolityki, którą propaguje Goldfarb, możliwe jest opowiedzenie nieznanej jeszcze historii Solidarności, która z pewnością była ruchem społecznym?

Każdy ma swoją historię Solidarności

„Sposobem na wyjaśnienie konfliktu [...] jest poznanie reguł opowiadania historii i reguł pamiętania. Każda grupa inaczej opowiada (swoją) historię

i pamięta (swoją) przeszłość”⁶. W tym cytacie celowo pominąłem informację, że Goldfarbowi chodzi o konflikt na Bliskim Wschodzie, który wydaje się nie do rozwiązania, mając na uwadze Żydów i Palestyńczyków z ich historiami znoszącymi wzajem swoje prawa. Jedna strona nie daje drugiej nawet prawa do bycia wysłuchanym, gdy chce się opowiedzieć swoją historię. Goldfarb szuka nadziei na rozwiązanie kwestii palestyńskiej pozasystemowo. Potencjał odnowy widzi w pojedynczych osobach i w niewielkich grupach, mających ze sobą wspólne to, że należą do marginesu wielkiego konfliktu.

Czy podobnie opowiada zapomnianą już historię Solidarności? Czyja jest to opowieść? Ścisłej: historię Solidarności której grupy społecznej opowiada Goldfarb? Bez trudu stwierdzamy, że jest to opowieść elegancka i inteligentna, a jej autorami są pisarze, aktorzy, dziennikarze, naukowcy. Brakuje opowieści urzędników, techników, robotników stoczniowych, sprzedawczyń, kierowców autobusów, matek, uczniów i wielu innych grup. Gdyby zastosować podejście Goldfarba, badacza rzeczy małych, mikropolitycznych, warto zadać pytanie badawcze: jakie historie na ten temat mają do opowiedzenia inni aktorzy społeczni, niekoniecznie przyszli intelektualiści?

Każdy, kto brał w tym udział w 1980 i 1981 r. – również z drugiej strony barykady, a także ten, kto stał z boku – ma swoją własną historię Solidarności. Minęło ponad trzydzieści lat i niewielu potencjalnych narratorów opowiedziało swoją wersję publicznie. Osoby znane, zasłużone i do tego dobrze władające piórem opowiedziały o tamtych wydarzeniach, nie zapominając o podkreśleniu swojego udziału w kształtowaniu wielkiej Historii. Do pewnego czasu taki stan wydawał się naturalny. Aż do chwili, gdy w sferze publicznej pojawiły się także inne, ktoś mógłby rzec – prywatne narracje, które wyszły z cienia wielkich opowieści. Taką inną historię przedstawiła Danuta Wałęsa. W ten sposób wkroczyliśmy w obszar mikropolityki, czyli

historii mniej politycznej i mniej heroicznej. A może to nawet nie jest mikropolityka, tylko jej odległe obrzeża?

Najwięcej jest historii nieopowiedzianych. I takimi zostaną na zawsze. Ich autorami są ludzie, którzy swoją historię Solidarności (lub historię swojej Solidarności) noszą zamkniętą w sobie. Doświadczenie Solidarności można uznać za niezwykłą sytuację osobistą, za sytuację graniczną w sensie, o którym pisał Carl Jaspers. Na domiar wszystkiego – co jest właściwe dla ruchu społecznego – z wielokrotną, bowiem przeżył z udziałem innych, którzy także byli w sytuacji granicznej. Przeżycie osobiste, a więc na wskroś indywidualne. Zarazem jednak płynące z podzielanego z innymi wspólnego doświadczenia uczestnika ruchu społecznego.

Takie doświadczenia mogłyby zainteresować nie tylko Goldfarba, ale każdego dociekliwego badacza. Nie byłoby ruchu społecznego, gdyby nie zastępy ludzi tworzących drugi lub trzeci krąg otaczający najważniejsze osoby i zorganizowane grupy. Te codzienne historie trudno dzisiaj opowiedzieć, bowiem wówczas liczyło się działanie i mało kto myślał o prowadzeniu notatek. Doświadczenie ruchu społecznego Solidarności było przeżyciem całego życia w ciągu kilkunastu miesięcy. Idąc jeszcze dalej, wspólnym przeżyciem tak intensywnym, że właściwie reszta życia, przed i po, blednie, staje się tłem dla doświadczenia, które ma się już nigdy nie powtórzyć. Jest nie do powtórzenia, a więc jest nie do opowiedzenia.

Jeśli ojcowie i matki dzisiejszych dwudziesto-, trzydziestolatków wracają do tego przeżycia – choć przypuszczam, że raczej milczą – to nie sięgają po wielkie słowa. Te są jak zużyte stare buty, już niepotrzebne, ale trudno je wyrzucić, choć nigdy nie zostaną założone. W ich opowieściach znajdziemy wspomnienie młodości, bardziej wolności aniżeli Solidarności. A jeśli już sięgną po ten interesujący nas fragment swojego przeżycia, to będzie to raczej zapomniana dzisiaj solidarność między ludźmi.

⁶ *Ibidem*, s. 142.

Skoro anonimowi bohaterowie tamtych czasów nie opowiadają o nich, to w czyich rękach pozostawimy zadanie tworzenia opowieści innych aniżeli te, które już dobrze znamy? Czy opowiedzenie historii Solidarności pozostawiamy historykom, a więc profesjonalistom, wykształconym w kulturze źródeł, cierpliwym badaczom, wyspecjalizowanym w gromadzeniu mało znanych wydarzeń, dokumentów i opowieści? Na pewno są to najbardziej uprawnieni narratorzy. Ich misja nigdy się nie kończy, choć zwykły słuchacz rzadko jest czytelnikiem opracowań zawodowych historyków. Jeśli sięga po ich książki, to albo jest miłośnikiem historii, albo – co zdarza się chyba częściej – szuka jedynie potwierdzenia swoich poglądów. Sięgnie albo po *Zadrę*⁷, albo po *Kryptonim 333*⁸. Rzadko przeczyta obie.

Drugą, już wysłuchaną kategorią są narratorzy z „tytułem specjalnym”. Jest nim doświadczenie osobiste, raczej niepoparte warsztatem historyka. Znamy opowieści z pierwszej ręki, rozsiane w różnych źródłach – dzieło ludzi, którzy swój tytuł czerpią z faktu, że byli na miejscu. Nie muszą to być jedynie osoby znane, takie jak Jadwiga Staniszkis czy Waldemar Kuczyński, ale na pewno mają szansę, aby dotrzeć do względnie dużego audytorium. Byli, widzieli, uczestniczyli, opowiadali. Tym różnią się od zawodowych historyków, że byli zaangażowanymi obserwatorami i stosowali obserwację uczestniczącą. Podobnie jak Jeffrey Goldfarb.

Trzecią grupę narratorów stanowią zdystansowani obserwatorzy, którzy nie są historykami, lecz próbują rozwijać teorie. Ich celem jest również daleko idący obiektywizm, ale osiągają go na swój sposób. Jest nim teoria. Ramy teoretyczne dają szansę na dystans poznawczy – także wobec własnych przeżyć i dojmujących emocji. Nigdy to się nie udaje do końca, ale poszukiwanie teorii, czemu oddaje się rów-

nież Goldfarb, jest wyróżnikiem podejścia, o którym mowa. Co ciekawe, takich poszukiwaczy teorii ruchu Solidarności znajdziemy więcej poza granicami Polski. Przyjechali i wyjechali, właśnie jak Jeffrey Goldfarb. Stworzyli swoją teorię Solidarności, jak Alain Touraine albo Sławomir Magala⁹.

Prawo do posiadania praw

Goldfarba historia Solidarności zaczyna się przy domowych, kuchennych stołach. Touraine’a historia Solidarności bierze swój początek w stoczni. Goldfarb zwraca uwagę na to, co mówią inteligenci, działacze ruchu społecznego, gdy Touraine prawo głosu oddaje robotnikom, także działaczom tegoż ruchu. Goldfarb prowadzi obserwację uczestniczącą. Dla Touraine’a charakterystyczna jest metoda interwencji socjologicznej.

Jednak nie warsztat i nie metodologia decydują o różnicy pomiędzy nimi. Choć obydwaj zajmują się zmianą, to moim zdaniem jedynie Touraine zdaje sobie sprawę, że zmiana dotyczy również jego samego, czyli własnego systemu pojęciowego. O ile Goldfarb stara się umocnić w swoich przekonaniach, o tyle Touraine okazuje się zachowywać zdolność do świadomej rewizji przynajmniej części swoich bardzo mocno ugruntowanych poglądów.

Uderza mnie fakt, że w *Odnowie kultury politycznej* Goldfarb sięga aż po swoje amerykańskie i polskie doświadczenia z lat siedemdziesiątych, utwierdzając siebie i czytelników w przekonaniu, że konsekwentnie rozwijał teorię kultury politycznej, prowadząc przez czterdzieści lat badania w różnych miejscach świata. Odwrotnie Touraine, który zaprzestał powtarzania kolejnych wariantów swojej koncepcji ruchów społecznych, choćby w wersji z lat dziewięćdziesiątych, gdy szukał miejsca dla tzw. nowych ruchów

⁷ J. Skórzyński, *Zadra*. Biografia Lecha Wałęsy, Gdańsk 2009.

⁸ *Kryptonim 333. Internowanie Lecha Wałęsy w raportach funkcjonariuszy Biura Ochrony Rządu*, wstęp i oprac. T. Kozłowski, G. Majchrzak, Chorzów 2012.

⁹ S. Magala, *Walka klas w bezklasowej Polsce*, tłum. J. Dąbrowski, Gdańsk 2012. W ostatnich latach odnotowujemy ciekawe próby analizowania Solidarności w nowy sposób. Podejmują je młodszy badacze, historycy i socjologowie, wśród nich Elżbieta Ciżewska, Mateusz Fatkowski, Paweł Sowiński.

społecznych. W swoich najnowszych książkach, należących już do refleksji pierwszej dekady nowego wieku, poszedł znacznie dalej. Okazał się gotów na zmiany. Zawiesił, bo nie porzucił, swoje kluczowe założenia, fundamentalne dla własnej teorii ruchu społecznego.

Można zaryzykować twierdzenie, że obydwaj autorzy nie znajdą dzisiaj mocnych argumentów, aby obronić swoje budowane latami koncepcje. Lub też – mówiąc to samo inaczej – jest wiele powodów, aby zmodyfikowali i rozwinęli te koncepcje. Dlaczego Goldfarb pozostaje przy swojej odnowie kultury politycznej w wersji mikro, w czym niewątpliwie mu pomaga odporność tej koncepcji na falsyfikację? Odpowiedź jest prosta: w jego podejściu dobra wiara góruje nad analizą. W przypadku Touraine’a jest odwrotnie.

Ciągłość i dyscyplina myślenia Touraine’a polega na ciągłej gotowości do autorefleksji i zmiany poglądów teoretycznych, które niestrudzenie rozwija on od co najmniej pięćdziesięciu lat. Touraine nie jest dzisiaj tym, kim był, pisząc *La voix et le regard*, lub myśli dzisiaj inaczej niż wówczas. Z drugiej strony nie jest możliwe, aby Touraine 1.0 myślał zupełnie inaczej niż Touraine 2.0. Powtarza te same ważne pytania, np. to o nowoczesność, lecz udziela na nie dzisiaj innej odpowiedzi aniżeli w latach dziewięćdziesiątych. Jest tym samym świadomy, że świat się zmienia, czego mocnymi przykładami są zamach na WTC i zapadnięcie się globalnej piramidy finansowej.

Dzisiejszy Touraine odłożył na bok ulubione przez siebie pojęcia – takie jak ruch społeczny czy aktor społeczny, które były jego wehikułem badań terenowych w różnych częściach świata. Centralnym pojęciem uczynił podmiot, który nie został wszakże przezeń dostrzeżony nagle, bez przygotowania. Ów koncept wyłaniał się w systemie Touraine’a przez długie lata, zastępując aktora. Jest wysoce prawdopodobne, że początkiem wątpliwości prowadzących do ewolucji poglądów Touraine’a był ruch Solidarność, którego był baczny obserwatorem, choć nie była to obserwacja uczestnicząca, lecz interwencja socjologiczna. Sam wielokrotnie przyznawał, że było to dla niego niepowtarzalne doświadczenie: jako badacza,

jako osoby i jako teoretyka – czyli obcego, ale w innym sensie niż proponuje Goldfarb. Touraine był obcy w takim sensie, że operował perspektywą zdystansowanego obserwatora dzięki narzędziom pojęciowym teorii.

Poznanie wcześniejszych prac Touraine’a otwiera drogę do zrozumienia koncepcji, którą określam jako Touraine 2.0. Nie jest to jedyna metoda ich poznawania, choć sądzę, że najlepsza. Inną drogą byłoby spojrzenie na świat współczesny bez uprzedzeń, tj. jako na proces dekompozycji społeczeństwa takiego, jakim je znamy i opisujemy od czasów Emila Durkheima. Współczesny Touraine zachęca do zawieszenia uprawnień socjologii do wyjaśniania świata, w którym żyjemy. Można zadać pytanie: zawieszenia znanych nam pojęć, ale na rzecz jakiego podejścia? Skąd wziąć nowe pojęcia, inne aniżeli te, do których przywykliśmy, uprawiając socjologię? Odpowiedź Touraine’a jest wstrząsająco prosta: zaczniemy od podmiotu jako podmiotu praw.

Mało kto, wkraczając w analizy ruchów społecznych, pozostaje obojętny na to, jakie cele oraz metody protestu i walki zostały wybrane przez same ruchy społeczne. Badacz tych procesów ciągle balansuje na niebezpiecznej granicy uzurpacji. Trudno mu pozostać tylko obserwatorem, a jednocześnie musi zachować trzeźwość umysłu jako warunek wszelkiej analizy. Tym, co zawsze wypacza analizę, jest oczywiście niewiedza, ale także ideologiczne zaciętrzenie.

Zainteresowanie Touraine’em w Polsce, którego wyrazem są długo oczekiwane tłumaczenia jego książek, przychodzi dosyć późno. Co ciekawe, wydaje się nie wiązać z zaciekawieniem badaniem z 1981 r. Czy stoi za tym popyt na trybuna ludowego, jaki w swoim czasie uczynił tak popularnym Herberta Marcuse’a czy ostatnio Stephane’a Hensela dzięki jego *Oburzonym*? Wydaje się, że nie. Odnotowujemy co prawda popyt na analizę ruchów społecznych, któremu sprzyja atmosfera „niespokojnych czasów”. Touraine na taką karierę na szczęście nie ma szans. Jego zimno-gorący styl analizy pasuje bardziej do dyskusji na seminarium aniżeli do wiecowania.

Warto więc sięgnąć po analizę, która zasługuje na to miano. Najpierw przypomnijmy, że zdaniem wcześniejszego Touraine'a ruch społeczny jest narzędziem pracy społeczeństwa nad samym sobą. Aby zrozumieć ruch społeczny – faktyczny lub potencjalny – winniśmy interpretować działanie z punktu widzenia aktora społecznego. Co to znaczy, skoro na pewno nie chodzi o analizę psychologiczną? Nie ma to być również metoda klasycznej socjologii, wyjaśniającej działanie aktora zewnętrznymi uwarunkowaniami, czym chętnie zajmują się badacze i teoretycy opisujący oddziaływanie wszelakich struktur, systemów i organizacji. Nie chodzi o subiektywizm ani o strukturalizm, ale o interpretację możliwych działań z perspektywy aktora ruchu społecznego. U Touraine'a aktor społeczny jest na początek narratorem opisującym ważną i własną historię, czyli proces formowania się ruchu społecznego. Jednostka dopóty rozpoznaje się w ruchu społecznym, dopóki widzi jego sens i znaczenie, a to znaczy swoje w nim działanie. Zarówno wtedy, gdy ogląda się wstecz, jak i wtedy, gdy patrzy wprzód. Od tak pojętej narracji pozostaje tylko krok do wyodrębnienia podmiotu działania. Kiedy to zrobimy, trzeba postawić jeszcze jeden krok dalej w procesie abstrahowania od jednostkowej narracji. Podmiot we właściwym sensie wyodrębniamy tak, jak sam się buduje i kształtuje. Jednostka, podmiot narracji i podmiot działania, staje się (również sama dla siebie) podmiotem praw. Podmiot praw stanowi centralną figurę koncepcji współczesnego Touraine'a.

Rozwój koncepcji Touraine'a, ewoluującej przez dziesiątki lat, to stopniowe przechodzenie od podmiotu działania do podmiotu praw. Choć powracając niczym mantra te same pojęcia: podmiot, nowoczesność, ruchy społeczne¹⁰, to kwestia ruchów społecznych jednak przesuwana jest na nieco dalszy plan. Tę ewolucję można odczytywać jako zwątpienie w siłę sprawczą ruchów społecznych, przynajmniej tych będących dziedzictwem społeczeństwa przemysłowego, które Touraine zwykł nazywać społeczeństwem produkcyjnym. Może Solidarność była ostatnim ruchem społecznym znanego nam społeczeństwa?

Perspektywa 2.0 rozpoczyna się od zerwania z określeniem społeczny, bowiem społeczeństwo staje się problematyczne. Najdobitniej słysząc tę radykalną tezę w takim oto zdaniu: „Twierdzę wręcz, że działanie społeczne zawsze podporządkowane jest temu, co w nim najmniej społeczne: p o d m i o t o w i ludzkiemu, twórcy praw, które sytuują się ponad prawami społecznymi”¹¹. Znajdziemy niezliczone dowody frapującej próby wyjścia poza społeczeństwo – dodajmy: takie, jakim je znamy – kiedy autor *Après la crise* głosi „koniec społecznego”. Jako następcę społeczeństwa, które nazywa produkcyjnym, wskazuje *situation post-sociale*¹².

Podsumowując poszukiwania prowadzone w duchu Touraine'a 2.0, warto przytoczyć jego własne wskazówki i sięgnąć po dwa obszerniejsze fragmenty z *Myśleć inaczej*, gdzie stawia on pod znakiem zapytania sprawdzony konstrukt ruchu społecznego 1.0.

¹⁰ Do czego sam się przyznaje (A. Touraine, *Myśleć inaczej*, Warszawa 2011, s. 159).

¹¹ *Ibidem*, s. 165.

¹² W książce *Po kryzysie*, która ukazała się we Francji w 2010, a w Polsce w 2013 r., Touraine sięga po dramatyczną formułę „situacji postspołecznej” i nie daje, niestety, odpowiedzi na pytanie, przed którym dzisiaj stajemy: co dalej? W dramatyczny sposób ogłasza: „Po raz pierwszy w historii świat produkcji, banków i technologii nie jest w żaden sposób powiązany ze światem aktorów. Ich samych zresztą nie sposób już określić – jak dawniej – poprzez ich status czy ich rolę w obrębie sfery życia ekonomicznego. [...] Kiedy zaś dochodzi do totalnego rozejścia się systemu i aktorów, nie sposób dalej definiować aktorów jako aktorów społecznych, gdyż źródło ich legitymizacji znajduje się jakby »ponad«. Wiąże się to z tym, że są oni nosicielami idei podmiotu, a zatem pewnych ogólnych praw. Ta zmiana nie świadczy bynajmniej o próbie zastąpienia perspektywy społecznej podejściem bardziej indywidualistycznym. Odpowiada ona w rzeczywistości trzem różnym typom działań powstałym na gruzach społeczeństw produkcyjnych: dezintegracji społecznej, zachowaniom o charakterze wspólnotowym oraz poszukiwaniu nowych zasad legitymizacji, zdefiniowanych w kategoriach praw. Najważniejszym z nich jest prawo do bycia aktorem, co najlepiej określiła Hannah Arendt, definiując istoty ludzkie przez »ich prawo do posiadania praw«” (s. 127–128).

Daje jednocześnie punkt wyjścia do zastanowienia się nad możliwym konstruktem ruchu społecznego 2.0.

Pierwszy wektor myślenia Touraine'a to wyraz daleko idącego sceptycyzmu co do idei społeczeństwa: „To, co nazywamy kryzysem reprezentacji, jest w gruncie rzeczy podwójnym zanikiem: uległa mu zarówno reprezentatywność instytucji politycznych, jak i zdolność interesów społecznych do bycia reprezentowanymi”¹³. I dalej: „Słowa, obrazy, dźwięki, które »nic nie znaczą« i nie odsyłają do niczego poza samymi sobą, są atrakcyjniejsze, można bowiem używać ich bez zastanawiania się nad tym, jakie znaczenie można im przypisać. [...] Żyjemy jako obcy, wyobcowani sami z siebie. Właśnie dlatego chcę podkreślić doniosłość zmiany perspektywy widzenia, analizy. Idea społeczeństwa, tak jak wcześniej idea państwa, znajdowała się w centrum myśli społecznej. Musimy ją zdezonizować, choć nie powinniśmy zapominać o postępach, jakie dzięki niej zaszły w naszym rozumieniu życia społecznego. Od tej pory sytuacje i działania społeczne nie powinny już być oceniane ze względu na społeczną funkcjonalność, lecz ze względu na znaczenie dla wolności i kreatywności osobowego podmiotu. Instytucje nie tworzą już architektury państwa; muszą chronić jednostki i zbiorowości jako podmioty, a jeśli im zagrażają, powinny zostać poddane kontroli i zreformowane”¹⁴.

Zauważmy jedną niewielką, lecz decydującą różnicę pomiędzy widzeniem obcego przez Goldfarba i Touraine'a. Ten pierwszy stawia na elitę, samorządność, a nie z czyjegoś nadania. Los obcego jest losem z wyboru. Pojawia się figura dobrowolnego wygnania. Jest to niejako punkt docelowy, dzięki osiągnięciu go ktoś, kto nie bez powodu ma się za obcego, wie lepiej, widzi szerzej. U Touraine'a, który prowadził badania także daleka od swojego kraju – w Polsce albo w Chile

– nie dopatrzymy się spojrzenia wyobcowanego intelektualisty. Jeśli obcość miałaby być założona jako stan wyjściowy, to nie po to, aby ją utrzymać. Chodzi o to, aby obcość właśnie przezwyciężyć, kierując się w stronę podmiotu. Można to zrobić, stapiając się ze wspólnotą, ale nie o to chodzi autorowi *Le voix et le regard*. Touraine powiada, że żyjemy jako obcy, wyobcowani z siebie i potrzebujemy powrotu do siebie.

Czy Goldfarb i Touraine aż tak się różnią, jak próbuję tu pokazać? Warto sięgnąć po ich książki, aby samemu się o tym przekonać. Dla mnie znacznie bardziej przekonująca od odnowy kultury politycznej jest idea powrotu do podmiotu jako podmiotu praw. Nie będzie to podmiotowość odnowiona, skoro różne reprezentacje podmiotu przestały być wiarygodne. Nie będzie to także powrót do naturalności à la Rousseau. Nie uda się powrót do podmiotu rozumiany jako odzyskana spontaniczność dziecka, mająca wyobcowanej z siebie jednostce przywrócić radość i wiarę. Ten przykład dobrze pokazuje, na czym polega istota tej prostej koncepcji. Dziecko jest pociągającą emocjonalnie metaforą, ale zaciemniającą ideę Touraine'a 2.0. W bardzo niewielu miejscach świata dziecko traktowane jest jako podmiot praw. Dzieci zwyczajowo z praw są wyzute i w wielu kulturach uchodzi za naturalne, że praw nie mają.

Myślenie Touraine'a jest również drogowskazem. Wskazuje drogę, którą idą ruchy społeczne i ich badacze. „»Być sobą« to wszechobecne pragnienie, które wszędzie obciążone jest nadziejami i żądaniami. Wiemy już jednak, że gdy jednostka próbuje zobaczyć siebie, to nie siebie odkrywa w lustrze, lecz podmiot będący sobowtorem jej samej jako jednostki; nie odkrywa tam swojej świadomości, lecz swoją potrzebę posiadania sensu dla samej siebie, a więc – potrzebę posiadania praw”¹⁵.

¹³ A. Touraine, *Myśleć inaczej...*, s. 245–246.

¹⁴ *Ibidem*, s. 246–247.

¹⁵ *Ibidem*, s. 253.

KOHABITACJA PO POLSKU

BOGUSŁAW SONIK

TADEUSZ MAZOWIECKI, *Rok 1989 i lata następne*, Prószyński i S-ka, Warszawa 2012, ss. 504.

Książka Tadeusza Mazowieckiego zawiera wywiady, których premier udzielił prasie, radiu i telewizji w trakcie pełnienia swojej funkcji i po jej zakończeniu, a także dokumenty z tamtej epoki, teksty oficjalnych wystąpień, również w kwestiach międzynarodowych, i takie ciekawostki jak zapis telefonicznej rozmowy z kanclerzem Helmutem Kohlem. Rozmowa ta odbyła się w arcyważnym momencie, gdy zbliżał się moment zjednoczenia Niemiec, a Polska domagała się potwierdzenia swoich granic. Książka zawiera także wiele materiałów dotyczących późniejszej działalności Tadeusza Mazowieckiego jako specjalnego sprawozdawcy Komisji Praw Człowieka ONZ w Bośni oraz aktywnego polityka, założyciela i przewodniczącego Unii Wolności.

Otrzymałmy książkę istotną, pozwalającą lepiej zrozumieć atmosferę tamtego czasu oraz okoliczności jakże ważnych decyzji podejmowanych przez premiera i szerzej – przez rząd Mazowieckiego.

Konsekwencje tamtych wyborów do dziś są przedmiotem gorących dyskusji, zarówno w studiach telewizyjnych, jak i w czasie okolicznościowych rozmów i sporów Polaków. Kwestie takie jak lustracja, reformy gospodarcze i polityczne, stosunek do PRL, pytania, czy można było reformować inaczej lub szybciej, czy w obliczu walącego się w całej Europie Środko-

wo-Wschodniej systemu komunistycznego w czasie jesieni ludów 1989 r. nie należało wrzucić do kosza porozumień okrągłostołowych – nakładają się na aktualną debatę polityczną. Kontekst historyczny często umyka uwadze. Świadek Tadeusza Mazowieckiego jest unikalnym spojrzeniem z wewnątrz ekipy, która musiała zmierzyć się z ogromnymi wyzwaniami społecznymi i ekonomicznymi w sytuacji złożoności, przed jaką nigdy chyba jeszcze nie stanął żaden rząd w czasie pokoju.

Przyglądałem się tym wydarzeniom i tym, które je poprzedzały, z perspektywy Paryża, gdzie wówczas przebywałem, pracując jako dziennikarz, a potem – już po zmianie władzy w Polsce – jako minister pełnomocny ambasady RP. W ciągu dwu dekad, jakie dzielą nas od tamtego czasu, świat radykalnie się zmienił. Zmienił się układ sił, ogłoszono (przedwcześnie, co oczywiste) „koniec historii”, zmieniły się sposoby komunikacji. W czasach, gdy rząd premiera Mazowieckiego borykał się z ogromnymi wyzwaniami, internet nie istniał. Za granicami Polski głównym źródłem informacji, poza telefonem i notami dyplomatycznymi, pozostawały gazety. Dyskusja o kształcie polskich instytucji do Paryża docierała z pewnym opóźnieniem.

Próbuję przypomnieć sobie atmosferę tamtego czasu i nadzieje związane z galopującymi zmianami

politycznymi. Słabnący reżim komunistyczny wchodził w erę Gorbaczowa i zaczynał wysyłać sygnały, iż jest gotów się reformować. Takim sygnałem pod koniec 1988 r. był fakt, że na zaproszenie prezydenta François Mitterranda na spotkanie dotyczące praw człowieka mogli przyjechać do Francji Andriej Sacharow i Lech Wałęsa. Moskwa i Warszawa zezwoliły na wyjazd postaci emblematicznych. Pytałem wówczas Wałęsę o oczekiwania wobec Polaków, którzy wspierają Solidarność z zagranicy. Odpowiedział, że niebawem Polska będzie potrzebowała ludzi do budowania nowych, niekomunistycznych kadr, więc osoby przebywające poza krajem powinny gromadzić doświadczenia i wiedzę o funkcjonowaniu demokratycznych instytucji.

I rzeczywiście, historia przyspieszyła. Dzięki porozumieniom Okrągłego Stołu w maju 1989 r. ludzie Solidarności wkroczyli do omijanych wcześniej ambasad jako współorganizatorzy i mężowie zaufania wyborów 4 czerwca. Byłem członkiem komisji wyborczej w Paryżu, moja żona została „mężem zaufania” Tadeusza Mazowieckiego; podobnie zaangażowało się wielu opozycjonistów. Nadzieja na radykalną zmianę była powszechna. We Francji 4 czerwca do punktów wyborczych stawili się tysiące ludzi.

Cierpliwie czekali w gigantycznej kolejce i była to jedyna radosna kolejka, jaką widziałem. Przyszli nawet ludzie starzy, zdecydowani antykomuniści, nawet ci nieliczni, którzy dystansowali się do samej idei Okrągłego Stołu. Chcieli uczestniczyć w bezprecedensowym akcie wyborów, które pokażą komunistom, że wszyscy mamy ich dość. Poczucie obywatelskiej powinności nakładało się na uczucie nadziei. To, że z tych wyborów musi wynikać dziwaczny, parytetowy sejm, nikogo specjalnie nie obchodziło. Polacy chcieli wierzyć, że skończył się komunizm.

Oczywiście perspektywa Komitetu Obywatelskiego była inna. Nastrój tryumfu po 4 czerwca musiał ustąpić miejsca realiom. Trzeba było odpowiedzieć na pytanie, co dalej. Jako radykalna pojawiła się koncepcja „wasz prezydent, nasz premier”. Czyli kohabitacja.

Miedzy dwiema turami wyborów 1989 r. przylatując do Polski samolotem dziennikarzy obsługi-

jących wizytę prezydenta Mitterranda. Jest z nami paryski korespondent Radia Wolna Europa Maciej Morawski, który wraca do kraju po czterdziestu latach nieobecności. Wpuszczenie do Polski dziennikarza RWE oznacza, że mury trzęsą się w posadach; wszak Wolna Europa była w PRL wrogiem symbolicznym, nieomal archetypicznym. Ponadto „Tygodnik Powszechny” drukuje mój wywiad z ówczesnym dyrektorem monachijskiej rozgłośni Markiem Łatyńskim.

Radość z powołania rządu Mazowieckiego łączy się z obawami o skutki kohabitacji. Uwarunkowania są oczywiste; Moskwa nadal trzyma rękę na pulsie Układu Warszawskiego. Na tym zresztą będzie polegał dramat rządu Mazowieckiego. Środowisko, które wówczas tworzy układ rządzący, ma w pamięci doświadczenie Solidarności jako próby samoograniczającej się rewolucji, czyli zmagania się żywiołów wolności z brutalną siłą komunistycznej władzy posiadającej instrumenty kontroli państwa. Pamięć o stanie wojennym wiąże ręce, narzuca sposób myślenia. Lud wciąż wierzy, że runęły mury i obalono skompromitowany system. Mazowiecki zdaje się tłumaczyć, że trzeba iść do przodu rozsądnie i powoli, nie prowokując frontalnego zderzenia.

Taka postawa przyjmowana jest na Zachodzie z zadowoleniem. Paryż oferuje szeroką pomoc w transformacji ustrojowej. Błyskawicznie utworzono Fundację France-Pologne, która przez następne lata wspierała tworzącą się administrację samorządową, a także nowoczesne, przydatne dla zrujnowanej Polski kierunki na uczelniach. Paryż jednak nieszybko zaangażuje się w zarysowanie dla Polski ścieżki dojścia do Unii Europejskiej.

Ówczesny sposób myślenia polityków zachodnio-europejskich obrazuje rozmowa, którą przeprowadziłem z prezydentem Mitterrandem przed jego wizytą w Polsce. Wywiad ukazał się 18 czerwca 1989 r. w „Tygodniku Powszechnym”. Na moje pytanie, czy i kiedy zaistnieją szanse na przyjęcie Polski do Wspólnoty Europejskiej, prezydent Francji odpowiadał: „Często mówiłem, iż nie godzę się na ten stan rzeczy, narodzony z wojny i podtrzymywany przy życiu dzięki sile ideologii i stabilności zaistniałych

systemów [...]. Polska weszła na drogę pluralizmu politycznego. Porozumienia »okrągłego stołu« i wybory są wspaniałym zwycięstwem Polski. Jest to akt odwagi, któremu składam hołd. Jest on nadzieją dla całej Europy”.

Nieudawanej satysfakcji ze zmian w Polsce towarzyszyła jednak duża ostrożność. Mitterrand mówił: „z radością myślę o rozkwicie wszelkiego rodzaju umów i porozumień pomiędzy krajami EWG i RWPG w ramach Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy lub pod egidą Rady Europy. Prawdziwa racja bytu tych instytucji polega na cierpliwym tkaniu kształtu przyszłej Europy”. Paryż, podobnie zresztą jak cała ówczesna Wspólnota Europejska, przyglądał się rozwojowi sytuacji w środkowej Europie, nie kwapiąc się do zajęcia jednoznacznego stanowiska. Mitterrand długo będzie kluczył i zwlekał. Jeszcze w 1993 r. Francja uparcie lansowała ideę stworzenia dla Polski i pozostałych krajów „innej” Europy swoistego rodzaju Wspólnoty Europejskiej bis – czyli Konfederacji Europejskiej z siedzibą w Pradze!

Tadeusz Mazowiecki doskonale zdawał sobie sprawę z tych okoliczności i musiał je brać pod uwagę przy realizacji swoich głównych celów politycznych. Jak sam podkreśla, najważniejsze dla niego było ratowanie Polski z zapaści gospodarczej, zahamowanie inflacji, reforma samorządowa i odpolitycznienie zarządzania przedsiębiorstwami. A w sprawach zagranicznych doprowadzenie do zablokowania pomysłu, aby zjednoczenie Niemiec dokonało się bez potwierdzenia polskich granic.

W książce znajdziemy również jego relację z okresu, kiedy pełnił funkcję obserwatora Organizacji Narodów Zjednoczonych do spraw konfliktu bałkańskiego. Lektura gorzkiego uzasadnienia rezygnacji z tego mandatu po trzech latach pracy i złożeniu osiemnastu raportów robi ogromne wrażenie. Wzruszającym świadectwem i ciekawym przyczynkiem historycznym są też jego wspomnienia o zmarłych przyjaciółach i bliskich współpracownikach, m.in. Janie Strzeleckim, Mieczysławie Pszonie, Marku Edelmanie i Janie Kułakowskim.

KONSPIRACJA, FILOZOFIA I ŻYCIE CODZIENNE

JERZY USZYŃSKI

KRYSZYNA ZALEWSKA, *Będzie strajk, Tres Piedras*, Warszawa 2012, ss. 407.

Ta książka zaskakuje – na wiele sposobów. Będąc zbiorem spisanych relacji uczestników antykomunistycznego podziemia, łamie zarazem perspektywę tradycyjnego opracowania źródłowego. Podejmując próbę monografii środowiska warszawskiej „Woli” (choć we wstępie autorka temu zaprzecza), unika metodologicznej sztywności monografii: chronologii, precyzji faktograficznej itp. Opowiada o życiu codziennym w latach stanu wojennego (co stanowi niewątpliwą walor), ale i o ideach, jakie ożywiały niepokodzonych. Mówi o grupie intelektualistów, którzy z wyboru „stali się” robotnikami, oraz o środowisku robotników, którzy myślą i czynem „dojrżeli” do próby wybicia się na niepodległość. Czyli bardziej niż o faktach i zdarzeniach opowiada o pewnym stanie ewoluującej świadomości zbiorowej, dla której data 13 grudnia 1981 r. stała się momentem krystalizacji. Mówiąc jeszcze inaczej, ta książka przypomina studium antropologiczne prezentujące urobek z badań terenowych, w których – w odróżnieniu od wypraw do Amazonii czy na Wyspy Trobriandzkie – tubylcy nie tylko dają się opisać, lecz jeszcze dzielą się z badaczem niebanalną refleksją: teoretyczną, historyczną.

Ale po kolei. *Będzie strajk* Krystyny Zalewskiej to liczący 400 stron zapis rozmów z głównymi postaciami środowiska podziemnej „Woli”. Tworzyli je działacze Międzyzakładowego Komitetu Koordy-

nacyjnego NSZZ Solidarność, redaktorzy, drukarze i kolporterzy podziemnych pism „Wola”, „Naprzód”, „Praca”, osoby związane z Duszpasterstwem Ludzi Pracy przy kościele św. Klemensa na ul. Karolkowej w Warszawie, członkowie Grup Politycznych Wola. Swoje relacje składają autorce takie postaci jak Maciej Zalewski i Michał Boni, Andrzej Urbański i Piotr Stasiński, Ewa Choromańska, Aleksandra Zawłocka, Marian Parchowski, Andrzej Zieliński, Ewa Hołuszko (dawniej Marek Hołuszko) i inni. Środowisko to jest dość słabo opisane w literaturze historycznej. Może za sprawą swej polimorficzności, skupiało bowiem ludzi o dość różnych przekonaniach, różnych korzeniach społecznych i ideowych, co utrudnia opis, stwarza kłopoty interpretacyjne, nie pozwala na łatwe zaszukanie, opiera się wysiłkom monografów. Może po części też z tego powodu, że losy uczestników tego środowiska potoczyły się w wolnej Polsce bardzo odmiennie, wybory polityczne sprawiły, że znajdowali się często po przeciwnej stronie barykady; to także utrudnia pracę badawczą, zwłaszcza przekopywanie źródeł, czyli zbieranie relacji. Pierwszą zaletą książki Krystyny Zalewskiej jest więc sam fakt jej powstania.

Kiedy 13 grudnia 1981 r. prowadzone na szeroką skalę aresztowania działaczy związkowych, opozycjonistów, doradców spowodowały paraliż dotychczasowych, legalnie działających struktur Solidarności,

niespodziewanie wyłonili się ludzie z drugiego szeregu. Mniej znani, nierozpracowani przez Służbę Bezpieczeństwa w takim stopniu jak działacze z pierwszej linii, mogli podjąć – niemal z marszu – związkową działalność podziemną: wydawniczą, samopomocową, protestacyjną. To oni stworzyli środowisko zwane później „Wolą” – trochę od nazwy warszawskiej dzielnicy, w której koncentrowały się największe zakłady przemysłowe, trochę od słowa wola, oznaczającego postanowienie, zdecydowanie w działaniu, ale też zawierającego echa źródłostowu wolność.

Jest jednak coś specyficznego, co odróżnia warszawską „Wolę” od licznych innych środowisk podziemnych, wykreowanych w podobny sposób przez stan wojenny. To projekt polityczny, nawiązujący do nieco zapomnianego nurtu w polskiej tradycji wolnościowej sprzed stulecia. Wszystko jedno, w jakim stopniu zrealizowany – i czy w ogóle realizowalny. Ważnej części tego środowiska, osobom wywodzącym się z polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego, była bliska filozofia pracy Stanisława Brzozowskiego i syndykalistyczne idee Edwarda Abramowskiego. W tej tradycji sygnowanej nazwiskami dwóch polskich filozofów, będącej – patrząc na to w perspektywie historii idei – reakcją na niepowodzenia XIX-wiecznych prób odzyskania niepodległości, następowało scalenie idei romantycznego czynu i pozytywistycznej pracy. A zarazem pojawiał się imperatyw nowoczesności, modernizacji – społecznej i kulturowej – Polski, która ma nadejść. Tymi ideami żyło środowisko warszawskich polonistów-kulturoznawców na początku lat osiemdziesiątych. Ich przewodnikiem w intelektualnych poszukiwaniach był Andrzej Mencwel.

Pamiętam konwersatoria i seminaria prowadzone na polonistyce m.in. przez Michała Boniego w gorącym okresie 1980–1981, podczas których rozważaliśmy wspólnie – wykładowcy i studenci – ideę Samorządnej Rzeczypospolitej. Zryw społeczny, który objawił się w wielkim ruchu Solidarności, był postrzegany jako próba zbudowania społeczeństwa równoległego do istniejących struktur państwa. Skoro to państwo jest niewydolne i działa przeciw społeczeństwu, przeciw zwykłym ludziom, to należy stworzyć

własne struktury, które będą powoli przejmować kolejne funkcje państwa. Może była to utopia. W tym samym czasie na Wydziale Socjologii UW podczas podobnych zajęć konwersatoryjnych, np. u Jadwigi Staniszkis, zupełnie inaczej definiowano dynamikę konfliktu społecznego. Raczej bez złudzeń, że na jednym terytorium mogą istnieć dwa równoległe światy.

W każdym razie idea społecznej samorządności okazała się trwała i do pewnego stopnia pożyteczna w nadchodzących czasach, kiedy władza odmówiła dalszych negocjacji dotyczących kształtu wspólnego państwa na jednym terytorium. Echa syndykalizmu, który zwolna tracił swoje socjalistyczne oblicze, a zbliżał się do personalistycznej myśli chrześcijańskiej, pozwoliły stworzyć autonomiczne środowisko „Woli”, dość odporne zarówno na presję i terror, jak i na – o wiele rzadsze, ale podejmowane w celu przekupienia społeczeństwa – akty łaski władzy. Może z tej autonomii, z tego poczucia równoległości bytów społecznych brał się u końca lat osiemdziesiątych sceptycyzm tego środowiska wobec prób powrotu do filozofii negocjacji. Co miało też swoje praktyczne konsekwencje. Na wielki kompromis Okrągłego Stołu okazało się ono nie do końca przygotowane.

Chociaż w sposób nieuporządkowany, poddany logice wspomnień, a nie analizy, książka Krystyny Zalewskiej także i z tych duchowych peregrynacji przynajmniej części środowiska „Woli” zdaje sprawę.

Równie ciekawy jest inny aspekt książki. Są to pojawiające się we wszystkich relacjach opisy dnia codziennego w Polsce pod rządami stanu wojennego (ten termin rozumiem szeroko, aż do 1989 r.). Autorka – nie nakłaniając do trzymania się głównego tematu – pozwala swoim rozmówcom zanurzyć się we wspomnieniach. A pamięć – jak zwykle z pamięcią bywa – zachowuje własną logikę i hierarchię ważności wydarzeń. Może dzięki temu mamy podczas lektury wrażenie bezpośredniego obcowania z tamą rzeczywistością. Aż trudno czasami uwierzyć, ile energii, ile odporności wymagało zwykłe funkcjonowanie zawodowe, społeczne, rodzinne Polaków w latach osiemdziesiątych minionego wieku. Osiem godzin (czasem więcej) pracy w fabryce czy szpitalu. Potem kilka

godzin roboty konspiracyjnej, bo zwykle przewiezenie bibuły na drugi koniec miasta, załatwienie jakiegos transportu darów, dostarczenie pomocy rodzinom prześladowanych – przy ówczesnej komunikacji i przy zachowaniu środków ostrożności – zajmowało sporo czasu. A do tego „życie na kartki”, kolejki po niemal wszystkie dobra codziennego użytku, gotowanie obiadu, wychowywanie dzieci.

Są w książce momenty osobiste – o chwilach zwątpienia, o niepewności, jaką niesie przyszłość, o paradoksach życia, a nawet o roli wychodka w więziennej celi. Dość tajemniczy tytuł bardziej nawiązuje do atmosfery oczekiwania – zrozumiałej właśnie w perspektywie osobistej – na kolejną mityczną wiosnę, wielki strajk, który odmieni ponurą rzeczywistość, niż do jakiegokolwiek wydarzenia. To wszystko składa się na wielki, duchowy atlas epoki stanu wojennego. Sam, wracając pamięcią do tamtych lat, mam odczucie niesamowitej mitręgi. Rzeczy dziecinnie proste, które dziś załatwia się jednym esemesem, wówczas wymagały skomplikowanej logistyki. Za kilka kartek nieprawomyślnie zadrukowanego papieru ryzykowało się więzieniem, co brzmi jak ponury żart, gdy dzisiaj próbujemy raczej bronić się przed nieustannym zalewem nieskoordynowanej treści. Aby zrozumieć ponurą realność długiej grudniowej nocy (czy w ogóle realność realnego socjalizmu), nastroje, emocje, ducha czasu, nie można abstrahować od tych „okoliczności towarzyszących”.

Na czterysta stron książki składają się zebrane dzisiaj przez Krystynę Zalewską relacje osób ze środowiska „Woli”, dokumenty z epoki, ulotki, artykuły, zdjęcia (z domowych albumów, nie ma żadnych zdjęć z archiwów milicyjnych). Jedną siódmą tej objętości stanowi aneks, czyli trzy autorskie teksty: Michała Boniego, Andrzeja Urbańskiego i Macieja Zalewskiego, będące swoistym podsumowaniem.

Układ książki nie jest szczególnie rygorystyczny. Można powiedzieć, że – generalnie – narracja rozwija się zgodnie z porządkiem chronologicznym. Ale tylko generalnie. Wiele tu nawrotów do wcześniejszych wydarzeń, powtórzeń, wiele nawiązań i asocjacji, co zresztą nie powinno dziwić w pracy opartej na wspo-

mnieniowych relacjach. Niemniej dla skrupulatnych poszukiwaczy prawdy o wydarzeniach może to być kłopotem.

Inny kłopot stanowi brak wyróżnień przy prezentacji źródeł. Autorka poza relacjami przepytanych osób (tryb osobistej opowieści wspomnieniowej, z dzisiejszym horyzontem poznawczym) prezentuje też artykuły z ówczesnych gazetek podziemnych, czasem z prasy reżimowej (tryb publicystyczny, retoryczny, z ówczesnym horyzontem poznawczym). Niestety zaciera granice między tymi gatunkami, bowiem krótkie adresy bibliograficzne w przypadku przytoczonych tekstów z epoki umykają uwadze, a sama forma graficzna (krój czcionki, kompozycja tekstu) nie wskazuje na heterogeniczne pochodzenie tych fragmentów. Być może autorka chciała w ten sposób stworzyć wrażenie ciągłości (tożsamości) pewnego świata. A może to tylko niedopatrzenie. W każdym razie jej zabieg wydaje się wątpliwy, wprowadza odczucie fałszu, wynikającego z takiego złączenia perspektyw. Ludzie jednak z upływem czasu się zmieniają i – bez względu na to, jak sami postrzegają swoją myślową ewolucję – zadaniem badaczki jest wydobyć i zinterpretować te różnice. Gwoli sprawiedliwości, Krystyna Zalewska ewolucję świata myślowego swoich bohaterów pokazuje i często wkłada wysiłek, by ich samych skłonić do refleksji na ten temat (temu służy m.in. aneks). Tym bardziej dziwi to graficzne niedopatrzenie.

Błędy drobne, jak ten, że dzisiejszy pisarz, publicysta i producent telewizyjny, a w 1981 r. działacz Niezależnego Zrzeszenia Studentów na polonistycie nazywa się naprawdę Andrzej Horubała, pomińmy.

Pewnym smaczkiem w przedsięwzięciu wydawniczym *Będzie strajk* jest postać autorki i wydawczyni zarazem. Urodzona w 1985 r. Krystyna Zalewska, absolwentka filozofii, to córka Macieja Zalewskiego, jednego z bohaterów książki (zdjęcie na stronie 90 pokazuje w dziecięcym wózekku raczej jednak jej siostrę), a Tres Piedras to założone przez nią wydawnictwo, skądinąd niespecjalizujące się w pracach historycznych. Czy zatem mamy tu do czynienia z osobistą podróżą do źródeł czasu?

EUROPA WIDZIANA Z WARSZAWY

PAWEŁ SOWIŃSKI

JERZY HOLZER, *Europa zimnej wojny*, Wydawnictwo Znak, Instytut Studiów Politycznych Polskiej Akademii Nauk, Kraków 2012, ss. 1076.

Trudno być twórczym, gdy napisano już na ten temat tyle książek, przedstawiono niezliczone interpretacje. Ale Jerzy Holzer wchodzi w dialog i spór z nauką światową – jak mało który polski historyk. W przekonujący sposób nie tylko wykłada historię Europy drugiej połowy XX wieku, ale także z zapałem dyskutuje z Tonym Judtem, autorem sugestywnej wizji *Powojnia*. Nie zaniebija także autorów ze wschodu – w recenzowanym dziele znajdziemy polemiki i odwołania do literatury rosyjskiej, trudno dostępnej, ale także chyba niemożliwej i niedocenianej. Profesor wykorzystuje również szeroko, ale znów nie bezkrytycznie, dziejopisarstwo niemieckie i francuskie. Słowem, dzieło Holzera sytuuje się w samym sercu międzynarodowej refleksji nad przeszłością Europy.

Niewielu historyków poważa się na taki temat. Rozległość spojrzenia jest tu przecież wielkim wyzwaniem interpretacyjnym. Wielu przeraziłby sam pomysł takiego przedsięwzięcia, inni pomyśleliby, że nie mają już nic do dodania. Jak trafnie wybrać i ze sobą zespolic wielość informacji, jak skondensować ogromną literaturę – wyjąć z niej to, co wydaje się najważniejsze, a następnie dodać swój własny wkład – tak by całość stała się autorską wizją Europy na przestrzeni czterdziestu paru lat? Rozmachem zamiarów pisarstwo to nawiązuje do dzieł historyków epok dawniejszych, tych panoramicznych ujęć,

o które coraz trudniej w obecnych czasach wąskich specjalizacji naukowych.

Miłośnicy historii opozycji znają autora głównie z sensacyjnej monografii *Solidarność*, napisanej w stanie wojennym, odbijanej w tajnych drukarniach, rozchwytywanej przez czytelników. Jerzy Holzer Europą interesował się jednak od dawna. Po doktoracie, a więc przeszło pięćdziesiąt lat temu, zajął się historią Niemiec (habilitacja). Jego seminarium w Instytucie Historycznym Uniwersytetu Warszawskiego wypełniała tematyka europejskich dyktatur: rządów autorytarnych, faszystowskich i komunistycznych, o czym niżej podpisany mógł się sam przekonać. „W ciągu ostatnich 11 lat wydałem 6 książek, które w tytule miały słowo Europa” – te słowa autora pokazują najlepiej jego naukową drogę w dekadzie poprzedzającej powstanie *Europy zimnej wojny*.

Obraz kontynentu profesor kreśli z dużą swobodą i wyczuciem proporcji, a co dla nas szczególnie ważne – obszernie referuje historię Europy Środkowo-Wschodniej, dawniej zbyt często pomijaną w tego rodzaju kompendiach ze względu zarówno na trudności z dotarciem do danych, jak i na brak głębszych zainteresowań zachodnich historyków. W tym sensie jest to historia Europy widziana naszymi oczyma. Autor prowadzi narrację spokojnym, analitycznym językiem – nie zdradza nam swoich sympatii, zachowuje

dystans do własnych poglądów politycznych. Jest w tym wykładzie piękno stylu, cechujące już tylko osoby starszej generacji, które odbierały klasyczne, humanistyczne wykształcenie, dojrzewały w innych czasach.

Historyków nazbyt skupionych na sprawach krajowych powinien uradować ponadnarodowy walor tego opastego tomu (tysiąc stron!). Wiele naszych, wydawałoby się – specyficznych doświadczeń wpisanych jest tu w szerszy cykl koniunktur europejskich. Widzimy, że lewicowe tendencje w gospodarce po drugiej wojnie światowej napłynęły nie tylko do wschodniej, ale także do zachodniej Europy. Komunizm wschodnioeuropejski jawi się w tym ujęciu jako pewien wariant europejskiego państwa socjalnego, wersja despotyczna tego pomysłu, narzucana siłą przez radziecką metropolię, eksperyment okupiony ogromnymi represjami. Na tym ogólnym planie widać też, że kryzys myślenia liberalnego był wówczas bardzo głęboki – dotknął nawet tradycyjnie mało lewicową Wielką Brytanię.

Czytając dzieło Holzera, uświadamiamy sobie lepiej, jak trudne okazało się to pierwsze powojenne dziesięciolecie dla całego kontynentu (straty ludnościowe, kartki na żywność w Wielkiej Brytanii i – co może mniej dziwi – w RFN). Dowiadujemy się, że nie mieliśmy w Polsce najgorzej. W Rumunii w latach osiemdziesiątych telewizja nadawała tylko przez dwie godziny z racji trudności energetycznych, w mieszkaniach można było wkręcić tylko jedną żarówkę 40-watową. Niedomaganie szpitali czasami skutkowało umieszczaniem dwóch pacjentów w jednym łóżku, a zrewoltowanych przywódców robotniczych z doliny rzeki Jiu – strajk objął w 1977 r. 30 tys. ludzi – miało podobno naświetlać promieniami rentgenowskimi przez pięć minut, żeby wywołać u nich nowotwór i w ten skryty sposób pozbyć się ich z tego świata. Na to reżim Ceaușescu prądu nie pożałował.

Przy takich opisach błędnie trochę nasza bieda i nasi bohaterowie, zacierają się też wydarzenia żywo przeżywane w polskim otoczeniu. W zamian otrzymujemy wielowymiarowy, przekrojowy obraz tamtej Europy – od rumuńskiej i albańskiej despotii

po wolnościową cywilizację Zachodu, z Polską pewnie gdzieś pośrodku. W takim ujęciu wiele spraw układa się w innych proporcjach. Gdy rozciągamy spojrzenie przestrzennie czy czasowo, zaczyna ono tracić na głębokości – wytłumaczenia odnajdujemy łatwiej w dużych procesach historycznych. Ale książka Holzera nieźle opiera się tej tendencji, jest bowiem nadal tak konkretna i rozbudowana, że te mniejsze konteksty nie znikają.

Historycy Solidarności, często pochłonięci drobiazgowymi dociekaniami, znajdą u Holzera to, czego nie widać, gdy patrzy się z perspektywy izolowanych od siebie epizodów. Demokratyzacja obejmowała od początku lat siedemdziesiątych kraje południa kontynentu – Portugalię, Grecję, Hiszpanię, potem dopiero przyszła polska rewolucja Solidarności. Rzadko kto rozpatruje nasz zryw w takiej sekwencji. Przede wszystkim jednak dociekliwi czytelnicy zobaczą głęboki kryzys komunizmu europejskiego, który zaczął się po śmierci Stalina i powoli narastał. Śledzimy na kolejnych stronach rosnące tendencje odśrodkowe w całym radzieckim imperium: wzbierająca fala emocji narodowych (w ZSRR już w latach sześćdziesiątych kierownictwo radzieckie musiało odwołać obierające narodowy kurs władze lokalnych partii na Ukrainie i Łotwie), fasadowość ideologii komunistycznej, nierównomierność rozwoju i odmienność tradycji między centrum a peryferiami imperium, kryzys etyki pracy, wszechobecna korupcja i biurokratyczna inercja.

Choć niektóre z tych procesów na krótką metę mogły stabilizować, w dłuższym ciągu zdarzeń działały destabilizująco na całą konstrukcję systemu komunistycznego. Mały udział mas robotniczych w sprawowaniu władzy kłuł w oczy ludzi bardziej dojrzałych wolnościowo. Korzyści materialne nomenklatury w zestawieniu z trudnymi warunkami życia reszty społeczeństwa budziły rozległe napięcia, uśmierzane z trudem i coraz częściej za cenę ekonomicznego uzależnienia od Zachodu, co z kolei krępowało potem rząd na wiele sposobów. I od razu okazuje się, że przykład polskiej pułapki zadłużeniowej – do którego jesteśmy przywiązani – nie musi być najbardziej jaskrawy. Nie mniejsze wrażenie robi NRD

uwikłana w kredytową zależność od drugiego państwa niemieckiego, sprzedająca po cichu swoich obywateli na Zachód w zamian za kredyty w twardej walucie.

Zasoby materialno-ideologiczne komunizmu wyczerpywały się, napływała fala kryzysu. Gdy pojawiła się otwarta opozycja, władzy już wyjątkowo trudno było zareagować represjami typu stalinowskiego, szczególnie w stosunku do postaci znanych publicznie. Holzer bardzo dobrze pokazuje to słabnięcie systemu. Nawet w Związku Radzieckim, z jego złowrogim systemem penitencjarnym, w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych dało się odczuć liberalniejszy styl postępowania z przeciwnikami. Potępienie Borysa Pasternaka za wydanie *Doktora Żywago* na Zachodzie już nie pociągnęło za sobą fizycznych represji wobec pisarza. Wymuszona emigracja niektórym radzieckim dysydencom skracając wieloletnie więzienie i maltretowanie. Nawet zesłanie do zamkniętego miasta Gorki znanego sowieckiego fizyka Andrieja Sacharowa nie było tym samym co umieszczenie go w łagrze.

Łagodniej niż dawniej postępowano w NRD i Czechosłowacji, nie mówiąc o Polsce czy Węgrzech. Ten wątek – charakterystyczny dla wielu krajów bloku wschodniego – większej tolerancji dla nonkonformizmu bardzo ciekawie gra w książce z opisem warstwy nadającej ton wystąpieniom przeciw władzy w czasach odprężenia. Ludzie o wyższym statusie wizerunkowym, pozycji publicznej i intelektualnej znaleźli się na czele protestu, nie tylko ze względu na swoją wyższą świadomość polityczną, ale także dlatego, że słabnącym władzom trudniej było takie osoby zniszczyć bez rozgłosu i dalszych komplikacji niż nikomu nieznanym robotników czy chłopów, pozbawionych oparcia i kontaktów typowych dla elit, pozostających z dala od centrum wydarzeń medialnych i politycznych.

Na tak zarysowanym podłożu socjologicznym śledzimy w książce Holzera rozwój ruchów dysydenckich. Porównanie rodzącej się w latach siedemdziesiątych zorganizowanej opozycji w Polsce, Czechosłowacji, na Węgrzech i w ZSRR ujawnia pewne różnice, ale też dalsze podobieństwa. Na ogół były to grupy nieliczne, o dwóch zasadniczych rodow-

dach ideowych: z jednej strony działacze lewicowi, dawni partyjni reformatorzy, rewizjoniści, z drugiej – osoby przyznające się do religii, mniej lub bardziej umiarkowanego nacjonalizmu, poglądów konserwatywnych. Zaskakujące ze współczesnej perspektywy są te koalicje ludzi skupionych w Komitecie Obrony Robotników czy w Karcie 77, których sporo różniło ideowo, ale ważniejsze stawało się wtedy akurat to, co ich łączyło – wspólna definicja głównego wroga i zagrożenia z jego strony, moralna jedność ponad podziałami, zasada *non-violence*.

Solidarność jeszcze silniej wstrząsnęła całą radziecką Europą. Choć naciski na Polskę ze strony moskiewskiego centrum zaczęły się od samego Sierpnia '80, to jednak – zwróćmy uwagę – ofensywę wojskową przeciwko Solidarności przeprowadzono dopiero po szesnastu długich miesiącach. To przeciąganie się polskiego kryzysu było znamienne. Cytowane przez autora dokumenty wskazują na wyraźne podziały i wahania w łonie przywódców komunistycznych; w zasadzie nikt poza Erichem Honeckerem i częścią kierownictwa radzieckiego, ale raczej bez Leonida Breżniewa, nie domagał się stanowczo interwencji w Polsce, czyli – jak to nazywano w języku propagandy – internacjonalistycznej pomocy. Zapewne dlatego, że broniący systemu PRL nie wypuścili z ręki steru władzy i ostatecznie zrobili to, o co prosiła ich Moskwa.

Równie silne wśród potencjalnych interwentów były jednak obawy przed dalszą destabilizacją, sankcjami ze strony Zachodu, wejściem znów na drogę wzmożonego wyścigu zbrojeń, którego już nie było za co prowadzić. Ta dość ostrożna postawa przywódców komunistycznych brała się także – czego w Polsce nie doceniamy – z wciąż sporej stabilności społecznej w ich własnych krajach. Nie jest wcale pewne, czy słynne *Postanie do ludzi pracy Europy Wschodniej* padło tam na żyzny grunt. Z komentarza Holzera, ale także z obserwacji innych badaczy niecytowanych tutaj, wynika, że istnienie Solidarności wpływało na pewien nawrót antypolskich resentymentów. W NRD, Czechosłowacji i na Węgrzech kryły się za tym obawy przed pogorszeniem się zaopatrzenia, utratą zdoby-

czy konsumpcyjnych, na radzieckiej Litwie i Ukrainie nie mniej ważny był prawdopodobnie niepokój przed powrotem „Polski nacjonalistycznej”.

Ile w takich obawach naszych sąsiadów było autentyzmu, w jakim stopniu te poglądy wynikały z umiejętnie kierowanej do społeczeństwa propagandy? W każdym razie do poruszenia społecznego na skalę całego bloku wówczas jeszcze nie doszło, czego najbardziej może wymiernym przykładem była – odnotowana w książce – frekwencja wyborcza w Czechosłowacji w połowie 1981 r. Do urn w pseudowyborach stawilo się karnie 99,5 proc. społeczeństwa! Chęć trwania przeważała wówczas nad chęcią zmiany, gorset komunizmu jeszcze mocno się trzymał, a doświadczenie Solidarności dla innych „narodów ciemionych” mogło być problematyczne, o czym się dzisiaj czasami zapomina. Książka Jerzego Holzera wskazuje nam na wiele takich właśnie niedobadanych spraw, nowych kontekstów interpretacyjnych.

Ostatnie dwieście stron wypełnia historia społeczno-kulturowa – potraktowana oddzielnie. Tylko częściowo toczyła się ona jednak po osobnym torze. Zainteresowani Solidarnością znajdą w rozdziale poświęconym rewolucji oświatowej powojennej Europy materiał do refleksji nad społeczno-kulturowym obliczem ruchu. Choć Holzer sam nie łączy tych dwóch procesów w jednym rozdziale, jednak po lekturze całej książki nie sposób uciec od myśli, że

władze PRL stały się ofiarą swojej dawnej skuteczności. Wzrost liczby ludzi wykształconych, powiększenie się liczby nakładów książek, czasopism, inwazja zachodniej kultury masowej stanowiły narzędzie najpierw umacniania się władzy komunistycznej, ale potem gwałtownej utraty przez nią reputacji. Zmodernizowane intelektualnie społeczeństwo miało większe aspiracje, szersze horyzonty; zmanifestowało swoje niezadowolenie w formie wydawniczego protestu, akcji oświatowych, zespołów eksperckich, stworzyło kontrelitę, którą trudno było manipulować.

Porównywać w historii można nawet rzeczy do siebie niezbyt podobne, choćby po to, by uświadomić sobie różnice, zdystansować się od tego, co nas otacza i może nazbyt ograniczać pole widzenia. Takie ćwiczenie każdy historyk może czasem wykonać, nawet tylko na własny użytek. Perspektywa komparatystyczna jest największym walorem tej książki. Zawarcie w jednym tomie tak szerokiej diagnozy musi budzić duży szacunek i uznanie dla erudycji autora. Europejskie syntezы rzadko powstają nad Wisłą i Odrą, co unaocznia tylko znaczny dystans, jaki dzieli nas od centrum europejskiej debaty. Gdy piszę te słowa, *Europa zimnej wojny* Jerzego Holzera została wyróżniona nagrodą historyczną Klio za 2012 r. Laureat bez wątplenia od wielu lat pozostaje wiernym i oddanym przyjacielem muzy dziejopisarzy.

NOTY O KSIĄŻKACH

Jan Józef Lipski z perspektywy XXI wieku, red. Konrad Rokicki, Instytut Pamięci Narodowej, Warszawa 2012, ss. 167.

Jan Józef Lipski zwany był przez przyjaciół „Prezydentem”. Ten żartobliwy przydomek oddawał powszechną sympatię i szacunek, jakimi się cieszył w rozmaitych, niekiedy skonfliktowanych kręgach warszawskich opozycjonistów. Bo też niewielu mogło się poszczycić takim życiorysem, wiodącym prostą linią od Armii Krajowej do Solidarności. Jan Józef był czynny w niemal każdej inicjatywie opozycyjnej w PRL – od Klubu Krzywego Koła przez List 34, protesty Marca '68, KOR aż do ruchu solidarnościowego. Nikt lepiej od niego nie uosabiał etosu polskiego niepokornego inteligenta drugiej połowy XX wieku – odwołującego się w walce z komunizmem do wartości demokratycznej lewicy, przeciwstawiającego się dyktaturze w imię praw człowieka i obywatela, ale też wrażliwego na zwyczajną ludzką krzywdę. Zaangażowanie w sprawy publiczne łączył Lipski z pasją intelektualną, jego niezależnym działaniom społecznym i politycznym stale towarzyszyły zajęcia literaturoznawcy i publicysty. Do dziejów honoru w Polsce wszedł nie tylko jako jeden z założycieli Komitetu Obrony Robotników, ale także jako autor eseju *Dwie ojczyzny, dwa patriotyzmy*.

O wielu aspektach biografii Jana Józefa Lipskiego piszą w wydany przez Instytut Pamięci Narodowej tomie badacze różnych pokoleń. Andrzej Krzysztof Kunert przedstawia jego wojenną kartę – służbę w Szarych Szeregach, AK i udział w powstaniu warszawskim. Paweł Ceranka opisuje działalność Lipskiego w Klubie Krzywego Koła, a Konrad Rokicki – w środowisku literackim. Andrzej Friszke pokazuje jego

pierwszoplanową rolę w KOR, Tadeusz Ruzikowski prezentuje zaangażowanie w Solidarności. Inne artykuły dotyczą udziału w reaktywowanej Polskiej Partii Socjalistycznej, pracy w Senacie RP, dorobku krytycznoliterackiego. Tom zamyka sesja wspomnieniowa z udziałem przyjaciół Jana Józefa – Michała Głowińskiego, Jana Lityńskiego, Zbigniewa Romaszewskiego, Kazimierza Wóycickiego i Henryka Wujca.

Jan Skórzyński

MARCI SHORE, *Smak popiołów. O dziedzictwie totalitaryzmu w Europie Wschodniej*, tłum. Marcin Szuster, Świat Książki, Warszawa 2012, ss. 336.

W książkach młodych polskich historyków zajmujących się komunistyczną przeszłością często pojawia się ton moralnego osądu. Pokolenie obdarzone łaską późnego urodzenia zaskakująco łatwo wydaje wyroki skazujące, surowo dzieląc ludzi na zdrajców i bohaterów. Książka amerykańskiej historyczki z Yale, autorki znakomitego studium o nadziejach i rozczarowaniach polsko-żydowskich komunistów (*Kawior i popiół*), jest najdalsza od tego podejścia. Choć *Smak popiołów* ma formę eseju, w którym osobiste opinie byłyby znacznie bardziej na miejscu niż w naukowej monografii, Marci Shore wyraża je powściągliwie. Nie chodzi jej bowiem o to, aby potępić, ale by zrozumieć. Zrozumieć fenomen zaangażowania w komunistyczny totalitaryzm, o którego sile stanowiła przecież m.in. autentyczna wiara, jaką budził, i szczytne hasła przyciągające marzycieli.

Piekło komunizmu jest wybrukowane dobrymi intencjami. Marci Shore doskonale wie, jak wyglądała zaprzeczająca ideałom stalinowska rzeczywistość.

Interesuje ją, co popychało ludzi do stalinizmu i co motywowało do oporu. A także jak narody dawnej Europy Wschodniej radzą sobie z dziedzictwem trudnej przeszłości. Przedmiotem obserwacji są w głównej mierze Polska i dawna Czechosłowacja – te kraje amerykańska badaczka zna najlepiej i po prostu lubi. Zadomowiona w Warszawie i Pradze jak mało który cudzoziemiec, zafascynowana postaciami Václava Havla i przywódców polskiej opozycji, Shore potrafi równocześnie spojrzeć chłodnym okiem na nasze kompleksy, dostrzec białe plamy w narodowej pamięci. Historycznym refleksjom o terrorze i zagładzie, o kolaboracji i oporze towarzyszą w jej książce reporterskie impresje z wielokrotnych podróży, rozmów i spotkań. Najciekawsze są tu zderzenia ludzi, życiorysów i punktów widzenia, niejednokrotnie sprzecznych i trudnych do pogodzenia, ale razem tworzących mozaikę wschodnioeuropejskiego losu i mentalności.

Autorkę ciekawi zwłaszcza splot problemu żydowskiej tożsamości, komunizmu i antysemityzmu. Koncentracja na tym kręgu spraw jest dobrym prawem badacza, ale w pewien sposób zawęża widzenie totalitarnej przeszłości do perspektywy ludzi, którzy najpierw system budowali, by potem paść jego ofiarą. Empatia, jaką Marci Shore okazuje byłym komunistom, budzi niekiedy zniecierpliwienie, choć bez niej nie stworzyłaby zapewne tak żywego portretu środowiska, nie pokazała tak plastycznie wyborów, których dokonywało. Czytając jej interesującą książkę, warto tylko pamiętać, że znaczna większość ofiar komunizmu – Czesi, Słowacy, Polacy czy Żydzi – nie służyła temu systemowi ani go nie wybierała.

Jan Skórzyński

JAROSŁAW WĄSOWICZ SDB, *Niezależny ruch młodzieżowy w Gdańsku w latach 1981–1989*, Europejskie Centrum Solidarności, Gdańsk 2012, ss. 657.

Opozycja demokratyczna w PRL stał się tematem wielu opracowań. Wśród bogatej literatury nie od-

najdujemy jednak zbyt wielu pozycji poświęconych zaangażowaniu młodzieży w działalność opozycyjną lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Już choćby z tego względu monografia autorstwa ks. Jarosława Wąsowicza zasługuje na uwagę, a gdy dodać, iż dotyczyła środowiska gdańskiej młodzieży wspierającej tworzący się po Sierpniu '80 niezależny ruch polityczny, staje się literaturą obowiązkową dla wszystkich, którzy żywo interesują się historią tamtego okresu.

Autor tej niezwykle obszernej publikacji w sposób kompleksowy przedstawia dzieje gdańskiego ruchu młodzieżowego po 13 grudnia 1981 r. aż do przełomowego 1989 r. W celu pełnego zobrazowania tematu obejmuje narracją również wydarzenia wybiegające poza ramy czasowe nakreślone w tytule opracowania. Reminiscencje z lat siedemdziesiątych czy newralgicznego lata 1980 r. są niezbędne do zrozumienia całości zagadnienia. Ukazują wpływ wydarzeń 1968, 1970 i 1976 r. na późniejsze losy zaangażowanej wówczas młodzieży.

W pierwszym rozdziale Wąsowicz odmalowuje jej portret, opisując działalność młodzieży szkolnej, ruchu oazowego, duszpasterstw akademickich, studenckich komitetów solidarności, środowiska „Bratniaka” i powstałego w 1979 r. Ruchu Młodej Polski. Przypomina o ważnym fakcie udziału młodzieży w organizacjach opozycyjnych działających wówczas w Gdańsku – w środowiskach KOR, ROPCiO, KPN, Wolnych Związków Zawodowych. Przedstawia specyficzny charakter gdańskich młodzieżowych środowisk niezależnych, dla których wspólnym mianownikiem okazał się udział w wydarzeniach Sierpnia '80.

Należy podkreślić, co zresztą czyni sam autor, że przedmiotem jego dociekań są nie tylko grupy i inicjatywy o charakterze opozycyjnym, ale wszelkie przejawy niezależnej działalności, których nie da się jednoznacznie sklasyfikować. To czyni książkę jeszcze ciekawszą. Bowiem oprócz charakterystyki gdańskich niezależnych organizacji młodzieży szkolnej, studenckiej, harcerstwa, a także młodzieżówek partyjnych, odnajdujemy w niej środowiska anarchistyczne, pacyfistyczne, grupy rockowe, kibiców Lechii Gdańsk (i ich współpracę z Federacją Młodzieży

Walczącej). Autor poświęcił osobny rozdział niezależnym wydawnictwom w środowiskach uczniowskich i studenckich. W kolejnych opisał udział młodzieży w strajkach, manifestacjach i happeningach ulicznych, poruszył również kwestię zaangażowania w działania „dorosłej” gdańskiej opozycji. Nie pominął brutalnych represji stosowanych przez władze wobec zbuntowanych młodych ludzi.

Opracowanie nie powstałoby bez obszernej bazy źródłowej. Autor wykorzystał m.in. dokumenty zgromadzone w Archiwum Państwowym w Gdańsku, archiwum Oddziału Gdańskiego Instytutu Pamięci Narodowej, Archiwum Komisji Krajowej NSZZ Solidarność, Archiwum Regionu Gdańskiego NSZZ Solidarność, Archiwum Archidiecezji Gdańskiej, archiwach gdańskich duszpasterstw akademickich. Sięgnął po zbiory prywatne, relacje świadków i uczestników ruchu młodzieżowego, a także wydawnictwa bezdebitowe. Przytoczone powyżej przykłady są tylko wycinkiem bogatej bibliografii książki Wąsowicza.

W końcowych wnioskach czytamy: „z zaprezentowanego materiału wyłania się niezwykle aktywne środowisko, które w wielu formach niezależnej aktywności wykazało się bogactwem i skutecznością podejmowanych inicjatyw. Młodzież w Gdańsku stanowiła niewątpliwie ważną część podziemnego społeczeństwa, zaś w wydarzeniach wieńczących wielopokoleniowy trud zmagania z totalitarnym systemem odegrała nawet rolę wiodącą”.

Jednym z postulatów autora jest wydanie dwutomowego wydawnictwa źródłowego obejmującego materiały wytworzone przez młodzieżowe środowiska niezależne Wybrzeża oraz przez zwalczający je aparat władzy. Miejmy zatem nadzieję, że niedługo otrzymamy kolejne opracowanie będące ważną kontynuacją podjętej w tym obszarze pracy badawczej.

Przemysław Ruchlewski

ANDRZEJ FRISZKE, *Czasopisma „drugiego obiegu”* [w:] *Czasopisma społeczno-kulturalne w okresie PRL*, red. Urszula Jakubowska, Fundacja Akademii Humanistyczna, Instytut Badań Literackich PAN, Warszawa 2012, ss. 595.

O czasopismach drugiego obiegu (wolę określenie z tamtych czasów: czasopisma niezależne) myślę z nostalgią. Uważam je za najdoskonalszą realizację tego typowego dla drugiej połowy XX wieku sposobu komunikowania się inteligencji. Jak powstawały? Zbierało się grono ludzi, których łączyło przekonanie, że wymiana informacji i opinii na poważne tematy jest ważniejsza od represji policyjnych czy nawet karnych, warta jest też bezinteresownego (bo niezarobkowego przecież) trudu, znoszenia niewygód konspiracji, poświęcenia wolnego czasu – i zakładali pismo. Trzeba było tylko zdobyć trochę grosza (paradoksalnie, za czasów podziemnej Solidarności nie było to bardzo trudne, a koszty nie były wielkie), znaleźć wydawcę i dojście do kolportażu. W tych sprawach podziemie również stworzyło pomocne struktury i mechanizmy. Po rozwiązaniu praktycznych problemów redakcja pisma miała pełną autonomię; nikomu nie podlegała, nie była w niczyjej służbie, zależała tylko od przychylności czytelników. Nigdy, wykonując przez kilkadziesiąt lat zawód dziennikarski, nie czułem się tak wolny, jak w drugim obiegu. Zakazane druki stanowiły najpełniejszą realizację idei wolności słowa.

Artykuł Andrzeja Friszkego o czasopismach drugiego obiegu – pierwsza w literaturze przedmiotu próba całościowego ujęcia tego zjawiska – został opublikowany w tomie szkiców o czasopismach społeczno-kulturalnych w okresie PRL. „W okresie PRL”, a nie „w PRL” – pisma niezależne wszak peerelowi się sprzeciwiały, a PRL starał się je unicestwić. Owszem, pierwszy numer „Zapisu” był w całości złożony z tekstów zakazanych przez cenzurę, powstałych z myślą o druku w oficjalnych czasopismach, już jednak od drugiego numeru „Zapis” drukował rzeczy, które cenzurę ignorowały. Były, oczywiście, wśród pism wydawanych oficjalnie tytuły, które próbowały przechrzyć urząd kontroli, obejść zakazy, przede wszystkim

„Tygodnik Powszechny” i pozostałe periodyki ruchu Znak, ale w jakimś stopniu także np. „Przekrój” albo „Polityka”, każde na swój sposób.

Być może punkt odniesienia, jaki stworzył drugi obieg (a także czasopisma emigracyjne, które syntetycznie omówił w tym tomie Rafał Habielski), sprawił, że autorzy szkiców, zwłaszcza dotyczących lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, bardzo krytycznie ocenili większość ówczesnych czasopism. Nie byłbym aż tak surowy; wstępniaków i pierwszych stron, redagowanych zgodnie z wytycznymi Wydziału Prasy Komitetu Centralnego PZPR (a to ich przede wszystkim dotyczą wspomniane krytyczne oceny), po prostu się nie czytało. Za to po lekturze kolumn poświęconych literaturze, teatrowi, filmowi, sztukom plastycznym można było mieć przekonanie, że żadne (no, prawie żadne...) godne uwagi zjawisko nie zostało pominięte. Dzisiejsze czasopisma takiego przekonania nie zapewniają...

Andrzej Friszke pisze o przełomie, jaki sprawił pierwszy numer „Zapisu”, wydany w lutym 1977 r. Jesienią tegoż roku pojawiły się nowe tytuły: warszawski, korowski „Głos”, lubelskie „Spotkania”, łódzki „Puls” i gdański „Bratniak”, w lecie 1978 r. „Krytyka”, na początku 1979 r. „Res Publica”. Każdemu z tych

czasopism autor poświęcił oddzielne minimonografie, zawierające zarys ideowy, główne tematy, ważniejsze polemiki. Podobną metodą posłużył się do opisu czasopism wydawanych po 13 grudnia 1981 r.: warszawskich „Krytyki”, „Wezwania”, „Nowego Zapisu”, „Kultury Niezależnej” i „Karty” oraz wrocławskiej „Obecności” i krakowskiej „Arki”. Bibliografia publikacji o większości spośród tych tytułów jest bardzo skromna, czasopiśmiennictwo niezależne nie doczekało się dotychczas baczniejszej uwagi historyków.

„»Drugi obieg« w latach osiemdziesiątych stał się nie mniej ważny niż obieg oficjalny, a w zakresie pism kulturalnych chyba ważniejszy” – pisze Andrzej Friszke. „Bez wątpienia Solidarność jako ruch masowy w 1982–1983 roku stopniowo wygasła, zastępował ją natomiast ruch wydawniczy. [...] Rok 1989, odzyskanie wolności, niepodległości i demokracji, nie przyszedł bez przygotowania. Twórcy tego przełomu i ich bezpośrednie zaplecze byli blisko związani z istniejącym od dawna obiegiem myśli i refleksji. Jeśli polska polityka tego czasu [...] miała odpowiednie zaplecze intelektualne, wielka w tym zasługa niezależnych czasopism kulturalnych”.

Andrzej Kaczyński